

*Bestsellerowa powieść z cyklu  
o MAJOR KAMIEŃSKIEJ*

ALEKSANDRA  
**MARININA**  
**NIEZAMKNIĘTE  
DRZWI**



**NIEZAMKNIĘTE  
DRZWI**

ALEKSANDRA  
**MARININA**  
NIEZAMKNIĘTE  
DRZWI

Przełożyła  
Aleksandra Stronka



Tytuł oryginału: *Незапертая дверь*

Copyright © Aleksandra Marinina, 2001

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stronka, 2021

Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska

Marketing i promocja: Joanna Zalewska

Redakcja: Mirosław Ruszkiewicz

Korekta: Gabriela Niemiec, Mirosław Krzyszkowski

Skład i łamanie: MELES-DESIGN

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Marten Bjork / Unsplash

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66839-35-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

## Rozdział 1

Na pogrzebie Anieczki Simonowej zjawiło się całe miasto. Trudno znaleźć w Kamyszowie człowieka, który nie znałby tej skorej do uśmiechu i życzliwej dziewczyny. Że też jakiś łajdak podniósł na nią rękę...

Jakkolwiek cudowna była Ania, rozmowy w tłumie żałobników odprowadzających ją w ostatnią drogę dotyczyły przeważnie jej nieszczęsnej matki, Kławdii Sawieljewny. Los bywa jednak czasem okrutny! Najpierw zginął najstarszy syn, Jurka, nie dożył trzydziestki, był górnikiem w kopalni. Później nagle umarł na zawał mąż Kławdii. A teraz ktoś zabił dwudziestoczteroletnią Aniutkę. I wszystko w ciągu nieco ponad roku. Które serce zniesie tyle nieszczęść? Kławdia wychowała dwoje dzieci, ale zła siła oboje jej odebrała. Została zupełnie sama. Ani męża, ani dzieci, ani wnuków.

Jak nakazywał prawosławny zwyczaj, w cerkwi odprawiano nabożeństwo za Anię. Świątynia była wypchana po brzegi, więc nikt nie zwrócił uwagi na mężczyznę w tanim garniturze. Wielu znajomych przyjechało pożegnać dziewczynę; po szkole podstawowej wybrała technikum w Jurdze, pewnie zostało tam sporo przyjaciół, a po ukończeniu technikum mieszkała i pracowała w Mariińsku, dlatego nikogo nie dziwiła obecność tylu nieznajomych twarzy na pogrzebie. Rok temu, po śmierci ojca, Ania wróciła oczywiście do Kamyszowa i zamieszkała z matką, ale ci, którzy ją ciepło wspominają, są i w Jurdze, i w Mariińsku, i może gdzieś jeszcze. Dziewczyna była wspaniała: uprzejma, uczynna, takich jak ona długo się nie zapomina.

Mężczyzna w ciemnym garniturze stał z opuszczoną głową, jak wszyscy, ale kątem oka uważnie obserwował obecnych. Choć wierzył w Boga, w cerkwi zawsze czuł się niezręcznie i miał ochotę jak



najprędzej wyjść. Nie znał żadnej modlitwy, nawet *Ojcze nasz* potrafił odmówić jedynie do połowy. Dopiero niedawno nauczył się żegnać znakiem krzyża, lecz nie wiedział, kiedy należy to robić, toteż przykładał trzy złożone palce do czoła, piersi i ramion tylko wtedy, gdy widział, że robią to inni. Ostatnio zaczął poważnie rozważać przyjęcie chrztu, a zarazem innego imienia. Nikt nie pozwoli mu, rzecz jasna, zmienić tatarskiego imienia na jakieś prawosławne tak po prostu, ni z tego, ni z owego, tylko dlatego, że się ochrzcił, ale Irek uważał, że jego imię przynosi mu pecha, że jeśli będzie miał jakieś inne, nawet nieoficjalnie, to życie stanie się lepsze. Gdyby pochodził z tatarskiej rodziny, wtedy bardzo proszę – takie imię byłoby czymś zwyczajnym. Ale przecież matka i ojciec z dziada pradziada są Rosjanami, nie wiadomo, co im strzeliło do głowy, by dać mu takie imię! Irek... Tak wprawdzie nazywał się przyjaciel ojca, serdeczny kompan, z którym odsiadywał wyrok za młodu. Tato nazwał syna na cześć kamrata, nie pomyślał, że imię nie jest rosyjskie. Kto to widział? Irek Muchamiedow[1], który występował w Teatrze Wielkim – to co innego, imię pasuje jak ulał. Ale Irek Siergiejewicz Szańkin? Koń by się uśmieł! Właśnie przez to imię spotykają go same niepowodzenia.

Nabożeństwo zbliżało się do końca, zaraz wszyscy wyjdą, później zabiorą trumnę z ciałem i zanoszą ją tam, gdzie pochowani są ojciec i brat zabitej, a raczej to, co zostało z brata po wybuchu w kopalni. Cmentarz jest tuż za cerkwią. Jeszcze najwyżej pół godziny – i będzie po wszystkim, a Irek wciąż nie zrobił tego, po co tutaj przyjechał. Albo to jego wina – niezbyt uważnie rozgląda się wokół, albo ten, którego szuka, nie przyjechał na pogrzeb. Fakt pozostaje jednak faktem: Irek nie wykonał zadania. Bo jest pechowcem. Chyba rzeczywiście powinien zmienić imię, wtedy los się odwróci.

Ten, którego szuka, powinien być sam. I trzymać się z dala od trumny i przybitych nieszczęściem krewnych. Jak wygląda – nie wiadomo, Irek otrzymał tylko informację, że na oko ma jakieś trzydzieści lat i metr siedemdziesiąt trzy – siedemdziesiąt pięć wzrostu, co stanowi jedyną rzecz, której nie można zmienić, chyba że za pomocą grubej podeszwy i obcasów, a i to w niewielkim stopniu. Oto wszystkie cechy wyglądu. Irkowi z góry zapowiedziano, że musi

zwracać uwagę na charakterystyczne zachowanie. Ale mimo że przyglądał się zwyczajom obecnych, mimo że ich obserwował, nie potrafił rozpoznać opisanego mężczyzny.

Porażka tak go zirytowała, że nagle wyjątkowo dotkliwie zaczął odczuwać tandetność włożonego dzisiaj rano garnituru. Już dawno nie nosi takiego badziewia, woli czarne dżinsy od Calvina Kleina, bawełniane koszulki od Versace i luźne, miękkie kurtki z brązowej albo błyszczącej ciemnoniebieskiej skóry, tak delikatne, że przypominają raczej koszule. Są wygodne, nie krępują ruchów, nie rzucają się w oczy i się sprawdzają – nie gniotą się i nie brudzą. Są wprawdzie drogie, to nie ulega kwestii, ale warte swojej ceny, zresztą Irek od dawna nie nosił już nic taniego. Najpierw ojciec go rozpieszczał, a teraz sam nieźle zarabia. Nie mógł jednak zjawić się na pogrzebie w Kamyszowie w swoim codziennym markowym stroju: za bardzo będzie się wyróżniał w tłumie niezamożnych mieszkańców miasta. Musiał więc kupić jakieś ciuchy w pierwszym lepszym domu towarowym w Kemerowie. Czeką go jeszcze wyboista droga powrotna z Kamyszowa do Kemerowa, w dodatku nie jego ulubionym wozem, ale czymś przeżartym rdzą żiguli, bo porządna zagraniczna bryka też może przyciągnąć uwagę w tej dziurze. To zaś jest niebezpieczne – ktoś może go zapamiętać, a tego Irek sobie nie życzy.

Trumnę umieszczono przy wykopanym grobie, matka zabitej dziewczyny zaczęła histerycznie szlochać... A ten typ wciąż się nie pojawiał. A może się pojawił, ale Irek go nie widzi? Gość stoi całkiem blisko, tuż za nim, dotyka go łokciem, a Irkowi nawet nie przyjdzie do głowy, że to ten, którego szuka. To jednak prawda, że prześladuje go pech. Może powinien pokręcić się koło domu, w którym mieszkała nieboszczka? Facet nie zjawił się na pogrzebie, więc może przynajmniej wpadnie na stypę, wypije kieliszek za spokój niewinnej duszy? W kwestii stypy Irek nie otrzymał wprawdzie żadnych instrukcji, uważano bowiem, że facet przyjedzie na pogrzeb, ale nie zaryzykuje wizyty w domu. Irek zastanawiał się jeszcze chwilę, w końcu postanowił nie przejawiać inicjatywy, żeby nie pogorszyć sprawy. Tutaj jest jednak tłum, a tam każdy będzie na widoku, jeszcze tylko tego brakuje, żeby zaczęto go wypytywać, kim jest i skąd zna zmarłą. Nie przygotował żadnej sensownej historyjki na

ten temat, niewiele wiedział o zabitej Ani Simonowej, zresztą zważywszy na jego pech, na pewno się z czymś zdradzi, gdy wda się w rozmowy.

Tłum ruszył z cmentarza w kierunku domu Simonowów. Przez jakiś czas Irek szedł razem ze wszystkimi, później, korzystając z dogodnej chwili, skręcił w zaułek i okrężną drogą dotarł do miejsca, w którym zostawił samochód. A niech to, na sam widok wozu poczuł mdłości. Przeżarty rdzą, zdezelowany... W porządku, szefostwo wie lepiej, czym powinien jeździć. Dostał nieduże zadanie, kazali, to wykonał, ale po co i dlaczego – nie musi wnikać. Im mniej wiesz, tym spokojniej śpisz. Tego nauczył go jeszcze tato, a on nie rzuca słów na wiatr, to prawdziwy urka: z czterdziestu ośmiu lat życia dwadzieścia jeden spędził za kratkami. Ma doświadczenie.

Irek pokonał ponad sto kilometrów do Kemerowa w ciągu dwóch i pół godziny – starutkie żiguli nie było zdolne do niczego więcej. Znalazłszy się na znanych ulicach rodzinnego miasta, najpierw pojechał do taty. Musi mu zdać sprawozdanie, no i zabrać swoją gablotę – rano ją tam zostawił, gdy się przesiadł do tej konserwy.

Tato, przedwcześnie pomarszczony i posiwiaty, ale silny i muskularny niczym młody łoś, mieszkał sam, jak przystało na rasowego bandytę. Matka odeszła od niego już dawno, gdy tylko zainkasował drugi wyrok, i zabrała syna, ale Irka zawsze ciągnęło do ojca. W ciągu nielicznych miesięcy, gdy tamten przebywał na wolności, Szańkin senior, noszący w swoim środowisku ksywę Szania, nie szczędził synowi troski. Stało się tak, oczywiście, nie od razu. Póki Irek był mały, Szania właściwie się nim nie interesował, ale gdy chłopiec skończył dziesięć lat, wszystko obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Rośnie zmiana – powtarzał z dumą recydywista, poklepując syna po plecach, gdy widział podziw i podniecenie w jego oczach podczas opowieści o kolonii karnej i panujących tam porządkach. – Słuchaj mnie i nabieraj rozumu, to ci się przyda.

Na razie, dzięki Bogu, się nie przydało. Ale wszystko do czasu... Irek z ulgą zatrzasnął drzwi cudzego samochodu, wsunął kluczyki do kieszeni i nie wytrzymał, podszedł do swojego ciemnoniebieskiego opla, który stał obok. Pogłaskał maskę, dotknął palcami bocznego



lusterka. Cudo, a nie wóz! Irek nie może się na niego napatrzeć. Najchętniej wsiadłby do środka i odjechał daleko stąd, nie zaglądając do taty. Ale nie może. Aż przeszył go dreszcz, gdy wyobraził sobie stek wulgarnych wyzwisk, którymi tato obrzuci go za parę minut, kiedy usłyszy, że nie wykonał zadania. Jeśli jednak zignoruje polecenie i odjedzie, nie złożąwszy sprawozdania osobiście, to później będzie jeszcze gorzej. Tato wykopie go spod ziemi i rozerwie na strzępy.

Przewidywania Irka sprawdziły się tylko częściowo: Szania rzeczywiście sadił przekleństwami, ale synowi specjalnie nie wymyślał, swoje złorzeczenia skierował pod adresem tego, którego synowi nie udało się znaleźć.

– To znaczy, że nie przyjechał – powtórzył parę razy w zamyśleniu, jako przerywnika używając dobrze znanych słów, dawniej uważanych za nieparlamentarne, ale obecnie, jak twierdzą świadkowie, za naturalne wśród władców świata. – Dobrze się przyjrzałeś?

– Nikogo nie przeoczyłem, tato – przekonywał Irek żarliwie. – Wiesz przecież, że twoje słowo jest dla mnie rozkazem.

– Uważaj no – wycedził Szania z nieokreśloną pogroźką w głosie. – Na razie ci wierzę. Ale jeśli wyczuję, że kręcisz, nie będę zważał na to, że płynię w tobie moja krew. Chyba rozumiesz, że nasz kodeks jest twardy. Poręczyłem za ciebie, zapewniłem ferajnę, że można ci zaufać. Jak zawiedziesz, bądź pewien, że wypruję ci flaki.

Irek był tego pewien. Tato nie lubi żartów, to się zgadza. Sam, rzecz jasna, nie będzie brudził sobie rąk mokrą robotą, to nie złodziejski fach, ale wśród kumpli zawsze znajdują się wykonawcy. Szania kocha swojego rodzzonego syna, póki ten rzetelnie wykonuje polecenia tych, którzy stoją nad tatą.

≡

Natalia Woronowa była osobą wyjątkowo cierpliwą, nie irytowały jej cudze gusta ani opinie, nawet jeśli ich nie podzielała. Ale niedawno w jej życiu pojawiło się określenie, od którego dostawała dreszczy. Było to określenie „rzecz bez precedensu”. W ciągu ostatniego

miesiąca słyszała je co najmniej tysiąc razy, to znaczy ze trzydzieści razy dziennie.

– Jak można kręcić film według książki, której nie czytał nikt oprócz pani? To rzecz bez precedensu! A nuż intuicja panią zawodzi i to nie będzie bestseller? Nowy autor, nikomu nieznany! Trzeba poczekać, aż powieść zostanie wydana, i zobaczyć, jak zareagują czytelnicy, czy książka się im spodoba...

– To rzecz bez precedensu: kręcić film, nie mając finansowania ze stacji telewizyjnej!

– To rzecz bez precedensu: nie mieć umowy z telewizją...

– To rzecz bez precedensu: przystąpić do zdjęć bez skończonego scenariusza...

– To rzecz bez precedensu...

Natalia doskonale wiedziała, że to, co robi, nie mieści się w żadnych pojęciach. W kwietniu przeczytała rękopis znajomego dziennikarza, który nigdy przedtem nie uprawiał beletrystyki, zapaliła się i poszła z rękopisem do szefostwa stacji. Ale mimo że zrobiła już dla niego dwa tasiemcowe seriale, nie spotkała się ze zrozumieniem. To znaczy zrozumienie jako takie, oczywiście, było, uwierzono Woronowej, że materiał stanowi wspaniałą kanwę kolejnego serialu, i postanowiono rozpatrzyć jej propozycję w ramach budżetu na przyszły rok. Ona jednak nie chciała tak długo czekać. Chciała kręcić natychmiast, zaraz, od jutra. A najlepiej – jeszcze dzisiaj.

Wszyscy patrzyli na nią jak na pomyłoną. To ma być słynna Woronowa, zawsze taka opanowana i cierpliwa? Woronowa, która sto razy pomyśli, zanim się do czegoś zabierze i podejmie jakąś decyzję? Chyba nie jest sobą?

Cały świat wokół Natalii podzielił się na dwa obozy. W jednym znalazł się świat telewizji i kina. W drugim – ona i jej bliscy: mąż i wychowanka. Mąż Natalii, Andriej Ganielin, od dawna i z powodzeniem zajmował się biznesem, a dwanaście lat temu sfinansował nawet zdjęcia do jej pierwszego filmu pełnometrażowego. Wysłuchawszy z kpiącym uśmiechem skarg i narzekań małżonki na opieszających i gamoniowatych urzędników, od których zależy podjęcie decyzji, powiedział łagodnie:

– Nataszko, dam ci pieniądze. Zaczynaj zdjęcia, a później zobaczymy.

– Ale tu chodzi o bardzo duże pieniądze – uprzedziła przestraszona Natalia. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak duże.

– Miałbym mieszkać z żoną reżyserem i nie mieć pojęcia, o jakich pieniądzach mowa? – Andriej się uśmiechnął. – To byłoby śmieszne. Nie doceniasz mnie. Powiedz swojemu przyjacielowi Jużakowowi, że jeśli stacja jest skłonna przystać na ten projekt, to niech załatwiają wszystkie kwestie związane z finansowaniem, a ty tymczasem przystąpisz do zdjęć za moje pieniądze. Ile mogą przeznaczyć, tyle niech przeznaczą, gdy zaś film będzie gotowy, wszystkie dochody z dystrybucji i sprzedaży podzielimy proporcjonalnie do zainwestowanych środków.

– Andriusza, zdajesz sobie sprawę, na co się piszesz? – zapytała Natasza przezornie. – Oni będą się zastanawiać i decydować, póki nie skończy się okres zdjęciowy. Opłacą jedynie montaż, udźwiękowanie i coś tam jeszcze, ale to zupełne drobnostki w porównaniu ze zdjęciami. Nie zamierzam przecież robić filmu przez trzy lata, jeśli zaczynać, to od razu, potrzebuję letnich miesięcy, większość scen rozgrywa się w plenerze, który w jakichś osiemdziesięciu procentach jest letni. Nie chcę czekać do następnego lata. Latem nakręcę prawie wszystkie zdjęcia w plenerze, jesienią atelierowe i, ma się rozumieć, jesienne, a w grudniu zimowe. Skończę przed Nowym Rokiem. I wszystko będę musiała zrobić za twoje pieniądze.

– A co ze zdjęciami wiosennymi? Nie będzie wiosny w twoim serialu? – zainteresował się Ganielin.

– Wiosnę można sfilmować w listopadzie, drzewa są gołe, a ziemia mokra.

– Aha, i jest dobry operator – podjął. – No to jak, Nataszo, decydujesz się? Zawsze drzemała w tobie żyłka awanturnicza, dopuść ją w końcu do głosu, bo przez całe życie tłamsisz ją i upychasz w ciemnym kącie. Prowadzisz szarą egzystencję. Masz czterdzieści sześć lat, pora, byś zaryzykowała. Przynajmniej z pobudek biznesowych.

Natalia wahała się, ale do rozmowy włączyła się jej wychowanica, aktorka Irina Sawienicz.

– Natałko, nad czym się tu zastanawiać?! – zawołała, żywo gestykułując. – Oczywiście, że musisz zrobić ten film. Wolisz siedzieć bez pracy?

Woronowej nie uśmiechało się siedzenie bez pracy. Ale nie miała ochoty wplątywać się w żadne awantury.

A jednak się zdecydowała. Razem z autorem powieści Rusłanem Nilskim napisała plan scenariusza do kolejnych odcinków, podpisała umowę ze spółką producencką i pod koniec maja przystąpiła do zdjęć, jak to się mówi, z marszu. Gotowego i zatwierdzonego scenariusza nie było, ale Natalia zawierzyła własnemu doświadczeniu (bądź co bądź skończyła wydział scenariuszowy WGIK-u<sup>[2]</sup> i przez wiele lat była scenarzystką, zanim zdobyła drugi dyplom i została reżyserem), a także talentowi młodego pisarza. Codziennie w wolnym czasie pisała z Rusłanem dialogi na najbliższe dni zdjęciowe, a wiele rzeczy wymyślali i zmieniali już na planie.

Rusłan przyjechał z Kemerowa, nie miał gdzie się zatrzymać w Moskwie, więc Natalia, długo się nie zastanawiając, ulokowała go w świecącym pustkami mieszkaniu swojego młodszego syna. Ałoszka wciąż mieszkał z nią i nie miał ochoty przyzwyczajać się do samodzielnej egzystencji. W odróżnieniu od starszego brata Saszy, który z radością wyfrunął spod maminych skrzydeł, niedawno się ożenił i mieszkał osobno, dziewiętnastoletni Ałosza nadal trzymał się matki i jej drugiego męża Ganielina.

Z Rusłanem, co prawda, też wynikły kłopoty. W Kemerowie zostawił żonę i dwie córki bliźniaczki, więc trzeba było się nieźle napocić, by go przekonać o konieczności spędzenia paru miesięcy w Moskwie. Główną rolę w negocjacjach odegrała Irina, jakimś cudem udało jej się nakłonić Rusłana do wyrażenia zgody. We wtorek, dwudziestego drugiego maja, uroczyście rozbito talerz, co symbolizowało początek okresu zdjęciowego, rozdano na pamiątkę kawałki i przeżegnawszy się, przystąpiono do pracy.

≡

Jana, rzecz jasna, pospieszyła do Moskwy z płonącymi oczami, pozostawiwszy dwuletnie córki ze swoimi rodzicami.

– Ale super, Rusik! – powtarzała na okrągło, zaglądając raz po raz we wszystkie zakamarki niedużej kawalerki, w której mieli mieszkać do końca zdjęć. – Spędzimy w Moskwie całe pół roku! Na podstawie twojej powieści powstanie film! Nie mogę uwierzyć. Czy to się dzieje naprawdę?

Rusłan podejrzewał, że powodem pojawienia się Jany była nie tyle chęć pobycia w stolicy czy miłość do męża, ile zazdrość. Okazało się, że miał rację. Obiektem zazdrości była Irina Sawienicz. Przez pierwsze parę dni Jana jeszcze jakoś nad sobą panowała, ale później nie potrafiła już ukryć niechęci do ładnej aktorki. Przyjacielskie relacje Iriny i Rusłana doprowadzały młodą kobietę do istnego szaleństwa i żadne argumenty odwołujące się do ich dawnej znajomości jej nie przekonywały.

– Czemu ona się do ciebie klei? – pytała z niezadowoleniem co wieczór, gdy wracali do domu. – Jakbyś był posmarowany miodem.

– Nie klei się – wyjaśniał Rusłan cierpliwie. – Rozmawia ze mną tyle samo co z pozostałymi na planie. Możesz policzyć.

Ale Jana Nilska nie chciała liczyć. Chciała tylko jednego: żeby wyzywająco piękna brunetka z wyrazistymi ciemnymi oczami i gęstymi smolistymi włosami nie zbliżała się do jej męża i z nim nie rozmawiała. Tymczasem oni nie dość, że rozmawiają, to jeszcze uśmiechają się do siebie, idą razem zapalić, siedzą obok siebie, głowa przy głowie, pochyleni nad scenariuszem. A ta stara stręczycielka Woronowa to toleruje, z byle powodu woła oboje i o czymś z nimi szepcze. Najstraszniejsze dla Jany były godziny, które Rusłan spędzał u Woronowej, pracując nad scenariuszem. Jany tam nie zapraszano, więc siedziała w maciupkim mieszkaniu na obrzeżach Moskwy i analizowała pojawiające się w rozgorączkowanej wyobraźni okropne sceny tego, co się mogło wydarzyć. A jeśli oni wcale nie pracują nad scenariuszem? Niewykluczone, że zjawiła się tam Irina, a Woronowa poszła sobie i zostawiła ich sam na sam. Co robią we dwoje, jej mąż i ta aktoreczka? A może Rusłan nie jest u Woronowej, ale u Iriny?

W mieszkaniu nie było telefonu, więc Jana co pół godziny biegała do najbliższego automatu i dzwoniła do Woronowej. Natalia Aleksandrowna zawsze była w domu i podnosiła słuchawkę, później



wołała Rusłana, który z trudem powstrzymywał irytację wywołaną ciągłymi telefonami bez powodu. Podejrzenia Jany właściwie się nie potwierdzały, ale to nie skłaniało jej do zrewidowania oceny sytuacji. Wciąż była zazdrosna, w dodatku z każdym dniem coraz bardziej. Gdy widziała na planie, jak mąż omawia coś z Woronową, rozmawia z aktorami albo w skupieniu coś pisze, pochylony nad umieszczonym na kolanach notesem, nie zwracając przy tym żadnej uwagi na Janę, czuła się zbędna i niepotrzebna, dręczyła się tym, że jej obecność jest daremna, i cierpiała, że nie potrafi nie przyjeżdżać na zdjęcia razem z Rusłanem. Póki jest obok niego, mąż nie odważy się zbliżyć zanadto do Iriny Sawienicz. Chociaż Irina nie miała zdjęć każdego dnia, Jana zdawała sobie sprawę, że nie może pojawiać się na planie tylko wtedy, gdy jest tam Sawienicz. Wszyscy od razu to zauważą i wyciągną wnioski. Będą się z niej śmiać, zaczną szeptać i opowiadać niewybredne żarty za jej plecami.

Usiłowała przepędzić czarne myśli i próbowała nawet – trzeba przyznać, że z dobrym skutkiem – poplirtować z kimś z ekipy filmowej. Rozpatrzywszy parę kandydatur, zainteresowała się jednym z kierowców. Mężczyzna idealnie nadaje się do jej planu, nie jest bezpośrednio zaangażowany w zdjęcia, więc póki wszyscy pracują na planie, może posiedzieć i pogawędzić z Janą, jedząc hamburgera i pociągając pepsi-colę z butelki. A jeśli zostanie wysłany gdzieś z jakimś poleceniem, Jana może z nim pojechać, zawsze to jakaś rozrywka. Zobaczy nowe ulice i sklepy, a jeśli sprawy dobrze się ułożą, zdąży coś przegryźć w nowej knajpce, do której wpadną razem. Jana Nilska uwielbiała restauracje, od dzieciństwa pobyt w lokalu gastronomicznym, różniącym się od baru albo biurowej stołówki był dla niej synonimem prawdziwego, wystawnego życia, które widywała tylko w kinie. Rusłan czuł, rzecz jasna, paskudne ukłucia zazdrości na widok zacieśniającej się przyjaźni żony z kierowcą ekipy filmowej, ale wiedział, że tak jest lepiej dla wszystkich: Janka się nie nudzi, a on ma spokój.

Kierowca imieniem Timur był chłopakiem sympatycznym, wesołym i uroczym, potrafił opowiadać zabawne anegdoty i mówił z lekkim, prawie niezauważalnym gruzińskim akcentem. Dwa dni temu, dowiedziawszy się, że plan zdjęciowy zostanie przeniesiony niemal

na dwa tygodnie do parku Sokolniki, z radością oznajmił Janie i Rusłanowi, że to jego rodzinna dzielnica, i obiecał, że tam na pewno nie będą się nudzić.

– Artyści niech pracują – powiedział, mrugając figlarnie. – Rusłan będzie tworzył arcydzieło, a my, Jano, zjemy taki szaszłyk, że palce lizać. Lubisz koty?

– A co, szaszłyk będzie z kota? – Jana przestraszyła się nie na żarty.

– Ale z ciebie głuptaska! – Timur parsknął śmiechem. – Zjemy szaszłyk z jesiotra, jest tutaj jedno miejsce, gdzie go wspaniale przygotowują, nazywa się Fiołek. Poza tym w soboty i niedziele w Sokolnikach odbywa się wystawa kotów. Takie kociaki tam sprzedają, że można paść z wrażenia! Gdy człowiek popatrzy na nie z pół godzinki, robi mu się ciepło na sercu, zwłaszcza jeśli ma humor do bani. Są takie małe, wzruszające i bezbronne... Aż chce się kupić wszystkie naraz.

– To dlaczego nie kupujesz? – zapytał Rusłan posepnie. – Żal ci pieniędzy?

– Gdybym je miał, w ogóle bym się nie wahał.

– Daruj sobie. – Jana nie uwierzyła. – Można by pomyśleć, że nie wyskrobiesz stu rubli.

– Stu rubli? – Timur zmrużył oczy. – A stu dolarów nie łąska? Albo nawet stu pięćdziesięciu?

– Ilu?! – jęknęła Jana. – A cóż to za koty? Brylantowe?

Sto pięćdziesiąt dolarów to przecież jakieś cztery i pół tysiąca rubli! Taka suma za jakiegoś paskudnego kociaka wydawała się Janie nie do pomyślenia.

– Jutro zaczniemy zdjęcia w Sokolnikach i wszystko ci pokażę – powiedział Timur zagadkowo, kusząc żonę scenarzysty urokami czekających ją rozrywek. – Jutro akurat sobota, więc zjemy sobie szaszłyk i obejrzymy kociaki. Grasz w ping-ponga?

– Owszem.

– Przyniosę rakiety, a ty włóż dres, są tam stoły, pogramy, jeśli będziesz miała ochotę.

Nazajutrz, w sobotę, dziewiątego czerwca, Jana obudziła się o świcie w różowym humorze. Rusłan wiedział dlaczego. Timur jej

obiecał, że nie będzie się nudzić. W dodatku dzisiaj Sawienicz nie ma zdjęć, więc zazdrosna żona może się odprężyć.

– No co ty? – zapytał ze zdziwieniem, zobaczywszy, że Jana wyjmuje adidas z dużej torby podróżnej.

– Podczas gdy wy będziecie zajęci na planie, my z Timurem pogramy sobie w ping-ponga – odparła beztrzesko.

Ach tak, ping-pong. Wczoraj kierowca wspominał coś o tym, ale Rusłan już zdążył zapomnieć.

– Znowu z Timurem? – Zachmurzył się, a Jana z trudem powstrzymała triumfujący uśmiech. Nie szkodzi, niech się podenerwuje, czemu tylko ona ma umierać z zazdrości?

– A co w tym złego? – zapytała z udawanym zdziwieniem. – Masz coś przeciwko niemu? Moim zdaniem to fajny chłopak.

– Nie rozumiem, co może was łączyć.

– A co łączy ciebie z tą Sawienicz? – odparowała. – Jesteś dziennikarzem, nawiasem mówiąc, byłym, ona zaś aktorką. Ty pochodzisz z Kemerowa, ona jest rdzenną moskwianką. Mimo to znajdujecie tematy do pogawędki, nie można was od siebie oderwać.

– Tysiące razy ci tłumaczyłem: znamy się z Irą od dziesięciu lat. To zupełnie nie to, o czym myślisz... – Rusłan znowu zaczął się nakręcać, ale dzisiaj nie robiło to na Janie żadnego wrażenia. Czeka ją cudowny dzień!

Akcja powieści, a co za tym idzie – filmu, rozgrywała się po części w prowincjonalnym miasteczku, po części w stolicy. Miasteczko filmowano pod Moskwą, lecz niektóre sceny „na łonie natury” nie wymagały wcale wyjazdu poza granice stolicy, znaleziono bowiem odpowiednie miejsca w parkach. Na przykład wszystkie „leśne” epizody planowano nakręcić w parku Akademii Rolniczej Timiriaziewa, natomiast Sokolniki miały naśladować leśne polanki, skraj lasu i brzeg jeziora, a także prowincjonalny parkiet taneczny i przydrożną kafejkę na świeżym powietrzu.

Ekipa filmowa zjawiała się w parku jak zwykle z niemal czterdziestominutowym opóźnieniem. Rusłan i Jana stawili się o umówionej godzinie, to znaczy o drugiej. Zanim przyjechał Timur, Jana zdążyła się rozejrzeć po okolicy i upewniła się, że rzeczywiście nie będzie tu nudno. Znalazła nawet restaurację Fiołek, o której

mówił kierowca, i zajrzała do środka. Nic szczególnego, zero szyku, ludzi też nie ma, w dużej sali – ani jednego klienta, wszystkie stoliki są puste, widocznie lokal nie cieszy się wzięciem. Od razu przedstawiła Timurowi swoje wątpliwości.

– Klienci nie pchają się drzwiami i oknami do wychwalanej przez ciebie restauracji – zauważyła sceptycznie.

– Nic nie rozumiesz. – Timur się uśmiechnął. – Goście pojawią się wieczorem. W Fiołku bywają takie szczy, wokół których cała Moskwa chodzi na paluszkach. Zobaczysz, jakimi wozami przyjeżdżają.

– Drogimi?

– To mało powiedziane. No co, poodbijamy piłeczkę?

Czas mijał niepostrzeżenie. Pograli w ping-ponga, posiedzieli we Fiołku, zjedli rzeczywiście znakomity szaszłyk, który im podano, a później Timur zaprowadził Janę na wystawę kotów. Napatrzywszy się do syta na puszyste kocięta z jedwabistą sierścią, a także na zupełnie łyse, i na ich rodziców, Jana odkryła, co miał na myśli jej nowy znajomy, gdy mówił, że tutaj, na wystawie, dosłownie spada mu ciężar z serca. Widocznie nie bez powodu uważa się, że koty przejmują negatywną energię. Janie zrobiło się ciepło i miło na sercu, nawet wstrętne myśli o związku męża z Iriną Sawienicz stały się mgliste i niewyraźne i już nie odzywały się bolesnymi ukłuciami w całym ciele.

– A teraz co będziemy robić? – zapytała Timura, z cichą radością myśląc o tym, że zdjęcia na planie potrważą do dwunastej, a może nawet do pierwszej w nocy, więc pozostałe godziny można spędzić na robieniu wielu interesujących i przyjemnych rzeczy... A gdy się ściemni, jej spacer z Timurem stanie się całkiem romantyczny. Ciekawe, jak chłopak się zachowa? Zresztą bez względu na to, jak się sprawy potoczą, ona, Jana, nie będzie oponować. Timur chyba powiedział, że Sokolniki to jego rodzinna dzielnica. Co to znaczy? Że tutaj dorastał? Czy że mieszka gdzieś niedaleko? Skoro tak, to niewykluczone, że znudzi mu się włóczenie po parku i zaprosi Janę do siebie na filiżankę kawy. Ona, ma się rozumieć, nie odmówi. I jeśli Timur zechce wykorzystać sytuację, tak będzie nawet lepiej.

Może przynajmniej to odwróci jej uwagę od nieustannej, dzikiej zazdrości.

≡

Wyremontowane i umeblowane na nowo mieszkanie wydawało się Nastii Kamińskiej malutkie i nieprawdziwe. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do myśli, że musi prowadzić tutaj normalne życie, to znaczy pracować, sprzątać i gotować. Szczerze mówiąc, w ciągu minionego roku musiała przywyknąć do wielu rzeczy, więc spoglądając wstecz, za każdym razem z przerażeniem czuła, że przepaść między poprzednią i obecną Nastią rośnie i się powiększa.

Wszystko zaczęło się od męża. Profesor Czistiakow niespodziewanie zaczął otrzymywać propozycje bardzo intratnych kontraktów na cykle wykładów w Europie, Stanach Zjednoczonych i Japonii. Wyjazdy następowały jeden po drugim z niewielkimi przerwami, w rodzinie pojawiły się pieniądze, które początkowo wydawały się wręcz gigantyczne. Ukończono za nie dawno rozpoczęty i przerwany w połowie remont, kupiono meble i sprzęt techniczny, sprawiono sobie komórki. Nastii kręciło się w głowie od tych zmian, a tutaj jeszcze wyłonił się nowy problem: ukochany naczelnik, pułkownik Gordiejew, przeszedł na emeryturę, skończył sześćdziesiąt lat i nie mógł już dłużej zostać. Przez jakiś czas obowiązki naczelnika wydziału pełnił jego zastępca Korotkow, nowego szefa wciąż nie przysyłano, więc Nastia niemal zdobyła pewność, że spełnią się jej nadzieje i w końcu to właśnie Jurka Korotkow zostanie mianowany na to stanowisko. Z Gordiejewem pracowała piętnaście lat i nie potrafiła wyobrazić sobie pracy w tym miejscu pod kierownictwem kogoś innego. Byłoby dobrze, gdyby to Jurkę mianowano naczelnikiem. Nie jest, oczywiście, tak mądry jak Pączek Gordiejew, ale to jednak Korotkow – swój, znany, Nastia zjadła z nim niejedną beczkę soli, razem rozwiązali dziesiątki zagmatwanych spraw, namierzyli i ujęli dziesiątki zabójców. Jurka jest jej przyjacielem – dawnym, dobrym i niezawodnym, więc ona z przyjemnością będzie pracować pod jego zwierzchnictwem.



Nie zdążyła jeszcze przywyknąć do tej myśli i pogodzić się ze stratą Pączka, gdy nadeszła informacja: lada chwila kadrze drugiego wydziału MUR-u[3] zostanie przedstawiony nowy szef, którym wcale nie będzie podpułkownik Korotkow.

– Mówi ci coś nazwisko Afanasjew? – zapytał ją Korotkow, chciwie łykając gorącą kawę, którą zgodnie ze starym zwyczajem pił rano w pokoju Kamieńskiej.

– Afanasjew? To popularne nazwisko – odparła ostrożnie, przypominając sobie znane osoby, które tak się nazywały. – Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Czterdzieści pięć lat, skończył wydział prawa MGU[4] razem z tobą – uściślił Jura.

– Afonia?! Niemożliwe!

– Możliwe – spokojnie potwierdził Korotkow.

– Ależ skąd, Jura, tamten Sławka Afanasjew, który ze mną studiował, pochodził z Kaliningradu i tam wyjechał. I w ogóle był z niego patentowany leń, jechał na samych trójczynach.

– Koleżanko, Kaliningradu nie dzieli od Moskwy mur berliński, odległość nie jest równa milionom parseków, a co się tyczy nauki, ty byłaś prymuską na studiach i co z tego masz? – zauważył złośliwie. – W ciągu dwudziestu lat każdy się zmienia, zarówno na gorsze, jak i na lepsze.

Ale Nastia wciąż jeszcze nie wierzyła. Afonia zostanie naczelnikiem zamiast Pączka? To przecież niemożliwe!

A jednak tak właśnie się stało. Szefem wydziału zabójstw mianowano pułkownika milicji Wiaczesława Michajłowicza Afanasjewa. Nowy szef albo sobie nie przypomniał, albo nie rozpoznał Nastii Kamieńskiej, w każdym razie traktował ją na równi z pozostałymi pracownikami i ani razu nie napomknął, że kiedyś się znali. Nastii to bardzo odpowiadało: im dalej od szefa, tym lepiej. Bo jeszcze, wykorzystując starą znajomość, zacznie przeciągać ją na swoją stronę i jej rękami spróbuje wprowadzić nowe porządki w wydziale albo zebrać informacje o podwładnych. Tego tylko brakowało!

Parę dni później Nastia musiała przyznać rację Korotkowowi – w ciągu dwudziestu lat ludzie naprawdę zmieniają się nie do

poznania. Dzisiaj pułkownik Afanasjew w niczym nie przypominał trójkowicza Afonii, bumelanta, awanturnika i miłośnika wypadów na piwo po wykładach. Afanasjew sprawiał wrażenie solidnego profesjonalisty. Nie był to jednak Pączek. W żadnym calu... Do tego też trzeba się było przyzwyczać.

Jednym słowem, w ostatnim czasie w życiu Nastii Kamieńskiej wiele się wydarzyło. Mąż znowu wyjechał za granicę, nie będzie go w domu przez cały miesiąc, więc żeby nie myśleć o stresującej sytuacji z nowym naczelnikiem i nowym wystrojem mieszkania, Nastia postanowiła nauczyć się gotować. Chociaż trochę, chociaż cokolwiek. Gotowanie uspokaja psychicznie i jest pożyteczne. Od tej pory, gdy tylko miała ze dwie godziny wolnego czasu, sięgała na półkę po jedną z wielu książek kucharskich Loszki i próbowała opanować kolejny przepis. Przesadą byłoby twierdzić, że szło jej jak z płatka, ale po paru eksperymentach zaczęło się przynajmniej rozjaśniać w głowie. Teraz wiedziała, jak długo należy gotować cebulę, żeby nabrała złocistego koloru, na czym polega metoda sauté i dlaczego stosuje się ją podczas przygotowywania rozmaitych sosów, czemu przesiewanie mąki przed zagnieceniem ciasta jest ważne i dlaczego trzeba uważnie patrzeć na zegarek, gdy gotuje się kalmary na sałatkę. Boże, jaki on jest mądry! – myślała za każdym razem, próbując wepchnąć w siebie niezbyt smaczny rezultat własnych doświadczeń kulinarnych i ze zdziwieniem przypominając sobie, jaki niebiański smak miało to samo danie, kiedy przygotowywał je Czistiakow. Losza przechowuje w głowie mnóstwo informacji i tak wiele potrafi! Nigdy się tego nie nauczę.

Tego niedzielnego poranka, dziesiątego czerwca, postanowiła opanować wyroby z bezdrożdżowego ciasta francuskiego. Mogłaby oczywiście zająć się ciastem drożdżowym, ale wtedy musiałaby pójść do sklepu po drożdże, a na to nie miała ochoty. Przesiała mąkę, po czym usypała z niej górkę, jak nakazywano w książce. W zagłębieniu umieściła margarynę i zaczęła melancholijnie siekać wszystko nożem, „aż powstanie jednolita, sypka masa”, popatrując zarazem na ekran telewizora, który wisiał na ścianie. To też była nowość; dawniej, przed remontem, mieli tylko jeden telewizor, który stał w pokoju, więc Nastia wciąż nie mogła się przyzwyczać do tego, że

teraz może jednocześnie jeść i oglądać film albo ciekawy program, nie biegając z talerzami i kubkami z kuchni do pokoju i z powrotem. I nawet widziała szczególny urok w tym, że mogła posłuchać wiadomości przy porannej kawie.

„Sypka masa” wciąż nie chciała się stać „jednolita”, grudki zmieszanej z margaryną mąki były nadal różnej wielkości, ale Nastii to nie zniechęcało. Czasu miała w bród, cały dzień, w telewizji szedł dobry film, śpieszyć się nie było gdzie, więc mogła miarowo uderzać nożem po drewnianej desce aż do napisów końcowych.

Z wielkością grudek poradziła sobie akurat pod koniec filmu i gdy przygotowała się do kolejnego ważnego etapu – zmieszania „jednolitej masy” z octem, zabrzączał dzwonek przy drzwiach. Na progu stał Korotkow z boleściwą miną, która miała go uchronić przed wymówkami Nastii.

– Jesteś sama?

– Nie, z trzema kochankami – odparła gniewnie. – Czyżby miejska centrala telefoniczna dzisiaj strajkowała? Co to za zwyczaj wpadania bez zapowiedzi? Może nie jestem ubrana albo jeszcze śpię. Albo, na przykład, spędzam czas z kochaniem.

– A ja nie jestem milicjantem, w odróżnieniu od niektórych. – Korotkow wymownym gestem dźgnął ją palcem. – Nie mam własnej komórki, a w służbowej padła bateria, całą noc ją eksploatowałem. Siedziałem już w samochodzie, zamierzałem pojechać do biura, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że mam do ciebie dziesięć minut drogi w linii prostej. No więc postanowiłem wpaść na kawę.

– I coś przegryźć? – uściśliła Nastia.

– No... jeśli dasz, to nie odmówię, ma się rozumieć.

– Dobra. – Westchnęła. – Wejdz. Będę musiała cię nakarmić, w końcu jesteś szefem. A przy okazji, skąd właściwie jechałeś do mnie „w linii prostej”?

– Z parku Sokolniki.

– Że też pognało cię tam z samego rana – wymamrotała Nastia, mieszając ciasto.

– Gwoli ścisłości, w nocy.

Nastia popatrzyła na Jurę podejrzliwie. Znowu do późna tkwił w pracy, nie wrócił do domu, żeby nie prowokować kolejnej awantury

z żoną. I, oczywiście, pojechał razem z grupą operacyjną na miejsce zbrodni. Jeśli tak było, to musiał mieć wszelkie podstawy, by sądzić, że denat może przypaść ich wydziałowi, dlatego wolał sam wszystkiego się dowiedzieć i wszystko obejrzeć. Na wszelki wypadek. Nieraz już tak bywało.

– Jasne – wycedziła. – I kogo tym razem ukatrupiono w Sokolnikach? Znowu bezdomnego? Czy może bandyci strzelali do siebie przed snem, żeby się im lepiej spało?

– Trafiałś jak kulą w płot – prychnął Jura. – Panuje tam taki miszmasz, że włos się jeży. Nawiasem mówiąc, oglądasz seriale telewizyjne?

– Nie. A co mają do tego seriale?

– Ciemna jesteś, Kamieńska! Słyszałaś przynajmniej o reżyserce Natalii Woronowej?

– Nie słyszałam o żadnej Woronowej! Nie zwracaj mi głowy! – Nastia się rozgniewała.

– Krótko mówiąc, ta Woronowa jest znaną reżyserką, zrobiła już dwa seriale, w planach ma trzeci. Będzie kręcić w Sokolnikach. Wczoraj późnym wieczorem został zabity kierowca jej ekipy filmowej, Tiejmuraz Indżija, według wstępnych ustaleń członek ugrupowania przestępczego z Sokolników.

– Aha – rzuciła Nastia. Zabójstwo członka ugrupowania przestępczego niewiele ją obchodziło, powinien się tym zająć regionalny wydział do walki z przestępczością zorganizowaną. Umieściła ciasto w lodówce i krytycznie zlustrowała znajdujące się w niej zapasy żywności. – Z czym chcesz pierogi: z mięsem czy z kapustą?

– Z jednym i z drugim – odparł Korotkow szybko, błyskając łakomym wzrokiem. – Długo trzeba czekać?

– Trochę, co najmniej półtorej godziny. Wolno mi idzie, przecież dopiero się uczę. Dwóm nadzieniom na pewno nie sprostam, więc wybierz jedno.

– Wobec tego z mięsem. I daj kanapeczkę, co? Bo nie wytrzymam półtorej godziny. Ostatni raz jadłem wczoraj o siódmej wieczorem.

Nastia szybko zrobiła mu kanapkę z serem, świeżym ogórkiem i listkami zielonej sałaty, po czym przystąpiła do przygotowania

mięsnego nadzienia do pierogów.

– A po jakie licho, za przeproszeniem, potrzebny ci był ten kierowca? – zapytała, gdy Korotkow zjadł kanapkę i odzyskał zdolność mówienia. – To przecież nie nasza działka.

– Nareszcie! Bo już się przestraszyłem, że twoje szare komórki są pochłonięte wyłącznie sztuką kulinarną i zupełnie straciłaś intuicję. Czekam, czekam, a ty wciąż nie pytasz, jakby to było normalne, że jadę do trupa kolejnego oprycha. No więc, koleżanko, kierowca ekipy filmowej nie żyje, a żona scenarzysty, obecna na planie, zniknęła.

– Gdzie? – zapytała Nastia odruchowo, przyglądając się uważnie ostrzu noża, którym kroїła cebulę.

– Któż to może wiedzieć? Na tym polega zagadka. Reżyser jest na miejscu, scenarzysta na miejscu, nigdzie się nie ulotnili, a żona scenarzysty przepadła jak kamień w wodę. Zauważ przy tym, że w żaden sposób nie może być związana z bandytami z Sokolników, bo nie jest moskwianką. Przyjechała razem z mężem z Kemerowa. Poszła z kierowcą do pobliskiej kafejki coś przegryźć. A później kierowcę, tego Indżiję, znaleziono martwego, a jej w ogóle nie znaleziono. Tak więc szykuj się na wszelki wypadek. Niewykluczone, że jutro otrzymasz tę historię w ramach zadania służbowego.

– Dziękuję – odparła Nastia posępnie. – Zawsze zjawiasz się u mnie z przyjemnymi informacjami i miłymi prezentami. Czemu nie poszedłeś wczoraj do domu, hę?

Przez chwilę Korotkow milczał, później podniósł na Nastię oczy, które nagle przygasły.

– Poszedłem. A potem wróciłem.

– Po co?

– Musiałem przecież gdzieś wyjść. Powiedziałem Lalce, że od niej odchodzę. Inteligentnie mówiąc, poprosiłem ją o rozwód. Chyba znasz Lalkę... Po takim oświadczeniu nie mogłem już zostać w domu. A do kogo miałem pójść o dziewiątej wieczorem? No to wróciłem do biura. I pogałem do Sokolników, żeby się czymś zająć, żeby coś robić. Rozumiesz? W końcu przyszedłem do ciebie... Nie wyganiaj mnie póki co, dobrze? Coś wymyślę, znajdę metę, mam już pewien pomysł. Wszystko stało się tak nagle, że nie zdążyłem



przygotować drogi odwrotu. Do nikogo prócz ciebie nie mogę się zwrócić. Wszyscy mają rodziny i dzieci.

Opuścił głowę i westchnął gorzko. Nastia w milczeniu pogłaskała go po głowie i wróciła do kulinarnych ćwiczeń. A więc nie tylko w jej życiu następują zmiany. W życiu Jurki też... Może zaczął się taki okres?

[1] Słynny rosyjski tancerz baletowy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] WGIK (Wsierossijskij gosudarstwienyj institut kiniematografii) – Wszechzwiązkowy Państwowy Instytut Kinematografii.

[3] MUR (Moskowskij ugołownyj rozysk) – Moskiewski Wydział Kryminalny.

[4] MGU (Moskowskij gosudarstwienyj uniwersitiet) – Państwowy Uniwersytet Moskiewski.

## Rozdział 2

A jednak mężczyzna się pojawił. Nie na pogrzebie Ani Simonowej, ale znacznie później, po upływie półtora miesiąca. Zaczekał, aż odbędzie się stypa czterdziestego dnia po śmierci, i pojawił się w Kamyszowie. Nie przyszedł do pogrążonej w smutku matki, która pochowała dwójkę dzieci, zrobił jednak wiele, żeby ulżyć jej doli. Wynajął na przykład brygadę robotników, dobrze im zapłacił, podając się za przyjaciela syna Kławdii – Jurki Simonowa, i polecił, by w jak najkrótszym czasie doprowadzili do porządku dom i przyzagrodowe gospodarstwo. Znalazł w mieście kobietę – lekarkę, która niedawno przeszła na emeryturę – i umówił się z nią, że będzie codziennie zaglądała do Kławdii, która przechodziła stan załamania. Tutaj też nie pożądał pieniędzy, ale tym razem podał się za przyjaciela Aniotki, a nie Jurki. Z grubym portfelem przymocowanym do paska udał się do szpitala miejskiego i skłonił naczelnego lekarza do złożenia obietnicy, że w razie potrzeby hospitalizacji Kławdii Simonowej wszystko będzie z górnej półki. Wstąpił również do innych służb miejskich, sypnął dolarami, żeby wdowie i osieroczonej matce niczego nie brakowało i żeby nie miała żadnych problemów. Poszedł nawet na cmentarz, opłacił opiekę nad grobem, w którym pochowano troje Simonowów. Zajrzał do pracowni kamieniarskiej, dał pieniądze na nowy nagrobek. I wszędzie, gdzie był, mówił mniej więcej to samo: że on nie jest wprawdzie tutejszy, ale jeśli to, za co zapłacił, nie zostanie wykonane, natychmiast się o tym dowie i zareaguje niezwłocznie, odpowiadając pięknym za nadobne. Mówił grzecznie i niegłośnie, lecz niesłychanie przekonująco.

Szefowie recydywisty Szani dowiedzieli się o zagadkowym nieznanym zbyt późno, że trzy dni po tym, jak ostatecznie opuścił Kamyszowo. Od razu wysłali do miasta swoich ludzi, między innymi

Irka. Zdobyte informacje były sprzeczne. Wszystko się niby zgadzało – i dzień przyjazdu nieznajomego, i dzień odjazdu, i dokąd chodził, i z kim się spotykał, i komu ile i za co zapłacił. Nie zgadzało się jedno: wygląd. Jakby mężczyzna był pozbawiony twarzy. Niektórzy twierdzili, że miał szczupłą twarz z garbatym nosem i przypominał przybysza z Kaukazu, nie był jednak smagły; inni – że głowę miał typowo słowiańską, do tego mały, zadarty nos; kolejna grupa upierała się, że tajemniczy hrabia Monte Christo był piękny jak malowanie i miał regularne, to znaczy klasyczne rysy twarzy. Nie wszystko też pasowało z włosami, mimo że ci, których pytano, określili ich kolor jako jasnoblond. Niektórzy mówili jednak, że mężczyzna ma przedziałek z boku, inni zaś – że zaczesuje włosy do tyłu.

Składanie raportu powierzono Irkowi – w końcu jest synem człowieka, który cieszy się zaufaniem szefa, więc jeśli coś pójdzie nie tak, oberwie mniej niż ktokolwiek inny. Irek lubił i nie lubił gościć w domu szefa. Lubiał, ponieważ wszędzie czuł zapach pieniędzy, który budził w nim słodki niepokój i wskazywał główny cel życia: zarobić tyle samo, żeby żyć nie gorzej. A może nawet lepiej. Było to zupełnie co innego, niż widzieć luksusowe wille w kinie albo w telewizji. Wille na ekranie należały do nieprawdziwych bohaterów, których w rzeczywistości może nigdy nie było, a ta stanowiąca własność szefa – oto ona, można jej dotknąć, przejść się po pokojach, usiąść w fotelu przed kominkiem. Skoro są w Rosji ludzie, którzy mają do tego dostęp, dlaczego on, Irek, nie może dołączyć do ich grona? A nie lubił tutaj bywać właśnie dlatego, że zaczynał dotkliwie odczuwać swoją nicość oraz to, że pozostawał daleko w tyle za tym całym luksusem. Szef przekazywał polecenia przeważnie przez Szanię, ale raportu zawsze chciał wysłuchać osobiście. I za każdym razem, przyjeżdżając z raportem i wspinając się po stopniach wysokich schodów, które biegły dwoma półkolami w dół, Irek doznawał uczucia pożądania i uległości. Rozpaczliwie pragnął takiego bogactwa, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeśli ono się nawet pojawi, to nieprędko, niewykluczone też, że w ogóle się go nie doczeka. No bo kim on jest? Płotką, pionkiem, chłopcem na posyłki.

A przede wszystkim nieudacznikiem, pechowcem i dlatego nie ma żadnych perspektyw.

Dobrze wiedział, że nad szefem stoją jeszcze ważniejsi, a co za tym idzie – bogatsi hersztowie. Tamtego najważniejszego nigdy nie widział i nazywał w myślach bossem, a tego – szefem, mimo że gość miał nie tylko imię, ale też nazwisko i ksywę, albo jak mówiono w ich środowisku, ksibę – Pełnomocnik. W odróżnieniu od Szańkina seniora ksywa szefa nie została utworzona od nazwiska, wiązała się z dawną historią, kiedy to podczas porachunków z nielojalnymi członkami grupy szef zaskoczył swoich współników niespodziewanym okrucieństwem i wręcz jezuicką perfidią.

– Nie jesteś człowiekiem, ale diabłem – powiedział mu wtedy jeden z kamratów.

– Nie mierzę aż tak wysoko – odparł ze skromnym uśmiechem. – Jestem pełnomocnikiem diabła.

Od tej pory się przyjęło – Pełnomocnik.

– Zmienia charakteryzację, sukinsyn – wycedził przez zęby Pełnomocnik, wysłuchawszy raportu Irka. – Nikt nie ukryje wzrostu ani figury, dlatego wszyscy opisują je tak samo. A głowę i uczesanie facet zmienia jak artysta. Prześledźmy jeszcze raz daty.

Irek znowu otworzył notes. Pierwsze pojawienie się odnotowano w poniedziałek dwudziestego ósmego maja. Dalej – według dni i godzin: gdzie, do kogo, z jaką prośbą. Ostatnia wizyta – trzydziestego pierwszego maja, w czwartek, o dziesiątej rano. Po dziesiątej trzydzięci nikt więcej nie widział go w Kamyszowie.

– A gdzie mieszkał? Na kwaterze prywatnej? Rozmawialiście z właścicielami? – niecierpliwie zapytał Pełnomocnik.

– Facet nie zatrzymał się w Kamyszowie. Codziennie przyjeżdżał samochodem, a później odjeżdżał. Przeczesał najbliższe miejscowości i nic – widocznie wynajął coś dalej – wyjaśnił Irek.

– Samochód? – Pełnomocnik zadał następne krótkie pytanie.

– Ciemnoniebieska niva.

– Numer rejestracyjny?

– Nikt nie zapisał. Nie było potrzeby, nie zwrócono uwagi.

– Kontakty pozabiznesowe?

– Brak danych. – Irek starał się odpowiadać zwięźle i rzeczowo; wiedział, że szef nie lubi długich wywodów i bezmyślnych słów, pozbawionych treści.

– Muszą być. – Spojrzenie Pełnomocnika stało się ciężkie i dosłownie wbiło Irka w fotel. – To jasne, że muszą być. Skąd facet dowiedział się o dziewczynie? Tylko od kogoś z tutejszych. Ktoś go informuje, ktoś z Kamyszowa się z nim komunikuje. I ten, którego szukamy, musiał się z nim skontaktować po przyjeździe. Przegapiłeś coś, chłopcze, nie zebrałeś wszystkich informacji.

– Dowiedziałem się wszystkiego, co możliwe – zaproponował Irek z uporem. – Sam pan przecież widzi, że gość jest bardzo ostrożny. Zmienia nawet wygląd. Nie jest tak głupi, żeby odwiedzać swojego przyjaciela; za godzinę całe miasto będzie o tym wiedziało. Jeśli taki przyjaciel istnieje, to najprawdopodobniej sam pojechał na spotkanie, gdzieś poza granice Kamyszowa.

Irek czuł strach, sprzeciwianie się szefowi stanowiło wielkie ryzyko, ale chłopak ze wszystkich sił zmagił się z piętnem nieudacznika. Starał się odwrócić typowy bieg wydarzeń, w wyniku którego nie zostanie pochwalony, a szef pokręci tylko głową z wyrzutem, jakby mówił, że synek Szani to talizman pecha, dokądkolwiek go posłać – sprawa zawsze kończy się fiaskiem. Nie dlatego, że jest głupi albo nieudolny, po prostu los go tak naznaczył.

– Dobrze mówisz. – Pełnomocnik kiwnął głową. – Odwykłem od małych miasteczek, nie wziąłem tego pod uwagę. A z ciebie prawdziwy chojrak, pokazujesz pazury, nie pękasz. Zrobimy więc tak. Pojedziesz na lotnisko, odszukasz tam Blinowa i powiesz, że cię przysłałem z poleceniem.

Pomoże ci. Sprawdzisz listy pasażerów wszystkich samolotów, które wyleciały z Moskwy trzydziestego maja po dwunastej.

– Kogo mam szukać?

– Nikogo. Gdybym wiedział, kogo szukać, nie siedziałbyś teraz przede mną. Zanotujesz wszystkich mężczyzn z numerami dowodów osobistych. Przyniesiesz tutaj. To wszystko, chłopcze, jesteś wolny.

Nastia Kamińska nie popisała się z ciastem – zabrakło jej doświadczenia. Po pierwsze, ciasto okazało się zbyt sypkie, więc ulepione przez nią pierogi z mięsem dosłownie rozpadały się w rękach. Po drugie, było go za dużo nawet dla wygłodzonego Korotkowa, który w niedzielę zjadł, ile mógł, i jeszcze zabrał ze sobą całą torbę, a mimo to pierogów zostało więcej, niż potrzeba na skromną kolację dla samotnej kobiety. Najbardziej przykre było to, że wyszły smaczne, dlatego szkoda było wyrzucać.

W poniedziałek rano Nastia, dławiąc się, wdusiła w siebie jeszcze trzy pierogi, którymi objadła się do oporu w przeddzień, i wzdrygnęła się z przerażeniem, gdy pomyślała, że będzie musiała dokończyć je wieczorem. Nawet najsmaczniejszej potrawy nie można jeść w takich ilościach bez obawy, że się dostanie uczulenia na długie lata! Nie, wieczorem chyba już tego nie zniesie. Stanowczym ruchem zapakowała pozostałe pierogi do woreczka i wsunęła go do dużej torby, żeby poczęstować chłopców w pracy. Ona już dosyć się namęczyła, teraz ich kolej.

Na porannej odprawie nowy szef oznajmił:

– Zabójstwo w Sokolnikach wywołało duży oddźwięk społeczny. Wszystkie dzisiejsze gazety rozpisują się o dalszej wojnie między stacjami telewizyjnymi. Przeważa opinia, że zabójstwo kierowcy ekipy filmowej popełniono po to, by przerwać zdjęcia i uniemożliwić kręcenie serialu, który, zgodnie z przewidywaniami, osiągnie wielki sukces, a co za tym idzie znacznie podniesie oglądalność stacji, która go będzie emitować. Przyznaję, że nie do końca rozumiem ten pogląd; uważam, że gdyby ktoś chciał przerwać zdjęcia, zabiłby głównego aktora albo reżysera, a nie kierowcę.

– Może popełniono błąd – zauważył jeden z wywiadowców. – Ktoś chciał zabić aktora, ale pomylił go z kierowcą.

– Rozsądna myśl. – Afanasjew skinął głową. – Właśnie dlatego musimy się włączyć do pracy. Kamińska, weźmiesz to na siebie. Skontaktuj się z RUBOP-em[5], niech sprawdzą, czy denat nie należał do jakiegoś ugrupowania. Jeśli to zwyczajne porachunki, to sami się tym zajmą. Hipoteza z telewizją spoczywa na nas.

Nastia skrzywiła się w duchu, wciąż jeszcze raził ją zwyczaj nowego szefa „tykania” wszystkich. Gordiejew, który mówił do swoich

podwładnych na „ty”, to zupełnie co innego. Chociaż niby czemu? Nastia nie potrafiła znaleźć logicznego wytłumaczenia. Dlaczego Gordiejew może to robić, a Afonia – nie?

– Zwyczajnie go nie lubisz. – Korotkow roześmiał się w odpowiedzi na jej zdziwienie, wyartykułowane po raz kolejny. – I wszystko, co robi albo mówi, wydaje ci się niewłaściwe. Słuchaj, zostało ci trochę pierogów?

Nastia w milczeniu wyjęła z torby woreczek z pierogami i położyła go na biurku.

– Jedz, moje słoneczko, bo ja nie mogę już na nie patrzeć. A jednak coś mnie korci, żeby krytykować Afonię.

– No to wal – zachęcił ją Jura, wsuwając do ust rozpadający się pierożek. – Posłucham.

– Dlaczego na przykład kazał, żebym zwróciła się z zapytaniem do RUBOP-u? Czyżby uważał, że po ziemi chodzą skończeni idioci? Przecież już wczoraj mi powiedziałeś, że są informacje o związku denata z ugrupowaniem z Sokolników. To znaczy, że chłopcy z terenu od razu zainteresowali się tą sprawą. Tymczasem Afonia uważa, że tylko tutaj, na Pietrowce, siedzą ludzie, którzy potrafią wyjaśniać przestępstwa. Nie znoszę takiego niezdrowego snobizmu!

– Masz rację, koleżanko, a zarazem jej nie masz. To, co ci powiedziałem wczoraj, stanowiło nieoficjalną i niepotwierdzoną informację, która nie dotarła do mnie z RUBOP-u. Weź też pod uwagę, że wywiadowcy, którzy wyjechali do trupa, omawiali tę kwestię i naprawdę zamierzali zwrócić się z zapytaniem. Może nawet otrzymali już odpowiedź. Nie psuj więc sobie krwi zawczasu, zaraz zadzwonimy do chłopaków w Sokolnikach i wszystkiego się dowiemy. Jeśli się okaże, że chodziło o banalne porachunki, będziesz mogła odetchnąć swobodnie.

– A co z żoną scenarzysty? Mówiłeś, że zginęła.

– No i co z tego? – Korotkow wzruszył ramionami i sięgnął po kolejnego pieroga. – Zginęła, to zginęła. Może była świadkiem, zobaczyła, kto i dlaczego zabił kierowcę, więc zabrano ją z miejsca zabójstwa, żeby później zdecydować, co z nią zrobić. To i tak nie ma wpływu na hipotezę dotyczącą porachunków. Słyszałaś, co powiedział Afonia? Włączasz się pod warunkiem, że to nie były



porachunki. Jeśli natomiast się okaże, że przestępcy z Sokolników wyjaśniali nieporozumienia między sobą albo z kimś innym, sprawa spada na chłopców z terenu.

Nastia potraktowała słowa Korotkowa jak pocieszenie, ale słabe. W zabójstwie kierowcy nie widziała niczego ciekawego. Gdyby chodziło o szaleńca, którego istnienie w każdej godzinie i w każdej minucie zagrażałoby życiu nowej ofiary – wtedy co innego. Wtedy trzeba koniecznie wyężyć wszystkie siły, fizyczne i umysłowe, żeby uratować tych, których da się jeszcze uratować. Tymczasem tutaj... Co się ze mną dzieje? – zbesztła się w duchu. Nigdy przedtem nie myślałam w ten sposób. Przedtem każde zabójstwo było przestępstwem, które zwyczajnie musiałam wyjaśnić. Za wszelką cenę. Bez względu na nakład pracy. Czyżby ogarnęła mnie taka znieczulica, że zaczęłam traktować zwłoki jak suche fakty, które nie mają ze mną osobiście nic wspólnego? Czy chodzi o Afonię? Nie podoba mi się nowy szef, dlatego praca mi zubożyła. Typowo babskie podejście. Chyba wcześniej było mi obce. Czy to znaczy, że się starzeję? Zabito człowieka, a ja myślę tylko o tym, jak by się tu wykryć od pracy związanej z szukaniem mordercy.

– Jura, może powinnam się stąd zabierać? – zapytała nagle.

– Dokąd? – Korotkow odruchowo zerknął na zegarek i Nastia domyśliła się, że odebrał jej pytanie dosłownie: wyznaczono spotkanie służbowe, na które ona nie chce się spóźnić.

– W ogóle. Z wydziału – dodała niepewnie. – Bez Pączka nie mam tutaj czego szukać. Teraz moja praca analityczna nikomu nie jest potrzebna, a z całą resztą radzę sobie kiepsko.

– Nie wygłupiaj się! – powiedział Jura surowo. – Potrafisz wszystko i robisz to doskonale. W ciągu ostatnich pięciu lat sprzecząmy się o to z godną pozazdroszczenia regularnością. Wolałbym, żebyś równie często robiła mi pierogi, zamiast pleść te bzdury. Byłoby więcej pożytku.

– Jura, ja...

– Nie chcę tego słuchać – przerwał jej ostro. Później podniósł na Nastię zasmucone oczy. – Asiu, proszę cię. Proszę. Kolka Siełujanow odszedł. Igor Lesnikow odszedł. Docenko się ożenił i też napomyka o przeniesieniu się tam, gdzie więcej płacą; musi teraz utrzymać

rodzinę; jeśli dobrze zrozumiałem, dziecko już w drodze. W wydziale są sami nowicjusze, ty i ja jesteśmy jedynymi, którzy pracują tutaj ponad dziesięć lat. Zresztą nowicjusze też nie rokoją nadziei, wciąż rozglądają się na boki. Przez kilka ostatnich lat żaden wywiadowca nie wytrzymał u nas dłużej niż półtora roku, ledwie zaczyna się orientować w pracy – od razu ucieka. Przychodzi nowy, którego zaczynamy szkolić, a on też odchodzi. I tak bez końca. Proszę, Asiu. Chcesz, to uklęknię przed tobą?

Nastia go rozumiała. Co to za przyjemność – być zastępcą naczelnika wydziału, gdy wśród twoich podwładnych nie ma ani jednego pracownika, na którym można całkowicie polegać? Jedni są młodymi partaczami, którzy niewiele wiedzą i niczego nie próbują się dowiedzieć, bo nie widzą przyszłości w tej pracy. Igor Lesnikow awansował do departamentu operacyjno-śledczego w ministerstwie. Kolę Siełujanowa skuszono stanowiskiem zastępcy wydziału kryminalnego w komendzie okręgowej. Wszystkich można zrozumieć, muszą się rozwijać, zostać podpułkownikami, a później pułkownikami. Tylko Nastii się poszczęściło, że zajmuje stanowisko majora w stopniu podpułkownika, i to jedynie dlatego, że cały rok spędziła w centrali u Zatocznego, gdzie otrzymała kolejny stopień, a potem wróciła na Pietrowkę z dwiema dużymi gwiazdkami na naramiennikach i zajęła poprzednie miejsce. I przesiedzi na nim aż do emerytury, nigdy nie zostanie pułkownikiem, ponieważ dopuszczalny pułap dla starszego oficera operacyjnego to major – i ani milimetr wyżej. Nastia nie jest zbyt ambitna i nie zamierza stawać na uszach, żeby zdobyć stopień pułkownika. Jednakże Igor i Kola to normalni faceci, nie chcą ugrzęznąć w tym bagnie. Miszeńka Docenko ma też swoje kompleksy, ożenił się z Iroczką Miłowanową. Niby nic w tym szczególnego, ale Iroczka ma dość zamożną krewną – to śledcza Tatiana Obrazcowa, w dodatku żona dobrze zarabiającego prywatnego detektywa Władika Stasowa i znana pisarka Tatiana Tomilina, która otrzymuje pokaźne honoraria za swoje książki. Iroczka przywykła nie liczyć się z pieniędzmi, a Tatiana przywykła ją utrzymywać. Misza znalazł się w bardzo niekomfortowej sytuacji, bo Tatiana i Stasow stale pomagają im finansowo. Chłopak powinien sam utrzymywać swoją

rodzinę. A z pensji milicjanta trudno utrzymać niepracującą żonę z dzieckiem, leciwą mamę z groszową emeryturą i siebie – młodego, silnego faceta, któremu co najmniej trzy razy dziennie doskwiera dotkliwy głód. Okazało się więc, że stworzony i wyszkolony przez Pączka Gordiejewa zespół zaczął się powoli rozpadać, rozsypywać na kawałki. Jak wczorajsze pierogi Nastii... Zostali tylko oni z Jurą.

– Jura, a może odejdziemy razem, co? – zaproponowała. – Wszystko rozumiem, nie zostawię cię tutaj samego, obiecuję. Tylko po co chcesz pracować z Afonią? Mnie blokujesz i sam się męczysz. Chcesz, to porozmawiam z Zatocznym? Na pewno znajdzie się miejsce dla nas obojga.

– Bujasz w obłokach, Aśka. – Korotkow uśmiechnął się smutno. – Jaki Zatoczny? Czyżbyś zapomniała, że mamy nowego ministra? Na razie trwają rozszady w składzie zastępców, ale gdy tylko skończy się mianowanie nowych, owi zastępcy zaczną wymieniać naczelników departamentów. I gdzie wtedy znajdzie się twój Zatoczny?

– W sumie racja. – Nastia westchnęła. – O tym jakoś nie pomyślałam. Ale ogólnie rzecz biorąc, gotów jesteś odejść?

– Szczerze?

– Szczerze.

– Jeśli szczerze, to nie. Asiu, nie jestem chłopcem, niebawem stuknie mi pięćdziesiątka...

– Jeszcze nie tak szybko – przerwała mu Nastia z uśmiechem.

– Szybciej, niż bym chciał. Mam trzydzieści lat wysługi. Rozumiesz, co to znaczy trzydzieści lat służby? Odkąd po ukończeniu dziesiątej klasy wstąpiłem do szkoły milicyjnej w Omsku, jestem gliniarzem. Wiele rzeczy widziałem, wielu się nauczyłem. Jak idiota kochałem i nadal Kocham swoją pracę. Urodziłem się dla niej, wszedłem w nią jak w dobrze skrojony garnitur: czuję się wygodnie i komfortowo, nie ciśnie mnie ani nie ciągnie. Otrzymałem dwie rany, osiemnaście nagan i cholerną kupę podziękowań oraz innych nagród. I co, zbliżając się do pięćdziesiątki, mam się przyznać, że przeżyłem życie niewłaściwie? Że kochałem to, czego nie powinienem był kochać? Że przez wiele lat uczyłem się w pocie czoła, zdobywałem miano profesjonalisty, a teraz potrafię to, czego nikt nie potrzebuje i nie żąda? Zrozum, Aśka, wydział kryminalny to moje życie. Drugiego nie

będę miał. W każdym razie nie chcę go mieć. Nie potrzebuję innego życia ani innej pracy. Dlatego proszę cię: nie odchodź, pomóż mi. Jeśli możesz, oczywiście.

– A obronisz mnie przed Afonią?

– Zrobię, co w mojej mocy. – Jura przyłożył rękę do serca. – Wciąż będę stawał między tobą a nim, żeby cię nie dosięgnął.

– Zgoda. Wobec tego idź zadzwonić do chłopców z RUBOP-u, żeby sprawdzili denata. A przy okazji, znalazłeś jakąś metę?

– Jeszcze nie... Chociaż właściwie się dogadałem, mój przyjaciel pracuje w Akademii MWD[6], jako zamiejskowy dostał mieszkanie w hotelu, ale niedawno się ożenił i przeniósł do żony. Mieszkanie nie jest mu więc potrzebne, tyle że obecnie zajmują je jego krewni, którzy przyjechali do Moskwy, żeby się ukulturalnić, a zarazem zrobić zakupy. Za tydzień wyjadą i wtedy się wprowadzę. Muszę gdzieś przewaletować ten tydzień... Ale to głupstwo, przenocuję w pracy, nic mi nie będzie. Nie pierwszy raz.

Nastia patrzyła na niego ze współczuciem. No co to za życie? Człowiek przez trzydzieści lat poświęcał się wyjaśnianiu przestępstw, był dwukrotnie ranny, dostał kupę nagród, a gdy postanowił odejść od żony – nie ma gdzie się podziać. Będzie się więc tułał po chwilowo wolnych chatach znajomych, bo wynajem mieszkania jest drogi, pójdzie na to cała pensja, nie zostanie nawet na papierosy, nie mówiąc już o jedzeniu, ubraniu, alimentach na syna i benzynie do samochodu, który jest zresztą tak stary, że wciąż wymaga naprawy, ona zaś, skądinąd, też nie jest darmowa. No co to za życie, które samo popycha detektywa w szeroko otwarte ramiona struktur kryminalnych i które w każdej minucie nie szepcze, lecz krzyczy: machnij na wszystko ręką, weź pieniądze, zrób, jak ci radzą, i żyj bez problemów!

– Jak chcesz, to pomieszkaj u mnie – zaproponowała szczerze. – Teraz gość nocuje u nas na miękkiej kanapie, a nie na łóżku polowym.

– Chcę – równie szczerze odparł Korotkow. – A nie będę ci przeszkadzał?

– Daruj sobie. – Nastia wesoło machnęła ręką. – Przecież nocowałeś u mnie wiele razy. Będiesz za to woził mnie samochodem do pracy,

jak white lady.

Pół godziny później okazało się, że Tiejmuraz Indżija nie figuruje w ewidencji regionalnego wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, a więc otrzymana przez Korotkowa informacja o przynależności kierowcy ekipy filmowej do ugrupowania przestępczego z Sokolników była niewiarygodna.

– Wybacz, koleżanko. – Korotkow rozłożył ręce ze skruchą. – Chciałbym, ale... Sama rozumiesz. Chłopcy w Sokolnikach już wiedzą, że się włączamy. Gotowi są powiedzieć ci wszystko, co wiedzą.

– No tak. – Nastia sceptycznie zlustrowała zastępcę naczelnika wydziału. – Nie przypominasz posłańca dobrej nowiny. Powiedz chociaż na koniec coś miłego, żeby tabletki były mniej gorzkie.

– Sprawę prowadzi śledczy Gmyria – oznajmił Jura uroczyście. – Twój ukochany Boris Witaljewicz.

– Dzięki Bogu, przynajmniej tutaj dopisało mi szczęście. – Nastia odetchnęła z ulgą i pojechała do Sokolników.



Natalia Woronowa nie bała się milicji. Nie dlatego, że była twardą sztuką, pewną swoich wpływów, która niczego się nie boi, bo wywinie się z każdej opresji. Po prostu życie układało się tak, że w swoim czasie musiała często odwiedzać tę instytucję. Pierwszy mąż Natalii był marynarzem floty podwodnej, służył w Zachodniej Licy, więc odwiedzanie go wymagało specjalnej przepustki do strefy przygranicznej, którą załatwiało się właśnie w milicji. Natalia zaś jeździła do męża co roku przez wiele lat. Później wychowawca, Irinka, sąsiadka z mieszkania komunalnego, zaczęła dostarczać powodów do spotkań ze stróżami prawa. Potem były serial dokumentalny o problemach młodzieży i pełnometrażowe filmy dokumentalne *Prawa stada* oraz *Czym jest dobro i czym jest zło*, podczas przygotowania których Woronowa musiała nawiązać ścisłą współpracę z przedstawicielami rozmaitych służb i spędzić sporo czasu w zakładzie poprawczym dla nieletnich. Dlatego w wieku czterdziestu sześciu lat nie odczuwała najmniejszego strachu przed

organami ścigania oraz ich przedstawicielami. A jednak czuła się nieswojo. Rozmowa ze śledczym i składanie zeznań w charakterze świadka były dla niej czymś nowym.

– Natalio Aleksandrowna, czy może pani skomentować dzisiejsze publikacje w niektórych gazetach? – zapytał śledczy Boris Witaljewicz, kładąc przed nią dwie gazety, które czytała już rano. Jedna opublikowała materiał pod tytułem „Trwa wojna stacji telewizyjnych”, w drugiej nagłówek był jeszcze wymowniejszy: „Zginął kierowca. Kto następny?”.

Mimo uczucia wewnętrznego dyskomfortu i żywych jeszcze wspomnień tego, co się wydarzyło późnym wieczorem w sobotę, Natalia nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Niech pan da spokój, Borisie Witaljewiczu. Kto by traktował poważnie takie rzeczy? Przecież to kompletne bzdury!

– Proszę o konkrety. Czy ma pani jakiegokolwiek podstawy, by sądzić, że komuś zależy na przerwaniu zdjęć? Czy jest chociaż jeden człowiek w naszym kraju, który chciałby, żeby pani nigdy nie nakręciła swojego nowego serialu?

– Skoro stawia pan sprawę w ten sposób, to muszę odpowiedzieć twierdząco. Na pewno jest ktoś taki.

– Może pani podać nazwisko?

– Borisie Witaljewiczu, jestem osobą rozsądną i zdaję sobie sprawę z tego, że żyję wśród ludzi. Rozumie pan? Wśród najprzeróżniejszych ludzi z różnymi myślami i uczuciami, a nie wśród aniołów, które kochają wszystkich i nie znają złości ani nienawiści. Głupio byłoby sądzić, że wszyscy odnoszą się do mnie z sympatią. Są ludzie, którzy darzą mnie niechęcią i ogromnie ucieszyliby się z każdego mojego niepowodzenia. Są pewnie nawet tacy, którzy mnie nienawidzą, ponieważ uważają, że stanęłam im na drodze albo w czymś przeszkodziłam. Są też tacy, którzy mi zazdroszczą, bo sądzą, że wszystko w życiu spadło mi z nieba. Ale nie jestem wyjątkiem, to samo można powiedzieć o każdym z nas. Między innymi o panu.

– Jeśli chodzi o mnie, to nie mam złudzeń. – Śledczy uśmiechnął się szeroko. – Trudno przypuszczać, żeby ci, których wysłałem do sądu, pałali do mnie namiętną miłością. Ale pani nie jest śledczą.

Dlatego przyjrzyjmy się najpierw tym, którzy pani nienawidzą. Komu i dlaczego stanęła pani na drodze, Natalio Aleksandrowna?

Woronowa nie spodziewała się, że śledczy potraktuje jej wypowiedź tak dosłownie, więc się zmieszała.

– Wydaje mi się, że aby zabić człowieka tylko po to, by przerwać zdjęcia, nienawiść musi być bardzo... – nie znalazła odpowiedniego słowa, dlatego użyła pierwszego, które jej przyszło do głowy – bardzo poważna. A mózg jak orzeszek. Zabójstwo kierowcy nie może zakłócić zdjęć do serialu. Wywoła zamieszanie, napięcie nerwowe, poruszeni członkowie ekipy będą tracili czas na rozmowy z funkcjonariuszami wydziału kryminalnego i ze śledczym, praca ucierpi i się opóźni, ale tylko na jakiś czas. Minie najwyżej miesiąc i wszystko potoczy się swoim trybem. Zdjęcia zostaną wznowione. A na miejsce zabitego Timura zatrudnimy nowego kierowcę i tyle. Wiem, że brzmi to dość cynicznie, chcę jednak panu uświadomić, że pańska dziwna hipoteza nie ma racji bytu.

– Nie jest dziwna, szanowna Natalio Aleksandrowna. Niech pani wyobrazi sobie przez chwilę, że zginął główny aktor, a nie kierowca. Co wtedy?

– Co wtedy? Wtedy, oczywiście, byłoby gorzej. Ale jeśli pominąć czysto ludzki aspekt problemu, związany z utratą czyjegoś życia, to w tym wypadku też nie ma mowy o katastrofie. Zdjęcia trwają dopiero trzy tygodnie, więc jeśli z jakiegoś powodu ubędzie aktor z obsady, w ciągu trzech, czterech miesięcy można nakręcić na nowo wszystkie sceny z jego udziałem, powierzywszy innemu aktorowi tę rolę. Wiąza się z tym, naturalnie, czas, pieniądze i niepotrzebne nerwy; poza tym scenariusz pisany jest na bieżąco pod konkretnego odtwórcę, więc scenariusz też trzeba będzie trochę zmienić. Ale i to nie spowoduje katastrofy. Jeśli już przerwać zdjęcia drogą uśmiercenia głównego aktora, należy to zrobić pod koniec, kiedy prawie wszystko zostanie już sfilmowane. PRAWIE, a zatem pozostanie jeszcze sporo scen z jego udziałem i bez niego się nie obejdzie. Wtedy rzeczywiście pojawi się kwestia ponownego sfilmowania wszystkich scen z nowym aktorem i od samego początku. To wymaga sporo dodatkowych funduszy, więc kłopoty



finansowe mogą całkowicie zablokować zakończenie pracy nad serialem.

– Ciekawe – mruknął śledczy, wysłuchawszy jej wyjaśnienia. – Pomówmy o kwestii finansowej. Powiedziała pani, że nawet gdyby teraz zabito głównego aktora, byłoby potrzebne dodatkowe finansowanie, żeby odtworzyć sfilmowane już sceny z nowym aktorem. Skąd wzięłaby pani te pieniądze?

– Z ogólnego budżetu przeznaczanego na film.

– I to nie pociągnęłoby za sobą żadnych skutków? Chodzi mi o to, czy film by nie ucierpiał?

– Oczywiście, że ucierpiałby. Musielibyśmy zaoszczędzić na czymś innym, na przykład na kostiumach, zdjęciach miejskich plenerów... w Moskwie to strasznie drogie. Na scenach zbiorowych. Nawet na dobrych aktorach. Musi pan wiedzieć, że lubię, by w epizodach występowały gwiazdy, ale dzień zdjęciowy gwiazdy kosztuje krocie. To zaszkodziłoby filmowi.

– Czy dobrze panią zrozumiałem? Gdyby dzisiaj zabito aktora grającego główną rolę w pani serialu, serial zostałby jednak zrealizowany, ale jego jakość uległaby znacznemu pogorszeniu. Zgadza się?

– Chyba tak. Trudno mi powiedzieć jednoznacznie, bo nie bywałam w takich sytuacjach... Tak, chyba tak, ale pod jednym warunkiem: gdybyśmy nie mieli dodatkowych pieniędzy.

– Ale pani je ma?

– Mogą się pojawić. Niewykluczone, że producent wejdzie w nasze położenie i przeznaczy dodatkowe środki; to bardzo mało prawdopodobne, ale teoretycznie możliwe. Możemy też zdobyć pieniądze w innym miejscu.

– A konkretnie?

– W jakimkolwiek. Od innego sponsora. Na przykład od mojego męża.

Zdumienie, które błysnęło w oczach śledczego, dowodziło, że Gmyria nie miał zielonego pojęcia, jakich pieniędzy potrzebuje Natalia Woronowa na realizację swojego filmu. Musiała więc i to szczegółowo naświetlić.

– A zatem sam pan widzi, Borisie Witaljewiczu, że jeśli nie zdołam nakręcić serialu, to żadna stacja telewizyjna nie poniesie poważnego uszczerbku, bo nikt oprócz mojego męża nie zainwestował jeszcze ani kopiejki w zdjęcia.

– Ta-ak – wycedził Boris Witaljewicz. – Zaskoczyła mnie pani, Natalio Aleksandrowna. Ciekawe, czy dziennikarze, którzy to napisali – pchnął palcem leżące na biurku gazety – orientują się, za czyje pieniądze kręci pani film?

– Powinni się orientować, bo nie ukrywam tego przed nikim. Zaraz po przystąpieniu do zdjęć udzieliłam kilku wywiadów i wspomniałam o tym. Ale to wcale nie znaczy, że teraz wszyscy o wszystkim wiedzą. Pan, na przykład, nie wiedział. Zdarza się, że dziennikarze nie wiedzą o tym, co jest napisane we wszystkich gazetach, tym bardziej tylko we dwóch... Nie możemy ich o to obwiniać, nie są w stanie czytać wszystkich wydań od deski do deski, są przecież autorami tekstów, a nie czytelnikami. – Natalia się uśmiechnęła.

Przez jakiś czas omawiali jeszcze mechanizm finansowania zdjęć oraz ich organizację, gdy nagle Boris Witaljewicz przeszedł do zupełnie innej sprawy.

– Natalio Aleksandrowna, co może pani powiedzieć o relacjach scenarzysty Nilskiego z jego żoną?

≡

Luba z satysfakcją obejrzała się od stóp do głów w dużym lustrze wiszącym w łazience. Żadnego defektu, nawet najwybredniejszy znawca nie zdołałby znaleźć wad w jej figurze. I twarz, i włosy – wszystko aż prosi się na okładkę czasopisma. Każdy facet bez wyjątku pada plackiem przed taką urodą. Edik też najwyraźniej za nią szaleje, w każdym razie do niedawna była tego pewna na sto procent. I nagle ten wyjazd... Ni z tego, ni z owego pojechał do Kemerowa na parę dni. Czego tam szukał? Czego wypatrywał? Plecie jakieś bzdury o kobiecie, która straciła całą rodzinę i której trzeba koniecznie pomóc. Co to za kobieta, kim jest? Odkąd Edik wrócił z podróży, Luba myśli tylko o tym. Może naprawdę chodzi o kobietę,

tyle że nie samotną i potrzebującą pomocy, ale zupełnie inną, młodą i ładną, młodszą i ładniejszą od niej. Od dwóch tygodni Luba uważnie przygląda się swojemu wybrankowi, szukając w jego zachowaniu oznak zainteresowania nieznaną rywalką, nie znajduje niczego konkretnego i dlatego jeszcze bardziej się złości i martwi. A Edik zachowuje się jak gdyby nigdy nic, żartuje, śmieje się, chodzi do pracy, kocha się z nią, chętnie zjada przygotowane przez nią śniadania, gdy zostaje na noc. Może nie dzieje się nic złego? No dobrze, zadurzył się, stracił głowę – kto tego nie doświadczył? Poleciał do swojej lubej na kilka dni, nasycił się nią i zrozumiał, że nie ma nikogo lepszego od Luby. Oby tak było! A jeśli jest inaczej?

Dziewczyna umyła się, starannie rozczesała gęste, sięgające ramion włosy, zebrała je wysoko na czubku głowy i spięła spinką – Edik lubi, gdy jej długa, zgrabna szyja jest całkowicie odsłonięta. Lekko podmalowała rzęsy – tylko odrobinę, żeby nie można się było nawet domyślić, że zrobiła makijaż. Jeszcze tylko podkreśli oczy. Włożyła ładną jedwabną piżamę i ruszyła do kuchni przygotować kawę, ale nie wytrzymała i zawróciła do sypialni. Tylko na chwilę. Żeby rzucić na niego okiem. Zobaczyć, jak śpi lekkim porannym snem, gdy budzik nastawiony przez nią na siódmą już zadzwonił, a przez nieszczelnie zaciągnięte zasłony słońce zalewa światłem akurat tę część łóżka, na której leży głowa Edika. Boże, ależ ona go kocha! I jego włosy w kolorze ciemnoblond, i roześmiane oczy, i szerokie ramiona, i wąskie biodra, i długie nogi. A nawet krótkie, rzadkie rzęsy na górnej powiece. Są takie zabawne...

Twarz Edika lekko drgnęła, z żalem żegnając resztki snu; oczy się otworzyły.

– O co chodzi? – zapytał apatycznie na widok stojącej w drzwiach Luby.

– O nic. Tylko patrzę.

– Dlaczego?

– Tak sobie. Patrzę i tyle. Cieszę się, że cię mam.

– Nie wymyślaj.

Edik nie ma romantycznej natury i nawet nie jest szczególnie czuły. Ale to Luba też w nim kocha. Byle tylko jej nie rzucił, byle tylko nie zakochał się w innej.

– Co chcesz na śniadanie?

– Jak zwykle: musli z mlekiem. Czemu za każdym razem pytasz? Zawsze jem to samo na śniadanie.

Nie obraziła się, Edik zawsze bywa nieco szorstki, już się przyzwyczaiła. Podczas gdy się golił i brał prysznic, zaparzyła kawę, wsypała do głębokiego talerza musli z paczki, nalała lekko podgrzane mleko. Resztę mleka jeszcze trochę potrzywała na ogniu i zalała nim płatki owsiane – swoje śniadanie.

– O której musisz być w pracy? – zapytała łagodnie, wiedząc, że zaraz może nastąpić kolejny wybuch niezadowolenia. Edik chodził na dziesiątą albo nie chodził wcale. Był kelnerem i pracował w systemie „trzy na trzy” – trzy dni pracy, trzy dni przerwy. Wczoraj miał dzień wolny, trzeci z kolei, więc dzisiaj musiał iść do restauracji.

Luba właściwie nie wiedziała, czemu zadała pytanie mające zupełnie oczywistą odpowiedź. Chyba żeby przerwać milczenie, które niespodziewanie zaczęło jej ciążyć. Jakie to dziwne! Edik nigdy nie był szczególnie rozmowny, podczas jedzenia wolał milczeć, więc Luba zawsze przyjmowała to jako coś naturalnego. Taki już jest, taki ma charakter. Ale teraz, po niespodziewanym i niezrozumiałym pobycie w Kemerowie, wciąż czuła niepokój i chciała utwierdzać się w przekonaniu, że Edik nadal do niej należy. Do niej i do nikogo więcej. Dowodził tego każdy drobiazg, nawet banalna wymiana zdań. Nawet zwyczajny fakt, że z nią rozmawia. Wiedziała, że zachowuje się głupio, ale nic nie mogła poradzić. To było ponad jej siły.

Edik zignorował jednak pytanie, nadal sięgając łyżką do talerza z musli i mlekiem. Luba postanowiła ponowić próbę nawiązania rozmowy.

– Edik, czy tamta kobieta, u której byłeś...

– Co? – Podniósł głowę i popatrzył na nią z niezadowoleniem. – Co „tamta kobieta”? Znowu zaczynasz? Przecież wszystko ci wyjaśniłem! Ile razy można?!

– Nie gniewaj się – rzuciła Luba pośpiesznie. – Chciałam tylko zapytać: zamierzasz jeszcze do niej pojechać?

– Po co?

– No nie wiem... Żeby znowu pomóc, sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Nie wiem, możliwe – odparł Edik niejasno. – A dlaczego pytasz?

– Pomyślałam, że może pojechałabym z tobą? Razem łatwiej rozwiązuje się problemy. No i w ogóle...

– Co „w ogóle”?

– Nie będziesz się nudził.

– Ja się nigdy nie nudzę – odparował, odsuwając pusty talerz.

– Ale ja tęsknię za tobą – przyznała się. – Gdy ciebie nie ma, jestem jakaś nieswoja. Weźmiesz mnie ze sobą następnym razem?

– Nie wiem. Zobaczymy.

Serce Luby jęknęło boleśnie. Czy to znaczy, że sprawdzają się jej najgorsze przypuszczenia? Edik ma kochankę w Kemerowie. I znowu się do niej wybiera. A Lubę rzuci. Boże, doradź, poucz, pozwól coś zrobić, żeby tak się nie stało!

[5] RUBOP (Regionalnoje uprawlenie po borbie s organizowannoj priestupnostju)  
– Regionalny Wydział do Walki z Przestępczością Zorganizowaną.

[6] MWD (Ministerstwo wnutriennich dieł) – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

## Rozdział 3

Nastia Kamińska lubiła pracować ze śledczym Gmyrią. Boris Witaljewicz był kiedyś pracownikiem operacyjnym, toteż problemy i kłopoty życia detektywów poznał na własnej skórze i potrafił je zrozumieć. I nigdy nie robił kwaśnej miny, gdy wywiadowcy przynosili mu informacje zdobyte z praktykowanym i niepraktykowanym naruszeniem prawa, ale siadał z nimi przy stole i się zastanawiał, jak je logicznie poukładać.

– Podejrzenie dobrze wyglądasz – oznajmił, gdy tylko Nastia przestąpiła próg jego gabinetu. – Czyżbyś była zakochana?

– Nie, wasza wysokość – odparła żartobliwie. – Dawno mnie pan nie widział i zdążył całkiem zapomnieć.

– Kto by cię tam zapomniał? Siadaj i referuj sprawę.

– O nie, to raczej pan powinien referować. Tkwi pan w tym od samego początku i wie wszystko, o czym poinformowali mnie chłopcy z Sokolników. Nasz denat nie był związany z żadnym ugrupowaniem, a więc nie chodziło o porachunki. Co panu zostało?

– Niewiele. Przede wszystkim to, o czym napisano w gazetach. Dzisiaj odbyłem poważną rozmowę z madame Woronową, reżyserką serialu. Oświeciła mnie w kilku kwestiach, ale nie przekonała. Dlatego hipotezę zabójstwa w celu przerwania zdjęć pozostawiamy na razie jako główną. Dalej na liście jest... co?

– Szantaż – odpowiedziała Nastia szybko. – Żona scenarzysty mogła zostać porwana jako świadek albo w celu szantażu. Kierowcę zabito, żeby nie przeszkodził w porwaniu.

– Brawo. – Gmyria kiwnął głową z aprobatą. – Cel szantażu?

– Przerwanie zdjęć, na przykład. Albo wymuszenie pieniędzy. Tylko od kogo?

– Od Woronowej, a niby od kogo? Jej mąż to bogaty biznesmen, ma swoją firmę, nazywa się Centromedpreparat. Facet siedzi na pieniądzech. Nawiasem mówiąc, to za nie Woronowa robi serial.

Nastia nie wytrzymała i gwizdnęła. A więc to takie buty!

– Bogaty mąż to, oczywiście, świetnie, ale jakieś to mgliste... Czy Woronowa ma dzieci?

– Dwoje.

– W takim razie prościej byłoby porwać dziecko, matka na pewno wyskoczyłaby dla niego z kasy. A tutaj żona scenarzysty. Dziesiąta woda po kisielu.

– Niezupełnie, Nastazjo. – Gmyria pokręcił głową. – Synowie Woronowej są okazami zdrowia, jeszcze niedawno byli sportowcami, przez wiele lat uprawiali pływanie. Jeden ma dwadzieścia jeden lat, a drugi niebawem skończy dwadzieścia. Takich jak oni nie da się chwycić pod pachę i zgarnąć po cichu.

– A żona scenarzysty?

– Żona scenarzysty, żona scenarzysty – zanucił śledczy na melodię popularnej przed wielu laty piosenki o soku brzozowym i wyjął z teczki jakąś kartkę. – Żona scenarzysty, czyli Jana Giennadjewna Nilska, lat dwadzieścia siedem, wzrost metr pięćdziesiąt jeden, waga czterdzieści dwa kilogramy.

– Jasne – wycedziła Nastia. – Taka kruszyna może stawić fizyczny opór tylko komarowi. W dodatku bez gwarancji, że go pokona. I co, Woronowa jest w wielkiej przyjaźni z tym scenarzystą? Tak wielkiej, że wyłoży pieniądze na okup za jego żonę?

– Mówi, że wyłoży. Ale nie wierzę. A zresztą może mówić, co chce, tak czy inaczej, pieniądze da jej mąż, a nie ona. No więc pojawia się pytanie: jeśli Janę Giennadjewną porwano dla okupu, skąd przestępca ma pewność, że pan... pan... – Gmyria znowu zajrzał do swoich notatek – pan Ganielin, mąż naszej reżyserki, wysupła pieniądze. Nie istnieje bowiem inny sposób, żeby je zdobyć. Nilski nie ma żadnych oszczędności i nie zdoła zapłacić okupu za żonę.

– A honorarium? – zdziwiła się Nastia. – Przecież musiał dostać honorarium za scenariusz. O ile wiem, to bardzo przyzwoite pieniądze. Ze dwa tysiące albo nawet trochę więcej za odcinek. Ile odcinków zaplanowano?



– Ponad trzydzieści, tak w każdym razie twierdzi Woronowa.

– A widzi pan. – Nastia uśmiechnęła się triumfująco. – Skromnie licząc, Nilski powinien mieć co najmniej sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Nic nie widzę – burknął Boris Witaljewicz – bo Nilski nie dostał honorarium.

– Jak to? Dlaczego?

– Dlatego. System wypłat jest tam skomplikowany... I nie ma gotowych scenariuszy. Krótko mówiąc, ze słów Woronowej wynika, że zdjęcia do filmu rozpoczęto za pieniądze jej męża, ale stacja telewizyjna obiecała dorzucić się później, gdy wpłyną środki z budżetu na kolejny rok. Z tych właśnie pieniędzy wypłacone zostanie Nilskiemu całe honorarium. A tymczasem dostał parę rubelków, żeby miał za co żyć w Moskwie i żeby nie umarł z głodu. Wszystko to trzeba jednak sprawdzić. Idziemy dalej. Skoro Nilski nie ma pieniędzy, pozostaje mąż madame. Musimy się dowiedzieć, czy nie łączą go jakieś szczególne relacje z porwaną Janą Giennadjewną, a jeśli tak jest, to kto mógł o tym wiedzieć. Jeśli przestępca miał na myśli właśnie jego portfel, skąd pewność, że ów portfel otworzy się szeroko dla filigranowej Jany? Chwytasz?

Nastia skinęła głową w milczeniu. Już nie uważała sprawy zabójstwa kierowcy za nudną.

– Popatrzmy dalej – ciągnął tymczasem śledczy. – Załóżmy, że przestępca chciał jednak przerwać zdjęcia, mimo że madame przez trzy godziny z pianą na ustach zapewniała mnie, że to niemożliwe. Ale wiesz przecież, Nastazjo, że mnie trudno przekonać. Nie daję się przekabacić. Przypuśćmy, że Woronowa łzami, histerią i groźbą rozwodu albo samobójstwa wyzebrała od swojego bogatego mężulka pieniądze na zdjęcia. To jasne, że nie wyjął ich z portfela i nie położył przed nią na stole. Partiami, w miarę potrzeb, przelewa je na konto ekipy filmowej. Gdzie jednak gwarancja, że natrafiwszy na taką przykrość jak zabójstwo na planie filmowym, nie przerwie finansowania kolejnego kaprysu swojej połowicy? A jeśli w ogóle nie miał ochoty, by dać jej pieniądze, ale usiłował nie stracić twarzy u madame, to wykorzysta zabójstwo kierowcy, żeby zniweczyć

projekt. I nie da ani grosza więcej. Że niby tak było sądzone, niebiosy są przeciwne i dalej w tym stylu. Co z tego wynika?

– Że albo zabójca dobrze wiedział, że tak właśnie będzie i zdjęcia zostaną przerwane, albo wszystko to zorganizował mąż Woronowej. Wygląda więc na to, że... jak on się nazywa?

– Ganielin – odpowiedział Boris Witaljewicz.

– Wygląda więc na to, że pan Ganielin staje się naszą główną postacią. Zarówno w hipotezie o porwaniu, jak i w hipotezie o przerwaniu zdjęć – dokończyła Nastia.

Tak, wszystko układa się ciekawie... Zaczęli od zabójstwa kierowcy ekipy filmowej, a skończyli na ważnym biznesmenie.

– A jeśli kierowcę zabito, bo to jednak on miał zostać zabity? – zapytała ostrożnie. – Co z tego, że nie jest związany z ugrupowaniem przestępczym? Po pierwsze, to jeszcze nie zostało potwierdzone, w RUBOP-ie nie siedzą przecież bogowie, nie mogą wiedzieć wszystkiego o wszystkich. Po prostu jeszcze go nie przydybali. A po drugie, można by pomyśleć, że oprócz porachunków nie ma innych powodów zabójstwa.

– A co, czyżby były? – zainteresował się Gmyria niewinnie.

– Choćby owa zazdrość.

– O! Trafiaś w samo sedno. – Boris Witaljewicz roześmiał się z satysfakcją. – A wiesz, Nastazjo, że porwana Jana Giennadjewna flirtowała bez pamięci z zabitym Tiejmurazem Indżiją?

– Coś mi wspomiano o tym w Sokolnikach, ale raczej bez przekonania. Że niby żona scenarzysty przez cały dzień zdjęciowy nie siedziała na planie, tylko spacerowała po parku w towarzystwie kierowcy. To nazywa pan flirtowaniem bez pamięci? – zapytała Nastia z powątpiewaniem.

– Zarówno tego dnia, jak i w ciągu wszystkich poprzednich oboje wciąż się spotykali, oddalali się gdzieś, razem chodzili na obiad i kawę. A gdy kierowcę wysyłano z poleceniem, nasza kruszyna jechała z nim. Powiem ci więcej: w wieczór zabójstwa, krótko przed tym, zanim się wszystko wydarzyło, Nilscy odbyli wielce nieprzyjemną rozmowę podniesionymi głosami. Ci, którzy ją słyszeli, odnieśli wrażenie, że para się pokłóciła. W dodatku nie na żarty.

– Sądzi pan, że Nilski mógł zabić kierowcę z zazdrości?

– No właśnie. Dlaczego nie?

– Gdzie w takim razie jest Jana? Przecież ją porwano. Też z zazdrości?

– A kto ci właściwie powiedział, moja droga, że Janę Giennadjewnę porwano? – Gmyria zadał niespodziewane pytanie.

– Jak to kto? Korotkow, jeszcze w niedzielę. A teraz pan powiedział to samo.

– A ty, głupiutka, uwierzyłaś. Ech, Nastazjo, musisz się jeszcze dużo uczyć. Jana Giennadjewna zaginęła, rozumiesz? Zaginęła. I nigdzie jej nie znaleziono. Może naprawdę została porwana. A może sama odeszła. Pokłóciła się z mężem i poszła, gdzie oczy poniosą. I nie ma zielonego pojęcia o zabójstwie kierowcy. Zatrzymała się gdzieś, siedzi i dąsa się na swojego ślubnego, czeka, aż ten straci nerwy i dojdzie do wniosku, że ona jest cudowna i że nie może bez niej żyć. Typowo babskie rozumowanie. A może ją też zabito.

– Gdzie wobec tego jest ciało? – zapytała Nastia rozsądnie.

– Leży gdzieś. Prędzej czy później się znajdzie. Teraz zobacz, mamy trzy hipotezy tłumaczące, gdzie się podziała Jana Nilska. Dwie spośród nich nie wykluczają zabójstwa kierowcy z zazdrości. A zatem?

– A zatem scenarzystą. – Nastia westchnęła. – Jego również trzeba sprawdzić. Ale przecież zabity kierowca też mógł mieć jakąś partnerkę, która była o niego zazdrosna. I to ona mogła zorganizować zabójstwo albo jego, albo obojga.

– Mogła – przyznał Gmyria. – Krótko mówiąc, czeka nas huk roboty. W niedzielę sprawą zajmował się dyżurny śledczy, dzisiaj rano przydzielono ją mnie. Dzisiaj, jeśli pamiętasz, też jest dzień wolny, jutro też nie pracujemy, a to znaczy, że aż do środy, do trzynastego czerwca, sprawa będzie się poniewierać bez żadnego pożytku dla społeczeństwa i nie ruszy ani na krok. I do trzynastego wszystkie ślady zostaną zatarte. Wy, tak zwani detektywi, nie potraficie zrobić niczego sensownego bez mojego mądrego zarządzania procesowego, prawda? Wszystko, co da się zniszczyć, zniszczycie bez wątpienia, a to, czego nie da się zepsuć, doprowadzicie do stanu niezdatności. No dobrze, żartuję, nie krzyw się, dopisuje mi humor przed wolnym. Dlatego dzisiaj

skontaktowałem się już z szefostwem i uzgodniłem, że sprawa pozostanie pod moim nadzorem. Zapytasz, po co mi to? Odpowiadam: chcę awansować i zbieram punkty, żeby się zasłużyć. Ale nic ci do tego, to moje problemy. Detektywi z terenu sprawdzają hipotezy, w których centralną postacią jest sama ofiara, badają jej związki, patrzą, czy nie było tam konfliktów albo innych powodów zabójstwa. Interesuje cię to?

– Nie-e. – Nastia pokręciła głową. – Ile lat ma ofiara?

– Dwadzieścia pięć.

– A więc obraca się wśród młodych ludzi. Nie poradzę sobie z takim materiałem. Wolę coś solidniejszego, zwłaszcza że nowy szef żąda, bym się zajęła hipotezą dotyczącą przerwania zdjęć.

– To jest mi na rękę – przyznał Boris Witaljewicz. – A zatem, Nastazjo, przede wszystkim zbierz informacje, czy Nilscy są blisko z rodziną Woronowej. A konkretnie: jak blisko jest Jana Nilska z bogatym mężem naszej madame. No i wszystko, co się z tym wiąże. Dalej: chcę wiedzieć, czy mąż z miłą chęcią dał pieniądze Woronowej na zdjęcia. Podejrzewam, że zgrzytał przy tym zębami i przeklinał na czym świat stoi, ale chcę wiedzieć na pewno. I ostatnia rzecz: w mieszkaniu Nilskiego nie ma telefonu, facet obywa się też bez komórki, więc porywacze nie będą mogli do niego zadzwonić. Zakładając oczywiście, że Jana została porwana w celu wymuszenia okupu. Albo podrzucą mu pisemną wiadomość do domu, albo zadzwonią do któregoś z jego znajomych. Najprawdopodobniej do samej Woronowej lub do jej męża. Ktoś musi pilnować domu przez całą dobę. A ty się pokręć koło Woronowej. W razie czego dzwoń natychmiast.

– Dam sobie radę, nie jestem dzieckiem. – Nastia się uśmiechnęła.

≡

Irina Sawienicz na palcach przeszła z pokoju do kuchni, przymknęła za sobą drzwi, naląła wody do czajnika elektrycznego, wcisnęła przycisk. Wreszcie Rusłan zasnął, pierwszy raz od dwóch dni zamknął oczy i się odprężył. Niech odpocznie, ona postara się mu nie przeszkadzać. Biedny chłopak, że też spotkało go takie

nieszczęście! Żona zniknęła. A młody kierowca, z którym poszła na kawę, został zabity. Co za koszmar! Ira czuła właściwie antypatię do Jany Nilskiej, ale czy w tej sytuacji jej upodobania mają jakieś znaczenie? Gdzie teraz jest mała Janka? Ktoś ją porwał i przetrzymuje w ciemnej piwnicy, może torturuje i dręczy, ale po co? Czego od niej chce? I dlaczego do tej pory się nie ujawnił, nie zadzwonił i nie przedstawił swoich żądań? Nie wie, jak znaleźć Rusłana, który nie ma telefonu? Bzdury, Janka doskonale zna adres. Zna też telefony Natalii i Iry, nieraz do nich dzwoniła. Jeśli porywacze zechcą się skontaktować z Rusłanem, wymyślą, jak to zrobić. Ale po co, po co? Czego mogą chcieć od Janki? To zwyczajna krawcowa, nie zna żadnych tajemnic. Nie ma również pieniędzy. Z tego wniosek, że porywacze chcą czegoś od Rusłana. Kiedyś chłopak był dziennikarzem, zebrał sporo informacji o różnych ludziach. Może o to chodzi? Ale przecież nie pracuje w gazecie od ponad roku, porzucił dziennikarstwo, siedział w domu i pisał powieść. Nie brał udziału w żadnych poważnych sprawach, nie prowadził żadnych śledztw dziennikarskich. Kto może się nim interesować? A jednak ktoś się nim interesuje, skoro Janka została porwana. Ale dlaczego porywacze nie dzwonią? Boże, żeby się zjawili jak najprędzej, przedstawili dowody, że mała Janka jest cała i zdrowa, wtedy można by odetchnąć swobodnie. Oni jednak wciąż nie dzwonią...

Woda w czajniku się zagotowała. Ira wyjęła kubek, wrzuciła do niego paczuszkę francuskiej herbaty z bławatka i z żalem pomyślała, że pudełko niedługo będzie puste. Kupiła tę herbatę w Paryżu miesiąc temu, gdy pojechała spędzić majówkę razem z Natalią i jej rodziną. Herbata bardzo jej smakowała, więc teraz wyrzucała sobie, że kupiła tylko dwa opakowania. Choćby bardzo oszczędzała, niebawem i tak się skończy. Po tym, co się wydarzyło w sobotę, podjęto decyzję, żeby nie zostawiać Rusłana samego, póki sytuacja z jego żoną się nie wyjaśni. Ira, jako stara znajoma, wzięła to na siebie. Wpadła do domu, wrzuciła do torby najpotrzebniejsze rzeczy – przybory toaletowe, kosmetyki, tabletki na alergię, pudełeczko słodziku, bieliznę na zmianę, ładowarkę do komórki. Chwyciła też swoją ulubioną herbatę. Szkoda Rusłana – aż serce się kraje. To

niedobrze, że w ogóle nie pije, że nie ma takiego zwyczaju. Wychyli wprawdzie kieliszek, siedząc razem przy stole, ale teraz jeden kieliszek to za mało. Powinien wypić więcej, żeby się pozbyć napięcia, odprężyć się i wyłączyć. On jednak nie potrafi. Nie przywykł. Całą noc z soboty na niedzielę spędził na komendzie milicji, gdzie po dwadzieścia razy pytano go o to samo, później Ira przywiozła go tutaj, do mieszkania syna Nataszy, i siedzi z nim, czeka z założonymi rękami. W niedzielę zjawili się tutaj milicjanci, znowu dręczyli Rusłana pytaniami: czy jego żona nie ma znajomych w Moskwie, czy nie mogła się na niego obrazić i zatrzymać się u nich, czy ktoś mu czasem nie groził, nie żądał czegoś, no i dalej w tym stylu. Później znowu nadeszła noc, ale Rusłan nie zmrużył oka. To biegał po mieszkaniu, to siedział nieruchomo, kołysząc się, objawszy głowę rękami, to nagle zaczynał gadać jak nakręcony. Ira też nie spała, uspokajała go, jak tylko potrafiła, pocieszała, wymyślała optymistyczne warianty. Ale pożytku z tego było tyle co nic. Dzisiaj rano nie wytrzymała i zasnęła, zbudziła się jakieś dwie godziny później, a Rusłan nawet nie zamknął oczu. Na szczęście wieczorem się zdrzemnął. A telefon wciąż milczy...

Ira nie wytrzymała, wyjęła komórkę i wybrała numer Natalii.

– No i co? – zapytała półgłosem, starając się mówić cicho.

– Nic. A u was?

– U nas też nic. Natalko, dlaczego porywacze nie dzwonią? Na co czekają?

– Może chcą, żeby Rusłan dostał pomieszania zmysłów ze strachu. Liczą na to, że wtedy będzie ustępliwszy. A może Jany nikt nie porwał. Wiesz przecież, że oni się pokłócili w sobotę wieczorem...

– Gdzie wobec tego mogła się podziać? – Ira nie zauważyła, że podniosła głos. – W Moskwie nie ma nikogo prócz nas. Ani jednej znajomej duszy. Nigdy wcześniej tutaj nie była. Milicjanci powiedzieli, że sprawdzili wszystkie hotele, nigdzie jej nie ma. Więc gdzie jest, skoro nie została porwana? Myślmy z Rusłanem o najgorszym...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Natalia surowo.

– Że Janki w ogóle już... no że jej nie ma – wybąkała Irina.

– Kto wpadł na ten pomysł?

– Rusłan... Rozwagał różne opcje. Że uciekła z kochankiem. Że ktoś ją zabił. Że nagle straciła rozum i zapomniała, kim jest, gdzie mieszka i czemu się tutaj znalazła. Błąka się gdzieś po Moskwie i nie wie, dokąd pójść. Natalko, jak sądzisz, czy milicja jej szuka? Czy tylko stwarza pozory?

– Weź się w garść, Iro – odparła Natalia jeszcze surowiej. – Sytuacja jest naprawdę ciężka, a tobie nie wolno jej pogarszać. Wysłałam cię do Rusłana po to, żebyś go podtrzymała na duchu, a nie po to, żebyś ulegała panice. Jeśli natychmiast nie przestaniesz nakręcać siebie i jego, przyjadę i sama będę z nim siedzieć, a ciebie odeślę do domu. Zrozumiałaś?

Ira nie miała nic przeciw temu, żeby Natalia przyjechała. Właściwie o niczym innym nie marzyła. Dotąd tak właśnie było: w trudnej sytuacji Natalia zawsze się zjawiała i podstawiała ramię albo wyciągała rękę. Więc teraz Irina na gwałt potrzebowała obecności starszej przyjaciółki, która ją wychowała. Zdawała sobie jednak sprawę, że zwrócenie się z prośbą do Natalii, by przyjechała, byłoby szczytem egoizmu. Ona też jest wyczerpana do cna, dzisiaj przez parę godzin przesłuchiwał ją śledczy, a przedtem jacyś inni milicjanci zarzucali pytaniami. Ona też nie śpi i szaleje z niepokoju. A przecież ma męża i syna, nie może ich zostawić i po raz kolejny pędzić na pomoc swojej wychowance. Wychowanka ma już trzydzieści jeden lat, nie jest dziewczynką, była dwukrotnie zamężna, skończyła studia, wystąpiła w paru filmach, mimo to z przyzwyczajenia łączyła się do Natalii, gdy jej ciężko na sercu.

– Zrozumiałam, Natalko – wybąkała z poczuciem winy. – Postaram się opanować nerwy. Ale zadzwoń od razu, gdy tylko coś będzie wiadomo, dobrze?

Jednym haustem dopiła wystygłą herbatę, otworzyła lodówkę i z przykrością stwierdziła, że nie zostało prawie nic do jedzenia. To, co Janka kupiła i przygotowała w sobotę rano, w poniedziałek wieczorem było już zjedzone. Gościnnie Ira poczęstowała herbatą i kanapkami milicjantów, którzy przyjechali w niedzielę. Oni zaś się nie wzbraniali, przyznali ze zmieszaniem, że pracowali przez całą noc i są wściekle głodni. Podenerwowana Ira też miała wilczy apetyt. Rusłan skubnął co nieco, właściwie nie chciał jeść, ale Ira go



zmusiła. No i tak pochłonęli wszystko... Nie ma nawet kawałka chleba. Trzeba by skoczyć do sklepu, jest niedaleko, na rogu, czynny przez całą dobę.

Irina wyrwała z notesu czystą kartkę i szybko napisała: „Poszłam do sklepu, wrócę za piętnaście minut, nie martw się. Ira”. Po chwili namysłu dodała jeszcze godzinę: 21.40. Jeżeli Rusłan się zbudzi, to przynajmniej się nie przestraszy, że wyszła już dawno i też zaginęła. Po cichu przekradła się do pokoju i położyła kartkę koło kanapy, na której Rusłan drzemał w niewygodnej pozycji, wzięła klucze i wyszła z mieszkania, uważając, żeby zamek nie szczęknął.

W sklepie kupiła ser i masło solone do kanapek, chleb, jajka, twarożek z rodzynkami, parę drożdżówek i słoik dżemu z czarnych porzeczek. Po chwili zastanowienia dołożyła jeszcze dwie półtoralitrowe butelki wody niegazowanej dla siebie i dwie gazowanej – dla Rusłana, a także parę ciężkich, półkilogramowych tabliczek czekolady. Czekolada jest dobra w sytuacjach stresowych, gdy nie chce się jeść i nie można niczego przełknąć, ale trzeba mieć siły. Spakowała zakupy do paru reklamówek, podniosła je i mimo woli jęknęła: ciężar okazał się pokaźny, samej wody jest sześć litrów. I ze dwa kilogramy czekolady. Cała reszta też sporo waży. Dobrze, że do domu jest niedaleko, ze dwieście metrów, nie więcej.

Przy wejściu do budynku omal nie wpadł na nią jakiś chłopak.

– Nie za ciężko pani? – zapytał nieco kpiącym tonem. – Może pomóc?

– Obejdzie się – rzuciła Ira niegrzecznie i weszła do środka, od razu wyrzucając sobie bez troskę. Jak tak można? Chłopak najwyraźniej zamierzał ją zaczepić, a ona na jego oczach wchodzi do budynku, w którym nie ma portiera. A jeśli on teraz wpadnie za nią i używając niewielkiej siły fizycznej, postara się jej wyjaśnić, że powinna uprzejmie rozmawiać z nieznanymi mężczyznami? Zupełnie zwariowała!

Czekając na windę, ze strachem nasłuchiwała odgłosów za plecami, ale nic się nie stało. Dopiero gdy drzwi windy zaczęły się zamykać, Ira usłyszała, że ktoś wszedł do budynku. Mój Boże, ale z niej skończona idiotka! To przecież milicjant, który obserwuje dom na wypadek, gdyby ktoś chciał przynieść wiadomość dla Rusłana od

porywaczy. Przecież wczoraj ich uprzedzono, że jakiś milicjant na pewno będzie w pobliżu. Uświadomiwszy sobie własną głupotę, Ira się roześmiała. Później przypomniawszy sobie o zabitym kierowcy i o zaginionej Janie i znowu posmutniała.

Rusłan się nie obudził podczas jej nieobecności, ale gwałtownie otworzył oczy i zerwał się z kanapy, gdy tylko przestąpiła próg mieszkania.

– Co? – zapytał z napięciem, wpatrując się w jej twarz. – Ktoś przyszedł? Słyszałem, że drzwi się otworzyły. Przyniósł list? Od Jany?

– Nie, to ja wróciłam. Byłam w sklepie, twoja lodówka świeci pustkami.

– A od Jany nic? Nikt nie dzwonił?

– Nie. Połóż się jeszcze, odpocznij – powiedziała Ira łagodnie.

– Nie chcę spać.

– Wobec tego napijmy się herbaty, zrobię kanapki.

– Nie chcę – powtórzył Rusłan z uporem.

– Musisz – stwierdziła Ira szorstko, pamiętając o zaleceniu Natalii, żeby się nie rozczulać i nie poddawać pogrzebowemu nastrojowi Rusłana.

– Nic nie zjem.

– Zjesz. – Uśmiechnęła się pojednawczo. – Nie masz wyboru. Rozumiem, że nie chce ci się jeść, ale musisz. Nie wiadomo, jak się sprawy potoczą, powinieneś być przygotowany na każdą ewentualność, na pewno będą ci potrzebne siły. Nikt nie zyska na tym, że zasłabniesz albo dorobisz się niestrawności.

Rusłan stał przed nią taki nieszczęśliwy i niepozorny – niższy od niej o całą głowę, ze splątanymi włosami i w okularach z grubymi szklami, że Ira z trudem powstrzymała chęć, by go objąć jak syna albo młodszego brata, przytulić, pocieszyć, osłonić. Są rówieśnikami, on też ma trzydzieści jeden lat, ale ona nadal traktuje go jak małego chłopca, który potrzebuje jej pomocy i wsparcia. Dziesięć lat temu, gdy spotkali się po raz pierwszy, Ira była już po pierwszym rozwodzie, wiele widziała i przeszła w życiu, między innymi wczesne sieroctwo, poradnie wenerologiczne, aborcje i leczenie alkoholizmu, a Rusłan był tak wzruszająco naiwny i czysty, że czuła się przy nim

jak staruszka, cyniczna i rozczarowana życiem. Od tamtej pory jej stosunek do Rusłana się nie zmienił: traktowała go jak kogoś młodszeo i nierozumnego. Janka chyba upadła na głowę, że jest zazdrosna o Irę!

Ira mocno chwyciła Rusłana za rękę, a on posłusznie powlókł się za nią do kuchni. Tam zmusiła go, by wziął do rąk kanapkę z wędzonką, i Rusłan odruchowo zaczął ją przeżuwać.

– Jak myślisz, czy Jana mogła mnie rzucić? – zapytał nad wyraz spokojnie.

– Mogła – równie spokojnie odparła Ira, mimo że współczucie ścisnęło jej serce. – Każda kobieta może rzucić mężczyznę, nie ma w tym niczego niemożliwego.

Sama nie wierzyła w to, co mówiła. No bo jak to? Ni z tego, ni z owego rzucić męża, ojca swoich dwóch córeczek? Poza tym Janka była o niego piekielnie zazdrosna, taka zazdrość jest obca kobietom, które mają kochanków na boku. Zdarza się wprawdzie, że kobieta odchodzi od mężczyzny nie dlatego, że w jej życiu pojawia się nowa miłość, ale dlatego, że miłość do danego mężczyzny staje się ponad jej siły. Między innymi z powodu zazdrości. Historia zna wiele takich przykładów, weźmy chociażby samą Irę. Ona też przecież kochała, namiętnie i do nieprzytomności, właśnie dlatego odeszła. Wiedziała, że jej płomienne uczucie przygniata ukochanego, staje się dla niego nadmiernym i, co najważniejsze, niepotrzebnym ciężarem. Może z Janką jest tak samo? Nie, to niemożliwe, bzdura! Jej małżeństwo z Rusłanem jest normalne, stabilne, dzieci cementują ich związek. Jeśli jednak upierać się przy tym, że Janka nie mogła rzucić męża, to automatycznie należy przyznać, że spotkało ją nieszczęście. Albo została zabita, albo porwana, albo oszalała. Nie da się inaczej wytłumaczyć jej zniknięcia. A tak przynajmniej żyje i jest szczęśliwa...

– Czy kobieta może nagle przestać kochać? – dopytywał się dalej Rusłan. – Tak po prostu, w jednej chwili? I uznać, że nie chce więcej widzieć swojego męża? I odejść bez wyjaśnienia? I mieć w nosie to, że on się denerwuje, nie może znaleźć sobie miejsca i że ogarniają go czarne myśli? Naprawdę możecie tak postępować?

– Mój kochany, wy, mężczyźni, postępujecie podobnie, w dodatku znacznie częściej niż kobiety. To, co opisałeś, stanowi typowo męską postawę. Przypomnij sobie, ile razy słyszałeś wstrząsające historie o tym, jak „on poszedł po papierosy i nie wrócił”. Ale niektóre kobiety też tak robią, choć rzadko. Zadzwońmy jeszcze raz do twojej teściowej w Kemerowie, może Jana się tam zjawiła – zaproponowała.

– Nie mogła się tam zjawić. – W głosie Rusłana dała się słyszeć irytacja. – Zostawiła przecież dowód osobisty i klucze do mieszkania w Kemerowie. Jak wsiądzie do samolotu bez dowodu?

– Różne rzeczy się zdarzają – zauważyła Irina filozoficznie. – A nuż zadzwoniła do matki? Jana to normalna osoba; nawet jeśli jest złą żoną, będzie się niepokoić o córeczki.

Podawała mu telefon i niemal siłą wsunęła do bezwolnie leżącej na stole ręki. Rusłan wybrał numer, zamienił parę zdań z teściową. Nie, Jana nie pokazała się w domu, nie przyjechała i nie zadzwoniła.

– Ktoś ją zabił – wykrztusił raptem Rusłan, patrząc na Irę nieprzytomnymi oczami. – Czuję, że Janka nie żyje... Widzę tylko ciemność... Boże, co mam robić?!!!

≡

Nastia mieszkała przy szosie Szczołkowskiej od wielu lat, ale bardzo często doznawała nieprzyjemnego uczucia przymusu, gdy wysiadała z wagonu metra. Stacja Szczołkowskaja była końcowa i kiedy wszyscy pasażerowie opuszczali wagony, Nastię ogarniało dziwne wrażenie, jakby stała na peronie nie dlatego, że tutaj mieszka, ale dlatego, że została wyproszona z pociągu. Ktoś tam na górze postanowił, że pociąg dalej nie pojedzie i pasażerowie mają wysiąść. Ktoś postanowił za nią, to nie ona podjęła decyzję. Ktoś zlekceważył fakt, że ludzie muszą jechać dalej, i zatrzymał ruch składu. Myśl była głupia i z gruntu fałszywa, Nastia wiedziała to doskonale, a jednak przez wiele lat nie potrafiła się jej pozbyć.

Weszła po schodach na górę i gdy znalazła się na ulicy, wyjęła z torby komórkę. Musi znaleźć Jurę Korotkowa, bo zaprosiła go, by pomieszkał u niej przez jakiś czas, a sama się ulotniła i nie zostawiła kluczy. Biedak siedzi pewnie w pracy, głodny i zmęczony,

popatruje na zegarek i marzy o gorącym prysznicu, gorącej kolacji i ciepłym, przyjaznym towarzystwie. W gabinecie Korotkowa nikt nie odebrał telefonu, więc Nastia wybrała inny numer – jego komórki.

– Gdzie jesteś? – zapytała, zmierzając wolno w stronę przystanku autobusowego.

– Przetrzyj oczy, gapo – usłyszała dobroduszny głos Jury. – Albo załóż okulary.

Pogrążona w myślach Nastia nie uchwyciła kpiny i posłusznie sięgnęła do torby po okulary. Otworzyła po omacku futerał, wsunęła na nos wyrób niemieckich optyków.

– Założyłam i co? Chcę powiedzieć, że za jakieś dwadzieścia minut będę już w domu, więc możesz ruszać w moją stronę.

– Nie za dwadzieścia, ale za pięć.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

– Dlatego. Fujara z ciebie – rzucił Korotkow krótko i się rozłączył.

Nastia ze zdumieniem popatrzyła na zaciśnięty w ręce telefon, wzruszyła ramionami i w tej samej chwili odskoczyła na bok przestraszona, bo tuż nad jej uchem zatrąbił klakson samochodu.

– Myślisz, że będę cię gonił pieszo? – Rozległ się całkiem blisko głos Korotkowa. – Wsiadaj do samochodu, nieszczęsna ślepoto.

Dopiero teraz Nastia ze zdziwieniem stwierdziła, że dzwoniła do Jury, stojąc metr od jego samochodu.

– Co tutaj robisz? – zapytała głupio, siadając obok niego na przednim siedzeniu.

– Czekam na ciebie. Byłem już pod twoim domem, patrzę: zamknięte, nikt nie otwiera. Zadzwoiłem na komórkę, ale usłyszałem, że abonent chwilowo jest niedostępny. Wtedy się domyśliłem, że telepiesz się w metrze. Nawiasem mówiąc, docenij moją szlachetność. Mogłem przecież wybrać się gdzieś, żeby coś przekąsić, zanim się zjawisz. Ale jako twój najlepszy przyjaciel postanowiłem zrobić ci niespodziankę i z szykiem odstawić cię do domu, a później dotrzymać ci towarzystwa podczas skromnego posiłku. Doceniasz to?

– Owszem. – Nastia uśmiechnęła się i kiwnęła głową. – Ale w kwestii posiłku chyba się przeliczyłeś. Pierogi się skończyły, a wczoraj nie przygotowałam nic innego. Skoro o tym mowa,

zatrzymaj się koło sklepu, kupimy coś do zjedzenia, bo rzeczywiście nic nie mam.

– Obrażasz mnie. – Korotkow pokręcił głową z wyrzutem i zrobił nadąsaną minę. – Nie jestem lokatorem z bożej łaski, mam swój honor. Lokal jest twój, jedzenie moje. Pasuje?

– I to jak. – Nastia roześmiała się wesoło. – Słuchaj, Czistiakowa nie będzie jeszcze przez trzy tygodnie, możesz liczyć na moje mieszkanie, jeśli obiecasz robić zakupy.

– I może jeszcze gotować?

– Nie, to spróbuję sama – powiedziała Nastia niepewnie.

– No jasne, spróbujesz – prychnął Jura. – Chciałbym jeszcze pożyczyć parę lat. Nie jestem samobójcą.

– Ach ty, draniu! – Nastia z oburzeniem uderzyła go pięścią w kolano. – A kto wczoraj wyjadł moje pierogi? I dzisiaj poprosił o dokładkę?

– To z głodu. Musisz wiedzieć, że głodnemu nawet ocet wydaje się słodki.

– Drań – powtórzyła Nastia łagodnie. – W dodatku niewdzięczny i obłudny.

W domu okazało się, że na szczęście nie trzeba gotować. Zamiast zrobić zakupy w sklepie spożywczym, Korotkow przywiózł gotowe dania kuchni chińskiej, które należało tylko odgrzać w kuchence mikrofalowej.

– Co to jest? – Nastia podejrzliwie obejrzała cienkie plastikowe pudełeczka, owinięte z góry folią aluminiową. – Jakoś dziwnie pachnie.

– To, koleżanko, pędy bambusa z grzybami mun, a w tym pudełku jest... krótko mówiąc, też coś warzywnego. Same witaminy.

– Jesteś pewien, że to zjadliwe?

– Jak możesz pytać? Kuchnia chińska jest popularna na całym świecie. Przecież Europejczycy i Amerykanie nie są kompletnymi idiotami; gdyby było niesmaczne, toby nie jedli – wyjaśnił Korotkow autorytatywnie.

Nastia w zamyśleniu powąchała zawartość najpierw jednego pudełka, potem drugiego, mimo to nadal pozostała nieprzekonana.

– Słuchaj, a czy oni tam, w tych Chinach, jedzą w ogóle mięso? Czy tylko pędy bambusa i te... warzywa?

– No wiesz! – oburzył się Jura. – Pewnie, że jedzą. W kiosku, w którym to kupowałem, był jeszcze kurczak z orzechami, wieprzowina w sosie słodko-kwaśnym i jakaś wymyślna wołowina, rzekomo lekko duszona.

– No to dlaczego nie wzięłeś wołowiny? Albo kurczaka z orzechami? Byłoby normalniej i bardziej swojsko.

Korotkow najwyraźniej się zmieszał.

– Dlaczego, dlaczego – burknął. – Dlatego, że to drogie! Wzięłem coś tańszego. Ale sprzedawca przysięgał, że jest smaczne; mówił, że wszyscy biorą i chwalą.

– No dobrze. – Nastia westchnęła z rezygnacją i wsunęła pudełeczka do mikrofalni. – Spróbujemy. Może jakoś przeżyjemy.

O dziwo, jedzenie okazało się smaczne, mimo że nietypowe. Nastia i Jura nie zdążyli mrugnąć okiem, a talerze już świeciły pustkami. Nie było na nich nawet resztek sosu, który oboje zebrali kawałeczkami chleba pszennego.

– Nieźle! – przyznała Nastia z uznaniem, umieszczając naczynia w zlewie. – Jak chcesz nocować u mnie dłużej, jutro pojedziesz i kupisz znowu coś w tym guście. To daleko stąd?

– Daleko, na Nowosłobodskiej.

– No to pojedziesz, nie ma sensu, żebyś tkwił niepotrzebnie w pracy.

– Ale ty masz tupet! – zawołał Korotkow z oburzeniem. – Weź pod uwagę, że jestem twoim naczelnikiem. Kto tobą pokieruje, skoro całymi dniami będę zajęty wożeniem jedzenia?

– Ojej, racja. – Przestraszona Nastia klasnęła w ręce. – Całkiem zapomniałam, że jesteś szefem. Wybacz, kochany. Wobec tego złożę ci raport z wykonanej pracy. Chcesz?

– Chcę – odparł Jura z rozpaczą gotowego na śmierć kamikaze. – Usiądź i zreferuj, co dzisiaj zrobiłaś pożytecznego w sprawie zabójstwa kierowcy w Sokolnikach.

Nastia usiadła naprzeciwko niego i zapaliła papierosa.

– Doszłam do wniosku, szanowny panie naczelniku, że człowiek nie jest w stanie zmienić biegu zdarzeń, jeśli ów bieg został ustalony

z góry.

Korotkow wybałuszył oczy i omal się nie zakrztusił sokiem, który pił z wysokiej szklanki.

– Co ty pleciesz, koleżanko?

– A tak. Dzisiaj spędziłam sporo czasu w towarzystwie Natalii Aleksandrowny Woronowej i doszłam do wniosku, że prędzej czy później musielibyśmy się zająć zabójstwem członka jej ekipy filmowej. Jeśli nie dzisiaj, to jutro albo za miesiąc czy za dwa. Ale musielibyśmy.

– Jak mam to rozumieć?

– Bo widzisz, Jurik, gdyby nie zabito kierowcy, toby zabito kogoś innego. Na przykład aktorkę Irinę Sawienicz. Albo scenarzystę Nilskiego. Albo samą Woronową. Albo jeszcze kogoś innego płci męskiej. Chodzi o to, że zaginiona Jana Nilska, ku uciesze całej ekipy filmowej, była piekielnie, wręcz nieprzytomnie zazdrosna o swojego męża Rusłana i podejrzewała go o romans z aktorką Sawienicz.

– Zazdrosna o tego liliputa? – Korotkow uniósł brwi ze zdumieniem. – Przecież on sięga jej ledwie do pasa.

– „Jej”, czyli komu?

– No Sawienicz. Ona jest postawna i nawet wyższa ode mnie.

– Nie odkryłeś Ameryki. – Nastia się uśmiechnęła. – Ja też jestem wyższa od ciebie. A skąd, nawiasem mówiąc, wiesz o tym? Przecież nie było jej w Sokolnikach, gdy pojechałeś tam z grupą, tamtego dnia Sawienicz nie miała zdjęć.

– Ty za to wiesz wszystko, mądrała za dychę. – Jura się obraził. – Nikt ci nie zameldował, że Sawienicz wpadła do Sokolników godzinę po przyjeździe grupy? Woronowa zatelefonowała do niej, a ona natychmiast się stawiała.

– Po co?

– Żeby okazać wsparcie moralne. Woronowa i Sawienicz są jak papużki nierozłączki. Jedna ma trzydzieści lat, drugiej stuknęła pięćdziesiątka. Dwadzieścia lat różnicy, ciekaw jestem, co może je łączyć.

– Nie przesadzaj, Woronowa ma raptem czterdzieści sześć lat, a Sawienicz trzydzieści jeden. To długa historia, przez wiele lat



mieszkały w tej samej komunałce. Sawienicz miała problematycznych rodziców: ojciec trafił za kratki, a matka się rozpiła. Woronowa niańczyła ją niemal od urodzenia. Nic więc dziwnego, że w sytuacji stresowej Woronowa od razu zadzwoniła do Iriny. Nie ma się też co dziwić, że Sawienicz natychmiast przyjechała. Przez całe życie tak było. A skąd wiesz, co z tego wynika?

– Wiem – burknął Korotkow, dolewając sobie soku z litrowego kartonu. – Cokolwiek się zdarzy, Woronowa będzie ją kryć. Albo Sawienicz Woronową, co w sumie na jedno wychodzi.

– Aleś ty złośliwy, Jurik. – Nastia westchnęła. – I nieżyczliwy.

– Uhm, za to ty jesteś chodzącą dobrocią i wyrozumiałością. A tak w ogóle do czego zmierzasz? Do tego, że Jana Nilska mogła zabić rywalkę?

– To oczywiste. Wiesz, co mi powiedziała Woronowa? Że Jana zaczęła flirtować z kierowcą wyłącznie z zazdrości, bo była u kresu wytrzymałości. A wiesz, co się dzieje, gdy kobiety są u kresu wytrzymałości?

– Wyobrażam sobie – mruknął Korotkow. – To znaczy, że gdyby sytuacja nadal się rozwijała, Jana prędzej czy później kropnęłaby albo rywalkę, albo niewiernego męża. A mówiono mi, że jest mała i krucha...

– Moje słoneczko, żeby odwieść kurek i nacisnąć spust, nie trzeba być Schwarzeneggerem. Wystarczy mieć jedną rękę z pięcioma palcami. A żeby zatrudnić najemnika, nie trzeba mieć nawet rąk. Zdaniem świadków Jana Nilska to dziewczyna z dużym, a nawet bardzo dużym temperamentem. Niesłychanie energiczna i emocjonalna. Zdolna do nieobliczalnych i nagłych czynów.

– Pięknie...

Jura w zamyśleniu sięgnął łyżeczką do talerzyka z konfiturami i zaczął wybierać wiśnie.

– A dlaczego powiedziałaś, że Woronowa też mogła zostać zabita? Po co Jana Nilska miałaby zabijać reżyserkę?

– Bo była przekonana że, po pierwsze, mąż ma romans z Iriną Sawienicz, a po drugie, że Woronowa kryje oboje i ułatwia im schadzki.

– Kto niby ci to powiedział? – zdziwił się Korotkow.

– Sama Woronowa.

– A ty uwierzyłaś, tak?

– Jura, odniosłam wrażenie, że to mądra i przyzwoita kobieta i że zna się na ludziach. Jej mąż, nawiasem mówiąc, też jest bardzo miły. Gmyria kazał mi wywąchać, jaki stosunek do zdjęć ma mąż Woronowej, czy nie próbuje zmusić jej, by zrezygnowała z projektu po zabójstwie. Innymi słowy, czy nie chce wykorzystać tragedii, żeby zaoszczędzić pieniądze, które tak hojnie obiecał żonie na serial. No więc tym u nich wcale nie pachnie. Przynajmniej na razie.

– Czy to Gmyria wymyślił te brednie? – Jura sceptycznie uniósł brwi.

– No chyba nie ja. Boria uważa, że mąż Woronowej mógł sam zaplanować zabójstwo, żeby przerwać zdjęcia, bo szkoda mu pieniędzy, a z jakichś powodów nie mógł odmówić żonie finansowania. Jura, to wcale nie brednie, tylko normalna konstrukcja logiczna, weryfikacja wszelkich możliwych hipotez. Gdy jednak zobaczy się ludzi na żywo, w ich domu, i usłyszy się, jak się do siebie zwracają i jak się zachowują, to wiadomo, co jest możliwe, a co nie. Ale gdy ludzi się nie widzi, każda hipoteza wydaje się prawdopodobna. Weźmy na przykład ciebie. Wierzysz, że Anatolij Andriejewicz Aksiuczic może być zabójcą?

– Aksiuczic? A kto to taki?

– Najpierw odpowiedz, czy może kogoś zabić.

– Może. Czemu nie? Skoro to człowiek, w dodatku żywy, to znaczy, że jest zdolny do wszystkiego, między innymi do zabójstwa. Nie widzę w tym nic nieprawdopodobnego. A teraz mów poważnie, Nastiuha, kto to taki?

– Doktorant Loszki, widziałeś go u nas jakieś dwa miesiące temu. Korotkow parsknął śmiechem.

– Ten pulchny, dobroduszny? Ten, który tak zabawnie się przestraszył, że zaraz się pokłócimy?

– Owszem.

– Nie, on nie zabije. Nigdy – oznajmił Jura stanowczo. – To przemiły facet, zupełnie nieszkodliwy. Moim zdaniem nawet nie potrafi się rozżłościć. W porządku, zrozumiałem, co chciałaś powiedzieć. Czy Gmyria ma też inne hipotezy?

– Furę. Na przykład, że kierowcę zabito, by nie przeszkodził w porwaniu Jany. A samą Janę porwano w celu wymuszenia okupu od męża Woronowej, który, jak ci wiadomo, nie należy do biedaków. To znaczy Boria uważa, że Janę Nilską i Andrieja Konstantinowicza Ganielina mógł łączyć gorący romans.

– To dopiero... Czyli że mąż zerka w stronę ślicznej aktorki, a ja, żeby mu zrobić na złość, prześpię się z bogatym mężem reżyserki. Czemu się nie śmiejesz?

– A co w tym śmiesznego? – Nastia nie zrozumiała.

– Jak to co? Wszystko! – Korotkow uderzył pięścią w stół. – Wszystko, co Gmyria wymyślił, a ty powtarzasz, jest śmieszne. Kiedy Jana Nilska przyjechała do Moskwy?

– W przeddzień rozpoczęcia zdjęć, dwudziestego maja.

– A zniknęła dziewiątego czerwca. Jest tutaj zaledwie od trzech tygodni, a ty uważasz, że w tym czasie najpierw jej mąż nawiązał romans z Iriną Sawienicz, później Jana długo i chorobliwie była zazdrosna, później postanowiła oczarować Ganielina, później rozwijała się ich zażyłość, później dowiedzieli się o tym przestępcy, później opracowali plan, jak wycygnąć pieniądze od biznesmena, później go zrealizowali. I to wszystko w ciągu dwudziestu jeden dni! Taka historia wymaga roku, jeśli nie więcej. To tak, jakby streścić *Sagę rodu Forsyte'ów* na trzech stronach.

– Jura, Nilski zna Irinę Sawienicz równo dziesięć lat – zauważyła Nastia. – Więc przestań się gorączkować.

– No dobrze, skoro tak. Ale Jana Nilska dopiero teraz przyjechała do Moskwy po raz pierwszy. – Korotkow się nie poddawał. – W ciągu trzech tygodni sprawy nie mogły zajść tak daleko, że doprowadziło to do porwania i wymuszenia. W tak krótkim czasie dziewczyna nie mogła zauroczyć męża Woronowej do tego stopnia, żeby przestępcy, obserwujący ich z boku, uznali: tutaj da się wyciągnąć kasę.

– A kto ci powiedział, że wszystko trwało tylko trzy tygodnie? – zainteresowała się Nastia niewinnie.

– Bo Jana jest w Moskwie pierwszy raz. Nie słyszysz, co do ciebie mówię?

– Słyszę. A jesteś pewien, że mąż Woronowej nigdy nie był w Kemerowie? Że poznał Janę w Moskwie, a nie w innym mieście?

Na przykład w jakimś kurorcie?

– Czuję się przyparty do muru – powiedział Jura gniewnie.

– Przez kogo? – Nastia nie zrozumiała.

– Przez ciebie. Z twoich słów wynika, że Jana mogła sama wszystko wymyślić i odegrać teatrzyk, żeby wyciągnąć pieniądze od bogatego kochanka. Zgadza się?

– Owszem. Mogła. To też trzeba sprawdzić. Na razie wróźmy z fusów. Bo Jana jednak się nie pokazała. I zupełnie nie wiadomo, czy została porwana, czy zniknęła z własnej woli. I jeśli ktoś ją porwał, to w jakim celu. Porywacz nie telefonował ani do Woronowej, ani do Sawienicz, ani do nikogo innego i niczego nie żądał. No dobrze, pora się kłaść. – Nastia z westchnieniem podniosła się z krzesła. – Słowo się rzekło, więc muszę ci dać czystą pościel.

Podczas gdy Korotkow pluskał się pod prysznicem, rozłożyła „gościnną” kanapę, pościeliła ją, podłączyła telefon komórkowy do ładowarki, pościeliła swoje łóżko. Jura wyszedł z łazienki, owinięty w puszysty szlafrok Czistiakowa, odświeżony i pogodny.

– To się nazywa szczęście! – skonstatował, opadając na kanapę i wyciągając nogi. – Człowiek zaczyna je cenić, gdy spędzi w pracy dwie noce z rzędu. O której jutro pobudka?

– O siódmej – oznajmiła Nastia smętnie.

– Czemu tak wcześnie? – zdziwił się. – Wystarczyłoby o wpół do dziewiątej. Droga zajmie ze czterdzieści minut, najpierw prosto jak strzelił do obwodnicy Sadowej, a później już bliźutko. Umyć się, wrzucić coś na ruszt i dojechać, półtorej godziny to aż nadto. W dodatku jutro w całym kraju jest dzień ustawowo wolny od pracy, całe postępowe społeczeństwo rosyjskie będzie świętować Dzień Rosji, a my pognamy do pracy wyłącznie z poczucia obowiązku i zdrowego detektywistycznego zapału. Kto powiedział, że musimy się zjawić o dziesiątej zero zero? Zaczniemy pracować, kiedy uznamy za stosowne.

– Dzisiaj Afonia mi zakomunikował, że mam się stawić jutro o dziesiątej, żeby zameldować o wynikach dzisiejszej pracy. On też nie może usiedzieć w domu w dni wolne od pracy; zależy mu, żeby rozkręcić hipotezę telewizyjną.

– O Boże! – Jura westchnął. – To jednak prawda, co się mówi o nowym szefie, że jest gorszy od kataklizmu. No dobrze, zawiozę cię na dziesiątą, ogłaszam pobudkę o wpół do dziewiątej.

– Ja tak nie mogę, Jurik. Rano potrzebuję czasu na rozruch. Żeby wyjść z domu o dziewiątej, muszę wstać o siódmej.

– Jak sobie chcesz. – Jura wzruszył ramionami. – Wobec tego wstań o siódmej, a mnie nie budź przed wpół do dziewiątej.

Zasnął w jednej chwili, nie zdążywszy nawet dobrze naciągnąć kołdry. Nastia w milczeniu pozazdrościła mu zdolności szybkiego wyłączania się i powlokła się pod prysznic.

## Rozdział 4

Mężczyzna z odrazą patrzył na leżącą na talerzu kanapkę z serem i plasterkiem świeżego ogórka i wiedział, że musi ją zjeść. Musi, chociaż wcale nie ma ochoty. Z przeżytych trzydziestu trzech lat przez co najmniej piętnaście nie jadł nic na śniadanie, pił tylko herbatę albo kawę. Rano nie miał apetytu, ale na obiad i kolację mógł zjeść, jak to się mówi, konia z kopytami; ze smakiem pałaszował wszystko bez wyjątku. Teraz sytuacja się zmieniła i musi na siłę wpychać w siebie nienawistny poranny posiłek, a wieczorami ograniczać się do połowy tego co dawniej.

Od jakiegoś czasu prowadzi nowe życie i przejawia się to nie tylko w tym, że musi zjadać obfite śniadania i zadowalać się lekkimi kolacjami. Musi też ubierać się inaczej, oglądać w telewizji albo na wideo nie te filmy, które mu się zawsze podobały, i czytać książki, których kiedyś serdecznie nie znosił. Nawet poranną toaletę robi w innej kolejności: najpierw golenie, później prysznic, a nie na odwrót, jak przywykł w młodości. Jeden mądry człowiek powiedział mu: „Musisz stać się zupełnie inną osobą. Żeby to zrobić, powinieneś zmienić się pod każdym względem, nie wyłączając drobiazgów, w przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie. Nawet jeden stary nawyk, który zechcesz zachować, okaże się łańcuchem, który cię przykuje do poprzedniego życia. Ty zaś powinieneś się go pozbyć i wyrzucić je na śmietnik. Inaczej się nie wykaraskasz”. Początkowo Wiktor nie uwierzył, myślał, że facet gada od rzeczy. Komu będą przeszkadzać stare zwyczaje, jeśli nikt się o nich nie dowie? Każdy film sensacyjny można oglądać w samotności, a gdy nikogo nie ma obok, kto się domyśli, co Wiktor robi w wolnym czasie: czyta książki czy słucha muzyki? Co komu do tego, jak wygląda jego śniadanie?

A później ten sam mądrała zajął jak zwykle do niego w ciągu dnia, zachmurzył się i zapytał surowo:

– Znowu piłeś tylko herbatę rano? Uważaj, bo się doigrasz.

– Jak się pan domyślił? – zapytał zdumiony Wiktor, który tamtego dnia naprawdę złamał zasady i ograniczył się do gorącego napoju.

– Nic w tym nadzwyczajnego. Zaczęłeś dzień jak przedtem i zachowujesz się jak przedtem. Żartujesz, uśmiechasz się, strugasza wariata. Wyłazi z ciebie dawne życie, tylko głupiec się nie domyśli. Pewnie nie otworzyłeś też dzisiaj książki? Pamiętaj, że nowe życie zaczynasz dla siebie, a nie dla mnie. Ja się nie przejmę, jak ktoś cię udusi w ciemnej bramie, nawet nie kiwnę palcem. Jesteś dla mnie nikim. Powinieneś się starać we własnym interesie, bo chodzi o twoje, a nie moje życie. Jeśli chcesz żyć, rób, co mówię.

Wiktor chciał żyć. I to bardzo. Dlatego już od pół roku odmawiał sobie tego, co dawniej lubił, co sprawiało mu przyjemność i było czymś normalnym. I z dręczącym poczuciem żalu pomieszanego z satysfakcją obserwował siebie z boku: studiował zmianę charakteru, stylu życia, zachowania. Zauważył, że stał się zły, ponury, wiecznie niezadowolony, cyniczny. Z najwyższym trudem prowadził nowe życie, ale doskonale wiedział, że ciężkie i nieprzyjemne życie jest lepsze niż żadne, więc się starał.

Kanapka wydała mu się sucha i bez smaku, ale zmusił się, by zjeść ją do końca. Później krzywiąc się, wlał w siebie szklankę kefiru, którego nie cierpiał od dziecka. I dopiero wtedy wypił mocną, słodką herbatę. Nienawidził słodkiej herbaty, ale nie szkodzi, trochę się przyzwyczał i nawet zaczął znajdować w niej pewną przyjemność. Może naprawdę uda mu się zmienić do niepoznania? Tak, że nikt nigdy nie rozpozna w nim hazardzisty i ulubieńca kobiet Jurki Simonowa. Ma teraz inną powierzchowność, inne nazwisko, nowe dokumenty. Są jednak ludzie, którzy go szukają, w dodatku wiedzą, że wygląda inaczej i używa innego nazwiska. To znaczy, że będą chcieli rozpoznać go na podstawie przyzwyczajień, gustów i stylu życia. Po sposobie chodzenia i wystawiania się, po niemal odruchowych gestach, których człowiek przeważnie nie zauważa. Na przykład gest, którym wyjmując z kieszeni portfel i wyciąga z niego banknoty. Żeby zmienić mechaniczny ruch ręki i palców, Wiktor

zaczął trzymać pieniądze nie w portfelu, ale w portmonetce, i chować ją nie do kieszeni kurtki albo marynarki, ale do torby przewieszanej przez ramię. Któregoś dnia zauważył, że ci, którzy noszą okulary, poprawiają je różnymi charakterystycznymi gestami, więc zamówił okulary w cienkiej oprawie, ze szkłami o zerowej wartości korekcyjnej. Zmienił również wiele innych rzeczy w swoim codziennym życiu. Może uda mu się ich oszukać. Może...

Ranek ciągnął się wolno i smętnie. Obowiązkowy program – wiadomości w telewizji, żeby wiedzieć, co się dzieje, i co najmniej dwadzieścia stron jakiejś książki o życiu znanych ludzi, żeby można było podtrzymać rozmowę. Wiktor wybrał serię *Triumf – Złota Kolekcja* – styl lekki i czyta się z przyjemnością. W ciągu ostatnich miesięcy przebrnął przez książki Ałły Diemidowej i Michaiła Żwanieckiego, teraz kończył wspomnienia Olega Tabakowa. Wielu rzeczy nie rozumiał, bo nie znał rosyjskiej i światowej dramaturgii, nie miał pojęcia, co to jest „duszną, napiętą atmosferą spektaklu”, zapamiętywał jednak fragmenty „o życiu”. Niektóre zdania łatwo i bez wysiłku zapadały mu w pamięć, ale czasem specjalnie je sobie powtarzał, gdy uznał, że słowa są celne, a sformułowania – zgrabne i warto je rzucić od niechcienia w rozmowie, żeby błysnąć inteligencją i wykształceniem.

W południe był już w centrum Moskwy. Wyprawy do drogich sklepów to też część nowego życia, ale bardzo przyjemna. Wiktor lubił przechadzać się po sklepach, oglądać eleganckie rzeczy ze znakami firmowymi znanych na całym świecie domów mody i cieszyć się myślą, że może kupić sobie każdą z nich albo wszystkie naraz. Umiejętność rozpoznawania tych rzeczy oraz szacowania ich wartości to nie tylko część nowego życia. To nieodzowny element w pracy, bo przecież podczas rozmowy z klientem, który rzekomo gotów jest wyłożyć okragłą sumkę, Wiktor musi umieć na pierwszy rzut oka ocenić jego zegarek, krawat, buty, aktówkę czy portfel, pierścionek i bransoletkę na ręce kobiety, odróżnić falsyfikat od prawdziwego wyrobu, podjąć decyzję dotyczącą wypłacalności. Po co tracić siły i czas na interesy z człowiekiem, który ma wielotysięczne ambicje, a jednocześnie nosi na ręce turecką podróbkę Cartiera, kupioną za dwadzieścia dolarów.



Dzisiaj najwięcej czasu spędził w sklepie Dzentelmen – zbliża się lato i jeśli znowu okaże się upalne, klienci będą nosili lekkie bawełniane T-shirty, dlatego trzeba koniecznie zapoznać się z asortymentem i modnymi wariantami wykończenia, żeby nie zrobić z siebie głupca i nie pomylić się podczas wyceny, nie wziąć taniej koszulki z bazaru za drogą lub odwrotnie. Mijając Dziką Orchidę, Wiktor odruchowo zerknął na witrynę, ale nie zamierzał wchodzić, damska bielizna go nie interesowała. Przez okno zobaczył jaskrawe koronkowe fatałaszkę, urzekające swoją niedorzecznością, a także trzy żeńskie postaci, z których dwie, obleczone w uniformy, bez wątplenia należały do ekspedientek. Trzecia postać sprawiła, że zwolnił kroku. Szczupła, niewysoka dziewczyna o śniadej cerze i z długimi, sięgającymi niżej pasa prostymi, lśniącymi włosami stała bokiem do Wiktora i oglądała coś zwiewnego, przypominającego krótki peniuar. W pierwszym odruchu Wiktor chciał już wejść do sklepu, kupić ten drobiazg z mieniającego się jedwabiu i podarować go smagłej ślicznotce. Właśnie tak by się zachował w tamtych czasach, gdy nosił nazwisko Simonow. Nigdy nie był skąpy, pieniądze wydawał lekką ręką i z przyjemnością. Za pomocą takiej sztuczki łatwo nawiązywał miłe znajomości, które prawie zawsze przeradzały się w niezobowiązujące związki intymne, trwające od tygodnia do paru miesięcy. Teraz jednak nie jest już Simonowem, jest innym człowiekiem, więc nie może tak postąpić. Z żalem rzucił ostatnie spojrzenie na dziewczynę, po czym ruszył dalej. Zajrzał jeszcze do dwóch sklepów i przestudiował nowe modele męskich zegarków i damskich torebek. Wreszcie wstąpił do swojej ulubionej restauracji Ładownia, w której serwowano najlepsze, jego zdaniem, piwo – jasne niefiltrowane. Przynajmniej w tej kwestii nie musiał się zmuszać, w poprzednim życiu pił ciężkie ciemne marki, ale pewnego dnia spróbował piwa w Ładowni i doszedł do wniosku, że znalazł „swój” napój. Teraz przy każdej nadarzającej się okazji przychodził tutaj, jeśli nie po to, by coś zjeść, to choćby po to, żeby wypić ze dwa, trzy kufle.

Otworzył menu i jak zwykle w ciągu ostatnich miesięcy zaczął od „paskudztwa”. Simonow lubił wieprzowinę, a więc zamówimy żeberka baranie. W poprzednim życiu Wiktor zamówiłby zimną

przystawkę do piwa – rybę albo krewetki, a zatem teraz musi zjeść warzywa, niesmaczne i niedające żadnej radości. Dobrze przynajmniej, że dzisiaj pracuje kelnerka Ola, posiadaczka nóg takiej długości i urody, że doprawdy trudno odgadnąć, czemu podjęła tę pracę.

Pił już drugi kufel piwa i czekał na danie na gorąco, gdy do restauracji weszła dziewczyna z długimi włosami. W ręce miała tylko malutką torebkę, widocznie nie kupiła jednak tamtego jedwabnego fatałasza. Ciekawe czemu? Okazał się za drogi? Ale przecież Ładownia nie należy do tanich lokali, tutaj nie przychodzi się z trzema rublami. Dziewczyna nie usiadła przy stoliku, ulokowała się przy kontuarze. Zamierza zamówić piwo? Wiktor obserwował ją z ciekawością, podziwiając wąskie plecy, przykryte szczelną zasłoną ciemnych włosów.

– Oleńko, zna pani tamtą dziewczynę? – zapytał, gdy kelnerka przyniosła parującą baraninę.

– Wpada tutaj czasami. – Ola uśmiechnęła się zdawkowo.

– Sama?

– Albo sama, albo z koleżankami.

– Co zamawia? – Wiktor kontynuował przesłuchanie.

– Kawę i ciastka.

– A alkohol?

– Nie przypominam sobie. Może nie podczas mojej zmiany...

Ola się ulotniła, a Wiktor zabrał się do jedzenia, postanawiając w duchu, że jeśli dziewczyna nie wyjdzie, zanim on upora się z żeberkami, to ją zagadnie. Jeśli natomiast wyjdzie wcześniej, to znaczy, że znajomość z nią nie jest mu pisana.

Dziewczyna chyba nigdzie się nie śpieszyła. Podano jej kawę i dwa ciastka, teraz siedziała zwrócona bokiem do Wiktora. Kątem oka widział, jak szczupła ręka z zaciśniętą w niej łyżeczką porusza się wolno od talerzyka z ciastkami do ust i z powrotem. Skończywszy posiłek, Wiktor wstał od stolika i zdecydowanie podszedł do kontuaru.

– Nic pani jednak nie kupiła? – zapytał.

Dziewczyna podniosła na niego oczy, w których nie było ani zdziwienia, ani uśmiechu.

– Dlaczego miałam coś kupić? – odparła stłumionym głosem.

– Widziałem, jak pani wybierała coś w Dzikiej Orchidei. Nie bardzo wiem, co to było, ale wyglądało ładnie. Właściwie byłem pewien, że pani to kupi.

– Dlaczego?

W jej głosie nadal nie było zdziwienia. Pytanie zabrzmiało oschle, jakby dziewczyna wcale nie była ciekawa, dlaczego mężczyzna uznał, że powinna była dokonać zakupu.

– Byłoby pani do twarzy w tym kolorze.

– Nieprawda, nieładnie mi w bordowym.

– Kto to pani powiedział?

– Wiem sama.

– Myli się pani. Może pójdziemy do jakiegoś sklepu, znajdziemy coś w bordowym kolorze, przymierzy to pani, a ja udowodnię, że się pani myli. Założymy się?

– Nie chcę.

Dziewczyna podniosła do ust filiżankę z kawą, upiła mały łyk i znowu zaczęła wolno jeść ciastko.

– A czego pani chce?

– Niczego. – Wzruszyła lekko ramionami.

– To niemożliwe. W każdej chwili swojego życia człowiek chce czegoś. Pić, jeść, spać, zrobić coś, pójść gdzieś, porozmawiać z kimś. Jeśli niczego nie chce, to znaczy, że nie żyje. Chce pani, żebym się odczepił?

– Pan? – Jej usta drgnęły w nikłym uśmiechu. – Nie, nie chcę. Nie przeszkadza mi pan.

– A więc możemy jeszcze porozmawiać? – uściślił Wiktor, choć już się domyślił, że dziewczyna nie usiłuje się go pozbyć. Albo jest bardzo zmęczona, albo nie w humorze, ale nie ma nic przeciwko pogawędce.

– Możemy.

– A mogę zamówić coś dla pani?

Zaraz sytuacja się wyklaruje. Wszystko zależy od tego, co dziewczyna odpowie. Jeżeli ma niewiele pieniędzy i dlatego zamawia tylko kawę i ciastka, lubi jednak odwiedzać drogie sklepy, oglądać drogie rzeczy i czuć się jak zamożna dama, a później wstąpić do

drogiej restauracji, to poprosi o alkohol albo obiad. W tym wypadku można będzie za chwilę wszcząć rozmowę o bieliźnie w prezencie, dziewczyna zaś bez wątpienia przyjmie prezent, a dalej wszystko wiadomo. Jeśli natomiast odmówi, trzeba się zastanowić, jak nie zaprzepaścić szczęśliwej okazji.

Dziewczyna pogrążyła się w zadumie, to dodało otuchy Wiktorowi. Skoro myśli, to znaczy, że się zastanawia, o co poprosić. Okazało się jednak, że nie miał racji.

– Dziękuję, zjadłam już wszystko, na co miałam ochotę – odparła nieśpiesznie, wsuwając do ust ostatni kawałek ciastka.

– Może jeszcze jedno ciastko? – zaproponował. – Albo kawę?

– Nie, dziękuję, to wystarczy.

– Piwo? Podają tutaj bardzo dobre piwo, najlepsze w Moskwie.

– Nie piję piwa, dziękuję – powiedziała uprzejmie.

– A co pani pije? Wypijmy to, co pani lubi. – Wiktor się nie poddawał.

– Lubię szampana, ale nie w środku dnia. W ciągu dnia w ogóle nie piję alkoholu.

No proszę, trzeba było od razu tak mówić! Wszystko jasne – ona zgadza się wypić z nim szampana wieczorem, niewykluczone, że w restauracji albo nawet w intymniejszej scenerii. Z każdą sekundą Wiktor czuł, że dziewczyna coraz bardziej mu się podoba. Ile może mieć lat? Dwadzieścia, dwadzieścia dwa, nie więcej. Ciekawe, czym się zajmuje? W ciągu dnia chodzi po sklepach, pije kawę w restauracji. Czyżby nie pracowała? To niebezpieczne, niepracujące dziewczyny nie są tym, na co może sobie pozwolić. No bo kim jest niepracująca ładna dziewczyna? Albo córeczką bogatego tatusia, który prześwietla każdego, kto się zbliży do ukochanego dziecięcia, albo utrzymanką jakiegoś bogacza, któremu prawdopodobnie nie spodoba się, że jego własność przyprawia mu rogi. Obie opcje zupełnie nie odpowiadały Wiktorowi. Było, co prawda, trzecie wyjaśnienie – dziewczyna pracuje, ale w tej chwili jest na urlopie. Albo pracuje na zmiany. Czwarte wyjaśnienie, zdaniem Wiktora, raczej nie pasowało do tej sytuacji: dziewczyna mogła uprawiać najstarszy zawód świata i pracowała w nocy, lecz jej styl bycia jakoś z tym nie współgrał. Wiktor w zasadzie nie miał nic przeciwko

prostytutkom, co więcej, regularnie korzystał z ich usług. Młody organizm domagał się swoich praw, a nawiązywanie stabilnych związków z kobietami napawało go lękiem.

– A więc mogę liczyć na to, że zgodzi się pani wypić ze mną szampana dzisiaj wieczorem? – zapytał.

Dziewczyna długo i uważnie wpatrywała się w niego, później znowu wzruszyła ramionami.

– Dziwny z pana facet – rzuciła beznamiętnie. – Zależy panu na tym, żeby zawrzeć znajomość czy się ze mną napić?

– Oczywiście, że zawrzeć znajomość – odparł Wiktor szybko.

– Więc proszę to zrobić.

– Tak zwyczajnie, od razu? – Speszył się.

– Też mi „od razu”! Już pół godziny zawraca mi pan głowę a to kolorem bordo, a to darmowym alkoholem. Należy pan do nieśmiały?

– Ja... no cóż, w pewnym sensie.

Pierwszy raz w ciągu ostatnich miesięcy poczuł się rozbawiony. Jego, zabójcę, który sprzątnął co najmniej dziesięć osób i zarobił na tym olbrzymią kasę, podejrzewać o nieśmiałość! Nigdy przedtem dziewczyny nie odbierały go w ten sposób. Może faktycznie zaczął się zmieniać? Nie stał się, rzecz jasna, nieśmiały, o tym nie ma mowy, ale sprawia chyba zupełnie inne wrażenie niż w tamtym życiu. No cóż, to dobrze.

– Jestem Wiktor – przedstawił się.

I w tej samej chwili drgnął ze strachu. Co się z nim dzieje? Odkąd zmienił dokumenty, ani razu nie podał swojego nowego imienia. To znaczy w pracy wszyscy znają go, oczywiście, jako Wiktora, musiał przecież pokazać dowód osobisty, gdy się zatrudniał. Sąsiedzi też znają jego imię, bo zameldowany jest jako Wiktor Słucewicz. Ale zawierając przypadkowe znajomości z dziewczynami, zawsze wymyślał różne imiona. Właściwie nawet nie potrafiłyby wytłumaczyć dlaczego. Nie mógł podać starego imienia, a nowe nie przechodziło mu przez gardło, no więc rzucał pierwsze z brzegu: Siergiej, Nikołaj albo Alik, czasem coś jeszcze rzadszego. Skoro związek nie jest prawdziwy, imię również powinno być nieprawdziwe. A teraz raptem

chlapnął: „Jestem Wiktor”. Czyżby zaczął się oswajać z nowym wizerunkiem?

– A ja Julia.

Julia, Jula, Juleńka... Cudowne imię. Dziewczyna też jest cudowna. Nie wygląda wulgarnie, poza tym nie wydaje się skrępowana ani niedostępna. W dzisiejszych czasach o takiej dziewczynie mówi się, że jest wyzwolona.

– No to jak, Juleńko, gdzie spędzimy czas do wieczora? – rzucił żywo. – Wieczorem czeka nas szampan i kolacja przy świecach, a przedtem?

– Obawiam się, że się pożegnamy. – Jula się uśmiechnęła. – Dzisiaj wieczorem jestem zajęta.

– Nie możesz zmienić planów?

– Po co? – zdziwiła się szczerze. – Możemy wypić szampana innym razem, niekoniecznie dzisiaj. Chyba że się panu pali?

– Pali się, Juleńko. Pali się, bardzo chcę spędzić dzisiejszy wieczór razem z tobą.

Specjalnie przeszedł na „ty”, żeby jego słowa zabrzmiały intymnie i, jak sądził, bardziej przekonująco.

– Ale mnie się nie pali. Dzisiaj wieczorem nie mogę – odparła stanowczo. – Jeśli pan chce, możemy się spotkać i zjeść kolację jutro.

– Dobrze – zgodził się Wiktor. – Pod jednym warunkiem. Przenoszę nasze spotkanie na jutro, ale ty za to mi powiesz, co to za poważne zajęcie, którego nie możesz odwołać.

No cóż, tak jest nawet lepiej. Można jeszcze trochę pogawędzić z dziewczyną i dowiedzieć się, kim jest i czym się zajmuje. Jeśli odpowiedzi mu się nie spodobają, to jutrzejszą randkę zwyczajnie zignoruje – zniknie i nie pojawi się więcej.

– Obiecałam koleżance, że wieczorem pomogę jej się przygotować do egzaminu. Ja zdawałam dzisiaj, a jej grupa zdaje pojutrze.

A więc tak się sprawy mają! Okazuje się, że jesteśmy studentką. No cóż, niewiele światła rzuca to na twoje życie, Juleńko. Fakt, że studiujesz, w żadnym razie nie wyklucza ani czepialskiego tatusia, ani zazdrosnego, bogatego sponsora.

– I co dostałaś na egzaminie?

– Piątkę, jak zwykle.

– Czyli jesteś prymuską? – sprecyzował.

– Do tej pory tak, ale czeka mnie jeszcze szósty rok i egzaminy końcowe, więc wszystko się może zdarzyć.

– A dlaczego szósty rok? – Nie zrozumiał. – Gdzie trzeba się uczyć tak długo?

– Na medycynie. Dosyć, przesłuchanie skończone?

Patrzyła spokojnie i poważnie, w jej głosie nie słychać było irytacji ani niezadowolenia, mimo to Wiktor, nie wiedząc czemu, poczuł się jak kompletny idiota.

– Ależ skąd, Juleńko, wszystko dopiero się zaczyna. Chcę, żebyś mi powiedziała, ile masz lat, gdzie mieszkasz, czy masz rodziców i czym się zajmują, no i czy nie masz zazdrosnego kawalera, który zechce obić mi gębę. Bo musisz wiedzieć, że nie lubię bójek.

– A co pan lubi?

– Lubię proste i zwyczajne życie, bez konfliktów, intryg i komplikacji.

– Lubi pan też wszystko o wszystkich wiedzieć, prawda?

Jula wręczyła barmanowi pieniądze, odebrała resztę, wsunęła banknoty do torebki, zatrzasnęła ją i zsunęła się lekko z wysokiego stołka.

– Zaczekaj. – Wiktor przytrzymał ją za rękę. – Jeszcze nie skończyliśmy. Co z jutrem? Spotkamy się?

– Możemy – odparła obojętnie, uwalniając rękę. – Przyjdę tutaj na kawę jutro koło siódmej. Jeśli pan zechce, to mnie tu znajdzie.

– Oczywiście, że znajdę! – niemal krzyknął, bo Jula szybkim krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

Do wieczora Wiktor załatwił mnóstwo pożytecznych spraw, które już dawno odkładał. Opłacił rachunki telefoniczne, zaniósł do czyszczenia dwie pary jasnych letnich spodni i odebrał bieliznę z pralni. Również o dziesiątej podniósł słuchawkę i zadzwonił, żeby się dowiedzieć, co słychać.

– Na razie wszystko idzie zgodnie z planem – oznajmiono mu.

No cóż, zgodnie z planem to zgodnie z planem, oni wiedzą lepiej. Wiktor wiele by dał, by poznać szczegóły. W końcu to nie żarty, chodzi o jego bezpieczeństwo i życie. Nie wtajemniczano go jednak

w detale i nie wdawano się w żadne wyjaśnienia przez telefon, kazano tylko dzwonić co trzy dni, nie częściej.

≡

Pod koniec dnia do pokoju Nastii wpadł rozpromieniony Korotkow.

– No, koleżanko, pogratuluj mi!

– Czego? – Nastia nie zrozumiała. – Zwierzchnicy przyznali ci przedterminowo stopień pułkownika?

– Aleś wymyśliła, tego się po nich nie spodziewam! – prychnął Jura. – Załatwiłem nowego pracownika do wydziału. Jutro rano przystąpi do pracy.

– Kogo? – Przestraszyła się. – Skąd go wzięłeś?

– Ze śmietnika – burknął. – Czemu się czepiasz? Wciąż jęczysz, że wydział jest pusty, że nie ma kto pracować, bo wszyscy się wynieśli, a teraz odrzucasz dodatkową parę rąk.

– Nie odrzucam, Jurik, tylko pytam, gdzie on pracował i co potrafi.

– Ale z ciebie maruda, słowo daję... A dlaczego nie zapytasz, ile wysiłku mnie kosztowało, żeby go do nas ściągnąć? Dlaczego nie zapytasz, jak urobiłem najpierw jego, a później jego naczelnika? Nawet nie widziałas go na oczy, a się interesujesz, tymczasem o mordędzie twojego najlepszego, można powiedzieć, przyjaciela Korotkowa nawet nie chcesz słyszeć, tak?

– A ty chyba też zapomniałeś, że jestem twoją najlepszą przyjaciółką – odparowała Nastia. – Jak to się stało, że bierzesz do wydziału nowego pracownika, urabiasz najpierw jego, później jego naczelników, a ja nic o tym nie wiem? Tak się nie postępuje z przyjaciółmi. No więc, szefie, przestań mnie dręczyć, mów, kogo do nas przysyłają, bo za dwadzieścia minut muszę iść z raportem do Afonii.

Na twarz Korotkova wypląnął uśmiech sadysty wyobrażającego sobie męki ofiary.

– W porządku, idź do naczelnika. Jutro przyjdzie nowy pracownik i wtedy wszystkiego się dowiesz.

– Kpisz sobie?



– Zgadłaś! To za „szefa”. Tyle razy cię uprzedzałem, żebyś nie ważyła się nazywać mnie w ten sposób.

– A więc nie powiesz?

– Teraz za nic – rzucił Jura stanowczo.

– To idź do diabła. – Nastia machnęła ręką. – Spytałem Afonię.

Nastii Kamieńskiej nie uśmiechało się iść do naczelnika z raportem, bo nie miała o czym meldować. Jana Nilska jeszcze się nie odnalazła i nikt nie dzwonił ani do jej męża, ani do reżyserki Natalii Woronowej, żeby zażądać okupu albo podać inne warunki uwolnienia zaginionej kobiety. Dzisiaj już środa, za parę godzin miną równo cztery doby od chwili przestępstwa, a dalej nic nie wiadomo. To znaczy zebrano mnóstwo informacji, które jednak nie rzucają światła na zabójstwo kierowcy i zniknięcie żony scenarzysty. Okazało się, że powodów, by zabić sympatycznego Timura, była cała fura, ale tym się zajmują dochodzeniowcy z terenu. Ten kierunek śledztwa najwyraźniej nie interesuje Afonii. Myślałby kto – jakiś kierowca! Sprawa zabójstwa kierowcy nie przysporzy mu sławy. Co innego zabójstwo i porwanie w celu przerwania zdjęć – to może przynieść rozgłos, wszystkie gazety o tym napiszą. Wtedy cześć i chwała czekają Wiaczesława Michajłowicza Afanasjewa, naczelnika wydziału zabójstw! Cześć i chwała czekają Wiaczesława... Nastia roześmiała się w duchu z przypadkowego rymu, spakowała do teczki swoje notatki i poszła z raportem do szefa.

– Wiaczesławie Michajłowiczu, będę referować tak, jak mam w zwyczaju – zaczęła, rozkładając kartki na biurku.

– Czyli jak? – zapytał naczelnik szyderczo. – Chaotycznie, ze wzrokiem wbitym w sufit? Sądząc po tym, jak wygląda praca w waszym wydziale, tak właśnie się tutaj postępuje: byle jak i spontanicznie. Bez żadnego systemu.

Nastia w milczeniu przełknęła zarzut i postanowiła nie reagować. „W WASZYM wydziale”! Znalazł się rewizor. Chyba zapomniał, że teraz to jego wydział. Nie szkodzi, nowi naczelnicy często tak mówią przez pierwszy miesiąc, gdy wszystkie grzechy mogą zrzucić na poprzedników. Zobaczymy, Afonia, jak będziesz śpiewał za miesiąc. Zwłaszcza jeśli pod twoim czujnym kierownictwem zostanie

rozwiązana głośna sprawa. Pewnie od razu „wasz” wydział zamienisz na „nasz”.

– W sprawie zabójstwa w Sokolnikach wyznaczono cztery kierunki śledztwa – zaczęła, usiłując nie patrzeć na pułkownika Afanasjewa. – Pierwszy: kierowcę ekipy filmowej Tiejmuraza Indżiję zabito z pobudek osobistych, a Janę Nilską porwano jako niepożądanego świadka. Możliwe, że również zabito. W trakcie pracy nad hipotezą przeanalizowano kontakty kierowcy oraz jego styl życia. Ujawniono co najmniej trzy sploty konfliktów, które mogły się stać powodem zabójstwa. Indżija miał spore długi, ponadto prowadził bardzo nieuporządkowane życie osobiste. Dwukrotnie, w dziewięćdziesiątym dziewiątym i dwutysięcznym, trafił na komisariat milicji w związku z bójkami grupowymi, raz w Moskwie, a drugi raz w Soczi, gdzie spędzał urlop. Obie bójki wybuchły z powodu dziewcząt, z którymi flirtował. Zdobyliśmy także informacje, że Tiejmuraz Indżija brał udział w handlu narkotykami.

– Dalej – przerwał niecierpliwie naczelnik. – Te szczegóły możesz pominąć, to nie twoje zadanie.

– Chcę, żeby miał pan pełny obraz – zaproponowała Nastia.

– Niepotrzebny mi pełny obraz. Będziesz go malować śledczemu, ja potrzebuję wyniku. Jedź dalej – zażądał Wiaczesław Michajłowicz.

– Drugi kierunek zakłada – ciągnęła posłusznie Nastia – że celem było porwanie Jany Nilskiej, a kierowcę zabito, bo przeszkadzał w porwaniu albo był świadkiem, co właściwie na jedno wychodzi. W ramach tej hipotezy sprawdzamy kontakty Nilskiej i jej męża. Dzisiaj wiemy, że Jana Nilska nigdy przedtem nie była w Moskwie, ale jej mąż regularnie przyjeżdżał tutaj przez ostatnie dziesięć lat. Pracował w gazecie najpierw jako korespondent, a później sprawozdawca. Często zjawiał się w Moskwie, żeby zebrać materiał, ma tutaj wielu znajomych. Nie ujawniliśmy dotychczas splotów konfliktów, ale niewykluczone, że porwanie żony to zemsta za jakąś publikację z przeszłości. W rodzinnym Kemerowie Nilski zyskał miano „ostrego pióra numer jeden”. Napisał dużo demaskatorskich artykułów, więc z pewnością miał sporo wrogów, w tym również w Moskwie.

– Bardzo dobrze. – Afanasjew kiwnął głową z aprobatą, a Nastia dostrzegła pożądliwy błysk w jego oczach. No jasne, ta hipoteza nie ustępuje telewizyjnej. Zrobi się niezły szum, gdy się okaże, że jakaś szychy bestialsko policzyła się z dziennikarzem. – Masz plan pracy w związku z tą hipotezą?

– Przedstawię jutro.

– Dlaczego jutro? Dlaczego plan do tej pory nie został sporządzony?! – Naczelnik podniósł głos, a Nastia, nietolerująca głośnych dźwięków, odruchowo się skrzywiła. – Co robiłaś przez trzy dni? Liczyłaś muchy na suficie? Czy siedziałaś u fryzjera?

– Wiaczesławie Michajłowiczu, nie omawiałam jeszcze tej hipotezy ze śledczym. Jeśli on uzna, że warto pójść w tym kierunku, wtedy napiszę plan.

– Chcesz mnie uczyć kodeksu karnego? Zamierzasz mi przypomnieć, że to śledczy kieruje dochodzeniem? Pamiętaj, Kamińska, że w każdej sprawie będzie inny śledczy, ja zaś będę twoim naczelnikiem codziennie. Od rana do wieczora. Zrozumiałaś? Plan pracy związany z hipotezą przyniesiesz mi jeszcze dzisiaj. I żebyś nie ważyła się pójść do domu, zanim nie będzie planu. Jedź dalej. Trzeci kierunek.

Przez chwilę Nastia była nieobecna myślami. Jak gdyby uniosła się nad biurkiem, nad naczelnikiem i nad sobą, łagodnie wzbiła się pod sufit i z ciekawością spojrzała z góry na wszystko. Ma nowego naczelnika. W pokoju, w którym przez wiele lat siedział wspaniały, najlepszy na świecie naczelnik Pączek Gordiejew, teraz siedzi Afonia, jej dawny kolega ze studiów, i strofuje ją, nie przebierając w słowach, jak uczennicę, która nie nauczyła się lekcji, bo jest niesumienna i roztrzepana. Afonia, który nic a nic nie przypomina Gordiejewa, który nie zamierza jej oszczędzać i osłaniać, który ani minuty nie zastanawiał się nad tym, jak najlepiej i najracjonalniej rozdzielić zadania pomiędzy podwładnych, żeby sprawa na tym zyskała, i myśli tylko o tym, by osiągnąć sukces, który sprawi, że wszyscy zaczną mówić: „To rozumiem, to jest prawdziwy naczelnik. Gdy tylko przyszedł – praca od razu ruszyła z kopyta”. Afonia, który nie może się nadziwić, co kobieta robi w służbach kryminalnych, a zwłaszcza w wydziale zabójstw, i uważa, że jeśli już tutaj pracuje i nic się na to

nie poradzi, to trzeba albo ją stąd odprawić, wykopać, żeby sama odeszła i zwolniła miejsce dla sensownego faceta, albo traktować jak faceta. Biedny Afonia, jest w Moskwie od niedawna, więc do tej pory nie wie, jakie są niedobory kadrowe! Owszem, Nastia zajmuje stanowisko starszego oficera operacyjnego, w wydziale jest pełno wakatów, ale to stanowiska oficerów operacyjnych, którzy mają niewielką pensję i niewysoki stopień. Na te stanowiska nikt się nie połaszczy. Korotkowowi udało się kogoś znaleźć – to prawdziwy cud. Afonia jest święcie przekonany, że jeśli zwolni się miejsce starszego oficera, to natychmiast przyjmie kogoś sensowniejszego i przydatniejszego niż baba, mimo że z naramiennikami podpułkownika. Skąd jednak weźmie kogoś takiego? Wszyscy sensowni faceci z co najmniej dziesięcioletnim stażem w pracy operacyjnej, nawet jeśli zostali w resorcie MWD, zajmują już dobre stolki, gwarantujące im minimum problemów i maksimum wygód, i za nic w świecie nie zamienią ich na pracę w wydziale zabójstw. Afonia może znaleźć na miejsce Nastii jedynie zupełnego żółtodzioba. Ów chłopaczek nie będzie od niej lepszy, w dodatku ucieknie do pracy w cywilu przy pierwszej nadarzającej się okazji, gdy tylko minie wiek poborowy. Najważniejsze jest jednak to, że naczelnik na nią krzyczy i ją beszta, wyraża jawne niezadowolenie z jej pracy, a to znaczy, że dzieje się to, czego Nastia zawsze się bała i za wszelką cenę usiłowała uniknąć. Sądziła, że jeśli choć raz zdarzy się coś takiego, to ona tego nie zniesie. No i się zdarzyło. I co? Nic. Niebo nie runęło, ziemia się nie rozstąpiła, świat się nie zawalił. Ona zaś nie umarła ze wstydu i obrazy. Nawet się nie zaczerwieniła. Nie zdenerwowała się i nie rozpłakała. Ręce jej nie drżą, jak dawniej bywało w najmniejszym stresie. Okazuje się, że gniew szefa i brak wzajemnego zrozumienia wcale nie są śmiertelne. Można to przeżyć i pracować dalej. To przykre, ale nie katastrofalne. Mam już czterdzieści jeden lat. Powinnam przestać się bać kogokolwiek. A zwłaszcza Afonii – przemknęło Nastii przez głowę.

Jej duch unosił się pod sufitem gabinetu naczelnika zaledwie dwie czy trzy sekundy, ale gdy świadomość na powrót połączyła się z ciałem, przed Wiaczesławem Michajłowiczem siedziała zupełnie inna Nastia.

– Trzeci kierunek...

Zmieniła nieco kolejność w raporcie i postanowiła, że zamiast trzeciej grupy hipotez najpierw przedstawi czwartą. Zupełna dziecinada, drobny wybryk służbowy, wie przecież, że Afonię najbardziej interesuje hipoteza umyślnego przerwania zdjęć. Niech więc naczelnik jeszcze się trochę pomęczy, póki ona będzie referować to, czego on w ogóle nie chce słuchać.

– Trzeci kierunek śledztwa zakłada, że zabójstwo kierowcy i zniknięcie Jany Nilskiej nie łączą się ze sobą. W tym wypadku praca nad wyjaśnieniem zabójstwa kierowcy przebiega tak, jak przewiduje pierwszy kierunek: długi, zazdrość, narkotyki. Co się tyczy Nilskiej, tutaj wszystko wygląda jak w drugiej grupie hipotez plus hipoteza jej samowolnej ucieczki. Nagłe załamania psychiczne, kłótnia z mężem i chęć, by go ukarać, niespodziewana przygoda miłosna. W każdym wypadku zabójstwo i zniknięcie to osobne fakty, które przypadkowo zbiegły się w miejscu i czasie i w ogóle nie są ze sobą powiązane.

– To niemożliwe – przerwał jej Afanasjew gwałtownie. – Po co zawracasz mi głowę jakimis zbieżnościami? To zupełnie oczywiste, że oba wydarzenia się ze sobą łączą.

– Dlaczego oczywiste? Z czego to wynika?

– Ze wszystkiego! – Naczelnik wybuchnął gniewem. – Indżija i Nilaska przez cały dzień byli razem, grali w tenisa, spacerowali, siedzieli w kawiarni. Przez cały dzień byli razem i w zdarzeniu przestępstwa też uczestniczyli razem. Nie mogło być inaczej.

– Mogło – zaoponowała Nastia spokojnie. – Doskonale pan wie, że w życiu dość często zdarzają się niewiarygodne zbiegi okoliczności. Nawet fakt, że pan jest moim naczelnikiem, a ja pańską podwładną, to też czysty zbieg okoliczności.

– Bzdury! Uprzedzano mnie, że nie masz za grosz intuicji i pracujesz, uciekając się wyłącznie do matematyki i logiki. No więc zapamiętaj, Kamieńska, że detektyw bez intuicji to nie detektyw, że to tylko nazwa. Przywykłem ufać swojej intuicji, ani razu mnie jeszcze nie zawiodła. Teraz mi mówi, że osobne rozpatrywanie zabójstwa i zniknięcia to kompletna bzdura. Wyrzuć ten pomysł do

kosza i nie marnuj mojego czasu na wysłuchiwanie tych głupstw. Jedź dalej. Co ci jeszcze zostało?

– To, co się panu najbardziej podoba – oznajmiła Nastia zuchwale, nadal nie patrząc na naczelnika. – Przepięknie popełniono w celu przerwania zdjęć.

– Zreferuj to w najdrobniejszych szczegółach.

– Proszę. To najgłupszy kierunek – zaczęła Nastia złośliwie. – Na razie nie jest niczym poparty. Zeznania członków ekipy filmowej dowodzą, że ani zabójstwo kierowcy, ani zniknięcie żony scenarzysty nie mogą wpłynąć na zdjęcia do serialu. Z kierowcą wszystko jasne, co zaś się tyczy scenarzysty, to jeśli zniknięcie żony uniemożliwi mu dalszą pracę, zatrudniony zostanie inny dramaturg i praca nad filmem będzie kontynuowana. Pojawiła się hipoteza, że Indziję zabito przez pomyłkę, że został wzięty za jednego z głównych aktorów, ale ta hipoteza też nie wytrzymuje krytyki. Po pierwsze, żaden z aktorów występujących w serialu nie jest podobny do kierowcy, więc nie można ich było pomylić. Po drugie, zabójstwo aktora po trzech tygodniach zdjęć niczego by nie zmieniło, zaproszono by innego aktora, nakręcono ponownie parę scen z jego udziałem i tyle. Następną hipoteza: przestępstwo w Sokolnikach przygotował mąż reżyserki Natalii Woronowej, który chce wykorzystać nieszczęście, żeby zniechęcić żonę do dalszych zdjęć. W tym wypadku popełnienie zabójstwa na samym początku okresu zdjęciowego było rzeczywiście celowe, by sprawa nie zaszła zbyt daleko i nie szkoda było porzucić zaczętej, ale niedokończonej pracy, do czego by doszło, gdyby serial został nakręcony niemal w całości. Mąż Woronowej to biznesmen, już wcześniej dawał jej pieniądze na zdjęcia. Całkiem możliwe, że ma teraz poważne problemy finansowe, o których nie może powiedzieć żonie, ale nie może też finansować dłużej jej twórczości. Hipoteza jest krucha, wydaje mi się wydumana, mimo to śledczy nalega, by ją dokładnie sprawdzić. Plan pracy został zatwierdzony przez pana już wczoraj, śledczy się z nim zapoznał. To wszystko.

– Niedobrze, Kamińska.

– Sama wiem – odparowała Nastia z uśmiechem.

– Co to znaczy „sama wiem”? Skoro wiesz, to dlaczego nie pracujesz jak należy?

– Nie nadażam, Wiaczesławie Michajłowiczu. Hipotez jest dużo, chłopcy w terenie weryfikują tylko część z nich, mają przecież pełno swojej roboty. Jestem gotowa poważnie zająć się mężem Woronowej i publikacjami Rusłana Nilskiego, ale niech ktoś inny szuka żony scenarzysty. Nawiasem mówiąc, jutro przychodzi nowy pracownik...

– Nie ucz mnie. Sam zdecyduję, kto z was czym się zajmie – przerwał jej pułkownik. – Co to za porządki w waszym wydziale? Odkąd to szeregowi pracownicy wtrącają się do przydziału zadań? Gordiejew wprowadził tu demokrację, ale to nie parlament, wszyscy jesteśmy oficerami, nosimy naramienniki, powinniśmy przestrzegać ścisłej hierarchii, obowiązuje nas bezwzględne posłuszeństwo rozkazom naczelnika wyższej rangi. Czy to jasne?

– Tak jest, panie pułkowniku, jasne. Mogę zadać pytanie?

– Zadaj. – Wiaczesław Michajłowicz się ulitował.

– Nasz nowy pracownik... kim jest? I skąd?

Naczelnik zaczął przerzucać kartki na biurku.

– Jakiś Siergiej Kuźmicz Zarubin z Okręgu Centralnego. Masz inne pytania?

– Melduję posłusznie, że nie – odparła Nastia wesoło, zbierając swoje notatki i wkładając je do teczki. – Mogę odejść?

– Nie zapomnij o planie pracy dotyczącym hipotezy o publikacjach dziennikarza. Czekam. Nie waż się pójść do domu, póki nie zobaczę planu.

– Za nic nie pójdę – obiecała. – Nie zasnę, jeśli się z panem nie zobaczę jeszcze raz.

– Na co ty sobie pozwalasz, Kamińska?! – wrzasnął Afanasjew. – Czy to Gordiejew nauczył cię rozmawiać tak z naczelnikiem?

– Melduję, że nie, Wiaczesławie Michajłowiczu, to nie Gordiejew, ale życie mnie nauczyło. Życie, Afonia, jest strasznie długie, nie każda pamięć zdoła je zachować w całości. Moja zdoła. Już zapomniałeś, jak dawałeś mi po znajomości trzy puszki kawy brazylijskiej za to, żebym ci napisała ściągę z procesu karnego? Bo ja to dobrze pamiętam. Podobnie jak wiele innych rzeczy. Na razie, Afonia, siedź i czekaj, niedługo przyniosę plan.

Ruszyła do wyjścia, ale nie wytrzymała i zerknęła jednak na naczelnika. Trudno było opisać wyraz jego twarzy. Cicho

zamknąwszy za sobą drzwi, Nastia w te pędy pobiegła korytarzem. Od jutra Sieriożka Zarubin będzie pracował w ich wydziale! Nie można było marzyć o większym szczęściu. Sieriożka to świetny dochodzeniowiec i w ogóle wspaniały chłopak. Korotkowowi należą się brawa, że go namówił, by się do nich przeniósł! Jej też należą się brawa, że przestała się bać Afonii! Praca to praca, więc jeśli naczelnik wydaje polecenie, ona musi je wykonać. Kto jednak powiedział, że musi nadskakiwać swojemu dawnemu koledze ze studiów, któremu przez pięć lat pisała ściągę i który w ramach wdzięczności sprzedawał jej deficytową kawę i papierosy po spekulacyjnych cenach? Tego na pewno nie musi robić. I nie będzie.

– Jurik, jestem ci winna koniak! – oznajmiła radośnie, wpadając do pokoju Korotkowa.

– Nie trzeba – burknął w odpowiedzi, nie odrywając się od dokumentów leżących na biurku. – To ja jestem ci winien prezent na urodziny, które ty, nawiasem mówiąc, bezwstydnie zataiłaś przed towarzyszami broni. Domyślałam się, że Afonia powiedział ci o Zarubinie?

– Owszem. – Nastia kiwnęła głową. – A jakże. Jura, jest mi bardzo wstyd... mam na myśli urodziny... Sądziłam, że zapomniałeś, więc nie przypominałam, bo zacząłbyś szukać prezentu, a nie masz na to ani czasu, ani pieniędzy. Obraziłeś się, tak?

Korotkow podniósł głowę, schował do sejfu teczkę z dokumentami i uśmiechnął się przebiegle.

– Ja? Owszem, obraziłem się. Strasznie i śmiertelnie. Niewiele zabrakło, chciałem, żeby Sieriożę mianowano akurat w dniu twoich urodzin, ale nie wziąłem pod uwagę długich świąt. Masz jednak szansę się zrehabilitować.

– Jestem gotowa – rzuciła Nastia szybko. – Podaj swoje warunki.

– Zaraz zadzwonimy do Zarubina i zaprosimy go do ciebie. W ciepłej, przyjacielskiej atmosferze uczymy twoje urodziny i jego mianowanie, wprowadzimy chłopaka w nasze sprawy, żeby jutro rano od razu się włączył do pracy. Pasuje?

– Pasuje. Czy ja też mogę postawić warunek?

– Wal. Tylko się nie zapędzaj – uprzedził Jura na wszelki wypadek.

– W drodze do domu wstąpimy po chińszczyznę.



– Co, spodobało ci się?

– Niesamowicie. W życiu nie jadłam niczego smaczniejszego. Tylko muszę jeszcze napisać plan, Afonia przebiera nogami. Zrobię to raz-dwa, wystarczy mi piętnaście minut.

– A przy okazji. – Korotkow wbił w Nastię podejrzliwy wzrok. – Przybiegłaś od naczelnika bardzo uradowana. Czyżbyście znaleźli wspólny język?

– Też coś! – Nastia z rozmachem opadła na krzesło, wyjęła papierosa z paczki Jury i z przyjemnością zapaliła. – Raczej odwrotnie. Nagadałam mu impertynencji.

– Ty?! Nigdy w to nie uwierzę. – W głosie Korotkowa zabrzmiała taka pewność, jakby bronił słuszności zupełnie oczywistego faktu, którego nigdy i w żadnych okolicznościach nie wolno kwestionować.

– Słowo pioniera. Gdy siedziałam u Afonii, nagle przypomniałam sobie, że wczoraj miałam urodziny. Skończyłam czterdzieści jeden lat. Dasz wiarę, Jurik? Czterdzieści jeden! Zaczęłam piąty krzyżyk! No i co, mam się wszystkich bać jak mała dziewczynka? Boję się naczelników, rodziców, nawet zwyczajnych ludzi na ulicy, a nuż ktoś mnie obrazi, znieważy, nagada do słuchu? Jak długo można się wszystkich i wszystkiego bać, co? Rozpadnę się na kawałki, gdy ktoś na mnie naskoczy? Niech sobie wrzeszczy, niech mi wymyśla, nawet włoski nie spadnie mi z głowy. I w tej samej chwili zrobiło mi się tak lekko, że sobie nie wyobrażasz! Jakby ciężar spadł mi z serca. Z tej radości wygarnęłam Afonii, co myślę. Pewnie, że nie powinnam była, niepotrzebnie to zrobiłam. Ale sprawiło mi to niesłychaną przyjemność!

– I co mu powiedziałaś? – zainteresował się Jura.

– Nie powiem. Przypomniałam to i owo z naszej studenckiej przeszłości.

– A-a-a, jasne. No i co on na to?

– Nic. Mina mu zrzędała i zaniemówił. Zdążyłam się ulotnić, zanim oprzytomniał. Masz jeszcze dużo roboty?

– Aśka, naszej roboty nigdy się nie przerobi. Dlatego co jest najważniejsze w naszej pracy?

– No co? – zapytała posłusznie.

– Umiejętność postawienia kropki i udania się do domu w odpowiednim czasie. Biegnij napisać swój plan, a ja tymczasem znajdę Zarubina.

Dwadzieścia minut później Nastia przyniosła Afanasjewowi wydrukowany na drukarce laserowej plan pracy związany z hipotezą.

– Można, Wiaczesławie Michajłowiczu? – Weszła do gabinetu naczelnika, starając się nie odrywać oczu od lakierowanego blatu stołu konferencyjnego. – Oto plan, jak pan polecił.

Afanasjew w milczeniu wziął kartkę, przebiegł ją wzrokiem, położył na biurku. Nastia gorzko pożałowała swojego braku powściągliwości, bo domyśliła się, że naczelnik nie wie, jak ma ją traktować. Nadal się nie patyczkować i rozmawiać jak z niesumienną podwładną czy przyznać, że jest jego koleżanką ze studiów, i przybrać przyjazny ton? A może zdecydować się na neutralną, lodowatą uprzejmość, że niby w porządku, nie będę na ciebie wrzeszczał, ale nie zamierzam również się spoufalać, w końcu to ja tutaj jestem panem, to znaczy naczelnikiem.

– Mogę odejść? – zapytała, nie doczekawszy się słownej reakcji pułkownika na swoje pojawienie się.

Tamten w milczeniu skinął głową i z rzeczową miną zaczął przerzucać dokumenty w sejfie. Nastia wycofała się po cichu, wymacała klamkę i wyślizgnęła się na korytarz.

≡

– Masz zdjęcia z dzieciństwa?

Pytanie nie było groźne, ale nieprzyjemnie dotknęło Wiktora. Zdjęcia z dzieciństwa! Zostały w domu, u rodziców w Kamyszowie. Ale gdyby nawet były tutaj, nie mógłby pokazać ich Juli. Różnica między tamtą twarzą, którą miał kiedyś, a tą, którą nosi teraz, jest zbyt widoczna. Wprawdzie niewiele łączy dziesięcioletniego chłopca z trzydziestotrzyletnim mężczyzną, mimo to zadarty nos nie zamieni się w garbaty, a w okrągłym podbródku nie pojawi się dołek.

– Są pewnie gdzieś u rodziców – odparł, starając się nadać głosowi niefrasobliwy ton.

– A ze studiów?

To dopiero, ze studiów! Można by pomyśleć, że studiował! Skończył technikum i pożegnał się z nauką. Ale nowa tożsamość to nowa tożsamość. Zgodnie z nią Wiktor Słucewicz jest absolwentem instytutu handlowego, zdobył jakąś niejasną specjalność, której nazwę dawno i na amen zapomniał, jako że w żaden sposób nie łączyła się z jego obecną pracą. Miał oczywiście dyplom, dostał w komplecie z nowym dowodem osobistym, prawem jazdy i całą furą papierów.

– Ależ, złotko, nie kolekcjonuję swoich podobizn. Po co ci moje zdjęcia?

– Chcę zobaczyć, jak wyglądałeś dawniej.

– Po co?

– Z ciekawości.

– Nie rozumiem. – Wiktor wzruszył ramionami. – Co może być ciekawego w grzebaniu się w przeszłości? Spotykasz się ze mną dzisiaj, a nie z tamtym człowiekiem, którym byłem kiedyś. Co to dla ciebie za różnica, jaki byłem?

– Żadna – przyznała Jula lekko, a Wiktor ze zdziwieniem zauważył, że powiedziała to z wyraźną ulgą. Co za dziewczyna! Chciałby wiedzieć, co jej siedzi w głowie. Jula wcale nie ma ochoty oglądać zdjęć z dzieciństwa i młodości, po co wobec tego pytała?

Dzisiaj zjedli kolację w restauracji, a później Wiktor zaprosił Julę do siebie. Łatwo się zgodziła, ale było w niej tyle chłodnej obojętności, że Wiktor zwątpił, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, co oznacza jej gotowość odwiedzenia nieznanego właściwie mężczyzny, który wysyła jej tak wyraźne oznaki zainteresowania seksualnego, że nawet mając bardzo bujną wyobraźnię, nie sposób ich wziąć za chęć poczytania razem Szekspira albo posłuchania przy filiżance kawy koncertu na fortepian z orkiestrą. Już od pół godziny są w jego mieszkaniu, Jula siedzi skulona na kanapie, podwinęła nogi, nie odsuwa się, gdy Wiktor dotyka jej ramienia, ręki czy biodra, nie drży, ale też nie daje do zrozumienia, że czeka na ciąg dalszy. Jakby jej było zupełnie wszystko jedno, czy pójdą do łóżka. Chętnie podtrzymuje rozmowę, lecz nie podejmuje najmniejszej próby, by ją ożywić, gdy temat nagle się wyczerpuje i zapada głucha cisza. Nie

zadaje żadnych pytań. Zapytała tylko o zdjęcia, w dodatku nie wiadomo po co, przecież to oczywiste, że nie ma ochoty ich oglądać.

– No i jak ci się podoba moje mieszkanie? – zainteresował się Wiktor.

Jula leniwie odwróciła głowę, omiotła wzrokiem pokój.

– Przytulne – powiedziała z lekkim uśmiechem. – Ale jakies staromodne. Teraz mało kto ma taki gust jak ty. Trzymasz się konsekwentnie klasyki czy to tylko poza? Nie chcesz być taki jak wszyscy?

Ożeż w mordę! Gdyby ona wiedziała... Wiktorowi podobały się czyste, wyraźne linie stylu modern, marzył o swoim domu, zaaranżowanym w ostentacyjnie jaskrawej kolorystyce, z wnętrzami w metalu, szkle i plastiku. Jeśli stolik, to koniecznie na cienkiej nóżce i ze szklanym blatem, w żadnym razie okrągły. Fotele i kanapy z prostokątnymi oparciami, obite czarną i białą skórą. W łazience czarno-białe kafelki. Ściany niebieskie albo fioletowe. Czarny sufit. Intensywnie czerwona kuchnia. Oryginalne lampy podłogowe. Projekt i materiały powinny być lekkie i zwiewne, wszystko musi mieć ostre krawędzie. Tak widział swój dom Jurka Simonow i dlatego mieszkanie Wiktora Słucewicza okazało się zupełnie inne. Ciemne, przytłumione kolory, ciężkie klasyczne meble z naturalnego drewna, ciężkie, miękkie fotele i kanapa, szczelne zasłony, niemal nieprzepuszczające dziennego światła. Wiktor nienawidził swojego mieszkania, a jednocześnie czuł, że się do niego przyzwyczajają, że sam też zaczyna się zmieniać, że coś wewnątrz niego staje się bardziej przytłumione i mniej wyzywające. Umeblowanie mieszkania budziło w nim obok irytacji dziwne uczucie spokoju i pewności. Nie miał ochoty zapraszać tutaj gości, urządzać hałaśliwych imprez z alkoholem i dziewczynami. Chciał siedzieć nieruchomo godzinami, ze wzrokiem wbitym w telewizor albo w książkę. To też było nowe w jego życiu. Jurka Simonow, energiczny, przedsiębiorczy, niepotrafiący ani przez chwilę usiedzieć na miejscu, umierał w nim powoli. A kto się wyłaniał zamiast niego? Nie wiadomo. Wiktor intuicyjnie buntował się przeciwko temu nowemu osobnikowi w swoim wnętrzu, dlatego przez pół roku nie zrobił tego, co mu kazał tamten mądrała – psycholog. Nie zawarł nowych przyjaźni, nie

związał się z kobietą. „Nowe życie trzeba tworzyć, konstruować świadomie i celowo – pouczał tamten. – Życie to nie tylko proces biologiczny, zaspokajanie potrzeb fizjologicznych, takich jak sen, jedzenie czy seks. Życie to otaczający cię ludzie, wspólne spotkania, uczestnictwo w sprawach twoich przyjaciół, relacje z kobietą. Wszystko, co rodzi wspólne zainteresowania, rozmowy, a później wspólne wspomnienia. Musisz żyć tak, żebyś najpóźniej za rok przy byle okazji mógł opowiedzieć jakąś historyjkę ze swojego życia. Z nowego życia, zapamiętaj, a nie z tamtego, dawnego. W ciągu roku musisz zapełnić notes nowymi telefonami, a swoje życie przeżyciami, zdarzeniami i faktami, które doskonale zastąpią przeżycia, zdarzenia i fakty z poprzednich trzydziestu lat”.

Gdy Wiktor usłyszał to po raz pierwszy, słowa psychologa wydały mu się dziwaczne. Niemal niczego nie zrozumiał. Dopiero parę miesięcy później zaczął powoli pojmować ich sens. Julka zapytała teraz o zdjęcia, a on nie ma co pokazać, mimo że wypadaloby wyjąć album albo plik fotografii i wdać się w wyjaśnienia: tutaj łowię ryby z kolegami, tutaj jesteśmy na lotnisku, robimy szaszłyki, a na tym zdjęciu jestem nad morzem na urlopie, a to... no wiesz, jedna znajoma, można powiedzieć, że dawna, nic poważnego. Wiktor, jak każdy normalny człowiek, powinien mieć przeszłość, on zaś nie sprawił jej sobie przez pół roku. Zmarnował ten czas, czepia się swojej osobowości, nie może się pogodzić z jej unicestwieniem i próbuje ocalić wszystko, co się da. Ale czy warto? Czemu nie ma się zbliżyć do tej czystej, młodej studentki, zrobić jej dziecka, ożenić się? Czy to zły pomysł? Mógłby nawet zmienić nazwisko, niektórzy faceci tak robią. Nigdy nie spotykał się z takimi dziewczynami – w duchu nazywał je „przyzwoitymi” – nudził się z nimi jak mops, nie wiedział, o czym rozmawiać i jak je zabawiać, bo oprócz alkoholu i łóżka niczego nie potrafił im zaproponować. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby chodził z nimi do konserwatorium!

Ale Julia nie jest do nich za bardzo podobna, w każdym razie trudno ją posądzić o nadmierną rozmowność. On milczy – ona też milczy, patrzy na niego albo w bok swoimi ciemnymi oczami, siedzi nieruchomo jak posąg. Jest jednak jakaś dziwna...

– Zostaniesz do rana? – zapytał bez ogródek.

- Nie wiem, muszę zatelefonować.
- Do kogo?
- Do domu, do rodziców.
- I co, mogą nie pozwolić?
- Mogą.

No tak, dziewczyna nie jest gadułą, to pewne.

- A od czego zależy ich zgoda? - zainteresował się. - Jeśli u koleżanki, to można, a jeśli u przyjaciela, to nie wolno?

- Nie, wszystko zależy od zdrowia cioci mamy. Jest już w podeszłym wieku, więc jeśli źle się czuje, jadę do niej na noc, żeby w razie czego zrobić zastrzyk albo wezwać pogotowie.

- A więc rodzice nie ingerują w twoje związki z mężczyznami? - zdziwił się Wiktor. - Są postępowi, wyzwoleni?

- Normalni. I doskonale wiedzą, że jeśli zechcę się z kimś przespać, to z łatwością zrobię to również w ciągu dnia i dlatego żądanie, bym nocowała w domu, niczego nie rozwiąże i nie zmieni. Chcesz, żebym zatelefonowała?

- A ty? Chcesz zostać?

Na twarzy Juli pojawił się taki wyraz, jakby zamierzała powiedzieć: „Wszystko mi jedno”. Wiktor był absolutnie pewien, że usłyszy właśnie te słowa, więc niezmiernie się zdziwił, gdy powiedziała:

- Na razie chcę. Ale jeśli później się rozmyślę, to wierzę, że nic nie stanie na przeszkodzie, żebym wstała i wyszła. Prawda?

- Tak, oczywiście - mruknął speszony.

Do diabła, pokolenie dziewcząt lat dziewięćdziesiątych jest zupełnie inne. Gdy on miał tyle lat, ile ma teraz Jula, jego rówieśniczki nie zachowywały się w ten sposób. To znaczy zachowywały się tak samo, zostawały na noc nawet nie drugiego, ale pierwszego dnia znajomości, odwiedzały nieznajomych facetów i niczego się nie bały, albo przeciwnie, strasznie się bały i za nic nie zgadzały się pójść do cudzego domu. Ale żeby tak spokojnie przyjść do mężczyzny, o którym nic się nie wie, i podejrzewać przy tym, że facet może się okazać gwałcicielem albo kompletnym idiotą, sadystą czy jakimś potworem, i liczyć jednocześnie na to, że można będzie wyjść, gdy coś się nie spodoba... Dziewczyna dwudziestego pierwszego wieku. A może po prostu moskiewska dziewczyna? Podobno stołeczne laski

różnią się od prowincjonalnych. Ciekawe czym? Może właśnie tym? Znają wszystkie ciemne i brudne strony życia, ale z wielkomięską wyższością sądzą, że zdołają sobie poradzić – są przecież mądre i wyzwolone.

Okazało się, że krewna Juli cieszy się doskonałym zdrowiem, więc dziewczyna uprzedziła rodziców, że nie wróci na noc. Odłożywszy słuchawkę, znowu umilkła, siedząc nieruchomo na kanapie i obejmując rękami przyciśnięte do piersi kolana. No cóż, teraz trzeba coś zrobić, coś powiedzieć albo przynajmniej zaproponować kawę... Albo może od razu zaprowadzić ją do sypialni? Wiktor się zawahał. Dziewczyna bardzo mu się podoba, należy do tego typu kobiet, w których obecności natychmiast traci rozum – jest niewysoka, szczupła, ciemnowłosa, smagła. I włosy. Najważniejsze to długie, gęste, proste, jedwabiste i lśniące włosy. Szalał na punkcie takich włosów. Zapragnął natychmiast objąć Julę, wziąć na ręce i zanieść do sypialni, rzucić na łóżko, zerwać z siebie koszulę i poczuć na swoim ciele te chłodne i świeże jak źródłana woda włosy. Miał jednak nieodparte wrażenie, że takie zachowanie będzie niestosowne, a nawet w pewnej mierze... plebejskie. Kipiał w nim temperament młodego, zdrowego samca, pragnął tej dziewczyny natychmiast, tutaj i teraz, ona jednak wydawała się tak opanowana i rozważna, że się pogubił.

– Pijesz kawę przed czy po? – W końcu wpadł na pomysł, jak przystąpić do ataku.

– Nie pijam kawy po dziesiątej wieczorem – padła nieśpieszna odpowiedź. – Tylko słabą herbatę. A po wszystkim wolę spać. Chcesz się dowiedzieć czegoś jeszcze o moich zwyczajach?

– Oczywiście. – Wiktor się ożywił. – Jak wolisz zaczynać: do razu tutaj czy w sypialni. A może w łazience?

– To zależy od okoliczności. Najpierw muszę zajrzeć do sypialni i do łazienki, a później zdecyduję.

Nieźle! Jakby przyszła tutaj zrobić remont, a nie uprawiać seks. Jakby była majstrem, który decyduje, co i w jakiej kolejności należy robić.

– Zawsze jesteś taka...? – Wiktor się zawahał w poszukiwaniu właściwego określenia.

Jula wstała z kanapy i posłała mu zaskoczone spojrzenie.

– Jaka?

– Rzeczowa. Jakbyś przyszła do pracy, a nie dla rozrywki.

Lekki uśmiech znowu wykrzywił jej wyraźnie zarysowane usta, ale nie rozpromienił jej twarzy blaskiem radości.

– Wszystko trzeba traktować poważnie, jak pracę. Nawet rozrywkę. Wtedy wszystko będzie jak należy.

– A jak należy? – zapytał Wiktor głupio, włączając światło w sypialni.

– Mniej więcej tak.

Jula niespodziewanie przyłgnęła do niego całym ciałem, jej małe, gorące dłonie dosłownie oparzyły mu pośladki przez cienką tkaninę letnich spodni. Dalej wszystko potoczyło się żywiołowo i bezładnie, raz na podłodze, raz na łóżku. Okazało się, że dziewczyna ma spory temperament i jest milcząca, nie żądała, by Wiktor wypowiadał jakieś niezobowiązujące słowa, sama też nie wydawała żadnych dźwięków, nawet nie jęczała. Tylko na samym końcu z jej ust wydobył się długi i głośny krzyk. Później leniwie cmoknęła go w ramię, odwróciła się na bok i mocno zasnęła.

Wiktor jeszcze długo nie mógł zasnąć, walczył z chęcią, by obudzić Julę i znowu zacząć ją pieścić, ale się nie odważył. Zanim sen zaczął oplatać miękką pajęczyną jego rozpalony umysł, doznał dziwnego uczucia, że został wykorzystany. Tak, wykorzystany, w taki sam sposób, w jaki on kiedyś wykorzystywał swoje partnerki. Ta studentka o smagłej cerze nie chciała o nim nic wiedzieć, nie zadała żadnego pytania, zapytała o zdjęcia jedynie z grzeczności, żeby mu sprawić przyjemność; widział przecież, że odetchnęła z ulgą, gdy się okazało, że ich nie przechowuje. Nie interesuje jej jego osobowość. Potrzebowała go wyłącznie jako mężczyzny, z którym można spędzić wieczór, gdy nie ma nic innego do roboty. I którego można wykorzystać jak seksrobotę.

Wiktor obudził się po trzech czy czterech godzinach. Jula spała spokojnie obok, leżała w tej samej pozycji, w której zasnęła. Czerwcowe niebo było już bardzo jasne, mimo że zegarek pokazywał dopiero wpół do piątej. Wiktora znowu załała fala urazy pomieszanej ze zdziwieniem: został wykorzystany jak bezduszny, niemy



przedmiot. Ale zaraz potem przyszła inna myśl. Dziewczyna, która nie zadaje pytań. Dziewczyna, z którą nie trzeba rozmawiać o mądrych sprawach i udawać ocytanego i wykształconego. Dziewczyna, która nie interesuje się jego pracą, przyjaciółmi i przeszłością. Dziewczyna gotowa do bliskości, a przy tym niepragnąca przedstawić go swoim rodzicom jako narzeczonego. Dziewczyna, na którą patrząc, czuje, jak wszystko w środku zamiera mu z rozkoszy, a myśli biegną w określonym kierunku. Może tego właśnie teraz mu trzeba? Przynajmniej na początek. Niech Jula stanie się pierwszą cegiełką w jego nowym życiu, a później w jego nowej „przeszłości”.

W to, że ciemnowłosa Jula prędzej czy później stanie się jego „przeszłością”, Wiktor nie wątpił ani przez chwilę.

## Rozdział 5

– A jednak zachowaliście się paskudnie, chłopcy – chyba po raz dziesiąty powiedziała Nastia z urazą. – Jak mogliście? Nie rozumiem. Przecież sprawa przeniesienia Sierioży na Pietrowkę ciągnęła się co najmniej miesiąc. Cały miesiąc! I przez ten czas ani drań Korotkow, ani ty, Sierioża, nie pisnęliście słówka. Za kogo mnie uważacie?

– Za najlepszego przyjaciela, Nastiucha – mruknął objedzony Korotkow, wyćwiczonym gestem ściągnając przedostatnią krewetkę w cieście ze stojącego na środku stołu talerza. – Moje zatwardziałe serce detektywa chciało ci zrobić niespodziankę. Nie masz prawa się na mnie boczyć.

– Ja jestem pionkiem w tej sprawie – odezwał się Siergiej Zarubin. – Kazano mi milczeć, żeby nie zapeszyć i nie rozgniewać szefostwa, więc milczałem. Ty, Pałna[7], się nas nie czepiaj, bo jesteśmy czyści. Czyści jak łąza i niewinni jak dzieci.

Wszyscy troje byli strasznie głodni, toteż jedzenie przyniesione z chińskiej restauracji skończyło się o wiele szybciej niż toasty.

– No to po jeszcze jednym za pomyślne wyjaśnienie zabójstwa w Sokolnikach – zaproponował Jura, nalewając do małych kieliszków wódki dla siebie i Zarubina, a martini dla pani domu.

– Nie ma czym zagryźć – zauważyła Nastia. – Zmietliśmy wszystko do czysta. Została jedna nieszczęsna krewetka na troje.

– Nie szkodzi. – Siergiej energicznie uniósł kieliszek. – Można też bez zakąski. Tobie, Pałna, zakąska w ogóle nie jest potrzebna, bo pijesz słodkie wino, a my z Jurą podzielimy się ostatnim kawałkiem. No to na zdrowie.

Tręcili się kieliszkami, wypili. Nastia szybko sprzątnęła naczynia i włożyła je do zlewu, wytarła stół i popatrzyła wymownie na kolegów.

– No dobrze, chłopcy, święto się skończyło, zaczyna się koszmarna codzienność. Bądź tak dobry, Sierioża, i przynieś z pokoju mój notes, taki duży, w brązowej okładce. Leży na kanapie.

Zarubin zniknął w pokoju i podejrzanie długo nie wracał do kuchni.

– Hej! – zawołał Korotkow. – Zasnąłeś tam czy co?

– Nie, nie zasnąłem, myślałem – oznajmił Zarubin, stając na progu z brązową teczką pod pachą. – Myślałem i dedukowałem.

– No proszę – wycedził Jura złośliwie. – Znalazł się myśliciel. No i co tam wydedukowałeś po pięciu kieliszkach?

– Różne rzeczy – odparł Sierioża wymijająco. – Że, na przykład, na krześle wisi jakiś sweter, dla Pałny za duży, a dla jej profesora za tani. Rozmiar pięćdziesiąt cztery, wielkość L, wyprodukowany przez firmę Babcine Robótki, kosztuje najwyżej siedemset rubli, jeśli kupować w sklepie, a jeśli na bazarze, to dostanie się nawet za pięćset. Czyj on może być, hej?

Nastia parsknęła śmiechem i się odwróciła, udając, że jest zajęta myciem naczyń.

– Wypatrzyłeś coś jeszcze? – zapytał Jura surowo.

– Długo by wyliczać. Ogólny obraz sytuacji wskazuje na obecność obcego mężczyzny, który nocuje tutaj, podczas gdy profesor naświetla za granicą problemy naukowe. Czy to znaczy, Pałna, że postanowiła uczyć pięćdziesiątkę, ubarwiając swoje życie osobiste?

– To nie ona, Sierioża, to ja postanowiłem zająć się życiem osobistym – przyznał się Korotkow. – Odszedłem od żony i nie mam gdzie mieszkać. Aśka przygarnęła mnie na jakiś czas. Tylko nie trąb o tym w pracy, dobrze? W końcu chodzi o naczelnika i podwładną... Ktoś to opacznie zrozumie i zacznie się gadanie.

– Ho, ho, jak daleko wszystko zaszło. – Zarubin pokręcił głową, siadając przy stole. – W porządku, zostawmy te smutki. Wprowadźcie mnie, szanowni państwo, w wasze sprawy. Gdzie, kogo i dlaczego zabito. Chciałbym też usłyszeć, kto zabił.

– Optymista. – Nastia się roześmiała.

Zajęła swoje miejsce przy stole, otworzyła notes z zapiskami, obok niego położyła mapę topograficzną parku Sokolniki.

– Tutaj jest wejście od strony metra. – Wskazała ołówkiem punkt na mapie. – A tutaj, między Pierwszą a Drugą Promienistą Polaną, staw i pas leśny. Koło stawu ulokowała się ekipa filmowa. Jest tam bardzo atrakcyjne miejsce do zdjęć, można filmować las, jego skraj, brzeg jeziora, polną drogę, aleję parku miejskiego. Zdaniem świadków mniej więcej o jedenastej dwadzieścia kierowca Tiejmuraz Indżija oznajmił, że zabiera Janę Nilską do restauracji Fiołek na kolację i kawę, bo ma tam znajomych. Większa część lokali gastronomicznych jest zamykana o dziesiątej wieczorem, tylko Fiołek i parę barów czynne są do północy. Od miejsca zdjęć do Fiołka można dojść tędy. – Nastia przesunęła ołówkiem po nakreślonej już przez kogoś czerwonej linii. – Albo tędy, wzdłuż niebieskiej linii, albo jeszcze inaczej, wzdłuż czarnej. Droga oznaczona na czarno jest najdłuższa, ale w większej części przebiega przez oświetlony teren. Dwie pozostałe trasy są znacznie krótsze, prowadzą jednak przez miejsca nieoświetlone. Zdjęcia miały potrwać do siódmej rano, tego dnia harmonogram przewidywał sceny o świcie, dlatego brak kierowcy zauważono, dopiero gdy koło pierwszej w nocy skończył pracę aktor, którego należało odwieźć do domu. Wtedy właśnie uświadomiono sobie, że Timura i Jany nie ma od dłuższego czasu. Wysłano gońca do Fiołka, tam jednak oświadczone, że Timur nie odwiedził restauracji wieczorem. W ciągu dnia owszem, był, razem z dziewczyną, której rysopis przypominał Janę Nilską. Ale wieczorem się nie zjawił. Pomyłka raczej nie wchodzi w grę, bo Timur jest dobrze znany, pochodzi, jak to się mówi, z miejscowych, mieszka niedaleko i regularnie bywa w restauracji. Podczas gdy radzono, co zrobić, ktoś zauważył jakieś zamieszanie w krzakach, dosłownie sto pięćdziesiąt metrów od miejsca zdjęć. Parę osób podeszło bliżej, a tam milicjanci, nikomu nie pozwalają się zbliżyć, badają ciało. Okazało się, że to Indżija. Jeden z właścicieli psów natknął się na ciało i pobiegł zawiadomić milicję; jest tam, jak wiesz, siedemdziesiąty dziewięty komisariat, mieści się na terenie parku, to dziesięć minut pieszo od miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Chłopak został zabity dwoma strzałami: w pierś i w brzuch. Jak to teraz modne, z broni z tłumikiem, dlatego nikt niczego nie słyszał. Przez jakiś czas użalano się nad losem nieszczęśnika, a potem

przypomniano sobie o Janie. Po niej zaś wszelki ślad zaginął. Najpierw myślano, że się zgubiła, że zabłądziła w olbrzymim, gęsto zalesionym parku. Kierowca zginął na jej oczach, więc się przestraszyła i pobiegła przed siebie, nie zwracając uwagi na drogę, a gdy oprzytomniała, nie mogła trafić z powrotem. Szukano jej do rana, z pięć razy przeczesano cały park, nawoływano ją przez megafon, oświetlano teren reflektorami.

– I nic? – zapytał Zarubin, uważnie wpatrując się w mapę.

– Nic. Znikła i do tej pory się nie pokazała. Nikt też nie dzwonił w sprawie okupu.

– Wspólniczka? – Siergiej wysunął niespodziewaną hipotezę. – Zaprowadziła Timura w umówione miejsce, gdzie miał zostać zabity, a teraz się ukrywa.

– Ale przecież znała Timura od niedawna, najwyżej dwa tygodnie – obruszył się Korotkow. – Po co miała brać udział w jego zabójstwie?

– Chwileczkę, Jurik. – Nastia w zamyśleniu podrapała się ołówkiem w podbródek. – Coś w tym jest. Nawiasem mówiąc, najemni zabójcy w ogóle nie znają swoich ofiar, co nie przeszkadza im jednak ich zabijać.

– Robią to przecież za pieniądze!

– A tutaj niby co mamy? Chyba nie miłość? – zaoponowała. – Niewykluczone, że chodzi właśnie o pieniądze. Albo szantaż. Przyprowadzisz Timura tam, gdzie powiemy, albo zabijemy ciebie, twojego męża i twoje dzieci. Ciekawe, kto był inicjatorem odwiedzenia Fiołka, Jana czy Timur? Co o tym sądzisz, Jura? Byłeś przecież na miejscu, rozmawiałeś z ludźmi.

– Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby to sprawdzać. – Korotkow rozłożył ręce. – Timur podobno podszedł do kierownika planu i powiedział, że idzie z Janą do Fiołka, żeby coś przegryźć. Była dwunasta, kierownik zajrzał do harmonogramu i przypomniał mu, że koło pierwszej ma odwieźć do domu jakiegoś aktora. Timur odparł, że pamięta, nawet wyjął z kieszeni kopię harmonogramu i pokazał, że zaznaczył godzinę, o której powinien jechać. I to wszystko. A co przedtem robił z Janą, teraz nikt nie wie. Krótko mówiąc, Sierioża, poszukiwania Jany Nilskiej to twoja działka, do

rana możesz przemyśleć, jak zamierzasz to robić, no a rankiem napijesz się herbatki i do roboty ze śpiewem na ustach.

– Tak sobie myślę, Sierioża – powiedziała Nastia, kartkując notes – że jeśli nagle się okaże, że masz rację i Jana zbiegła z miejsca przestępstwa, bo była współniczką, to dziewczyna znajdzie się sama. Przyjdzie do męża albo prosto do nas i opowie jakąś niewiarygodną historyjkę, w którą, zgodnie z jej zamiarem, mielibyśmy uwierzyć. Dobrze, w tej kwestii to wszystko. Teraz opowiem ci o naszym kierowcy. Facet ma bogaty życiorys, zdążył sporo narozrabiać i dostarczyć kupę powodów, by go zabić.

Zerkając do swoich notatek, zaczęła metodycznie streszczać Zarubinowi to, co w ciągu czterech dni udało się dowiedzieć o życiu zabitego Tiejmuraza. Długi... Narkotyki, ale to jeszcze niepotwierdzone, chociaż jeśli tamto, co powiedziano detektywom, jest prawdą, to powód zabójstwa wydaje się bardzo poważny... Kobiety, mężatki, z kochankami albo samotne, ale zazdrosne... Gry karciane, podczas których często dochodziło do konfliktów, bo podejrzewano Timura o oszustwo... Łącznie – około dwudziestu osób, które miały realne podstawy, by życzyć śmierci młodemu mężczyźnie. Czworo z nich nie ma żadnego alibi, a przynajmniej dwoje z tej czwórki wypowiadało się niedwuznacznie pod adresem Timura (za jego plecami, rzecz jasna), obiecując lekkomyślnemu chłopakowi mnóstwo przyjemności ze spotkania z archaniołem Gabrielem. Obaj mężczyźni zostali zatrzymani na siedemdziesiąt dwie godziny, jeden – w poniedziałek, drugi – dzisiaj rano. Śledczy Gmyria ich przesłuchał i, naturalnie, żaden nie przyznał się do zabójstwa albo przynajmniej do tego, że brał w nim udział. Milicjanci znaleźli około dziesięciu właścicieli psów, którzy mieli zwyczaj wyprowadzać swoich pupili w okolice stawu pomiędzy jedenastą a dwunastą wieczorem, i przesłuchali ich w kwestii tego, co widzieli podczas spaceru dziewiątego czerwca. Przynajmniej dwaj widzieli w interesującym nas czasie młodego chłopaka biegnącego od strony toru rolkowego, przy którym znaleziono ciało kierowcy, w kierunku alei Poprzecznej. Dwaj kolejni widzieli biegacza oddalającego się pasem leśnym w stronę Drugiej Polany Promienistej, ale wnioskując z opisu ubrania, byli to różni osobnicy. Miłośnicy psów zostali

zaproszeni do śledczego w celu rozpoznania zatrzymanych, sprawa skończyła się jednak fiaskiem. Żaden ze świadków nie potrafił zdecydowanie stwierdzić, że widział któregoś z nich późnym wieczorem dziewiątego czerwca w parku Sokolniki. Po pierwsze, zbliżała się północ, a więc było ciemno. Po drugie, młodzi mężczyźni biegli, nie stali nieruchomo, pozwalając wszystkim chętnym obejrzeć i zapamiętać ich powierzchowność. Oprócz właścicieli psów przesłuchano kilka zakochanych par, które przechadzały się w pobliżu stawu, a także bezdomnych, regularnie zbierających butelki pozostawione przez odwiedzających. Bezdomni są dobrym źródłem informacji, nikt nie bierze ich poważnie i dlatego się nie boi, więc często widzą i słyszą to, co nie jest przeznaczone dla ich uszu. Kłopot polega jednak na tym, że już od dwóch tygodni utrzymywała się zimna, deszczowa pogoda, więc liczba entuzjastów picia piwka albo wódeczki na łonie natury była bardzo mizerna. Z tego właśnie powodu we wskazanym okresie czerwca bezdomni odwiedzali swoje stałe miejsca co drugi dzień albo nawet rzadziej. A zakochane pary raczej nie rozglądają się na boki, bo są zajęte sobą. Udało się, co prawda, ustalić, że parę minut po jedenastej, to znaczy akurat wtedy, gdy Timur i Jana wybierali się do Fiołka, na rogu Pierwszej Promienistej Polany i ulicy Mitkowa stała biała wołga, lecz nikomu nie przyszło do głowy, żeby zapamiętywać jej numer rejestracyjny. Samochody parkują tam często, bo niedaleko jest urząd celny z magazynem czasowego składowania towarów. Jeśli założyć, że właśnie w tym samochodzie siedział przestępca, który zastrzelił Timura i porwał Janę, to po popełnieniu zbrodni powinien był szybko odjechać w stronę szosy Bogorodskiej.

Siergiej Zarubin udawał, że uważnie słucha, ale Nastia, pochwywszy przypadkiem jego spojrzenie, skierowane w stronę okna, odgadła, że myśli o czymś innym.

– Halo, mała Dorrit – powiedziała z gniewem. – Dla kogo ja się produkuję? My z Korotkowem znamy na pamięć te informacje, nie musimy ich sobie powtarzać.

– Niby czemu Dorrit? – obruszył się Zarubin. – Czemu mi wymyślasz po zagranicznemu?

– Bo jesteś mały – odparła Nastia z kpina, robiąc aluzję do niedużego wzrostu detektywa. – Trzeba czytać klasykę.

– Kiedy mam czytać książki? – zapytał Siergiej z oburzeniem. – Przecież pracuję na okrągło.

– Teraz, oczywiście, nie masz czasu – przyznała Nastia pojednawczo. – Należało to robić w dzieciństwie, gdy chodziłeś do szkoły. No to jak, pracujemy czy będziesz marzył o niebieskich migdałach?

– Będę marzył – odparł Siergiej mściwie. – Wiesz o czym? Widzę taki oto obrazek: ty, Pałna, mędrkujesz z okularami na czubku nosa, wodzisz ołówkiem po swoich mapach, Jurik pozuje na ważnego szefa i z wyniosłą miną obserwuje twoje wysiłki, a tu raptem dzwoni telefon i okazuje się, że Jana Nilska się znalazła, jest cała i zdrowa, siedzi z mężem i spokojnie popija kawę. Wy z Korotkowem patrzycie na mnie jak na maga i czarodzieja, otworzywszy usta ze zdumienia. Możliwe, że twoje okulary, Pałna, spadną ci z nosa, jeśli dopisze mi szczęście. Ja, młody i przystojny, mimo że niewielkiego wzrostu, natychmiast pędzę pod wskazany adres, biorę nowo objawioną paniusię w obroty i rano podaję wam na tacy całą historię zabójstwa kierowcy, w której Jana Nilska odegrała niebagatelną rolę naganiaczki. A jutro, mojego pierwszego dnia pracy w wydziale zabójstw, wasz naczelnik publicznie pogratuluje mi sukcesu i powie... mniej więcej tak: „Oto jak należy pracować. Uczcie się, przyszedł nowy człowiek i wystarczyło, że spojrzał świeżym okiem, a od razu wymyślił oryginalną hipotezę, którą niezwłocznie wcielił w życie”. I każe mi wypłacić nagrodę w wysokości jednej pensji. Nie, lepiej dwóch.

– Najlepiej, oczywiście, trzech – zauważył Korotkow filozoficznie. – Aśka ma rację, jesteś wielkim optymistą, Sierioża. To prawda, że wymyśliłeś oryginalną hipotezę, która ani mnie, ani Aśce nie przyszła do głowy. Ale cała reszta twojej wizji jest czystą utopią. Tak nie będzie. Nigdy.

Nastia już miała dodać, że pewne rzeczy opisane przez Zarubina mogą się jednak zdarzyć, na przykład okulary zwyczajnie spadną jej z nosa, bo wybrała kiepskie oprawki, które rzeczywiście wciąż się zsuwają... Ale nie zdążyła, ponieważ zadzwonił telefon.



– No i proszę! – Zarubin drgnął. – Mówiłem przecież, że zadzwoni telefon...

– Uspokój się. – Nastia zerknęła na zegarek. – To Czistiakow. Teraz jest jego godzina, codziennie dzwoni o jedenastej.

Okazało się jednak, że to wcale nie Czistiakow, tylko mama Nastii, Nadieżda Rostisławowna, która po zwyczajowych pytaniach o samopoczucie i odżywianie się zainteresowała się, czy córka odwiedziła fryzjera.

– Musisz się ostrzyć, Nastiusza, masz za długie włosy.

– Nie chcę, tak mi się podoba. – Nastia się nie poddawała.

– Córeczko, miałaś taką śliczną główkę, gdy po raz pierwszy zdecydowałaś się na strzyżenie! Dlaczego nie chcesz znowu się ostrzyć? Chodzisz zarośnięta jak nie wiem co!

– Mamo, kobieta z piątym krzyżykiem na karku ma prawo sama decydować, jaką fryzurę będzie nosić.

Rozmowa powtarzała się z zatrważającą regularnością już od paru miesięcy. Matka domagała się powrotu modnej, krótkiej fryzury na głowę córki, Nastii zaś szybko znudził się nowy wizerunek, więc postanowiła znowu zapuścić włosy, a tymczasem spinała pasma przeróżnej długości z tyłu głowy w coś, co trudno było nazwać. Odparłszy kolejny atak, z ulgą odłożyła słuchawkę, ale nie zdążyła powiedzieć nawet słowa, bo znowu rozległo się terkotanie. Korotkow posłał Zarubinowi mordercze spojrzenie i obwieścił:

– Tym razem to już na pewno profesor!

Był to rzeczywiście Czistiakow.

– Co porabiasz?

– Spędzam czas w towarzystwie młodych mężczyzn – zażartowała Nastia. – Jeden z nich wybiera się do domu, a drugi zostaje. Czy może powinnam zostawić obu?

– Czemu nie? – odparł mąż. – Tylko się nie pomył, gdy będziesz ich liczyć. Znam cię, do jednego rachujesz bezbłędnie, ale od dwóch zaczynasz się mylić.

– Wezmę kalkulator. – Roześmiała się.

Nastia rozmawiała z Loszą, nasłuchując jednocześnie szeptów Zarubina i Korotkowa.

– Słuchaj, Jurik, czy ty naprawdę z Pałną... no wiesz, w sensie... nic takiego?

– Po pierwsze, to prawda, a po drugie, co ci do tego?

– Pomyślałem, że już późno, a ja muszę się telepać na drugi koniec Moskwy... Może ona mnie też pozwoli zostać? A jutro wszyscy razem pojechalibyśmy do pracy... Co, Jurik? Ale jeśli macie coś w planach, to nie będę przeszkadzał, tylko powiedz.

– Dureń z ciebie, powinienem ci sprawić solidne lanie.

– To się da zrobić – włączyła się Nastia, skończywszy rozmawiać z Czistiakowem. – Jesteś teraz, Korotkow, naczelnikiem Sierioży, masz pełne prawo palnąć go w ucho.

Albo po głowie. Wolne miejsce do spania jest tylko w kuchni, na tej oto kanapce. Pasuje?

Zarubin skwapliwie obejrzał kanapkę, porównał jej długość ze swoim wzrostem.

– Oto na czym polega zaleta bycia małym – oznajmił dumnie, całkowicie usatysfakcjonowany wynikami oględzin. – Żadne z was nie może tutaj spać, a ja owszem. Ile bierzesz za nocleg, Nastiu Pałna?

– Zrewanżujesz się śniadaniem. Wstaniesz o siódmej i przygotujesz posiłek dla trzech osób.

– Nieźle! – wycedził Siergiej. – Twoja lodówka jest przecież pusta, z czego mam przygotować? Wszystko opędzlowaliśmy.

– Skocz do sklepu – poradził Korotkow złośliwie. – Nie ma już Związku Radzieckiego, dzisiaj wszędzie są sklepy całodobowe.

Nastia sięgnęła do torebki po portmonetkę, wyjęła pieniądze.

– Słusznie, Sierioża, biegnij szybko i kup coś na śniadanie. Proszę, weź pieniądze. A ja tymczasem ci pościelę. Sklep jest koło metra.

– Koło metra?! – Zarubin wytrzeszczył oczy. – Mam drałować tak daleko? Ależ z was sadyści!

– Dobra, nie jęcz. – Jura się skrzywił. – Weź moją gablotę.

Czterdzieści minut później zakupy leżały na półce w lodówce, a pracownicy drugiego wydziału MUR-u[8] – na swoich kanapach.

Nastia spędziła dziwną noc. Co rusz wybudzała się z mocnego, głębokiego snu i czuła, jak jej umysł zaczyna szybko i logicznie pracować. Sieriożka ma trochę racji, zakładając, że Jana Nilska

mogła być współniczką zabójcy. Albo zabójców. Wszyscy – i śledczy, i detektywi – patrzyli przez pryzmat informacji, że żona scenarzysty przyjechała do Moskwy po raz pierwszy i nie ma tutaj żadnych znajomych, z wyjątkiem tych, z którymi spotykała się na planie filmowym. Ale przecież tak twierdzi tylko Rusłan Nilski, mąż Jany. Mężczyzna mógł kłamać. Albo nieświadomie się mylić. Trzeba sprawdzić...

Po kolejnej przerwie na zdrowy, twardy sen Nastia podjęła w myślach tworzenie planu: złożyć zapytanie do Kemerowa, niech miejscowi detektywi porozmawiają z krewnymi i bliskimi Jany o jej moskiewskich znajomych. A może należałoby tam pojechać? Wysłać na przykład Sieriożę? Nie, to odpada, nie ma pieniędzy na takie delegacje.

Świtało już, gdy nagle przyszło jej na myśl: jakoś głupio to wszystko wygląda. Załóżmy, że Jana Nilska brała udział w zabójstwie kierowcy. Załóżmy, że teraz się ukrywa. Po co? I co zamierza robić dalej? Nie może się ukrywać bez końca, prędzej czy później będzie musiała wrócić. I co wtedy powie, jak wytłumaczy swoją nieobecność? Jeśli, oczywiście, w ogóle zamierza wrócić. A jeśli nie? To znaczy jak to – nie? Dobrze, załóżmy, że w jej relacjach z mężem panuje poważny kryzys; wielu świadków twierdzi, że wieczorem w dniu zabójstwa para głośno się awanturowała. Jana była niesłychanie zazdrosna o aktorkę Irinę Sawienicz. Ale przecież oprócz męża ma jeszcze dwie całkiem małe córki. I rodziców. Nie może tak po prostu, ni z tego, ni z owego, rzucić wszystkich i się ukryć. Z czego będzie żyć? Z pieniędzy kochanka? A więc jest jakiś kochanek, o którym nikt nie wie. Nie, to głupie, głupie, nie pasuje...

Pół godziny przed budzikiem Nastię obudził telefon od śledczego Gmyrii.

- Nilska się znalazła.
- Żyje? – zapytała Nastia ochryplym z wrażenia głosem.
- Jest zdrowiuteńka. Sama przyszła. Przed chwilą dzwonili chłopcy dyżurujący pod domem. Ruszaj tam prędko, a na dziesiątą przywieź ją do mnie. W razie czego jestem pod telefonem.

Filigranowa Jana całkiem ginęła w przepastnym, miękkim fotelu, na którym siedziała z podwiniętymi nogami, przycisnąwszy kolana do piersi. Błada i wychudzona, prawie nie odzywała się ani do Rusłana, ani do Iriny, którzy na wyścigi proponowali jej, by wzięła prysznic, zjadła coś, przespała się albo przynajmniej napiła się gorącej herbaty. Dziewczyna tylko przecząco kręciła głową i od czasu do czasu bąkała z przymusem:

- Nie chcę... Nie trzeba...
- Gdzie byłeś? – pytał Rusłan z lękiem.
- Nie wiem. W jakimś mieszkaniu.
- Co ci zrobili?
- Nic.
- Bili cię? Torturowali? Grozili ci? Czego od ciebie chcieli?
- Nie wiem... Niczego...

W końcu Ira pociągnęła Rusłana za rękaw i siłą zaprowadziła do kuchni.

– Zostaw ją w spokoju – powiedziała cicho. – Nie widzisz, że jest w szoku? Nie chce o tym rozmawiać. Żyje, a to najważniejsze. Zaraz przyjadą milicjanci, wtedy wszystko im opowie. Niech tymczasem odpocznie, dojdzie do siebie. Nie dręcz jej.

– Ale ja muszę wiedzieć! – Rusłan się denerwował. – Gdzie była? Kto ją porwał, dokąd zawiózł i po co? A zresztą dlaczego sądzisz, że ona powie wszystko milicjantom, skoro mnie nie chce nic powiedzieć?

– Bo jest twoją żoną, a dla nich jest świadkiem zabójstwa. Jana na pewno wie, że musi porozmawiać z milicją. Nawiasem mówiąc, kodeks karny przewiduje karę za odmowę składania zeznań. Wiem o tym od byłego męża.

Irina Sawienicz zawarła drugie małżeństwo ze śledczym, więc teraz uważała się za prawdziwą ekspertkę w dziedzinie procesu karnego.

– Dobrze, zaczekam, na razie nie będę jej naciskać.

Rusłan ciężko opadł na taboret, ale już chwilę później znowu się poderwał i popędził do pokoju, w którym siedziała Jana.

– Moja dziewczynko – powtarzał, pochylając się nad nią i próbując ją objąć. – Moja malutka, wszystko minęło, wszystko się skończyło,

jesteś ze mną, jesteśmy razem. Już wszystko dobrze, wszystko w porządku. Chcesz wziąć prysznic? Chodźmy, pomogę ci, umyję cię jak wtedy, pamiętasz?

Ale Jana jeszcze głębiej zapadała się w fotel i sztywniała pod jego rękami. Stojąc w drzwiach, Irina obserwowała tę scenę z uczuciem radości pomieszanej z litością. Dobrze, że mała Janka wróciła, dobrze, że jej nie zabito i nie okaleczono. Żal jej jednak Rusłana. Przez te wszystkie dni cierpiał, niepokoił się i zamartwiał, zbierał siły, żeby przyjąć każdą wiadomość, nawet najstraszniejszą. I oto teraz Jana jest obok niego, ale jakaś obca, nieznana, niedostępna. Rusłan z całych sił stara się otoczyć ją troską, tkliwością i uczuciem, tymczasem ona jeszcze bardziej kuli się w sobie, coraz głębiej wciska się w fotel, chowa się jak ślimak w skorupie.

Na schodach rozległy się głosy, więc Irina otworzyła drzwi, zanim brzęknął dzwonek. Przed nią stały trzy osoby – dwaj mężczyźni i kobieta. Kobiecie przyjrzała się na końcu, mężczyźni zaś oszacowała od razu. Jeden niewysoki, wzrostu Rusłana, nieatrakcyjny, ale szalenie miły, z bystrymi oczami i łobuzerskim wyrazem pospolitej twarzy. Drugi – Ira widziała go już w niedzielę, gdy przyjechała do Sokolników po telefonie od Woronowej – to prawdziwy detektyw, jakiego można zobaczyć w filmach: potężne ramiona, pochmurne spojrzenie, głębokie bruzdy nosowo-wargowe. Klasyczna para z amerykańskich kryminałów: jeden zwalisty, powolny i szorstki, bez poczucia humoru, a drugi wścibski, zwinny i wesoły, miłośnik żartów i kawałów.

Wyrobiwszy sobie zdanie o stojących na progu mężczyźnach, Irina zajęła się kobietą. Wysoka, niemal równa z Irą, ale w pozostałych rzeczach – jej całkowite przeciwieństwo. Jasne włosy, niedbale spięte z tyłu głowy, jasne, przejrzyste oczy, blada, szczupła twarz. Figurę też ma szczupłą, zgrabną, rozmiar czterdziesty szósty, nie większy. Irina chciałaby nosić taki rozmiar! Mimo że przez pięć lat wychodzi z siebie, nie potrafi się uwolnić od pięćdziesiątego drugiego. Próbowwała wielu sposobów: rozmaitych diet, tabletek, które rzekomo spalają tłuszcz, i siłowni. Nic nie pomaga. Zrzuci trzy, cztery kilogramy, ale już miesiąc później waga powraca.

– Dzień dobry, Irino Nikołajewna, pamięta mnie pani? – Pochmurny detektyw posłał jej zaskakująco serdeczne i ciepłe spojrzenie. – Nazywam się Korotkow, na imię mam Jurij, a to moi koledzy, Anastazja i Siergiej. Musimy porozmawiać z Janą Giennadjewną.

– Oczywiście. – Ira się odsunęła, wpuszczając ich do mieszkania. – Proszę do środka. Ale nie wiem, jak chcecie porozmawiać z Janą, skoro nie odpowiada na pytania i przez cały czas milczy.

– Może potrzebuje lekarza? – zapytała troskliwie kobieta, którą Korotkow przedstawił jako Anastazję. Ira nagle się zorientowała, że to pewnie jest ta Anastazja, która odwiedziła Natalię. Natalka mówiła, że to mądra i miła pod każdym względem babka.

– Najwyżej psychiatry. – Irina uśmiechnęła się i od razu zauważyła przenikliwe spojrzenie, które rzucił jej ukradkiem detektyw z bystrymi oczami.

– Irino Nikołajewna, ile jest pokoi w mieszkaniu? – zapytał szybko Korotkow.

– Jeden.

– I kuchnia?

– Zgadza się, jak wszędzie.

– A więc pani i ja porozmawiamy na schodach. – Teraz Korotkow już nie sprawiał wrażenia pochmurnego, zmarszczki na czole się wygładziły, oczy zrobiły się jeszcze cieplejsze. – Anastazja rozmawia z Janą, Siergiej z jej mężem, a ja, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, z panią.

Ira nie protestowała. Ranek był zimny; mimo że jest połowa czerwca, nadal się nie ociepliło. Wzięła z kuchni papierosy i zapalniczkę, wsunęła je do kieszeni kurtki, którą narzuciła na ramiona, i wyszła na klatkę schodową. Korotkow czekał na nią w niszy położonej między schodami a holem windowym.

– No to niech pani mówi, Irino Nikołajewna.

– O czym?

– O tym na przykład, dlaczego pani zdaniem Jana Giennadjewna potrzebuje psychiatry.

A jednak zauważył! Posepnny, ale wcale nie głupi. Dzisiaj Korotkow podobał jej się o wiele bardziej niż w niedzielę. Wtedy, co prawda, przez cały dzień lało, więc pracując w takich warunkach w dzień wolny, raczej nie mógł mieć dobrego humoru. Ale dzisiaj jest całkiem, całkiem...

– Jak się pan nazywa? – zapytała nagle.

– Jurij Wiktorowicz.

– A więc umówmy się, Juriju Wiktorowiczu, że pan będzie Jura, ja Ira, a Janka po prostu Janą. W przeciwnym razie nasza rozmowa nabierze charakteru przesłuchania. Jeżeli zależy panu na zachowaniu oficjalnego tonu, proszę mnie wezwać do swojego gabinetu.

– Stawia mi pani warunki? – Korotkow nieznacznie uniósł szerokie brwi.

– Ależ skąd. – Ira się uśmiechnęła. – Proszę pamiętać, że jestem aktorką, miałam okazję kształcić się u dobrych pedagogów i grać u dobrych reżyserów. O klimacie sceny decyduje mnóstwo drobiazgów, między innymi miejsce, stroje postaci, a także to, jak się do siebie zwracają. Jeżeli w smokingu i w sukni wieczorowej, na przyjęciu i na „pan” czy „pani”, to jedna rzecz, a jeśli nadzy w łóżku i na „ty”, to zupełnie inna. Rozumie pan? Naprawdę nie mogę stać w brudnej niszy, palić papierosa, opatulać się starą kurtką sportową i nazywać przy tym Jankę Janą Giennadjewną. No nie mogę!

– To znaczy, że kiepska z pani aktorka – stwierdził Korotkow bez uśmiechu. – Dobra aktorka potrafi wszystko, może udawać księżnę, mimo że ma na sobie łachmany. Ale gotów jestem przejść na styl nieformalny. A zatem, Iroczo, proszę opowiedzieć wszystko po kolei od chwili, gdy dzisiaj zjawiała się Jana. Tylko bardzo szczegółowo, niczego nie pomijając, jakby rozmawiała pani z przyjaciółką. Wie pani, jak się opowiada o czymś przyjaciółce? On mówi... a ja na to... a ona... a ja tymczasem... Mniej więcej tak.

– Tyle że ja tak nie potrafię. – Ira mimo woli się roześmiała.

– Niby czemu?

– Natalia długo mnie tego oduczwała.

– Natalia?

– No tak, Woronowa. Musi pan wiedzieć, Jura, że jest wspaniałą gawędziarką, opowiada tak, jakby czytała z książki. Od dzieciństwa ma taki talent. Ja zaś byłam normalnym dzieckiem ze strasznie zaśmieconym słownikiem, zresztą podobnie jak wszyscy. I rozmawiałam z koleżankami właśnie tak, jak pan przed chwilą pokazał. No więc Natalia przez wiele lat oduczała mnie tego stylu. I oduczyła.

– Rozumiem. – Korotkow kiwnął głową. – Wróćmy do Jany.

– Jana... Zjawiała się koło szóstej rano, gdy spałam, a Rusłan dyżurował przy telefonie. Oboje bardzo się baliśmy, że zaśniemy i przegapimy telefon od niej albo od porywaczy, więc spaliśmy po kolei przez te dni. Jana weszła do mieszkania...

– Chwileczkę – przerwał Korotkow. – Zadzwoiła do drzwi czy otworzyła swoim kluczem?

– Właściwie nie wiem. – Ira się zmieszła. – Spałam, nie słyszałam. Rusłan mnie obudził, powiedział, że Jana wróciła. Ale myślę, że gdyby zadzwoniła, dzwonek wyrwałby mnie ze snu. Raczej nie dzwoniła. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Możliwe. Jeszcze nie wiem. Jeśli miała klucze, ale ich nie użyła, pojawia się pytanie: dlaczego? Może je zgubiła, może ktoś jej zabrał, a to zmienia postać rzeczy. Proszę dalej.

– Obudziłam się, pobiegłam do niej. Ledwie stała na nogach, blada, zmordowana, szczuplejsza. Ale wyszła z tego bez szwanku, nie zauważyłam siniaków, mimo że się nie rozebrała. Zrzuciła tylko kurtkę i adidasy, po czym od razu zapadła się w fotel. Nie poszła się umyć, odmówiła jedzenia. Nie odpowiada na pytania, nic nie mówi. Udało się z niej wyciągnąć tylko to, że przetrzymywano ją w jakimś mieszkaniu, nie bito jej ani nie torturowano, nie stawiano żądań, nie grożono i nie zastraszano. A dzisiaj o świcie wypuszczono. Odniosłam wrażenie, że dostała rozstroju nerwowego.

– Dlatego powiedziała pani o psychiatrze?

– No tak. Chociaż jeśli mam być szczerą...

– Potrzebuję wyłącznie szczerości, jestem detektywem, a nie dziennikarzem. Muszę wyjaśnić przestępstwo.

Ira milczała przez chwilę, bijąc się z myślami. Może nie powinna mówić temu gliniarzowi wszystkiego, co sądzi na temat Janki



i Rusłana? W końcu miłość to delikatna materia, przyjmuje rozmaite formy, nikt nie potrafi jednoznacznie oszacować z boku, czy jest, czy jej nie ma. Ira nigdy nie potraktowałaby ukochanego męża tak jak Janka. Ale czy to oznacza, że Jana nie kocha Rusłana? Kto wie...

– Czekam, Iro – przypomniał Korotkow. – Czy coś wydało się pani dziwne w zachowaniu Jany? Może nietypowe? Nielogiczne?

– Nie wiem – przyznała się. – Nie potrafię tego ocenić. Sądzę jedynie po sobie. Gdyby to mnie przydarzyło się coś takiego i gdybym miała kochanego męża albo kogoś bliskiego, od razu opowiedziałabym mu o wszystkim, bo sama nie rozumiałabym, co i dlaczego się stało, więc chciałabym usłyszeć jego opinię. Mam taką naturę, że muszę koniecznie podzielić się z kimś swoimi przeżyciami, rozumie pan? Gdybym nie miała męża, tobym pobiegła do Nataszy, przez całe życie biegam do niej z różnymi problemami. Niech mi pan wierzy, Jura, że gadałabym jak nakręcona! Opowiadałabym całą historię wiele razy od samego początku, przypominałabym sobie najdrobniejsze szczegóły i żądałabym, żeby je ze mną analizowano i wyciągano wnioski: co to wszystko właściwie znaczy? Ale to moje podejście. Jana ma pewnie inną naturę. Nie czuje palącej potrzeby, żeby natychmiast podzielić się swoimi przeżyciami z mężem. Ja jednak tego nie rozumiem. Nie rozumiem i już. Jak można nie pragnąć zwierzyć się mężowi, jeśli się go kocha?

– Są dwie możliwości – zauważył Korotkow, zapalając kolejnego papierosa. – Albo ona go nie kocha, albo nie chce denerwować opowiadaniem o tym, co się stało. Zwłaszcza jeśli została zgwałcona.

Zgwałcona! Ta myśl w ogóle nie przyszła Irze do głowy. Chociaż powinna była... Tyle że Janka jakoś nie przypomina ofiary przemocy seksualnej. Nie poszła się umyć, a przecież w takim wypadku właśnie to by zrobiła. W mieszkaniu, w którym ją przetrzymywano, musiała być chyba łazienka. Nagle Ira pomyślała, że Janka ma czyste, niedawno umyte włosy. Nawet jeśli umyła je w sobotę rano, przed zdjęciami, to w czwartek żaden włos nie zachowałby takiej świeżości, chyba tylko peruka. Dziewczyna nie wygląda też na wygłodzoną. Widać, że schudła, ale czterodniowa głodówka wpływa nie tylko na wagę. Odbija się na cerze, oczy się zapadają. Ira wie o tym po sobie, wiele razy usiłowała prowadzić głodówkę w ramach

walki z nadwagą. Jana jest blada, a z głodu powinna zszarzeć i zżółknąć. I z całą pewnością nie odmówiłaby jedzenia. To znaczy, że ją tam karmiono. Udostępniono łazienkę. Jednym słowem, stworzono odpowiednie warunki. A później wypuszczono. Nie, gdyby Ira była na miejscu Jany, oszalałaby z niepewności i chęci, by zrozumieć, co to wszystko znaczy.

– Ciekawe – zauważył Korotkow, wysłuchawszy jej spostrzeżeń. – A jak przyjmuje to Rusłan?

– Miota się – skonstatowała Ira krótko. – Skacze koło Jany, nie wie, jak się jej przypodobać. Żal mi go, te dni kosztowały go wiele nerwów, a ona siedzi jak posąg. Mogłaby się wczuć w jego sytuację! On ją traktuje delikatnie, mówi jej czułe słówka, a ona nawet nie uzna za stosowne, żeby mu coś odpowiedzieć albo w ogóle się odezwać.

– Może naprawdę potrzebuje lekarza – powiedział Korotkow w zamyśleniu. – Pewnie jest w szoku.

Pół biedy, gdyby tak było! Bo jeśli powód jej zachowania jest inny, Ira będzie musiała ją uznać za głupią zdzirę. Czego, oczywiście, nie chciałaby, bo darzy Rusłana szczerą życzliwością, z całego serca pragnie, by jego życie rodzinne się ułożyło.

– O dziesiątej zawieziemy Janę do śledczego, a później zobaczymy, może zostanie odesłana do szpitala – ciągnął Korotkow. – Aha, pominęliśmy jeszcze jedną kwestię. Jana przyszła pieszo czy przyjechała samochodem?

– Już mówiłam, że spałam, gdy się zjawiała. Może wspominała coś o tym Rusłanowi.

– Dobrze, miejmy nadzieję, że naszym funkcjonariuszom uda się dowiedzieć czegoś ciekawego od samej Jany i jej męża. Dziękuję pani, Iro, bardzo nam pani pomogła.

– W jaki sposób?! – zapytała z nieudawanym zdumieniem. – Nie powiedziałam nic sensownego, tylko same emocje i domysły, one zaś, jak uczył mnie mąż, niewarte są funta kłaków.

Po raz pierwszy od początku rozmowy Korotkow spojrzął na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

– Jest pani mężatką? Zdaje się, że pani wspominała...

– Jestem rozwiedziona, i to od dawna. Miałam na myśli eksmęża. Nawiasem mówiąc, niewykluczone, że pan go zna. Igor Wiktorowicz Maszczenko, śledczy. Nie słyszał pan?

– Maszczenko? – Twarz Korotkowa rozplynęła się w uśmiechu. – Oczywiście, że go znam. Był bardzo dobrym śledczym, szkoda, że odszedł do centrali. A więc pani była jego żoną... No proszę, jak czasem życie się plecie... Ale Igor nie do końca ma rację. To prawda, że emocje i domysły to dla śledczego kompletne bzdury, bo nie zbuduje z nich oskarżenia. Ale dla detektywów są tym, czego potrzebują. Emocje stanowią klucz pozwalający otworzyć właśnie te drzwi, które należy, i ominąć te, za którymi nic nie ma. Czy obraz jest jasny?

– Tak, jest bardzo trafny. – Irina znowu się roześmiała. – Sam pan to wymyślił?

– Niestety, nie będę kłamać, nie jest mojego autorstwa.

– A czyjego?

– Podpułkownik Kamińskiej, tej, która właśnie rozmawia z Janą. Iro...

– Tak?

– Czuję się bardzo niezręcznie, ale śledczy zerwał nas z łóżek o wpół do siódmej i kazał pilnie przyjechać tutaj...

– Rozumiem. Jest pan głodny, nie zdążył zjeść śniadania. Zaraz coś wykombinuję.

Ira już miała pobiec do mieszkania, zorientowała się jednak, że chyba nie powinna wchodzić do kuchni, bo niepokąźny Siergiej z bystrymi oczami rozmawia tam z Rusłanem. Zawahała się więc i zerknęła pytająco na Korotkowa.

– Do kuchni nie można, prawda?

– Można, tylko ostrożnie i szybko. Pomogę pani.

Razem weszli do mieszkania. Drzwi do kuchni były szczelnie zamknięte, podobnie zresztą jak te prowadzące do pokoju. Korotkow delikatnie je uchylił i wsunął głowę do kuchni, później obrócił się i kiwnął na Irę palcem.

– Można – powiedział szeptem.

Ira prześlizgnęła się koło niego, usiłując pozostać niezauważona. Rusłan i niepokąźny detektyw siedzieli naprzeciw siebie przy stole.

Rusłan dyktował jakieś nazwiska i adresy, Siergiej szybko zapisywał. Nie zwrócili na Irę uwagi. Wyjęła więc z lodówki kawałek sera i opakowanie wędzonej kiełbasy w plasterkach, z szafki – reklamówkę z chlebem, wzięła nóż ze stołu i na wszelki wypadek dołożyła jeszcze dwa błyszczące, czerwone jabłka.

– Królewska uczta – mruknął Korotkow z zachwytem, gdy znowu znaleźli się na klatce schodowej. – A na czym będziemy kroić?

– Niech to diabli!

Ira przygryzła wargę z irytacji. No właśnie, na czym kroić? Wzięła nóż, ale zapomniała o deseczce.

– Ma pani jakąś gazetę?

– Oczywiście, w przedpokoju poniewiera się cała sterta.

– Proszę przynieść. Zaraz rozłożymy gazetę i wszystko starannie pokroimy w duchu radzieckich pijaków i postradzieckich bezdomnych – zaproponował Korotkow wesoło. – Nie będzie to pani przeszkadzało?

– Mnie?

Sugestia tego sympatycznego milicjanta ją rozbawiła. Gdyby wiedział, jak wyglądała młodość Iriny Sawienicz!

Patrząc, jak Korotkow zręcznie kroi ser i chleb i robi kanapki, Ira poczuła wilczy apetyt. Zawsze ogarniał ją głód, gdy się denerwowała. Ale teraz nic szczególnego się nie działo i nie miała właściwie powodu, żeby się denerwować...

– Proszę się częstować. – Korotkow podał jej kanapkę. – Pierwsza kromka dla damy.

– Dziękuję.

Skwapliwie wbiła zęby w chleb z serem i cienkim plasterkiem wędliny. Jakby głodowała przez tydzień! Aż wstyd.

– Bardzo miły z pana człowiek, Jura. Wtedy, w niedzielę, uznałam pana za okropnego mruka. Poważny, posępny, na wszystkich krzyczy, wszystkich pogania, wszystkich podejrzewa.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj jest pan zupełnie inny. Czuję się z panem bardzo swobodnie, wcale się pana nie boję.

– Masz ci los! – Korotkow zrobił zabawną minę. – To znaczy, że w niedzielę się pani bała?

– Uhm, jeszcze jak! Naprawdę, Jura, był pan niesłychanie groźny.

– Powiedzieć dlaczego? – zapytał raptem poważnym głosem.

– Proszę.

– Widzi pani, Iro... Odszedłem od żony. Nie miałem gdzie się podziąć, więc spałem w pracy, w swoim gabinecie, na krzesłach. Całe ciało boli, plecy zeszywniały, pobiegłem do sali gimnastycznej, żeby wziąć prysznic. A tutaj jeszcze wyjazd na miejsce zbrodni w nocy, gdy na dworze pada i wieje. W jakim, pani zdaniem, mogłem być humorze?

– W kiepskim – odparła z przekonaniem. – A dzisiaj jest pan w lepszym?

– Sama pani widzi.

– A więc wrócił pan do żony? Czy znalazł lokum?

– Nic z tych rzeczy. Nie wróciłem do żony i nie znalazłem lokum. Znalazłem za to tymczasową przystań u pewnej tymczasowo wolnej kobiety, więc mogę się wyspać i najeść jak człowiek.

Ira nie spodziewała się, że nagle zrobi jej się przykro. Co się z nią dzieje? Wielkie rzeczy, jakiś zupełnie obcy mężczyzna znalazł przystań u tymczasowo wolnej kobiety. Powinna się cieszyć, że mu się poszczęściło. A ona poczuła smutek, jakby ją oszukano.

– Gratuluję – bąknęła smętnie.

– Na razie nie ma czego. Ta kobieta to moja znajoma, przyjaciółka, można powiedzieć, ale nie kochanka. Doskonale wiem, że moja obecność ją krępuje. Mieszkanie jest jednopokojowe, więc sama się pani domyśla, jak ona się czuje z obcym facetem. Za parę dni będę mógł się przeprowadzić, do tej pory muszę nadużywać jej gościnności. Właściwie chciałem panią o coś zapytać...

– O co?

Ira poczuła ulgę i radość. Nie miała zwyczaju uważnie analizować swoich emocji, łatwo im ulegała, a później gorzko żałowała, że bierze wszystko lekko i najpierw coś robi, a później się zastanawia. Taki miała charakter.

– Jana wróciła, więc nie musi pani teraz tkwić przy Rusłanie. Pewnie wróci pani do siebie?

– Zgadza się. Co mam tutaj robić? Nie jestem im już potrzebna.

– Czy ktoś na panią czeka w domu?

No oczywiście, rozmowa zmierzała właśnie w tym kierunku. Ira nie udawała przed sobą, to jej sprawiło przyjemność. Pragnęła takiego obrotu sprawy i czekała na niego. Podobał jej się ten detektyw. I to bardzo.

– Nie, mieszkam sama.

– Może zaprosi mnie pani na kolację? I opowie coś jeszcze o Rusłanie i Janie.

– Proszę wpaść. Będzie mi miło.

– Kiedy?

– Musiałabym zajrzeć do harmonogramu zdjęć. Nie znam go na pamięć...

– Ale dzisiaj ma pani zdjęcia?

– Tak, od drugiej i mniej więcej do szóstej.

– A więc wieczorem...

– Oczywiście, Jura. Ma pan adres?

– Iroczo, detektyw zwykle nie ma pieniędzy. Ale adres świadka ma zawsze.

[7] Pałna – skrócona, nieformalna forma patronimiku Pawłowna.

[8] MUR (Moskowskij ugołownyj rozysk) – Moskiewski Wydział Kryminalny.

## Rozdział 6

Nastia zaszyła się w kącie przy oknie i słuchała, jak Boris Witaljewicz Gmyria przesłuchuje Janę Nilską. Słowa Jany układały się w następujący obraz. Dziewiątego czerwca koło osiemnastej Tiejmuraz Indżija zaprosił ją do restauracji Fiołek na szaszłyk z jesiotra. Gdy pili kawę, właściciel restauracji poinformował Timura, że o dwudziestej zaczyna się bankiet, więc Fiołek będzie czynny, póki nie skończy się impreza, to znaczy mniej więcej do drugiej w nocy. Niezaproszeni goście nie zostaną oczywiście wpuszczeni późnym wieczorem, ale on, Timur, zawsze jest mile widziany jako stały klient. Timur odparł, że nikomu nie będzie sprawiał kłopotu, a jeśli zjawi się ze swoją towarzyszką, to pójdzie tylko do baru napić się kawy i zjeść parę kanapek. Na tym stanęło.

Parę minut po jedenastej Timur uprzedził kierownika planu, że zabiera Janę na kawę. Ruszyli aleją w stronę ulicy Mitkowa. Gdy byli na wysokości toru rolkowego, z krzaków po przeciwnej stronie alei ktoś zawołał:

– Timur! Jana!

Podeszli bliżej, rozległy się dwa strzały, Timur upadł, ktoś chwycił zdezorientowaną Janę, ręką zatkał jej usta i gdzieś pociągnął. Mężczyzna był dobrze zbudowany i silny, więc mimo że Jana się wyrywała, nie mogła nic zrobić. Wepchnięto ją do samochodu, do białej wołgi, i ruszono. W samochodzie zaklejono jej usta taśmą i zawiązano oczy, chociaż ten środek ostrożności był właściwie zbędny: Jana nie zna Moskwy, więc nie potrafiłaby rozpoznać, zwłaszcza w ciemności, dokąd wiozą ją porywacze. Odniosła wrażenie, że jechali ze dwadzieścia minut. Może dłużej, a może krócej. Była tak przestraszona, że nie zwracała uwagi na czas.

Przywieziono ją do jakiegoś domu i zaprowadzono do mieszkania. Jakiego domu? Bloku czy kamienicy? Z jednym wejściem czy z kilkoma? Ile w domu jest pięter? Jana nie wie, nie widziała, bo gdy wchodzili, miała zawiązane oczy. Gdy ją wyprowadzano – również. Właściwie nie weszła sama, została wniesiona. Potem wjeżdżali windą. Na które piętro? Nie wie, raczej nie na pierwsze i nie na drugie, chyba na piąte czy siódme, ale nie jest pewna. Jak wyglądało mieszkanie? Było zwyczajne, trzy pokoje, kuchnia, łazienka, toaleta. Co widać z okna? Nie wie, okna zakleiono papierem. Od razu jej zapowiedziano, że razem z nią w mieszkaniu będzie ochroniarz, który ukarze ją za najmniejsze wykroczenie. Do wykroczeń zaliczały się próby wzywania pomocy i ucieczki, krzyki, zerwanie papieru i wyglądanie przez okno. Jeśli wykroczeń nie będzie, za parę dni Jana odzyska wolność i wszystko wróci do normy. Nikt nie robi jej nic złego.

Rzeczywiście nie zrobiono jej nic złego, trzy razy dziennie przynoszono posiłki. Najpierw odmawiała jedzenia, ale później doszła do wniosku, że to niczego nie zmieni, nikt nie zamierza jej przekonywać ani wypuścić wcześniej. Ochroniarz nie wdawał się z nią w żadne rozmowy i zdecydowanie ucinął wszelkie próby zadawania pytań. Właściwie ochroniarzy było dwóch, pilnowali jej na zmianę, bo w nocy nie odpoczywali, siedzieli w pokoju, w którym Jana spała. Nie widziała ich twarzy ani włosów, obaj byli w maskach, takich, jakie nosi specnaz. Wzrost, sylwetka? Byli zwyczajni, jeden trochę wyższy i przystojniejszy, drugi niższy, miał szersze ramiona. Głosy? Też zwyczajne. Przez cały czas odzywali się tak rzadko, że Jana raczej nie zdoła ich rozpoznać. O sposobie wysławiania się również nie potrafi nic powiedzieć, bo posługiwali się przeważnie wykrzyknikami albo krótkimi: „tak”, „nie”, „można”, „nie wolno”, „nie wiem”, „zabronione”, „ukarzę”.

Dzisiaj o czwartej rano ją obudzili, znowu zawiązali oczy, zakleili usta, wynieśli z domu i wsadzili do samochodu. Gdzieś wieźli, chyba z czterdzieści minut. Później wynieśli z auta i znowu jechali z nią windą. Zerwali taśmę. Gdy Jana zdjęła przepaskę z oczu, stwierdziła, że stoi na pustej klatce schodowej. Z szybu dobiegało dudnienie zjeżdżającej windy, a na podłodze poniewierała się jej



torebka. Wyrzała przez okno, ale nie zobaczyła nic ciekawego, okna musiały wychodzić nie na tę stronę, gdzie przed domem stał samochód. Kiedy zjechała na dół i wyszła na ulicę, nikogo już tam nie było. Piąta rano, wszyscy śpią, wokół cisza i pustka. Czy potrafi wskazać miejsce? Tak, oczywiście, chociaż raczej spróbuje, bo nie jest pewna... Nie zapamiętała nazwy ulicy, to nie miało znaczenia, przecież nie zna moskiewskich ulic, a mapy nie miała, rzecz jasna, pod ręką. Ruszyła przed siebie, po jakichś trzydziestu minutach dotarła do stacji metra. Musiała trochę poczekać, zanim ją otworzą – była czynna od wpół do szóstej. Jaka stacja? Oriechowo. Metrem dojechała do swojej stacji i znowu poszła pieszo – do domu, w którym mieszkają teraz z mężem.

Historia była nie tyle dziwna, ile niewiarygodna! Porywać kogoś tylko po to, żeby przez parę dni go żywić i pilnować, a później wypuścić? Kompletna bzdura... Gdyby porwano Janę na wszelki wypadek, bo była świadkiem zabójstwa Timura, na pewno by ją zapytano, co konkretnie widziała i czy potrafi rozpoznać zabójcę, straszono by i grożono wszelkimi karami niebios, jeśli się wygada. Ale to też głupie, prościej byłoby się dowiedzieć, co widziała, a czego nie widziała, a później zabić. Po co wypuszczać na wolność bombę z opóźnionym zapłonem?

Jeszcze jedna rzecz wydała się Nastii ciekawa. Zawołano ich po imieniu, Indżiję nazwano Timurem, a Janę – Janą. Z Timurem jasna sprawa, ten, kto chciał go zabić, wiedział, jak się nazywa ofiara. Skąd jednak zabójca wiedział, że młoda kobieta idąca obok Timura ma na imię Jana? Przygotowywał się wcześniej i zbierał informacje? Ale skoro jest tak przewidujący, to czy nie lepiej było poczekać, aż Timur będzie sam, bez swojej towarzyszki? Zabójcy nie potrzebują świadków. Jeśli natomiast się nie przygotowywał, jeśli polecono mu popełnić zabójstwo dziewiątego czerwca, to skąd zna Janę? Możliwe odpowiedzi: Jana miała jednak w Moskwie znajomych, o których nikomu nie wspomniała – to idealnie pasuje do hipotezy Sierioży Zarubina o tym, że została namówiona i zmuszona do współudziału w zabójstwie. Ale wtedy nie wiadomo, po co ją porwano. Wystarczyłoby, żeby stworzyła fałszywy rysopis zabójcy i wskazała fałszywy kierunek, w którym pobiegł. Nic prostszego. Druga

możliwość: zabójstwo popełnił ktoś związany z ekipą filmową, ktoś, kto znał Timura i Janę i wiedział, że wybierają się do restauracji. Tyle że żadna z osób pracujących tamtego dnia na planie nigdzie nie znikła, z wyjątkiem Timura i Jany. W chwili przybycia milicji wszyscy byli na miejscu, ale to o niczym nie świadczy. Morderca mógł zabić Timura, wepchnąć kruchą i filigranową Janę do samochodu, w którym czekali na niego wspólnicy, pomachać im na pożegnanie i wrócić na plan. A zatem wyłania się jeszcze jedna hipoteza, zgodnie z którą Timur sprowokował do zabójstwa jakiegoś członka ekipy filmowej. Kogoś jeszcze oprócz Rusłana Nilskiego. Bo Nilski jako możliwy podejrzany został sprawdzony w pierwszej kolejności. Dokładnie ustalono, że od chwili, gdy Jana poszła z Timurem do Fiołka, Rusłan ani na krok nie odstępował Woronowej. Przez cały czas byli razem, wszyscy ich widzieli. Chociaż... Nilski, zazdrosny o młodego, przystojnego chłopaka, mógł wynająć zabójcę i przedsięwziąć środki, by zapewnić sobie alibi. Wtedy wiadomo, skąd zabójca znał Janę. Albo mu ją pokazano, albo sporządzono jej szczegółowy rysopis. W tej sytuacji to oczywiste, dlaczego nikt nie żądał niczego od Jany ani nie zrobił jej krzywdy. Nastraszo ją tylko, żeby odechciało jej się wdawać w romanse z obcymi facetami i denerwować zazdrosnego męża. Wtedy wszystko się zgadza... Skąd jednak Nilski wziął zabójcę, w dodatku takiego ze współnikami? To praktycznie niemożliwe w sytuacji kogoś, kto nie jest miejscowy i nie ma dojść do bandyckiej ferajny. Kto jednak powiedział, że Nilski nie ma takich dojść? Nikt nie sprawdzał jego moskiewskich kontaktów. A przecież począwszy od 1991 roku, nieraz przyjeżdżał do Moskwy w delegację albo prywatnie, zbierał materiały do artykułów. A przy okazji, jaka była tematyka jego materiałów? I w jakich kręgach szukał potrzebnych informacji? Wygląda na to, że trzeba się przyjrzeć bliżej dziennikarskiej przeszłości nowo objawionego pisarza Rusłana Nilskiego. Wymaga tego zarówno hipoteza, którą wczoraj przedstawiła Afonii, jak i ta, która właśnie przyszła jej na myśl.

– Jano Giennadjewna. – Głos śledczego Gmyrii wyrwał Nastię z zamyślenia. – Musimy przeprowadzić procedurę okazania. Jeśli jest pani zmęczona albo źle się czuje, odłożymy to do jutra...

– Nie, wszystko w porządku – zaszemrał ledwie słyszalny głosik Jany. – Jestem gotowa. Może pan zaczynać.

– Nie wszystko da się zrobić tak szybko. – Boris Witaljewicz się roześmiał. – Okazanie to skomplikowana procedura. Potrzeba czasu. Gdzie teraz jest pani mąż?

– Czeka na mnie na korytarzu.

– Wspaniale. Niech się państwo przespacerują i zjedzą obiad. A o trzeciej proszę wrócić, mam nadzieję, że będziemy gotowi.

Gdy Nilska wyszła z gabinetu, Gmyria odwrócił się do Nastii.

– No i co powiesz?

– Nic nowego, Borisie Witaljewiczu. Nilska powtórzyła to samo, co mówiła mi dzisiaj rano. Jakaś głupia historia... Ani sensu, ani logiki.

– Doprawdy? – Śledczy zmrużył oczy. – Niedawno całkiem inaczej śpiewałaś.

– Chciałam powiedzieć, że pojawia się za dużo hipotez – poprawiła się Nastia. – Fakt, że porywacze Jany dobrze ją traktowali, nie grozili i niczego nie żądali, nie grozili też jej mężowi ani niczego od niego nie żądali, najprawdopodobniej świadczy o tym, że to właśnie on wszystko zorganizował. Ale wtedy należy przyjąć, że Rusłan Andriejewicz Nilski to kompletny idiota albo że jest szatańsko sprytny i mądry. Bo posunięcie jest zupełnie niestandardowe i nie wpisuje się w typowy schemat. Jeśli zainscenizował porwanie własnej żony, żeby ukryć swój udział w zabójstwie Timura, a jednocześnie dać jej nauczkę, to powinien był nam powiedzieć, że ktoś mu groził albo czegoś żądał. On jednak tego nie zrobił. Albo jest strasznie głupi i nie pomyślał o tym, albo całkiem na odwrót.

– Możliwe – przyznał śledczy. – Masz jeszcze inne pomysły?

– To nie pomysł, ale raczej wytwór wyobraźni... W rozmowie z Korotkowem Irina Sawienicz powiedziała, że gdy Jana wróciła dzisiaj rano, Rusłan cackał się z nią jak kura z jajkiem, ona zaś kulila się w sobie i się odsuwała. Sawienicz oceniła to jako obojętność moralną Nilskiej i wysunęła przypuszczenie, że Jana niezbyt mocno kocha męża, skoro nie chciała natychmiast podzielić się z nim swoimi przeżyciami. Ja jednak odniosłam inne wrażenie. Może wydarzyło się coś, co pozwoliło Janie się domyślić, że Rusłan Andriejewicz jest zamieszany w przestępstwo. Dlatego się od niego

odsuwa i nie chce się zwierzać. Bije się z myślami i nie wie, czy może zaufać mężowi. Dobra hipoteza?

– Wyborna. – Boris Witaljewicz się uśmiechnął. – Zagalopowałaś się, Anastazjo. Miałaś się zajmować Andriejem Konstantinowiczem Ganielinem i możliwością jego udziału w przestępstwie w celu przerwania zdjęć do serialu. A gdzie cię zaniósł? Twój nowy szef nie pogłuszcze cię po główce.

– Nie szkodzi. – Machnęła niefrasobliwie ręką. – Obejdę się. Można przecież zmodyfikować sytuację w żądanym kierunku. Jana Nilska to kochanka Ganielina i jest z nim w zмовie, dlatego porywacze nie wyrządzili jej żadnej krzywdy. W tym wypadku jej zeznania nic nie znaczą, wszystko od pierwszego do ostatniego słowa jest kłamstwem. A może Jana nie jest w zмовie, ale Ganielin, jako pomysłodawca i organizator przestępstwa, polecił jej nie ruszać, potrzymać ją parę dni i wypuścić, a całe to porwanie wymyślono, żeby zamydlić nam oczy. Jana doszła jednak do wniosku, że Ganielin macza w tym palce, i teraz się gryzie, bo Ganielin jest mężem reżyserki; od niego zależy, po pierwsze, finansowanie projektu, a po drugie, dobre nastawienie Woronowej do Rusłana oraz ich owocna współpraca. Jana nie ma pojęcia, jak powinna się zachować, żeby nie zaszkodzić mężowi, i dlatego zamknęła się w sobie. Nawiasem mówiąc, niewykluczone, że właśnie dlatego w jej zeznaniach nie ma konkretnych informacji. Jeszcze nie zdecydowała, co powinna powiedzieć, a czego nie, toteż woli nic nie mówić. Nie widziała, nie słyszała, oczy zawiązane, ochroniarze w maskach, okna zaklejone.

– Słusznie – przyznał Gmyria. – A więc zrobimy tak, moja droga. Przekaż Zarubinowi, żeby zaczął sprawdzać wszystkie kontakty Jany Giennadjewny Nilskiej w miejscu zamieszkania i możliwe znajomości w Moskwie. Skieruję oficjalne zapytanie do Kemerowa, a twój podkomendny niech siada przy telefonie i nie popuszcza tamtejszym stróżom prawa.

– Lepiej osobiście, Borisie Witaljewiczu – jęknęła Nastia błagalnie. – Sam pan wie, jak to jest, gdy się załatwia coś przez telefon...

– Wiem, wiem. Ale przecież nie opłacam mu delegacji z własnej kieszeni. Porozmawiam dzisiaj z twoim Afanasjewem, może go urobię. Jak wy go tam nazywacie?

- Kogo? – Nastia zrobiła niewinną minę.
- Jak to kogo? Nowego naczelnika. Zdaje się, że Afonia.
- Ależ skąd, Borisie Witaljewiczu. Traktujemy go z należąca mu czcią i z całym szacunkiem.
- Nie bujaj, kłamczucho! Wywiad mi doniósł. Jaki ten Afonia w ogóle jest?
- W porządku, normalny. Mnie nie lubi, ale to zrozumiałe. Niech mu pan powie, że Sieriożę Zarubina trzeba koniecznie posłać do Kemerowa, by potwierdzić fakt znajomości Nilskiej z Andriejem Ganielinem, którego podejrzewa pan o zorganizowanie zabójstwa. Wtedy połknie haczyk.
- A więc tak się sprawy mają – wycedził Gmyria ze zrozumieniem. – Wasz Afonia poluje na laury, chce wyjaśnić przestępstwo, które wywoła wielki skandal. Mąż biznesmen uniemożliwia żonie nakręcenie filmu. Wybornie, wybornie. Co, Anastazjo, źle bez Pączka, prawda? – zapytał zniecacka, lecz poważnie.
- Źle – potwierdziła, po czym od razu dodała: – Ale radzimy sobie. Pączek był ekskluzywnym produktem, mało kto ma szczęście pracować z takim szefem. Przeważająca większość pracuje z przełożonymi w rodzaju Afanasjewa i jakoś żyje, pracuje, nikt nie umiera. Więc my też przeżyjemy. Jakie ma pan dla mnie polecenia?
- Wiadomo jakie. Przyjrzyj się bliżej Nilskiemu. Wy tłumaczę cię przed naczelnikiem, a ty siadaj do komputera, otwórz Internet i prześledź wszystkie dostępne publikacje Nilskiego. Dowiedz się, w jakich moskiewskich wydawnictwach ma znajomych, porozmawiaj z nimi, niech powiedzą, jak zbierał materiały w Moskwie, co go interesowało, z kim się kontaktował. To, że Janie Giennadjewnie wyrządzono tylko krzywdę moralną, świadczy o tym, że przestępstwo przygotował ktoś, komu nie jest obojętna. Albo mąż, albo kochanek. Mąż jest znany, kochanek nie. Ganielin to tylko przypuszczalny figurant, każdy może się okazać kochankiem Nilskiej. Jeśli to nie Ganielin jest jej kochankiem, jeśli to ktoś inny, to zupełnie nie wiadomo, po co mu to wszystko w ogóle było. Ganielin ma przynajmniej motyw.
- Ktoś inny też może mieć – zaoponowała Nastia. – Już ustaliliśmy, że Tiejmuraz Indżija nie był święty. Przyznaję, że to już zbyt piękny

zbieg okoliczności: wróg Tiejmuraza jest jednocześnie kochankiem Jany Nilskiej. Ale w życiu różnie bywa. Mogłabym ewentualnie założyć, że wróg Timura zaczął specjalnie romansować z Janą, by łatwiej mu było popełnić zabójstwo.

– Albo nie romansować, ale ubić interes – wtrącił Gmyria. – Pomożesz mi w zabójstwie, a ja ci zapłacę. Krótko mówiąc, moja droga, Nilska spędziła w Moskwie trzy tygodnie, trzeba je odtworzyć minuta po minucie, żeby się dowiedzieć, czy mogła nawiązać gdzieś nowe znajomości, w tajemnicy przed mężem i przed całą ekipą filmową.

– Mogła – odparła Nastia stanowczo. – Wiem to na pewno.

– Niby gdzie i jak? – zapytał śledczy z ciekawością.

– Pamięta pan, jak nam mówiono, że Jana wciąż towarzyszyła Timurowi? On zaś jeździł z różnymi poleceniami, przywoził i odwoził aktorów, a niekiedy, gdy kierowca nie był potrzebny, wybierał się gdzieś prywatnie. Podczas tych wyjazdów mógł bez przeszkód spotykać się z przyjaciółmi i przedstawiać ich Janie. A ponieważ był towarzyski i w sumie miał dobre serce, woził później Janę na randki z którymś ze swoich znajomych, podczas gdy oficjalnie jechali na obiad albo załatwić jakąś sprawę. Co w tym trudnego? Załóżmy, że Timur zostaje wysłany do Mosfilmu po kostium lub perukę, które zapomniano zabrać na zdjęcia w plenerze. Chłopak pakuje Janę do auta, szybko dzwoni do przyjaciela, po drodze podrzuca dziewczynę na umówione miejsce i zabiera stamtąd, jadąc z powrotem. Moskiewskie odległości i ciągłe korki zapewniają co najmniej godzinne czułe spotkanie. To samo może się wydarzyć podczas zdjęć atelierowych. Chyba pan wie, że są tacy kapryśni aktorzy, którzy nie prowadzą sami samochodu, ale żądają, żeby ich wszędzie wozić. Zwłaszcza jeśli aktor nie pochodzi z Moskwy i zaproszono go z innego miasta. Tutaj nie ma swojego samochodu, a taksówka jest droga. Wtedy potrzeba kierowcy, żeby go przywieźć, a później odwieźć z powrotem. W filmie Woronowej występują czterej aktorzy z Petersburga, dwaj z Mińska i jeden z Niżnego Nowogrodu. Timur i Jana udawali zgodnie na planie filmowym, że prowadzą całkiem niewinny flirt, by Rusłanowi Nilskiemu nawet nie przyszło do głowy, że jego żona sprawiła sobie jeszcze jednego kochasia.

– Wybornie – po raz trzeci wycedził Boris Witaljewicz. – A więc po kolejnej konfrontacji wytrzęsę z madame Nilskiej informacje na temat jej wypraw z kierowcą. Dokąd, kiedy i po co jeździli. I jeśli choć raz nie zdoła opisać miejsca, do którego wysłano Timura, uznam to za wpadkę. To znaczy, że z jakiegoś powodu nie dotarła na owo miejsce. Zadzwoń do kierownika planu, niech przedstawi ewidencję przebiegu samochodu, którym jeździł Indżija. Kiedy, dokąd i po co go wysyłał.

– Borisie Witaljewiczu, nie ma już władzy radzieckiej – zauważyła Nastia delikatnie. – Wątpię, żeby w prywatnej spółce producenckiej obowiązywały karty przejazdu.

– Racja – przyznał Gmyria z westchnieniem. – Psioczymy na władzę radziecką, ale z pewnych względów wyjaśnianie przestępstw było wtedy łatwiejsze. No dobrze, moja droga. Podczas gdy będę omawiał z twoim szefem kwestię delegacji kapitana Zarubina do Kemerowa, niech chłopak popracuje nad tą hipotezą. Trzeba ustalić, których aktorów i kiedy woził Indżija, znaleźć ich i zapytać o Janę. Czy przez cały czas była w samochodzie, czy wysiadała i wsiadała po drodze. O czym rozmawiała z Timurem. I jakie były ich relacje. W odróżnieniu od wielu innych aktorzy są spostrzegawczy. Wszystko jasne?

– Tak.

– Wobec tego ruszaj do pracy. Co tak na mnie patrzysz? Chcesz o coś zapytać?

Nastia podeszła już do drzwi, postanowiwszy nie zadawać pytania, które ją nurtowało, ale którego nie uważała za ważne i istotne. W ostatniej chwili rozmyśliła się jednak i zapytała:

– Borisie Witaljewiczu, dlaczego dzisiaj wciąż mówi pan do mnie „moja droga”? Do tej pory nie słyszałam takich słów od pana.

– Ach, o to ci chodzi! – Gmyria się roześmiał. – Podłapałem to w domu. Do żony przyjechała krewna w odwiedziny, no i „moja droga” nie schodzi jej z ust. Cały tydzień słucham, słucham, a teraz, jak widzisz, sam zacząłem tak mówić. A co, obraziłaś się?

– Ależ skąd, zdziwiłam.

– No to dziw się dalej. Może zaskoczę cię czymś jeszcze.

Nastia niemal biegiem ruszyła w stronę metra, póki śledczy nie spełnił swojej obietnicy i nie zaskoczył jej kolejnym zadaniem. Nie zdążyła jednak wejść do swojego pokoju i włączyć komputera, gdy Gmyria zadzwonił.

– Mamy CzP[9] – oznajmił krótko. – Przed chwilą zjawili się Nilscy. Podrzucono im jakiś dziwny list.

– Jak to podrzucono? – zdumiała się Nastia. – Gdzie? Przecież poszli na obiad.

– Po obiedzie Nilski znalazł list w kieszeni kurtki. Kurtkę oddał do szatni w restauracji.

– I co jest w liście? – zapytała z niepokojem.

Wreszcie coś się zaczęło wyjaśniać. Listy z pogrózkami albo żądaniami. Tylko dlaczego nie po porwaniu Jany, ale po jej powrocie? Pojawił się jakiś rozdźwięk w kwestii czasu wśród wykonawców? A może porwanie Jany było wcześniejszym „straszakiem”, demonstracją siły, żeby zmiękczyć Nilskiego? Tak czy inaczej, zaraz będzie wiadomo, czego od niego chcą.

– W liście? – zapytał Gmyria. – Jedno zdanie. „Gdyby wszyscy ludzie myśleli jednakowo, nikt nie grałby na wyścigach konnych”.

Nastia nie wierzyła własnym uszom.

– I to wszystko? – zapytała nieufnie, licząc, że śledczy przeczyta coś jeszcze.

– Wszystko, Anastazjo. Napisane na komputerze, wydrukowane na drukarce. Oddaję to ekspertom, a ty biegnij czym prędzej do restauracji Dżanik, w której Nilscy jedli obiad.

– A co z Internetem? Przecież dał mi pan zadanie...

– Dałem, a teraz odbieram. Rób, co mówię.

≡

Wieczorem Nastii ciążyły nogi i miała wrażenie, że spuchł jej język. Już dawno nie musiała tak dużo chodzić i mówić.

Restauracja Dżanik ją rozczarowała. To znaczy kuchnia była tam wspaniała, kelnerzy obsługiwali szybko i uprzejmie, a wystrój cieszył oko umiejętnym połączeniem drewna i tekstyliów. Jednakże zdecydowanym minusem, według Nastii, był brak szatni jako takiej.



Dżanik był niedrogim, demokratycznym lokalem szybkiej obsługi, w którym nie oddawano wierzchnich okryć na przechowanie pełnemu godności dziadkowi w mundurze z galonami, ale wieszano ją na haczykach, przybitych do ścian po obu stronach wejścia, albo na oparciach krzesel. Ponieważ od rana deszcz spóźniał się z występami i lunął z całą mocą dopiero między drugą a trzecią, ubrania Nilskich, podobnie jak innych klientów, którzy zapragnęli zjeść obiad w tym czasie, były na wskroś przemoknięte. Dlatego powiesili je na haczykach, a nie na krzesłach obitych ładnym jasnofioletowym materiałem. Dżanik jest dobrze usytuowany, wokół znajduje się mnóstwo instytucji, których pracownicy lubią tutaj zjeść obiad, więc w dni powszednie od pierwszej do mniej więcej wpół do czwartej restauracja jest zawsze pełna. W tej sytuacji łatwo zdjąć z haczyka własne okrycie albo odwrotnie, wieszając je na haczyku, niezauważenie wsunąć kopertę do cudzej kieszeni. Tak, chyba właśnie wieszając, a nie zdejmując. Ktoś śledził Nilskich, widział, że weszli do Dżanika, po krótkiej chwili wszedł za nimi i się rozebrał. Już na ulicy dobrze się przyjrzał, jaki płaszcz nosi Jana i jaką kurtkę – Rusłan. Może był bardzo blisko i wszedł praktycznie tuż za nimi, toteż doskonale wiedział, gdzie wiszą ich okrycia, i powiesił w tym samym miejscu swoją kurtkę albo co tam miał na sobie. I jednocześnie wsunął list do cudzej kieszeni.

Haczyków jest mało, klientów – dużo, a zatem sporo kurtek, wiatrówek i marynarek wisi jedna na drugiej. Tamten człowiek musiał wejść naprawdę zaraz za Nilskimi, w przeciwnym razie ryzykował. Inni klienci mogli powiesić swoje okrycia na okryciach Jany i Rusłana, a wtedy on, po pierwsze, nie znalazłby tak szybko właściwej kieszeni, a po drugie, gdyby nawet znalazł kieszeń, musiałby długo marudzić z kopertą, a to mogłoby wzbudzić podejrzenia: czego on tam szuka, może to jakiś kieszonkowiec, skoro grzebie w cudzych okryciach?

Ale najbardziej dotknęło Nastię to, że kelnerzy pracowali na dwie zmiany, od dziesiątej rano do czwartej po południu i od czwartej do dziesiątej wieczorem. W chwili gdy Nastia pojawiła się w restauracji, pierwsza zmiana już wyszła. Musiała więc ustalić adresy i telefony wszystkich kelnerów i kierowników pracujących na pierwszą zmianę

i spotkać się z nimi. Może będzie miała szczęście i ktoś przypomni sobie osobę, która weszła do restauracji zaraz za Nilskimi i zatrzymała się dłużej przy wieszakach. Może jednak nie mieć szczęścia...

Pod koniec dnia efekt jej zabiegów okazał się bardzo mizerny. Nogi bolały, język zdrętwiał, a potrzebnych informacji – zero.

– No wie pani? – jednogłośnie zawołali wszyscy pytani pracownicy restauracji. – Między pierwszą a trzecią to najgorętsza pora, ledwie nadążamy biegać z tacami i przyjmować zamówienia, nie rozglądamy się na boki.

– Jak to? – zdziwiła się Nastia. – Okrycia klientów wiszą praktycznie bez nadzoru. Nigdy nie doszło do kradzieży?

– Mamy ochroniarza. Niech pani z nim porozmawia, może coś widział.

– Ochroniarza? – zapytała Nastia ze szczerym zdumieniem. – Byłam dzisiaj w Dżaniku i nie widziałam żadnego ochroniarza.

– To znaczy, że wyszedł. Dzisiaj pracuje Garik, a on często gdzieś wychodzi. Cieszy się u nas szczególnymi względami.

Dalsze pytania pozwoliły wyjaśnić sytuację. Ochroniarze pracują według własnego grafiku, to znaczy nie przez pół dnia, jak kelnerzy i kierownicy, ale przez dwanaście godzin, za to co trzy dni. Z trzech etatowych ochroniarzy dwaj są normalni, a trzeci, Garik, został przyjęty do pracy na polecenie miejscowych bossów kontrolujących restaurację. Garik robił, co chciał, mógł według własnego widzimisie wyjść na jakiś czas, nikomu tego nie zgłaszając. Parę razy starszy kierownik udzielił mu upomnienia, co pociągnęło za sobą nieplanowany przyjazd bossów, to zaś wcale nie ucieszyło właścicieli restauracji. W końcu machnięto na Garika ręką, niech robi, co mu się podoba.

Nastia z wielką przykrością stwierdziła, że właśnie Garik dbał dzisiaj o spokój w sympatycznym, niedrogim Dżaniku. Musiała wrócić do restauracji, choć nie liczyła już na sukces.

Jej przecucia się sprawdziły, Garik okazał się zupełnie niezorientowany. Niezbyt bystry z natury, prawdopodobnie zdążył sobie golnąć albo się naszprycować czy coś wciągnąć, w każdym razie jego odpowiedzi na pytania Nastii raczej nie można było uznać

za adekwatne. No i oczywiście nie było go na miejscu w interesującym

Nastię przedziałe czasowym między wpół do drugiej a drugą, gdy przyszli Nilsy.

Jak się nie wie, to od samego rana i we wszystkim – myślała Nastia posępnie, wracając do domu koło dziesiątej wieczorem. Czary goryczy dopełnił Korotkow, gdy się okazało, że nie może po nią przyjechać i odstawić do domu, bo jest u Iriny Sawienicz. Jura oznajmił jej o tym przez telefon, gdy Nastia, pożegnawszy się z nadzieją, że dowie się czegoś sensownego od Garika, zadzwoniła na jego komórkę.

– Wrócisz w ogóle na noc? – zapytała kpiąco. – Mam na ciebie czekać czy mogę się położyć?

– Nie wiem – odparł Korotkow wymijająco. – Na razie nie potrafię powiedzieć. Sytuacja jest niejasna.

– Nie zawracaj mi głowy! – zawołała zła i poirytowana Nastia, zmęczona niepotrzebną stratą sił. – Jeśli zjawisz się u mnie o drugiej w nocy i zaczniesz się dobijać do drzwi, będę musiała wstać i ci otworzyć. A tego nie lubię. Lepiej nie pójde spać, zanim nie wrócisz, tylko popracuję. Ale muszę wiedzieć, czy mam na ciebie czekać.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytał Jura, zamiast odpowiedzieć.

– W centrum, koło restauracji Dżanik. Zamierzam jechać do domu.

– Zadzwonię do ciebie za godzinę, dobrze?

– W porządku – burknęła Nastia z niezadowoleniem. – Nieszczęsny Casanova.

– Nie pyskuj starszym – mruknął Korotkow.

Koło Szczołkowskiej Nastię dopadła prawdziwa tropikalna ulewa, przed którą nie chronił nawet parasol. Mimo że nie czekała długo na autobus, zdążyła przemoknąć do suchej nitki. „Gdyby wszyscy ludzie myśleli jednakowo, nikt nie grałby na wyścigach konnych” – powtarzała w myślach, zdejmując mokre ubranie i otulając się miękkim, ciepłym szlafrokiem. W lodówce było pełno jedzenia, które poprzedniego dnia kupił Sierioża Zarubin i którego nie zjedli dziś rano. Boże, jaki długi dzień! Przecież telefon Gmyrii z informacją, że Jana Nilska się znalazła – wszystko to wydarzyło się dzisiaj o wpół do siódmej. A wydaje się, jakby minął tydzień. Jaki dziwny list

dostał Rusłan Nilski... Zaledwie jedno zdanie, znany aforyzm Marka Twaina. Co za nim stoi? Tylko Rusłan może wiedzieć albo się domyślać. Z tego, co powiedział jej śledczy przez telefon, wynika jednak, że Rusłan w ogóle nie skomentował zagadkowego listu. Czyżby naprawdę się nie domyślał, jaki ukryty sens zawierają te słowa? Czy się domyśla, ale nie uznaje za stosowne podzielić się swoimi przypuszczeniami z milicją?

Jeśli to właśnie on, Rusłan Nilski, zorganizował zabójstwo kierowcy i porwanie swojej żony, to mógł też napisać list i w stosownej chwili zwyczajnie wyjąć z kieszeni. Podjął jakąś sprytną grę, podąża do jakiegoś tajemniczego celu i wodzi wszystkich za nos. W co gra i jaki cel mu przyświeca?

Sałatki – wybornie! Do licha, to zupełnie nie jej powiedzenie, należy do słownika Gmyrii. Czy to znaczy, że Nastia też nie ma immunitetu i narażona jest na słowną „zarazę”? Ale Zarubinowi należą się brawa, wczoraj naprawdę się spisał, sensownie wydał pieniądze w sklepie. Otworzymy zaraz tę śliczną sałatkę o nazwie Mimoza, odkroimy kromkę chleba razowego, na chlebek położymy kiełbasę cielecą, taką różowiutką, że aż szkoda ją jeść... „Nikt nie grałby na wyścigach konnych”. No oczywiście, gdyby wszyscy ludzie myśleli jednakowo, stawialiby na tego samego konia, a wtedy totalizator nie miałby żadnego sensu. A jaki sens ma ten list?

Po kolacji Nastia włączyła komputer i nabrała absolutnego przekonania, że w dziwnej sprawie zabójstwa Tiejmuraza i porwania Jany wszyscy o wszystkim wiedzą, ale nikt nic nie mówi. Chciałaby wiedzieć dlaczego.

Korotkow, tak jak obiecał, zadzwonił o jedenastej i drżącym w mglistej nadziei głosem wytargował kompromis: jeśli się nie zjawi i nie zadzwoni do pierwszej, Nastia może czuć się zwolniona z obowiązku czekania. Nastia ze swojej strony uprzedziła go, żeby dzwonił na jej komórkę, bo zamierza korzystać z Internetu, więc linia telefoniczna będzie zajęta.

Wiedziała, gdzie i jak szukać regionalnej prasy, toteż niecałą godzinę później miała już jakie takie pojęcie o działalności dziennikarskiej Rusłana Nilskiego. Na razie nie wiadomo, jak radził sobie w Moskwie, ale to, że w Kemerowie znalazł dojście do świata

przestępczego, było pewne. Zresztą do milicji też. Jakies siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent jego publikacji było poświęconych problemom przestępczości, w tym zorganizowanej. Materiały spodobały się Nastii, były logiczne i dobrze napisane, wyróżniały się starannością sformułowań i godną pozazdroszczenia umiejętnością układania z osobnych faktów jednolitego obrazu. Dziennikarz nie zapominał przy tym dodać: „nasuwa się wniosek”, „odnosi się wrażenie”, „można przypuszczać”. Z jednej strony fakty układają się w całość i podane są w taki sposób, że niczego nie trzeba przypuszczać, wszystko wydaje się zupełnie oczywiste i zrozumiałe. Ale z drugiej strony te drobne wtrącenia pozwalają Nilskiemu uniknąć ryzyka procesu sądowego wytoczonego przez tych, o których pisze. Przecież niczego nie twierdzi, opisuje tylko fakty, a wnioski wyciągajcie sami...

Nastia doczytała niemal do połowy jeden z ostatnich artykułów Nilskiego, pochodzący z kwietnia ubiegłego roku, o pewnym kandydacie na mera, który odsiedział wyrok za umyślne zabójstwo, gdy leżąca obok komórka zagrała melodię z Bacha.

– Nie śpisz? – Rozległ się pełen napięcia głos Korotkowa.

– Tak jak się umawialiśmy – odparła, nie odrywając oczu od ekranu. – Czas kontrolny: godzina zero zero.

– Zaraz przyjadę.

Pochłonięta artykułem Nastia nie zwróciła uwagi na nutki wzburzenia w jego głosie.

– Uhm, dobrze – rzuciła z roztargnieniem. – Jesteś głodny?

– Nie. Przygotuj się na główkowanie, bo coś się wydarzyło.

≡

Przez ostatnie dni Natalia Woronowa wracała ze zdjęć kompletnie wykończona. Trzymanie ekipy filmowej w ryzach stawało się coraz trudniejsze; ludzie, oszołomieni i podenerwowani zabójstwem kierowcy, od razu zaczęli przebąkiwać, że to zły omen i nie należy kręcić filmu, który zaczął się od tragedii. Poza tym codziennie po kilka razy zjawiali się na planie milicjanci i zadawali mnóstwo pytań uczestnikom zdjęć, odciągając ich na bok i odrywając od pracy.

Harmonogram się sypał, Natasza z niczym nie nadążała, aktorzy wezwani na określoną godzinę musieli długo czekać, zanim rozpoczną się sceny z ich udziałem, więc się denerwowali i urządzali historyczne awantury, bo mieli też inne obowiązki i po zdjęciach śpieszyli do swoich zajęć – na nagranie ścieżki dźwiękowej, na inne zdjęcia, na pociąg, na próbę, na spotkanie w interesach, do teatru czy do przedszkola po dziecko.

– Natalio Aleksandrowna, musimy coś zrobić – powtarzał co pół godziny oburzony kierownik produkcji Musatow. – Nie da się pracować w takich warunkach. Najpierw detektywi wypytywali nas o Timura. Później o relacje Rusłana Andriejewicza z żoną i Iryą Sawienicz. Teraz dosiedli nowego konika: mamy ich informować, dokąd i po co jeździł Timur. Wiercą aktorom dziurę w brzuchu, żeby sobie przypomnieli, czy nie zabierał po drodze żony Rusłana. Jaki to w ogóle ma związek z zabójstwem? Wyjaśniają zabójstwo czy lewy kurs? I nie wiadomo, co wymyślą jutro. Ma pani przecież kontakty, musimy dotrzeć do przełożonych tych milicjantów, niech im wydadzą polecenie, żeby nas nie maglowali podczas pracy.

– Sienia – odpowiadała Natalia ze znużeniem. – Chyba nie zna pan klasyki filmowej. Pamięta pan *Biurowy romans* Riazanowa? „Oni mają taki sam dzień pracy jak my, od dziewiątej do szóstej”. Chce pan, żeby milicjanci pracowali w nocy i nie dawali spać całej ekipie? Niech pan przyjmie, że to siła wyższa. Nie zdołamy jej pokonać. Będziemy musieli się z tym pogodzić.

– Ale wszystko szlag trafia! Niech pani zobaczy, co się dzieje. Wczoraj rano przyjechał Mitko z Niżnego Nowogrodu, wczoraj i dzisiaj mieliśmy nakręcić sceny z jego udziałem. Mitko ma bilet powrotny na dzisiejszy pociąg wieczorny, hotel jest opłacony do południa. Epizody z Mitką nie są skończone. Co według pani mamy robić? Zostawić go na kolejny dzień, przebukować bilet, namawiać go, padać mu do nóg, opłacić hotel na kolejną dobę i jeszcze jeden dzień zdjęciowy aktora? To pieniądze, Natalio Aleksandrowna, a my ich nie drukujemy. Dobrze, założmy, że przedłużymy zdjęcia do jutra. Ale jutro mamy plener z deszczem, sprzęt już zamówiony, więc jeśli odwołamy, będziemy musieli zapłacić karę umowną. To znowu pieniądze. Poza tym zgodnie z harmonogramem jutro nie kręcimy

w atelier, kiedy więc zrobić zdjęcia z Mitką? Jedna zmiana pociąga za sobą następną. I tak bez końca, powstaje efekt kuli śnieżnej.

– Więc co pan proponuje? Sienia, widzi pan jakieś wyjście? Ja, na przykład, nie widzę. Owszem, przyznaję, ludzie się denerwują, praca idzie kiepsko, ponosimy dodatkowe wydatki. Ale nie wiem, jak to można zmienić czy naprawić. Jest tylko jeden sposób przywrócenia porządku na planie...

– Pozbyć się gliniarzy – wtrącił Musatow szybko. – Doskonale wiem, że ma pani kontakty, które pomogłyby to zrobić.

– Nie, Sienieczka, to nie jest wyjście. A raczej jest, ale niesłuszne. Porządek wróci dopiero wtedy, gdy przestępca zostanie ujęty. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby przyspieszyć tę chwilę. W niedzielę cała ekipa ma wolne. Proponuję, żebyśmy się wszyscy zebrali w jednym miejscu, wszyscy co do jednego, i poprosili aktorów, którzy są teraz w Moskwie, by też przyjechali. I umówili się z milicjantami, żeby spotkali się z nami w spokojnych warunkach i wypyтали o wszystko, czego im trzeba. Nie dorywczo, w pięciominutowych rozmowach, po których za dwie godziny pojawiają się wciąż nowe pytania, ale tak, jak należy. Będziemy musieli poświęcić jeden dzień wolny, ale sprawa na tym zyska. Im prędzej milicja znajdzie przestępców, tym prędzej wrócimy do normalnego rytmu pracy. Nic innego nie potrafię zaproponować. A pan?

Dzisiaj pojawił się na planie Rusłan, który był nieobecny od dziewiątego czerwca. Póki nie wróciła Jana, nie wychodził z domu w obawie, że przegapi wiadomość od porywaczy. Jego żona wróciła wczesnym rankiem, do czwartej przesłuchiwał ją śledczy, a później Rusłan zjawił się w Mosfilmie, mimo że do zaplanowanego końca zdjęć pozostawały zaledwie trzy godziny. Jana też z nim była, siedziała cicho w kąciku i z nikim nie rozmawiała. Natalia zauważyła, że przestała reagować nawet na Irę Sawienicz. Przedtem wystarczyło, że Rusłan zaczął z nią rozmawiać, a dziewczyna zmieniała się na twarzy i starała się podejść jak najbliżej, żeby usłyszeć każde słowo. A teraz siedziała nieruchomo i nawet nie rozglądała się na boki.

– Dobrze się czujesz? – zapytała troskliwie Natalia, podchodząc do niej z plastikowym kubkiem kawy w rękach.

– Normalnie – wycodziła Jana przez zęby.

– Może odwieźć cię do domu? – zaproponowała Woronowa. – Powinnaś odpoczywać, nabierać sił...

– Nie trzeba. Zostanę tutaj. Dziękuję.

Natalia wzruszyła ramionami w milczeniu i odeszła, ale postanowiła poważnie porozmawiać z Rusłanem. Dziewczyna tyle przeżyła, pewnie potrzebuje opieki lekarskiej i leczenia, a nie tępego siedzenia na planie filmowym, który jej teraz w ogóle nie interesuje i nie bawi.

– Jana nie chce zostać sama w domu – oznajmił Rusłan stanowczo, gdy Woronowa podzieliła się z nim swoimi sugestiami. – Boi się. Niech lepiej siedzi tutaj. A zresztą śledczy może jej potrzebować, tu zawsze ją znajdzie. W domu nie ma nawet telefonu.

– Wygląda na wyczerpaną – zauważyła Natalia ze współczuciem. – To nie jest dobre wyjście, Rusłanie. Trzeba coś wymyślić.

– Wszystko w porządku, Natalio Aleksandrowna, proszę się o nas nie martwić.

– Może wyślemy ją na lotnisko do moich przyjaciół? Są tam świeże powietrze, cisza i spokój. Nie będzie sama, więc nie ma się czego bać.

– Ona nigdzie nie pojedzie, już rozmawiałem z nią o tym. Dziękuję pani za troskę, Natalio Aleksandrowna, ale...

– Dobrze, jak chcesz. – Zdenerwowana Natalia machnęła ręką. – Ale przynajmniej nie tłucz się z Janą metrem, zdaje się, że ona ledwo żyje, gotowa jeszcze zemdleć. Dzisiaj Ira odwiezie was do domu, a jutro zobaczymy, albo Musatow przyśle po was samochód, albo sama po was wpadnę. Zgoda?

Wszystko leciało jej z rąk, szło nie tak, jak trzeba, lecz zacisnęła zęby i z uporem podążała dalej. Nie wolno się zatrzymywać, nie wolno myśleć o tym, jakie to trudne, nie wolno się nad sobą rozczulać. Przez całe życie postępowała właśnie tak: zaciskając zęby i ignorując „nie mogę”, robiła to, co powinna. Musi zrobić ten serial, nie może go przerwać, ponieważ wiąże ją kontrakt ze spółką



producencką. Teraz pracownicy spółki liczą na zagwarantowaną pensję przez kilka miesięcy. Bo podpisano kontrakty z aktorami, z których połowa to gwiazdy, i jeśli Natalia przerwie zdjęcia, to oni nigdy więcej nie wystąpią w żadnym jej filmie i obwieszczą, że reżyserka Woronowa ich zawiodła. A jeśli nawet zgodzą się występować u niej później, to zażądają astronomicznych honorariów i zastrzegą w kontrakcie olbrzymią karę umowną za zerwanie zdjęć. Wtedy Natalia będzie musiała szukać znacznie większych pieniędzy na następne filmy niż inni reżyserzy. I w ogóle Natalia Woronowa nie może porzucić rozpoczętej pracy, bo nigdy tak nie robiła. To nie w jej stylu. Przez całe czterdzieści sześć lat swojego życia nigdy nie było jej lekko, ale sobie radziła. Teraz też sobie poradzi.

Zdjęcia skończyły się o wpół do ósmej. Ira Sawienicz była już wolna, cierpliwie czekała jednak na Rusłana, żeby odwieźć go z żoną swoim samochodem do domu.

– Dziękuję wszystkim! – Wreszcie rozległy się nad planem upragnione słowa, po czym zaczęto wyłączać sprzęt i wszyscy pośpieszyli do wyjścia.

Natalia usiadła na krześle, wyciągnęła nogi, ze znużeniem zamknęła oczy. Podeszła Irina, ukucnęła przed nią.

– Bardzo się zmęczyłaś, Natalko?

– W granicach normy. – Woronowa uśmiechnęła się słabo.

– A ja mam dzisiaj randkę z nowym kawalerem – oznajmiła Ira wesoło.

– Kto to taki? Znam go?

– Oczywiście, że znasz, ale może nie pamiętasz. Jest z milicji, z Pietrowki, to tamten, który był w Sokolnikach, taki barczysty i posepny. Korotkow. Przypominasz sobie?

– Owszem. – Natalia kiwnęła głową, nie otwierając oczu. – Odkąd to zaczęli ci się podobać posepni faceci? Przecież zawsze lubiłaś wesołych.

– Nieprawda, lubiłam wesołych, gdy byłam młoda i głupia.

– Aha, można by pomyśleć, że teraz jesteś stara i mądra – zauważyła Natalia sceptycznie. – Irka, opamiętaj się, masz dopiero trzydzieści jeden lat. Więc nie ręczyłabym za twój rozum.

Natalia stroiła sobie żarty z Iriny od czasów, gdy mieszkały w jednej komunałce. Natalia właściwie wychowywała wcześniej osieroconą sąsiadkę. Ira nigdy się nie obrażała, była bezgranicznie oddana Woronowej i potrafiła wybaczyć jej wszystko.

– Tak czy siak, Natalko, czegoś tu nie rozumiem. – W głosie Iriny pojawiła się nuta zdziwienia. – Nie popierasz tego? Nie lubisz gliniarzy, tak?

– Odczep się, Irka. Czemu mam ich nie lubić? Ludzie jak ludzie.

– No powiedz. – Aktorka nie ustępowała. – Jeśli jesteś przeciwna, to oczywiście nie będę... Tylko nie rozumiem dlaczego.

Woronowa wreszcie otworzyła oczy, wyprostowała się, jak zwykle pogłaskała Irinę po gęstych, kręconych włosach.

– Nie pleć bzdur, Iriszo. Spotykaj się, z kim chcesz, nie jestem dla ciebie w tej sprawie wyrocznią. W końcu dwukrotnie byłaś mężatką i sama doskonale wiesz, kogo ci trzeba, a kogo nie. Czy on jest żonaty?

– Kto, Korotkow?

– Ten, z którym wybierasz się na spotkanie.

– Prawie. To znaczy w połowie... Tak naprawdę kilka dni temu odszedł od żony.

– Wróci – orzekła Natalia z przekonaniem.

– No i dobrze. – Ira z uporem zacisnęła usta. – Ale mogę pójść na randkę? Póki nie wrócił.

– Idź, idź. Tylko zmyj makijaż, strach patrzeć na ciebie z bliska.

– Nie mam siły, w domu się umyję. No to na razie, jedziemy!

Ira cmoknęła Natalię w policzek i ulotniła się w towarzystwie Rusłana i Jany Nilskich.

W domu Natalia zabrała się do przygotowania kolacji dla męża i syna, którzy mieli się zjawić koło dziewiątej. Rozbijając mięso, co rusz zerkała na podłogę, nad którą unosiły się lekkie kłaczki puchu topoli. Z każdym rokiem jest coraz więcej tego paskudztwa w Moskwie, puch lata w powietrzu jak śnieg, wpada do nosa i ust, przedostaje się do domów i bezczelnie panoszy się w pokojach, tworząc stale przemieszczające się kulki, które znużone w końcu ruchem, znajdują sobie przystań w kątach i na półkach z książkami. Wczoraj Natalia odkurzyła całe olbrzymie pięciopokojowe

mieszkanie, a dzisiaj wygląda ono tak, jakby je rok nie sprzątno. Dywany w intensywnie niebieskim i bordowym kolorze znowu są białawe i wydają się zakurzone. Najlepiej byłoby nie otwierać okien! Ale to niemożliwe, Natalia lubi spać przy otwartym oknie, synów też przyzwyczaiła do tego od dziecka, żaden klimatyzator nie może zastąpić jej powiewu słodkiego porannego chłodu. Musi więc sprzątać prawie codziennie, po wyczerpujących zdjęciach i przygotowaniu kolacji dla siebie i dwóch niecierpiących na brak apetytu mężczyzn.

Pierwszy zjawił się syn Alosza. No i dobrze, pomyślała Natalia, Aloszy nie zależy na towarzystwie, nie będzie czekał na Andrieja, szybko zje, a potem wsunę mu odkurzacza do rąk. Niech odpracuje kolację.

– Mamo, ale smacznie pachnie! – oznajmił, wchodząc do przestronnej kuchni połączonej z jadalnią. – Co dziś serwujesz?

– Kotlety schabowe z kaszą gryczaną i sałatę – odparła Natalia z uśmiechem, całując syna.

– A pieczone ziemniaczki? – jęknął żałośnie Alosza.

– Dzisiaj się obejdiesz. Ziemniaki skończyły się dwa dni temu i dopóki nie przyniesiesz ich ze sklepu, nie pojawią się w domu. Poza tym nie możesz jeść ziemniaków z mięsem, bo niedługo nie zmieścisz się w drzwiach.

– Zrozumiałem, nie jestem głupi. – Chłopak kiwnął głową na znak zgody. – Jutro kupię.

Raz-dwa spałaszował obfitą kolację, popił ją olbrzymim kubkiem herbaty, a na deser zjadł kawałek tortu waflowego.

– Aloszka, gdzie ty to wszystko mieścisz? – zapytała Natalia ze śmiechem, nie przestając dziwić się umiejętności syna pochłaniania jedzenia w niewyobrażalnych ilościach.

– Trenowałem całe lata – odparł żartem.

Natalia zaczekała, aż syn wstanie od stołu, po czym zebrała brudne naczynia i włożyła je do zlewozmywaka.

– Synku, myślę, że powinieneś teraz odkurzyć – powiedziała, zabierając się do zmywania naczyń.

– Ale mamo, jutro mam egzamin – jęknął Alosza. – Muszę się jeszcze pouczyć.

– Poczujesz się – stwierdziła spokojnie. – Do rana jest dużo czasu, pół godziny cię nie zbawi.

– Jesteś wredna – burknął syn, zdając sobie sprawę, że się nie wymiga.

– Możliwe – rzuciła Natalia, nie obracając się. – Mimo to będziesz musiał odkurzyć.

– Ale mamo!

– Jak ci się nie podoba, to przeprowadź się do swojego mieszkania, stoi puste, czeka na ciebie. Zdjęcia się skończą, Rusłan i Jana wyjadą i proszę, możesz się przenieść. Niedługo skończysz dwadzieścia lat, możesz już mieszkać sam, twój brat w tym wieku był zupełnie samodzielny. Ale ty jesteś przecież uzależniony od pierogów i kotletów mamusi! Za to, że codziennie cię karmię, możesz zrobić coś w domu raz w tygodniu, korona ci z głowy nie spadnie.

Mówiła łagodnie, więc surowe tak naprawdę słowa nie brzmiały obraźliwie i ani trochę nie przypominały sceny rodzinnej. Zasepiony Alosza ruszył w stronę składziku, w którym przechowywano odkurzacz. Dalej wieczór potoczył się utartym trybem. Podczas sprzątanego wrócił mąż, Natalia znowu nakryła stół, tym razem dla dwóch osób. Choćby była nie wiadomo jak głodna, wspólny posiłek z mężem to dla niej rzecz święta. Od wielu lat Andriej jest dla niej nie tylko mężem, ale i bliskim przyjacielem, z którym może porozmawiać o wszystkim i naradzić się w każdej sprawie. Zupełnie nie przypomina Natalii, ma inny charakter i mentalność, jego życie było całkiem inne i pewnie właśnie dlatego potrafi zobaczyć problem w odmiennym świetle i zaproponować inne rozwiązanie.

– Jak twój biznes? – zapytała jak co dzień.

– Kwitnie – odparł Ganielin krótko.

Natalia pytała raczej z przyzwyczajenia, bo wiedziała, że Andriej nie będzie omawiał z nią spraw firmy. Zresztą szczerze mówiąc, nie interesowało jej zagłębianie się w finansowe i organizacyjne detale biznesu. Nie znała się na tym, na studiach omal nie zainkasowała ndst z ekonomii politycznej. Uratował ją upstrzony piątkami indeks, wykładowca zaproponował jej, by przystąpiła do egzaminu innego dnia, i z zamkniętymi oczami postawił „dobry”, chociaż Natalia miała świadomość, że nie zna przedmiotu nawet na trójkę.

– A co u ciebie na planie? – zainteresował się z kolei mąż.

Natalia zaczęła szczegółowo i chętnie opowiadać mu o tym, jak minął dzień zdjęciowy, i o tym, że znowu odwiedził ich detektyw z Pietrowki i zadawał jakieś nowe, bardzo dziwne pytania o Janę.

– Wiesz, Andriusza, przez te smutne wydarzenia przekroczyliśmy budżet – powiedziała ostrożnie. – Harmonogram się zawalił i niewykluczone, że będziemy musieli zapłacić za dodatkowy wynajem studia. Dzień pracy się wydłuża, trzeba wszystkim dopłacać i tak dalej. Nasz kierownik produkcji staje na głowie, liczy każdą kopiejkę, ale pieniądze przeciekają przez palce. Aż boję się cię zapytać...

– Nataszko, najpierw wydaj to, co masz, a potem zobaczymy.

– Ale może się zdarzyć, że wydamy twoje pieniądze i nie skończymy filmu. Co wtedy? Jesteś pewien, że zdołasz znaleźć dodatkowe środki, żebyśmy dokończyli serial?

– Szczerze? – Andriej bardzo poważnie popatrzył na żonę. – Nie, nie jestem pewien. Jestem człowiekiem skazonym Bułhakowem, więc nigdy nie wróżę, co się wydarzy za parę miesięcy. Bo może Annuszka rozlała już olej, a my układamy jakieś plany.

– Więc co mam robić, Andriusza? – zapytała Natalia z zakłopotaniem. – Wyprosiłam od ciebie pieniądze, wszystko policzyliśmy, byłam przekonana, że zdołam nakręcić za nie serial. A teraz mam poważne obawy, czy starczy pieniędzy. Mogę okroić projekt, zrobić parę odcinków mniej. Rusłan wciąż jest na miejscu, pracujemy na gorąco, więc przerobimy scenariusz w taki sposób, żeby spokojnie zmieścić się w terminach, za które opłaciliśmy wynajem studia, i w kwocie, którą dla nas przeznaczyłeś. Ale muszę wiedzieć, czy mam to zrobić. Muszę wiedzieć już teraz, czy mogę liczyć na to, że dorzucisz mi coś ponad ustalony budżet.

Andriej objął ją za ramiona, przyciągnął do siebie i pocałował w skroń.

– Co ci mogę powiedzieć, Nataszko? Biznes to biznes, nigdy nie idzie równo i gładko, zawsze bywają okresy prosperity i paskudnego krachu. Teraz, akurat w ciągu tych tygodni, mamy krach. Jak długo potrwa? Nie wiem. Niekiedy kończy się po dwóch, trzech miesiącach, czasami ciągnie się ponad rok. Wystarczy, że kontenery z ładunkiem

utkną w urzędzie celnym, i jesteście załatwieni. Towar został opłacony, pieniądze przelaliśmy za granicę, ale nie możemy go sprzedać ani odzyskać nakładów, nie mówiąc już o jakimkolwiek zysku. Pieniądze nie przyszły w porę, nie są finansowane kolejne kontrakty. W dodatku jeśli nie sprzedajemy towaru i nie dostajemy pieniędzy, nie możemy nic wpłacić do banku i tracimy odsetki. W urzędzie celnym wyprawia się teraz lichy wie co, kupiliśmy w Niemczech i w Austrii sprzęt medyczny i już od dwóch miesięcy nie możemy wyszarpać go od celników. Zainwestowaliśmy olbrzymie pieniądze, a ile na tym stracimy, dzisiaj za wcześnie wyrokować. Wiem, że cię nie uspokoiłem, ale nic konkretnego nie potrafię na razie powiedzieć, więc wybacz.

Natalia upadła na duchu. No proszę, Andriej ma problemy w firmie, a ona tutaj ze swoim serialem... Nic by się nie stało, gdyby przystąpiła do prac nad filmem za rok, kiedy stacja telewizyjna wypłaci pieniądze. Ale ona założyła sobie pętlę na szyję: będę kręcić już teraz! Andriej ma dobre serce, poszedł jej na rękę, chociaż nie ma żadnej gwarancji, że stacja da potem swoją część pieniędzy. Tak, wyrazili zgodę, ale ustną, nie podpisali żadnych dokumentów. A co może być mniej pewne niż słowo urzędnika? Tylko słowo oszusta. Andriej mówił wtedy, że nie trzeba się o to martwić, że w razie gdyby stacja się wycofała, to w następnym roku znajdzie jeszcze fundusze, żeby zrobić z serialu produkt rynkowy. A teraz się okazuje, że wszystko jest chwiejne i bardzo niepewne.

No cóż, postanowione. Jutro z samego rana Natalia poprosi Sienię Musatowa, żeby przejrzał plan produkcji filmu i dokładnie policzył, ile będą mieli dni opóźnienia, jeśli założyć, że milicja popracuje jeszcze przynajmniej przez tydzień. Czy dłużej – to wątpliwe, aktywne poszukiwania przestępcy trwają zwykle najwyżej dwa tygodnie, później wszystko przycicha i sprawę pozostawia się przypadkowi, bo trzeba zajmować się nowymi przestępstwami, do których dochodzi codziennie. W ciągu jednego dnia zdjęciowego, jeśli wszystko idzie pomyślnie, wszyscy stawili się na czas, aktorzy się nie upili i sprzęt nie zawiódł, powstaje materiał, z którego tworzy się trzy, cztery minuty wartościowego czasu ekranowego. Jeśli dzień jest naprawdę udany – pięć minut, ale pod warunkiem, że praca trwa

nieprzerwanie przez czternaście godzin. Można oczywiście zrobić i trzydzieści minut, ale wtedy jakość będzie naprawdę fatalna. Trzeba kręcić jedną kamerą, filmować jeden plan i od razu nagrywać dźwięk. Wychodzą jakieś gadające głowy, a nie film. W latach siedemdziesiątych, gdy Natalia uczyła się we WGIK-u, niekiedy kręcono w ten sposób, nazywano to jednak telespektaklem, a nie serialem. Jutro usiądzie z Musatowem i zobaczy, o ile dni zdjęciowych będą musieli skrócić pracę. Nie będzie żadnego dodatkowego wynajmowania studia, lepiej, żeby przerobili z Rusłanem scenariusz. Najdroższe zdjęcia są w metrze i w centrum Moskwy, z nich też będą musieli zrezygnować, ale nie szkodzi, coś wymyślą.

Natalia już zasypiała, przytulona do ramienia męża, gdy tuż nad uchem rozległ się ogłuszający dzwonek telefonu.

– Natałka? – Ze słuchawki dobiegł zdenerwowany głos Iry Sawienicz. – Obudziłam cię?

– Co się stało? – Natalia się przestraszyła.

Wiedziała, że Ira nigdy nie dzwoni tak późno bez ważnego powodu, żeby na przykład podzielić się miłosnymi emocjami albo wrażeniami z przeczytanej książki.

– Przed chwilą telefonował do mnie Rusłan. Ktoś podrzucił im martwe szczury do mieszkania. Jana nie chce zostać tam na noc. Mogę ich przywieźć do ciebie? Nie wiem, co z nimi zrobić... Wiesz przecież, że u mnie jest tylko jedna kanapa, nie mam nawet łóżka polowego.

Senność minęła jak ręką odjął. Natalia gwałtownie usiadła na łóżku.

– Oczywiście, przywieź ich tutaj.

Godzinę później w dużym mieszkaniu w zaułku Kamiennaja Słoboda koło Arbatu nikt nie spał. Alosza, jak przystało na studenta, przygotowywał się do jutrzejszego egzaminu, a cała reszta, łącznie z Andriejem Ganielinem, siedziała w salonie i zaniepokojonymi głosami omawiała to, co się wydarzyło.

Rusłan i Jana, wyczerpani ciężkim dniem, wcześniej położyli się spać. Koło północy obudził ich dzwonek do drzwi. Półprzytomny Rusłan wciągnął dżinsy, wsunął na nogi kapcie i poszedł otworzyć.

Za drzwiami nikogo nie było, ale na podłodze, na klatce schodowej, leżało pudełko przewiązane elegancką różową wstążeczką. Zwyczajne pudełko z cienkiego kartonu, w jakim sprzedaje się ciastka. Rusłan zabrał je do mieszkania.

– Kto przyszedł? – zapytała Jana.

– Nikt, ktoś zostawił pudełko. Pewnie ktoś z ekipy filmowej postanowił pogratulować ci szczęśliwego powrotu, przyszedł z pudełkiem ciastek, a my nie otwieramy. Filmowcy to bohema artystyczna, przywykli imprezować do świtu, a później spać do południa, więc odwiedzenie kogoś o północy to dla nich nic szczególnego. No co, otworzymy prezent?

– Jak chcesz – odparła Jana obojętnie.

Ale jej obojętność znikła, gdy tylko Rusłan zajrzał do środka. W pudełku leżały dwa truchła szczurów, poranione, zakrwawione, z odciętymi głowami. Głowy, nawiasem mówiąc, też były w pudełku. Jana podniosła taki krzyk, że Rusłan się przestraszył, że sąsiedzi się zbiegną.

– Nie mogę dłużej! – krzyczała histerycznie. – Nie zostanę w tym mieszkaniu! Nie będę tutaj spać! Chodźmy stąd! Chodźmy gdziekolwiek, przenocujemy na ulicy!

Rusłan pomógł jej się ubrać i wyprowadził z mieszkania. Tak się szczęśliwie złożyło, że na przystanek koło domu akurat podjechał autobus, którym w ciągu dziesięciu minut dojechali do najbliższej stacji metra. Tam kupili kartę do automatu i zadzwonili do Iriny.

– No cóż, pomysłowości im nie brakuje – skomentował opowieść Ganielin. – To duże ryzyko zadzwonić tak po prostu do drzwi. Mieszkanie jest malutkie, wszyscy blisko, w odległości dwóch kroków. A gdyby ktoś od razu otworzył drzwi? Osoba, która przyniosła pudełko, nie zdążyłaby się oddalić, więc Rusłan by ją zobaczył. Oni jednak zaczekali, aż w oknach zgaśnie światło i minie dość czasu, żebyście głęboko zasnęli. Zadzwonili do drzwi bez żadnego ryzyka. Mądrale. Z medycznego punktu widzenia też postąpili rozsądnie.

– Z medycznego? – zdziwił się Rusłan. – Co pan ma na myśli?

– Póki człowiek czuwa, jest wciąż gotów do działania. Jak by to wytłumaczyć... Póki świadomość jest aktywna, odbiera wszelkie



zmiany otaczającej rzeczywistości. To konieczny mechanizm adaptacji człowieka do egzystencji. Gdy jednak śpimy, jesteśmy odprężeni, umysł zapomina o tym, że otaczający świat kryje w sobie rozmaite niebezpieczeństwa. Jeśli zostaniemy nagle obudzeni i zobaczymy coś strasznego, wrażenie będzie o wiele silniejsze, niż gdybyśmy ujrzeli to w ciągu dnia.

Jana siedziała w milczeniu, nie biorąc udziału w rozmowie. Wyglądała na całkiem przybitą. Natalia znowu poczuła przypływ głębokiej litości dla tej kruchej młodej kobiety, która znalazła się w centrum groźnych i niewytłumaczalnych wydarzeń.

– Rusłan, proponuję, żebyście się zatrzymali u nas – powiedziała stanowczo. – Przynajmniej póki wszystko się nie wyjaśni i nie ułoży.

– Tak, oczywiście – od razu podjął Andriej. – Przeprowadźcie się do nas, jeśli nie macie ochoty pozostać w tamtym mieszkaniu. U nas jest mnóstwo miejsca, nie będziecie nikomu przeszkadzać. Zresztą jakkolwiek patrzeć, to o wiele wygodniejsze. Mieszkamy w samym centrum, koło metra, mamy telefon, Rusłan będzie w stałym kontakcie z Natalią Aleksandrowną, a to się korzystnie przełoży na pracę. Będziecie razem wyjeżdżać na zdjęcia i razem wracać.

– To genialne! – zatrajkotała Ira radośnie. – Dzięki temu zniknie mnóstwo problemów. Prawda, Rusłanie?

Rusłan podniósł na Natalię smutne, a zarazem pełne wdzięczności oczy.

– Dziękuję pani, Natalio Aleksandrowna. I panu, Andrieju Konstantinowiczu. Wiele robicie dla mnie i dla Jany. Nie chcielibyśmy wam zawadzać, ale tak chyba będzie naprawdę lepiej. Co ty na to, Jano?

Jana długo milczała, zanim z widocznym wysiłkiem poruszyła ustami.

– Chcę do domu – powiedziała wolno.

– Masz ci los! – zawołała Irina z oburzeniem. – Przed chwilą krzyczałaś, że ani minuty nie zostaniesz w tamtym mieszkaniu, że tam nie zaśniesz. Zawróciłaś mi głowę, przez ciebie obudziłam Natalię, postawiłam wszystkich na nogi, a ty teraz... Straciłaś rozum? Chcesz, żebym przez całą noc woziła cię tam i z powrotem po

Moskwie? Nawiasem mówiąc, zamierzałam zostać tutaj do rana, muszę wcześniej wstać, o dziewiątej powinnam być na planie.

Natalia mocno kopnęła Irinę w kostkę.

– Zaczekaj, Iriszo, nie gorączkuj się. Jana wiele przeżyła w ciągu ostatnich dni, bądź dla niej wyrozumiała. Janoczko, dziecko, naprawdę chcesz wrócić do tamtego mieszkania? Pomyśl dobrze, wsłuchaj się w siebie. Jeśli tak, to wezwiemy taksówkę i wyprawimy was z powrotem.

Rusłan patrzył na żonę z zakłopotaniem. Na jego twarzy malował się prawdziwy niepokój.

– Jana, mówisz poważnie? Chcesz wrócić? Dlaczego? Zostańmy tutaj przynajmniej na jedną noc, skoro już przyjechaliśmy. Ira ma rację, jutro wszyscy muszą wcześniej wstać, i ja, i ty też, jeśli chcesz jechać na zdjęcia. A zresztą z punktu widzenia kryminalistyki będzie lepiej, jeśli zostawimy wszystko w mieszkaniu tak, jak jest. Pudełko ze szczurami leży koło kanapy, na której śpimy. Nie chcesz chyba spędzić nocy z... tym, prawda? Nie możemy wyrzucić pudełka, to dowód rzeczowy, sprzątać go też nie warto, ruszać tym bardziej, jutro śledczy wyśle je do ekspertyzy.

Jana milczała ponuro ze wzrokiem wbitym w leżący przed nią pilot od telewizora.

– Janoczko – znowu włączyła się Natalia. – Twój mąż ma rację. Jutro rano zadzwonimy do śledczego, zawieziemy mu klucze do mieszkania, niech milicjanci sami zabiorą pudełko. Gdy wieczorem wrócicie ze zdjęć, żadnych szczurów już nie będzie, więcej ich nie zobaczysz.

– Chcę do domu – powtórzyła Jana z uporem i nagle zaczęła krzyżeć: – Chcę do domu, do Kemerowa! Rusłan, odwieź mnie do domu! Wracajmy, proszę!

Z jej oczu trysnęły łzy, usta zaczęły drżeć, twarz wykrzywił brzydki grymas. Wczepiła się obiema rękami w męża i zaczęła nim potrząsać.

– Nie mogę zostać dłużej w Moskwie! Chcę do domu, do dzieci, do mamy! Wracajmy, bo tutaj zwariuję!

Przestraszony wybuchem Rusłan mocno objął żonę i przyciągnął do siebie.

– Przestań, moja malutka, no przestań. Oczywiście, że wrócimy, jeśli chcesz. Tylko się uspokój, proszę. Dzisiaj przenocujemy tutaj, a jutro kupię bilety na najbliższy samolot i wrócimy.

Wspólnym wysiłkiem udało się nieco uspokoić Janę. Naszpikowano ją valocordinem, fenazepamem i wyciągiem z serdecznika, po czym położono w sypialni dla gości. Natalia zapomniała nawet o swoich planach gruntownego przerobienia scenariusza, do czego potrzebowała Rusłana. Dopiero gdy Jana zasnęła, przypomniała sobie o tym.

– Rusłan, jesteś mi potrzebny – zaczęła niezdecydowanie. – Musimy dokonać poważnych przeróbek scenariusza.

– Natalio Aleksandrowna, Jana jest moją żoną i matką moich dzieci. Jeśli chce, żebyśmy wyjechali, to wyjedziemy.

W głosie Nilskiego Natalia nie usłyszała najmniejszego wahania. Podjął decyzję i nie zamierza ustąpić. Co za sytuacja...

– Ale jesteś autorem powieści i współautorem scenariusza. – Natalia nie rezygnowała. – I jesteśmy w trakcie zdjęć. Podpisałeś kontrakt. Wiesz, co się stanie, jeśli rzucisz wszystko i wyjedziesz?

– Co?

– Będę miała poważne kłopoty. To raz. Nie dostaniesz swojego honorarium w pełnej wysokości, to dwa. Mogę zniekształcić twoją historię do tego stopnia, że stanie się nie do poznania, bo nikt lepiej od ciebie nie zna tekstu powieści, a przede wszystkim jej podtekstu. To trzy. Może odwieziesz Janę do Kemerowa i wrócisz? A jeszcze lepiej namów ją, by została.

– To niemożliwe, Natalio Aleksandrowna. Ona nie zostanie.

– Proszę cię, Rusłanie, nie podejmuj pochopnych decyzji. Dzisiaj Jana jest wzburzona i nie panuje nad sobą, wszystko ją przeraża i irytuje, ale pamiętaj, że jeszcze ubiegłej nocy była w rękach porywaczy, wypuścili ją dopiero dzisiaj o świcie. Później przez parę godzin przesłuchiwał ją śledczy. Podrzuciono ci dziwny list. A na koniec martwe szczury. Niewykluczone, że Jana przeżyła najcięższy dzień w swoim życiu, a ty traktujesz poważnie jej zachowanie i to, co mówi. Zaczekajmy do jutra, dobrze?

– Dobrze. – Rusłan westchnął. – Zaczekajmy. Chciałem przeprosić za Janę. Ta histeria... Czuję się bardzo niezręcznie, wstyd mi przed

panią i Andriejem Konstantinowiczem.

– Bzdury – przerwała mu Natalia. – Wszystko jest zrozumiałe i naturalne. Obiecuj, że dołożysz starań, by uspokoić Janę i namówić ją do pozostania. Wpędzisz mnie w poważne tarapaty, jeśli wyjedziesz.

Była już druga w nocy, gdy Rusłan poszedł spać. Ganielin z Iriną wciąż siedzieli w salonie.

– Nataszko, mogę jakoś pomóc? – zapytał Andriej troskliwie, gdy Natalia przyłączyła się do nich po rozmowie z Rusłanem.

– Ależ skąd, Andriusza, jak mógłbyś pomóc? Teraz wszystko w rękach Rusłana, musi zrobić, co w jego mocy, żeby Jana zrezygnowała z wyjazdu. Jeśli dziewczyna się uprze, on wyjedzie razem z nią. Uważa, że nie ma prawa zostawiać jej samej w Kemerowie po tym wszystkim, co się stało. Jana potrzebuje wsparcia, opieki i miłości. Rozumiem go. Gdybym znalazła się na miejscu Jany, też bym chciała, żeby mój ukochany mąż był ze mną.

– Dobrze, zastanowię się nad twoimi słowami – odparł Ganielin zagadkowo. – No to co, dziewczęta, idziemy spać czy zamierzacie jeszcze poplotkować?

Natalia już miała wstać, by pójść do sypialni razem z mężem, ale Ira raptem oznajmiła:

– Andrieju Konstantinowiczu, zamienimy jeszcze parę słów, dobrze? O różnych kobiecych sprawach.

– Natalko, jesteś jak kwoka. – Ira rzuciła się na nią, gdy tylko za Ganielinem zamknęły się drzwi. – Dawno nie miałaś dużej rodziny na głowie? Stęskniłaś się za komunalnym mieszkaniem? Po jakie licho zaproponowałaś im, żeby u ciebie zostali? Udałam, oczywiście, że popieram twoją decyzję, ale tylko po to, by ocalić twoją reputację. W gruncie rzeczy uważam, że to kompletny idiotyzm. Teraz będziesz musiała gotować jeszcze i dla nich, zmywać po nich naczynia, prać ich pościel. I, nawiasem mówiąc, utrzymywać ich. Przecież nie weźmiesz od nich pieniędzy za jedzenie, prawda? Nie weźmiesz – odpowiedziała sama sobie. – Znam cię na wylot. Będziesz skakać koło nich, zaglądać im w oczy i podcierać tyłki. Janoczko, dziecinko, może zjesz brzoskwinkę? Nie boli cię główka? Jak się czujesz, moja mała ślicznotko? Przywykłaś do tego, Natalko, że wszyscy siedzą ci

na karku, a ty się nimi opiekujesz i się o nich troszczysz. Pora skończyć z tymi zwyczajami, teraz nie czas na to.

– Uspokój się. – Natalia się uśmiechnęła. – Pleciesz trzy po trzy. Przywykłam gotować dla dużej rodziny, to dla mnie nie kłopot, gdzie troje, tam i pięcioro, niewielka różnica. Zdołam utrzymać Rusłana i Janę bez uszczerbku dla swojego budżetu, to w końcu nie tak duży wydatek. Lepiej powiedz mi szczerze, co cię tak rozzłościło. Czemu na mnie naskoczyłaś? Z powodu Jany? Tylko nie kłam, może nie wszystko rozumiem, ale wszystko widzę i czuję. Czym ona cię tak irytuje?

– No wiesz? Co za brednie – burknęła Ira, niezbyt zresztą pewnie. – Dlaczego uznałaś, że Janka mnie irytuje? Nic podobnego.

– Przecież prosiłam, żebyś nie kłamała – powtórzyła Natalia, tym razem surowo.

– Jest głupia! – nagle wypaliła Irina. – Głupia, i to beznadziejnie. To histeryczka. Myśli tylko o sobie. A o tym, co przeżywał Rusłan w ciągu tych wszystkich dni, gdy jej nie było? Jak nie mógł znaleźć sobie miejsca, jak się zadrećzał i cierpiał? Jak nie spał, żeby nie przeoczyć wiadomości od niej? Jak się szykował, by ją pożegnać na wieki? Ona nie chce o tym wiedzieć, ma to w nosie, Rusłana też ma w nosie, myśli tylko o sobie, o tym, jaka jest nieszczęśliwa. A niby czemu jest nieszczęśliwa? Ktoś ją bił, torturował, męczył? Nic podobnego, traktowano ją jak królową, jedzenie trzy razy dziennie, miękka pościel, łazienka i toaleta, wszystko na jej usługi. Tyle że Rusłan o tym nie wiedział, więc przez wszystkie dni, póki nie wróciła, nękały go czarne, straszne myśli. Zauważyłaś, że posiwiał? A przecież jeszcze w ubiegłym tygodniu nie miał ani jednego siwego włosa. To jemu trzeba współczuć, a nie Jance. To on ma dzisiaj prawo do hysterii i do załamania nerwowego, a nie ona. A ty szczebioczesz do niej jak do małego dziecka: Janoczko, dziecinko, koteczku. Dziewczyna jest zdziwą i skończoną egoistką. O! – Ira gwałtownie wyrzuciła powietrze z płuc. – To wszystko, co ci mam do powiedzenia.

– Na pewno wszystko? – zapytała Natalia.

– No... może nie do końca, ale na dzisiaj wszystko. Jutro dorzucę coś jeszcze – obiecała.

– Dobrze, wobec tego idziemy spać. A przy okazji, jak twoja randka z milicjantem?

– Jak, jak... Nijak. Zaprosiłam go do siebie, ale ledwie wszystko zaczęło się układać, to ci... ze swoimi szczurami... Musiałam wszystko rzucić i przywieźć ich do ciebie. Biedny milicjant zmył się jak niepyszny.

Natalia pokrzepiająco poklepała ją po ramieniu.

– To nic, nie denerwuj się, w Moskwie jest dużo milicjantów, a w Rosji jeszcze więcej. Skoro tak ci się pali, żeby zamienić śledczego na detektywa, to masz mnóstwo okazji. Ale ja na twoim miejscu przerzuciłabym się na inną grupę zawodową, choćby z ciekawości. Bo wszyscy milicjanci są tacy sami.

– Natrząsasz się ze mnie? – Ira się nadała.

– Jak zawsze. – Natalia czule pocałowała wychowankę. – Dobranoc, pościeliłam ci w gabinecie.

[9] CzP (czriezwyczajnoje proisszestwije) – nadzwyczajne wydarzenie.

## Rozdział 7

Rano Nastia Kamińska doszła do zniechęcającego wniosku, że im więcej napływa informacji, tym mniej czytelna wydaje się ta najzwyczajniejsza na pierwszy rzut oka sprawa. Chciała się dowiedzieć tego, co najważniejsze: kto był prawdziwym obiektem przestępstwa, jaki był jego prawdziwy cel – zabójstwo Timura czy porwanie Jany? Póki tego nie zrozumie, nie może tworzyć wiarygodnych hipotez oraz planu ich weryfikacji. Hipotezy się mnożyły, myśli biegle w różne strony. Minął niemal tydzień od chwili zabójstwa, a sprawa nie stała się jaśniejsza. Podrzucony list i pudełko z martwymi, rozczłonkowanymi szczurami na pozór sugerowały, że chodzi nie o Timura, ale o Janę. Jednak te same fakty można interpretować inaczej: Jana była świadkiem zabójstwa, mogła zobaczyć przestępcę, więc teraz jest zastraszana, żeby milczała, niczego nie próbowała sobie przypomnieć i nikogo nie rozpoznała. Oczywiście, w tej sytuacji łatwiej byłoby ją także zabić, a nie porywać jej i zastraszać. Dlaczego nie została zabita? Czy to wiadomo? Może wśród przestępców (a teraz, po opowieści Jany, nie ma wątpliwości, że jest ich kilku) znalazł się ktoś sentymentalny, kto nie chciał mieć na sumieniu grzechu zabójstwa młodej kobiety, matki dwójki małych dzieci, która niczym nie zawiniła wobec kryminalnego świata. Wtedy znowu należałoby wrócić do hipotezy o tym, że głównym celem był jednak Timur. A zatem które z nich: Timur czy Jana? I jeśli Jana, to sama Jana czy Jana jako żona Rusłana Nilskiego? A może obie razem, bo przestępcy było wszystko jedno, kogo zabić, byle tylko zakłócić pracę ekipy filmowej, przysporzyć psychologicznych, organizacyjnych i finansowych kłopotów, które w ostatecznym rezultacie powinny doprowadzić do

przerwania projektu? Pytań pojawia się więcej niż odpowiedzi. Właściwie są same pytania, bo z odpowiedziami jest raczej kruczo.

– Jura, czyj to był pomysł: zawieźć Nilskich do Woronowej, żeby tam przenocowali? – zapytała nagle Nastia przy śniadaniu, nieśpiesznie popijając gorącą, słodką kawę. – Sawienicz rozmawiała z nimi przez telefon przy tobie, musiałeś coś słyszeć. Jakie odniosłeś wrażenie?

Korotkow zmarszczył czoło, co miało obrazować wyęzioną pracę pamięci, nie zapominając przy tym pałaszować olbrzymiej kanapki z omletem i włoszczyzną.

– Pomysł na pewno nie wyszedł od Iriny – oznajmił w końcu. – Bo ona w ogóle nie miała ochoty jechać gdzieś wczoraj wieczorem. Tak się nam dobrze siedziało, już zaczęliśmy się odprężyć...

– Jurik, to twoje osobiste emocje, a ja potrzebuję faktów albo w najgorszym razie słów, które słyszałeś. Nawiasem mówiąc, dlaczego nie jesz sera? Zawsze go lubiłeś.

– Przecież nie ma go na stole. – Korotkow rozłożył ręce, wskutek czego omlet omal nie ześlizgnął się z chleba.

– Jest w lodówce.

– Ale go nie wyjęłaś – burknął uparcie. – Nie mogę się szarogęsić w cudzym domu. Dobre wychowanie mi nie pozwala.

– Ale spać w cudzym domu możesz? – zainteresowała się Nastia złośliwie. – I to w obecności cudzej żony. Znalazł się dżentelmen z bożej łaski. Tutaj nikt nie podaje do stołu, obowiązuje samoobsługa. Podziękuj, że ci zrobiłam omlet, choć tylko dlatego, że opanowywałam to danie, by tak rzec, w celach ćwiczebnych. A już cała reszta... bądź łaskaw sam. I nie zmieniaj tematu, kochany. Zadałam ci pytanie.

– Tak, pytanie... No co ci powiedzieć, koleżanko? Wydaje mi się, że pomysł wyszedł od Nilskich. Słyszałem, jak Irina mówiła: „Dobrze, zadzwonię do Nataszy, jeśli jeszcze nie śpi...”. Nie powiedziała niczego w stylu: „Może odwiozę was do Woronowej i tam przenocujecie?”.

– To wszystko? – Nastia zerknęła na Korotkova podejrzliwie.

– Niezupełnie, ale... Krótko mówiąc, gdy się z Irą zbieraliśmy i wybiegaliśmy pośpiesznie z domu, ona przez cały czas narzekała,



że to pewnie Janka wymyśliła, by przenocować u Woronowej. To znaczy z jakiegoś powodu była pewna, że pomysł jest Jany, a nie Rusłana.

– Dlaczego? Nie wyjaśniła swojego zdania?

– Nie, po prostu narzekała pod nosem. Zresztą jakie były inne możliwości? Gdzie Nilscy mieli się udać jak nie do Woronowej? U Iriny brak miejsca, a chata Woronowej to pięć pokoiów na trzy osoby, można tam ulokować kompanię. Więc bez względu na to, komu przyszedł do głowy ten pomysł, nie było innego wyjścia.

– Możliwe – mruknęła Nastia w zamyśleniu. – Możliwe... Możliwe, że masz rację. Ale możliwe, że ma ją nasz Afonia.

– Ciekawe w czym? – Korotkow drgnął niezadowolony.

– W tym, że Jana Nilska romansuje z mężem Woronowej. I pudełko ze szczurami to doskonały powód, żeby przenieść się bliżej niego na jakiś czas. Sprytna kobieta sztuczka.

– Powiedz jeszcze, że Jana sama podrzuciła pudełko! Też wymyśliłaś! – zawołał Jura z oburzeniem. – Spała, gdy je przyniesiono, drzwi otworzył Nilski. A może sądzisz, że Jana to zorganizowała? Kiedy? Przez kilka dni przetrzymywali ją porywacze, później wciąż była na widoku: męża, Iriny, naszym, Gmyrii, całej ekipy filmowej. Wczoraj nigdzie się nie oddalała i do nikogo nie dzwoniła. Specjalnie się tym interesowałem.

– Juroczka, moje słoneczko, skąd o tym wiesz? Od Iriny, prawda? Przecież nie spotkałeś się z Nilskimi wczoraj wieczorem. A co się stało po tym, jak się pożegnali z Iriną, do chwili, gdy poszli spać? Skąd wiesz, że Jana nie wyszła z domu i do nikogo nie dzwoniła? Poza tym mamy porywaczy. Dlaczego nie zakładasz, że Nilska mogła być z nimi w zмовie? To całkiem prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę, że jej tam nie bito, nie maltretowano i nie dręczono. Możliwe, że dogadała się z nimi, jeszcze zanim ją porwali.

– No wiesz? – Korotkow wybałuszył oczy. – Mówisz poważnie? Naprawdę sądzisz, że Jana Nilska mogła zaplanować zabójstwo kierowcy i swoje porwanie?

– A co w tym dziwnego? – Nastia wzruszyła ramionami i nieśpiesznie wyjęła papierosa z paczki. – Dlaczego to przypuszczenie tak cię przeraża? Przecież nie podsuwam ci hipotezy

o tym, że zielone ludziki wylądowały w latającym spodku, zabiły kierowcę i porwały Janę. O ile wiem, zielone ludziki nie istnieją, w każdym razie nie widziałam ich na własne oczy. Ale cała reszta jest całkiem możliwa.

– Tylko po co?! Aśka, zabij mnie, ale nie rozumiem, po co Jana miałaby brać udział w zabójstwie Timura i we własnym porwaniu. Gdzie motyw? Co by na tym zyskała?

– A skąd mam wiedzieć? Ale jeśli czegoś nie wiemy, to wcale nie znaczy, że tego nie ma. Po prostu nie zastanawialiśmy się nad tym i słabo szukaliśmy. Nawiasem mówiąc, Sierioża Zarubin odkrył co najmniej dwa przypadki, kiedy Timur wiózł aktora na zdjęcia i po drodze zabierał Janę. Innymi słowy, w drodze z planu filmowego do hotelu, w którym mieszka aktor, wysadzał ją, a później zabierał z powrotem. Z obliczeń Sierioży wynika, że miała co najmniej półtorej godziny wolnego, niekontrolowanego czasu. A biorąc pod uwagę fakt, że za każdym razem wszystko działo się po południu, gdy na drogach panują straszliwe korki, to czas można wydłużyć do dwóch godzin. Jura, kończ kawę, pora na nas. O dziesiątej mam złożyć Afonii raport o publikacjach Nilskiego.

Nastia zaczęła się denerwować. Wydawało jej się, że na pewno spóźnią się do pracy i będzie musiała wysłuchać od nowego naczelnika wiele niemiłych uwag pod swoim adresem. Natomiast Korotkow zachowywał właściwy zwierzchnikowi spokój i przez całą drogę radził jej, by nie histeryzowała. Argumenty Jury nie przekonywały Nastii, która w głębi duszy znała powód swojego zdenerwowania. Dzisiaj czeka ją pierwsze od tamtej rozmowy spotkanie z Afanasjewem twarzą w twarz. Słowa, które skierowała do naczelnika we środę, w chwili ich wypowiedzenia wydawały się właściwe i słuszne, ale teraz, półtora dnia później, Nastia miała duże wątpliwości, czy postąpiła rozsądnie. A raczej – utwierdzała się w przekonaniu, że postąpiła niewybaczalnie i palnęła głupstwo. Przecież będzie musiała pracować z tym człowiekiem jeszcze długo, prawdopodobnie nie jeden dzień, a nawet nie jeden miesiąc. Po co więc to zrobiła? To prawda, że w młodości Afonia nie brzydził się spekulacją, swoimi kanałami zdobywał różne deficytowe towary i odstępował je kolegom, czerpiąc z tego niewyobrażalne zyski.

A w tamtym czasie, pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych, takie czyny podlegały odpowiedzialności karnej. No i co? To oczywiście wstrętne, mógłby się nie dorabiać na kolegach – biednych studentach, mógłby się nad nimi ulitować. Ale dzisiaj zupełnie inaczej traktuje się spekulantów z przeszłości. Dzisiaj panuje opinia, że ówcześni spekulanci odegrali pożyteczną rolę, pozwalając społeczeństwu się zaadaptować i przeżyć w warunkach gigantycznego niedoboru. Wygląda więc na to, że pogardzany kiedyś Afonia był tak naprawdę osobnikiem przydatnym, dzięki któremu Nastia paliła lekkie papierosy z obniżoną zawartością substancji smolistych (co jest mniej szkodliwe dla zdrowia) i piła taką kawę, która nie pozostawiała kwaśnego smaku w ustach i po której nie bolał żołądek. Z tego wniosek, że powinna mu raczej podziękować, a nie popisywać się i kłuć w oczy przeszłością. A to, że podczas pobytu na uczelni Afonia nie błyszczał intelektem, pilnością ani zdyscyplinowaniem, nie daje jej żadnego prawa, by uważać go za słabego zawodowo, ponieważ, jak słusznie zauważył Korotkow, w ciągu dwudziestu lat dużo rzeczy się zmienia, wieloletnie doświadczenie i nawyki z nawiązką rekompensują brak należytego wykształcenia. Tak właśnie jest, rzecz jasna, ale czy to mu daje prawo, by nie lubić podpułkownik Kamieńskiej tylko dlatego, że jest kobietą? Czy to mu daje prawo oskarżać ją o niedbalstwo, o to, że zamiast pracować, przesiaduje godzinami u fryzjera? Kto powiedział, że Nastia ma to znosić w milczeniu, zacisnąć zęby i łykać ten syf, którym Afonia regularnie ją raczy?



Była w gabinecie naczelnika już ze dwadzieścia minut i na razie nic się nie stało. Nadal nazywała go Wiaczesławem Michajłowiczem, natomiast Afanasjew, tak jak przedtem, zwracał się do niej na „ty” i po nazwisku. Chyba jednak starał się dobierać słowa, w każdym razie dzisiaj, zdaniem Nastii, jego wypowiedzi były całkiem poprawne, przynajmniej pod względem formy.

Jeśli chodzi o publikacje Rusłana Nilskiego, to ich treść mogła wzbudzić niezadowolenie kilku osób. Starannie przemyślane

sformułowania dziennikarza sprawiały, że nie sposób go było oskarżyć o zniesławienie. Ale uczucia to delikatna materia, nie regulują jej akty prawne, więc jeśli serce kipi nienawiścią i chęcią zemsty, to nie da się mu wytłumaczyć, że z punktu widzenia prawa nie popełniono czynu karalnego. Serce jest kapryśne; gdy czuje urazę, w ogóle nie myśli o kwalifikacji prawnej, interesuje się raczej własnymi doznaniem. Jest mu nieprzyjemnie i przykro, więc za wszelką cenę pragnie satysfakcji.

Satysfakcji za wszelką cenę pragnęło – według wstępnych szacunków Nastii – kilka osób, wśród których był poważny handlowiec, znany dzisiaj w całym kraju, nie mniej poważny polityk – ten z kolei cztery lata temu przeprowadził się z Kuzbasu do stolicy i prowadził aktywną działalność jako deputowany Dumy Państwowej, a także jeden wielce odpychający mężczyzna, dobroczyńca i filantrop. W swoim czasie Rusłan Nilski oskarżył wszystkich trzech o bliskie kontakty z elementem przestępczym, wskutek czego wspomniani panowie mieli nieprzyjemności różnej maści – od zerwania wielomilionowej transakcji do przegranej w wyborach do lokalnych organów władzy.

– Natychmiast sporządź zapytanie do RUBOP-u, niech zobaczą, z kim ze środowiska kryminalnego są związani ci działacze – rzeczowo polecił naczelnik.

Nastia w milczeniu wyciągnęła z teczki tekst zapytania, w którym brakowało jedynie podpisu Afanasjewa, i położyła przed nim na biurku. Już postanowiła, jak postąpi, ale wciąż jeszcze nie była pewna, czy ma rację, więc czuła się niekomfortowo. Wiedziała też, że znowu postępuje niewłaściwie, pokazując Afanasjewowi wcześniej przygotowane zapytanie. Tak, zgłoszenie zapytania do wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną jest na pewno konieczne, w tej sytuacji nawet początkujący detektyw doszedłby do tego wniosku, tyle że słuszne decyzje zawodowe nijak się mają do zachowania wobec przełożonego. Przełożony musi czuć się ważny, dlatego detektyw pod żadnym pozorem nie może pokazywać, że zna się na czymś nie gorzej od naczelnika. W przeciwnym razie po co komu przełożony, skoro podwładni wiedzą wszystko bez niego? Istnieją niepisane zasady budowania relacji z przełożonym.

Niektórym wyjaśniają je bardziej doświadczeni koledzy, inni opanowują je w procesie nabijania sobie guzów na czole. Jedna z tych zasad głosi: przy każdej okazji należy dawać naczelnikowi do zrozumienia, że ON jest mądry, i jak najrzadziej pokazywać, że TY jesteś mądry. W odniesieniu do dzisiejszej sytuacji oznaczało to, że usłyszawszy polecenie Afanasjewa, Nastia powinna była od razu zapisać je na kartce i z wyrazem oddania na twarzy powiedzieć: „Wykonam”. Po czym wziąć ze swojego biurka dawno przygotowany dokument, wypalić papierosa, by zagrać na zwłokę i sprawić wrażenie, że pilnie wykonuje zadanie, a następnie zanieść szefowi papier do podpisu. Wtedy szef będzie zadowolony w dwójnasób. Po pierwsze, jest doświadczonym wyjadaczem, który od razu się zorientował, co i jak trzeba zrobić. Po drugie, jego podwładni szybko i chętnie wykonują przydzielone zadania, a to znaczy, że szanują jego profesjonalną opinię.

Tymczasem co zrobiła Nastia? Przygotowała zapytanie, przyniosła je ze sobą i pokazała naczelnikowi. Innymi słowy, dała do zrozumienia, że tutaj wszyscy bez niego wiedzą, jak szukać przestępców, a sam pułkownik jest potrzebny tylko pro forma, żeby podpisywać dokumenty, bo bez tego niestety, zapytanie nie zostanie przyjęte do realizacji. No i jak ją nazwać po tym? Gordiejew był inny, cieszył się jak dziecko, gdy któryś z wyedukowanych i wychuchanych przez niego detektywów zaczynał odgadywać jego decyzje, ale to zrozumiałe, przecież kierował wydziałem ponad piętnaście lat, właściwie wszyscy pracownicy byli w większym czy mniejszym stopniu jego uczniami, a sukces ucznia, jak wiadomo, to najlepsza pochwała dla nauczyciela. Tymczasem dla nowego naczelnika są podwładnymi, a nie uczniami. Musi zdobyć wśród nich autorytet, a to zupełnie inna historia...

– Co to jest? – zapytał Afanasjew z niezadowoleniem, patrząc na dokument na biurku.

– Zapytanie do RUBOP-u – odparła Nastia krótko.

Wiaczesław Michajłowicz długo czytał parę linijek napisanych według znanego schematu, jakby po raz pierwszy widział zapytanie. Później bez słowa podpisał i dosłownie cisnął Nastii.

– Co jeszcze w sprawie?

– Wczoraj późnym wieczorem Nilskim podrzucano martwe szczury w pudełku po ciastkach – oznajmiła sztywno, myśląc nie tyle o sprawie, ile o tym, co zamierzała powiedzieć naczelnikowi. – Śledczy został powiadomiony dzisiaj rano, wybiera się tam razem z ekspertami. Nilscy nie chcieli zostać w mieszkaniu i nocowali u Woronowej.

– A mąż Woronowej? Czego się udało dowiedzieć?

– Na razie nie ma nic nowego. Nie wiadomo, czy pan Ganielin jest w jakimś stopniu zainteresowany przerwaniem zdjęć.

– A szukała pani tych informacji? – Afanasjew podniósł głos. – Co pani robiła przez cały ten czas? Czytała sobie gazetki? Potrzebowałam trzech dni, żeby przynieść mi te tutaj – szturchnął palcem zapytanie – nieszczęsne trzy nazwiska! Każdy inny pracownik zrobiłby to w ciągu dwóch godzin. Co się dzieje, Kamieńska? Zamierzasz normalnie pracować czy w ogóle tego nie potrafisz?

Jakie trzy dni? O czym on mówi? Polecenie przeanalizowania publikacji Nilskiego i ujawnienia ewentualnych nieżyczliwych mu osób naczelnik dał jej w środę wieczorem. A w czwartek od wpół do siódmej rano Nastia zajmowała się wyłącznie Janą Nilską po jej powrocie. Najpierw ją przesłuchiwała, potem zawiozła do śledczego, kilka godzin siedziała na przesłuchaniu, następnie do późnego wieczora biegała w poszukiwaniu świadka, który mógłby powiedzieć coś o tajemniczym liście wsuniętym do kurtki Rusłana Nilskiego. Teraz jest piątek rano, a ona potrafiła jednak wykroić czas, by odszukać w Internecie kuzbaską prasę i nawet przeczytać większą część materiałów, które kiedyś napisał Rusłan. W dodatku zrobiła to nocą w domu, na swoim komputerze. Który pracownik potrafiłby zrobić to wszystko w ciągu dwóch godzin? Straciłby pół dnia, żeby znaleźć komputer podłączony do sieci, a przez kolejne pół biegałby w poszukiwaniu osoby, która mu powie, jak i gdzie szukać regionalnej prasy. Co Nastia zrobiła nie tak? Czym sobie zasłużyła na te wyrzuty?

No cóż, to nieuniknione, powie wszystko, co zamierzała powiedzieć. Choć pewnie nie będzie to słuszne, ale powie. Westchnęła głęboko, zbierając się na odwagę.

– Wiaczesławie Michajłowiczu, chcę pana przeprosić za to, co powiedziałam przedwczoraj. Uraziła mnie pańska krytyka, wydała mi się niezasłużona i dlatego nie wytrzymałam. Przyznaję się do winy i proszę o wybaczenie za to, że pozwoliłam sobie na niewłaściwy ton w rozmowie z przełożonym. Jednakże dobrze pamiętam, jak studiowaliśmy razem na uniwersytecie. Może pan być spokojny, nie zamierzam wykorzystywać faktu naszej dawnej znajomości, o nic nie będę prosić i nie będę liczyć na pobłażanie ani szczególne względy. Nawet nie będę zwracać się do pana na „ty” i nazywać Afonią. Ale właśnie dlatego, że znam pana jako trójkowicza, który korzystał z cudzych ściąg, i jako aroganckiego spekulanta, nie zniosę krytyki z pańskiej strony, jeśli uznam, że jest niesprawiedliwa. Proszę nie traktować moich słów jak szantażu, pracuję jednak w wydziale piętnaście lat i jestem dla młodych pracowników niejaki autorytetem. Pan zaś jeszcze nim nie jest. Więc gdy zacznę w obecności wszystkich w sposób zasadny i uargumentowany dementować pańską krytykę, pana akcje nie pójdą w górę. Nie straszę pana, ale usiłuję być uczciwa i z góry uprzedzam, żeby był pan na to przygotowany.

– Czego ty ode mnie chcesz, Kamińska? – zapytał pułkownik ze znużeniem.

– Niczego. – Nastia ledwie zauważalnie wzruszyła ramionami.

– Chcesz zostać naczelnikiem sekcji? Przecież wiesz, że nie ma teraz wakatów. Docenko jest naczelnikiem sekcji i nigdzie się nie wybiera.

– Wcale tego nie chcę, skąd ten pomysł?

– Więc o co chodzi? Czego chcesz? Co chcesz osiągnąć tymi swoimi... wypowiedziami? Żeby przestał cię krytykować za złą pracę? Żeby wszystkim robił uwagi i urządził awantury, a ciebie nie ruszał, tak? To chcesz osiągnąć?

Mój Boże, on nic nie rozumie... Dalej uważa, że Nastia próbuje wykorzystać ich znajomość w jakichś osobistych celach. No i jak mu wytłumaczyć, że nie można tak traktować nikogo, a nie tylko jej, Kamińskiej? Afonia chyba nie rozumie, co się do niego mówi. Wydział Gordiejewa zawsze miał dobre wyniki, bo Pączek potrafił stworzyć atmosferę wzajemnej pomocy i wzajemnego zaufania,

w której wszyscy myśleli tylko o tym, co jest najlepsze dla sprawy, a nie o tym, jak zaspokoić własne ambicje. Nikt nie czuł potrzeby zaspokajania własnych ambicji, bo Gordiejew nikogo nie krytykował bez powodu, a jeśli to robił, to w taki sposób, że nikt się nie obrażał. Wciąż powtarzał, że nie wolno obrażać innych, bo człowiek obrażony na pewno zechce się odegrać, a ponieważ nie będzie się mógł odegrać na naczelniku, jego ofiarami staną się inni, między innymi koledzy, to zaś przyniesie wyłącznie szkodę, nic więcej. Gordiejew nie musiał udowadniać podwładnym, że jest prawdziwym profesjonalistą, z tego prostego powodu, że ów fakt był wszystkim doskonale znany i nikt go nie podważał. Tymczasem Afonii nikt tutaj nie zna, więc musi nabierać pewności siebie, to zrozumiałe. Tyle że podczas tego procesu całkowicie zrujnuje pracę wydziału. Wszyscy młodzi uciekną, są jeszcze wrażliwi na punkcie swojego honoru, uważają się za świetnie wykształconych i mądrych. Ich wysokie mniemanie o sobie bierze się stąd, że obsługują komputer i potrafią grać na giełdzie, w odróżnieniu od naczelnika, który tego nie potrafi, ale pozwala sobie na nich krzyczeć. Młodzi nie będą tolerować takiego traktowania, a ponieważ nie zamierzają robić kariery w milicji, to jest im wszystko jedno, gdzie zajmą się wyjaśnianiem przestępstw: w prestiżowej i cenionej Pietrowce czy gdzieś w terenie, na obrzeżach Moskwy. Dwa razy spotkają się z niezasłużonym chamstwem Afonii i położą na biurku raport z prośbą o przeniesienie. I co on wtedy zrobi?

– Wiaczesławie Michajłowiczu – powiedziała ze smutkiem. – Niczego od pana nie chcę. Niczego nie potrzebuję, rozumie pan? Nawet tego, żeby mnie pan traktował w szczególny sposób. Mam czterdzieści jeden lat, jestem podpułkownikiem milicji, a nie zahukaną studentką, więc pańskie krytyczne uwagi, nawet najniesprawiedliwsze, wypowiedziane z użyciem nieparlamentarnych słów, nie zrobią mi krzywdy. Jakoś je przeżyję. Ale w wydziale jest dużo młodych pracowników, wczorajszych absolwentów naszych uczelni, którzy nie zechcą z panem pracować. Niech pan nie zapomina, że już dawno minęły czasy, gdy założywszy naramienniki, musieliśmy odsłużyć dwadzieścia pięć lat, bo nie mieliśmy innego wyboru. Teraz każdy z nas może odejść w dowolnej chwili. I oni



odejdą. Ja zostanę, nigdzie się nie wybieram, bo się pana nie boję. Ale oni odejdą. I jak wtedy będziemy pracować?

– Naprawdę nie boisz się przełożonych? – W głosie Afanasjewa wyraźnie słychać było zaciekawienie.

– Nie boję się – potwierdziła Nastia, tłumiąc uśmiech.

– A dlaczego? Masz gdzieś protektora? Gdzie? W ministerstwie? Czy wyżej? – dopytywał się pułkownik.

– Nie mam żadnego protektora. Po prostu jestem już w takim wieku, że nie muszę się bać szefów. Teraz mogę ich tylko szanować lub nie.

– Daruj sobie. – Afanasjew machnął lekceważąco ręką. – Opowiadasz mi tutaj jakieś bajeczki. Myślisz, że nie rozumiem? Ze mną jesteś taka odważna, bo studiowaliśmy razem. A co byś zrobiła, gdyby na moim miejscu był inny przełożony? Siedziałabyś cichutko i milczała jak trusia. I podporządkowałaś się jak wszyscy.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie ma pan racji. Na pewno bym się nie podporządkowała.

– Tak? No to co byś zrobiła? Mnie wyzwalaś od trójkowiczów i spekulantów. A co byś jemu zarzuciła?

– Wcale nie trzeba wysuwać oskarżeń, żeby zmusić człowieka do tego, co słuszne. Nie przyszło to panu do głowy? Istnieje mnóstwo innych sposobów. Zakładam, że ta myśl jest panu obca, bo przywykł pan werbować informatorów wyłącznie na podstawie kompromitujących materiałów. Inaczej pan nie potrafi.

– Ciekawe, jak ty ich werbujesz? Nawiasem mówiąc, jeszcze nie sprawdzałem twojej sieci agenturalnej. Podejrzewam, że nie wszystko z nią w porządku. Z iloma informatorami jesteś w kontakcie?

– Z dwunastoma.

– To w papierach. A w rzeczywistości?

– Z dwunastoma – powtórzyła Nastia z uporem. – Chce pan przejrzeć akta? Przyniosę.

– Nie teraz. Nie mam czasu się tym zajmować. Idź, wyślij zapytanie i zabieraj się do męża Woronowej. Żebyś wieczorem przyniosła mi informacje.

– A jeśli ich nie ma?

– Są – powiedział naczelnik z naciskiem. – Dobrze wiem, że są. Jeśli ich nie znajdziesz, to znaczy, że nie potrafisz pracować. To wszystko, Kamińska. Jesteś wolna.

Każdy detektyw wie, że papierkowa robota to słaby punkt każdego wywiadowcy. Najsłabszym ogniwem tej pisaniny jest sporządzanie opisu współpracy z tajnymi informatorami. Gdy więc detektyw awansuje na naczelnika, doskonale wie, od czego zacząć, żeby dopiec podwładnemu i pokazać mu jego miejsce. No cóż, Afonia nie jest wyjątkiem. Kiedy Gordiejew odchodził do ministerstwa, zamiast niego wyznaczono nowego naczelnika, który też zaczął od kontroli materiałów poufnych. Wiemy, przerabialiśmy. Wróciwszy do swojego pokoju, Nastia nawet się nie pofatygowwała, żeby wyjąć z sejfu akta informatorów i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Była pewna, że Afonia nie będzie niczego sprawdzał. Przynajmniej u niej. Tak, nic nie zrozumiał. Ale się przestraszył. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.



Kilka dni temu Wiktor zauważył, że jest śledzony. Najpierw uznał, że mu się przywidziało, ale później parę razy sprawdził i się upewnił: nie, nie wydawało mu się, ktoś go naprawdę śledzi. A więc sukinsyny go namierzyły. Jak? Najprawdopodobniej wykorzystując dane z lotniska, nic innego. No cóż, przewidział taką sytuację. Niech się pomęczą, trochę ich pozwodzi. Jest tylko jedna rzecz, która pozwoli im z całą pewnością stwierdzić, czy Wiktor Słucewicz to Jurka Simonow. Tylko jedna. I ludzie stojący nad nim robią teraz, co w ich mocy, żeby dotrzeć do tej rzeczy i ją zniszczyć.

A zatem nadszedł czas, by puścić w ruch cudze nazwiska. Już od kilku dni, od chwili, gdy poznał Julę, przedstawiał się tylko tak, jak miał napisane w dowodzie. Chwilowa labia się skończyła, musi aktywizować kontakty, żeby było czym mydlić oczy.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było odwiedzenie kasyna. Dawno nie grał, całe dziesięć miesięcy, odkąd wyjechał, by zrobić sobie operację plastyczną. Cztery miesiące spędził, jak to się mówi, w podziemiu, póki powstawały nowe dokumenty i goiły się blizny, później pół roku

przebywał w Moskwie – z nowym nazwiskiem, nową pracą i nowym życiem. I przez cały ten czas ani razu nie zajrzał do domu gry, chociaż dawniej spędzał tam dni i noce, zgrywał się do ostatniego rubla albo wychodził jako zwycięzca. Trudno było walczyć z pasją, ale bardziej pragnął żyć niż grać. Wiedział, że jeśli ktoś będzie go szukać, to zacznie od kasyna.

Zanim usiadł do gry, uważnie przyjrzał się wszystkim krupierom, którzy stali przy stołach do gry w karty. Ruletkę od razu wykluczył, bo Jurka Simonow był znany z zamiłowania do niej. A więc zagramy w blackjacka. Trzeba tylko wybrać odpowiedniego krupiera. Musi to być nowicjusz albo ktoś wkręcony do pracy przez „opiekuna”, to znaczy osoba, która słabo zna zasady zachowania się przy stole lub czuje się pewnie i dlatego nie uważa za konieczne, by ich przestrzegać. W dobrym kasynie raczej nie znajdzie się takiego krupiera, dlatego Wiktor udał się do miejsca niedrogiego, zwyczajnego, niecieszącego się dobrą reputacją głównie z uwagi na brak profesjonalizmu personelu. Gdyby był Jurką Simonowem, z pewnością wybrałby Golden Palace albo Cristal. Jest jednak kimś zupełnie innym, toteż klasa kasyna też jest inna.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Przy jednym ze stolików zmienił się krupier. Miejsce niewysokiego, dobrze zbudowanego chłopaka zajęła dziewczyna z takim wyrazem twarzy, że Wiktor nie miał żadnych wątpliwości: ona na pewno nie będzie milczeć. Podszedł, usiadł na wolnym stołku obok dwóch innych graczy, postawił czerwony żeton. Spojrzał na pierwszą otrzymaną kartę – ósemka.

– Jeszcze – powiedział.

Drugą okazała się dama. Dobra karta, osiemnaście oczek. Nie ma co liczyć na to, że trzecią okaże się dwójka albo, jeszcze lepiej, trójka. Szanse są nikłe.

– Wystarczy.

Krupierka miała siedemnaście, dwaj inni gracze – nadwyżkę. Wiktor zgarnął wygrane żetony, postawił nowy zakład.

– Niech się pani nie martwi. – Mrugnął figlarnie do krupierki. – Pewnie ma pani szczęście w miłości. A przy okazji, nazywam się Edik. A pani?

Początek był trywialny, wyświechtany i oklepany na skutek wielokrotnego użycia, a pytanie o imię – niekonieczne, ponieważ na firmowej bluzce dziewczyny widniała plakietka z emblematem kasyna i jej imieniem: Stella. Wiktor ani przez chwilę nie wątpił, że dziewczyna naprawdę nazywa się inaczej, prościej. W tanich kasynach panowały te same zwyczaje co w sieci, gdzie Stelle, Ilony i Moniki były w dowodach osobistych Rajami, Zinami i Taniami.

– Stella – odparła uprzejmie krupierka, wydając karty.

– Z takim imieniem na pewno powiedzie ci się w miłości, malutka – oznajmił Wiktor poufale, podnosząc kartę. As. Doskonale, jest okazja do manewru, asy są dobre dlatego, że w zależności od pozostałych kart mają wartość jedenaście albo jeden, więc do asa można bez obawy dokupić jeszcze dwie karty.

– Jeszcze.

Dwójka.

– Jeszcze.

Trójka.

Co to niby ma być, ni pies, ni wydra, sześć – mało, szesnaście – już niebezpiecznie. Jeśli szesnaście, to urządzi go czwórka albo piątka, ale trzy niskie karty jedna po drugiej trafiają się rzadko. Jeśli szóstka, to musi wziąć.

– Jeszcze.

Tym razem przyszedł walet. Znowu szesnaście. No cóż, wziąć piątą kartę czy zrezygnować? Postanowił wziąć. Okazało się, że to piątka. Wygrał.

– Nie smuć się, malutka – powiedział. – Nie ogram do cna twojego kasyna, trochę się zabawię i pójdę sobie. Właściwie nie jestem graczem, mam inny krąg zainteresowań, ale dzisiaj rano rzuciła mnie kobieta. Na dobre. Spakowała rzeczy i fluuu, związała z nowym kochaniem do Grecji. A koledzy mi mówią: „Skoro spotkał cię zawód w miłości, to idź zagrać, może będziesz miał szczęście w kartach”. No i widzisz? Na razie mam. Już ze trzy lata nie grałem w kasynie... No tak, zgadza się, trzy i pół, bo tam, u ziomka, nie ma kasyna, jak się pewnie domyślasz. Grają tam w swoim gronie.

Siedzący obok gracze zerknęli na niego i Wiktor wiedział, że zwrócił na siebie uwagę, co było mu bardzo na rękę. Pograł jeszcze ze

czterdzieści minut ze zmiennym szczęściem, co rusz narzekając na niesłuszność powiedzenia o powodzeniu w kartach nieszczęśliwych kochanków i bez przerwy wciągając Stellę w rozmowę, wypił kieliszek koniaku, odebrał w kasie wygraną w wysokości dwudziestu trzech dolarów i wyszedł. Kątem oka zauważył, że tamten chłopak, który śledził go od samego rana, został w kasynie. To dobrze. A więc wszystko idzie zgodnie z planem. Teraz chłopak będzie szukał podejścia do krupierki i tamtych dwóch graczy, którzy siedzieli z Wiktorem przy jednym stole, zawrze z nimi znajomość i dowie się, o czym gadali. A oni zdradzą mu te wszystkie bzdury, którymi przez cały czas ich faszerował.

Jutro Julkę czeka kolejny egzamin, dziewczyna siedzi w domu i pilnie się uczy, więc Wiktor ma wolny wieczór. Może przystąpić do kolejnego etapu, póki nie ma w pobliżu anioła stróża, który jutro znowu się zjawi. Zanim to nastąpi, trzeba być w pełnej gotowości.

Niech żyje cywilizacja, która trafiła do rosyjskiej sfery usług! Teraz nie tylko krupierzy w kasynach, ale i kelnerzy w kawiarniach i restauracjach, a także sprzedawcy i kierownicy w sklepach mają przypięte do klapy kołnierza plakietki ze swoimi imionami. To znacznie upraszcza zadanie. O ósmej, godzinę przed zamknięciem, Wiktor zjawił się w GUM-ie[10]. Szybko obszedł parter najpierw trzecim, później drugim, później pierwszym pasażem, nie zobaczył jednak niczego odpowiedniego. Wszedł na piętro i niemal od razu trafił na to, czego szukał. Przez dziesięć minut omawiał z młodą ekspedientką zalety i wady dwóch różnych aktówek w czarnym i brązowym kolorze, wreszcie dokonał wyboru, opłacił zakup, uśmiechnął się czarująco, przedstawił się jako kolega ze sfery usług, podał swoje imię – Edik, powiedział, że jest kelnerem w restauracji w hotelu resortowym, i poprosił o pozwolenie pocałowania rączki. W efekcie tych niewymyślnych zabiegów ekspedientka chętnie się zgodziła, żeby odprowadził ją do domu, a później, gdzieś w Tiołym Staniu, obiecała, że zje z nim obiad jutro.

Jutro Wiktor podsunie im tę sympatyczną ekspedientkę. Podczas gdy oni będą się nią zajmować, on przygotowuje następny akt przedstawienia. Ach, co to będzie za przedstawienie! Jest reżyser, są aktorzy, są nawet producenci, nie ma tylko widzów. A raczej są, ale

nawet nie podejrzewają, że są widzami. Uważają się za aktorów. Albo dyrygentów.



Siergiej Zarubin stał na ulicy, jadł lody i w zamyśleniu przyglądał się otaczającym budynkom. Właśnie tutaj, jeśli wierzyć aktorce z Mińska, do samochodu ekipy filmowej wsiadła Jana Nilska. Skrupulatny Siergiej parę razy ją pytał, czy jest pewna, że Janę zabrano akurat tutaj, aktorka zaś oznajmiła, że nie mogła się pomylić, ponieważ w tym miejscu jest jej ulubiony sklep obuwniczy Salamandra, w którym kupuje sobie buty za każdym razem, gdy przyjeżdża do Moskwy. Miejsce jest dobre, bo dużo w nim innych sklepów. Na przykład Kalinka Stockman, różne butikiki, restauracje, bary, irlandzki pub. Ale główna zaleta tego miejsca polega na tym, że do domu Natalii Woronowej jest o rzut kamieniem. Trzy minuty wolnym krokiem. Czyżby Jana Nilska rzeczywiście nawiązała sekretny romans z mężem Woronowej? To możliwe, bardzo możliwe...

Siergiej dokończył lody, przeszedł na drugą stronę i skrył się w metrze. Drugie miejsce, wskazane już przez innego aktora, znajdowało się na prospekcje Mira, między stacją metra a restauracją Kaukaska Branka. Tutaj Zarubin znowu kupił lody, które mógł jeść przez okrągłą dobę, nieśpiesznie się rozejrzał, planując obchód obiektów. Sklepy, restauracje i kawiarnie, bary, salony fryzjerskie. Dom mody Sławy Zajcewa. Co tutaj robiła Jana? Albo spotkała się z kochankiem w czymś mieszkaniu, albo siedziała z nim w restauracji lub barze, albo chodziła po sklepach i coś wybierała czy nawet kupowała. Trzeba się dowiedzieć, czy u Nilskich, a przede wszystkim u Jany, nie pojawiły się jakieś nowe rzeczy podczas pobytu w Moskwie, a jeśli się pojawiły, to gdzie zostały kupione i ile kosztowały. Jeśli kochanek robił Janie prezenty, to co z nimi zrobiła? Musiała je przynieść do domu. To mało prawdopodobne, żeby przy stosunkowo skromnym życiu, które Nilscy prowadzili w Moskwie, Jana mogła sobie pozwolić na sprawunki w butikach. Innymi słowy, jeśli przynosiła do domu drogi

zakup, to teoretycznie rzecz biorąc, powinna była skłamać i pomniejszyć jego wartość z dziesięć albo i dwadzieścia razy.

Siergiej nie namierzy jednak na poczekaniu mieszkania, w którym odbywały się intymne schadzki. Postanowił więc zacząć od restauracji. Półtorej albo dwie godziny w zupełności wystarczy, żeby bez pośpiechu zjeść obiad w miłej atmosferze. Ma zdjęcie Jany, więc może dokończyć smaczne lody orzechowe i przystąpić do ataku. Jedyna trudność pojawi się wtedy, gdy się okaże, że mężczyzna, z którym Jana się spotykała, jest stałym klientem lokalu. Wówczas niczego mu nie powiedzą, a na dodatek od razu mu doniosą. Ale Zarubin wiedział, jak pokonywać tego rodzaju trudności. Jak? Sposób był bardzo prosty. Trzeba wiedzieć, kogo pytać. Właściciel lokalu nie piśnie słówka, rzecz jasna, ma „opiekuna” i jest od niego całkowicie zależny. Starszy kierownik – podobnie. Starszy kelner – też. Ochroniarz – ta sama historia. Sierioża jest prostym i zwyczajnym chłopakiem, lubi rozmawiać z ludźmi takimi samymi jak on. I co najdziwniejsze – oni też lubią z nim rozmawiać. Zwłaszcza kobiety. A szczególnie te, które nie wylewają za kołnierz. Wręcz go uwielbiają.

Pięć godzin później, podczas których Zarubin chyba sto razy wyjmował i pokazywał zdjęcie Jany Nilskiej, udało się ustalić, że poszukiwana młoda kobieta w interesującym Siergieja czasie siedziała w restauracyjce, noszącej dumną nazwę gospody, w towarzystwie solidnego mężczyzny na oko pięćdziesięcioletniego, postawnego, okazałego i niebiednego. Mężczyzna zostawił spory napiwek i nie pożałował jałmużny dla okolicznej żebraczki, która wciąż się kręciła koło gospody i chętnie zrelacjonowała młodemu detektywowi gorzkie perypetie swojego, a także cudzego życia.

Rysopis towarzysza Jany tak bardzo przypominał męża Natalii Woronowej, że Zarubin skrzywił się, jakby jadł cytrynę. No dlaczego te prowincjuszki tak szybko niszczą wszystko? Tyle jest w Moskwie mądrych, uroczych i pod każdym względem wspaniałych dziewcząt, które całymi latami nie potrafią ułożyć sobie życia: nie dość, że nie mogą wyjść za mąż, to jeszcze nie są w stanie znaleźć sobie choćby tymczasowego kochanka. A ta, proszę, ledwie zjawiała się w stolicy – i już sprawiła sobie miłego przyjaciela. No jak im się to udaje, co?

[10] GUM (Gosudarstwiennyj uniwersalnyj magazin) – Państwowy Dom Towarowy.



## Rozdział 8

Irina dygotała w doszczętnie przemoczonym ubraniu. Dzisiaj od rana kręcono sceny z deszczem, polewaczka pracowała jak się patrzy, mokre ubranie kleiło się do ciała i wywoływało nieustanne dreszcze. Taką cenę płacą aktorzy występujący w filmie. Scenariusz rzadko pokrywa się z kalendarzem, a harmonogram zdjęć – jeszcze rzadziej. Ira dobrze pamiętała, jak w lutym kręcili letnią scenę, w której bohaterowie musieli prowadzić długą, poważną rozmowę na klatce schodowej. Na ulicy minus dwanaście stopni, na klatce – prawie tyle samo, a aktorzy stoją w dżinsach i koszulkach z krótkimi rękawami. Charakteryzatorzy zamaskowali jakoś zsiniałe i pokryte gęsią skórką ręce, ale co zrobić z parą wydobywającą się z ust przy każdym słowie? Reżyser nakazał obu uczestnikom epizodu palić papierosy, by dym tytoniowy zakamufłował parę. Jak to się mówi, bieda uczy rozumu. Scena była długa i trudna, zrobiono sześć czy siedem dubli. Pod koniec zdjęć Irę rozboleł żołądek i dostała zawrotów głowy od ciągłego palenia. Pod wieczór skoczyła jej temperatura i zatkało nos, w nocy okropnie rozboleła ją gardło, rano zaczęło kłuć w klatce piersiowej. Ale kogo to interesuje? Musiała jechać na zdjęcia – i pojechała, zabierając ze sobą razem z temperaturą, katarem i kaszlem kosmetyczkę okazałych rozmiarów z kroplami do nosa, tabletkami przeciwkaszlowymi i preparatami obniżającymi temperaturę. I nie był to jedyny taki przypadek, podobne rzeczy zdarzają się na okrągło. Szczególnie przykro jest wtedy, gdy sceny są kręcone nad jeziorem, a na zewnątrz jest kwiecień albo listopad. Można mówić o dużym szczęściu, jeśli trzeba wejść do wody po kostki lub w najgorszym razie po kolana. A jeśli trzeba się kąpać? Wtedy choroba jest nieunikniona, nie mówiąc już o tym, że to wątpliwa przyjemność! Jeśli aktor chce grać, nie bierze zwolnień

lekarskich i starannie ukrywa wszelkie dolegliwości, żeby reżyserzy nie bali się zatrudniać go w swoich filmach. No bo przydzielą rolę komuś słabego zdrowia, a on później zrujnuje cały harmonogram zdjęć ciągłymi niedomaganiem. Aktorzy zawsze pracują do upadłego, wszyscy to wiedzą – i w teatrze, i w filmie.

Dzisiaj zdjęcia szły opornie. Oprócz Iry Sawienicz w scenie brali udział jeszcze dwaj aktorzy, z których jeden był starszy i doświadczony, a drugi uczył się w szkole studyjnej MCHAT-u[11] i dostał rolę nie tyle ze względu na talent, ile za powierzchowność – idealnie pasował wyglądem. Student strasznie się denerwował, po raz pierwszy grał w filmie, w dodatku miał niewielkie doświadczenie sceniczne, no i wszystko robił nie tak. Ira widziała, że Natalia powoli traci cierpliwość, ale panuje nad sobą, nie ma wyjścia, epizod trzeba nakręcić. Dwaj pozostali aktorzy, przemoczeni do suchej nitki pod strumieniami polewaczki, też będą musieli cierpieć, drząc z zimna i marząc o przebraniu się w suche rzeczy i o wsunięciu się pod ciepły koc.

Podszedł Rusłan, podał Irze kubek z gorącą herbatą.

– Dziękuję – mruknęła z wdzięcznością. – A gdzie twoja ślicznotka? Coś jej nie widzę.

Trudno powiedzieć, żeby to pytanie poważnie nurtowało Irę, zapytała jedynie z grzeczności. Wszyscy nocowali u Woronowej i rano udali się razem na zdjęcia – Natalia, Ira i Rusłan z żoną. Jana najpierw siedziała sama na skwerze, jak poprzedniego dnia, ale już od jakiegoś czasu Ira nie widziała jej tam, ławka była pusta.

– Andriej Konstantinowicz ją zabrał – oznajmił Rusłan.

– Gdzie?

– Właściwie nie wiem... Gdzieś. Przyjechał samochodem, porozmawiał z Natalią Aleksandrowną, później z Janą, później ze mną. Że niby po co Jana ma tutaj siedzieć i się nudzić, lepiej niech jedzie z nim i się rozerwie. No to pojechała.

Ani z twarzy, ani z głosu Rusłana Ira nie mogła wyczytać, czy podoba mu się ta sytuacja. Rusłan, zazwyczaj ożywiony i energiczny, po powrocie żony w jednej chwili przygasł i jak gdyby utracił zainteresowanie życiem.

– Rusłan, u ciebie wszystko w porządku? – zapytała Irina troskliwie.

– Tak – odparł z roztargnieniem.

– Moim zdaniem kłamiesz. Przecież widzę, że coś się z tobą dzieje.

– Nic się nie dzieje, wszystko w porządku. Niepotrzebnie się niepokoisz.

W jego głosie nie było ani zdenerwowania, ani irytacji, pojawiających się zawsze, gdy porusza się temat, którego rozmówca nie chce omawiać, a tym bardziej rozwijać. Miarowy, spokojny głos, zupełnie pozbawiony emocji. To właśnie niepokoiło Irę najbardziej. Było zupełnie niepodobne do Rusłana... Może jest zazdrosny o Ganielina? Myśl pojawiła się nagle, zrodziła się znikąd, więc w pierwszej chwili Ira aż się zachnęła: jak może tak myśleć? Ani Janka, ani Andriej Konstantinowicz nie dawali najmniejszego powodu do zazdrości. Andriej kocha Natalię, jest to tak oczywiste dla wszystkich, że nie ma o czym mówić. A Janka... No właśnie, a Janka? Przecież Ira sama niedawno utwierdziła się w przekonaniu, że Jana Nilska traktuje męża nie tak ciepło i czule, jak można by tego oczekiwać. Mój Boże, czyżby zagięła parol na męża Natalii i postawiła sobie za cel omotać go, rozwieść z żoną i wyjść za niego? Z biednej prowincjuszki stać się moskwianką, żoną zamożnego biznesmena? Rano pewnie mu się poskarżyła i narzekała, że chce do domu, bo tu, po pierwsze, boi się po tym, co się wydarzyło, a po drugie, nudzi się. No i Andriej Konstantinowicz, dobra dusza, postanowił pomóc Natalii, wyciągnąć Janę z depresji, rozweselić, zająć czymś, żeby zrezygnowała ze swojego głupiego pomysłu powrotu do Kemerowa i nie przeszkadzała Natalii spokojnie kręcić filmu. Natalia potrzebuje Rusłana, a Janka żąda, by wyjechał razem z nią. Dziewczyna tak się teraz boi, że potrzebuje obrońcy. I tutaj, i w domu, i w Kemerowie. Andriej Konstantinowicz robi to, oczywiście, ze względu na żonę, Ira nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ale doskonale wie, czym mogą się skończyć takie dobre chęci, którymi, jak wiadomo, piekło jest wybrukowane. Chcesz zdobyć mężczyznę, pozwól mu sobie pomóc – każda początkująca kokietka zna tę prostą zasadę.

– Dobrze, jak nie chcesz mówić, to nie trzeba – powiedziała gniewnie. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Wybacz, Iriszo, ale naprawdę nie mam nic do powiedzenia.

Irina zauważyła, że Natalia skończyła rozmawiać z młodym aktorem, a więc zaraz jej kolej, żeby znowu moknąć na planie. O Boże, pewnie dziś wieczorem Natalia poprosi Rusłana, by się zastanowił nad wyrzuceniem ze scenariusza pozostałych epizodów z tym bohaterem. Nie zniesie więcej takich zdjęć. Szczerze mówiąc, Ira też.

– Ira! – Dobiegło ją wołanie. – Chodź, praca czeka.

Szybko dopiła herbatę i ruszyła w stronę kamery. Wreszcie wszystko się skończyło. Ira szybko wpadła do autobusu, przebrała się i zamierzała zabrać się do suszenia włosów, ale uznała, że najpierw zobaczy, kto do niej dzwonił. Na ekranie komórki widniała informacja: „nieodebranych połączeń – 6”. Przejrzała numery telefonów, z których do niej dzwoniło. Trzy numery były nieznane, jeden należał do starszej siostry Natalii Woronowej – widocznie szukała Natalki, nie dodzwoniła się i postanowiła zasięgnąć języka u Iry. Nic z tego. Ira jej nie znosi i dobrze wie, że owa paniusia szuka Natalii tylko wtedy, gdy chce zażądać kolejnego wsparcia, finansowego albo organizacyjnego. Następne dwa numery były numerami przyjaciółek, Ira oddzwoni do nich po powrocie do domu. Z trzech nieznanych numerów jeden wydał jej się dziwnie znajomy. Zaczynał się od 200, co samo w sobie było wielką rzadkością. W dodatku Ira pamiętała, że całkiem niedawno zapisywała ten numer i zwróciła uwagę właśnie na pierwsze cyfry. Ale po co zapisywała?

Wyjrzała przez okno autobusu i odszukała wzrokiem kierownika produkcji Siemiona Musatowa. Oto kogo musi zapytać, Sienia wie wszystko.

– Sienia! – Ira przyzywająco pomachała ręką, żeby kierownik podszedł bliżej. – Sienia, telefony zaczynające się na 200, jaka to dzielnica Moskwy?

– To nie dzielnica – rzucił w biegu Musatow, który udawał się gdzieś w niewiadomą dal. – To Pietrowka. Inaczej mówiąc, milicja.

No oczywiście! Oczywiście, że Pietrowka. Ira zapisała ten telefon wczoraj, gdy się żegnała z Jurijem. Uśmiechnęła się radośnie, po czym od razu oddzwoniła. Tak, wszystko w porządku, nocowali u Woronowej. Tak, nie odbierała, bo trwały zdjęcia, ale teraz jest wolna i zamierza jechać do domu. Naturalnie, że będzie jej miło go widzieć. Oczywiście, prosto do domu. Nie, nie warto, zdjęcia kręcili w deszczu, więc przemokła i zmarzła. Najbardziej na świecie pragnie znaleźć się w domu w ciepłej i suchej kuchni i zjeść kolację, zawinięta w ciepły, puszysty szlafrok. Nie, nie, niech się nie martwi, nic nie musi przywozić, ona ma wszystko.

Znakomicie, myślała Irina, podsuwając wilgotne, gęste włosy pod strumień gorącego powietrza z suszarki. Korotkow to sympatyczny facet, jest więc szansa, że wieczór w jego towarzystwie okaże się znacznie przyjemniejszy niż dzisiejszy dzień zdjęciowy.

Mówiąc, że ma wszystko, mocno przesadziła. W domu nie było prawie żadnej żywności, parę dni spędziła przecież u Rusłana, a wczoraj, po powrocie Jany, wpadła do domu się przebrać i pojechała do Mosfilmu na kolejne zdjęcia, później szybko pobiegła do najbliższego sklepu i kupiła to, co jej wpadło w rękę, byle tylko nie umrzeć z głodu. Raczej nie wierzyła w to, że Korotkow zrealizuje swój zamiar i przyjedzie, więc gdy się jednak zjawił wczoraj wieczorem, zjedli razem wszystko, co kupiła. Dlatego teraz lodówka w mieszkaniu Iry Sawienicz wytrwale chłodziła pustkę, przyozdobioną małym słoiczkiem dżemu z czarnych jagód, który dzielił swoją samotność z saszetką majonezu.

W drodze do domu Ira zahaczyła o Ramstor i załadowała żywnością cały wózek. Zawsze dopisywał jej apetyt, który zwykle rósł pod koniec dnia, toteż w walce o talię przeważnie przegrywała. Zakupy w wózku wyraźnie świadczyły o próbach osiągnięcia kompromisu: jednoprocentowy kefir i twarożki z zerową zawartością tłuszczu sąsiadowały z wędzonym wędzorem i roladą z kurczaka, pomidory, ogórki i sałata – z ziemniakami, a niskokaloryczny chleb żytni – z pokrytym chrupiącą skórką niesłychanie smacznym tureckim chlebem pszennym i koszyczkami z kremem i owocami. W końcu jest co świętować: Janka się znalazła, Ira ma za sobą trudny dzień zdjęciowy, a w jej życiu osobistym chyba zarysowuje się kolejny

zakręt. Czy to nie powód, by urządzić uroczystą kolację? Ira gotuje doskonale, Natalia uczyła ją od dziecka, a później teściowa z drugiego małżeństwa szlifowała kulinarne nawyki synowej. Trzeba jednak przyznać, że Ira nieszczególnie lubi stać przy kuchence i dla siebie niezbyt się stara. Wyjątek stanowią okresy, gdy przechodzi na specjalne diety. Ale gdy pojawiają się goście, zawsze jest gotowa się popisać.

Starła się nie bez powodu, Korotkow docenił jej wysiłki i nie mógł się nachwalić każdego ze stojących na stole dań.

– Sprawiasz wrażenie, jakby twoja znajoma cię głodziła – zauważyła Ira z kpina, obserwując, jak Jura pałaszuje duszoną baraninę.

– Jaka znajoma?

– Ta, u której się zatrzymałeś. Czyżby cię w ogóle nie karmiła?

– Karmi, jak potrafi. To wspaniała kobieta, ale gospodyni z niej marna, niestety. Kanapki to wszystko, z czym sobie radzi. Chociaż teraz poszła po rozum do głowy i uczy się gotować.

– I co? Jak jej idzie? – zainteresowała się Ira.

– Dobrze. W sumie jest bardzo zdolna, tyle że strasznie leniwa. Gdy jednak się do czegoś zabierze, to wszystko jej wychodzi. Dzisiaj rano na przykład zrobiła mi bardzo smaczny omlet.

– Ojej. – Ira się roześmiała. – Co za sukces! Przygotowanie omletu to wyższa szkoła jazdy, nie każdemu dana jest ta umiejętność. A co jeszcze potrafi?

– Uczyła się robić pierożki z ciasta francuskiego. Muszę ci powiedzieć, że były smaczne, zjadłem prawie wszystkie, nawet jej nic nie zostawiłem.

– Kanapki, omlet i pierożki to przyzwoite menu. I to wszystko? Czy takie kobiety znajdują sobie mężów?

– Wyobraź sobie, że jej się udało. Inna nic by nie osiągnęła, rzecz jasna, ale jej się udało. Mówię przecież, że jest zdolna i jeśli się do czegoś zabiera, to świetnie sobie radzi.

– Pewnie jest ładna? – zapytała Ira zazdrośnie.

– Kto? Ona? Kwestia gustu. Mężowi się podoba, a reszta facetów niewiele ją obchodzi. Ale czemu wciąż rozmawiamy o niej? Powiedz mi lepiej, co się tam u was wydarzyło wczoraj wieczorem. Co mówią Nilscy? Mają jakieś podejrzenia?

No i proszę, tak przypuszczała! Ten detektyw przyjeżdża do niej nie z romantycznych pobudek, lecz po to, żeby węszyć i wypytywać o Rusłana i Janę. Może powinna się obrazić?

– Tylko po to do mnie przyjechałeś?

– Skądże, Iroczo. – Korotkow popatrzył na nią łagodnie. – Gdybyś nie znała Nilskich, też bym przyjechał. Ale jestem detektywem, zbieranie informacji to moja praca, rozumiesz? Mój obowiązek służbowy. Szefostwo nie pyta, czy starcza mi czasu na ich zbieranie, żąda wyników. Dlatego gdybyś nie znała Nilskich, wiesz, co by się stało?

– Co?

– Umówiłbym się z tobą i zaproponował, żebyś pojechała ze mną do osób, które znają Rusłana i Janę. Rozmawiałbym z nimi, a ty byś na mnie czekała. Chciałbym być z tobą, ale jednocześnie musiałbym pracować. Dlatego mogę się tylko cieszyć, że mam teraz sposobność połączyć obie te rzeczy.

To uspokoiło Irę, argumenty Korotkowa wydały jej się przekonujące, po kilku latach wspólnego życia ze śledczym Igorem Maszczenką zaczęła rozumieć to i owo z milicyjnej codzienności. Przy herbacie i ciastkach rzetelnie streściła Jurijowi wszystkie wydarzenia i rozmowy, do których doszło wczoraj wieczorem i dzisiaj.

– A więc Ganielin zabrał Janę, żeby się oderwała od swoich myśli – podsumował Korotkow, nie wiedząc czemu zafrasowany. – I co, udało się? Nie wiesz?

– Nie. – Ira wzruszyła ramionami. – Skończyłam zdjęcia i koło szóstej pojechałam do domu, a Natalia i Rusłan zostali jeszcze na planie, dzisiaj mają zdjęcia do ósmej.

– To znaczy, że koło jedenastej rano Ganielin zabrał Janę i do szóstej wieczorem jeszcze nie wrócili? – sprecyzował Jurij.

– No tak. Ale możliwe, że odwiózł ją prosto do domu. Dzisiaj Nilscy znowu będą u nich nocować.

– Ciekawe, jak długo to jeszcze potrwa? Czyżby przeprowadzili się tam na stałe?

– Ojej, Jura, kto by za nimi nadażył! – Ira zniecierpliwionym gestem odsunęła porcelanową cukierniczkę na środek stołu. – Raz nie mogą wytrzymać w tamtym mieszkaniu, innym razem Janka

upiera się, że w ogóle nie chce zostać w Moskwie. Wczoraj dostała ataku hysterii, zabierz mnie do domu i koniec! A dzisiaj jakby przycichła. Może naprawdę Andriejowi Konstantinowiczowi uda się ją uspokoić, żeby nie przeszkadzała Rusłanowi. Rusłan jest teraz bardzo potrzebny Natalii. Chyba będą musieli znacznie skrócić scenariusz, a ona nie chce tego robić bez niego.

– A dlaczego trzeba skracać scenariusz?

– Pieniądze, Jura. Zawsze i we wszystkim pieniądze. Wiesz przecież, że serial kręcony jest za pieniądze Ganielina, on zaś ma teraz jakieś kłopoty finansowe. Początkowo obiecał jej dwa miliony dolarów, a teraz się okazuje, że nie jest pewien, czy uda mu się tyle wyłożyć. Wczoraj powiedział o tym Natalii, a ona postanowiła ograniczyć wydatki na zdjęcia, żeby zmieścić się w kwocie, którą on może jej zagwarantować. Masz pojęcie, Jura, jaka to odpowiedzialna chwila? Trzeba przerobić scenariusz, Natalia potrzebuje teraz autora powieści jak powietrza, sama nie poradzi sobie z takim nawałem pracy. Zatrudnianie innych scenarzystów to dodatkowe wydatki, na które nie może sobie pozwolić. A to kapryśne dziewczątko o niczym nie chce wiedzieć i żąda, by Rusłan zabrał ją do Kemerowa i z nią został. No powiedz, jak to się nazywa?

– Moim zdaniem to mogą być następstwa przeżytego stresu – stwierdził ostrożnie Korotkow.

– A według mnie to egoizm i nieodpowiedzialność! – bez ogródek wypaliła Ira.

Przez jakiś czas pili herbatę w milczeniu, później Korotkow dotknął jej ręki.

– Iroczo, byłbym ci wdzięczny, gdybyś zadzwoniła teraz do Woronowej.

– W jakim celu?

– Zapytaj, co z Janą, jak minął jej dzień i czy się uspokoiła.

– A po co ci te informacje? – zdziwiła się Irina.

– Proszę – powtórzył z naciskiem. – Zadzwoń i zapytaj. A może wolisz pojechać do niej ze mną i posłuchać, jak będę zadawał te same pytania? Muszę to wiedzieć. I chcę być razem z tobą. Już ci tłumaczyłem.

Ira posłusznie wybrała numer. Ku jej zdziwieniu odebrał Rusłan.



– Jesteś sam? – zapytała ze zdumieniem.

– Sam.

– A gdzie wszyscy?

– Natalia Aleksandrowna pojechała do siostry. Alosza poszedł z dziewczyną na dyskotekę, dzisiaj zdał egzamin i świętuje.

– A gdzie Jana?

– Z Andriejem Konstantinowiczem.

– To znaczy, że do tej pory nie wrócili?

Ira nie wierzyła własnym uszom. Od jedenastej rano. A teraz jest już dziesiąta wieczór. Niezła wyprawa w celach rozrywkowych.

– Andriej Konstantinowicz dzwonił, uprzedził, żebyśmy się nie denerwowali, z nimi wszystko w porządku.

No pewnie, że w porządku. Kto by w to wątpił?! Ależ ta Janka to cwana manipulanka, przewraca okrągłymi oczkami, udaje niewiniątko, a tymczasem... Nie odpuści cudzemu mężowi. Andriej Konstantinowicz to przecież święty człowiek, niczego nie widzi, nie dostrzega sztuczek Janki, traktuje ją jak dziecko, które zostało niesłusznie skrzywdzone i które trzeba koniecznie rozweselić, żeby nie płakało. I nie zauważa, że jak posłuszny byczek na sznurku zmierza prosto w przepaść.

Ira tak się zdenerwowała, że nawet nie potrafiła tego ukryć.

– Co ci jest? – zdziwił się Korotkow. – Wyglądasz, jakbyś się miała rozpłakać. Dlaczego? Powiedziałem coś nie tak? Może coś zrobiłem? Obraziłem cię?

– Nie, nie. – Pośpiesznie przywołała na twarz wyraz błogiego spokoju. – To nie przez ciebie. Nie podoba mi się to wszystko.

– Co konkretnie? – Jego głos od razu stwardniał i nabrał służbistego tonu.

– No... Janka i cała reszta... Jura, nie myśl, że lubię plotkować, zresztą ja też nie jestem wzorem moralności! Ale sztuczki Janki wyprowadzają mnie z równowagi! Jeszcze wczoraj była taka nieszczęśliwa, taka przybita, z nikim nie rozmawiała, niczego nie chciała prócz jednego: wrócić do Kemerowa. A dzisiaj? Cały dzień spędza w towarzystwie cudzego męża, który jest dla niej zupełnie obcy, widziała go zaledwie kilka razy. I nie dość, że spędza z nim cały dzień, to jeszcze nie śpieszy się do domu. To znaczy, że z nim ma

o czym rozmawiać? Dla własnego męża nie potrafiła znaleźć słów, ale dla cudzego znalazła, tak? Gdy była z Rusłanem, miała zły humor, a w obecności obcego mężczyzny humor jej się poprawił?

– Różne rzeczy się zdarzają – zauważył Jurij spokojnie. – Może znalazła słowa dla obcego mężczyzny i odprężyła się w jego towarzystwie. Dlaczego jesteś taka poruszona?

– Dlatego.

Przez chwilę Irina milczała, próbując wziąć się w garść.

– Jura, moje życie to długa historia, teraz nie pora, by je roztrząsać. Ale mogę ci powiedzieć jedno: nikomu nie pozwolę skrzywdzić Natalii. Nikomu, rozumiesz? Jeśli coś będzie zagrażało jej szczęściu i spokojowi, nic mnie nie powstrzyma. Bardzo mi się nie podoba to, co się dzieje między Janką a Andriejem Konstantinowiczem.

– Iroczo, ale co takiego szczególnego się dzieje? Z tego, co mi powiedziałaś, nic nie wynika. No dobrze, spędzili razem dzień, i co? Chyba że nie wszystko mi powiedziałaś.

– Wszystko, powiedziałam wszystko! Ale doskonale wiem, w co później się zamieniają te na pierwszy rzut oka niewinne dni spędzone razem. Doskonale wiem! I wiem, czym to się kończy dla żon.

– Dobrze, nie gorączkuj się. – Spojrzenie Korotkowa znowu stało się łagodne i ciepłe. – Zapomnij o tym. W końcu mamy randkę, prawda?

– Prawda. – Ira się uśmiechnęła.

– I pozwolisz mi zostać do rana?

– Pozwolę.

Znowu się uśmiechnęła, tym razem do swoich wspomnień. Minął niewiele ponad rok od chwili, gdy rozstała się z mężczyzną, którego kochała. Szłochała na ramieniu Natalii i nie potrafiła wyobrazić sobie, jak teraz będzie żyć, bo nigdy nie zdoła przestać go kochać i zbliżyć się do kogoś innego. Niewiele ponad rok. I co? Pozwala zostać na noc mężczyźnie, którego ledwie zna. I robi to nie z rozpaczy, nie dlatego, że jest w kiepskim nastroju, nie z chęci, żeby komuś dokuczyć albo coś udowodnić, ale po prostu dlatego, że sama tego chce. Mądra Natalka jeszcze wtedy, rok temu, przewidziała, że

tak właśnie będzie, a zakochana i zrozpaczona Ira jej nie wierzyła. Okazało się, że Natałka znowu miała rację.



W sobotę, szesnastego czerwca, wreszcie przestało lać i oba dni wolne były ciepłe i słoneczne. Irek odetchnął z ulgą. Nienawidził deszczu. Głównie dlatego, że musiał chodzić z parasolem, a nie cierpiał mieć zajętych rąk. Najlepiej się czuł, gdy mógł wsunąć ręce do kieszeni kurtki. Mimo że nie urodził się i nie wyrósł w tropikach, z jakiegoś powodu lubił upał i dobrze go znosił. Dlatego nawet latem, gdy powietrze rozgrzewało się niekiedy do trzydziestu stopni, nosił lekkie, cienkie kurtki, krótkie, ale koniecznie z kieszeniami.

W Moskwie czekało go niełatwe zadanie. Szef sprawdził swoimi kanałami dane z dowodów osobistych wszystkich pasażerów płci męskiej, którzy odlecieli do Moskwy trzydziestego pierwszego maja po dwunastej, i okazało się, że jest trzech podejrzanych, wyglądem i wiekiem pasujących do roli Jurki Simonowa. Pełnomocnik, dając Irkowi zadanie, żeby się dowiedział wszystkiego o tamtych trzech pasażerach, kazał się zwrócić o pomoc do Gogi Suchumskiego. Że niby Goga siedzi w Moskwie, lepiej zna warunki, da swoich chłopaków, przecież wiadomo, że Irek nie zdoła sam upilnować trzech figurantów. Gdy jednak Szania, ojciec Irka, usłyszał o Godze Suchumskim, wpadł we wściekłość i jak najsurowiej zabronił synowi się z nim kontaktować. Nazwał go suką. Irek niezbyt dobrze orientował się w bandyckich prawach, owszem, znał podstawy, ale żeby rozumieć dogłębnie, sercem – to nie. Suka to ten, który okrada swoich, tyle wiedział. Co jednak wydarzyło się z Gogą i dlaczego tato go nienawidzi, pozostawało dla niego zagadką. Zresztą trudno to nazwać zagadką, zagadka ma rozwiązanie, a tutaj? Wrócenie z fusów i tyle. Albo trzeba wiedzieć na pewno, albo wyrzucić z głowy i zapomnieć. Irek wybrał to drugie. Przyjął do wiadomości, że tato nienawidzi Gogi, i uznał, że jeśli wykona polecenie Pełnomocnika i zwróci się do Gogi o pomoc, tato go wykończy. Tak zwyczajnie, bez słów. Teraz musiał postanowić, kogo bać się bardziej: taty czy Pełnomocnika. Tato jest mu bliższy, rzecz jasna, w ich żyłach płynie

ta sama krew, ale Pełnomocnik stoi wyżej, patrzy dalej i wie więcej. Jeśli Irek nie posłucha taty, to może nigdy się nie dowie, a jeśli postawi się Pełnomocnikowi, będzie miał marne szanse, żeby przeżyć. Wszyscy wiedzą, że Pełnomocnik nie wybacza braku subordynacji i lojalności.

Irek poszedł najłatwiejszą drogą – zdradził tatę. Zwrócił się do Pełnomocnika i wzdychając gorzko, poinformował go o swoim problemie.

– Dobrze, że mi powiedziałeś. – Pełnomocnik kiwnął głową z aprobatą. – Nie wiedziałem, że Szania ma problemy z Gogą. No cóż... Szania nie jest, oczywiście, prawdziwym mafiosem. Prawdziwy mafioso nie powinien mieć rodziny, a on nie potrafił zrezygnować z ciebie. Wiem, że próbował, że odszedł od rodziny. Nie wrócił do twojej matki. Ale z tobą nie potrafił się rozstać. Dlatego odmówiono mu koronacji. Jest jednak oddany naszej sprawie, to uczciwy mafioso, dlatego chcę uszanować jego uczucia. Skoro ma pretensje do Gogi Suchumskiego, wezmę to pod uwagę. W Moskwie pójdziesz do Zachara, uprzedzę go, on ci pomoże.

Irek westchnął z ulgą i uznał, że wszystkie kłopoty ma za sobą. W dodatku gdy wymienił imię Zachara przy tacie, ten nie powiedział złego słowa, tylko uśmiechnął się lekko. Ale nie wszystko przebiegło gładko. Zanim Irek przyjechał do Moskwy i stanął przed obliczem Zachara, tamtemu jakimś cudem zdążono donieść, że na początku zamierzano poprosić o pomoc Gogę Suchumskiego. Zachar poczuł się urażony, odsunięto go i uczyniono numerem drugim, miał być wyjściem zapasowym. I kto to zrobił? Pełnomocnik! Facet z wygórowanym mniemaniem o sobie! Zachar nie ośmielił się jednak pozostawić bez pomocy człowieka, którego po nią przysłano. Przestępcza ferajna jest potężna, obraca takimi informacjami, że milicja może odpoczywać. Jutro wszyscy się dowiedzą, że mafioso Zachar nie udzielił pomocy drugiemu mafiosowi. Dlatego Zachar nie odmówił wprost, wręcz przeciwnie, Irek poprosił o trzech ludzi, a on dał sześciu. Tyle że samych tępaków. Rozmawiają tylko za pomocą gestów, udają macho, rozjeżdżają się dżipami, a pożytku z nich tyle, co kot napłakał. Figuranci raczej nie są bandytami, to znaczy chodzą do przyzwoitych miejsc i rozmawiają z cywilizowanymi

ludźmi. Żeby zebrać informacje na ich temat, trzeba wyglądać podobnie. No a jak wyglądają te przygłupy? Nikt nie będzie z nimi rozmawiał. Przecież nie zdołają ani sformułować pytania, ani zrozumieć odpowiedzi.

Irek przemęczył się z nimi kilka dni, później nie wytrzymał i zadzwonił do Pełnomocnika. Widocznie już mu doniesiono, że Zachar jest niezadowolony, bo telefon Irka wcale go nie zdziwił.

– Odeślij ich. Nie zapomnij stawić się u Zachara osobiście i mu podziękować. I niech ci nie przyjdzie do głowy powiedzieć, że jesteś niezadowolony z jego osiłków. Zradziłeś mu, do jakiego zadania potrzebujesz pomagierów?

– Nie, przecież pan nie kazał.

– I słusznie. On dał ci osiłków, bo myślał, że zamierzasz się z kimś porachować. Niech tak myśli. A to, że się z nikim nie porachowałeś, wytłumacz tym, że potrzeba zniknęła, bo przyszedł rozkaz „wróć”. Jak będziesz u Zachara, to mu podziękuj i go pozdrów. Sam zrobię z nim porządek.

– A co ze mną? Do kogo mam iść?

– Posłuchaj... – Pełnomocnik zrobił przerwę. – Nie musisz nic robić, zbierz tylko informacje. Sam je przeanalizuję i wyciągnę wnioski. Nigdzie się nie śpieszymy, czekaliśmy tyle czasu, zaczekamy jeszcze. Spróbuj popracować sam. Jak będzie trudno, pomyślimy, jak ci pomóc. Informacje już wyciekły od Gogi i Zachara. Jeśli pójdziesz do kogoś innego, będzie jeszcze gorzej. Zrozumiałeś?

Irek zrozumiał. Ambicje Szani doprowadziły do tego, że teraz będzie musiał pracować w pojedynkę. Kto wie, może to i lepiej. Przecież w zakres jego zadania nie wchodzi całodobowe śledzenie obiektów. Musi ich tylko namierzyć, pochodzić za nimi, popatrzeć, jak żyją, czym się zajmują, czym oddychają, jak chodzą i w ogóle się poruszają. Posłuchać, jak mówią. I o czym. Ustalić, co robili wcześniej, gdzie mieszkali, z kim spędzali dni. Po co polecili niedawno do Kemerowa. I to wszystko. Z tym sobie poradzi, zwłaszcza że Pełnomocnik powiedział: nie ma pośpiechu. Liczy się efekt. Simonow jest potrzebny żywy, a nie martwy, dlatego Pełnomocnik nie wydał polecenia, by za wiele nie mędrkować, zabić

wszystkich trzech i się nie wysilać. Zabić można, ale kto wtedy zwróci pieniądze?

Irek poszedł do Zachara, długo dziękował za jego uczynność, życzył, jak wypadało, wszystkiego najlepszego i odwoływał się do otrzymanego „z góry” polecenia, by przerwać wykonanie zadania. Zachar uśmiechał się i kiwał głową protekcyjnie, a na koniec łaskawie zaproponował, by „zwracać się w razie czego”.

Irek zaczął pracować sam. Udał się pod wszystkie trzy adresy – przynajmniej tutaj Zachar okazał się pożyteczny, na podstawie nazwisk i numerów dowodów osobistych pomógł ustalić miejsce zameldowania właścicieli. Okazało się, że z trzech figurantów tylko jeden mieszkał tam, gdzie był zameldowany. Pozostali dwaj mieszkali w innych miejscach, więc Irek postanowił zająć się najpierw nimi. Ten, którego już znalazł, nigdzie teraz nie ucieknie, adres jest znany, a innych trzeba jeszcze szukać.

Poszukiwania zabrały trochę czasu. Wreszcie pojawiły się pierwsze wyniki. Jeden obiekt, Eduard Olegowicz Gusarczenko, był kelnerem w jakiejś restauracji, w jakiej dokładnie – sąsiedzi nie wiedzieli. Irkowi nie udało się znaleźć przebojowego kelnera. Okazało się, że już od ponad miesiąca nie mieszka u siebie, raz na parę dni wpada na pół godzinki, coś przynosi, zabiera i wyjeżdża, zresztą przedtem też nie zjawiał się codziennie. To młody i przystojny facet, nie może się opędzić od dziewczyn, więc nocuje u swoich lasek, póki mu się nie znudzą. Jego ostatnia dziewczyna nazywa się Luba, to wiadomo z całą pewnością, ale trudno powiedzieć, gdzie mieszka. Jest śliczna jak malowanie! Edikowi również nic nie brakuje, włosy ciemnoblonde, oczy szare, ramiona szerokie.

Irek wiedział, że dobrze byłoby przejrzeć albumy rodzinne Edika Gusarczenki, lecz nie miał skąd ich wziąć. W mieszkaniu figurującym w jego adresie zameldowania kwaterują jacyś obcy ludzie, którym Edik je wynajmuje. Nie mają pojęcia, gdzie szukać jego rodziców albo krewnych. Wynajmują mieszkanie za ledwie od czterech miesięcy, zapłacili za rok z góry – takie było żądanie właściciela. Dlatego w najbliższym czasie nie planują żadnych spotkań z Edikiem. Sąsiedzi zaś nie potrafili powiedzieć nic konkretnego o kelnerze, bo kupił mieszkanie niedawno, kilka

miesiący temu, i niemal od razu zaczął je wynajmować. Wygląda na to, że ani w starym, ani w nowym miejscu pobytu Eduarda Olegowicza nie było nikogo, kto widziałby go rok albo dwa lata temu. Ten fakt nie spodobał się Irkowi.

Drugi obiekt wywarł na Irku wrażenie silne, a zarazem dziwne. Trzydziestopięcioletni (jeśli wierzyć dowodowi) tłumacz Gielij Grigorjewicz Riemis przyjechał do Moskwy niedawno, chyba znad Wołgi, z Wołgogradu czy z Astrachania. Ożenił się z moskwianką, po czym się przeprowadził. Z żoną mieszkał krótko, coś im się nie ułożyło, więc odszedł. Wynajmuje chatę na północy Moskwy, na samym obrzeżu, bo tam jest taniej. Irek pamiętał polecenie Pełnomocnika: zbierać informacje wyłącznie okreśną drogą, nie pytać o nic ani obiektu, ani jego bliskich. I w ogóle trzymać się od nich z daleka. Ten, który się okaże Simonowem, ma się na baczności, nie wolno go spłoszyć. Dlatego Irek nie chciał zawierać znajomości z mieszkającą w miejscu zameldowania Riemisa kobietą, z którą figurant się ożenił. Z wielkim trudem odszukał Gielija Grigorjewicza na ulicy Wagonoremontnej, na której ten wynajmował małą kawalerkę. Przystojny, postawny młody mężczyzna wyglądał na nieszczęśliwego i przybitego, wciąż się za siebie oglądał i robił wrażenie chłopca, którego bez przerwy szykanują silniejsi koledzy z klasy. Ale najgorsze dla Irka było to, że Riemis chodził do cerkwi. Regularnie to mało powiedziane! Codziennie. Co tam robił – modlił się, rozmawiał z duchownym czy tylko stał, szukając ukojenia – nie wiadomo. Jednego razu Irek spróbował wejść za nim do środka, lecz nie wytrzymał i uciekł po kilku minutach. Czuł się niezręcznie w cerkwi – jakby jakaś siła wyganiała go na ulicę, na powietrze.

Z trzecim obiektem sprawa okazała się znacznie łatwiejsza. Według mężczyzn, których Irek spotkał na podwórzu domu, Wiktor Słucewicz był rdzennym moskwianinem, mimo że mieszkał tutaj od niedawna. Nic w tym jednak dziwnego. Teraz młodzi faceci rzadko tkwią w jednym miejscu. Odkąd odblokowano handel mieszkaniami, skaczą z chaty do chaty, a to kupią coś nowego, jeśli mają dużo pieniędzy, a to wynajmą mieszkanie w pobliżu pracy, a to przeprowadzą się na jakiś czas do swojej dziewczyny. Wiktor pracuje w nieruchomościach, całymi dniami biega po mieszkaniach, spotyka

się z klientami. Zamknięty w sobie, nie rozmawia z sąsiadami, nikogo nie odwiedza i nie zaprasza do siebie.

Ten ostatni wzbudził najwięcej podejrzeń w Irku. Rozrywkowy Edik jest nazbyt otwarty i towarzyski jak na osobę, która się ukrywa i żyje pod fałszywym nazwiskiem. Religijny tłumacz Riemis jest zbyt skromny i przygnębiony jak na szczęśliwego gracza i zabójcę. A Słucewicz pasuje idealnie.

Któregoś dnia Irek zaczął śledzić Słucewicza, gdy ten opuścił biuro po pracy. Obiekt udał się do kasyna, pograł tam jakąś godzinę i wyszedł. Ale Irek został. Zaczekał, aż Słucewicz zniknie z pola widzenia, po czym usiadł przy stoliku, przy którym grał. To, co usłyszał, sprawiło, że się zamyślił głęboko. Wiktor podał się tutaj za Edika i dał do zrozumienia, że spędził trzy lata w kolonii karnej. Następnego dnia, w sobotę, Irek z samego rana zajął punkt obserwacyjny koło domu, w którym mieszkał Słucewicz. Obiekt wyszedł koło jedenastej – jasnowłosa, szarooki, barczysty, elegancki, ubrany w drogie letnie spodnie od Saint Laurenta oraz cienką jedwabną marynarkę od Versace – i wsiadł do zaparkowanego renault. Irek od razu wskoczył do swojego nissana, który przydzielono mu do pracy w Moskwie.

Słucewicz najpierw pojechał do Kuncewa, tam koło metra czekała na niego ładna ciemnowłosa dziewczyna. Razem z nią ruszył w stronę centrum, zostawił samochód na podziemnym parkingu pod hotelem Moskwa i dalej poszedł pieszo ze swoją damą. Irek, trzymając się w przyzwoitej odległości, podążył za nimi. Para weszła do restauracji i usiadła przy barze. Prawie wszystkie stoliki świeciły pustkami, było jeszcze za wcześnie na obiad, ale przy barze siedziało sporo klientów. Słucewicz i jego przyjaciółka od razu znaleźli dwa wolne miejsca, reszta była jednak zajęta. Irek mógł tylko stać z boku z piwem w ręce i obserwować z daleka. Klientela wydała mu się nieco podejrzana, więc zdziwił się, dlaczego drogo ubrany Słucewicz przyprowadził swoją przyjaciółkę do takiego niedrogiego lokalu.

Para gruchała o czymś czule, a Irek stał i się złościł. I nagle... Słucewicz zaczął się rozglądać, jakby szukał kogoś wzrokiem. Gdy napotkał spojrzenie Irka, wstał i ruszył prosto do niego. Irkowi od razu zaschło w ustach. Czyżby został namierzony?



– Słuchaj, kolego – zwrócił się do niego rozpromieniony Słucewicz.  
– Mam sprawę do ciebie. Stawiam piwo, jeśli mi pomożesz.

– A o co chodzi?

– Muszę wyjść na dziesięć minut, zamienić z kimś parę słów. Będziesz tak miły i popilnujesz mojej dziewczyny? Sam widzisz, jaka tutaj jest klientela. Wyjdę i zaraz ktoś się do niej przysiadzie. I obrazi niechcący. A ona jest bardzo wrażliwa. No jak? Umowa stoi?

– Nie ma problemu – odparł Irek skwapliwie, ciesząc się, że torpeda przeszła bokiem.

Razem podeszli do dziewczyny.

– Luba, wychodzę, wrócę za dziesięć minut – powiedział Wiktor szybko. – On z tobą pobędzie na wszelki wypadek.

– Dobrze. – Dziewczyna uśmiechnęła się sympatycznie. – Niech pan usiądzie – zaproponowała, widząc, że Irek ciśnie się za jej plecami ze swoim piwem.

– Dziękuję.

Chętnie wdrapał się na wysoki stołek barowy, postawił kufel z piwem na kontuarze.

– Nigdy nie sądziłem, że takie ładne dziewczyny odwiedzają takie podejrzane lokale – zagaił. – To pani wybór czy przyjaciela?

– Edik przyprowadził mnie tutaj. To prawda, że klienci są trochę... nie bardzo, ale kawa jest wspaniała.

– On się tak nazywa? – uściślił, by mieć pewność, że dobrze zrozumiał.

– Tak, Edik. Mnie też to miejsce najpierw się nie spodobało, ale kawa tutaj jest naprawdę znakomita. Edik nie zwraca szczególnej uwagi na wystrój, jest kelnerem i wie, że najważniejsza jest kuchnia, a nie wnętrze.

Irek już otworzył usta, żeby zadać następne pytanie, ale tuż nad uchem rozległ się głos Słucewicza.

– Wróciłem. Udało się szybciej, niż się spodziewałem. Dziękuję za pomoc. Luboczka, nie nudziłaś się beze mnie?

Irek pośpiesznie opuścił stołek, ustępując miejsca Wiktorowi-Edikowi. Wiktor, tak jak obiecał, zamówił piwo dla Irka i niedwuznacznie dał mu do zrozumienia, że na tym ich znajomość się kończy. Od tej chwili dalsze próby śledzenia Słucewicza nie mają

sensu, facet zapamiętał twarz Irka i rozpozna go przy każdej okazji. Do diabła, co za niefort! Ale z punktu widzenia informacji zdobytej była bardzo imponująca! Wygląda na to, że kelner Edik Gusarczenko i pracownik agencji nieruchomości Wiktor Słucewicz to ta sama osoba. Nie może być tylu zbiegów okoliczności. Zgadza się imię, zawód, a nawet imię dziewczyny – Luba. W dodatku wygląd Słucewicza idealnie pasuje do rysopisu Gusarczenki: jasnowłosa, szarooki, barczysty, atrakcyjny. Ale jak to możliwe? Po co Simonowowi dwa różne nazwiska i dwie różne posady? Zresztą pytanie jest nieistotne, facet potrzebuje jednego nazwiska, więc dlaczego nie dwóch i nie trzech? Nie ma wątpliwości, że to Edik Gusarczenko, Wiktor Słucewicz i Jurij Simonow w jednej osobie. Teraz jest o czym zameldować Pełnomocnikowi.

[11] MCHAT (Moskowskij akademiczeskij chudożestwiennyj tieatr) – Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny.

## Rozdział 9

Propozycja Natalii Woronowej, żeby w dniu wolnym zebrać całą ekipę filmową razem z aktorami i umożliwić milicjantom i śledczemu zadanie wszystkich niezbędnych pytań, nie wzbudziła entuzjazmu detektywów. Wytłumaczyli Woronowej, że gdyby od samego początku było wiadomo, kogo i o co pytać, by zdobyć informacje potrzebne do wyjaśnienia przestępstwa, to zabójcy Tiejmuraza Indżiji już dawno zostaliby ujęci. Na tym właśnie polega trudność pracy dochodzeniowej, że najpierw przychodzą do głowy jedne hipotezy, w związku z nimi zadawane są odpowiednie pytania, a później, gdy się nie potwierdzają, wysuwane są następne hipotezy i pojawiają się zupełnie inne pytania, w dodatku ludzie, którzy mogliby na nie odpowiedzieć, też są inni. A zatem niestety niewykluczone, że detektywi jeszcze nieraz będą odrywać ekipę filmową od pracy i zakłócać tym samym ściśle harmonogram zdjęć.

Nastia Kamieńska postanowiła poświęcić niedzielę na rozmowę z Rusłanem Nilskim. Decyzję podjęła po tym, jak w przeddzień, w sobotę, Korotkow opowiedział jej o swoim spotkaniu z Iriną Sawienicz.

– Dziewczyna dosłownie szaleje z wściekłości – oznajmił z uśmiechem, siedząc w kuchni i obserwując, jak Nastia walczy ze swoją kulinarną ignorancją i usiłuje opanować kolejne danie według przepisu z grubej książki *Kuchnia narodów świata*. – Jest pewna, że Jana Nilaska podrywa męża Woronowej, i to z powodzeniem. Wczoraj pan Ganielin cały dzień zabawiał Janę wyprawami do drogich sklepów i egzotycznych restauracji, łącznie z odwiedzaniem nocnych lokali. Muszę ci powiedzieć, że efekt okazał się spektakularny. Jana przestała żądać powrotu do domu, a nawet, jak mi doniesiono, uśmiechała się i stała się rozmowna.

– Kto ci o tym doniósł? – zainteresowała się Nastia, szatkując warzywa.

– Jak to kto? Irina, oczywiście. Z samego rana, ledwie otworzyła oczy, zadzwoniła do Woronowej, żeby się dowiedzieć, co u nich słychać. No i Woronowa jej powiedziała, że Jana wyraźnie poweselała i że dzisiaj odbędzie się drugi akt sztuki pod tytułem *Rozwiewanie smutku*. To o sztuce dodała, rzecz jasna, Irina. Woronowa powiedziała, że dzisiaj Jana znowu nie pojedzie z nimi na plan, bo Ganielin zabiera ją na cały dzień. Irina pęka ze złości. Woronowa jest dla niej jak rodzona matka, więc Ira nie może znieść kokietowania jej męża. Zabawna dziewczyna.

– Uhm. – Nastia kiwnęła głową z roztargnieniem, wrzucając drobno pokrojoną cebulę na patelnię ze skwierczącym roztopionym masłem.

Na sąsiednim palniku stała druga patelnia w oczekiwaniu na grubo startą marchew.

– Nie wiesz przypadkiem, dlaczego cebuli i marchwi nie można smażyć razem? – zapytała płaczkliwie. – Diabli wiedzą, co to ma znaczyć! W książce podają: smażyć osobno. A przecież to dwie patelnie. Potem trzeba je umyć. Wszystkie te przepisy są dla kobiet, które mają pomoc domową.

– Albo zmywarki – zauważył Jura. – Czemu twój Czistiakow ci jej nie kupi? Włóżysz naczynia, naciśniesz przycisk i masz wolne. Tanio i wygodnie.

– Po pierwsze, wcale nie tak tanio. Po drugie, nie mamy gdzie jej postawić, w naszej kuchni nie ma na nią miejsca. Po trzecie, to nieracjonalne. Po co zmywarka rodzinie, która składa się z dwóch osób? Gości miewamy rzadko i sami zmywamy po sobie naczynia. Zaczęłam biadolić z poczucia braku wprawy w prowadzeniu gospodarstwa domowego.

Wyjęła tarkę i zabrała się do tarcia marchwi.

– Co jeszcze ciekawego powiedziała ci twoja aktorka?

– Że pan Ganielin ma poważne kłopoty finansowe i że nie gwarantuje żonie opłacenia zdjęć do serialu w pełnej wysokości.

– Ożeż! – Nastia zostawiła w spokoju nieszczęsną marchew i odwróciła się do Korotkowa. – To pewne? – zapytała.

– Irinie powiedziała Woronowa, a Woronowej sam Ganielin.

– To pechowo... – wymamrotała Nastia.

– Dlaczego pechowo?

– Dlatego, że Afonia jakby to wyczuł. Od samego początku był przekonany, że Ganielinowi zależy na przerwaniu zdjęć, i zmuszał mnie, żebym szukała w tym kierunku. Wczoraj wieczorem miałam mu zameldować o finansach Ganielina. Na szczęście gdzieś wybył, pod koniec dnia już go nie było. Ale w poniedziałek na pewno zapyta. Może nawet jeszcze dzisiaj.

– Nie rozumiem, czemu się martwisz. To dobra i ładna hipoteza. Jest wprawdzie odrobinę niewiarygodna, ale żyjemy przecież w wesołych czasach, gdy wciąż wydarza się to, o czym parę lat temu nawet nam się nie śniło. Obok nowych sposobów popełniania przestępstw pojawiają się też nowe motywy. Zabić człowieka, żeby przerwać zdjęcia do filmu! Ale to brzmi, prawda? Gdyby ktoś mi powiedział coś takiego dziesięć lat temu, poradziłbym mu, żeby zaczął pisać powieści fantastyczne. A teraz siedzę z tobą w kuchni i całkiem serio omawiam te brednie. I nic, nawet mi język nie usechł.

Nastia wzięła miskę i tarkę, przeniosła je z blatu na stół, żeby stać przodem do Korotkowa, i przez jakiś czas w skupieniu zamieniała marchew w cienkie, krótkie wiórki.

– Do tych bredni idealnie pasują podrzucony list o niejasnej treści i ohydne martwe szczury – zauważyła po krótkiej chwili. – Zabijemy kierowcę, zasiejemy zamęt w głowach i harmonogramie pracy ekipy filmowej, wprowadzimy niepokój, zaczekamy na przekroczenie budżetu, a później zrobimy tak, że scenarzysta wyjedzie, porzucając Woronową na pastwę samotnej walki ze scenariuszem i budżetem.

– Właśnie! – Korotkow znacząco uniósł palec wskazujący. – Nic dodać, nic ująć. Już rano uruchomiłem ludzi, żeby sprawdzili finanse Ganielina. Niewykluczone, że nasz nowy naczelnik, którego tak nie lubisz, ma jednak intuicję. I chociaż to smutne, koleżanko, będziesz musiała to przyznać. Jest tylko jedna rzecz, która mnie zbija z tropu.

– Doprawdy? – Nastia sceptycznie uniosła brwi. – Co ciebie, starego cynika i babiarza, może jeszcze zbijać z tropu?

– Wypraszam sobie! Po pierwsze, nie jestem stary, a po drugie, żaden ze mnie babiarz. Jestem kochliwy, a to nie to samo. No więc,

koleżanko, nie rozumiem, po co te wszystkie komplikacje z zabójstwem i resztą bajerów. Dlaczego Ganielin nie może zwyczajnie powiedzieć żonie, że nie ma i na razie nie będzie miał tych pieniędzy, na które liczył jeszcze miesiąc temu i które jej obiecał? Czy ona by go za to zabiła? Zażądałaby rozwodu? Sprawiała na mnie wrażenie zrównoważonej i rozsądnej kobiety, która potrafi zrozumieć, co to jest biznes i jakim nieprzewidzianym wahaniom podlega. Sądzę, że gdyby usłyszała tę wiadomość, zdenerwowałaby się okropnie, może nawet popłakałaby sobie, ale na tym koniec. Nic strasznego by się nie stało. Po co więc było wszczynać to zamieszanie z zabójstwem kierowcy, porwaniem Jany, listem i szczurami? Możesz mi wyjaśnić?

– Mogę.

Miska była pełna startej marchwi, Nastia włączyła gaz pod drugą patelnię, wlała olej, zamieszała smażącą się obok cebulę.

– Twórcy przepisów kulinarnych to jacyś sadyści – znowu się poskarżyła. – Teraz będę musiała stać jak posąg przy kuchence i mieszać to jedno, to drugie, żeby się nie przypaliło. Nie można jakoś inaczej wymyślać przepisów?

– Nie marudź, wszyscy tak gotują i nikt jeszcze od tego nie umarł. Nawiasem mówiąc, co to będzie? W imię czego znosisz te męki piekielne?

– Robię rybę po grecku. Najpierw trzeba podsmażyć cebulę i marchew, później usmażyć rybę w kawałkach, później połączyć wszystko, zalać keczupem i podduścić. Jeść można dopiero za dwanaście godzin, żeby ryba dobrze przeszła warzywami.

– Tak? Wydaje mi się, że w naszej stołówce podają to danie jako zimną przystawkę. Tylko nazywa się ryba w marynacie, a nie po grecku.

– Bardzo możliwe – przyznała Nastia. – No więc ja też postanowiłam spróbować. Wybrałam z książki kucharskiej to, co najłatwiejsze.

– A kiedy będziesz serwować? – zainteresował się Jura żywo.

– Przecież powiedziałam: za dwanaście godzin. Wyjaśniam dla nierozgarniętych: jutro rano.

– Chyba żartujesz! – Jura się zdenerwował. – Tak długo mam czekać? Czy w twojej książce nie ma czegoś równie łatwego, ale żeby

od razu można było jeść?

– Masz. – Nastia wsunęła mu grube tomiszczce. – Szukaj sam, nie zwracaj mi głowy, bo wszystko się spali.

Przez dziesięć minut w kuchni panowało milczenie. Nastia mieszała warzywa na patelniach, a Korotkow w skupieniu szeleścił kartkami.

– Aśka, masz ryż? – zapytał w końcu.

– Mam.

– A jajka?

– Trzy albo cztery.

– A czosnek?

– Tego nie wiem, trzeba zobaczyć. Chyba był, ale nie jestem pewna.

– Masło też jest, widziałem. Słuchaj, znalazłem niewiarygodne w swojej prostocie i kaloryczności danie. Nazywa się jajka po neapolitańsku.

– Znalazł się odkrywca! – prychnęła Nastia. – Sto lat temu je odkryłam. Nawet z moją kompletną ignorancją kulinarną potrafię je zrobić.

– Więc czemu nie zrobisz? Przecież jest łatwe. I pewnie smaczne.

– Tak, smaczne. Czasem robię, gdy chcę się podlizać Czistiakowowi. Raz w roku.

– Czemu tak rzadko?

– Bo jest niepraktyczne. Żeby ładnie wyglądało, trzeba je robić w dużym rondlu, to znaczy musi być dużo ryżu i co najmniej pięć jajek. Daj Boże, jeśli zjemy z Loszką jedną trzecią, ryż jest przecież bardzo syty, jajka na twardo też. Reszta stygnie, traci smak, więc trzeba albo na siłę opychać się ryżem z jajkami przez dwa dni z rzędu, albo wyrzucić.

– A ja bym zjadł – oznajmił Korotkow, patrząc w przestrzeń. – Z ciebie i profesora prawdziwe niejadki, ja jednak jestem normalnym, zdrowym Rosjaninem. Bez względu na to, ile dostanę – zawsze będzie za mało.

– Ależ na miłość boską, przygotuję – powiedziała Nastia, nie odwracając się. – Przecież i tak muszę ci podać coś na kolację.

Pół godziny później niesłychanym wysiłkiem udało jej się usmażyć rybę, połączyć wszystkie składniki i wsunąć to, co powstało, do

piekarnika, żeby się dusiło. Przyszła kolej na jajka po neapolitańsku. Nastia nastawiła ryż i jajka, po czym usiadła przy stole naprzeciwko Korotkowa.

– Pytałeś o Ganielina.

– Owszem. – Jura skinął głową. – A ty powiedziałaś, że możesz wyjaśnić, dlaczego zamiast...

– Jurik, nie zrozumiałeś. Powiedziałam, że mogę wyjaśnić, dlaczego abstrakcyjny mężczyzna może tak postąpić. Abstrakcyjny, rozumiesz? Ale nie Ganielin, którego wcale nie znam, więc nie mogę oceniać jego myśli i czynów. Widziałam go tylko raz i rozmawiałam z nim krótko. Może pasuje do schematu, a może nie.

Korotkow się skrzywił.

– W porządku, nie wymądrzaj się. Wyjaśnij, skoro obiecałaś.

– No dobrze... Najpierw odpowiedz na pytanie: powiedziałeś Ludmile, że odszedłeś od żony?

– A co to ma do rzeczy? – Jura wybałuszył oczy. – Nie widzę związku.

– Najpierw odpowiedz, później ci powiem o związku. Powiedziałeś czy nie?

– Nie.

– Dlaczego?

– No bo jakoś... W ogóle z nią nie rozmawiałem w tym tygodniu. Nie było okazji.

– Dlaczego, Jura? Jak to się mogło stać, że przez cały tydzień nie zadzwoniłeś do kobiety, z którą romansujesz od dziesięciu lat?

– Od dziewięciu – poprawił zachmurzony Korotkow. – Czemu się czepiasz, Aśka? Przecież doskonale znasz sytuację, zwierzam ci się jak przyjacielowi...

– Wiem. Wiem, że zauroczenie minęło, że uczucie dawno ostygło, że widujecie się coraz rzadziej, czasami nie spotykacie się miesiącami, tylko telefonujecie do siebie. To normalne, Jura, takie jest życie. Wygląda więc na to, że odszedłeś od żony wcale nie dla Ludmiły. Po prostu odszedłeś. Od żony. Mam rację?

– No.

– A co nie pozwalało ci odejść, gdy romans kwitł? Jej dzieci są starsze od twojego syna, dawno wyrosły, więc Ludmiła mogła



spokojnie się rozwieść, żeby być z tobą.

– Aśka, przestań! Tysiące razy to omawialiśmy! – Korotkow zaczął się irytować, co nie uszło uwadze Nastii. – Nie mogłem tak po prostu rzucić Lalki, powiedzieć jej, że to koniec, moja droga, dłużej nie zamierzam tego znosić...

– Wszystko się zgadza, Jurik. Nie musisz mi przypominać, pamiętam nasze niekończące się rozmowy na ten temat. Spróbuj spojrzeć na sytuację z nieco innej strony. Twoja żona Lala to kobieta z trudnym charakterem, wybuchowa, kapryśna, histeryczna, niewyrozumiała, nielicząca się z innymi, ich zdaniem, pragnieniami i potrzebami. Wciąż na ciebie krzyczała, wyzywała od nieudaczników i pechowców, była zazdrosna o twoją pracę, urządziła sceny. A ty milczałeś i wszystko znosiłeś. Dlaczego, to pytanie drugorzędne, ale fakt pozostaje faktem: znosiłeś. I Lala przywykła do tego. Twoje milczenie i godzenie się z takim stanem rzeczy pozwoliło Lali wyrobić sobie zdanie o tobie i stworzyć pewien wizerunek. Gdybyś powiedział: „Dosyć, wystarczy, dłużej nie będę tego znosić, odchodzę”, toby znaczyło: „Wcale nie jestem taki, jak ci się wydaje. Jestem inny. Oszukiwałem cię. Nie podoba mi się, że na mnie krzyczysz, że nie szanujesz mojej pracy i mnie. Tylko udawałem, że to mi odpowiada”. To znaczy odejście w danej sytuacji oznaczałoby przyznanie się do oszustwa i obłudy. Rozumiesz, o czym mówię?

– No – burknął Korotkow. – Ale przecież w końcu odszedłem.

– Odszedłeś – przyznała Nastia. – Gdy znalazłeś w sobie siły, by przyznać, że jesteś kłamcą. Nie dyskutujemy teraz o tym, czy to dobrze, czy źle. Po prostu nadeszła chwila, w której było ci wszystko jedno, co Lalka o tobie pomyśli. Gdyby zależało ci na jej szacunku i dobrej opinii, tobyś nie odszedł. Nie odważyłbyś się przyznać, że przez tyle lat ją okłamywałeś i udawałeś. Teraz wróćmy do Ganielina i jego żony. Znasz ich historię?

– A jest tam coś ciekawego? – Korotkow się ożywił, uznając, że to już koniec bezstronnej oceny jego życia osobistego.

– Ganielin starał się o rękę Woronowej ponad dziesięć lat. Ona była mężatką, wychowywała synów, kochała swojego męża i na samym początku dała Ganielinowi do zrozumienia, że nie ma na co liczyć. Przyjął to jako oczywistość, do niczego nie pretendował z wyjątkiem

przyjaźni, robił jednak wszystko, żeby być przydatny, potrzebny i niezastąpiony. Był znakomitym chirurgiem, ale przy pierwszej okazji, gdy tylko zaczęła się pieriestrojka, porzucił medycynę, założył własny biznes i go rozkręcił. A wszystko tylko po to, by móc finansować projekty Woronowej. Swój pierwszy film, który uczynił ją sławną, zrobiła w całości za pieniądze Ganielina, mimo że była jeszcze zamężna i nie wiązały jej intymne relacje z Andriejem Konstantinowiczem.

– Niektórzy mają szczęście – skomentował Jura usłyszaną historię.

– Ale nadal nie widzę związku. Co ma piernik do wiatraka?

– Jurik, związek jest, i to bezpośredni. Ganielin i Woronowa znają się od 1984 roku, to znaczy siedemnaście lat. W ciągu tych wszystkich lat nasz Andriej Konstantinowicz był źródłem, z którego Woronowa nieustannie otrzymywała pomoc i wsparcie: materialne, moralne, organizacyjne, dowolne. W każdej trudnej chwili Ganielin był obok. Ile go kosztowała ta pomoc, tego nie wiemy. Woronowa chyba też nie wie. Stworzyła sobie określony wizerunek tego mężczyzny: Ganielin może wszystko, zawsze poda pomocną dłoń i, co najważniejsze, nigdy jej nie zawiedzie i robi to, co obiecał. I nagle przychodzi chwila, gdy Ganielin musi powiedzieć żonie: „Wybacz, moja droga, ale nie zdołam spełnić swojej obietnicy. Liczyłaś na mnie, a ja cię zawiodłem. I ciebie, i całą twoją ekipę”. Żeby to powiedzieć, musi się zdecydować na zniszczenie wizerunku, który powstawał przez wiele lat w głowie i sercu Woronowej. Ale nie jest mu obojętne, co żona będzie o nim myślała, bo ją kocha i ceni sobie jej szacunek. Zbyt długo się o nią starał i czekał na swoje szczęście, żeby zaryzykować zmianę jej opinii o nim. Dlatego jest gotów zrobić wszystko, by zerwać zdjęcia, ale żeby przy tym uważano, że o wszystkim zadecydował nieszczęśliwy przypadek, który nie ma z nim nic wspólnego. Ale to, Jurik, ogólny schemat. Nie wszyscy mężczyźni do niego pasują, nawet nie połowa. Czy Ganielin wpisuje się w ten schemat? Nie wiem. Z czysto teoretycznego punktu widzenia to możliwe.

– A jednak nadal nie rozumiem – zaoponował Korotkow z uporem.

– Jeśli twój schemat jest słuszny, to po co Ganielin powiedział Woronowej, że ma problemy? Gdyby działał tak, jak mówisz, toby

milczał jak zaklęty i udawał, że jest finansowym krezusem i że ach, jaka szkoda, że zdjęcia zostają przerwane, bo on już przygotował pieniądze... A zresztą po co wobec tego zajął się Janą, by porzuciła myśl o wyjeździe? W jego interesie jest przecież, żeby dziewczyna upierała się przy swoim i żeby Rusłan jak najprędzej wyjechał z Moskwy i zrezygnował z pracy z Woronową. Nie, to nie pasuje. Chyba gdzieś przedobrzyłaś, koleżanko.

– Uhm – mruknęła Nastia. – Powiedz to Afonii, bo mnie zadręczy hipotezą o Ganielinie. Chciałby, żeby Ganielin był w to zamieszany, koniec i kropka! Co prawda nie oponuje też przeciw ważnemu politykowi, który mści się na Nilskim za demaskatorskie publikacje. Wszystko mu jedno, byle tylko było to coś niepospolitego: albo przestępca, albo motyw. To oczywiste, że każdy nowy naczelnik chce zacząć od spektakularnego sukcesu.

Zdjęła z kuchenki garnuszek z jajkami i umieściła w zlewie pod strumieniem zimnej wody. Ukucnęła przed otwartą lodówką i po długich poszukiwaniach znalazła ząbek czosnku, poniewierający się w pudełku na warzywa.

– Trzymaj. – Wymownym gestem położyła przed Korotkowem czosnek i mały nóż.

– Co to jest? – Jura nie zrozumiał. – Po co mi to?

– Masz obrać.

– A co, sama nie potrafisz?

– Potrafię, ale nie lubię. Później ręce długo czuć czosnkiem.

– A moich nie będzie czuć?

– Ty jesteś normalnym Rosjaninem, twoje ręce powinny pachnieć czosnkiem, cebulą, wódką i olejem maszynowym.

– Wódka nie pachnie – zaoponował Korotkow z urazą.

– Dobrze, zgoda, niech pachnie odorem alkoholu, a nie wódką – powiedziała Nastia pojednawczo. – Ale i tak będziesz musiał obrać czosnek.

O dziesiątej wieczorem karkołomna procedura przygotowania ryby po grecku i jajek po neapolitańsku, żywienia Korotkova i zmywania naczyń szczęśliwie się skończyła. Do tego czasu w wyniku licznych telefonów i krótkich rozmów z jakimiś nieznanymi Nastii ludźmi wyjaśniło się, że Andriej Konstantinowicz Ganielin, prezes

niejawnego towarzystwa akcyjnego Centromedpreparat, rzeczywiście zaczął mieć poważne kłopoty finansowe. Co więcej, od informatorów, którzy cieszyli się zaufaniem akcjonariuszy, napłynęła informacja, że bynajmniej nie wszyscy posiadacze akcji (choć jest ich raptem czterech) popierają lokowanie pieniędzy w filmie, który kręci żona prezesa. Są z tego niezadowoleni i uważają, że lepiej inwestować w rozwój produkcji niż w rodzinną dobroczynność.

– Nie!

Nastia z przerażeniem chwyciła się za głowę, zupełnie zapominając, że ręce ma pokryte pianą z wody do mycia naczyń.

– Ja tego nie wytrzymam, Jurik! Cóż to za magiczna sprawa? Codziennie pojawia się nowa hipoteza. Teraz będziemy musieli sprawdzać jeszcze akcjonariuszy.

– Ciszej, Asiu, ciszej. – Korotkow zaczął ją uspokajać. – Nie panikuj zawczasu. Zobacz, jak pięknie się układa z akcjonariuszami! To znaczy, że wszystko, co wymyśliliśmy, jest słuszne, odnosi się jednak nie do Ganielina, ale do kogoś innego. Albo do innych, którzy zmówili się za jego plecami, żeby przerwać zdjęcia, bo on za nic nie pozwala uszczuplić finansowania serialu.

– To nie my wymyśliliśmy, tylko Afonia – powiedziała Nastia gniewnie.

Już zauważyła, że po twarzy spływa jej mydlana piana, i to jeszcze bardziej ją rozzłościło. Piana spływała też po rękach i przedostawała się pod podwinięte do łokci rękawy domowej koszuli w kratę.

– Do licha, ależ ze mnie fujara! – zawołała w uniesieniu, podstawiając ręce pod wodę, żeby zmyć pianę. – Jura, wiesz, czego teraz najbardziej na świecie chcę?

– Położyć się? – zasugerował Korotkow.

– Skąd, jeszcze wcześniej.

– Zapalić papierosa?

– Nie.

– Żeby przyjechał Czistiakow?

– Nie zgadłeś.

– Żeby Afonia odszedł, a Pączek wrócił?

– Juroczka, moje słoneczko, operuję realnymi kategoriami. Fantastyki nawet nie czytam, a co dopiero mówić o jej tworzeniu. Nie

marzę o tym, co jest niemożliwe. No dalej, wysil mózgownicę. Przecież znasz mnie milion lat.

– A może chcesz jeść? – zapytał ze strachem. – Pewnie jesteś głodna. Aśka, gubię się w domysłach. Mogę oczywiście zasugerować rzecz najprostszą: teraz najbardziej na świecie chcesz, żeby przestępstwo się wyjaśniło. O tak: raz-dwa i wyjaśnione. Żeby zaraz ktoś do nas zadzwonił i powiedział, że zabójcy Indżiji i porywacze Jany Nilskiej zostali ujęci i już składają zeznania. Tak? Mam rację? Zgadłem?

– A niech cię. – Nastia westchnęła z rozczarowaniem i się odwróciła. – Chyba w ogóle mnie nie znasz, skoro pleciesz takie bzdury! Żeby przestępstwo samo się wyjaśniło! A gdzie satysfakcja? A emocje detektywa podczas dochodzenia? A słodycz zwycięstwa? Nie, Jurik, najbardziej na świecie chcę, by się okazało, gdy w końcu wyjaśnimy to przestępstwo, że popełnili je ci, którzy czują silną niechęć do kierowcy. A wszystkie kombinacje związane z Janą to tylko próby zastraszenia świadka. Nie chcę, by sprawa nabrała rozgłosu. Nie chcę, by Afonia świętował zwycięstwo.

– No cóż, wystarczy, że tylko napomkniesz, a wszystko będzie, jak sobie życzysz. Tamci dwaj, których zatrzymano jako podejrzanych o udział w zabójstwie, wciąż jeszcze marzną w celi.

– Ale nikt ich nie rozpoznał. Ani Jana, ani właściciel psa z parku. I broń, z której zastrzelono Indżiję, nie została jeszcze znaleziona.

– I co z tego? Wielkie mi rzeczy! Na razie są dobrze traktowani, nikt ich mocno nie bije, no to nie zostali rozpoznani. Jak będzie trzeba, sami się przyznają do winy ze strachu o własne życie. I sami znajdą broń, nawet jeśli nie wiedzą, gdzie jest i jak wygląda. Znajdą i przyniosą na tacy.

– Jurik, cynik z ciebie. – Nastia roześmiała się smutno. – Oczywiście, że są bici, to nie ulega kwestii. Ale ten sposób mnie nie interesuje. Żadnej satysfakcji. Nie zapominaj, że jestem kobietą, dlatego nigdy nie zdaję się na przemoc fizyczną. Nie mogę jej użyć z uwagi na słabą kondycję i niewytrenowany organizm. Wolę osiągać wynik pracą umysłu, sprytem, przebiegłością, umiejętnością prognozowania sytuacji.

– No właśnie, w tym problem, koleżanko, że stawiasz interesy osobiste ponad interesy sprawy – powiedział Jura pouczającym tonem. – Chcesz, żeby nowy naczelnik się skompromitował i żeby się okazało, że nie ma racji. I jesteś gotowa stanąć na głowie, by udowodnić, że ani Ganielin i sprawy jego firmy, ani Nilski i jego publikacje nie mają żadnego związku z zabójstwem. Zgadza się?

– Jurik, pracuję uczciwie. Sprawdzam dwie hipotezy, nie możesz mi zarzucić, że jestem uprzedzona. Ale chyba wolno pomarzyć?

Leżąc już w łóżku, Nastia pomyślała, że jutro, w niedzielę, musi się spotkać z Rusłanem Nilskim. Powinna z nim porozmawiać o bohaterach jego publikacji. Dobrze byłoby umówić się na spotkanie w mieszkaniu Woronowej. I żeby obecni byli Woronowa, jej mąż i Jana. Warto zebrać wszystkich razem i zobaczyć, jak się zachowują, jak na siebie patrzą, jak rozmawiają. Wtedy lepiej się zarysują ich charaktery i ujawnią się stosunki panujące w tym sympatycznym towarzystwie. Skoro musi stracić niedzielę na pracę, to powinna się postarać wyciągnąć jak najwięcej informacji. Nawet jeśli się okażą nieprzydatne dla sprawy, dadzą powód do rozmyślań.



W niedzielę Irek poleciał pierwszym samolotem do Kemerowa. Na razie nie miał co robić w Moskwie, nie wolno mu już było śledzić Słucewicza-Gusarczenki – facet może go rozpoznać, a pobożny Riemis nigdzie nie ucieknie. Nie wiedzieć czemu, Irek był tego pewien. Jeśli zajdzie potrzeba – w każdej chwili może znowu przylecieć, a tymczasem musi złożyć raport Pełnomocnikowi. A jednak straszny z niego pechowiec... Że też sprowokował znajomość z obiektem! Niby nie podchodził za blisko, a mimo to sprowokował. Pełnomocnik będzie niezadowolony. Ale w końcu Irek nie wraca z pustymi rękami, wiezie konkretne wyniki. Nie ma żadnych wątpliwości, że dawny Jurij Simonow posługuje się teraz dokumentami, mieszkaniem i życiorysami dwóch facetów: Wiktora Słucewicza, pracownika agencji nieruchomości, i kelnera Eduarda Gusarczenki. Myśli, kretyn, że jeśli zamiast jednego nowego

nazwiska weźmie dwa, to trudniej go będzie znaleźć. No jasne, widzieliśmy takich cwaniaków!

Przy wyjściu z lotniska już na niego czekano. Irek od razu zobaczył znajomą toyotę, którą jeździli ludzie Pełnomocnika.

– Siema, ziomal!

Znajome twarze, radosne uśmiechy, mocne uściski dłoni, poklepywania po plecach. Irek się uspokoił. Tutaj jest wśród swoich, tutaj nie musi mieć się wciąż na baczności, zastanawiać się nad każdym słowem i nad każdym gestem. Gdy jednak samochód ruszył z miejsca i oddalił się od budynku lotniska, twarze kompanów sposepniały.

– Ty... to... – zaczął Kicz, który siedział za kierownicą.

– Co? – zapytał Irek wesoło, jeszcze nie podejrzewając niczego złego. – Wykrztuś wreszcie.

– Krótko mówiąc – włączył się do rozmowy Mieningit, czyli Szurik Mieńszow. – Szanię... tego...

Irek zdrętwiał. Co „tego”? Zabito? Zraniono? Ale kto? Dlaczego? Za co? Wiedział, że zadawanie pytań nie ma sensu, chłopaki nie znają odpowiedzi, a jeśli znają, to będą milczeć, nie otworzą ust bez pozwolenia Pełnomocnika. Wiedzą, że nie ma z nim żartów. Skoro sami o tym wspomnieli, to widocznie Pełnomocnik pozwolił poinformować Irka, ale nic więcej.

– Kiedy? – zapytał tylko, biorąc się w garść.

– Przedwczoraj. Jutro pogrzeb. Zdążyłeś w samą porę – odezwał się Mieningit już raźniej. Widocznie ucieszył się, że Irek nie zaczął zadawać zbyt wielu pytań.

Przez całą drogę do domu Pełnomocnika Irek myślał o tacie, na pytania Kicza i Mieningita odpowiadał z roztargnieniem, ni w pięć, ni w dziewięć, i rozluźnił się z wdzięcznością, gdy kompani zaczęli opowiadać o sprawach brygady.

Zatrzymali się przy znajomym betonowym ogrodzeniu. Ochroniarz rozpoznał Irka i zrobił stosowną do okoliczności bolesciwą minę. Wchodząc po schodach, Irek się zastanawiał, co najpierw zrobi Pełnomocnik: zacznie mówić o Szani czy zażąda pełnego raportu z moskiewskich spraw. Pełnomocnik był bardzo rzeczowy i niesłychanie obłudny. Irek wiedział o tym, mimo że nie należał do

jego zauszników. Rzeczowość sprawi, że najpierw zażąda raportu, a obłuda każe mu okazać współczucie i złożyć kondolencje.

– Wejdz.

Głos Pełnomocnika był oschły i surowy. Takim głosem nie składa się kondolencji. Irek uznał, że szef zacznie wypytywać o Moskwę. A zatem zanim dowie się czegoś o śmierci taty, będzie musiał wysłuchać mnóstwa uwag, jaki to z niego niedoklepek i jak głupio wpadł, pozbawiając się możliwości dalszej obserwacji Słucewicza-Gusarczenki.

– Słucham cię, Batyr.

Irek drgnął. Po raz pierwszy usłyszał swoją ksywę z ust Pełnomocnika. Zdobył ją dzięki swojemu kretyńskiemu imieniu, które w żaden sposób nie pasowało do prostego rosyjskiego nazwiska Szańkin. Właśnie tak nazywali go kompani i nawet tato, zwracając się do niego, nie używał jego imienia. Ale Pełnomocnik mówił do Irka tylko na „ty”, nie używał ani imienia, ani ksywy, więc Irek sądził, że szef w ogóle go nie pamięta, nie identyfikuje i nie obciąża sobie pamięci jego imieniem. Wydał polecenie, żeby znaleźć kogoś do wykonania zadania, no to go znaleziono, a kogo konkretnie – to nie jego zmartwienie, za to odpowiada brygadzysta. Wydał polecenie, żeby przysłać wykonawcę z raportem – no to go przysłano. Co za różnica, kim jest. Najważniejsze, by się wywiązał z zadania. A tymczasem okazuje się, że Pełnomocnik go zna i pamięta.

Irek postarał się skoncentrować i streścić wszystko krótko, zgodnie z upodobaniem Pełnomocnika, nie akcentując przy tym własnych wpadek i podsuwając wnioski, które wyciągnął.

– Może pan w to nie wątpić, że to na pewno on, Simonow – zakończył raport. – Posługuje się dwoma kompletami dokumentów, jeden jest na Gusarczenkę, drugi na Słucewicza. Ma dwie chaty, w jednej mieszka stale, jest w niej zameldowany, wszystko jest tip-top, drugą wynajmuje, a zamiast niej wynajmuje jeszcze jedno mieszkanie, w którym pojawia się niezwykle rzadko, tylko po to, żeby sąsiedzi go nie zapomnieli. To samo dotyczy samolotu. Według pańskich informacji Riemis odleciał z Kemerowa pierwszy, drugi był Gusarczenko i dopiero jako ostatni, późnym wieczorem, Słucewicz. Riemis w ogóle się nie liczy, a Simonow najpierw zabukował lot na



nazwisko Gusarczenko, ale się nie zjawił, odleciał następnym samolotem już jako Słucewicz.

– Po co? – zapytał Pełnomocnik obojętnie.

– Co po co?

– Po co zarezerwował lot, posługując się dowodem Gusarczenki?

– No tak... Zacierał ślady. Jest sprytny.

– Jeśli jest tak sprytny, jak sądzisz, to powinien był wiedzieć, że bez pasażera figurującego na liście samolot tak zwyczajnie nie poleci. Musiano go co najmniej dwa razy wywołać przez megafon, żeby samolot mógł wystartować. Tymczasem nic podobnego się nie wydarzyło. Ani spóźnionych, ani nieobecnych pasażerów.

O tym Irek nie pomyślał. Rzeczywiście, Pełnomocnik ma rację. A więc cała konstrukcja, którą stworzył z takim mozolem, się wali. A jeśli...?

– Miał pomocnika – zaczął niepewnie. – Wysłał go ze swoim biletem, zarezerwował lot na nazwisko Gusarczenko, ale do samolotu wsiadł ktoś inny. W czasie odprawy dowody osobiste przeglądane są tylko pobieżnie. Bez trudu można się prześlizgnąć.

– Dobrze. – Pełnomocnik zrobił pauzę i wbił w Irka nieprzyjemne spojrzenie zielonobrazowych oczu. – To rozsądne. Pochwaliłbym cię, Batyr, gdyby nie pewna okoliczność. Edik Gusarczenko rzeczywiście istnieje, ma na koncie dwie odsiadki, oceny wyłącznie pozytywne, dowiadywałem się. Coś planował, zanim ostatni raz się wykolebał, rozpytywał o możliwość zrobienia nowych dokumentów. Gusarczenko i Słucewicz to jedna osoba, tutaj masz rację. Brawo, że się domyśliłeś. Należy ci się pochwała. Ale to nie Simonow. To Eduard Olegowicz Gusarczenko, który kupił sobie nowe dokumenty na nazwisko Słucewicz. Edik jest wielkim aferzystą, teraz znowu coś chyba kombinuje i w związku z tym przez jakiś czas musi być agentem nieruchomości. Poza tym w interesującym nas czasie Edik rzeczywiście poleciał do Kemerowa. Jesteś jeszcze zielony, Batyr, nie wiesz, jak zbierać informacje na tym świecie. Gdybyś pracował w Moskwie z ludźmi Gogi Suchumskiego, nie popełniłbyś takiego błędu. Byłeś jednak sam, więc nie będę dla ciebie surowy. Zwłaszcza że nie przyjechałeś z pustymi rękami. Mieliśmy na oku trzech facetów: Gusarczenkę, Słucewicza i Riemisa. Gusarczenko odpada,

przyleciał do Kemerowa w swojej sprawie, odleciał tak, jak powiedziałaś, posługując się dwoma biletami. Najpierw wysłał pomocnika, a sam poleciał następnym samolotem. Teraz pozostaje tylko Riemis. To właśnie on jest Simonowem. I to nim się zajmiesz. A teraz...

Pełnomocnik podszedł do baru, wyjął butelkę wódki i trzy literatki, nalał. Jedną literatkę podał Irkowi, drugą postawił na środku stołu, trzecią podniósł sam.

– Za spokój duszy twojego taty, niech mu ziemia lekką będzie.

Irek wypił w milczeniu, odstawił pustą literatkę na stół. Miał wielką ochotę, by zadać Pełnomocnikowi pytanie, jak, kto i dlaczego zabił Szanię, ale wiedział: nie wolno pytać. Jeśli Pełnomocnik uzna za stosowne, to sam powie.

– Wiesz, co się wydarzyło między Szanią i Gogą Suchumskim?

– Nie. – Zaskoczony Irek się spieszył. – Wiem tylko, że Goga był przeciwny, gdy tato chciał się koronować. Z mojego powodu, sam mi pan to powiedział.

– Zgadza się. Poza tym nie zapytano twojego taty, gdy Goga się koronował. Wysłano zawiadomienie do wszystkich kolonii z zapytaniem, kto wie coś o Suchumskim. Tak nakazuje zwyczaj. W tym czasie Szania odbywał wyrok. Do kolonii, w której siedział, też przyszło takie zapytanie, osadzeni je obgadali, ale zapomnieli zawołać i zapytać tatę. Albo nie uznali za stosowne. Tamtą kolonię kontrolowali wtedy ludzie Suchumskiego, dobrze wiedzieli, kogo pytać, a kogo nie. Szania zachował urazę, wierzył jednak, że gdy zapragnie się koronować, Goga go poprze choćby dlatego, że nie narobił kłopotu i przemilczał fakt, że naruszono kodeks i nie zapytano wszystkich osadzonych. Szania miał przecież co powiedzieć o Suchumskim. Goga naprawdę był suką, okradał swoich, ale twój tato należał do strategów, zawsze wiedział, kiedy warto milczeć, a później w trójnasób wykorzystać milczenie na swoją korzyść. Tymczasem Goga zawiódł nadzieje, wystąpił przeciw twojemu tacie. Wiesz, co było później?

– Nie. – Irek pokręcił głową.

– Później skontaktowałem się z Gogą, poprosiłem o pomoc, uprzedziłem, że do Moskwy przyjedzie mój człowiek.

I nagle Szania oznajmia, że jeśli będziemy mieć do czynienia z Gogą, on uzna to za osobistą zniewagę. Szanowałem twojego tatę, Batyr, liczyłem się z jego zdaniem, bo cieszył się opinią wytrawnego urki. Nie mogłem go obrazić i zrobić po swojemu. Wysłałem cię do Zachara. Ale Goga i tak się dowiedział, że zrezygnowałem z jego pomocy i dlatego to zrobiłem. Już następnego dnia zaczęło się gadanie, że cała nasza brać, wszyscy słuchamy Szani, że on tutaj dowodzi i jak powie, tak będzie. Że nie jesteśmy poważnymi ludźmi, tylko smarkaczami, którzy uznają władzę „suchara” i tańczą, jak on im zagra. Wiesz, kto to jest „suchar”?

– Wiem, tato mi mówił. To ten, któremu odmówiono koronacji.

– No właśnie. Widzisz teraz, co się stało? Szania próbował narzucić nam stare zwyczaje, był człowiekiem przeszłości, a my jesteśmy ludźmi przyszłości, mamy swój system pojęć, nowoczesny. Okazałem mu szacunek z dobrego serca, jako starszemu towarzyszowi, ale skończyło się tym, że nasza organizacja doznała uszczerbku, ucierpiała nasza reputacja. I okazało się, że to ja jestem temu winien. Ty, Batyr, też uważasz, że to ja jestem winien?

Pytanie było podstępne i straszne. Powiedzieć „tak” oznaczałoby nie dożyć wieczora. Powiedzieć „nie” – darować Pełnomocnikowi grzechy. Przecież Irek, mimo że jest młody i niedoświadczony, już się domyślił, że Szanię sprzątnęli swoi. Pełnomocnik nie potrafił znieść takiej ujmy dla honoru, musiał pokazać, kto rządzi organizacją. Pokazać wszystkim na zewnątrz, ale też tym, którzy są w środku. Żeby wiedzieli, że w nowym środowisku przestępczym nie ma miejsca na stare zwyczaje, i żeby nie podskakiwali. Rację ma nie ten, po czyjej stronie są „prawo” i jakieś mityczne „tradycje”, lecz ten, kto jest silniejszy i ma więcej pieniędzy.

– Nie, nie jest pan winien, nie jest pan niczego winien – powiedział Irek nieswoim głosem. – Całkowicie zgadzam się z pańską decyzją.

– To nie była moja decyzja – odparł Pełnomocnik, powściągnąwszy uśmiech zadowolenia.

– Tak, rozumiem.

– Pogrzeb jest jutro. Wszystko będzie w najlepszym porządku, nie martw się.

– Dziękuję.

To był cały Pełnomocnik. Irek nie wątpił, że decyzja, by się rozprawić z Szanią, należała właśnie do niego, a nie do Herszta. Pełnomocnik tak poprowadził rozmowę, że syn zabitego jeszcze mu dziękuje, kłania się i niemal całuje go w rękę.

– Idź, Batyr, odpoczywaj. Jutro masz trudny dzień. Kicz cię odwiezie do domu.

– Dziękuję – znowu powtórzył Irek.

Przez całą drogę powrotną Kicz i Mieningit taktownie milczeli, przestrzegając zasad etykiety. No bo jak inaczej? Kompana spotkało takie nieszczęście, kropnęli mu tatę. Widocznie Pełnomocnik przekazał mu jakieś szczegóły, bo Batyr wyszedł od niego zmieniony, aż poczerniał na twarzy. Komu teraz w głowie wesołe gadki, trzeba mieć wyczucie!

## Rozdział 10

Na spotkanie z Rusłanem Nilskim w niedzielę Nastia pojechała rano. Specjalnie umówiła się z nim w przeddzień, chcąc znaleźć się w mieszkaniu Woronowej jak najwcześniej, póki wszyscy lokatorzy nie rozbiegną się do swoich zajęć. Ale nie miała szczęścia. Zbliżając się do domu w zaułku Kamiennaja Słoboda, zobaczyła, że z domu wyszli Andriej Ganielin i Jana Nilska, wsiedli do białego mercedesa i odjechali. Zgodnie z tym, co mówił Korotkow, był to już trzeci akt *Rozwiewania smutku*, jeśli przyjąć, że pierwszy odbył się w piątek, a drugi – wczoraj, w sobotę.

Stojąc przy drzwiach mieszkania na pierwszym piętrze, Nastia odruchowo podniosła głowę i zobaczyła kobiecą postać na półpiętrze między drugą a trzecią kondygnacją. Kobieta siedziała nieruchomo na parapecie, zapatrzona w okno.

– Natalia Aleksandrowna? – zapytała Nastia niepewnie.

Woronowa odwróciła głowę i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Dzień dobry. Proszę wejść, drzwi nie są zamknięte. Rusłan czeka na panią.

– Dlaczego pani siedzi tutaj? Coś się stało?

– Nie, nie, wszystko w porządku.

Nastia zawahała się, później weszła na półpiętro. Teraz stała tuż koło Woronowej i widziała, że na jej kolanach leży otwarty notes, ona zaś obraca w palcach długopis.

– Pracuje pani tutaj? – zdumiała się.

– Nazywanie tego pracą jest bardzo umowne. – Woronowa roześmiała się w odpowiedzi. – Kiedyś mieszkałam na trzecim piętrze. Było tam duże mieszkanie komunalne, urodziłam się w nim i tam spędziłam całe życie. Na pierwszym piętrze mieszkamy od niedawna, mąż specjalnie kupił mieszkanie w tym domu, żebym nie

musiała porzucać miejsca, do którego przywykłam. Na tym parapecie często przesiadywałam, gdy nie miałam ochoty wracać do domu i musiałam coś przemyśleć. Na przykład co powiedzieć rodzicom. Albo jak uniknąć nieuchronnej kłótni. No i zwyczaj pozostał. To miejsce oddziałuje na mnie niesłychanie pozytywnie. Pewnie umysł już wie: skoro podeszłam do okna na schodach, to znaczy, że trzeba pracować, że trzeba myśleć.

Woronowa znowu się roześmiała, tym razem ze zmieszaniem. Ale Nastia nie uwierzyła jej, była pewna, że reżyserka obserwowała męża i Janę, gdy wyjeżdżali. Czyżby była zazdrosna? Taka zrównoważona i mądra kobieta nie będzie szaleć z zazdrości bez przyczyny. Nastia pomyślała, że skoro Woronowa zaczęła być zazdrosna, to musi mieć bardzo poważne powody. Bardzo poważne. Wygląda na to, że Irina Sawienicz się nie myli...

– Andriej Konstantinowicz i Jana już pojechali? – zapytała na wpół twierdząco.

– Tak, przed chwilą. – Woronowa skinęła głową.

– Szkoda. Z nimi też chciałam porozmawiać. Nie wie pani, czy prędko wrócą?

– Obawiam się, że późnym wieczorem. Janoczka musi się oderwać, otrząsnąć. Jestem bardzo wdzięczna mężowi, że wziął to na siebie. Dziewczyna tyle przeżyła... Jest jeszcze bardzo młoda, nie potrafi opanować emocji.

– Co pani ma na myśli?

Nastia udała, że nie rozumie, o czym mówi Woronowa. Ani Natalia Aleksandrowna, ani Rusłan nie wspominali jej przecież o hysterii, w którą wpadła Jana, żądając, by mąż zabrał ją do domu. A powoływanie się na Irinę Sawienicz oznaczałoby naruszenie jej poufnych relacji z Korotkowem.

– Jana chciała koniecznie stąd wyjechać. Była bardzo przestraszona, roztrzęsiona. Najpierw porwanie, później list, szczury... Rozumiem ją, ale przecież ona też mogłaby zrozumieć, że wyjazd Rusłana utrudni pracę. Jeszcze nie mamy gotowego scenariusza, wszystkie sceny opracujemy dwa, trzy dni przed zdjęciami i wciąż coś zmieniamy. Potrzebuję Rusłana tutaj,

zwłaszcza teraz, gdy muszę myśleć o ograniczeniu budżetu. Ale Janoczka nie chce wziąć tego pod uwagę. A raczej nie chciała.

– To znaczy, że zmieniła decyzję? Już nie nalega, by wrócić do Kemerowa?

– Przynajmniej przez ostatnie dwa dni nie powiedziała słowa o wyjeździe. – Woronowa westchnęła. – To zasługa wyłącznie mojego męża. Robi, co tylko w jego mocy, żeby Janka odzyskała dobry humor.

Woronowa nadal obracała długopis i Nastia mimo woli przyjrzała się jej rękom. Szerokie dłonie, silne palce, krótko ostrzyżone, niepolakierowane paznokcie. Na oko szorstka skóra. To były ręce kobiety, która nigdy nie korzystała z usług pomocy domowej. Zadziwiające: mieszkać w luksusowym, wspaniale urządzonej mieszkaniu i robić wszystko samej. Ganielin znalazł dwa miliony dolarów na serial, a nie ma pieniędzy na opłacenie gosposi?

– Natalio Aleksandrowna, dobrze pani gotuje?

Pytanie wyrwało się Nastii, zanim zdążyła uświadomić sobie, po co je zadaje.

– Ja? Owszem, dobrze – odparła Woronowa z roztargnieniem, znowu patrząc przez okno.

– Ktoś panią tego uczył?

– Skąd, jakoś tak wyszło. To i owo pokazała mi mama, trochę sąsiadki. Od dziecka powoli nabierałam przy nich doświadczenia. Ale specjalnie nikt mnie nie uczył. A dlaczego pani pyta?

– Z ciekawości. Ja na przykład wcale nie potrafię gotować. Mam jednak szczęście, bo mąż znakomicie radzi sobie w kuchni. Teraz jest w długiej delegacji za granicą, więc postanowiłam trochę się poduczyć. Zdobywam wiedzę z książek.

– Wybrała pani coś trudnego?

Woronowa nadal wpatrywała się w okno i Nastia odniosła wrażenie, że kobieta rozmawia zupełnie automatycznie, odruchowo odnotowuje temat rozmowy i równie odruchowo porusza ustami i językiem, żeby wyartykułować potrzebne słowa, z których powstaje pytanie albo odpowiedź. Ale myślami jest gdzieś bardzo daleko... Czy nie przy białym mercedesie?

– Trudnego? Nie, zaczynam od prostych rzeczy. Pewnie wstyd się do tego przyznać, ale choć mam swoje lata, nie potrafię zrobić nic prócz kanapki i omletu. Mogę jeszcze ugotować ziemniaki albo makaron, trudno to jednak uznać za gotowanie.

– Swoje lata... – mruknęła Woronowa. Raptem odwróciła się do Nastii, jej piwne oczy się zwęziły. – Przepraszam, w jakim pani jest wieku?

– Skończyłam czterdzieści jeden lat. Czemu pani pyta?

– A od ilu lat mieszka pani z mężem?

– Od dwudziestu. To znaczy mieszkamy razem od dwudziestu lat, ale znamy się znacznie dłużej.

– I co, przez cały ten czas nigdy pani nie gotowała?

– Nie – przyznała Nastia szczerze. – Trudnego nic. Tylko prościutkie rzeczy, żeby nie umrzeć z głodu. Uważa mnie pani za dziwadło?

– Myślę, że jest pani uroczą oszustką. – Woronowa się uśmiechnęła. – Przepraszam, Anastazjo Pawłowna, ale nie wierzę pani.

– Boże, dlaczego?

– Bo nie wierzę, że można żyć tak jak pani. Dwadzieścia lat mieszkać z mężczyzną i nie nauczyć się gotować! A w wieku czterdziestu jeden lat nagle pójść po rozum do głowy. Tak się nie zdarza.

– Zdarza się, niestety. Chociaż, oczywiście, rzadko. – Nastia uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Właściwie poruszyłam ten temat dla własnej korzyści. Ponieważ teraz się uczę, wypytyuję kogo się da o ulubione przepisy prostych i smacznych dań. Żeby składniki były dostępne i nie potrzeba było dużo czasu. Bo przepisy w książkach kucharskich są bardzo zagmatwane; można zwariować, zanim zrobi się to, co jest tam opisane. Są też bardzo wymyślne nazwy, rozmaite przyprawy, nawet nie słyszałam o takich. Natalio Aleksandrowna, podzieli się pani ze mną swoimi przepisami?

Woronowa szybko kreśliła coś w notesie.

– Oczywiście, z miłą chęcią – rzuciła, nie odrywając się od swojego zajęcia. – Przepraszam na chwilkę.

Skończyła zdanie, postawiła kropkę na końcu, zamknęła notes i lekko zeskoczyła z parapetu.



– Chodźmy do mieszkania, niepotrzebnie sterczymy na schodach...

Natalia tak prędko zbiegła po stopniach, że Nastia nie zdołała jej dogonić. Gdy tylko przestąpiła próg mieszkania, z pokoju położonego w głębi dobiegł ją głos Woronowej:

– Rusłan! Wymyśliłam! Posłuchaj...

Zmieszana Nastia zatrzymała się na środku przestronnego holu. Dokąd iść? Do salonu, w którym rozmawiała z Woronową ostatnim razem? Czy do gabinetu? Woronowa chyba wspominała, że w mieszkaniu jest gabinet.

Gdzieś z boku otworzyły się drzwi i do holu wkroczył zaspany chłopak w cienkich sportowych szortach.

– Ojej... dzień dobry. – Spojrzał nieprzytomnie na Nastię, później na jego twarzy pojawił się wyraz olśnienia.

Nastia poznała go, był to młodszy syn Woronowej, którego przedstawiono jej kilka dni temu. Chłopak widocznie też musiał sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach widział tę kobietę, która teraz zagradzała mu drogę do łazienki.

– Pani do mamy? Mamuś! – krzyknął z całych sił. – Ciocia z milicji do ciebie!

– Ja ci dam „ciocia z milicji”! Marsz się myć, śpiochu!

Woronowa wpadła do holu, w biegu dała synowi czułego kuksańca i otworzyła przed Nastią drzwi do salonu.

– Przepraszam, Anastazjo Pawłowna, że panią zostawiłam... Proszę wejść i usiąść. Tak się ucieszyłam, że w końcu wpadłam na pomysł, co zrobić z tą postacią! Długo się męczyłam, a podczas rozmowy z panią nagle wymyśliłam. I wszystko dzięki pani.

– Naprawdę?

– No oczywiście! Szczerze mówiąc, nigdy nie podejrzewałam, że na świecie mogą być takie kobiety jak pani. W wieku czterdziestu jeden lat nie umieć gotować, będąc mężatką... To się nie mieści w głowie. Ale skoro pani naprawdę istnieje, to dlaczego nie miałabym tego wykorzystać? Będziemy mieć w serialu wspaniałą bohaterkę, która wciąż uczy się gotować! Sceny z nią będą bardzo zabawne! Napije się pani kawy albo herbaty?

– Dziękuję, nie trzeba. – Nastia odmówiła uprzejmie, chociaż miała straszną ochotę na filiżankę kawy. – Proszę nie robić sobie kłopotu.

– To żaden kłopot. – Woronowa znowu się roześmiała. – I tak muszę nakarmić syna. To nie do pomyślenia! Już jedenasta, a on dopiero przeciera oczy. Wstaliśmy z Rusłanem o szóstej i już od siódmej pracujemy. Akurat pora na drugie śniadanie. Przyłączy się pani do nas?

Właściwie dlaczego nie? Przecież początkowo tak planowała: spędzić w domu Woronowej jak najwięcej czasu, zobaczyć, jak się zachowują gospodarze oraz ich goście w nieformalnych warunkach. Afonia potrzebuje Ganielina albo w najgorszym razie bohatera jakiegoś artykułu Rusłana Nilskiego, no to przyjmijmy, że Nastia postępuje zgodnie z życzeniem szefa. Ona sama zaś potrzebuje Woronowej i Jany Nilskiej jako źródeł możliwych, jeszcze nieujawnionych informacji o Timurze. I o jego relacjach z członkami ekipy filmowej. Nie dawało jej spokoju to, co powiedziała Jana: szli z Timurem aleją w kierunku ulicy Mitkowa, gdy z krzaków naprzeciwko toru rolkowego ktoś zawołał ich po imieniu. Po imieniu... To znaczy, że przestępca zabił Timura nie dlatego, że był przypadkową, nieprzewidzianą przeszkodą w porwaniu Jany. Dobrze wiedział, jak chłopak się nazywa, wiedział, że towarzyszy mu Jana. Ona też została porwana nie dlatego, że okazała się przypadkowym świadkiem zabójstwa kierowcy, niespodziewaną przeszkodą. Przestępca znał ich oboje, w dodatku znał nie tylko z imienia, ale i z wyglądu. Kto to mógł być? Opcje są tylko dwie: albo znajomy Timura, z którym ten poznał Janę, albo ktoś z ekipy filmowej. Innych opcji chyba nie ma. Można znaleźć, co prawda, trzecie wyjaśnienie: to jakiś znajomy Jany, którego przedstawiła Timurowi. Obecnie przeczy temu wszystko, co wiedzą o Janie Nilskiej: nigdy przedtem nie była w Moskwie, nie ma tutaj znajomych i krewnych. Ale w jakim stopniu odpowiada to rzeczywistości? A zresztą kto powiedział, że ów „znajomy Jany” jest na pewno moskwianinem? A jeśli to przyjezdny z Kemerowa, którego spotkała przypadkiem w stolicy? To możliwe, bardzo możliwe, lecz zupełnie nie wiadomo, po co miałby zabijać Timura i porwać Janę. I jeśli to on, to dlaczego Jana nie rozpoznała go w chwili zabójstwa i swojego porwania? Ze strachu? Czy z jakiegoś innego powodu?

Nastia spędziła dobre pół nocy, bijąc się z myślami, zadając sobie wciąż nowe pytania i czując, jak powoli wyłaniają się dwa ośrodki jej detektywistycznego zainteresowania: jeden – Ganielin, drugi – Jana Nilska. I jak na złość, żadnej z tych osób nie ma w domu. No cóż, trzeba będzie zbierać informacje z drugiej ręki. Zresztą jeśli między Janą i mężem Natalii Woronowej coś jest, równie dobrze może się okazać, że to nie dwa ośrodki, ale jeden.

Śniadanie – dla większości obecnych już drugie w tym niedzielnym dniu – składało się z dietetycznych produktów, których Nastia nie znosiła. Coś z bifidobakteriami, na oko przypominające kefir, musli, twaróg bez tłuszczu, krakersy „Zdrowie”, chleb żytni. Chyba nie udało jej się powstrzymać grymasu, bo Woronowa powiedziała:

– Wnioskując z pani figury, pewnie nie jada pani takich rzeczy. To specjalny poranny posiłek, który serwuję mężowi i synowi. Mąż walczy z nadwagą, którą już ma, a syn z potencjalną. Przez wiele lat uprawiał sport i przyzwyczał się dużo jeść. Niczego sobie nie odmawiał, bo spalał wszystko na treningach. Ale gdy tylko rzucił, od razu zaczął tyć. Ja też muszę to jeść, z poczucia solidarności, żeby ich nie irytować. Rusłanowi i Janoczce podaję normalne śniadania.

Do kuchni wszedł Rusłan, usłyszał ostatnie słowa Woronowej i od razu włączył się do rozmowy.

– Wciąż powtarzam Natalii Aleksandrownie, żeby się nami nie przejmowała. Mnie i Janie wystarczy kawa na śniadanie, w najgorszym razie zjemy błyskawiczną owsiankę. Czuję się niezręcznie, że zwaliliśmy się wam na głowę...

– Nie pleć głupstw – gwałtownie przerwała mu Woronowa. – Nikomu tutaj nie przeszkadzacie, za to pracuje nam się znacznie wygodniej, odkąd mieszkamy razem.

– Chyba powinniśmy wrócić do tamtego mieszkania – ciągnął Rusłan z uporem. – Mam nadzieję, że Jana nie będzie oponować. Wydaje mi się, że już się uspokoiła, nawet nie wspomina o szczurach.

Gdy dołączył do nich umyty Alosza, rozmowa zesłała na różne diety i problem zdrowego żywienia. Woronowa i jej syn jedli „właściwe” produkty, pozwalając Rusłanowi i Nastii truć organizmy gorącymi grzankami z chleba pszennego z dżemem i produktami, których nie

należy łączyć, w postaci podsmażonych i zalanych jajkami ziemniaków z parówkami i pomidorami. Nastia co rusz napotykała rozżalone i zazdrosne spojrzenia Aloszy. Biedny chłopak naprawdę sądzi, że Nastia znajduje przyjemność w jedzeniu. Tymczasem ona jej wcale nie czuła, ani trochę nie chciało jej się jeść, choć trzeba przyznać, że wszystko było smaczne. Ale po śniadaniu w domu, podczas którego degustowali z Korotkowem rybę po grecku, zagryzając ją grubymi pajdami świeżego chleba, Nastia miała wrażenie, że zgłodnieje dopiero za tydzień. O dziwo, ryba okazała się smaczna, czego ani ona, ani Korotkow w ogóle się nie spodziewali: w końcu była to pierwsza próba, a ona, jak pokazuje wielowiekowe doświadczenie, rzadko się udaje. Mimo to Nastia gorliwie symulowała, że ma wilczy apetyt. Wiedziała, że nie zachowuje się jak przystoi detektywowi w pracy. Powinna była odmówić poczęstunku, pozwolić sobie najwyżej na kawę albo herbatę, ale bez ciastek i cukierków, robić surową minę i całym swoim wyglądem pokazywać, że jest znużona troską o losy ludzkości albo, w najgorszym razie, o los jednego jedyne go niewyjaśnionego zabójstwa. Dzisiaj nie miała jednak ochoty być starszym oficerem operacyjnym z wydziału zabójstw, pragnęła być miłym gościem w tym domu, takim gościem, z którym wszyscy rozmawiają szczerze i nie zastanawiają się nad każdym wypowiedzianym słowem. Żeby tak się stało, jej żołądek musiał ponieść ofiarę.

Pani domu nie zapomniała, po co Nastia się tutaj zjawiła.

– Popracuję, a wy z Rusłanem ulokujcie się w salonie – powiedziała.

Nastia uważnie przyglądała się Nilskiemu. Szkoda, że nie znała go wcześniej, bo teraz trudno jej powiedzieć, czy zawsze jest taki przygaszony, czy utracił werwę po tym, co się przydarzyło jego żonie. W każdym razie wyglądem zupełnie nie przypominał odważnego dziennikarza, który włada piórem z godną pozazdroszczenia elegancją. Czytając jego publikacje, Nastia wyobrażała sobie dowcipnego i energicznego młodego mężczyznę, gotowego iść w zaparte, by dowiedzieć się prawdy i rzucić światło na przysłonięte kłamstwem albo niedomówieniami fakty. Po przeczytaniu jego tekstów uznała, że Nilski przejawia nieprzeciętną zdolność

konstruowania całościowego obrazu ze zdobytych fragmentarycznych informacji. Był to właśnie ten dar, który jest niezbędny detektywom i śledczym, ale którym natura nie obdarza każdego, kto włoży milicyjny mundur. Jej zdaniem taki człowiek z zasady nie może być apatyczny, żywość umysłu powinna nieodłącznie towarzyszyć żywym i lekkim ruchom. To oczywiście nie oznacza, że zgodnie z jej wyobrażeniem Nilski będzie wciąż biegał po pokoju i gwałtownie gestykulował. Bynajmniej. W literaturze istnieje wspaniały przykład – Nero Wolfe: gruby, leniwy, nieruchliwy, ale obdarzony niezwykłą jasnością i bystrością umysłu. Ale Rusłan Nilski, taki, jakim go sobie wyobrażała, powinien był okazywać zainteresowanie tym, co się dzieje, zadawać pytania, wysuwać hipotezy. Jednym słowem, powinny mu płonąć oczy.

Tymczasem oczy Rusłana nie płonęły. Spojrzenie było smutne i obojętne. Nie, Nilski nie przypominał ani nieustraszonego dziennikarza, ani męża ofiary.

– Rusłanie Andriejewiczu – zaczęła, zdając sobie sprawę, że będzie musiała błądzić po omacku. – Przyszłam dzisiaj do pana nie po to, żeby zadawać pytania, ale po to, żeby poprosić o pomoc. Od chwili popełnienia zabójstwa minął tydzień, a śledztwo nie posunęło się na krok. Było mnóstwo różnych hipotez, starannie je sprawdzaliśmy, lecz wszystkie się rozsypały. Na razie nie znaleźliśmy zabójcy wśród znajomych Timura, a porwanie i szczęśliwy powrót pańskiej żony zupełnie wszystko zagmatwały. Chciałam prosić, by zapomniał pan na jakiś czas o tym, że jest pan mężem ofiary, i przypomniał sobie, że jest dziennikarzem i pisarzem. Jest pan osobą, która potrafi układać historie z rozproszonych faktów, pokazując to, co się skrywa przed naszym wzrokiem.

– Jeszcze nie jestem pisarzem. – Rusłan się uśmiechnął. – Moja powieść nie została opublikowana.

– To nieważne. Przecież pan ją napisał, potrafi pan to robić. Rusłanie Andriejewiczu, proszę mi pomóc. Tutaj potrzebna jest wyobraźnia, a u mnie z nią krucho.

– Wyobraźnia to rzecz niebezpieczna, Anastazjo Pawłowna. Zaraz ją uruchomię, a pani mi uwierzy i zamknie niewinną osobę. Nie boi się pani?

– Nie. Nikt nie pobiegnie zatrzymywać kogoś, kto okaże się winny w pańskiej wymyślonej historii. Najpierw starannie zbierzemy o nim wszystkie informacje, sprawdzimy je i dopiero potem podejmiemy decyzję.

– Proszę wybaczyć, Anastazjo Pawłowna, ale albo jest pani wielką optymistką, albo żyje pani w świecie fantazji. Przez wiele lat ściśle współpracowałem z milicją w Kemerowie i dobrze wiem, jak się tam sprawdza informacje. A tym bardziej jak się je zbiera. Bardzo szanuję pani pracę, nie mam jednak podstaw sądzić, że moskiewscy detektywi są choć trochę lepsi od naszych, sybirskich. Nawet jeśli pracują na Pietrowce.

Tak, to jasne, nie lubimy milicji i jej nie ufamy. No cóż, to zupełnie naturalne, obecnie w całym kraju trudno znaleźć człowieka, który myślałby inaczej. Jeśli nawet znajdzie się taki dureń, to tylko w psychiatryku. A i to nie wiadomo... Dobrze, milicji, zwłaszcza w jej dzisiejszej postaci, nikt nie lubi i nie musi lubić. Rusłan Nilski nie jest w tym odosobniony. Ale przecież istnieje instynkt samozachowawczy. Twoją żonę porwano, przetrzymywano przez kilka dni w jakimś mieszkaniu, później wypuszczono, a tobie zaczęto podrzucać głupie listy i pudełka z martwymi szczurami. Czy można żyć spokojnie i nie myśleć o złych rzeczach, nie znając powodu tych wydarzeń i nie próbując zlikwidować źródła niebezpieczeństwa? Poza tym Nilski jest przecież dziennikarzem, wszystko wskazuje na to, że znakomitym, więc powinien umierać z ciekawości: co za tym stoi, dlaczego to się dzieje? Nie może nie być ciekaw.

– Rusłanie Andriejewczu, czy wśród pańskich znajomych są gorący wielbiciel Marka Twaina? – zapytała.

– Marka Twaina? – Zdziwienie ożywiło nieco jego oczy, pojawił się blask, który jednak zaraz znikł. – Jaki to ma związek?

– List, który panu podłożono, zawiera tylko jedno zdanie, którego autorem jest ten pisarz. Zdanie nie należy do popularnych, nie weszło do powszechnego obiegu. Potrafią je zacytować tylko prawdziwi znawcy jego twórczości.

Nilski milczał, zastanawiając się nad czymś. Ramiona opuszczone, spojrzenie utkwione w stojącej na półce ceramicznej figurce.

– Nie... Chyba nie. W każdym razie nie przypominam sobie nikogo takiego. A dlaczego... Czyżby była pani pewna, że list napisał ktoś, kogo znam?

– Niczego nie jestem pewna. W dodatku w ogóle nie wiem, kto to napisał, ale muszę się tego dowiedzieć. Dlatego zadaję swoje pytania. Bo widzi pan, jeśli porywacze nie tknęli palcem pańskiej żony, nie skrzywdzili jej i nie zrobili nic złego, poza tym, że wywieźli ją przemocą i przetrzymywali w zamknięciu przez jakiś czas, to mogę przypuszczać, że mają do niej słabość. Stąd myśl o pana znajomych. Czy moja logika jest zrozumiała?

– Tak, całkowicie. – Rusłan kiwnął głową.

– Właśnie dlatego interesuje mnie grono znajomych pańskiej żony. Może są wśród nich miłośnicy Marka Twaina? Proszę sobie przypomnieć.

– Jana nigdy nie wspominała o takich osobach. Zapamiętałbym, gdyby mówiła coś na ten temat. Przyzna pani, że Mark Twain nie jest dzisiaj modny, jego wielbicieli nie spotyka się na każdym kroku. A przy okazji, z jakiego utworu pochodzi to zdanie?

– Nie wiem – wyznała Nastia z uśmiechem. – Trafiłam na nie w zbiorze aforyzmów. Dawno, wiele lat temu... „Gdyby wszyscy ludzie myśleli jednakowo, nikt nie grałby na wyścigach konnych”. Zapamiętałam, bo ma to bezpośredni związek z moją pracą. Gdyby wszyscy ludzie myśleli jednakowo, nie byłoby problemu przestępczości. Uznano by na przykład, że zabójstwa i kradzieże są złe, i wszyscy przestrzegaliby tej zasady, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby ją łamać. Gdyby wszyscy ludzie myśleli jednakowo, ludzkość dawno by wymarła. Nie byłoby ani odkryć, ani wynalazków, ani żadnego postępu. Długo by można o tym... Nigdy nie rozmawiał pan na ten temat? Nikomu nie udowadniał, że pańska ocena sytuacji nie musi być koniecznie taka sama jak pańskiego oponenta?

– Oczywiście. – Na twarzy Nilskiego pojawiło się coś na kształt uśmiechu. – Dziwne pytanie. Moim zdaniem nie ma człowieka, który chociaż raz w życiu nie broniłby swojego prawa do spojrzenia na sytuację z własnej perspektywy. Szkoda, że wcześniej nie znałem powiedzenia Twaina, przydałoby mi się w takich dyskusjach. Prawda

jest oczywiście banalna do bólu, ale gdy człowiek powołuje się na autorytet, od razu staje się ważką, znaczącą.

– Rusłanie Andriejewiczu. – Nastia płynnie przeszła do rzeczy, która w tej chwili interesowała ją najbardziej. – Czy wśród pańskich rozmówców nie znaleźli się tacy, którzy mogli się na pana rozgniewać nie na żarty?

Patrzył na nią oczami, w których nie było ani krztyny zrozumienia. Nastia pomyślała, że pewnie sformułowała pytanie zbyt ostrożnie i dlatego okazało się zawoalowane. Musi to zrobić prościej. W końcu Nilski nie jest przeciwnikiem, lecz człowiekiem, który uchyla się od współpracy. A to nie to samo. A jeśli jest przeciwnikiem? Myśl przemknęła przez głowę i zaraz znikła, wyparta przez racjonalne argumenty. Co znowu, bzdura. Po co miałby porywać Janę? Zabić Timura – dobrze, zgadzam się, można przyznać, że istnieje motyw, chociaż naciągany. Facet był zazdrosny i zabił. Ale porywać Janę, podkładać list i szczury... W tak zagmatwany sposób odsuwać od siebie podejrzenia? Na to potrzeba czasu i pomocników; wszystko to należało przygotować, znaleźć ludzi, samochód, mieszkanie, w którym Jana będzie przetrzymywana, no i te okropne szczury... Nie, brednie, kompletne brednie. Tutaj nie ma motywu.

– Nie rozumie pan?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo.

– W takim razie zapytam wprost: czy nie zdarzało się, że bohaterzy pańskich publikacji nie zgadzali się z pańską oceną sytuacji? Może byli niezadowoleni, zgłaszali pretensje? Grozili? I w liście, który panu podłożono, cytują Marka Twaina, jakby przypominając panu jego własne słowa, gdy bronił pan swojego punktu widzenia i swojego prawa do napisania o nich tak, jak pan napisał. Czy to możliwe?

– Owszem.

Powiedział to szybko, w ogóle się nie zastanawiając. Szybko i stanowczo, jak powiedziałby takie słowa człowiek, który intensywnie myślał o tym od dawna i utwierdził się w swoich wnioskach.

Nastia od razu otworzyła notes i przygotowała się do zapisywania.

– Może pan podać nazwiska?

– Nie.



I znowu odpowiedź padła bez żadnej zwłoki, jakby była gotowa od dawna. Ciekawe. Bardzo ciekawe...

– Dlaczego, Rusłanie Andriejewiczu? Nie pamięta pan tych nazwisk? Czy powód leży gdzieś indziej?

– Nie podam ich.

– Boi się pan? Naprawdę panu grozili, więc teraz boi się pan o żonę, o dzieci i o siebie? Ci ludzie są tak potężni, że my, prości gliniarze, nigdy ich nie dopadniemy, a panu mogą napsuć dużo krwi? Taki jest tok pańskiego rozumowania?

– Anastazjo Pawłowna, zamknijmy ten temat. I tak nie podam pani żadnego nazwiska.

Nilski odwracał wzrok, lecz mówił nadal stanowczo, w każdym razie Nastia nie uchwyciła w jego głosie cienia wahania. A więc podjął decyzję już dawno, jeszcze przed rozmową z nią. Ale dlaczego? Czyżby trafiła w dziesiątkę i chodzi o publikację? To się Afonia ucieszy! A szkoda...

– No dobrze, wobec tego sama je wymienię. – Nastia westchnęła, otwierając notes na stronie, na której zapisała wyniki swojego nocnego czuwania przy komputerze w poszukiwaniu artykułów Rusłana Nilskiego. – Aleksander Bogorad, ksywa Bogomolec, wielki autorytet kryminalny, pański krajan.

Odpowiedzią było milczenie.

– Następny: Georgij Grińko, branża budowlana.

Znowu milczenie.

– Jest jeszcze jeden, Jewgienij Fietisow, obecnie deputowany Dumy Państwowej, a w przeszłości wielki aferzysta, twórca znanej w obwodzie kemerowskim piramidy finansowej Elita. Przez wiele lat był związany z ugrupowaniem Bogomolca i owe związki z roku na rok się zacieśniają. Pamięta go pan?

– Anastazjo Pawłowna, nic pani nie powiem.

– Ale dlaczego?

– Dlatego że nic nie wiem. Nie, źle się wyraziłem... Nie wiem na pewno, rozumie pani? Mogę tylko sugerować. Jeśli przedstawię swoje sugestie, tym samym wskażę pani konkretnego człowieka, który może ucierpieć bez powodu, bo moje sugestie okażą się nieprawdziwe. Nie chcę tego.

– A jeśli pańska sugestia okaże się prawdziwa i dzięki niej znajdziemy przestępcę? Tego też pan nie chce?

I znowu milczenie, ciężkie, pełne smutku i poczucia beznadziei, zdaniem Nastii. Ciekawy chłopak z tego dziennikarza. Coś go załamało, przygięło do ziemi, zupełnie odebrało mu chęć do życia. Może chodzi o to, co się przydarzyło jego żonie? Dziwne... Czyżby została zgwałcona, gdy ją przetrzymywano, powiedziała o tym mężowi, ale postanowiła zataić ten fakt w śledztwie? To całkiem prawdopodobne. Nadal jednak nie wiadomo, czemu poszukiwanie przestępców nie budzi zainteresowania Nilskiego, przecież na zdrowy rozum powinien być ciekaw. Choć jeśli w grę wchodzi zgwałcenie jego żony i pragnienie ukrycia tego przed wszystkimi, to wtedy, oczywiście, Nilski nie kwapi się pomagać, dla niego i dla Jany będzie lepiej, gdy prawda nigdy nie wyjdzie na jaw.

Nastia pośpiesznie podniosła rękę z zegarkiem do oczu (okulary jak zwykle leżały w torbie) i zrobiła przestraszoną minę.

– Boże, zupełnie zapomniałam, że muszę zadzwonić...

Chwyciła słuchawkę radiotelefonu i ruszyła do wyjścia z salonu, uśmiechając się niby z zakłopotaniem.

– Proszę wybaczyć, Rusłanie Andriejewiczu, to rozmowa służbowa.

– Tak, tak, oczywiście – odparł z roztargnieniem.

W przedpokoju Nastia przez chwilę mocowała się ze skomplikowanymi zamkami w grubych stalowych drzwiach, później wyslizgnęła się na klatkę schodową. Dobrze byłoby złapać Sieriożę Zarubina, dzisiaj ma polecieć do Kemerowa, Gmyria załatwił mu jednak delegację mimo zażartego sprzeciwu Afonii. Miała szczęście, Zarubin odebrał niemal od razu.

– O której lecisz? – zapytała.

– O dwudziestej z minutami.

– Sierioża, natychmiast zadzwoń do Woronowej i zapytaj, jak znaleźć Janę – powiedziała szybko półgłosem. – Rozmawiam teraz z Nilskim, a Woronowa pracuje w drugim pokoju. Udaj głupiego, niech ona da ci numer telefonu męża, żeby można się było z nim skontaktować, bo zabrał gdzieś Janę samochodem. Koniecznie ich odszukaj. Muszę wiedzieć, czy wśród znajomych Jany jest jakiś fanatyczny wielbiciel Marka Twaina. To po pierwsze. I po drugie: czy

były jakieś pogrożki albo po prostu niezadowolenie pod adresem Nilskiego w związku z jego publikacjami. Postarasz się?

– Aha. Rozumiem, że ukrywasz swoje zainteresowanie?

– Nie, ujawniłam je, ale Nilski kategorycznie odmawia rozmowy na ten temat. Będę musiała udać, że to mi wystarczy. Na razie się przyczaję, a ty spróbuj przemaglować Janę.

Gdy tylko Nastia wróciła do przytulnego salonu i odłożyła słuchawkę, telefon zaterkotał cicho. Zerknęła pytająco na Rusłana, on jednak pokręcił głową przecząco.

– Natalia Aleksandrowna odbierze w gabinecie.

Nastia rozsiadła się wygodnie w miękkim fotelu i znowu otworzyła notes.

– Rusłanie Andriejewiczu, będę musiała zadać panu jeszcze inne pytania, które mogą nie być dla pana przyjemne i których zadawanie mnie również nie sprawi przyjemności. Ale to wchodzi w zakres moich obowiązków. Taką mam pracę, rozumie pan?

– Na razie nie – odparł Nilski bez jakiegokolwiek zapału.

– Dużo pisał pan o problemach milicji i prokuratury, więc na pewno pan wie, że każdy milicjant ma swojego naczelnika, i to nie jednego. A funkcjonariusz operacyjny to też milicjant. Ja również mam naczelników, oni zaś wysuwają swoje hipotezy wyjaśniające zabójstwo Timura i porwanie pańskiej żony. Mogę się z nimi zgadzać lub nie, ale nikt mnie nie pyta, po prostu dostaję zadanie ich zweryfikowania. Muszę więc zadać odpowiednie pytania, a później przedstawić szefostwu wyniki. Nawet jeśli wcale nie mam na to ochoty.

Na ustach Nilskiego zaigrał słaby uśmiech, który zaraz zgasł.

– A pani nie ma ochoty?

– Ani trochę. Do tego stopnia, że język staje mi kołkiem, gdy muszę zadawać te pytania, siedząc w mieszkaniu Natalii Aleksandrowny i nadużywając jej gościnności. Ale nie mam wyboru. A zatem, Rusłanie Andriejewiczu, pytanie pierwsze: kiedy poznał pan Andrieja Konstantinowicza?

– Ja? Zaraz powiem dokładnie... Chyba w dziewięćdziesiątym pierwszym roku... Tak, zgadza się, w grudniu dziewięćdziesiątego pierwszego. Akurat byłem w Moskwie, gdy podpisano porozumienie

białowieskie. Miałem urlop, ale dostałem telefon z redakcji, że został odwołany i że skoro jestem w stolicy, mam to należycie wykorzystać, robić wywiady z ważnymi politykami i znanymi ludźmi, sporządzać szkice na gorąco i tak dalej.

– A więc dziesięć lat temu – uściśliła Nastia, robiąc uwagę w notesie. – I co, pan Ganielin trafił na listę znanych osób, z którymi przeprowadzał pan wywiady? Jako kto? Poważny biznesmen czy przyszła gwiazda polityki? Czy może poznał go pan jako męża Woronowej, ponieważ przeprowadzał pan z nią wywiad?

– Ani jedno, ani drugie. Chciałem wykorzystać urlop, żeby przygotować duży materiał o Woronowej. Właściwie z tego powodu przyjechałem wtedy do Moskwy. Z opublikowanych wywiadów Natalii Aleksandrowny dowiedziałem się, że jej film *Prawa stada* został nakręcony za pieniądze jakiegoś sponsora. To naturalne, że byłem ciekaw, co to za sponsor, dlaczego ni z tego, ni z owego dał jej pieniądze na film. Nawet przypuszczałem, że to jakieś brudne przedsięwzięcie, że pieniądze odpisywano na dobroczynność, za skromną część kręcono film, a reszta szła do podziału między sponsora i Woronową.

– Tak, wiem, istnieją takie praktyki. I co się okazało?

– Że Andriej Konstantinowicz jest od dawna beznadziejnie zakochany w Natalii Aleksandrownie. Wtedy jeszcze nie byli małżeństwem, to znaczy Ganielin był kawalerem, a Natalia Aleksandrowna wiodła szczęśliwe życie u boku swojego pierwszego męża.

– Romantyczna historia – zauważyła Nastia. – A więc zna pan Ganielina już dziesięć lat.

– Nie, to nie tak.

Nastia popatrzyła na Rusłana ze zdziwieniem. Co to znaczy „nie tak”? Nie jest przecież głucha. I nie jest kompletną idiotką.

– A jak?

– Poznałem Andrieja Konstantinowicza dziesięć lat temu, porozmawialiśmy ze trzydzieści, czterdzieści minut, po czym się pożegnaliśmy. I nie widziałem go dziesięć lat, póki nie spotkaliśmy się po raz drugi.

– Kiedy to było?

– Dwa miesiące temu, w kwietniu, gdy przywiozłem Woronowej rękopis mojej powieści.

– Jest pan pewien, że od grudnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku do kwietnia dwa tysiące pierwszego nigdzie na siebie nie wpadliście?

– Absolutnie pewien.

– Może nie w Moskwie? Gdzieś w innym miejscu, podczas delegacji albo urlopu? Jakieś przypadkowe spotkanie, zatrzymaliście się na swój widok, zamieniliście parę słów i się pożegnaliście. I od razu o tym zapomnieliście. Ganielin z Woronową, pan z Janą, pięć minut niezobowiązującej pogawędki, którą człowiek wyrzuca z pamięci, gdy tylko odwróci się od rozmówcy i zrobi kilka kroków. Nie? Nic takiego się nie zdarzyło?

Nilski patrzył na Nastię zaskoczony, chyba nawet zapomniał o swojej apatii.

– Przepraszam, w ramach której hipotezy pyta pani o to? Nie rozumiem, jaki to wszystko ma związek...

– Powiem panu później – obiecała Nastia. – Najpierw proszę sobie przypomnieć, czy nie spotkał się pan z Ganielinem choćby przelotnie w ciągu tych dziesięciu lat.

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno – odparł Rusłan stanowczo.

No dobrze, pomyślała Nastia, słowa męża to jeszcze nie prawda w ostatniej instancji. Zobaczymy, co powie Sierioża Zarubin, gdy poobserwuje słodką parkę w luźnej atmosferze. Idziemy dalej, pytań jest jeszcze dużo.

– Dobrze, a więc pańskie drugie spotkanie z Andriejem Konstantinowiczem odbyło się w kwietniu tego roku. W jakich okolicznościach?

– Przyjechałem do Moskwy i przyniosłem rękopis Natalii Aleksandrownie. Była już żoną Ganielina.

– Gdzie się pan zatrzymał? U Woronowej?

– W hotelu. Później przeprowadziłem się do mieszkania Aloszy. Stoi puste, bo chłopak nie kwapi się mieszkać sam.

– Był pan jeszcze w hotelu, gdy przyjechała pańska żona?

– Nie, już się przeprowadziłem. Przepraszam, Anastazjo Pawłowna, nie rozumiem...

– Przecież obiecałam, że wszystko wyjaśnię. Ale potem, za chwilę.

I znowu krótkie, szczegółowe pytania, które powoli, kreska za kreską, tworzyły obraz. Kiedy po raz pierwszy przyprowadził Janę do domu Woronowej? Jak poznał ją z Ganielinem? Kto był przy tym obecny? Kto co powiedział? Jak często Jana przychodziła do tego mieszkania? Co tutaj robiła? Czy w tym czasie mąż Woronowej był w domu? Czy Jana dzwoniła tutaj? Z kim rozmawiała? O czym? Długo? Co mówiła Rusłanowi o Andrieju Konstantinowiczu, jak się o nim wyrażała? Czy nie zdarzało się, że Rusłan pracował tutaj z Woronową, Jana siedziała w domu, a Andrieja Konstantinowicza nie było?

– Oczywiście, bardzo często tak się zdarzało. Nigdy nie zabierałem Jany ze sobą, gdy jechałem pracować tutaj. Uważałem to za nietakt. Nie szedłem przecież z towarzyską wizytą, lecz pracowałem. Jany nie miał kto zabawiać, więc na pewno nudziłaby się, podczas gdy my z Natalią Aleksandrowną zajmowalibyśmy się pracą. A jeśli chodzi o Andrieja Konstantinowicza, to nierzadko wraca bardzo późno, jest zapracowany, ma mnóstwo spraw na głowie. Jego firma ma fabrykę preparatów leczniczych gdzieś pod Moskwą, ale dosyć daleko. Ganielin regularnie tam jeździ i wraca grubo po północy.

Wspaniale! Podczas gdy pisarz i reżyserka ślęczą nad przeróbką powieści w scenariusz, pozostawiona bez opieki żona pisarza i mąż reżyserki zabawiają się na łonie natury. Tym bardziej że w mieszkaniu, w którym zatrzymali się Rusłan i Jana, nie ma telefonu, więc nasz pisarz, będąc u Woronowej w centrum Moskwy, koło stacji metra Smolenskaja, nie jest w stanie sprawdzić, gdzie w tym czasie podziewa się jego młoda, śliczna i potwornie znudzona żoneczka. Nastii nie podobała się hipoteza zbudowana wokół postaci Ganielina, ale nie miała zwyczaju ignorować faktów.

– Czy nie zdarzało się, że wracał pan do domu od Woronowej, a pańskiej żony nie było?

– Tak, kilka razy. Ale co w tym dziwnego? Mamy lato, o jedenastej wieczorem jest jeszcze jasno, czemu Jana miała siedzieć sama w czterech ścianach? Chodziła do sklepu, niedaleko jest market

całodobowy, robiła zakupy, kupowała lody i coś smacznego. Albo zwyczajnie spacerowała na świeżym powietrzu. Poza tym codziennie jeździła do metra, żeby zadzwonić do domu, do Kemerowa, dowiedzieć się, jak się czują dziewczynki. Koło metra są automaty, które realizują połączenia międzymiastowe, więc kupowaliśmy karty telefoniczne i dzwoniliśmy.

Doskonale. Dlaczego nie spędzić czasu w towarzystwie Ganielina, a w drodze do domu zrobić zakupy i odegrać rolę stęsknionej żony, która czeka na męża z gorącą kolacją? Do Kemerowa można przecież zadzwonić z komórki Ganielina, leżąc na przykład w łóżku, a później powiedzieć, że się pojechało do metra, do automatu. Wyglądałoby to, co prawda, nieco podejrzanie: Rusłan wychodzi z metra, wsiada do autobusu i jedzie do domu, a dwadzieścia minut później zjawia się Jana i mówi, że też była koło metra. Dlaczego więc się nie spotkali? Późnym wieczorem ludzi jest mało, nie sposób zgubić się w tłumie.

– Czy zawsze wracał pan od Woronowej metrem? – zapytała.

– Dziwne pytanie... Czy ma związek ze sprawą?

– Chyba nie. – Uśmiechnęła się. – Mimo to proszę odpowiedzieć.

– Taksówką. W dzielnicy, w której znajduje się mieszkanie Aloszy, wieczorem jest problem z autobusami, czasami trzeba czekać ze czterdzieści minut. Taksówki też się nie złapie, a prywatnych samochodów nie zatrzymuję, sama pani wie, to niebezpieczne. Natalia Aleksandrowna zamawiała mi taryfę przez telefon.

Wszystko jasne. To dlatego mogło nie być pytań typu: „Jak to się stało, że się rozminęliśmy koło metra?”. To jednak dziwne, że Jana jeździła dzwonić tak późno i nie bała się, że będzie musiała czekać na autobus. Zresztą nic w tym dziwnego, jeśli założyć, że w ogóle tam nie jeździła, ale spędzała czas z mężem Woronowej. Że też Rusłan na to nie wpadł.

W salonie zjawiała się Woronowa. Krótkie, przyprószone siwizną włosy miała potargane, oczy jej błyszczały, choć nawet za szklami okularów było widać, że są zaczerwienione – efekt pracy przy komputerze.

– U was wszystko w porządku? Może herbaty, kawy? Jakies kanapki?

Nastia poprosiła o słabą kawę, zastanawiając się, czy Woronowa powie, że dzwonił Zarubin.

– A przy okazji, Anastazjo Pawłowna, dzwonił do mnie pani kolega, niejaki Zarubin. Pracuje u was ktoś taki?

– Owszem. A co chciał?

– Pytał o Andrieja Konstantinowicza. Nie wie pani, po co mu mój mąż?

– Nie mam pojęcia. – Nastia bezczelnie skłamała. – Trzeba go było zapytać.

– Krępowalam się. Pomyślałam, że może pani wie. W końcu pracujecie razem...

– To nic nie znaczy. Każdemu z nas w każdej chwili może się nasunąć dowolne pytanie. Szukamy okazji, żeby od razu je zadać, niczego z nikim nie uzgadniamy. Nie powinno to pani dziwić.

– No dobrze. – Woronowa postawiła na ławie filiżanki z kawą, przyniosła talerz z kanapkami. – Dłużej nie zabieram pani czasu.

Przez otwarte drzwi Nastia zauważyła kątem oka, że Natalia Aleksandrowna zaniósła do pokoju syna olbrzymi kubek, nad którym unosiła się para, i talerz z morelami i czereśniami. Biedny chłopak, pewnie oddałby wszystko za świeży, miękki chleb z kiełbasą, a musi zadowolić się owocami.

I znowu pytania, teraz już o Woronową i Ganielina. Jak wyglądają z boku ich relacje? Jak Natalia Aleksandrowna traktuje męża? A on ją? Jak się zachowują? O czym rozmawiają? Jakie problemy omawiają? Czy często przyjmują gości? Jeśli tak, to kogo, czy to znajomi ich obojga? Jeśli nie, to czyi? I kto konkretnie? Nilski odpowiadał niechętnie, widać było, że pytania wprawiają go w zażenowanie.

– Rusłanie Andriejewiczu, doskonale pana rozumiem. – Nastia westchnęła. – Natalia Aleksandrowna jest w pokoju obok, więc wygląda to tak, jakbym zmuszała pana do opowiadania o jej życiu rodzinnym za jej plecami. To nieładnie, więc czuje się pan niezręcznie. Chcę jednak, żeby zrozumiał pan jedną rzecz. To bardzo prosta myśl, ale w naszej pracy ma fundamentalne znaczenie. Czasami rzeczy wcale nie są takie, jakie wydają się z boku. A czasami z boku wyglądają wcale nie tak, jak widzą je ludzie



zaangażowani w sytuację. Mogłabym zapytać Woronową, czy mąż ją zdradza. Domyśla się pan, co by mi odpowiedziała?

– A jakże. – Rusłan się uśmiechnął. – Powie pani, że Andriej Konstantinowicz jest jej absolutnie wierny. Ja zresztą powiem to samo.

– Tymczasem wiele osób, obserwujących sytuację z boku, może powiedzieć, że to nie do końca prawda. Bo inni widzą i zauważają to, czego nie zauważa i nie widzi żona.

– Teoretycznie ma pani rację, ale ten sposób rozumowania nie przystaje do danej sytuacji. Ganielin jest idealnym mężem, każdy to pani powie. A zatem wszystkie pani pytania są zwyczajną stratą czasu.

– Co pan mówi, Rusłanie Andriejewiczu? – Nastia się roześmiała. – Wcale nie zamierzałam zarzucać panu Ganielinowi niewierności małżeńskiej, podałam jedynie przykład. Tak naprawdę interesuje mnie, jak dalece Natalia Aleksandrowna orientuje się w sprawach męża i odwrotnie, jak dalece mąż jest zorientowany w jej problemach. Innymi słowy, chcę się dowiedzieć, czy są sobie bliscy i mówią jednym głosem, czy mogą ukrywać coś przed sobą, nie zwierzać się ze wszystkiego albo kłamać. Chcę się dowiedzieć, czy mają do siebie zaufanie.

Rusłan słuchał jej, kiwając głową, Nastia nie potrafiła jednak powiedzieć, czy było to oznaką zgody, czy raczej powątpiewania.

No cóż, wszystkie pytania zostały zadane, ale odpowiedzi padły bynajmniej nie wszystkie. Nilski nie chce mówić o pogroźkach pod swoim adresem i używa do tego celu bardzo wątpliwego pretekstu. Teraz nie ma jednak sensu go przyciskać, nie można zmuszać człowieka, by się poddał zbyt szybko, to sprawia, że traci szacunek dla siebie i zaczyna nienawidzić po cichu tego, który go do tego skłonił. Nastia zawsze zdąży wykręcić ręce Nilskiemu, najpierw musi poczekać i zobaczyć, jakie informacje wygrzebie Zarubin. Ale już teraz powinna przygotować przyczółek do ataku.

– No cóż, Rusłanie Andriejewiczu, to na razie wszystko. Jak już jednak uprzedzałam, w każdej chwili mogą się pojawić nowe pytania, więc proszę mi nie mieć za złe, jeśli będę musiała ponownie pana

niepokoić. – Schowała notes do torby i wstała z fotela. – Wybiera się pan gdzieś dzisiaj?

– Nie, będę pracował z Natalią Aleksandrowną.

– Doskonale. To znaczy, że w razie czego znajdę pana tutaj?

– Oczywiście.

Nastia nie usłyszała entuzjazmu w jego głosie.

## Rozdział 11

Drugi dzień nad Moskwą świeciło słońce, więc Siergiej Zarubin cieszył się jak dziecko z nadarzającej się okazji spędzenia trochę czasu na świeżym powietrzu, zwłaszcza w przeddzień delegacji do Kemerowa, gdzie nie będzie miał głowy do spacerów i nie wiadomo, czy pogoda wtedy dopisze. Woronowa dała mu numer telefonu komórkowego Andrieja Konstantinowicza Ganielina, toteż dziesięć minut później jechał już na spotkanie z nim i z Janą Nilską.

– Jesteśmy teraz w Kołomienskim – powiedział Ganielin przez telefon. – Ale akurat wybieramy się na obiad. Spotkajmy się... na przykład w restauracji Hodża Nasreddin w Chiwie. Wie pan, gdzie to jest?

– Na Pokrowce?

– Zgadza się. Zjemy obiad i porozmawiamy.

Propozycja brzmiała kusząco, wspomniana restauracja wydawała się młodemu detektywowi niesłychanie atrakcyjna, podobnie jak każde niespełnione marzenie. Siergiej wielokrotnie mijał szerokie okna, za którymi tajemniczo błyskały w półmroku turkusowe serwetki na niebieskich serwetach i płynnie poruszały się zgrabne dziewczęta w uzbeckich strojach narodowych. Od dzieciństwa lubił wschodnią kuchnię, do której przywykł dzięki prababce ze strony matki. Prababka urodziła się i spędziła pięćdziesiąt lat w Azji. Ale ceny w restauracji nie były na jego kieszeń. Nie pozwoli przecież, żeby Ganielin za niego płacił...

– Co to, to nie, Andrieju Konstantinowiczu. Nie mieszajmy pracy z przyjemnością. Jeśli jesteście państwo bardzo głodni, proszę, byście mimo to spotkali się najpierw ze mną, a dopiero później poszli na obiad.

– Niech się pan nie krępuje, kapitanie. Jeśli przeszkodą są ceny, to jest pan moim gościem. Zapraszam.

– Dziękuję, nie warto, przed chwilą zjadłem obiad – skłamał Zarubin, czując nagły przyptyw głodu. – Będę czekał na państwa koło restauracji, posiedzimy na ławeczce w parku Czystyje Prudy, dobrze?

Po wyjściu z metra Siergiej wpadł do McDonalda, wziął podwójną porcję frytek wiejskich i trzy ciastka z owocami leśnymi, po czym ruszył nieśpiesznie bulwarem w stronę Pokrowki. Do umówionej godziny pozostawało piętnaście minut, wystarczy, żeby zjeść obiad po drodze i zjawić się punktualnie na miejscu spotkania. Pora się żenić, myślał w takt kroków, bo chodzę wiecznie głodny. Żonaci faceci dostają rano sute śniadania, a ja, nieszczęsny i samotny, wypijam rano herbatę z cukrem i już koło jedenastej zaczynam umierać z głodu i tracę zdolność do normalnej pracy, bo myślę tylko o jedzeniu. Czemu zwlekam? Gula to cudowna dziewczyna, muszę się z nią szybko ożenić i żyć jak wszyscy ludzie. W dodatku Gula jest w połowie Tadżyczką, na pewno potrafi przyrządzać moje ulubione dania. Siergiej poznał ją dwa lata temu; na jednym z moskiewskich bulwarów zobaczył ładną dziewczynę i od razu ruszył do ataku. Od tamtej pory wystarczyło, że znalazł się na dowolnym bulwarze albo w miejscu, w którym było dużo drzew i ławek, a od razu zaczynał myśleć o Guli.

Za swój główny problem uważał nieduży wzrost. Nie żeby miał kompleksy z tego powodu, wcale nie, ale tak się jakoś składało, że dziewczęta, które pasowały do niego wzrostem, spotykał wyjątkowo rzadko, a jeśli nawet je spotykał, to przeważnie pozostawały w stałych związkach z wysokimi chłopakami o gabarytach koszykarzy. Zarubina drażniła niesprawiedliwość podziału sympatii; uważał, że mężczyźni mający ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu powinni szukać przyjaciółek pośród rosnących dziewcząt i nie powinni porywać się na kontyngent miniaturowych laleczek. Tymczasem Gula, mimo niziutkiego wzrostu i niewątpliwie atrakcyjnej powierzchowności, miała też bystry umysł, skłonność do niezależności i bardzo zgodny charakter, to znaczy nie żądała od Siergieja, żeby poświęcał jej cały swój czas wolny i przesiadywał od

rana do wieczora, trzymając ją za rękę. A więc postanowione, dzisiaj się oświadczę – myślał, metodycznie wsuwając do ust kawałki pieczonych ziemniaków. Gdy tylko Gula wróci wieczorem z letniska, pójdę do niej i powiem... Nie, do licha, lecę przecież do Kemerowa. Zupełnie zapomniałem. Dobra, gdy tylko wrócę, tego samego dnia z nią porozmawiam. Nie, nie będę zwlekać, zadzwonię jutro i oświadczę się przez telefon. Jeśli się zgodzi, niech się zaczyna szykować. Jakaś sukienka, pantofle, to, tamto...

Oddając się przyjemnym marzeniom i nie mniej przyjemnemu procesowi pochłaniania jedzenia, Siergiej nie zauważył, jak mimo woli zwolnił kroku, i zreflektował się dopiero wtedy, gdy zobaczył zaparkowanego białego mercedesa Ganielina, od którego dzieliło go co najmniej dwieście metrów. Pośpiesznie wepchnął do ust resztki ostatniego z trzech ciastek, przyśpieszył kroku i niemal zaczął biec. Wysoki, otyły Ganielin i mała, zgrabna Jana czekali na niego przy samochodzie. Rozmawiali o czymś, a Siergiej próbował dojrzeć z daleka te przypadkowe, prawie niekontrolowane gesty, które mimo woli zdradzały bliskość relacji. Andrieja Konstantinowicza zobaczył najpierw zbliżając się do niego, porównywał jego powierzchowność z opisem otrzymanym od osób, które rozpoznały Janę na zdjęciu i powiedziały, że była z mężczyzną. Tak, to na pewno on. W każdym razie bardzo go przypomina.

– Przepraszam za drobne spóźnienie – powiedział z poczuciem winy, próbując przy tym dyskretnie strzepnąć okruszki ciasta francuskiego z koszuli w niebieską kratę.

– Wszystko w porządku – wesoło oznajmił Ganielin. – Przyjechaliśmy znacznie wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Dzisiaj drogi są całkiem puste, deszcz przestał padać, więc wszyscy wybrali się na letniska. A więc kategorycznie odmawia pan zjedzenia z nami obiadu? Może zmieni pan zdanie, Siergieju Kuźmiczu?

Siergiej rzucił spojrzenie najpierw w stronę okien, nęcących swoją turkusowoniebieską głębią, później w stronę portiera, który zawczasu ujął za klamkę drzwi wejściowych i pochylił się lekko, gotów wpuścić drogich gości. Ci, którzy mieli szczęście odwiedzić restaurację, chwalili tutejszą kuchnię, nie żałując epitetów. Po śmierci prababci Zarubinowi rzadko udawało się zjeść smaczny

pilaw. Babcia, rzecz jasna, też go przyrządzała, ale to już nie było to... Prababcia Madina żyła długo, umarła, gdy Sierioża miał piętnaście lat, ona zaś – dziewięćdziesiąt dwa. Swoją ostatnią pilaw przygotowała dwa dni przed śmiercią i od tamtej pory Zarubin nie miał okazji zjeść czegoś, co choćby w niewielkim stopniu przypominało to zachwycające danie. Tymczasem znawcy i koneserzy zapewniali, że w Hodży pilaw jest właśnie taki, jaki powinien być. Człowiek jest słaby i ulega pokusie...

– Bardzo dziękuję. – Wysiłkiem woli się przemógł. – Ale chyba się umówiliśmy: najpierw rozmowa, później się żegnam, a państwo jecie obiad.

Przeszli na drugą stronę, skręcili na bulwar i usiedli na pierwszej wolnej ławce.

– Proszę powiedzieć, Jano – zaczął Zarubin – czy Rusłan nie miał nieprzyjemności z powodu artykułów, które publikował?

– Regularnie. – Jana uśmiechnęła się, błysnąwszy zębami. Szare oczy spoglądały wesoło spod grzywki w kolorze ciemnobłond. Dziewczyna aż promieniała radością i zadowoleniem, niczym nie przypominała tamtej cichej, małomównej, przybitej tym, co się wydarzyło, młodej kobiety, którą Siergiej widział zaledwie trzy dni wcześniej, w czwartek rano.

– A konkretnie?

– Grożono mu sprawą w sądzie, pobiciem i śmiercią. Zakosztowaliśmy tej rozkoszy pod dostatkiem. Niech pan zapyta Rusłana, to panu powie.

– Zapytam – obiecał Siergiej. – Teraz chciałbym usłyszeć pani opinię i ocenę. Zapewniam, że z boku widać lepiej. Chcę wiedzieć, jak poważne były te pogróżki. Pani mąż to mężczyzna, a prawdziwy mężczyzna zawsze bagatelizuje niebezpieczeństwo, że niby to nic takiego, głupstwa, bzdura, nawet nie warto zwracać uwagi. Ale pani, Jano, jest kobietą, więc powinna wyczuwać niebezpieczeństwo szóstym zmysłem, zwłaszcza że jest pani matką. Dlatego wolę najpierw porozmawiać z panią. Czy może pani powiedzieć, kto konkretnie groził Rusłanowi? Najbardziej interesują mnie ostatnie miesiące jego pracy w gazecie. Historie sprzed trzech lat może pani na razie pominąć.

– No cóż, po pierwsze Bogomolec. To taki nasz autorytet kryminalny. Może pan o nim słyszał?

– Owszem. – Siergiej kiwnął głową.

Słyszał o Bogomolcu, jego ugrupowanie było głośne w całym obwodzie kemerowskim, a ostatnio ludzie Bogomolca zaczęli odwiedzać Moskwę. Nie zaliczyli, co prawda, żadnej wpadki, w nic nie wdepnęli, sporo było jednak informacji operacyjnych na temat ich wyczynów.

– No więc najpierw Rusik napisał o Bogomolcu, ale gość miał to gdzieś, wielkie rzeczy, wszyscy i tak wiedzą, że jest autorytetem kryminalnym. A później Rusik napisał o jednym aferzyście, który został deputowanym Dumy Państwowej i przeprowadził się do Moskwy. To kumpel Bogomolca. O tym Rusik też napisał. No i wtedy zaczęły się pogrożki.

– Na czym polegały? Czego oni chcieli?

– Żeby Rusik nie ważył się podejmować więcej tego tematu.

– Jak zareagował pani mąż? Przestał pisać o... No właśnie, jak się nazywa ten działacz z Dumy?

– Fietisow. Jewgienij Fietisow. Tak, oczywiście, Rusik przestał pisać, ale nie dlatego, że mu grożono. Akurat wtedy postanowił odejść z dziennikarstwa. Niech pan nie myśli, że się przestraszył. Po prostu zrozumiał, że powinien zająć się czymś innym... Zresztą to nieważne. Dawno chciał napisać dużą powieść, no i uznał, że nadszedł czas.

– A dlaczego jest pani pewna, że się nie przestraszył? – Zarubin z uporem wracał do tego, co go interesowało. – Może jego rezygnacja z dziennikarstwa wiąże się właśnie z tym? To mu w żaden sposób nie uwłacza, jest odpowiedzialny za panią, Jano, i za wasze dzieci, więc jako człowiek rozsądny powinien był zrobić, co w jego mocy, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo. Nie ma niczego naganego w tym, że ktoś rezygnuje z pracy, którą kocha, dla dobra żony i dzieci.

– To nieprawda! Co pan opowiada?! – Jana zaczęła się irytować, jej głosik zadzwieczał jak miedziany dzwoneczek. – Rusik nie jest z tych, których można zmusić do czegoś groźbami. Przez całe życie robił tylko to, co chciał. To znaczy to, co uważał za słuszne i potrzebne. Póki chciał być dziennikarzem, pisał artykuły. Gdy zapragnął

napisać powieść, to ją napisał. Nikomu nie jest nic dłużny. Czy pan podejrzewa, że to Fietisow? Mam na myśli list i szczury...

Skuliła się, jakby zobaczyła przed sobą pudełko z zakrwawionymi kadłubami nieszczęsnych zwierząt.

– Na razie tego nie twierdę, ale dopuszczam taką ewentualność. Ustalmy daty. Kiedy Rusłan napisał materiał o Fietisowie?

– Jakies... jakies półtora roku temu.

– A kiedy zaczęły się pogróżki?

– Prawie od razu. Najpierw Rusika pobito, ale niezbyt mocno, nawet nie trafił do szpitala, leczym go w domu. A później, następnego dnia, zaczęły się telefony.

– Nie rozumiem sensu telefonów. Przecież materiał został już opublikowany, tak?

– Musi pan wiedzieć, Sierioża, że w tamtym materiale Rusik złożył deklarację. Że niby jest jeszcze wiele niejasności związanych z tą sprawą, z tą i z tamtą, ale będziemy kontynuować śledztwo dziennikarskie i niebawem, drodzy czytelnicy, dowiedziecie się, jak było naprawdę. To znaczy z materiału wynikało, że Rusik zamierza dalej ryć pod Fietisowem i pisać o tym.

– Uhm, uhm – mruknął Zarubin. – No i co było dalej? Rusłan nadal zbierał materiał o Fietisowie?

– Ma się rozumieć. Przecież mówię, że Rusik niczego i nikogo się nie boi.

– Czyli że on zbierał materiał, a oni...

– A oni dzwonili – dokończyła Jana. – Potem zniszczyli nasz samochód, wybili wszystkie szyby, zdjęli koła, pocięli nożem tapicerkę. A później znowu dzwonili.

– Bała się pani? – zapytał Siergiej współczująco.

– Ja tak, bardzo. Prosiłam Rusika, żeby zrezygnował i dał sobie spokój z tą sprawą, mamy przecież dzieci... A on mówił, że nie powinnam się martwić, bo oni nic nam nie zrobią. Cała redakcja wie, że Fietisow i Bogomolec grożą Rusikowi, więc jeśli coś mu się stanie, nikt nie będzie miał wątpliwości, czyja to robota. Bogomolec też nie jest durniem i wie o tym doskonale, dlatego ograniczy się do pogróżek. Wszyscy chcą prowadzić wygodne życie, nikt nie chce trafić do więzienia.



Argumentacja – nic, tylko płakać. Oczywiście, gdy ma się do czynienia z ludźmi niegrzeszącymi rozumem, takie rachuby są w pełni uzasadnione. Jak chcesz zabić – zabij od razu, nie okazuj negatywnego stosunku do człowieka, wtedy nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby cię podejrzewać, a tym bardziej oskarżać. Ale jeśli zacząłeś już grozić, to trzeba być kompletnym kretynem, żeby decydować się potem na zabójstwo, przecież jako pierwszy trafisz na listę podejrzanych. Tak jednak bywa tylko w klasycznych kryminałach, gdy mądry detektyw prowadzi grę z równie mądrym przestępcą. W rzeczywistości mądrych przestępców spotyka się o wiele rzadziej niż w książkach, za to obranych z rozumu – bez liku. Takie półgłówki w ogóle nie potrafią przewidzieć biegu zdarzeń, nie wybiegną myślami nawet pół godziny do przodu, ich ptasie mózdzki są genetycznie pozbawione zdolności pojmowania pojęcia „przyszłość”, żyją tylko chwilą. Osobnicy tego typu łatwo zdradzają swój konflikt z jakąś osobą, a później na oczach ucziwych obywateli zabijają przeciwnika, licząc pewnie albo na boga z maszyny, który zjawi się i zniszczy wszystkich świadków, albo na lenistwo, tchórzostwo i sprzedajność milicji, co niewątpliwie się zdarza, ale bynajmniej nie zawsze. Czy tak doświadczony dziennikarz jak Nilski mógł tego nie rozumieć? Skąd, na pewno wszystko doskonale rozumiał, po prostu chciał uspokoić żonę, a ona, naiwna gąska, uwierzyła.

– Jak długo trwały pogrożki?

– Dwa lub trzy miesiące. Nie, myślę się, dłużej... Póki Rusik nie zwolnił się z gazety. Jakies pół roku.

– I co potem?

– Jak nożem uciął. Rusik przestał się interesować Fietisowem i wszystko się skończyło.

Skończyło się, no jasne... Chyba dopiero się zaczyna.

– Jano, czytała pani powieść męża? – zapytał.

– Oczywiście. A dlaczego?

– Czy jest tam jakaś historia przypominająca sprawę Fietisowa? Może Ruslan zrezygnował z dziennikarstwa, postanowił jednak wyjawic czytelnikom prawdę o tym człowieku? Może nawet dał mu inne nazwisko, ale ten, o kogo chodzi, domyśli się, o kim mowa.

– Sądzi pan... – wybąkała Jana z zakłopotaniem. – Nie, chyba nie ma niczego podobnego w powieści.

– Jak to nie ma, Janoczko? – Ganielin włączył się nagle do rozmowy. – Nie czytałem artykułów Rusłana, ale mogę wnioskować nawet na podstawie tego, co tutaj omawiacie. Powieść zawiera właśnie taką historię, są postaci wiernie odwzorowujące Bogomolca i Fietisowa. Jest nawet dziennikarz, którego obaj zastraszają.

No proszę, okazuje się, że Andriej Konstantinowicz uważnie przysłuchiwał się rozmowie, a przecież siedział z nieobecną miną, patrzył w bok i ani jednym słowem, ani jednym gestem nie przypominał o sobie.

– Ależ skąd, Andrieju Konstantinowiczu, w powieści wszystko wygląda zupełnie inaczej – zaproponowała Jana, lecz w jej głosie nie było pewności.

– Siergiej Kuźmicz ma rację: ten, o kogo chodzi, się domyśli. Powierzchność, a nawet charakter postaci mogą być dowolne, ale jeśli sposób działania został opisany dokładnie, to nikt nie będzie miał wątpliwości. Wygląda więc na to, że Fietisow i Bogomolec znowu zastraszają Rusłana, żeby nie opublikował powieści w takiej postaci. Słusznie rozumiem, Siergieju Kuźmiczu?

Na pełnej, dobroduszej twarzy Ganielina malował się prawdziwy niepokój. Zresztą niewykluczone, że mężczyzna jest dobrym aktorem.

– W zasadzie tak, ale jest jeszcze wiele niejasności – odparł Zarubin wymijająco. – Jak, na przykład, ci panowie mogli poznać treść powieści, skoro nie została jeszcze opublikowana?

– Tak, rzeczywiście, o tym nie pomyślałem.

Ale ja pomyślałem, złośliwie stwierdził Siergiej w duchu. Fabułę powieści mogły zdradzić osoby, które ją czytały. Woronowa, pan, Andrieju Konstantinowiczu, Rusłan, Jana, szefostwo stacji telewizyjnej, ponieważ Woronowa pokazała im rękopis, Irina Sawienicz, bo to bliska przyjaciółka Woronowej. Z pewnością znajdzie się jeszcze z pięć, sześć osób. Liczba jest ograniczona, łatwo można namierzyć tego, kto mógł powiadomić Fietisowa albo Bogomolca. Trzeba tylko dokładnie ustalić, komu pokazano powieść.

Będę musiał zadzwonić do Kamieńskiej, niech zada to pytanie Nilskiemu i Woronowej.

– Dobrze, zostawmy tymczasem ten temat. Mam jeszcze jedno pytanie do pani. Jano, czy wśród pani znajomych jest jakiś namiętny wielbiciel twórczości Marka Twaina?

Dziewczyna wydawała się zaskoczona. Nic w tym dziwnego, przed chwilą rozmawiali o pogrózkach i autorytetach kryminalnych, a tu nagle jakiś Mark Twain! Jana chyba nawet się nie orientuje, o co pyta Zarubin i kto to taki ten Mark.

– Mark Twain? – powtórzyła niepewnie. – Ten od Tomka Sawyera?

– I Huckleberry’ego Finna na dokładkę – uzupełnił Siergiej. – I *Księcia i żebraka*, i *Jankesa na dworze króla Artura*. W dzieciństwie zaczytywałem się nimi. Ale pani chyba nie jest miłośniczką tego pisarza, prawda?

– Szczerze mówiąc, w ogóle go nie czytałam – przyznała się.

– Ale przynajmniej słyszała pani?

– Tak, oczywiście, słyszałam.

– Od kogo?

– Nie pamiętam już, wspomiano w szkole... Pamiętam, że był film o Tomku Sawyerze.

– A później, gdy pani dorosła, nikt ze znajomych nie wynosił pod niebiosa Marka Twaina? Nie mówił o nim z zachwytem, z fascynacją, tak jak mówią prawdziwi pasjonaci?

– Chyba nie... Co za dziwne pytanie. Dlaczego pan pyta?

– Z czystej ciekawości. – Siergiej znowu wykręcił się od bezpośredniej odpowiedzi. Właściwie nie miał czego ukrywać, ale obecność Ganielina wprawiała go w stan napięcia. Mężczyzna nazbyt ochoczo włączył się do rozmowy, mimo że nikt go nie pytał. I włączył się akurat w chwili, gdy pojawiła się dogodna okazja, by zwrócić uwagę na treść powieści Nilskiego oraz na Fietisowa i Bogomolca.

Rozmowa toczyła się nie po myśli Zarubina. Pogawędka na ławeczce przy bulwarze jest odpowiednia, żeby zdobyć informacje. Nie nadaje się jednak, jeśli chce się obserwować rozmówców. Zarubin odmówił obiadu, a przecież byłaby to doskonała okazja, by zobaczyć, jak Ganielin i Jana rozmawiają ze sobą, jak patrzą na siebie... Gdy ludzie rozmawiają, muszą się widzieć, a nie siedzieć na

ławeczce jeden obok drugiego, jak w kolejce do gabinetu lekarza. Nic na to jednak nie poradzi, na samym początku popełnił błąd, umawiając się na Pokrowce, powinien był zaproponować spotkanie koło pomnika Gribojedowa, w pobliżu metra, jest tam letnia knajpka Rosyjskie Bistro, w której można posiedzieć na świeżym powietrzu przy stoliku, zjeść coś za niewielkie pieniądze i porozmawiać. Teraz za późno, by rwać sobie włosy z głowy. Ludzie, którzy zamierzają zjeść obiad w lokalu Hodża Nasreddin, nie zechcą psuć sobie apetytu w niedrogiej knajpce, tym bardziej że restauracja znajduje się trzy razy bliżej niż bistro. Dureń z ciebie, Zarubin! – ofuknął się w myślach wywiadowca.

– Andrieju Konstantinowiczu, do pana też mam pytania.

– Słucham uważnie – odrzekł Ganielin ochotczo.

– Czy wśród pańskich kolegów w biznesie są osoby nieżyczliwe panu?

– Naturalnie. – Andriej Konstantinowicz się uśmiechnął. – Nie jestem przecież aniołem. Moim zdaniem każdy ma nieprzyjaciół, to normalne.

– Chodzi mi o konkretne osoby, te, które są niezadowolone z pańskiego sponsoringu prac żony. Nie przyszło panu do głowy, że któraś z nich próbowała przerwać zdjęcia? Ze złości, żeby zaszkodzić i żeby panu dopiec. Proszę się zastanowić, Andrieju Konstantinowiczu.

Ganielin zdjął okulary z grubymi soczewkami, nieśpiesznie przetarł szkła chusteczką, którą wyjął z kieszeni lekkiej jasnej koszuli.

– Zaskoczył mnie pan, Siergieju Kuźmiczu. Szczerze mówiąc, nie przyszło mi to na myśl. Czyżby miał pan podstawy, by tak sądzić?

– Bardzo nikłe. Ale powinienem sprawdzić wszystko. Na razie są tylko bardzo niepewne informacje, które mogą się nie potwierdzić. Muszę pojechać do pańskiej fabryki i porozmawiać z ludźmi.

– Oczywiście, na miłość boską, sam pana tam zawiozę. Może jutro z samego rana? – zaproponował od razu Ganielin.

Jutro będę już w Kemerowie, odparł w myślach Zarubin. A do fabryki pojedzie ktoś zupełnie inny. Pan jednak nie musi o tym wiedzieć.

– Dziękuję, ale nie warto jechać razem. – Siergiej się uśmiechnął. – Pojadę sam, pokręcę się wśród personelu, zadam różne pytania. Kto wie, może usłyszę coś ciekawego. Jest tam bardzo interesująca postać w osobie dyrektora, muszę mu się przyjrzeć. Niech pan będzie tak dobry, wymyśli mi jakąś historyjkę i wytłumaczy, jak tam dojechać.

– Aha, chodzi panu o niego – wycedził Ganielin. – Rozumiem. Nie podzielał pańskich podejrzeń, ale ma pan do nich prawo. Dyrektor fabryki jest rzeczywiście niejednoznaczna postacią. Nieraz mi wspomniano, że ma jakieś powiązania ze światem przestępczym, sądziłem jednak, że póki to nie szkodzi mojemu biznesowi, nie powinno mnie dotyczyć.

– Ale on jest przecież jednym z akcjonariuszy – zauważył Zarubin.

– Tak, tak, oczywiście... Zaraz przyniosę mapę okolic Moskwy, mam ją w samochodzie, i pokażę panu, jak jechać.

Ganielin już miał wstać z ławki, ale Jana go uprzedziła, podrywając się gwałtownie.

– Proszę siedzieć, Andrieju Konstantinowiczu. Ja przyniosę. Gdzie jest mapa?

– W schowku.

Ganielin sięgnął do kieszeni po kluczyki i wręczył je Janie.

– Naciśniesz ten przycisk, żeby wyłączyć alarm. – Pokazał Janie brelok. – Później znowu włączysz. Rozumiesz?

– Tak.

Jana ruszyła do samochodu, lekko przebierając nóżkami w eleganckich pantofelkach.

– Świetna dziewczyna – powiedział Ganielin z uczuciem, śledząc ją wzrokiem.

– Świetna – chętnie podjął Siergiej. – Widzę, że już się całkiem pozbierała po wstrząsie. W czwartek strach było na nią patrzeć, nie chciała rozmawiać, wciąż się kuliła w sobie. A teraz wygląda, jakby ją ktoś podmienił. Jak się to panu udało?

– Nikt panu nie mówił, że na wszelkie urazy psychiczne pomaga tylko jedno lekarstwo: miłość i tkliwość? – zapytał Ganielin z kpiną.

– Doprawdy? Miłość i tkliwość?

– Czemu pan tak patrzy? Mówię przecież w przenośni, nie dosłownie. – Andriej Konstantinowicz roześmiał się dobrodusznie. – Dziewczyna potrzebowała odskoczni i udało mi się jej to zapewnić. Jest przecież bardzo młodziutka, niewiele jej trzeba. Drogie sklepy, drogie restauracje, nocne kluby, ładne parki, muzea pałacowe, jednym słowem, cały zestaw stołecznych rozrywek... i oto efekt. Gdyby, na przykład, moja Natalia wpadła w taką depresję, tobym tak łatwo sobie z nią nie poradził, moja żona nie da się zwieść restauracjami i sklepami. A Janoczka to nietrudny przypadek.

– Ale przecież nie może pan spędzać z nią całych dni – zauważył Zarubin delikatnie. – A zdjęcia skończą się nieprędko. Gdy tylko przestanie się pan z nią cackać, znowu zacznie się nudzić, straci humor i przypomni sobie o swoich lękach. I co wtedy?

– Będę się z nią cackał tak długo, jak długo trzeba. – Niespodziewanie głos Ganielina stał się szorstki i oschły. – Nawet jeśli ucierpi na tym praca. Znacznie ważniejsze jest dla mnie to, by Natalia spokojnie kręciła film. Jeśli zajdzie potrzeba, żebym wyrwał z życia trzy miesiące i rzucił je Janie pod nogi, zrobię to bez namysłu. Jestem gotów na wszystko, byle tylko nie zawracała głowy Rusłanowi, nie zmuszała go do wyjazdu i nie przeszkadzała pracować ani jemu, ani Natalii.

– Proszę nie myśleć, że jestem cyniczny, ale w tej sytuacji najlepszym lekarstwem byłby jakiś namiętny romans. Przyzna pan, Andrieju Konstantinowiczu, że gdyby Jana zakochała się w kimś tutaj, w Moskwie, to zostawiłaby Rusłana w spokoju i nie upierałaby się przy wyjeździe. Co pan na to?

Ganielin zerknął na niego z ciekawością, Siergiej dostrzegł jednak w jego oczach cień odrazy.

– Młody człowieku, rozumiem pańską myśl. Gdy powiedziałem, że jestem gotów na wszystko, nie chodziło mi o...

Siergiej nie słuchał do końca, bo zza zakrętu wyłoniła się Jana, biegnąca ku nim co tchu. W rękach nie miała żadnego atlasu drogowego.

– Coś się stało. – Siergiej szybko ruszył jej na spotkanie. – Chyba ukradziono pański samochód.

Gdy Jana podbiegła do niego, wyglądała na śmiertelnie przestraszona.

– Tam... tam...

Z trudem łapała oddech i dlatego nie mogła mówić składnie.

– Co – tam? – zapytał Zarubin natarczywie. – Ukradzono samochód?

– Nie... samochód... jest na miejscu... widziałam pistolet...

– Gdzie? Jaki pistolet?

– Nie wiem, nie znam się... Leży w schowku... Widziałam go... Ogarnął mnie strach...

Boże, ależ ona jest jeszcze niedojrzała! Zobaczyła pistolet i się przestraszyła. Czysta dziecinada, jak słowo daję.

– Andrieju Konstantinowiczu. – Siergiej podszedł do ławki, mocno trzymając drżącą Janę za rękę. – Ma pan broń?

– Jaką broń?

– Jakąkolwiek. Białą albo palną. Na przykład pistolet lub rewolwer. Dowolną.

– Nie, po co mi ona? Nie mam nawet pozwolenia.

– Ale Jana zapewnia, że w pańskim samochodzie jest pistolet.

– Bzdura! To niemożliwe. Skąd miałby się tam wziąć?

– Sama widziałam, Andrieju Konstantinowiczu! Otworzyłam schowek, żeby wyjąć mapę, a on tam leży...

– Może się pani przywidziało? – zapytał Zarubin cierpliwie. – Może to jakiś metalowy przedmiot. Przed chwilą rozmawialiśmy o przestępstwach i zabójstwach, więc się pani przywidziało.

– Nic mi się nie przywidziało! – krzyknęła histerycznie. – Wyjęłam go, trzymałam w rękach.

Ganielin szybko wstał i stanowczym krokiem ruszył w stronę Pokrowki.

– Chodźmy zobaczyć, co to za diabelstwo.

Siergiej posłusznie podążył za nim, nie puszczając ręki Jany.

– Daj mi kluczyki – powiedział surowo Andriej Konstantinowicz, gdy wszyscy troje znaleźli się koło samochodu.

Jana potulnie rozwarła spoconą, mocno zaciśniętą piąstkę i podała mu kluczyki do samochodu. Ganielin otworzył przednie drzwi od strony pasażera.

- Sam pan zobaczy? - zapytał Siergieja ze złością. - Czy mi zaufa?
- Wolałbym sam.

Siergiej delikatnie otworzył schowek i zajrzał do środka. Typowy zestaw podróżującego dżentelmena: atlasy, kasety audio, rękawiczki do jazdy, składany parasol, futerał na okulary, dwa opakowania gumy do żucia, radio samochodowe, które zwykle wyjmuje się i chowa, gdy opuszcza się samochód na dłużej. I pistolet.



Nastia Kamieńska postanowiła nie oddalać się zbyt od domu Woronowej. Wolała poczekać, aż zadzwoni Sierioża Zarubin i powie, co nowego i ciekawego udało się dowiedzieć, i dopiero później zdecydować, czy powinna wrócić, żeby jeszcze raz porozmawiać z Rusłanem. Znalazłszy się na obwodnicy Sadowej, wsunęła na nos okulary i zaczęła lustrować pobliskie domy w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłaby spędzić miło czas. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła chińską restaurację i pomyślała, że mogłaby odnowić znajomość z tamtymi smacznymi daniami, którymi częstował ją Korotkow. *À propos* Korotkova, przemknęło jej przez głowę. Gdzie on zamierza zjeść dzisiaj kolację? U mnie czy gdzieś indziej? Jeśli u mnie, to muszę zrobić zakupy. Ryba po grecku wyszła, oczywiście, znakomicie, ale tego, co zostało po śniadaniu, z pewnością nie wystarczy, zwłaszcza na dwoje.

Wyjęła z torby telefon i zadzwoniła do Jury. Korotkow siedział w pracy.

- Myślałam, że jesteś na randce ze swoją uroczą aktorką - powiedziała Nastia ze zdziwieniem. - Przecież się wybierałeś.

- Nie udało się. A ty gdzie jesteś?

- Właśnie wyszłam od Woronowej.

- Jest coś?

- Na razie nic istotnego. Ale mam nadzieję, że będzie później. Jura, jakie masz plany na wieczór?

- A czemu pytasz? Zamierzasz przyprowadzić kochanka do domu?

- Korotkow zachichotał złośliwie.



– Uhm, trzech, żeby nie było nudno. Błazen z ciebie. Pytam o kolację. Jeśli wracasz, to zajmę się zakupami.

– Daj spokój, koleżanko. Nie mam jeszcze pewności co do wieczoru, ale jeśli przyjadę do ciebie, to przywiozę jedzenie. Obudziło się we mnie sumienie. Jak sobie przypomnę twoje wczorajsze heroiczne wysiłki, to się czerwienię ze wstydu. Tak czy inaczej, zadzwonię i cię uprzedzę.

No to jeden problem z głowy. Nastia schowała telefon do torby i wróciła do lustrowania okolicy. A to co takiego? Chyba irlandzki bar, nie wiedzieć czemu nazwany pubem. Tam właśnie pójdziemy. W porównaniu z restauracją w barze chyba nie jest tak pompatycznie i różnorodnie, jeśli chodzi o kuchnię, ale na pewno serwują tam kawę po wiedeńsku z górą bitej śmietany.

Pub spełnił pokładane w nim nadzieje. Nastia starannie przestudiowała menu, doszła jednak do wniosku, że po dwóch arcyobfitych śniadaniach nie może nawet myśleć o jedzeniu, i ograniczyła się tylko do kawy i soku. Starła się skupić i myśleć o sprawie, ale myśli wciąż biegnęły ku pobocznym tematom. W szczególności ku Korotkowowi. Jeszcze kilka dni – i Jura przeprowadzi się do mieszkania przyjaciela. A ona znowu zostanie sama. Czy to dobrze, czy źle? Nastia lubiła samotność i nigdy się nie nudziła. Zanim wyszła za męża, przez wiele lat mieszkała sama, zresztą po ślubie nie spędzała każdego wieczora w towarzystwie męża, ponieważ Losza pracował pod Moskwą. Życie w pojedynkę to dla niej nie nowość. Gdy więc na horyzoncie pokazał się Korotkow ze swoim rodzinnym problemem i nieśmiałą, zawołowaną prośbą, żeby pozwolić mu przenocować, Nastia sama zaproponowała gościnę, chociaż ogarnął ją wewnętrzny niepokój, miała przeczucie, że będzie poirytowana koniecznością spędzania wieczorów, spania w jednym pokoju i jedzenia śniadania z dawnym znajomym, lubianym po koleżeńsku, który tak naprawdę jest jednak obcym mężczyzną. W dodatku będzie musiała go żywić, innymi słowy – gotować mu, co wydawało jej się nie do przyjęcia. Ale Jurik spędził u niej cały tydzień i nic strasznego się nie stało. Nie zwariowała z rozdrażnienia i nie umarła w wyniku przeciążenia nerwowego, stojąc przy kuchence. Co więcej, obecność Jury w domu wygląda i jest

odbierana harmonijnie, jako dalszy ciąg dnia pracy i sytuacji służbowej. Gdyby Korotkow mieszkał u siebie albo w jakimś innym miejscu, oboje siedzieliby na Pietrowce do późnego wieczora i omawiali to, co omawiają w przytulnej kuchni. Gdy więc Jura wyprowadzi się w końcu, będzie jej przykro... Zrozumiała to doskonale tamtego wieczora, gdy Jura nie wrócił na noc, został u Iriny Sawienicz. Tak, tak, chociaż to dziwne, będzie jej go brakowało. Poza tym jego obecność sprawia, że Nastia chcąc nie chcąc musi być panią domu, może nie w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz przynajmniej częściowo. Musi gotować, robić zakupy, zmywać naczynia, jednym słowem, robić to, co zawsze robią normalne kobiety i czego nigdy nie robiła, w każdym razie przez cały tydzień. Od czasu do czasu, raz w miesiącu – owszem, ale żeby codziennie... I co najdziwniejsze, okazało się, że to nie jest ciężar ani nieprzyjemny obowiązek, że wniosło miłe urozmaicenie do jej życia, czego się w ogóle nie spodziewała.

Spokojnie pociągała przez słomkę świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, snuła nieśpieszne, beztroskie myśli i leniwie wodziła wzrokiem po gościach baru. Gdy po raz kolejny zerknęła na stolik przy oknie, jej spojrzenie skrzyżowało się z uważnym spojrzeniem siwego mężczyzny z młodo wyglądającą twarzą. Czemu on się jej przygląda? Może gdzieś się poznali? Nastia wyteżyła pamięć, ale niczego sobie nie przypomniała, młodo wyglądająca, urodziwa twarz z wyraźnie zarysowanymi brwiami wydała jej się obca. Nie, chyba nigdzie się nie spotkaliśmy, mężczyzna jest tak przystojny, że zapamiętałabym – uznała w duchu.

Natarczywe spojrzenie niepokoiło ją coraz bardziej, nawet kawa wydała się mniej smaczna. Żeby odwrócić uwagę, Nastia wyjęła notes, długopis i okulary i spróbowała zająć się sprawą. Jakie zatem są fakty? Rzecz najważniejsza: Jana Nilska miała mnóstwo okazji, by się z kimś spotykać w tajemnicy przed mężem. Po pierwsze, jej wyprawy z kierowcą Tiejmurazem. Odkryto co najmniej dwa przypadki, kiedy wysiadała z samochodu i spędzała nie wiadomo gdzie i jak około dwóch godzin. Jednego razu była gdzieś tutaj, koło stacji metra Smolenskaja i domu Woronowej (czytaj – domu Ganielina), innym razem – w restauracyjce na prospekcje Mira

w towarzystwie dobrze zbudowanego, tęgiego, mniej więcej pięćdziesięcioletniego mężczyzny (znowu czytaj – Ganielina). Możliwe, że takich przypadków było więcej, ale nawet te dwa wystarczą, by wyrobić sobie ogólny pogład. Po drugie, Jana pozostawała bez żadnej kontroli w godzinach, które jej mąż spędzał u Woronowej, żeby pracować nad scenariuszem. W dodatku ze słów Iriny Sawienicz, Rusłana Nilskiego i samej Woronowej wynika, że gdy Rusłan był u Natalii Aleksandrowny, Jana wciąż tam dzwoniła pod rozmaitymi pretekstami. Woronowa uważa, że powodowała nią zazdrość. Jana była chorobliwie zazdrosna o męża, co dla nikogo nie było tajemnicą, cała ekipa filmowa natrzęsała się skrycie z zazdrości młodej kobiety. Ale przecież można spojrzeć na sytuację inaczej: Jana dzwoniła, żeby się dowiedzieć, gdzie w danej chwili jest jej mąż: wciąż jeszcze u Woronowej czy pojechał już do domu. Taki punkt widzenia jest całkowicie usprawiedliwiony, jeśli założyć, że Jana miała kochankę w Moskwie. Ganielina? A może kogoś, kto specjalnie nawiązał z nią znajomość i wciągnął w swoje gierki, by ułatwić zabójstwo Tiejmuraza? A jeśli wziąć pod uwagę trzecią hipotezę, że ten ktoś to właśnie Ganielin? Dlaczego nie? Co prawda, na pierwszy rzut oka Andriej Konstantinowicz nie miał powodu zabijać nieszczęsnego kierowcy. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Jeśli czegoś nie wiemy, to nie znaczy, że tego nie ma...

Nastia rysowała kwadraciki, wpisywała w nie imiona, kreśliła strzałki oznaczające związki między obiektami i zdarzeniami. Tak jej się lepiej myślało.

– Mogę pani zaproponować filiżankę kawy?

Zaskoczona upuściła długopis i nawet nie zdążyła się zorientować, że dobrze zna ten głos. Przed nią, lekko pochylony, stał naczelnik jednego z departamentów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – generał Zatoczny.

– Iwanie Aleksiejewiczu, to pan?!

– A co, nie jestem podobny?

– Nie spodziewałam się, że zobaczę pana w takim miejscu... Sądziłam, że generałowie nie chodzą tam, gdzie chodzą zwyczajni śmiertelnicy. Pewnie to niegrzeczne pytanie, ale co pan tutaj robi?

– To co pani. Zaraz usiądę przy pani stoliku, zamówię kawę i sok i nie będę się niczym różnił od zwyczajnej pani podpułkownik.

– Ojej, bardzo się cieszę, że pana widzę! – Nastia uśmiechnęła się serdecznie, uwierzywszy w końcu, że to nie sen i że przed nią stoi Zatoczny, którego zazwyczaj widziała w generalskim mundurze w gabinecie służbowym albo w dresie podczas porannych spacerów po parku Izmajłowskim. W świetnie skrojonym, eleganckim garniturze, w dodatku w irlandzkim pubie, wyglądał zupełnie inaczej: nietypowo, a nawet strasznie nietypowo, ale niesłychanie atrakcyjnie.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że Iwan Aleksiejewicz przyszedł tutaj ze swoją damą. Znając charakter i przyzwyczajenia generała, nie mogła znaleźć innych powodów, żeby wytłumaczyć jego pojawienie się w niedzielę, w biały dzień, w bardzo porządnym, drogim, ale jakkolwiek by patrzeć – pubie. Odruchowo zaczęła szukać wzrokiem towarzyski generała, znowu napotkała jednak przystojną twarz młodo wyglądającego siwego mężczyzny. Tym razem mężczyzna się uśmiechał. Dostyc tego, kochany, pomyślała złośliwie. Koniec nachalnego gapienia się. Przyszedł do mnie kawaler.

– Czemu pan stoi, Iwanie Aleksiejewiczu? Proszę usiąść, kelner już do pana idzie.

– Przepraszam, Nastieńko, ale nie jestem sam...

No oczywiście, wiedziałam. Gdzie ta ślicznotka, panie generale? Niech ją pan przyprowadzi i przedstawi. Umieram z ciekawości, co to za kobieta, której udało się wdrzeć do pańskiego kawalerskiego życia.

– Jeśli nie przeszkadza pani obecność dwóch zramolałych starców, to z przyjemnością dołączymy do pani – ciągnął tymczasem Zatoczny, patrząc na nią tygrysimi żółtymi oczami, które promieniały ciepłym, słonecznym światłem.

A więc nie jest ze ślicznotką... Szkoda. Ciekawie byłoby ją obejrzeć.

– Oczywiście – odparła życzliwie. – Proszę zawołać swojego towarzysza.

Zatoczny odwrócił się w stronę okna i zrobił zapraszający gest ręką. Siwy mężczyzna wstał z twarzą rozjaśnioną uśmiechem i podszedł do nich.

– Nastieńko, przedstawiam pani mojego starego druha, kolegę ze szkoły milicyjnej, generała majora milicji Wasilija Iwanowicza Turjałowa. Wasia, przedstawiam ci chlubę i ozdobę MUR-u, moją ulubioną panią detektyw, podpułkownik Kamieńską.

Nastia nieco się uniosła i wyciągnęła rękę.

– Bardzo mi miło.

Turjałow... Naczelnik UWD[12] jednego z obwodów nadwołżańskich. Znała to nazwisko, ale nigdy nie miała okazji, żeby spotkać Turjałowa osobiście. A może miała i właśnie dlatego przyglądał jej się tak uporczywie? Do licha, co za niezręczność! A zresztą raz kozie śmierć, czemu nie zapytać?

– Wasiliju Iwanowiczu, dlaczego wciąż mi się pan przyglądał? – zapytała. – Już zaczynałam się peszyć.

– Naprawdę? A myślałem, że to ja będę się peszył.

Głos Turjałowa okazał się zaskakująco wysoki, sposób mówienia – szybki i płynny, przypominał szmer strumyczka płynącego po kamkach, co zupełnie nie pasowało do jego filmowo-bohaterskiej powierzchowności. Wasilij Iwanowicz od razu przejął kontrolę nad sytuacją, złożył zamówienie u cierpliwie czekającego kelnera, zajął miejsce koło Nastii i żwawo podjął rozmowę.

– Niech pani tylko postawi się w moim położeniu. Parę lat temu byłem w Moskwie, u Iwana w departamencie. Gdy załatwiałem swoje sprawy, kilka razy minąłem się z panią na korytarzu. Od razu zwróciłem na panią uwagę i zapamiętałem, uznałem, że jest pani strasznie surowa, nieprzystępna i bardzo ładna.

– Ja?! – Nastia wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. – To niemożliwe. Chyba się pan pomylił, Wasiliju Iwanowiczu. Rzeczywiście pracowałam w centrali u Iwana Aleksiejewicza i rzeczywiście miewam nieobecny wyraz twarzy, gdy o czymś usilnie myślę. Niektórzy odbierają to jako oschłość i nieprzystępność, zdarzały się takie przypadki. Ale nigdy i w żadnych okolicznościach nikomu nie mogę się wydać ładna. Widocznie to nie byłam ja.

– Pani, Nastieńko, pani – potwierdził Zatoczny ze śmiechem. – Wasia pokazał mi wtedy panią z daleka i zapytał, co to za laskę zatrudniłem w biurze. Skradła mu pani serce.

– Niech pan da spokój. – Nastia się stropiła. – Bo zaraz zrobię się czerwona jak piwonia.

– No i proszę – szemrał dalej wytrwale Turjałow. – Teraz przyjeżdżam do Moskwy na pięćdziesięciolecie naszego kolegi, umawiam się z Iwanem na wcześniejsze spotkanie, parę godzin przed bankietem; sama pani wie, jak to bywa: posadzą nas na różnych końcach stołu i tyle... Krótko mówiąc, zatrzymałem się w Belgradzie, to tutaj, naprzeciwko, a bankiet odbędzie się w Pradze, więc Iwan zaproponował, żebyśmy się spotkali i posiedzieli w tym pubie, jest blisko hotelu i niedaleko bankietu. No i proszę sobie wyobrazić, że przychodzę do pubu wskazanego mi przez Iwana i co widzę? Widzę kobietę, która pracowała u niego. O której w dodatku mówiono, że sam Zatoczny ściągnął ją do pracy i długo namawiał. A ci, którzy mi to mówili, uśmiechali się przy tym jadowicie i znacząco chichotali, że niby Iwan nisko upadł, odkrył się, przeniósł kochankę bliżej siebie, żeby mieć ją pod ręką. No i co miałem pomyśleć, gdy zobaczyłem panią tutaj?

– No co? – zapytała Nastia głupio. – Co takiego szczególnego mógł pan pomyśleć?

– Mów, mów, Wasia. – Zatoczny go zachęcił. – Nie krępuj się, wal.

– No więc pomyślałem, że Iwan wyznaczył tu pani spotkanie.

– A gdyby nawet tak było, to co w tym złego? Wymądrzasz się, Wasia. Chyba że nie wszystko powiedziałeś?

– Zaczekaj, oczywiście, że nie wszystko – odparł Turjałow skwapliwie. – No bo jak rozumowałem? Jak normalny, statystyczny facet, który przez całe życie miał słabość do kobiet, w tym również zamężnych. Nie widzieliśmy się, Iwanie, cztery lata, odkąd złożyłem ci wizytę w departamencie. Starzy przyjaciele zawsze mają o czym rozmawiać, co wspominać, kogo obgadywać. Na takie spotkania zwykle nie przychodzi się z żonami i przyjaciółkami. Prawda? No właśnie. I nagle widzę, że oprócz mnie wyznaczyłeś tutaj spotkanie damie, o której napomykano mi w dwuznacznym kontekście. Dlaczego? Po co nam ona do naszej pogawędki? Nic tu po niej. Dobrze wiem, że nie została zaproszona na bankiet, widziałem listę gości. Wy tłumaczenie może być tylko jedno: łączy was, moi drodzy, tak namiętne uczucie, że wykorzystujecie każdą wolną chwilę, żeby

się zobaczyć, pobyć razem, zamienić choćby parę słów. Opierając się na swoim bogatym doświadczeniu życiowym, doszedłem do wniosku, że jestem zupełnie zbędny w tej sytuacji. Będziecie napawać się własnym towarzystwem, a ja będę wam przeszkadzał swoim głupim gadaniem i wspomnieniami. Jak miałem się czuć po wyciągnięciu tego wniosku?

– Źle – skonstatował Zatochny ze śmiechem. – Powinieneś się czuć paskudnie, bo analityk z ciebie do bani. Ale teraz chyba się uspokoiłeś?

– Ma się rozumieć. Gdy zobaczyłem, że Anastazja upuściła długopis i otworzyła usta ze zdumienia na twój widok, zrozumiałem, że nie czekała na ciebie.

– No to chwała Bogu. A przy okazji, Nastieńko, z nami wszystko jasne, ale co panią tu sprowadza?

– Dwa kroki stąd mieszkają moi świadkowie, musiałam z nimi porozmawiać. Teraz siedzę i czekam na telefon, może pojawią się nowe pytania i będę musiała wrócić, dlatego postanowiłam zbytnio się nie oddalać.

– Rozumiem. Jak się pani pracuje z nowym naczelnikiem?

– E tam. – Nastia machnęła ręką. – Jeśli ktoś nie jest Gordiejewem, to na zawsze. Muszę się z tym pogodzić.

– Niech się pani pogodzi, moja droga, bo w żaden sposób nie mogę już pani pomóc. Jakiś czas temu zaproponowałem, żeby się pani do mnie znowu przeniosła, ale straciłem stanowisko.

– Jak to?! – jęknęła Nastia. – Pan też?

– Wyraziła się pani bardzo trafnie, wykorzystam zatem pani myśl: jeśli ktoś nie jest z Petersburga, to na zawsze. Ja, niestety, jestem rdzennym moskwianinem, tymczasem nowy minister preferuje osoby pochodzące z Petersburga. Zostałem więc skierowany do dyspozycji zarządu kadr. Sama pani wie, co to oznacza.

– Wiem. – Kiwnęła smutno głową. – Ale jak to możliwe, Iwanie Aleksiejewiczu? Jest pan świetnym specjalistą, postawił pan departament na nogi... Czy można tak traktować kadry?

– Wszystko idzie ku lepszemu, Nastieńko, ku lepszemu. Nie można zbyt długo siedzieć w jednym fotelu, to powoduje stagnację w myśleniu. Rozejrzę się i znajdę sobie jakieś miłe zajęcie. Mam

generalską emeryturę i trzydziestopięcioletnią wysługę, więc nie zginę. Nawiasem mówiąc, ile wynosi pani wysługa?

– W czystej postaci dziewiętnaście lat plus połowa okresu studiów na uniwersytecie, czyli jeszcze dwa i pół roku, łącznie dwadzieścia jeden i pół.

– No to pani też może przejść na emeryturę! Nie na pełną, oczywiście, ale to też się liczy.

– Kto? Ja? – Nastia parsknęła śmiechem. – Ależ, Iwanie Aleksiejewiczu, co ze mnie za emerytka? Popracuję jeszcze, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Z torby dobiegł walc Czajkowskiego. Nastia przyłożyła do ucha małej aparat.

– Gdzie jesteś? – Głos Zarubina był pełen napięcia i nie brzmiał radośnie.

– W centrum, koło stacji Smolenskaja.

– Możesz podskoczyć na Pietrowkę?

– Mogę.

– Restauracja Hodża Nasreddin w Chiwie.

– Wiem. Co się stało?

– Znalazłem pistolet w samochodzie Ganielina. Facet przysięga, że widzi go po raz pierwszy. Zadzwońm już do śledczego, zaraz się zjawi z grupą dyżurną.

– Jaki pistolet, Sierioża?

– Makarow. Czujesz klimat?

– Zaraz przyjadę.

Nastia szybko pożegnała się z Zatocznym i jego gadatliwym przyjacielem, zostawiła na stoliku pieniądze za kawę i sok, po czym wypadła na obwodnicę Sadową. Niemal natychmiast udało jej się zatrzymać samochód. Zaszyła się w kącie na tylnym siedzeniu i wyjęła z torby notes, w którym zapisała fragmenty ekspertyzy dotyczącej kul wyjętych z ciała Timura Indżiji. „Na powierzchni czołowej kul stwierdza się ubytek metalu o wymiarach... Forma i wymiary ubytku są jednakowe w obu kulach, co pozwala z dużym prawdopodobieństwem sądzić, że dane kule mogły zostać wystrzelone z broni wyposażonej w nasadkę na lufę, która może być urządzeniem do tłumienia odgłosu wystrzału... Obie kule wyjęte



podczas sekcji zwłok ob. T.G. Indżiji stanowią części składowe dziewięciomilimetrowych naboju do pistoletów Makarowa i Stieczkina. Kule mogły być wystrzelone z pistoletu konstrukcji Makarowa, kaliber dziewięć, albo z innej broni o analogicznych parametrach”.

Co to za pistolet Makarowa znalazł Zarubin w samochodzie Andrieja Konstantinowicza Ganielina? Czyżby ten, z którego zabito kierowcę? Ale dlaczego w samochodzie? Po co Ganielin woził go ze sobą? Dlaczego nie pozbył się broni? Chyba musi być kompletnym idiotą... Nie, mąż Natalii Woronowej nie przypomina idioty. Pewnie to inny pistolet, taki zbieg okoliczności. Ganielin to biznesmen, nie najbogatszy w kraju, rzecz jasna, nie oligarcha, nie należy jednak do biedaków. Nie sprawił sobie ochrony, na wszelki wypadek nosi broń, bo przecież różnie bywa. Przypuszczalnie nie ma pozwolenia, ale to nie jest wielki grzech, w każdym razie w porównaniu z zabójstwem. Dzisiaj kupno pistoletu to żaden problem, trzeba tylko wiedzieć, gdzie iść i co powiedzieć.

A jeśli to jednak tamten pistolet?

[12] UWD (Uprawlenije wnutriennich dieł) – Urząd Spraw Wewnętrznych, odpowiednik polskiej komendy policji.

## Rozdział 12

– Bardzo mi przykro, Andrieju Konstantinowiczu, ale będę musiał pana zatrzymać. – Śledczy Gmyria był nieugięty.

Nastia doskonale go rozumiała. Jakaś inną decyzję mógł podjąć w przypadku osoby, w której samochodzie znaleziono pistolet tej samej marki co wymieniona w orzeczeniu eksperta? Dowiedzieć się, czy to ten pistolet, czy jedynie taki sam, można dopiero po kolejnej ekspertyzie, a tego nie robi się w ciągu pięciu minut. Poza tym potrzebna jest też ekspertyza daktyloskopijna, która odpowie na pytanie, czy pan Ganielin trzymał w rękach ów pistolet. Jeśli na broni zostaną znalezione odciski jego palców, to wszelkie rozmowy o tym, że Andriej Konstantinowicz widzi pistolet po raz pierwszy, okażą się rozmowami dla naiwnych. Ale najzabawniejsze jest to, że nawet jeśli takie odciski nie zostaną znalezione, mąż Natalii Woronowej nie będzie wolny od podejrzeń, bo z łatwością mógł przetrzeć powierzchnię.

W gabinecie śledczego było duszno, okna wychodziły na zachód, więc od trzeciej słońce szcodrze ogrzewało nieduże pomieszczenie.

– To jakaś bzdura! – oburzał się Ganielin. – Wszystko rozumiem, znaleźliście u mnie broń, trzeba coś z tym zrobić, ale dlaczego mam siedzieć w celi? Zwolnijcie mnie do domu, nigdzie się nie ulotnię, nie ucieknę. Jak chcecie, to podpiszę zobowiązanie.

– Jakie zobowiązanie? – zapytał Gmyria ze znużeniem.

– Do pozostania w miejscu pobytu czy jak to tam nazywacie.

– Andrieju Konstantinowiczu, zobowiązania do pozostania w miejscu pobytu można żądać od podejrzanego albo oskarżonego. W tym celu musiałbym wydać postanowienie o przesłuchaniu pana w takim charakterze, postanowienie zaś wymaga podstaw, które zdobędę dopiero po ekspertyzie.

– Kim więc jestem teraz?

– Na razie jest pan zatrzymany. Zatrzymuję pana na mocy artykułu sto dwudziestego drugiego kodeksu karno-procesowego jako osobę, u której znaleziono pistolet, przypominający wyglądem broń poszukiwaną w związku z popełnieniem zabójstwa.

– Ale przecież panu tłumaczę, że widzę ten cholerny pistolet po raz pierwszy! Ktoś mi go podrzucił.

– Kiedy? W jakich okolicznościach?

– Nie wiem...

– No widzi pan, ja też nie wiem. Domaga się pan, żebym uwierzył panu na słowo, ja jednak nie jestem pańskim kolegą ani pańską żoną, jestem śledczym. Nie mogę wierzyć na słowo, potrzebuję dowodów. Rozumiem pańskie oburzenie, ale nic nie mogę zrobić. Powiedział pan, że otwierał schowek dziś rano, włożył tam składany parasol i wyjął radio. Zgadza się?

– Owszem.

– I nie widział pan żadnego pistoletu.

– Nie widziałem.

– A zatem albo on tam był, ale pan go nie zauważył, albo go podrzucono, gdy pański samochód stał na parkingu koło Kołomińskiego.

– Nie mogłem nie zauważyć pistoletu. Już panu mówiłem, że rano włożyłem parasol do schowka, a później jeszcze go przetrząsałem, szukałem kasety, której chciałem posłuchać w drodze. Gdyby pistolet tam był, na pewno bym się na niego natknął.

– Dobrze, to znaczy, że pistolet panu podrzucono, gdy spacerował pan z Janą Giennadjewną po parku. Jeśli oczywiście przyjąć, że mówi pan prawdę.

– Mówię prawdę! A właściwie czemu koniecznie w Kołomińskim? Równie dobrze ktoś mógł go podrzucić, gdy samochód stał na Pokrowce.

– Andrieju Konstantinowiczu, nasi funkcjonariusze pytali portiera i ochroniarza w restauracji, koło której zaparkował pan samochód. Nikt do niego nie podchodził, nie próbował otworzyć, alarm też się nie włączał. A więc pozostaje tylko Kołomińskie. Żeby potwierdzić pańskie słowa, trzeba zdobyć zeznania od osób, które pracują na

parkingu w Kołomienskim. Dopiero wtedy będę mógł pana ewentualnie zwolnić do domu.

– Kiedy to nastąpi?

– Trudno powiedzieć, zależy od szczęścia. Musi pan uzbroić się w cierpliwość.

Ten dialog powtarzał się z niewielkimi zmianami co najmniej trzeci raz. Ganielin nie rozumiał (albo udawał, że nie rozumie?), dlaczego jest o coś podejrzany. Śledczy wytrwale tłumaczył, dlaczego nie może go zwolnić do domu. Andriej Konstantinowicz poinformował, że jego mercedes jest wyposażony w system Aligator 990, który zawiera alarm i immobilizer. Przy niepowołanym wtargnięciu do samochodu włącza się alarm i w ciągu mniej więcej czterdziestu sekund rozlegają się dobrze znane wszystkim dźwięki. Potem następuje błoga cisza. Jeśli wybrać odpowiedni moment, gdy obsługa parkingu jest daleko, można otworzyć samochód i umieścić tam wszystko, co się żywnie podoba, a później zamknąć drzwi i spokojnie się oddalić. Wyjący wniebogłosy samochód, przy którym nikt się nie kręci, zwykle nie wzbudza podejrzeń. Wszyscy wiedzą, że alarm często się włącza na skutek uderzenia, a nawet w efekcie przejazdu wielotonowej ciężarówki. Ale właściciel auta bez trudu odgadnie, że ktoś naruszył jego skarb, bo wyłączeniu alarmu powinien towarzyszyć podwójny sygnał. Jeśli się nagle okaże, że jest potrójny, będzie to oznaczało, że ktoś otwierał samochód bez wiedzy właściciela. Poza tym zainstalowana na pulpicie dioda zacznie migać i na podstawie liczby sygnałów świetlnych również można stwierdzić włamanie. Kłopot polegał jednak na tym, że ani Ganielin, ani Jana Nilska nie mogli precyzyjnie określić, ile sygnałów dźwiękowych, dwa czy trzy, wysłał biały mercedes, gdy wyłączano alarm na parkingu w Kołomienskim. Jana w ogóle nie wiedziała o takich niuansach i nie zwracała uwagi na sygnały. Natomiast Andriej Konstantinowicz, jak sam powiedział, wyjął brelok i nacisnął przycisk, znajdując się w odległości jakichś czterdziestu metrów od samochodu, był przy tym pochłonięty rozmową ze swoją towarzyszką, w dodatku akurat przejeżdżał autobus, zagłuszając wszystko wokół. Poza tym Ganielin nie od razu wsiadł do samochodu; podszedł do niego parkingowy i Andriej Konstantinowicz się z nim rozliczał. W chwili gdy pulpit

znalazł się przed jego oczami, sygnał świetlny powiedział już wszystko, co chciał, i spokojnie odpoczywał.

Przesłuchani kolejno Ganielin i Jana Nilska złożyli identyczne zeznania, ale to nie przekonało ani śledczego, ani detektywów. Po pierwsze, para mogła się zmówić. Po drugie, Ganielin mógł kłamać, sam włożył pistolet do schowka i doskonale wiedział o jego istnieniu. Rzucić światło na sytuację powinni byli parkingowi.

Nastia i Siergiej Zarubin pojechali, żeby z nimi porozmawiać. Nastia nie miała właściwie ochoty wlec się tak daleko, wiedziała bowiem, że będzie pracować sama. Zarubin musi wpaść do domu po rzeczy i pędzić na lotnisko. Ale wtedy pojawił się Afonia... Nie wiadomo, jakim cudem dowiedział się o znalezieniu pistoletu Makarowa u męża Natalii Woronowej, fakt pozostaje jednak faktem: koło Hodży Nasreddina zatrzymał się samochód, z którego wysiadł Wiaczesław Michajłowicz we własnej osobie. Jego twarz promieniała zadowoleniem i przekonaniem o pomyślnym zakończeniu wszystkich niewyobrażalnych tarapatów życiowych.

– Brawo. – Protekcyjnie poklepał Nastię po ramieniu. – Jak chcesz, to potrafisz.

Nastia już chciała powiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego, ale nie zdołała wykrztusić nawet słowa: jakby dostała szczękoscisku. No oczywiście, przyleciał, kochaniutki, ledwie pojawiła się realna szansa, by dopaść Ganielina. Czym facet mu się naraził? Choć trzeba przyznać, że Andriej Konstantinowicz to niejednoznaczna postać. Świadczy o tym to, co oznajmił jej Sierioża Zarubin, oraz to, czego sama się dowiedziała, a także obecność pistoletu, na którego temat Ganielin nie potrafi powiedzieć nic sensownego. Ale tylko człowiek ograniczony może tak jawnie, tak niezmordowanie forsować jedną hipotezę i odrzucać pozostałe, nie mając ku temu żadnych podstaw. Nastia była o tym przekonana. Trzeba brać pod uwagę wszystkie hipotezy, póki nie obalą ich żelazne argumenty. Tego uczył ją zawsze Gordiejew. I właśnie tak przywykła pracować od lat.

Tymczasem naczelnik przywitał się z Gmyrią. Niedbały i pogardliwy ruch głowy, którym wskazał stojącego dwa kroki dalej Ganielina, unaoczniał, jakim tonem zamierza z nim rozmawiać. Nastia poczuła, że niewiele brakuje, a straci kontrolę nad sobą i zachowa się bardzo

nieodpowiedzialnie. Będzie lepiej, jeśli natychmiast pojedzie do Kołomińskiego, odszuka wszystkich parkingowych, zmusi ich, by przypomnieli sobie każdą minutę w najdrobniejszych szczegółach. I na złość Afonii znajdzie świadków, którzy złożą zeznania na korzyść Ganielina. Andriej Konstantinowicz jest jej obojętny, Nastia nie zamierza go bronić z sympatii. Ale całym sercem nienawidzi Afonii...

– Sierioża – powiedziała szeptem, odprowadzając Zarubina na bok – poproś eksperta, żeby dyskretnie sfotografował Ganielina polaroidem.

– Po co?

– I tak nie zdążysz ze mną do Kołomińskiego. Pojadę sama, a ty weź zdjęcie i skocz na prospekt Mira, pokaż je tamtej kobiecie, która widziała Janę w restauracji z mężczyzną.

– Myślisz, że to nie był on?

– Po co myśleć, skoro można się dowiedzieć dokładnie? – Nastia się uśmiechnęła. – Umysł trzeba chronić, nie ma sensu nadwyreżać go bez potrzeby.

Dziesięć minut później oboje opuszczali miejsce, w którym nadal pracowała grupa dyżurna. W połowie drogi do metra z telefonu w torbie Nastii zaczęły dobiegać dźwięki przypominające toccatę d-moll Bacha.

– To Korotkow – powiedziała, szcękając zamkiem torby i wyjmując komórkę. – Jura, czy to ty doniosłeś Afonii?

– A co, już się zjawiał?

– A jakże. Łaskawie udzielił pochwały, więc mamy dzisiaj święto.

– Niech to diabli, chciałem cię uprzedzić, że jedzie. Jak to się stało, że przyleciał tak szybko?

– Pewnie na skrzydłach miłości. Czemu mu powiedziałaś?

– Musiałem zameldować, w końcu to naczelnik. Jesteś jeszcze na miejscu?

– Już nie, kieruję się w stronę metra. Jadę do Kołomińskiego.

– Zabiorę się z tobą. Zaczekaj na mnie na Łubiance przy wyjściu z metra, będę za piętnaście minut.

Nastia uśmiechnęła się z zadowoleniem. Świetnie, razem jest łatwiej i weselej, a samochodem, nawet tak starym i rozklekotanym

– wygodniej niż metrem, zwłaszcza że trzeba będzie spędzić kilka godzin na nogach.

– Jak się domyśliłaś, że to Korotkow? – Zarubin nie mógł powstrzymać ciekawości. – Wyczuwasz go nosem?

– Słyszę uchem. – Roześmiała się. – Zaprogramowałam określoną melodię na numery, z których dzwoni Jura. Gdy pracuję, muszę wiedzieć, kto dzwoni, mąż z Ameryki, szefostwo z mądrymi poleceniami czy rodzice z pytaniem, co jadłam na obiad.

– Sprytnie! – zawołał Siergiej z podziwem. – A więc Czistiakow też ma swoją melodię?

– Oczywiście. Czistiakow, Jura, rodzice, a nawet Afonia. Gdy dzwoni cała reszta, rozlega się walc Czajkowskiego. Ty też chcesz mieć swoją melodię?

– No pewnie. Z czego mogę wybrać? Przydałoby się coś weselszego, żeby odzwierciedlało istotę mojej duszy.

– W porządku. Może aria Księcia „Kobieta zmienną jest...”? Pasuje?

– Jak najbardziej.



Nastia i Korotkow akurat wysiadali z samochodu, gdy zadzwonił Zarubin.

– Słuchaj, Pałna – powiedział z zakłopotaniem. – Tamta kobiecina nie rozpoznała Ganielina. Mówi, że facet, który był z Janą, wyglądał zupełnie inaczej. Żadnego podobieństwa.

– Doskonale! Dziękuję, Sierioża.

– Nie ma za co... Gdyby go rozpoznała, wiedzielibyśmy na pewno, że Jana ma romans z Ganielinem. A teraz szukaj wiatru w polu. No dobra. – Westchnął do słuchawki. – Znikam, bo inaczej spóźnię się na samolot. W razie czego dzwoń.

A więc nasza mała Janoczka spędzała czas w towarzystwie nieznanego mężczyzny w średnim wieku, dobrze zbudowanego i korpulentnego. Kto to mógł być? I dlaczego Rusłan nic o tym nie wie? Chociaż właściwie nie powinien wiedzieć, jeśli Jana wdała się w romans. Wiadomo też, dlaczego dziewczyna w ogóle się nie rwie, by opowiadać o tym na prawo i lewo. Chociaż równie dobrze może

się okazać, że to przypadkowy znajomy. Zobaczył w restauracji uroczą młodą kobietę, przysiadł się do niej, zamienił parę zdań, spróbował poplirtować, może nawet zostawił jej swój numer telefonu. Na tym jednak koniec. Albo spotkał na ulicy, zagadnął, przedstawił się, zaprosił na obiad. A ona nie odmówiła. Nudzi się, w Moskwie jest pierwszy raz, marzą jej się rozrywki i przygody, więc dlaczego nie miałyby zjeść obiadu z nowym znajomym? Zwłaszcza jeśli się poda za poważnego biznesmena, bankiera albo kogoś równie „prestizowego” w oczach młodej prowincjuszki. Ta informacja nie wpłynie na wyjaśnienie przestępstwa, ale może znacznie pogorszyć relacje Jany z mężem, dlatego dziewczyna milczy.

Parking koło rezydencji pałacowej Kołomienskoje obsługiwali dwaj młodzi mężczyźni przed trzydziestką. Obaj mieli ręce pokryte tatuażami, byli krótko ostrzyżeni i nieogoleni. Po drodze Korotkow uprzedził Nastię, że wszystkie parkingi na południu Moskwy są kontrolowane przez gangstera o ksywie Goga Suchumski, dlatego pracują na nich ludzie określonego typu. Pod żadnym pozorem nie wolno prowadzić rozmowy takim tonem, by wyglądało, że parkingowi niedbale wykonują swoje obowiązki, nie pilnują samochodów, co chwila się oddalają i nie zwracają uwagi na włączające się alarmy w pojazdach, za których postój biorą pieniądze. Nie jest to, oczywiście, parking płatny strzeżony, to zwyczajny parking, więc nie ponoszą odpowiedzialności za bezpieczeństwo i stan samochodu, istnieje jednak kwestia konkurencji. Parking płatny znajduje się trzysta metrów stąd, jest mniej komfortowy, bo leży znacznie dalej od wejścia do rezydencji parkowej, ale cieszy się opinią pewniejszego. W związku z tym jest, naturalnie, droższy. I dlatego rzadziej wybierany. Jeśli jednak rozejdą się pogłoski, że pozostawiane na tanim parkingu samochody doznają szwanku, to klienci automatycznie przestaną oszczędzać czas, pieniądze i siły i wybiorą parking strzeżony, który znajduje się pod zarządem nie Gogi Suchumskiego, ale zupełnie innych ludzi.

– Cześć, chłopaki!

Korotkow pewnym gestem wyciągnął rękę najpierw do jednego, potem do drugiego parkingowego. Im zaś nie pozostało nic innego, jak odpowiedzieć na uścisk.



– Chłopaki, pomóżcie mi wygrać forszę. Założyłem się z kumplem o sto dolarów...

Następnie Jura opowiedział jakąś bajeczkę o alarmach, które włączają się z byle powodu. Nastia, nieorientowana w niuansach technicznych urządzeń elektronicznych zapewniających bezpieczeństwo samochodu, najpierw rozumiała co drugie słowo, później – co drugie zdanie, a wreszcie zupełnie straciła wątek opowieści. Wytatuowani parkingowi rozumieli jednak Korotkowa doskonale, zgodnie kiwali głowami, a ich miny dowodziły, że przejęli się wagą problemu. Nawiązała się ożywiona rozmowa, w której co rusz padały słowa „Clifford”, „Laserline”, „Prestige”, „Excalibur”, „dioda świetlna”. W końcu, po jakichś dwudziestu minutach, Nastia usłyszała pytanie składające się ze znanych jej słów.

– Dzisiaj w białym mercu włączył się alarm, pamiętasz?

– Gdy poszliśmy oddać forszę?

– No. Wychodzimy, patrzymy, wszystko gra, nikogo nie ma, a gabłota wyje jak potępiona.

– Zgadza się, pamiętam. Pomyślałem wtedy, że może ktoś coś z niej zabrał i że jak przyjdzie właściciel, to zacznie się handryczyć. A on nic.

– Zgadza się, tak było. Wciąż czekałem, aż zjawi się właściciel. Samochód na oko wyglądał w porządku, drzwi zamknięte, szyby całe. Ale przecież wiadomo, że jeśli ktoś go otwierał, to właściciel od razu zauważy, gdy będzie wyłączał alarm. No i narobi niezłego rabanu! A on nic, dasz wiarę? Spokojnie zapłacił, nawet brew mu nie drgnęła. To znaczy, że alarm działał jak zwykle. Czyli że to wszystko ściema, dwa bipy, trzy bipy. Żadnej różnicy, czy ktoś otwierał samochód, czy nie. Pewnie to chińska podróbka, a nie włoska firma. Dlatego działa, jak jej się żywnie podoba: albo niczego nie pokazuje, albo się włącza, gdy ptak przeleci obok.

– To niedobrze. – Korotkow udawał niepocieszonego. – Będę musiał zwrócić sto dolców. Chociaż... słuchajcie, a może ten facet z merca zwyczajnie nie zauważył, nie zwrócił uwagi, co?

– Może i nie zauważył – od razu potwierdził jeden z parkingowych.

– Był z laską młodszą od niego o jakieś dwadzieścia albo i trzydzieści lat.

– Uhm – potwierdził drugi. – Racja. Idą i gruchają jak gołąbki. Pomyślałem wtedy: mamy szczęście, że gość jest z lalunią, bo nawet jeśli coś jest nie tak, nie będzie się sadył.

Korotkow podziękował za wyczerpującą konsultację, chwycił pod rękę Nastię, która stała obok w milczeniu, i pociągnął ją w stronę samochodu.

– A więc, koleżanko, twój Andriej Konstantinowicz chyba nie kłamie. Wszystko odbyło się tak, jak mówi. Bierz telefon i dzwoń do Gmyrii.

Boris Witaljewicz Gmyria wysłuchał Nastii spokojnie, nie przerywał, zadał kilka dodatkowych pytań, a później stanowczo oświadczył, że nie ma zamiaru wypuszczać zatrzymanego Ganielina, zanim nie otrzyma wyników ekspertyzy balistycznej. Alarm w jego samochodzie mógł się włączyć wcale nie dlatego, że ktoś otwierał drzwi, ale z zupełnie innych powodów. Natomiast pistolet leżał w schowku właśnie dlatego, że sam Ganielin go tam umieścił. Więc dopóki ta kwestia się nie wyjaśni, Andriej Konstantinowicz pozostanie w areszcie.

– Wszystko jasne – pośepnie skostatowała Nastia, skończywszy rozmawiać ze śledczym. – Wyczuwam skuteczną perswazję naszego Afonii. Pewnie to on wywarł presję na Gmyrii. Ciekawe, co mu naplótł?

– Mogę ci to zdradzić. – Korotkow uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. – Wysłuchałem już dzisiaj od niego tej bolesnej historii. Wszystko się kręci wokół fabryki preparatów leczniczych. Teren pod Moskwą, na którym znajduje się fabryka, kontroluje azerbejdżańskie ugrupowanie Edika Jusubowa o ksywie Starszy. Wymyślono ją specjalnie, żeby Jusubow nie mylił się z Edikiem Wachramowem. Wachramowa nazywają Młodszym, a Jusubowa Starszym. No i podobno między Starszym a Ganielinem doszło do jakichś zgrzytów. Nie wiadomo, czy Ganielin nie zapłacił za „opiekę” całej sumy, czy w ogóle nie zapłacił, gdy nadszedł kolejny termin, czy poprosił o zwłokę, a później odmówił uiszczenia naliczonych odsetek... krótko mówiąc, doszło do jakiejś chryi. A wiesz, z czego słynie Edik Starszy?

– Będę wiedzieć, jak mi powiesz – odparła Nastia, z uwagą wsłuchując się w słowa Korotkowa.

– Edik Starszy słynie z tego, że nigdy nie zarzyna kur, które znoszą nie tylko złote, ale nawet zwyczajne jaja, bo zwyczajne jaja też mają swoją cenę. Dlatego dawniej nosił ksywę Księgowy. Wszystko podliczał, łącznie z wydatkami na autobus. No więc Starszy uznał, zresztą całkiem rozsądnie, że skoro Ganielin nie może zapłacić gotówką, to niech odpracuje ekwiwalentną kwotę usługami.

– No tak. – Nastia kiwnęła głową, domyślając się, do czego zmierza Korotkow. – Po co płacić zabójcy dziesięć tysięcy, skoro można powierzyć to samo dłużnikowi. Ciekawe, czym Timur Indżija zalaż za skórę Edikowi Starszemu? Przecież chłopcy sprawdzali ten kierunek. Indżija nie był związany z żadnym ugrupowaniem.

– Nie był, ale wpadł na pomysł, żeby się przespać z ulubioną kochanką Edika. I nie dość, że się przespał, to jeszcze zaraził ją jakimś paskudztwem. Edik, rzecz jasna, był tym głęboko oburzony. Podobno spędzał miło czas w restauracji w towarzystwie bliskich i towarzyszy broni, wynajął całą salę. A w sąsiedniej sali zabawiał się Timur z kilkoma kumplami. Kochanka Starszego wyszła, za przeproszeniem, do toalety, lecz musiała przy tym przedelfilować przez sąsiednią salę akurat koło stolika, przy którym siedział Timur. Chłopak został ugodzony strzałą Amora i pognał do holu w ślad za dziewczyną swoich marzeń. Nie wiem, w jakim pomieszczeniu gospodarczym doszło do zbliżenia, oboje wrócili jednak nieprędko. Nie po godzinie, ma się rozumieć, ale też nie po krótkiej chwili. Dziewczyna naplotła coś swojemu pryncypałowi, on zaś uwierzył jej po pijaku. Że niby dostała biegunki czy zaparcia. A parę dni później ktoś mu doniósł, że widział jego ukochaną razem z Timurem akurat wtedy, gdy zgodnie z jej historią powinna była siedzieć kamieniem na sedesie. Później nastąpił ciąg dalszy. Edik rozkwasił dziewczynie buźkę, nie dokumentnie, ale umiarkowanie, żeby był z niej jeszcze jakiś pożytek; przecież mówiłem, że jest przezorny. A na sprawcę obrazy mógł dać zlecenie, to do niego podobne.

– Zaczekaj, Jura, mógł dać czy wiesz na pewno, że dał?

– Ja, koleżanko, w ogóle nic nie wiem poza tym, że Edik Starszy naprawdę istnieje i kontroluje teren pod Moskwą, na którym leży

fabryka Ganielina, i rzeczywiście ma taki charakter, jaki ci opisałem. Całą resztę zrelacjonował mi nasz wspólny i uwielbiany naczelnik. On też ma swoich informatorów.

– A możesz to sprawdzić? – nalegała Nastia.

– Szybko – nie, nie mogę. Nie mam przecież bezpośredniego dojścia do Edika.

– Wygląda na to, że Afonia je ma... Ciekawe skąd? Jest w Moskwie od niedawna, a zdobył informatorów w tak potężnym ugrupowaniu. Jura, jak sądzisz, może Afonia jest naprawdę niezłym specem od agentury, co? Może to urodzony detektyw i ma bezbłędną intuicję. Mój brak sympatii do niego sprawia, że widzę tylko złe rzeczy, a nie zauważam zalet.

– To coś nowego – mruknął Korotkow. – Wczoraj uczyłaś się robić nowe danie, a dzisiaj w twojej głowie pojawiły się nowe myśli. Jak mówił jeden z naszych liderów, najważniejsze to zacząć. Co się z tobą dzieje, koleżanko?

Nastia milczała. Od chwili dzisiejszej rozmowy z generałem Zatocznym minęło niewiele czasu, a jej sposób myślenia zdążył się już zmienić.

– Wyobraź sobie, że przyprowadzono cię do mieszkania i powiedziano: jak chcesz, to zostań tutaj, siedź sobie, a jak nie chcesz, to wyjdź. I zostawiono cię samego. Co pomyślisz? – zapytała.

– Czy to test? – W głosie Korotkowa mieszały się obawa, niedowierzanie i ciekawość.

– Nie, zwyczajne pytanie.

– Rozejrzę się, popatrzę i podejmę decyzję: zostać czy wyjść.

– A dokładniej? Co może sprawić, żebyś wyszedł albo, na przykład, został?

– Ojej, Aśka, cokolwiek! Czemu się przyczepiłaś? Może mi się nie spodobać kolor ścian albo meble, albo widok z okna. Albo zbyt hałaśliwi sąsiedzi, którzy przeszkadzają spać. Albo brak telewizora, bo bez niego nie potrafię żyć.

– Jasne. A teraz wyobraź sobie, że przyprowadzono cię do tego pomieszczenia, zostawiono samego i zamknięto drzwi. Nie możesz wyjść. O czym pomyślisz w pierwszej kolejności?

– A wyjść się nie da?

– Nie da. – Nastia pokręciła głową, tłumiąc uśmiech. – Taki jest warunek eksperymentu.

– W takim razie zastanowię się, jak przeżyć w tym zamknięciu. Sprawdzę, czy jest coś do jedzenia, czy działa telefon. Jeśli się okaże, że coś jest popsute, zastanowię się, jak to naprawić dostępnymi środkami.

– A jeśli nie spodobają ci się meble albo się okaże, że tapety są w nieodpowiednim kolorze?

– Do diabła z nimi! Przecież nie mogę wyjść, po co więc miałbym zwracać sobie głowę głupstwami? No i co z tego wszystkiego wynika? Czemu służą twoje pytania?

– Jura. – Nastia przerwała, wyjmując papierosy z torby. – Widziałam się dzisiaj z Zatocznym. Wiesz, że go odwołują?

– Słyszałem, że niby zamierzają, ale na razie nie ma polecenia. A czemu?

– A temu. Do dzisiaj byłam przekonana, że mogę się do niego przenieść w dowolnej chwili, gdy tylko Afonia mi zbrzydni. Drzwi nie były zamknięte, rozumiesz? A teraz nagle się dowiedziałam, że wszystko wygląda inaczej. Okazuje się, że drzwi są zamknięte, więc nie mogę nigdzie wyjść i muszę się zastanowić, jak przeżyć w tej zamkniętej chacie.

– Tylko nie cytuj mnie przypadkiem – zauważył Jura złośliwie. – Jeszcze nie jestem klasykiem. To znaczy, że mnie oszukałaś, koleżanko? Przysięgałaś, że w najbliższym czasie nigdzie nie odejdiesz, że nie zostawisz mnie samego, a tymczasem strzelałaś oczkami na boki w poszukiwaniu ciepłej posady. A ja, głupiec, uwierzyłem ci, liczyłem na ciebie.

– Jurik, nie zamierzałam nigdzie odchodzić, przecież dałam ci słowo. Ale rozum mi podpowiadał, że mam gdzie odejść. Pomyśl! Gdy człowiek sądzi, że drzwi nie są zamknięte, że w każdej chwili, gdy tylko zechce, może je otworzyć, widzi wokół siebie więcej rzeczy złych niż dobrych. Ma krytyczne spojrzenie, nie boi się wyszukiwać braków, bo wie, że jeśli ich liczba osiągnie stan krytyczny, to wtedy wstanie i wyjdzie. Przypomnij sobie swoje słowa! Zapytałam, co może sprawić, żebyś podjął decyzję: wyjść czy zostać? Co mi odpowiedziałeś? Że może ci się nie spodobać to i tamto... Nie

podałś jednak żadnego powodu, który skłoniłby cię do pozostania. Nawet nie pomyślałeś o tym, że pomieszczenie może mieć jakieś zalety. Nie, od razu zacząłeś mówić o brakach. Jura, człowiek jest tak skonstruowany, rozumiesz? Gdy jest świadomy swojej wolności, gdy wie, że ma wolność wyboru, wtedy jest krytyczniejszy. To normalne, to rzecz naturalna. Gdy nie ma wolności, musi się zaadaptować, a krytycyzm mu w tym przeszkadza. Żeby przeżyć, musi się starać nie zauważać braków i eksponować zalety, może je nawet wymyślać albo mocno wyolbrzymiać. Mniej więcej to samo dzieje się teraz z moim stosunkiem do Afonii.

– W porządku, zrozumiałem. Uważaj tylko i nie przesadź, bo jeszcze się okaże, że Afonia jest lepszy od Pączka.

– Nie martw się. – Nastia się roześmiała. – Afonii to nie grozi. A jednak jestem ogromnie ciekawa, skąd wziął takich informatorów. Aż mnie skręca z zazdrości, przysięgam! Nawet ty nie masz takich, chociaż przepracowałeś w Moskwie dwadzieścia lat.

– Dwadzieścia trzy – poprawił.

– Tym bardziej. Nawiasem mówiąc, dokąd jedziemy?

– Do ciebie.

– A co zjemy na kolację?

– Zaraz kupimy coś po drodze.

Nastia zerknęła na zegarek – prawie ósma wieczorem. Dzień jeszcze się nie skończył, a ona ma wrażenie, jakby nadszedł już poniedziałkowy wieczór, bo niedzielny ranek był tak dawno...



Ścisły harmonogram zdjęć sprawiał, że każdy dzień wolny Iriny Sawienicz był wypełniony mnóstwem obowiązkowych zajęć. Musiała posprzątać mieszkanie, wyprasować pościel wrzuconą do pralki w ciągu tygodnia, kupić żywność, której powinno wystarczyć do następnego wolnego, odwiedzić masażystę, kosmetyczkę i salon fryzjerski. Tak wyglądał program na każdy dzień wolny, poza tym piętrzyły się również inne obowiązki – wobec przyjaciół, z którymi należało się spotkać, złożyć im życzenia urodzinowe i wręczyć prezent albo po prostu omówić coś istotnego; wobec zmarłych

krewnych i bliskich, których grobami Irina opiekowała się od wielu lat; nawet w związku z samochodem – czerwonym fordem, który także wymagał uwagi i troski, a niekiedy nawet naprawy, zwłaszcza po kolejnych obrażeniach bojowych, regularnie pojawiających się na bokach i błotnikach.

Irina, z natury niefrasobliwa i niesystematyczna, przeważnie zarządzała swoim czasem nieracjonalnie. Ale dni wolne były świętością, całkowicie poświęcała je temu, żeby przez resztę tygodnia nie myśleć o niczym poza pracą i przyjemnościami. Nawet nie planowała randek w tych dniach, umiejętnie prowadząc życie osobiste w krótkich przerwach między zdjęciami a snem.

Detektyw z MUR-u podobał jej się coraz bardziej po wspólnie spędzonej nocy, więc musiała zdobyć się na niemały wysiłek i nie ulec jego propozycji, by spędzić razem niedzielę. Jura zawczasu wiedział, że w niedzielę nie będzie zdjęć i widocznie bardzo liczył na miły dzień na łonie natury. Irze było przykro, że go rozczarowała, ale zasady to zasady. Obowiązkowe zajęcia właśnie dlatego tak się nazywają, że nie wolno ich odwoływać. Wygląd dla aktorki ma niebagatelne znaczenie, Ira nie potrafi jednak wygospodarować w trakcie dni zdjęciowych dwóch godzin na kosmetyczkę, tyle samo na fryzjera i jeszcze godzinę na masaż.

W południe skończyła sprzątanie i prasowanie pościeli, po czym ruszyła zadbać o urodę. Opuściła salon piękności koło siódmej wieczorem, znowu wsiadła do samochodu, czując, że każda komórka wymasowanego ciała jest odprężona i rześka. Z przyjemnością zerknęła na zaróżowioną i zadbaną twarz, dotknęła rękami gęstych, sprężystych włosów i pomyślała, że spędziła dzień właściwie. Teraz robi zakupy, zapełni bagażnik niskokalorycznymi produktami, które musi jeść, żeby nie przytyć. Niedobrze się składa, gdy dzień wolny od zdjęć wypada w niedzielę. W niedziele nie wszystkie sklepy mają dostawy, więc na poszukiwania tego, co trzeba, Irina musi tracić znacznie więcej czasu niż w dni powszednie. Nic na to jednak nie poradzi. Uśmiechnęła się promiennie do swojego odbicia, schowała lusterko do torebki i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Poszukiwania żywności przebiegały ze zmiennym szczęściem, ale do dziewiątej udało jej się kupić wszystko, co zaplanowała, łącznie

z niemieckim czarnym chlebem z grubo zmielonej mąki, bezglutenowym makaronem, herbatnikami i cukierkami dla diabetyków oraz różnymi rodzajami zielonej sałaty. Teraz najwyższa pora, żeby zadzwonić do Nataszy. Jeśli mają z Rusłanem gotowe dialogi na najbliższe dni zdjęciowe, Irina może wpaść i zabrać tekst. Mimo swojej lekkomyślności traktowała pracę bardzo poważnie, zwłaszcza gdy grała u Woronowej. Nie była jeszcze prawdziwą gwiazdą, więc stojąc na planie obok znanych aktorów, nie mogła pozwolić sobie na potknięcia, bo ucierpiałyby na tym reputacja Natalii: natychmiast znaleźliby się chętni, którzy zaczęliby rozgłaszać, że Woronowa zatrudnia Irę wyłącznie po znajomości, ponieważ Sawienicz jest nic niewarta jako aktorka i zupełnie nie potrafi pracować. Irina nie mogła do tego dopuścić. Cała reszta aktorów zaangażowanych do serialu otrzymywała tekst roli w przeddzień zdjęć, a czasem tuż przed nimi, ale Ira, korzystając z przyjaźni z reżyserką i scenarzystą, starała się dostać nowy fragment scenariusza wcześniej, żeby jak najlepiej się przygotować i nie zrobić z siebie pośmiewiska.

– Natalko – zaszczebotała, gdy w słuchawce rozległ się głos Natalii.

– To ja. Co słyszeć?

– Gdzie jesteś?

– W samochodzie. Mijam stację metra Park Kultury.

– Możesz przyjechać?

– Już jadę. A czemu masz taki dziwny głos? Coś się stało?

– Wszystko w porządku. Przyjedź jak najprędzej.

Natalia rzuciła słuchawkę, pozostawiając Irę w stanie kompletnego zaskoczenia. Dlaczego Natalia rozmawia z nią w ten sposób? Ma do niej jakieś pretensje? Ależ skąd, pomyślała nagle, to przez Andrieja i Jankę. Znowu wyjechali razem na cały dzień. Urwali się w piątek, w sobotę, a teraz jeszcze w niedzielę. Chyba nie mają w ogóle sumienia! Której żonie spodoba się to, że mąż spędza całe dni z młodą uwodzicielką. Chociaż to zupełnie niepodobne do Natalii, jest taka rozsądna i opanowana, nie będzie zazdrosna ot tak sobie. Jeśli jednak chodzi o Rusłana – chłopak może dać się ponieść nerwom i doprowadzić Natalię do rozstroju. Pewnie zaczął histeryzować i ją tym zaraził. Nie szkodzi, gdy tylko Ira zjawi się na



miejscu, zmyje im głowę, najpierw Rusłanowi – za to, że nie panuje nad emocjami i denerwuje Natalię, później Natalii – za to, że słucha tego rozhisteryzowanego durnia, a na końcu, gdy Janka wróci do domu, ją też nauczy rozumu.

Oto znajomy dom. Dom, w którym się urodziła i spędziła większość życia. A oto okna Nataszy na pierwszym piętrze, pali się w nich światło, skrzydła są otwarte. Ira dwa razy przycisnęła klakson na środku kierownicy, rozległy się dwa przenikliwe sygnały. W oknie pojawiła się rozczochrana głowa Aloszy, syna Natalii. Ira pomachała mu ręką.

– Otwieraj drzwi, już idę!

Wbiegła na piętro, szarpnęła za klamkę ciężkich drzwi i wpadła do mieszkania. Od razu zobaczyła bladego jak płótno Rusłana z mocno zaciśniętymi ustami, który stał w holu z dużą torbą w rękach.

– Co się tutaj dzieje? – Ira zachmurzyła się i badawczo popatrzyła na Rusłana, a później zajrzała przez otwarte drzwi prowadzące do pokoiów.

Z głębi mieszkania dobiegły ją kroki Natalii: stanowcze, ciężkie, szybkie. Trzaskały drzwi szaf. Można było odnieść wrażenie, że ktoś wyjeżdża gdzieś w pośpiechu. Ale kto i gdzie? Czyżby Janka przycisnęła Rusłana i oboje zamierzają wrócić do Kemerowa? A to zmija!

– Andriej Konstantinowicz jest na milicji – oświadczył Rusłan.

– Dlaczego? Co się stało?

– W jego samochodzie znaleziono pistolet podobny do tego, z którego zabito Timura. Śledczy zapowiedział, że nie wypuści Andrieja Konstantinowicza, póki ekspertyza nie potwierdzi, czy to tamten pistolet. Jeśli nie tamten, to go wypuszczą.

– A jeśli tamten?

– To aresztują. Na razie go tylko zatrzymano; zdaniem śledczego to może potrwać dziesięć dni...

Wyszła Natalia, skupiona, poważna. Irina nie dostrzegła jednak żadnej paniki na jej twarzy. Nawet nie pobladła, w każdym razie wyglądała znacznie lepiej niż Rusłan. Ira uznała, że Rusłan musiał coś źle zrozumieć, więc lepiej będzie, gdy zapyta Natalię. Ona zaraz

wszystko dokładnie wyjaśni i okaże się, że nic strasznego się nie stało.

– Natałko, co się dzieje? Rusłan powiedział...

– To wszystko prawda, Iriszo. – Natalia pocałowała ją w policzek, jak całowała zawsze na powitanie. – Andriusza jest na milicji. Mamy do załatwienia sporo spraw, bez ciebie sobie nie poradzimy. Zaraz trzeba jechać do śledczego, zabrać od niego kluczyki do samochodu, później przekazać Andriuszy rzeczy, został przecież zatrzymany w spodniach i w jasnej koszuli, przygotowałam mu dres, adidas i ciepły sweter na wypadek, gdyby w celi było wilgotno i zimno. Przybory toaletowe, jedzenie... Wszystko już spakowałam. Później trzeba pojechać tam, gdzie stoi samochód, i przyprowadzić go tutaj. Rusłan pojedzie z nami, przyprowadzi samochód. Po drodze trzeba też wstąpić do Goldmanów, dzisiaj obchodzą rocznicę ślubu, dwadzieścia pięć lat, muszę koniecznie złożyć im życzenia. To potrwa niedługo, najwyżej pół godziny.

– Boże, Natałko! – jęknęła Ira. – Twój mąż został aresztowany, a ty mówisz o jakiejś rocznicy! Czy Inna i Grisza nie mogą się obejść bez ciebie?

Natalia szybko przejrzała zawartość torby, przez chwilę się zastanawiała, po czym kiwnęła głową.

– W porządku, możemy jechać. Chodźmy. Alosza, jedziemy! Zamknij za nami!

Niemal wypchnęła Irę i Rusłana z mieszkania i prędko ruszyła schodami w dół.

– Inna i Grisza Goldmanowie to moi najbliżsi przyjaciele – mówiła półgłosem, schodząc i się nie odwracając, jakby nie była zainteresowana, czy Irina idzie za nią i ją słyszy. – To, co się przydarzyło Andriuszy, ich nie dotyczy i nie powinno mieć wpływu na ich święto. To się przydarzyło mnie, Rusłanowi, po trosze tobie, ale nie Innie i Griszy. Nie zamierzam psuć im srebrnego wesela. Gdybym nawet zaczęła rwać sobie włosy z głowy i pogrążyła się w ciężkiej żałobie, sytuacja z pistoletem nie wyjaśni się szybciej.

Ira w milczeniu otworzyła samochód i uruchomiła silnik. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, że pozorny spokój Natalii, jej opanowanie i jasność umysłu, dzięki którym wie, co trzeba zrobić,

dokąd jechać i co zawieźć – wszystko to jest wynikiem długiego treningu. Wiele razy jeździła na komisariat, gdy Ira była zatrzymana i siedziała na dołku razem z pijakami, włóczęgami, narkomanami i awanturującymi się chuliganami... Wiele razy zawoziła jej ciepłe rzeczy i jedzenie, rozmawiała z milicjantami, prosiła, poniżała się, przynosiła im wódkę, papierosy i deficytowe towary, które załatwiał Andriej Konstantinowicz. Tak, to było dawno, ponad dziesięć lat temu. Ale nie da się ukryć, że było, naprawdę było...



Wiktor Słucewicz od rana był w doskonałym humorze. Wczoraj upewnił się, że sztuczka się udała i szpicel zostawił go w spokoju. W niedzielę przed południem facet też się nie zjawił, co jeszcze raz utwierdziło Wiktora w przekonaniu, że jego rachuby się potwierdziły. Na czwartą był umówiony z Julą, więc delektował się myślą o wspólnym obiedzie w ulubionej restauracji Ładownia i idącymi w ślad za nim zmysłowymi uciechami w jego mieszkaniu.

Jednakże po południu pomyślnie rozpoczęty dzień zaczął go zawodzić. Spotkanie z Julą miało się odbyć w Ładowni, Wiktor specjalnie przyszedł godzinę wcześniej, żeby bez pośpiechu i z przyjemnością wypić piwo i uraczyć się dużymi, soczystymi krewetkami. Jakież było jego rozczarowanie, gdy zobaczył zamknięte drzwi i pustą salę. Ani stolików, ani kelnerów... Wywieszane w oknie ogłoszenie informowało, że restauracja zakończyła swoją działalność i niebawem w tym miejscu powstanie nowy butik.

Starając się opanować irytację, Wiktor postanowił przejść się po sklepach, żeby zabić resztę czasu do spotkania. Ale złość na restauratorów, którzy pozbawili go możliwości regularnego spożywania dobrego niefiltrowanego piwa, była tak wielka, że nie pozwalała mu podziwiać drogich, eleganckich rzeczy. Powłóczywszy się do czwartej, znowu stanął koło Ładowni w oczekiwaniu na Julę. Dziewczyna spóźniła się dwadzieścia minut, co tylko wzmoгло jego irytację.

Następny cios spadł na niego jakąś godzinę później, gdy zabierał się do fettuccine w Pizza Hut na Twerskiej, koło hotelu National.

– Jeżeli zamierzamy jechać do ciebie, to jedź szybciej – zauważyła Jula, rezygnując z dania na gorąco i ograniczając się tylko do sałatki. – Dzisiaj mamy mało czasu.

– Dlaczego? – Wiktor się zachmurzył. – Nie zostaniesz?

– Nie mogę. Rodzice mają srebrne wesele, muszę koniecznie być w domu.

– Mogłaś uprzedzić wczoraj! – rozgniewał się. – Czy ja jestem chłopcem, którego stawia się przed faktem dokonanym w ostatniej chwili?

Jula siedziała z obojętną miną. Chyba nawet nie zwróciła uwagi na jego wybuch.

– Coś ci nie odpowiada? Jeżeli nie chcesz, to możemy w ogóle nie jechać do ciebie. Nie nalegam.

– Chcę, żebyś została – powiedział Wiktor ze złością. – Do rana.

– Po co?

Zmieszał się. Pytanie było całkiem proste, ale właśnie z uwagi na swoją prostotę nie miało odpowiedzi.

– Bo tak chcę.

Nic lepszego nie potrafił wymyślić.

– Witia, oczywiście, że nie jesteś chłopcem, tu się z tobą zgadzam. Ale ja nie jestem dziewczyną na telefon, którą możesz zatrzymać tak długo, jak długo zechcesz. Nie wtrącam się do twojego życia i nie zadaję ci żadnych pytań, więc bądź tak dobry i zauważ, że ja też mam swoje życie. Nie rezygnuję z wizyty u ciebie, ale zostanę, póki będę mogła. Ani minuty dłużej.

Wiktor usiłował wziąć się w garść. Zachowuje się jak kompletny idiota albo raczej jak Jurka Simonow, pozbawiony skrupułów sobiepan, który zgarnął łatwe pieniądze, kierował się wyłącznie chwilowymi zachciankami, nie znał odmowy kobiet i nie uważał za stosowne myśleć o nich jak o samodzielnych istotach. Wiktor Słucewicz, odnoszący sukcesy menedżer w agencji nieruchomości, niezależny finansowo, wolny od więzów małżeńskich, elegancki wielbiciel stylu klasycznego, nigdy nie zachowałby się w taki sposób.

– Wybacz – burknął pojednawczo, pośpiesznie operując nożem i widelcem. – Nie gniewaj się, kotku, mam dziś paskudny humor. Napijesz się kawy?

Jula uśmiechnęła się i mrugnęła figlarnie.

– Kawę możemy wypić u ciebie. Nie traćmy czasu.

Godzinę później, leżąc w łóżku i obejmując mocno rozpalone, wąskie plecy dziewczyny, Wiktor zupełnie zapomniał o swoim złym humorze i o żalu do Juli, że nie chciała zostać na noc. Myślał tylko o tym, że los zesłał mu idealną partnerkę w osobie tej małomówniej i nienachalnej dziewczyny. Wiktor Słucewicz, człowiek bez przeszłości, potrzebuje takiej kochanki, która o nic nie pyta, niczym się nie interesuje, nie wtrąca się w jego sprawy i nie próbuje niczego dociekać. A żyjący w Słucewiczu Jurka Simonow aż się cały trzęsie i skręca z pragnienia, by posiąść to delikatne, szczupłe ciało z długimi nogami, smagłą skórą, piękną talią i, o dziwo, obfitym biustem. Zawsze podobały mu się właśnie takie kobiety, wystarczało jedno spojrzenie – i wpadał po same uszy. Zwłaszcza gdy miały długie i ciemne włosy.

Zaterkotał budzik – Jula nastawiła go na dwadzieścia po dziewiątej. Od razu wyswobodziła się z objęć Wiktora i ruszyła do łazienki.

– Uprawiasz miłość według zegarka? – Znowu próbował się obrazić.

– Uprawiam miłość, nie tracąc głowy – odparła Jula spokojnie. – Jeżeli rodzice się przekonają, że moje życie osobiste nie zakłóca życia naszej rodziny, to nie będą usiłowali pokrzyżować moich planów. Jak chcesz żyć w zgodzie, nie prowokuj agresji. Prawo współistnienia.

Wiktor odrzucił prześcieradło i też wstał. Musi się ubrać i odwieźć Julę do domu. Właściwie wcale tego nie żądała, powiedziała jedynie, że musi być w domu najdalej o dziesiątej i jeśli pojedzie metrem, to będzie musiała wyjść o dziewiątej. Ale jeżeli Wiktor odwiezie ją samochodem, to mogą wyjść za dwadzieścia dziesiąta. Ma się rozumieć, że od razu zaproponował swoje usługi. Niezwykła dziewczyna! Taka młoda, ale jeśli się przyjrzeć uważnie – istna staruszka. Wszystko robi zgodnie z planem, zawsze dokładnie wie, co może, a czego jej nie wolno. Zero romantyzmu, żadnego porywu. Niczym jakiś mechanizm w niebywale seksownym opakowaniu.

– Kotku, nawet nie znam twojego nazwiska – powiedział nagle, gdy jechali samochodem.

– No i co z tego? – Jula obojętnie wzruszyła ramionami. – Ja twojego też nie znam.

– Słucewicz. Wiktor Anatoljewicz Słucewicz – przedstawił się oficjalnie, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą pozorując ruch, którym zdejmuje się kapelusz podczas zawierania znajomości.

– Ja się nazywam Julia Grigorjewna Goldman. – Kąciki ust dziewczyny drgnęły w słabym uśmiechu. – I co teraz? Będzie nam lepiej w łóżku, gdy znamy swoje personalia?

Jej słowa wydały mu się nazbyt cyniczne jak na dwudziestojednoletnią dziewczynę. Zresztą Wiktor już nie pierwszy raz przyłapywał się na myśli, że obecne wielkomiejskie dziewczyny i tamte dziewczyny, z którymi miał do czynienia jakieś osiemnaście lat temu w rodzinnych stronach, są jak niebo a ziemia.

– Zastanawiałem się, jak to będzie, gdy się pobierzemy. Zostaniesz Julią Słucewicz. Ładnie brzmi, prawda?

– Julia Goldman też brzmi ładnie. Skąd pomysł, że się pobierzemy?

– No... tak sobie założyłem. Czyżby to było zupełnie niemożliwe?

– Wszystko się może zdarzyć. – Westchnęła. – Tylko pytanie: po co? Po co mam wychodzić za męża? Z jakiego powodu?

Wiktor nie wiedział, czy się dziwić, czy oburzać. Słyszał w telewizji i czytał w gazetach, że współczesne kobiety nie rwą się do małżeństwa, wolą wolność i samodzielność, ale sądził, że to niepotwierdzone domysły socjologów i psychologów. Do tej pory nie spotkał dziewczyny, która nie chciałaby mieć męża. A tymczasem okazuje się, że takie dziewczyny istnieją...

– Kobieta powinna wyjść za męża i mieć dzieci – powiedział z przekonaniem. – Zawsze tak było, jest i będzie.

– Nie przeczę. Na pewno wyjdę za męża i urodzę dzieci. Ale nie rozumiem, dlaczego ty masz zostać moim mężem. Masz jakieś wyjątkowe zalety, które dają ci przewagę nad innymi?

Teraz Wiktor naprawdę się obraził i zirytował. Wygląda na to, że ta chudzina potrzebuje go tylko do obiadów w restauracjach i do zabaw w łóżku. Jej zdaniem do niczego więcej się nie nadaje. Wykorzystuje go jak samca, toteż nie ciekawi jej jego życie i o nic nie pyta. Nie widzi w nim nic interesującego, a raczej widzi, ale tylko w sferze seksu. Traktuje go tak, jak on traktował prostytutki, którym płacił

za intymność i z którymi nie miał najmniejszego zamiaru prowadzić rozmów o życiu. Z tą tylko różnicą, że to nie Jula płaci za te rozrywki. To on zabiera ją do restauracji, a nie ona jego.

Stop, stop, dokąd go niesie? Znowu wylazł z niego Jurka Simonow z jego doświadczeniem życiowym. Nie, Wiktor Słucewicz nie może się obrażać za takie słowa, nie powinien, nie ma prawa. Jurka to hazardzista, poszukiwacz szczęścia, szalony i pewny siebie. Wiktor jest biznesmenem, który wszystko kalkuluje i który dobrze wie, że wszystko można sprzedać i kupić. Słowa Julki nie są wcale obraźliwe, jej rodzice to ludzie interesu, odziedziczyła po nich zdroworozsądkowe myślenie. To targ, zwyczajny targ. Jest sobie dziewczyna Jula, dane osobowe takie i takie, wykształcenie takie, charakter taki, nawyki seksualne takie. Ile możesz za to zaproponować? Co jesteś gotów dać w zamian? Podaj swoją cenę, a porównamy ją z innymi ofertami, po czym dokonamy wyboru. Nic obelżywego, nic poniżającego, wszystko jest sprawą interesu.

– Słusznie, kotku. Chyba nie wyróżniam się niczym szczególnym spośród innych mężczyzn. Rozpatrzmy uważnie moją kandydaturę. Mam trzydzieści trzy lata. Jestem starszy od twoich lekkomyślnych rówieśników o całe dwanaście lat. Mam więcej rozumu i doświadczenia życiowego. Zgodzisz się ze mną?

– Na razie tak.

– Jestem też znacznie młodszy od staruszków, którzy się ślinią na widok twojej apetycznej pupci. Staruszkowie mają więcej doświadczenia i pieniędzy, ale mniej sił i lat życia przed sobą. Teraz też przyznasz mi rację?

– Tak. Coś jeszcze?

– Nigdy nie byłem żonaty, nie mam dzieci ani żadnych zobowiązań wobec jakiegokolwiek kobiety. Wszystkie moje pieniądze staną się twoje. Gdzie dzisiaj znajdziesz takiego jak ja, w dobrym wieku i bez alimentów?

– Tak, rzeczywiście, nie znajdę. Ładownię zamknięto, a w żadnym innym miejscu nie spotkam takich wartościowych osobników jak ty.

– Jula się uśmiechnęła. – Jakie masz jeszcze zalety?

– Moi rodzice umarli dawno temu, więc ominie cię tak nieprzyjemny problem jak relacje z teściową.

– Ważki argument. To wszystko?

– Na razie wszystko. Ale jeszcze się zastanowię – obiecał. – Może coś mi się nasunie. Nawiasem mówiąc, mam coś jeszcze na swoją korzyść. Skoro nie podoba ci się moje nazwisko, jestem gotów zostać Wiktorem Goldmanem. Docień to, kotku. Nie każdy facet pójdzie na coś takiego. Mąż i żona powinni nosić to samo nazwisko, inaczej to fikcja, a nie małżeństwo. Dla ciebie jestem gotów poświęcić swoje nazwisko.

Julia prychnęła, ale się nie odezwała. Przez resztę drogi milczeli. Wiktor myślał, że warto byłoby ożenić się z tą dziewczyną, a później namówić ją, by złożyła podanie o wyjazd. Jeszcze raz zmienić nazwisko, zostać Goldmanem i dać nogę do Izraela, a później na przykład do Holandii czy Niemiec albo nawet do Ameryki Południowej. Nie ma takiej siły, żeby Bogomolec go dopadł.

Zatrzymał się koło wejścia do domu, w którym mieszkała Jula, pomógł jej wysiąść i ją objął. Dziewczyna usiłowała odsunąć się delikatnie.

– Muszę lecieć.

Szybko wstukwała kod w domofonie i otworzyła drzwi. Wiktor wślizgnął się za nią.

– Dopiero za dziesięć dziesiąta – wyszeptał, gorączkowo przesuwając rękami po jej biodrach i usiłując wsunąć je pod spódnice.

Parę minut później po raz ostatni pocałował Julę i otworzył drzwi wejściowe. Obok jego samochodu stał czerwony ford, z którego wysiadły dwie kobiety i mężczyzna.

– Ojej, ciocia Natasza, dzień dobry! – zawołała Jula z radością. – Cześć, Irinko.

– Witaj, Juleńko. – Starsza kobieta pocałowała dziewczynę. – Wychodzisz?

– Nie, właśnie wróciłam. Powiedz mamie, że będę za pięć minut.

Wszyscy troje minęli Wiktora, zmierzając w kierunku windy. Starsza kobieta kiwnęła mu głową uprzejmie. Młodsza i ładniejsza otaksowała go wzrokiem. Mężczyzna nawet nie odwrócił głowy w jego stronę.

– Witia, co z tobą?!



Głos Juli wyrwał go z odrętwienia.

– Tak? Co takiego? – wybąkał z roztargnieniem.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Co z tobą? Czyżby Irka zrobiła na tobie piorunujące wrażenie?

– Irka? – Z trudem oprzytomniał. – Nie, po prostu zakręciło mi się w głowie. Nie mogę się do ciebie zbliżyć, jeśli w pobliżu nie ma łóżka. Widzisz, do czego to prowadzi...

Próbował żartować i choć wiedział, że efekt jest kiepski, nie potrafił wymyślić niczego dowcipniejszego.

– To przyjaciele twoich rodziców?

– Prawie. Ciocia Natasza jest szkolną koleżanką mamy, przyjaźnią się od pierwszej klasy. Irinka to jej wychowanka, niemal jak młodsza siostra. Moja mama zna ją całe życie, od urodzenia. Czyżbyś ich nie rozpoznał?

– Czemu miałbym je rozpoznać?

– No wiesz?! Ciocia Natasza to przecież Woronowa, słynna reżyserka, a Irinka jest aktorką, na pewno widziałeś ją w telewizji. Irina Sawienicz. No co, przypomniałeś sobie?

Nie przypomniał sobie, ale na wszelki wypadek kiwnął głową.

– A ten liliput? Co to za facet? – zapytał, starając się, żeby głos go nie zdradził.

– To Rusłan. Napisał powieść, na podstawie której ciocia Natasza kręci teraz serial. Musiałeś czytać w gazetach o zabójstwie, do którego tam doszło.

– O jakim zabójstwie? Nic nie wiem.

– Jak to?! Cała Moskwa aż huczy. Podczas zdjęć zabito kierowcę, a żonę Rusłana porwano. Później ją wypuszczono, ale zabójcy dotąd nie znaleziono. Naprawdę nie czytałeś?

– Nie czytam kroniki kryminalnej, interesują mnie raczej nieruchomości... Dobrze, kotku, biegnij, czekają tam na ciebie. Zadzwoń jutro.

Wiktor zaczekał, aż za Julą zamkną się drzwi, po czym wsiadł do samochodu, wyjął telefon komórkowy i wybrał potrzebny numer.

– Co słychać? – zapytał, siląc się na spokój.

– Wszystko zgodnie z planem – usłyszał stanowczy głos. – O nic się nie martw.

– Przed chwilą go widziałem.  
– Kogo?  
– Nilskiego. Nadal jest w Moskwie. Dlaczego nie wyjechał?  
– Nieprzewidziane okoliczności. Ale pracujemy nad tym.  
– Dlaczego nie powiedzieliście mi o kierowcy?  
– Nie musimy zdawać ci sprawozdania. Mamy zadania i pracujemy, by je wykonać. A dlaczego, co i jak, to nie twój problem. Zrozumiałeś, Witia?

– Przeciwnie, to mój problem! Przecież chodzi o moje życie! Mam prawo wiedzieć, dlaczego rezygnujecie z planu i wyrabiacie cholera wie co! – zaczął krzyczeć. – Mielicie tylko wywieźć żonę, a później ją wypuścić. Co to za amatorszczyzna z kierowcą? Chcieliście obudzić gliniarzy? Nudzicie się, gdy śpią? Gorzej wam się pracuje?

– Uspokój się. – Głos w słuchawce był wciąż opanowany i pozbawiony emocji. – To był wybryk wykonawcy. Żeby ci ulżyło, powiem, że winni zostali ukarani. U nas panuje bardzo surowa dyscyplina.

– Mam w nosie waszą dyscyplinę! Ludzie Bogomolca już depczą mi po piętach. Zrobiłem, jak mi radziliście, podsunąłem im fałszywy trop, ale to tylko chwilowa przerwa. Chwilowa, rozumiecie? W każdej chwili mogą się znowu zjawić. Będę mydlił im oczy, podsuwał fałszywki, to jednak nic nie da, jeśli się dowiedzą tego, co wiemy. Wtedy nie pomogą mi żadne przedstawienia, zorientują się w ciągu pięciu minut. I będzie po mnie.

– Nie panikuj. Wypij lampkę koniaku i kładź się spać.

Przez połowę drogi Wiktor kipiał z oburzenia. Ależ trzeba być durniem, żeby zabić kierowcę! Polecenie było przecież wyraźne: porwać żonę Nilskiego i wypuścić po trzech dniach. I to wszystko. W takiej sprawie żaden gliniarz nie ruszy tyłka. Wielkie mi rzeczy, młoda żonka poszła w tango i balowała przez trzy dni. Znalazła się w końcu? Znalazła. Cała i zdrowa. A co opowiada – nikogo to nie interesuje. Zresztą powie, co jej przyjdzie do głowy, byle tylko ukryć grzech i nie pogorszyć stosunków z mężem. Teraz jednak gliniarze mają trupa, teraz nie uda się przeczekać w spokoju. Chcąc nie chcąc, trzeba będzie pracować.

W połowie drogi Wiktorowi przyszła do głowy myśl, która sprawiła, że zdrętwiał. Dzisiejsze spotkanie z Nilskim... Czy było przypadkowe? A raczej w jakim stopniu przypadkowe? Rusłan chyba go nie rozpoznał, w każdym razie niczego po sobie nie pokazał. Nic w tym dziwnego, operacja plastyczna, której poddano Wiktora, wyszła znakomicie, najlepsi lekarze pracowali za olbrzymią kasę. Ale jak to się stało, że Wiktor przypadkiem poznaje dziewczynę, która jest związana z Nilskim? Czy to możliwe w wielomilionowym mieście? A może to od początku nie był przypadek, może to była starannie zaplanowana gra? Bogomolec dogadał się z Nilskim, zapomniał o dawnej wrogości. A Rusłan pomaga mu teraz namierzyć Jurkę Simonowa. Kiedy w życiu Wiktora pojawiła się Jula? Całkiem niedawno, po powrocie z Kemerowa. Innymi słowy, po tym, jak ludzie Bogomolca mogli wywęszyć trzy nazwiska: Słucewicza, Gusarczenki i Riemisa. Wywęszyli – i wysłali za każdym swojego człowieka. Za nim – Julkę. Trzeba by się dowiedzieć, czy w ostatnich dniach nie pojawiła się podobna znajoma u Gielika Riemisa.

Do diabła, a jeszcze pół godziny temu zastanawiał się, czy nie ożenić się z Julką! Ale z niego kretyń! Chyba mu całkiem odbiło.

## Rozdział 13

Wiaczesław Michajłowicz Afanasjew spoglądał na listę i po kolei maglował każdego pracownika wydziału, zadając mu pytanie: „Jak się posuwa praca w związku z wyjaśnieniem przestępstwa?”. Zabójstw, w których wyjaśnianiu brali udział jego podwładni, było jak zwykle więcej niż samych podwładnych, ale to uwarunkowanie arytmetyczne z reguły podobało się naczelnikom. Jeśli bowiem ktoś prowadzi parę spraw naraz, to bez wątpienia nie może tego robić skutecznie, z pełnym poświęceniem, bez potknięć i błędów, a to oznacza, że zawsze jest się do czego przyczepić i za co zganić. Swoją porcję gniewu przełożonego otrzymali wszyscy, między innymi Nastia, która uśmiechając się w myślach, przypomniła sobie wczorajszą pochwałę pułkownika i skarciła się za głupią nadzieję, że przynajmniej dzisiaj uniknie reprimendy. Oprócz zabójstwa w Sokolnikach na jej barkach spoczywały jeszcze trzy przestępstwa, w związku z którymi zdążyła zrobić to i owo w ubiegłym tygodniu, ale widocznie nie dość, żeby dostać dobrą ocenę na odprawie służbowej. Najwięcej pretensji wywołała jej „bezczytność” w sprawie potrójnego zabójstwa, do którego doszło podczas kolejnych porachunków wewnątrz jednego z ugrupowań kontrolujących handel na rynku. Zbrodnia została popełniona pod koniec maja, aktywne prace prowadzono jak zwykle przez pierwsze parę dni, później tempo zaczęło zwalniać, a po miesiącu działania ustały. Tak było zawsze i wszędzie, bo przestępcy mają niemiły zwyczaj „pracować” według własnego planu i nie zaprzatają sobie głowy problemami detektywów i śledczych, którzy nie wiedzą, w co ręce włożyć. Gdyby złodzieje, rabusie i mordercy traktowali milicję po ludzku, z szacunkiem i sympatią, na pewno wzięliby pod uwagę nawet obowiązków ciążących na stróżach prawa i obmyślając kolejne przestępstwo,

najpierw zainteresowałoby się, czy detektywi i śledczy będą mieli czas i siły na to, by zająć się tym, co planują zrobić. I ustalwszy, że nie będą ich mieli, podjęliby decyzję, by trochę poczekać, pozwolić „wrogom” wykaraskać się ze zobowiązań i dopiero potem rzeško, z pionierskim zapałem zabrać się do nowej sprawy. Ale kłopoty milicji z jakiegoś powodu nie znajdują zrozumienia w świecie przestępczym, toteż detektywi muszą przyjmować nowe zadanie, mimo że nie wywiązali się z wielu poprzednich. Stąd efekt: nad sprawą „świeżego” denata pracują pełną parą zaledwie kilka dni, a następnie przerzucają się na kolejne zabójstwo, które jest kapryśne, nie chce stać w kolejce i czekać, aż milicjanci będą mieli wolne głowy i ręce.

Afanasjew nie zapomniał o nikim; wyjaśniwszy kadrze, że nie może pracować w ten sposób i zamierza żądać wysokiej aktywności podczas wyjaśniania wszystkich przestępstw, w tym również tych sprzed stu lat, zrobił zatroskaną i bolesciwą minę.

– Kilka dni temu w mieście doszło do zabójstwa na tle narodowościowym. Jest polecenie szefostwa, by sprawę wzięła Pietrowka. Powinniście być świadomi, że ma ona wymiar polityczny. Moskwa jest miastem wielonarodowościowym, nie wolno pozwolić, żeby jedni ludzie zabijali drugich z powodu przynależności narodowościowej, inaczej dojdzie do pogromów i masowej rzezi.

– A czy w mieście jednonarodowościowym można zabijać z tego powodu? – zapytała Nastia niewinnie. – Bo myślałam, że zabijać w ogóle nie wolno, nigdzie i nikogo. Tak mnie uczono na studiach.

Przez krótką chwilę w oczach naczelnika płonął niedobry ogień.

– Słusznie, Kamieńska, uczono cię. Więc się tym zajmij. Jedź do komendy okręgowej i weź wszystkie materiały, sprawa jest uzgodniona z kierownictwem.

Nastia już otworzyła usta, by włączyć się do dyskusji, ale napotkawszy ostrzegawcze spojrzenie Korotkowa, zrezygnowała. Chciała przypomnieć Afonii, że dzisiaj planowała weryfikację hipotez związanych z treścią powieści Rusłana Nilskiego, a także z deputowanym Dumy Państwowej Jewgienijem Fietisowem, podejrzanym o zorganizowanie pogroźek i nacisków na dziennikarza. Zamierzała też powiedzieć Wiaczesławowi

Michajłowiczowi, że zabójstwo na tle narodowościowym, podobnie jak religijnym, to nie nowość, że takie zabójstwa zdarzały się wcześniej: wysadzano synagogę, a Ormianie i Azerbejdżanie zabijali się podczas konfliktu w Górskim Karabachu wcale nie z powodu dziewcząt. Ale Korotkow spojrzał na nią gniewnie, więc postanowiła milczeć.

– No i kto cię ciągnie za język? – zapytał z wyrzutem jakies dwadzieścia minut później, gdy po odprawie wpadł do niej na kawę. – Ściągnęłaś sobie na głowę nowe problemy. Gdybyś siedziała cicho, może ktoś inny dostałby sprawę.

– A co za różnica? – Nastia machnęła ręką z rezygnacją. – Jak nie ta, to inna sprawa spadłaby na mnie. Wszyscy mają jednakowe obowiązki. Tylko Pączek zawsze myślał, zanim zaczynał rozdawać zadania. Zastanawiał się, kto co potrafi i najlepiej robi. A u Afonii to czysta arytmetyka, przydziela obowiązki, żeby nikomu nie było lekko. Słyszałeś coś o tym zabójstwie na tle narodowościowym? Czemu uraczono nim Pietrowkę?

– Wyjaśniam. – Korotkow siorbnął kawę z kubka i nadgryzł herbatnik. – Jeden młody mężczyzna zastrzelił drugiego młodego mężczyznę. O zabójcy prawie nic nie wiadomo poza tym, że jest przeciętnego wzrostu, średniej budowy ciała i że włosy ma ni to jasne, ni to kasztanowe, to znaczy nijakiego koloru. Ale o ofierze wiadomo nieco więcej. Ów mężczyzna, koleżanko, jest członkiem ugrupowania Walery Lipieckiego.

– Nieźle! – wycedziła Nastia. – Czy to ten Lipiecki, który stoi za dwoma bankami i dziesiątkiem firm?

– Ten sam.

– Wobec tego nie rozumiem, z jakiego powodu to całe zamieszanie. Lipiecki ma ochronę, podobno jedną z najlepszych w Moskwie. Sami znajdą zabójcę, bez naszej pomocy.

– Uhm. – Jura kiwnął głową. – Znajdą, a później zabiją. I będziemy mieli już trzy trupy na stanie.

– Chwileczkę, a dlaczego trzy? – Nastia nie zrozumiała. – Pierwszy trup jest, drugi będzie, a gdzie trzeci?

– Trzeci już był, jeśli wierzyć wątpliwym danym otrzymanym drogą operacyjną. Nie dasz mi dokończyć, a śpieszysz się z pytaniami.

– Przepraszam. Poczęstuj się jeszcze herbatnikami, bo jesteś jakiś zły od rana. To z głodu? Przecież dałam ci śniadanie.

– No i proszę, już mi wypominasz kawałek chleba... – Korotkow westchnął. – Krótko mówiąc, masz rację. Rzeczywiście nie byłoby żadnego zamieszania, gdyby nie pewien pikantny szczegół. Ludzie z ugrupowania Lipieckiego nie są biedakami, banki i firmy przynoszą duży dochód, więc wszyscy członkowie łącznie z pionkami mają apartamenty w prestiżowych domach i jeżdżą drogimi zagranicznymi brykami. Nasz zabity też mieszkał w porządnym domu. Ten sam dom zamieszkuje spora liczba szacownych i zamożnych obywateli. Niektórym bardzo się nie podoba, że pod ich oknami dochodzi do strzelaniny. Jeden taki marudny gość usłyszał strzały i wyskoczył na balkon, pałając dziką żądzą, żeby koniecznie obrzucić ordynarnymi przekleństwami łobuza, który narusza jego spokój. No i co tam zobaczył?

– Domyślam się. – Nastia się uśmiechnęła. – Leżące ciało i uciekającego mężczyznę o przeciętnym wyglądzie.

– No i się pomyliłaś. – Korotkow zrobił złośliwą minę, wsunął całą dłoń do puszek z herbatnikami i przez parę sekund pochłonięty był jedzeniem. – Widział tylko uciekającego mężczyznę. Bez ciała. A ponieważ wyżej wymieniony mieszkaniec okazał się nie tylko marudny, ale też starej daty, z jakiegoś powodu uznał, że zadaniem naszej milicji jest ochrona spokoju i bezpieczeństwa mieszkańców. Ciekawe, kto mu nagadał tych głupot? Wszyscy od dawna wiedzą, że milicja w naszym kraju istnieje wyłącznie w celach sprawozdawczości prezentowanej światowej wspólnotie. Że niby my też ją mamy, a więc wszystko jest jak u dużych. Ale lokator chyba tego nie wiedział, bo natychmiast zadzwonił na komisariat. „Mieliśmy tutaj strzelaninę”, mówi. Dyżurny obiecał przysłać funkcjonariusza. Nasz lokator czeka, nie kładzie się spać, szykuje się do spotkania z milicją i do składania zeznań. Nikt jednak nie przyjeżdża. Więc po jakichś czterdziestu minutach znowu dzwoni. Dyżurny po raz kolejny obiecuje, że przyśle ludzi. Zauważ, że w międzyczasie zrobiła się północ, normalni ludzie muszą wstać rano do pracy, więc najwyższa pora iść lulu, ale nasz czujny

bojownik o sprawiedliwość jest zdania, że musi do końca spełnić swój obywatelski obowiązek.

– Biedaczysko – powiedziała Nastia ze współczuciem. – Jak długo w sumie czekał?

– Trzy i pół godziny. Z pięć razy dzwonił do dyżurki. Strzelanina była koło jedenastej wieczorem, o wpół do trzeciej w nocy machnął ręką na swój obywatelski obowiązek i poszedł spać. A rano się obudził, wyszedł na balkon, żeby pomachać hantelkami, patrzy, a na dole milicja, kryminolodzy, pies biega z przewodnikiem pod rączkę. Okazuje się, że mężczyzna został zastrzelony w chwili, gdy otworzył drzwi samochodu, żeby wysiąść. No i został w środku, osunął się na siedzenie, z zewnątrz nie było go widać w ciemności, dopiero rano ktoś zauważył. Zabójca miał głowę na karku, zamknął drzwi, żeby samochód nie przyciągał uwagi. No a dalej, koleżanko, zaczyna się to, co najciekawsze.

– Może być jeszcze ciekawiej?

– Posłuchaj. Naiwny i marudny facet zbiegł na dół do milicjantów, żeby złożyć zeznania. Przecież dobrze pamięta, kiedy strzelano, widział też uciekającego mężczyznę. Tymczasem nawet z nim nie porozmawiano, dasz wiarę? On im mówi, że jest świadkiem, że może złożyć zeznania. Ale został zignorowany. Nie zapisano ani jego nazwiska, ani adresu, ani telefonu. Wtedy facet uniósł się honorem. Ogarnięty oburzeniem wytrzymał do wieczora, a wieczorem zadzwonił do swojego przyjaciela z naszego ukochanego ministerstwa. Poskarżył mu się żałośnie. Jego przyjaciel nie był głupcem, następnego ranka zameldował, komu trzeba. Obecnie w ministerstwie panują niespokojne czasy, nowy minister wymienia cały zarząd, więc każdą informację o tym, że u kogoś w podległym dziale nie wszystko idzie, jak trzeba, i pojawiają się niedociągnięcia w pracy, wykorzystuje się w jednym celu: jako materiał kompromitujący.

– Wszystko jasne. Kontrolę nad sprawą przejęło ministerstwo i żeby nadać jej odpowiednią rangę, przekazało ją na Pietrowkę. A co ma do tego kwestia narodowościowa?

– Wyjaśniam ponownie. Chyba skończyły się herbatniki. – Korotkow z zakłopotaniem spoglądał na okrągłe blaszane pudełko,



w którym jeszcze niedawno nawet nie prześwitywało srebrzyste dno.

– Przecież było ich całkiem sporo...

– Było – przyznała Nastia. – Póki ich nie zjadłeś. Jesteś jak wąż, połykasz wszystko, jak leci, i na nic się nie oglądasz, zwłaszcza gdy o czymś opowiadasz. Proszę nie zbaczać z tematu, panie naczelniku, i mówić dalej.

– No więc tak. Gdy tylko zaczęła się kontrola, uruchomiono wszystkie siły, rozpostarto szeroko sieci i wyłowiono taką informację: naszą ofiarę zabito podobno za to, że niedługo przedtem zabiła jakiegoś mieszkańca Kaukazu, w dodatku wyłącznie z nienawiści do tego narodu. Wygląda więc na to, że drugie zabójstwo zostało popełnione z zemsty albo w ramach kary, a pierwsze z powodu waśni narodowościowych. Z tego wniosek, że Afonia zważył na ciebie nie jednego trupa, ale dwa.

– Nic, tylko się cieszyć. – Nastia pokręciła głową z przygnębieniem.  
– A zatem wykonawcy drugiego zabójstwa trzeba szukać wśród osób nieistniejącej w przyrodzie narodowości kaukaskiej. Ale pierwsze zabójstwo mamy chyba z głowy, zabójca jest znany, ponieważ leży martwy. Nie wiadomo tylko, kim jest pierwsza ofiara. Kiepsko! Nie powiedziano ci chociaż, kogo on tam zabił? Gruzina, Ormianina, Azerbejdżanina, Czeczeńca, Ingusza, Osetyjczyka? A może Awarczyka albo Dargijczyka? W jakiej grupie etnicznej należy szukać mściciela?

– Wybacz, koleżanko. – Korotkow rozłożył ręce. – Czego nie wiem, to nie wiem, nie zamierzam zmyślać. Przejrzyj komunikaty z ostatnich czterech tygodni, przeanalizuj skład narodowościowy ofiar, myśl, kombinuj. To przecież twoje ulubione zajęcie. Do dzieła.

– A co mam zrobić z zabójstwem Indżiji? Zostawić?

– Po co tak radykalnie podchodzić do sprawy? Praca nad wyjaśnieniem zabójstwa Indżiji trwa i bez ciebie, uruchomiłem jednego kołosa, który może znaleźć sposoby sprawdzenia informacji o Ediku Starszym. Zarubin zbiera informacje w Kemerowie, eksperci badają pistolet zarekwirowany u Ganielina. Wszystko toczy się swoją koleją. U śledczego trzy osoby pocą się w celi, więc on też ma co napisać w sprawozdaniu.

Tak, to prawda, nikt nie może zarzucić im beczynności. Co się z nimi wszystkimi stało? Kiedy przestali się starać, żeby znaleźć przestępcę, a zaczęli się kierować wyłącznie wskaźnikami i opinią przełożonych? Poziom przestępczości, procent wykrywalności... Właściwie te wskaźniki istniały zawsze, zawsze ganiono ich za wysoki poziom i niski procent, nic się przecież nie zmieniło, a jednak jest inaczej. Coś zaczęło szwankować w milicyjnych duszach, pękła jakaś sprężyna, rozpadła się, a później zaczęła się rozpadać cała machina wokół niej. Gmyria ma trzech zatrzymanych w jednej sprawie, w dodatku to zupełnie oczywiste, że jeśli pierwsi dwaj są winni, to trzeci na pewno jest niewinny. I odwrotnie: jeśli są poważne podstawy, by podejrzewać trzeciego, to pierwszych dwóch należy wypuścić. Dlaczego więc wszyscy są wciąż w celi? Dlatego że przeciwko żadnemu z nich nie ma konkretnych, namacalnych, niezbitych dowodów, ale należy pozorować aktywne działania w związku ze sprawą. Już od dawna nikogo nie interesuje kwestia legalności zatrzymania i praw człowieka. Posadzili – no to będziesz siedzieć, nic ci się nie stanie. Boris Witaljewicz Gmyria to dobry śledczy, dociekliwy, surowy, doświadczony, ale nigdy nie przestrzegał rygorystycznie prawa, może dlatego, że wcześniej przez wiele lat pracował jako funkcjonariusz operacyjny. Chociaż... możliwe, że Nastia nie ma racji, zarzucając Gmyrii obojętność w stosunku do ludzi. Jeśli informacja Afonii o konflikcie Ganielina z Edikiem Starszym nie jest czczą gadaniną, jeśli Ganielinowi rzeczywiście zaproponowano, by „odpracował” dług, to raczej nie poszedł sam do Sokolników zabić kochliwego Tiejmuraza Indżię. Najprawdopodobniej wynajął kogoś. Wszyscy tak robią, nie brudzą sobie rąk. A więc niewykluczone, że to on jest organizatorem zabójstwa, a jeden z dwóch znajomych Timura – wykonawcą. Ganielin świetnie pasuje do roli organizatora, dobrze zna sytuację na planie filmowym, na pewno dowiedział się od żony, że Timur zaprzyjaźnił się z Janą i zabawia ją w wolnym czasie. Wie też wiele innych rzeczy przydatnych dla zabójcy. Pojawia się jednak pytanie: jak mu się udało znaleźć wśród przyjaciół Timura chętnych do wyrównania rachunków z chłopakiem? Ten problem da się jednak rozwiązać: pomogli na przykład ludzie Edika Jusubowa. Co prawda

do takiej układanki zupełnie nie pasuje pistolet znaleziony w samochodzie Ganielina. Jak się tam znalazł, skoro mąż Natalii Woronowej nie strzelał z niego, a kierowcę zabił ktoś zupełnie inny? Czyżby Andriej Konstantinowicz dał wykonawcy broń, a później zabrał ją z powrotem? No cóż, to się zdarza. Oszczędność nie jest cechą rzadką. Nabył broń, zapłacił własnymi pieniędzmi, więc czemu jego mienie ma teraz przepaść? Przecież nie wyrzuci, szkoda...

Nie, nie zgadza się. Człowiek, który przeznaczają gigantyczne pieniądze na kręcenie filmu i w ogóle nie liczy na to, że zwróci mu się cała suma, nie będzie zachowywał się w sposób małostkowy i podejmował ryzyka dla paru setek dolarów wydanych na pistolet. A może będzie? Spróbujmy przeanalizować wszystko jeszcze raz: Ganielin zorganizował nie tylko zabójstwo Timura Indżiji, ale też porwanie Jany. Porwanie miało wyłącznie jeden cel – zagmatwać śledztwo, podsunąć fałszywe motywy przestępstwa. W tym samym celu podłożono list z cytatem z Marka Twaina i pudełko z pozbawionymi głów szczurami. Rozważnie, sprytnie, pedantycznie. No i co, ktoś, kto szczegółowo wszystko obmyślił i przewidział, zaryzykował i nie pozbył się poszukiwanej broni? Nie dość, że się nie pozbył, to jeszcze woził w swoim samochodzie, w schowku, do którego może zajrzeć właściwie każdy, kto usiądzie na przednim siedzeniu: Jana, Natalia Aleksandrowna, Rusłan. Nie, teraz na pewno się nie zgadza.

Nastia przeglądała komunikaty z ostatnich trzydziestu dni, wyszukując obco brzmiące nazwiska, a drugą połowę umysłu nieustannie wracała do zabójstwa Timura Indżiji i dopasowywała wszystko, co było znane w sprawie, do osobowości Andrieja Ganielina. Proces dopasowywania szedł marnie, skrojony z faktów garnitur wciąż nie pasował do figury biznesmena.

Gdy w komunikacie z dziewiątego czerwca przewinęło się nazwisko Indżija, Nastia odruchowo zareagowała na obce nazwisko i odhaczyła je ołówkiem na marginesie. Czemu nie? Ze względów formalnych pasuje idealnie, ofiara jest Gruzinem, przestępstwo pozostaje niewyjaśnione, a więc Nastia nie ma prawa wykreślać go bez namysłu z wykazu faktów podlegających kontroli. Dobrze byłoby na złość Afonii ustalić, że to właśnie Tiejmuraza Indżiję zabito

z powodów narodowościowych! I że ani Ganielin, ani jego koledzy w interesach, ani pracownicy telewizji, ani polityk Fietisow i jego kumpel Bogorad o ksywie Bogomolec nie mają z tym nic wspólnego. Ale byłoby super! Afonia miałby się z pyszna ze swoimi koniunkturalnymi zapędami!

Ciekawe, czy naprawdę mogło się tak zdarzyć? Nastia spróbowała wyobrazić sobie zabójstwo z powodów narodowościowych. Jak może wyglądać? Wyobraźnia od razu podsunęła jej scenkę obyczajową: smagły mężczyzna z wydatnym nosem handluje na rynku dorodnymi owocami, podchodzi do niego klient, pyta o cenę, usiłuje się targować, wybucha kłótnia, klient wyciąga pistolet i strzela do nieustępliwego sprzedawcy, wołając: „Nienawidzę was, nienawidzę wszystkich czarnuchów! Zjechali się! Zalali całą Rosję! Pijecie rosyjską krew, wyciągacie z nas ostatnie pieniądze!”. Mogło tak być, mogło. Ale w ciągu dnia i na oczach dziesiątków ludzi. Inna opcja: w Moskwie mieszka zamożny (żeby nie powiedzieć bogaty) przybysz z Kaukazu, kupił sobie luksusowe mieszkanie, w garażu koło domu trzyma dwa, trzy samochody, jeden droższy od drugiego. W tym samym domu mieszka zubożały po pieriestrojce Słowianin, doprowadzony do ruiny ciągłym wzrostem cen wszystkich artykułów, oszukany przez własne państwo i pozbawiony oszczędności. Nienawiść do sąsiada wzbiera, kumuluje się i w końcu wybucha... Całkiem możliwe, że późnym wieczorem, i całkiem możliwe, że koło domu, w którym obaj mieszkają. Ale w takim wypadku zabójca nie może być członkiem ugrupowania Walery Lipieckiego. Ludzie Lipieckiego żyją w zgodzie i nie będą nienawidzić bogatego przybysza z Kaukazu. Nawiasem mówiąc, życie pokazuje, że członkowie ugrupowań przestępczych są przeważnie dobroduszni, obce jest im uczucie nienawiści klasowej. Co musiało się wydarzyć pomiędzy Timurem Indżiją a szeregowym członkiem Antonem Pleszakowem (tak właśnie nazywał się mężczyzna zastrzelony we własnym samochodzie koło własnego domu), żeby wyżej wymieniony Anton nagle zapalał zacieklą nienawiścią do wesołego, młodego Gruzina? Zazdrość? Pleszakow właściwie nie miał powodów do zazdrości, jego mieszkanie i samochody dowodzą, że wiodło mu się znacznie lepiej niż Timurowi. Poza tym Timur urodził się w Moskwie, nigdy nie

mieszkał w Gruzji, był tam tylko w dzieciństwie, odwiedzał babcię i dziadków, zresztą i te wyjazdy ustały w związku z wojną. Mówił po rosyjsku niemal bez akcentu i miał tylko gruzińską powierzchowność, gruzińskie nazwisko i odnotowaną w dowodzie osobistym gruzińską narodowość, w całej reszcie nie różnił się niczym od typowego, statystycznego moskwianina.

Ale najważniejsze jest nawet nie to. Pracownicy wydziału kryminalnego, którzy badali znajomości i zwyczaje Timura Indżiji, nie umieścili Antona Pleszakowa na liście kontaktów zabitego kierowcy. Jego nazwisko nie znalazło się na tej długiej liście. Czy to znaczy, że znajomość Timura z Pleszakowem utrzymywano w tajemnicy? To możliwe, jeśli na przykład ich stosunki wiązały się z czymś, czemu nie należało nadawać rozgłosu. Ale wtedy nie ma mowy o nienawiści na tle narodowościowym. Nawet jeśli założyć, że Pleszakow nawiązał konspiracyjne stosunki z Timurem i robił z nim jakieś poufne geszefty, to od samego początku znał narodowość swojego partnera. Czemu miałyby ni z tego, ni z owego przypomnieć sobie o swojej globalnej niechęci do przyjezdnych z Kaukazu? Jeśli jego niechęć jest rzeczywiście globalna, to w ogóle nie zadawałby się z Timurem i tyle.

Popatrzmy z innej strony. Anton naprawdę nie znosił przyjezdnych z Kaukazu. I nie znał Timura. Popełnił zabójstwo nie z powodu osobistej niechęci, lecz z chuligańskich pobudek. Zobaczył przystojnego, młodego Gruzina, idącego późnym wieczorem przez park i obejmującego ładną Rosjankę, i zabił. Czy to możliwe? Owszem. Ale co zrobić z porwaniem Jany? I jak potraktować jej oświadczenie, że z krzaków zawołano ich po imieniu? Nie, nie da się dopasować do tego waśni narodowościowej. A szkoda... Wyszłoby bardzo ładnie. I najważniejsze: Afonia by się zmartwił.

No cóż, będziemy pracować dalej. Najpierw trzeba obdzwonić wszystkie komendy okręgowe, na których terenie doszło do zabójstw osób „narodowości kaukaskiej”, i się dowiedzieć, czy jakieś wyjaśniono. Później do wszystkich niewyjaśnionych zabójstw dopasować Antona Pleszakowa z ugrupowania Walery Lipieckiego. Nastia wyjęła z biurka książkę telefoniczną, znalazła numer zastępcy naczelnika komendy Okręgu Zachodniego, sięgnęła po słuchawkę,

ale palce jakby wbrew jej woli zaczęły wciskać zupełnie inne klawisze. Dzwoniła do swojego przyjaciela z regionalnego wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną i korupcją.

– Sania, doszłam do wniosku, że od dzisiaj będę kochać Walerego Lipieckiego. Jak sądzisz, mam u niego szanse?

– I to niemałe. – Przyjaciel imieniem Sania zaśmiał się do słuchawki. – To wredny typ, baby go nie znoszą, więc twoja miłość nie pozostanie nieodwzajemniona.

– Opowiesz?

– To, co będę mógł. Przyjedź wieczorem między ósmą a wpół do dziewiątej, tylko zadzwoń wcześniej.

Otrzymanie informacji od pracownika operacyjnego za dziękuję to zadanie o najwyższym stopniu trudności. Informacje są kluczem do wyjaśnienia przestępstwa, w dodatku niekoniecznie popełnionego. W toku codziennej pracy każdy operacyjny otrzymuje olbrzymią liczbę informacji, które w danej chwili mogą się okazać zupełnie bezużyteczne, ale przydadzą się jutro, za miesiąc albo za rok, gdy dojdzie do nowego przestępstwa. Każdy ceni swoją wiedzę, strzeże jej jak źrenicy oka i stara się nią nie dzielić z nikim, nawet ze swoim naczelnikiem, zwłaszcza jeśli to wiedza pomocna w przyszłości. Przecież nie wiadomo, jak się życie potoczy, może posiadane informacje rzucą światło na przestępstwo, które trzeba będzie wyjaśniać. A ty, jak ostatni kretyn, podzieliłeś się nimi i ktoś sięgnął po sukces przed tobą. Wykołował cię. Punkty za wyjaśnienie przypadną jemu, a nie tobie. Podczas podsumowania wyników to on będzie miał wyższy procent wykrywalności, a nie ty. A zatem wsuń cenne informacje pod tyłek i siedź na nich mocno i pewnie, czujnie pilnując przed niepowołanym wzrokiem. Krótko mówiąc, strzeż niczym granicy państwa.

Dlatego wybierając się na spotkanie z przyjacielem z RUBOPiK-u (tak ostatnio zaczęto nazywać RUBOP, gdy do przestępczości zorganizowanej dodano w nazwie korupcję), Nastia nie liczyła na szczególną wylewność. Musiała zdobyć ogólne informacje o Walerze Lipieckim i jego ludziach, nic ponadto. Myśl o możliwym zabójstwie Timura Indżiji z powodu własnej narodowości brzęczała jak natrętny komar koło nosa i wciąż odrywała od pracy. W końcu to

przestępstwo jest tylko jednym z listy niewyjaśnionych, w których ofiarami okazali się przybysze z Kaukazu, więc Nastia musi je przeanalizować, podobnie jak pozostałe.

≡

Tydzień, który minął od chwili opuszczenia rodziny przez Korotkowa, nie rozwiązał jego problemu lokalowego. Obiecane mieszkanie w hotelu dla pracowników naukowych wciąż jeszcze było zajęte, widocznie krewnym właściciela spodobało się w Moskwie i postanowili zatrzymać się dłużej. Wracając do domu po spotkaniu z przyjacielem, który miał za zadanie walczyć z przestępczością zorganizowaną, Nastia zadzwoniła do Korotkowa, by mu oznajmić, że może już ruszać w stronę domu.

– Tylko zatelefonuj najpierw do Zarubina i poproś, żeby do nas oddzwonił, gdy będzie mógł rozmawiać – powiedziała.

– Po co? Jest coś ciekawego? – Jura się poderwał.

– Nie tyle ciekawego, ile godnego uwagi. Ale rozmowa jest poufna, pogadamy w domu.

Nastia dobrze wiedziała o wydziale „R”[13] i wystrzegła się prowadzenia rozmów służbowych przez telefon. Nie jest, rzecz jasna, przestępczynią, wręcz przeciwnie, mimo to myśl, że w każdej chwili ktoś może zacząć podsłuchiwać jej rozmowy, była nieprzyjemna i budziła zwyczajne obrzydzenie. Wiedziała, że urządzenia rejestrujące włączają się, gdy wypowiedź trafi do strefy kontroli słów kodowych, i miała jakieś takie pojęcie, że owe słowa powinny w zasadzie odnosić się do terroryzmu, ale po pierwsze, nikt nie znał konkretnego wykazu słów-znaków, po drugie, ów wykaz musiał być niesłychanie długi, i po trzecie, w wydziale „R” siedzą tacy sami ludzie, jacy w ogóle mieszkają w Moskwie, służą w organach milicji i chodzą po ulicach. Innymi słowy, ludzie, którym nie jest wcale obca zdrowa i niezdrowa ciekawość i, co o wiele gorsze, chęć dorobienia do marnej pensji. I nie ma żadnych gwarancji, że wzmiankowani osobnicy nie współpracują z ugrupowaniami przestępczymi.

Nastia chciała poprosić Sieriożę Zarubina, żeby jak najprędzej udał się do Kamyszowa w obwodzie kemerowskim, skąd pochodził Rusłan

Nilski. Nie wiedziała dokładnie, po co Sierioża miał tam jechać i czego się dowiedzieć, czuła jedynie, że ten wyjazd może się przydać. Chodzi o to, że Walera Lipiecki miał doświadczonego i rozgarniętego szefa służby ochrony. Niejakiego Piotra Stiepanowicza Dybiejkę. Dawniej – naczelnika komendy miejskiej w Kamyszowie. Taka oto metamorfoza...



Jana irytowała ją coraz bardziej, ale Irina wiedziała, że dla Natalii, dla jej spokoju będzie znosić tę kapryśną dziewczynę, a nawet udawać, że wszystko układa się wspaniale, po prostu cudownie, i że nie może być lepiej.

Zaczął się od tego, że w niedzielę wieczorem Janka zamieniła się w posąg bóleści i oświadczyła, że nie wstąpi do Goldmanów razem ze wszystkimi. Gdy Natalia i Ira przyjechały po nią do śledczego, Jana, samotnie siedząca na korytarzu pod drzwiami gabinetu, zażądała, żeby ją odstawić do domu. Że niby tak się zdenerwowała i zestresowała, że nie zamierza nikogo odwiedzać. Jakby Natalka nie była zestresowana! Andriej to w końcu jej mąż, a dla Janki jest nikim. Irina musiała jechać okreśną drogą i odwieźć ją do domu. Rusłan się zadreślał, co rusz popatrywał na żonę z poczuciem winy i wyglądało na to, że też wolałby zostać w domu, by ją pocieszać i uspokajać, ale nie mógł: musiał pomóc Natalii przyprowadzić samochód Andrieja Konstantinowicza z Pokrowki do domu w zaułku Kamiennaja Słoboda.

W poniedziałek Jana pojechała ze wszystkimi do Mosfilmu. Irina miała zdjęcia po południu, od piątej, więc gdy się zjawiała na planie, zobaczyła ten sam obrazek: Jana siedzi z boku, z nikim nie rozmawia, na nikogo nie patrzy i całym swoim wyglądem pokazuje, jaka jest nieszczęśliwa, bo musiała tyle przeżyć i wycierpieć, a nikt nie biegnie jej pocieszać, nie roztacza nad nią opiekuńczych skrzydeł i nie zamierza zostawić swoich spraw, żeby oderwać ją od straszliwych wspomnień. Rusłan się denerwuje, to widać na pierwszy rzut oka, czuje się winny wobec żony, chociaż na czym polega jego wina? Na tym, że nie machnął ręką na zdjęcia i nie



zabrał żony do Kemerowa? Natałka też się denerwuje, bo żal jej i Janki, i Rusłana. To cała ona: wszystkich żałuje i wszystkim stara się pomóc.

We wtorek scenę z udziałem Iriny kręcono rano, więc o dwunastej była już wolna. Stanowczym krokiem podeszła do Jany, której ładna twarzyczka wciąż miała ten sam wyraz: jakby dziewczyna była obrażona na cały świat.

– Chcesz przynieść pożytek społeczeństwu? – zapytała głośno.

Jana wolno podniosła na nią szare oczy i uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Jaki pożytek?

– Jedź ze mną. Zrobimy coś pożytecznego dla Natalii. Całymi dniami pracuje, na nic nie starcza jej czasu. A ty się rozerwiesz. Po co masz tkwić tutaj?

– Nie chcę – odparła Jana cicho.

Nie chce! Ira z trudem się powstrzymała, żeby nie chwycić jej za ramiona i nie potrząsnąć, jak należy, by wybić z głowy fanaberie. Jest jednak aktorką, a nie przekupką z bazaru.

– Janoczko, posłuchaj mnie – powiedziała łagodnie. – Siedzenie tutaj nie ma sensu. Nudzisz się i ogarniają cię smutne myśli. Rusłan jest zajęty, nie może poświęcić ci dużo uwagi, widzi jednak, w jakim jesteś stanie, i się niepokoi. To przeszkadza w pracy i jemu, i Natalii, bo oboje zamartwiają się o ciebie. Jedź ze mną, pogadamy, zjemy gdzieś smaczny obiad. I pomożemy Natalce, wczoraj mówiła, że spakowała rzeczy do czyszczenia, ale już drugi tydzień nie może ich zawieźć do pralni, nie ma czasu. Rzeczy jest dużo, nie poradzi sobie sama, a Andriej Konstantinowicz przez ostatnie dni zajmował się tobą, a teraz w ogóle... No co, Janoczko? Jedziemy?

Jana wstała ciężko z krzesła i kiwnęła głową.

– Dobrze, jedźmy. Może tak rzeczywiście będzie lepiej.

Razem podeszły do Natalii, która z gniewną miną wyjaśniała coś aktorom szykującym się do następnej sceny.

– Natałko, zabieram Janę – zaczęła Ira energicznie.

Natalia spojrzała na nie ze zdziwieniem, zdjęła okulary.

– Dokąd się wybieracie?

– Odwieziemy twoje rzeczy do pralni, chcesz? Zastanów się, co jeszcze trzeba zrobić. Zrobimy wszystko. Samej będzie mi nudno, Janka też się nudzi, siedząc tutaj, a razem będzie nam weselej.

– Dobrze. – Natalia kiwnęła szybko głową. – Dziękuję, bardzo mi pomożesz. – Oddaliła się parę kroków, podniosła z podłogi torebkę, wyjęła klucze i pieniądze. – Weź, proszę. Rzeczy do pralni są w szafie w przedpokoju. W trzech dużych torbach. Pamiętaj, że są ciężkie, oprócz lekkich ubrań spakowałam też wszystkie nasze kurtki, dwa kożuszki, jesionkę i płaszcz Andriuszy. W kuchni znajdziesz reklamówkę z lekami, leży na stole koło lodówki, trzeba ją zawieźć Lusi. Zrobisz to dla mnie?

– Dobrze – burknęła Ira. – Chociaż skoro twoja siostrunia jest taka chora i nie może żyć bez tych leków, mogła przysłać po nie swoją ukochaną córeczkę, a nie czekać, aż ty je przywieziesz.

– Iro, to nie podlega dyskusji. Bez względu na wszystko Luscia jest moją siostrą. Ma sześćdziesiąt trzy lata i niedomaga, musimy o tym pamiętać.

– W porządku. – Ira westchnęła. – Co jeszcze zrobić?

– Chciałabym, żebyś pojechała do mamy Andriuszy. On nie był u niej już cały tydzień i nie wiadomo, kiedy teraz uda mu się ją odwiedzić. Zobacz, czy ma dość jedzenia, kup, co trzeba, bo ona może dźwigać najwyżej bochenek chleba. Aha, jeszcze jedno: jak będziesz przejeżdżać koło sklepu gastronomicznego, kup kilka sałatek i kawałek pieczonej ryby. Rano nie zdążyłam przygotować kolacji dla Aloszy, zrobiłam tylko obiad. Ale zwróć uwagę, żeby sałatki były bez ziemniaków, dobrze?

– Tak jest, mój generale! – zaraportowała Irina żartobliwie. – A gdzie Rusłan?

– Poszedł pomyśleć w samotności.

– Nie będziemy go szukać, powiedz mu, że Jana pojechała ze mną, dobrze?

– Dobrze – odparła Natalia z roztargnieniem, pochłonięta już myślami o najbliższych zdjęciach.

W drodze Irina bez przerwy paplała, próbowała rozruszać Janę i skłonić ją do mówienia, ale bezskutecznie. Dziewczyna siedziała milcząca i posępna, objęła się ramionami, jakby chciała odgradzić

się od całego świata. Ożywiła się dopiero wtedy, gdy oddały rzeczy do pralni i ruszyły do siostry Natalii, która mieszkała w jednej z dzielnic położonych na obrzeżach Moskwy.

– Chyba nie przepadasz za siostrą Natalii Aleksandrowny, prawda?  
– zapytała Irinę.

– A za co mam ją kochać? – odpowiedziała Ira pytaniem na pytanie.  
– To zakochana w sobie egoistka z wygórowaną samooceną. W dodatku grafomanka. Od lat pisze powieść rzekę, uważa się za genialną pisarkę, wszystkim zawraca głowę swoim talentem i brakiem zrozumienia. W gruncie rzeczy to prawdziwa zołza. Zresztą sama zobaczysz.

Ira całym sercem nienawidziła siostry Natalii, ale starała się w miarę możliwości tego nie okazywać, ograniczała się wyłącznie do ciętych i złośliwych komentarzy pod jej adresem. Zresztą tak samo nienawidziła tych, którzy ośmielili się zmartwić albo obrazić Natalię. Była jednak zdania, że nikt nie znieważał Natalii bardziej niż Lusia.

– A mamę Andrieja Konstantinowicza kochasz? – Jana podjęła swoje dziwne przesłuchanie.

– Czemu miałabym ją kochać? Nie jestem z nią przecież spokrewniona. Ale bardzo mi się podoba. To wspaniała kobieta: wesoła, pogodna, w odróżnieniu od Ludmiły nikogo się nie czepia i nie próbuje zwać na nikogo swoich problemów. Jest już jednak sędziwa i schorowana.

– A Natalię Aleksandrownę? – Jana nie ustępowała.

– Kocham. Jest dla mnie wszystkim, rozumiesz? Wszystkim i wszystkimi. Matką, ojcem, starszą siostrą i przyjaciółką. Nawet swoich mężów nie kochałam tak jak Natalki. Nawiasem mówiąc, moi mężowie byli kompletnymi dupkami – oznajmiła wesoło. – Jeden mnie bił, drugi zdradzał na prawo i lewo. I obaj pili. Takie miałam szczęście!

– No to czemu za nich wyszłaś?

– Czemu, czemu... Za pierwszym razem byłam głupia, miałam zaledwie dziewiętnaście lat, marzyła mi się swoboda, pragnęłam wyrwać się spod kurateli Natalki, trzymała mnie przecież krótko: tego nie wolno, tamtego nie wolno... Sama rozumiesz. Ale kilka miesięcy później uciekłam od niego i wróciłam do Natalki.

– A drugi mąż?

– Z nim to inna historia. Nie jest jednak ciekawa. A w ogóle to już przeszłość, po co to teraz odgrzebywać?

– Ale kochałaś go, gdy za niego wychodziłaś?

Czy kochała? Ira uśmiechnęła się w myślach. Gdy człowiek jest w centrum wydarzeń, czuje jedno, lecz później, spoglądając wstecz, widzi wszystko zupełnie inaczej.

– Oczywiście, że kochałam – odparła stanowczo.

– A później? Odkochałaś się?

– On pierwszy przestał mnie kochać, zaczął się rozglądać za kobietami. Znosiłam to przez jakiś czas... Miał bardzo dobrych rodziców, świetnie się z nimi dogadywałam! Widzieli wszystko, doskonale znali swojego synka, więc zawsze stawali po mojej stronie. A później nie miałam już właściwie gdzie odejść, mój pokój w mieszkaniu komunalnym zajęła Ludmiła z córeczką. Nielegalnie, oczywiście, ale przecież nie mogłam wyrzucić ich na ulicę, prawda? No więc się męczyłam.

– A dlaczego odeszłaś? Znalazłaś innego?

– Skąd znowu, jakiego innego.... Odeszłam, gdy zrozumiałam, że nie ma sensu dalej się męczyć. Akurat przydzielono mieszkania lokatorom komunałki, dostałam kawalerkę, więc miałam gdzie się podziąć.

– Kiedy to było?

– Nieco ponad rok temu, w kwietniu. Przyjechałam wtedy do Kemerowa, wiesz o tym. Wróciłam, spakowałam się i odeszłam. A czemu tak się interesujesz moim życiem osobistym?

Ira była właściwie przekonana, że Jana zadaje pytania tylko w jednym celu: chce wy badać, jak bardzo uzasadniona jest jej zazdrość. Głuptaska wbiła sobie do głowy, że między Rusłanem a Irą coś jest, i nosi się ze swoją zazdrością jak kura z jajkiem.

Jana zignorowała ostatnie pytanie, nie odezwała się, ale chwilę później znowu wróciła do interesującego ją tematu.

– Ira, jesteś kochliwa? Łatwo się zakochujesz?

– Ja? Bardzo łatwo! W ciągu pięciu minut. Z tego właśnie biorą się wszystkie moje problemy.

– Jakie? – Głos Jany stał się czujny.

– Ojej! Wiecznie ładuję się w jakieś związki i nie wiem, jak się z nich potem wyplątać. Zakochuję się szybko i równie szybko się odkochuję. No a związki przecież trwają... Jednym słowem, z miłością jestem na bakier.

– A w trakcie małżeństwa też się zakochiwałaś?

– Naturalnie. Nie da się uciec przed własną naturą.

– I co?

W głosie Jany słyhać było silne napięcie, więc Irę ogarnął śmiech. Naiwna gąska, pewnie porównała dwie daty – przyjazd Iry do Kemerowa, jej spotkanie z Rusłanem i odejście od męża. I uznała, że to nie przypadek.

– Chcesz wiedzieć, czy zdradzałam męża, gdy się zakochiwałam? Nie, nie zdradzałam.

– A dlaczego?

Boże, czemu ona się przyczepiła?! Chce się dowiedzieć, czy między Irą a Rusłanem coś było? Szczerze mówiąc, spotykali się, gdy była jeszcze zamężna...

– Nie było ku temu okazji – odparowała gniewnie. – Do zdrady małżeńskiej potrzebne są trzy warunki: żebym ja chciała, żeby on chciał i żeby było gdzie. Wszystkie trzy warunki nie zachodzą każdego dnia, trzeba je świadomie tworzyć, a ja nigdy nie miałam do tego wystarczająco dużo zapału. Jeszcze jakieś pytania?

– Tak, chciałam jeszcze zapytać...

– No to dalej, pytaj.

– Gdyby zaszły te trzy warunki, tobyś odeszła od męża?

– Ja? – Ira parsknęła śmiechem. – Czy wyglądam na nienormalną? Za nic w świecie! Związek z kochankiem to jedno, a chęć albo brak chęci, żeby być z mężem, to zupełnie co innego. Męża zostawia się nie z powodu kochanka, ale dlatego, że nie ma się już ochoty z nim być.

– To przecież niemoralne.

– Co ty powiesz? Dziękuję, że mnie oświeciłaś, bo nie wiedziałam. Jak się w kimś zakochasz i zdradzisz swojego Rusłana, wtedy wrócimy do tego problemu.

Podjechały pod dom, w którym mieszkała siostra Natalii.

– No jak, pójdiesz ze mną czy posiedzisz w samochodzie? – zapytała Ira.

– Chyba zostanę – odparła Jana niepewnie. – Skoro siostra Natalii Aleksandrowny jest nieprzyjemna, po co mam...

– Słusznie – pochwaliła ją Ira. – Nie potrzebujesz kolejnych negatywnych emocji. Załatwię to szybko, nawet nie wejdę do mieszkania, oddam tylko lekarstwa i biegiem z powrotem. Rozmowa z Ludmiłą mnie też nie sprawia przyjemności.

Ludmiła, podobna do wyschniętego drzewa, z wyniosłą miną na niegdyś ładnej, a teraz pokrytej głębokimi zmarszczkami twarzy, wzięła reklamówkę z lekami, kiwnęła władczo głową i zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem Iriny, nie zaszczyciwszy jej ani podziękowaniem, ani zaproszeniem, by weszła. I bardzo dobrze, myślała Ira, zjeżdżając windą, im mniej z nią kontaktu, tym mniej brudu osiada na dnie duszy.

Teraz ruszyły do części miasta, w której mieszkała matka Ganielina. Po drodze wstąpiły na obiad, Jana powoli się ożywiła i zarzuciła Irę pytaniami o znanych aktorów, z którymi występowała w filmach, o ich życie osobiste, zwyczaje i cechy charakteru, o to, jak się zachowywali podczas zdjęć i poza planem filmowym. Kto się z kim ożenił, kto z kim śpi, kto dużo pije, a kto „się zaszył” albo „zakodował”, kto ma jakie mieszkanie i dom za miastem. Ira nie lubiła plotkować o swoich kolegach po fachu, ale gotowa była zrobić wszystko, byle tylko Janka przestała się dąsać!

Do matki Andrieja Konstantinowicza dziewczyna też nie weszła. Zaczekała, aż Ira wróci z listą zakupów, i rażnym krokiem ruszyła z nią między regałami w olbrzymim supermarkecie, który znajdował się pięć minut jazdy samochodem od domu teściowej Natalii. Razem załadowały żywnością i różnymi drobiazgami dwa wózki, zapakowały wszystko do firmowych reklamówek i uginając się pod ciężarem zakupów, powlokły się do samochodu.

– Teraz trzeba jeszcze znaleźć jakąś gastronomię i możemy uznać, że wykonałyśmy cały program – powiedziała Irina z satysfakcją.

Umieściła reklamówki na asfalcie koło samochodu, sięgnęła po kluczyki i w tej samej chwili zauważyła białą kartkę na przedniej szybie, wsuniętą pod wycieraczkę.

– Oho, dostałyśmy wyznanie miłosne od parkingowych. – Wyjęła kartkę, przekonana, że zobaczy na niej wpisany czas parkowania auta.

Było to zdjęcie zrobione na cmentarzu. Zadbany grób, ładny pomnik z napisem: „Nikołaj Filippowicz Bieszczeriewnych, 1965–1999”.

[13] Wydział „R” w strukturze służb specjalnych ZSRR zajmował się planowaniem operacyjnym i analizą. Obecnie to tajny wydział do walki z przestępstwami w sferze wysokich technologii.

## Rozdział 14

- Wierzysz w Boga, kotku?
- Umiarkowanie, bez fanatyzmu. A dlaczego?
- Chodzisz do cerkwi?
- Nie.

No tak, okazuje się, że dziewczyna nie jest nowoczesna pod względem religijnym. Popisywanie się swoją wiarą, znajomość świąt religijnych i odwiedzanie świątyni jest dzisiaj w modzie. Ale Jula zawiodła.

- Zostałaś przynajmniej ochrzczona?
- A gdzie tam, Witia. – W jej głosie zabrzmiało wyraźne zniecierpliwienie. – Jestem przecież Żydówką, więc o jakim chrzcie mowa?
- Szkoda. – Naprawdę się zmartwił. – Chciałem pójść dzisiaj do cerkwi.
- No to idź, co za problem?
- A ty?
- Nie ma sprawy, pojedę do domu.
- Nie, wykluczone – zaproponował Wiktor. – Chcę pobyć z tobą. Jedźmy razem, przejdziemy się, miejsce jest bardzo ładne. Nawiasem mówiąc, zauważyłem tam miłą restauracyjkę ze stolikami na zewnątrz. Posiedzimy, zjemy kolację. Później wpadnę do cerkwi, a ty na mnie zaczekasz, napijesz się kawy i zjesz swoje ulubione ciastko.
- Dobrze. – Jula wzruszyła szczupłymi ramionami, co w języku gestów oznaczało zdziwienie. – Tylko nie rozumiem, po co mamy gdzieś jechać. W pobliżu twojego domu jest pełno cerkwi, wstąp do którejś z nich, pomódl się, zapal świecę. Chyba że masz coś do załatwienia w tamtej cerkwi?



Pytanie nie spodobało się Wiktorowi. Już od trzech dni przyglądał się swojej nowej przyjaciółce, próbując odkryć w jej zachowaniu oznaki świadczące o tym, że ich spotkanie i znajomość nie były przypadkowe. Czasami miał wrażenie, że jakaś wypowiedź Juli ją zdradzała, i serce mu zamierało, ale już chwilę później dziewczyna mówiła coś, co dowodziło, że jest zupełnie odwrotnie. Tamto spotkanie z Rusłanem było w niedzielę, dzisiaj już środa, a on wciąż nie rozgryzł Juli. Czy ktoś mu ją podsunął? Najlepiej byłoby sprowokować awanturę, pokłócić się z dziewczyną i rozstać się z nią raz na zawsze, pozbywając się ewentualnego szpicla. Ale nie potrafił tego zrobić. Nie miał dość silnej woli, żeby zrezygnować z jej sprężystego, gorącego ciała, wyrazistych, ciemnych oczu, przeszywających go na wylot w chwilach największej rozkoszy, jej chłodnych, gładkich włosów, przyjemnie studzących jego rozpaloną pierś. Męczył się podejrzeniami i pragnął jej z całej duszy.

Pytanie Juli, na pierwszy rzut oka całkiem zwyczajne i w pełni uzasadnione, nie spodobało mu się dlatego, że wybór cerkwi był rzeczywiście uzależniony od względów biznesowych, a nie religijnych. Do tej cerkwi chodzi Gielik Riemis. W dodatku każdego dnia, gdy jest w Moskwie. Jeśli ktoś będzie chciał go znaleźć, wystarczy, że zajmie punkt obserwacyjny koło cerkwi, a Gielik na pewno go minie. Rano, w ciągu dnia albo wieczorem, ale bez wątpienia się zjawi.

– W tej cerkwi jest ikona... No dobra, nie będę cię męczył, to jest ci obce, nie znasz się na tym. Krótko mówiąc, raz w miesiącu chodzę tam i zapalam świecę właśnie przed tą ikoną. Ona przynosi szczęście. Dawno zauważyłem, że jak pójdę do cerkwi i postoję przed nią, to kilka najbliższych transakcji się udaje. Niebawem planuję dużą transakcję, chyba zdołam opchnąć mieszkanie, którego nie możemy się pozbyć od trzech lat, jest strasznie drogie, nikt nie chce go kupić. Teraz zjawił się klient. Jeśli się nie rozmyśli, to nieźle na tym zarobię. Dlatego muszę dzisiaj koniecznie pójść do cerkwi, rozumiesz?

Z tego, co powiedział, połowa była kłamstwem, ale druga połowa – prawdą. Mieszkanie – trzypokojowe, po kapitalnym remoncie, w domu położonym wewnątrz obwodnicy Sadowej – zostało wystawione na sprzedaż trzy lata temu. Od tamtej pory jego cena

znacznie spadła, mimo to chętnych, by je kupić, wciąż nie było. Problem polegał na tym, że właściciele włożyli olbrzymie pieniądze w remont, zrobili podgrzewane podłogi, naszpikowali mieszkanie meblami pod zabudowę i drogim sprzętem technicznym, porozwieszali ekskluzywne lampy, uzupełniające zamysł projektanta. Do ceny sprzedaży wchodziła, rzecz jasna, nie tylko wartość powierzchni mieszkalnej jako takiej z uwzględnieniem prestiżowej dzielnicy, ale też cena remontu i wyposażenia. Okazało się jednak, że nie tak łatwo znaleźć klienta, któremu spodobałaby się taka aranżacja i który chciałby zainwestować wielkie pieniądze – w gruncie rzeczy potrójną cenę mieszkania. Z jakiegoś powodu nie było chętnych, by przepłacać za cudzy gust, a później wszystko wyrzucać i przerabiać po swojemu. Drugi problem wiązał się z tym, że owa luksusowa chata znajdowała się w niepokąźnym, starym domu, z nędznym wejściem, obskurnymi schodami, bez zsypu na śmieci, bez portiera, a nawet bez strzeżonego parkingu. Dlatego ludzie, w zasadzie gotowi zamieszkać w takim lokalu, nie mieli wcale ochoty mieszkać w podobnym domu. Napawał ich odrazą i wstydzili się zapraszać tutaj gości.

Chyba dwa dni temu, w poniedziałek, sprawa zaczęła się układać. Wiktor pokazał mieszkanie klientowi, który długo studiował uważnie każdy przedmiot, poczynając od mebli, a kończąc na zamocowanej w specjalnym zagłębieniu suszarce, pomrukiwał z aprobatą, zadawał mnóstwo pytań, a później powiedział, że jutro wróci z żoną. We wtorek Wiktor znowu sterczał w mieszkaniu od dziewiątej do piątej po południu. Klient obiecał przyjechać przed dziesiątą, ale zjawił się dopiero koło pierwszej w towarzystwie kapryśnej paniusi z piskliwym głosem i wszystko zaczęło się od początku. Półki, drzwi, krany, wykładziny, szkło szczelinowe, lampy, klamki... Już wychodząc, klient oznajmił, że wszystko mu odpowiada, musi jednak obejrzeć mieszkanie ponownie. Chodzi bowiem o to, że mieszkanie ma być prezentem dla syna z okazji ślubu. Połowę prezentu opłacają rodzice narzeczonej, dlatego oni też muszą wziąć udział w wyborze. Dzisiaj, w środę, Wiktor znowu pokazywał nieszczęsne M4. Klienci poprosili o time out – dwa dni do namysłu, obiecując, że w piątek dadzą ostateczną odpowiedź. Wiktorowi bardzo zależało, żeby

sprzedać w końcu mieszkanie. Jego interes był zrozumiały i dawał się wyjaśnić prostym obliczeniem arytmetycznym: właściciele od dawna mieszkali za granicą, po dwóch latach usiłowań, by dostać za mieszkanie pełną cenę, machnęli ręką i oświadczyli w agencji, że urzędza ich sto dwadzieścia tysięcy dolarów zamiast pierwotnych dwustu pięćdziesięciu. Tymczasem agencja wystawiła mieszkanie za dwieście tysięcy, licząc na to, że osiemdziesiąt tysięcy trafi do jej kieszeni. Ponieważ za dwieście mieszkań też nie sprzedano, ustalona cena płynnie zjechała do stu siedemdziesięciu. Wiktorowi zaś powiedziano, że właściwie może się targować i spuścić jeszcze dziesięć, a nawet piętnaście tysięcy, byle tylko pozbyć się zleżącego towaru. Agencja musi mieć co najmniej trzydzieści tysięcy czystego zysku, to znaczy, że cenę można obniżyć maksymalnie do stu pięćdziesięciu, a jeśli Wiktorowi uda się opchnąć mieszkanie drożej, to różnica jest jego. Właśnie o tę różnicę walczył, pragnąc koniecznie doprowadzić negocjacje z klientami do etapu sfinalizowania transakcji.

Ale nie miało to żadnego związku z odwiedzinami cerkwi.

Z tamtego miejsca, w którym siedzieli z Julą, doskonale było widać wejście do świątyni, a nawet fragment ulicy, którą powinien nadejść Riemis. Wiktor robił, co mógł, żeby przeciągnąć czas: bardzo długo studiował menu, później rzeczowo omawiał je najpierw z Julą, później z kelnerką, później nieśpiesznie zabrał się do jedzenia. Riemis zjawiał się w chwili, gdy kończył mlecznego prosiaka. Wiktor postarał się zapamiętać tych, którzy podążyli do cerkwi zaraz za nim, a następnie wstał.

– Idę, kotku, a ty zamów sobie kawę i deser i zaczekaj na mnie. Niedługo wrócę.

W cerkwi szybko odszukał wzrokiem Riemisa i zaczął obserwować tych, którzy znaleźli się tuż koło niego. Tak, zgadza się, ten chłopak szedł ulicą za Gielikiem, teraz stoi ze dwa metry za nim, żeby nie rzucać się w oczy, i przewierca spojrzeniem plecy Riemisa w niebieskiej koszuli z cienkiego sztruksu. Zgromadziło się sporo ludzi, toteż Gielik, pomodliwszy się przed ikoną, zaczął przeciskać się wolno w głąb świątyni. Chłopak równie wolno prześlizguje się za nim. Riemis zapalił świece przed kolejnymi dwiema ikonami,

zamienił parę słów z przechodzącym obok niego duchownym i ruszył w stronę wyjścia. Chłopak deptał mu po piętach, pamiętał jednak o zachowaniu bezpiecznej odległości. Wiktor ze złośliwą satysfakcją czekał, aż Gielik zejdzie po schodach. Wiedział, że na pewno się odwróci i zrobi znak krzyża, stojąc przodem do cerkwi – tak robią wszyscy wierzący. I znajdzie się twarzą w twarz ze swoim prześladowcą. Ale chłopak chyba musiał mieć doświadczenie, może też jest wierzący i zna zwyczaje albo nie pierwszy dzień śledzi Gielika. Zmarudził nieco przy drzwiach, pozwolił, by Riemis przeżegnał się przed cerkwią, i dopiero potem puścił się dalej.

Stojąc przy ogrodzeniu otaczającym teren cerkiewny, Wiktor w zamyśleniu odprowadzał wzrokiem oddalające się postaci Gielija Riemisa i mężczyzny, który go śledził. Wszystko zagrało. Podwładni Bogomolca pomyśleli tak, jak zasugerował im Spielberg. Nie bez powodu gość ma taką ksywę, ochrzczono go Spielbergiem za zamiłowanie do złożonych inscenizacji i za pasję do reżyserowania przedstawień kryminalnych. Ludzie Bogomolca poszli na całość, żeby wywabić Simonowa. Ciekawe, jak się dowiedzieli, że Jurka nie zginął podczas wybuchu w kopalni? Widocznie ktoś musiał go wydać. Łajdacy nie oszczędzili nawet siostrzyczki Ani, zabili ją, licząc na to, że on przyjedzie na pogrzeb. Domyślili się – i to jest najgorsze – że utrzymuje kontakt z kimś w Kamyszowie, w przeciwnym razie jak by się w ogóle dowiedział o śmierci młodszej siostry? Tymczasem Bogomolec był pewien, że Simonow dowie się o siostrze. I się dowiedział. Ale sztuczka się nie udała, bo nie przyjechał na pogrzeb. Zjawił się półtora miesiąca później. W tym czasie Spielberg opracował operację i znalazł potrzebnych ludzi, przypominających Wiktora wiekiem, posturą i kolorem włosów. Największy problem stanowiły nie tyle dane zewnętrzne, ile biografie i tryb życia. Ci dwaj, bez których wymyślona przez Spielberga operacja nie mogła dojść do skutku, musieli mieć przeszłość podejrzaną albo taką, którą trudno sprawdzić. Karany wcześniej Edik Gusarczenko, niemieszkający w miejscu zameldowania i rzadko odwiedzający swoją chatę, był idealnym kandydatem. Dziwaczny Gielij Riemis też doskonale pasował do przewidzianej dla niego roli ostrożnego i zastraszonego mężczyzny, który boi się własnego cienia. Zaproponowano im niezłe

pieniądze za zupełną błahostkę: mieli pojechać z Wiktorem do obwodu kemerowskiego, żeby zorganizować pomoc materialną i socjalną dla samotnej kobiety, która straciła wszystkich bliskich, a po powrocie do Moskwy spokojnie rozpowiadać o tym, gdzie byli i po co, ale zapomnieć, że byli we trzech oraz że im zapłacono. I usunąć z pamięci nazwiska dwóch pozostałych towarzyszy podróży. Niczego więcej od nich nie żądano. Edika Gusarczenkę kupiono za niewielkie pieniądze, Gielika Riemisa – za dobroczynną, a co za tym idzie miłą Panu Bogu, pomoc dla pewnej nieszczęsnej kobiety. Jednym słowem, nie trzeba ich było długo przekonywać. Spielberg powiedział, że może nic się nie zdarzy, niewykluczone, że Bogomolec nie wpadnie na to, by sprawdzić na lotnisku listy pasażerów odlatujących do Moskwy. Ale raczej nie należy na to liczyć, bo facet ma głowę na karku i do tej pory niczego nie poszkapił. A zatem dobrze przygotowana operacja pozwoli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: Wiktor pojedzie do rodzinnego miasta i zorganizuje tam wszystko dla matki; jeśli zaś Bogomolec da się wyprowadzić w pole i połknie haczyk, zamydli mu się oczy i podstawą Gielika Riemisa zamiast Wiktora. W tym celu trzeba tylko w stosownym momencie odesłać Edika Gusarczenkę z Moskwy i odegrać stosowne przedstawienie, żeby Bogomolec uwierzył: Wiktor Słucewicz nie jest wcale Jurką Simonowem, to druga twarz sprytnego aferzysty Gusarczenki. Z tego wniosek, że Riemis jest Simonowem.

Bogomolec zabije Riemisa, przekonany, że to Simonow. Zanim do tego dojdzie, Gielik zostanie poddany długim torturom, by odpowiedział na różne pytania. On zaś, rzecz jasna, będzie twierdził, że to nieporozumienie, że nic nie wie i że go z kimś pomyłono. Ale wszystko, co powie, pomoże mu jak umarłemu kadzidło. Nikt nie uwierzy. Nawet jeśli zacznie ni z tego, ni z owego opowiadać o tym, że zapłacono mu za wyjazd do Kamyszowa, to też go nie uratuje. Bogomolec nie wierzy w takie bajeczki, operacja Spielberga jest nazbyt skomplikowana, żeby można w nią było uwierzyć. Szczerze mówiąc, na to właśnie liczone.

Tak, na pytania, które zaczną zadawać ludzie Bogomolca, Gielik nie zdoła odpowiedzieć i najprawdopodobniej umrze, zanim stracą cierpliwość i postanowią go wykończyć. I wtedy na historii z Jurką

Simonowem zostanie postawiony krzyżyk. Wszystko skończy się raz na zawsze. Wiktor będzie mógł odetchnąć i żyć spokojnie. Pod warunkiem że ten cwany dziennikarz nie spiknie się z Bogomolcem i nie przypomni sobie... W tym momencie operacja Spielberga, która wydawała się Wiktorowi wyrafinowana w swojej prostocie, z jakiegoś powodu nawaliła. Coś nie układa się tak, jak facet zaplanował, coś nie pasuje, i sprawa tkwi w miejscu. A czas biegnie, każdego dnia ludzie Bogomolca mogą się zjawić u Nilskiego. Wystarczy zupełne głupstwo: dowiedzą się, że Nilski i Simonow pochodzą z tego samego miasta. I wtedy wszystko wyjdzie na jaw. Wiktorowi nie pomoże nawet śmierć Gielika Riemisa, bogobojnego i poczciwego człowieka, który nie był w nic zamieszany i nie brał w niczym udziału.

≡

W przeddzień, we wtorek, Korotkow przyjechał do Nastii zły i poirytowany.

– Znowu nici z randki! Ten romans od samego początku jest jakiś pechowy – poskarżył się. – Irina powiedziała, że Jana wpadła w histerię, dlatego będzie nocować u Woronowej, żeby być buforem między Natalią Aleksandrowną a Nilskimi.

– Nie martw się. – Nastia posłała mu uśmiech pełen otuchy. – Przynajmniej mamy dostęp do najświeższych informacji, bezpośrednio z miejsca wydarzeń.

– Co racja, to racja – przyznał Jura. – Poprosiłem Irę, żeby od razu zadzwoniła, gdyby Jana albo Rusłan przypomnieli sobie, kim jest ten Nikołaj Bieszeriewnych, którego nagrobek znalazł się na podłożonym zdjęciu.

Nastia już wiedziała, że zarówno Rusłan, jak i jego żona od razu rozpoznali cmentarz w Kemerowie: w kadrze na tylnym planie znalazł się znany każdemu mieszkańcowi pomnik grupy nastolatków, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Ale nazwisko Bieszeriewnych nic nie mówiło małżonkom. Tak w każdym razie twierdzili.

W środę o siódmej rano zatelefonowała Irina Sawienicz. Zmienionym i drżącym ze wzburzenia głosem oznajmiła

Korotkowowi, że Jana za nic nie zgadza się zostać w Moskwie; boi się, więc jeszcze dzisiaj Rusłan zabiera ją do Kemerowa.

Pół godziny później zadzwonił Zarubin. Jego głos też drżał, ale nie z gniewu. Rzeczowość mieszała się w nim z triumfalną przewrotnością.

– Cześć, Pałna! – przywitał Nastię. – A co ja wie-e-em! A co ja ci powie-e-em!

– Mów – zażądała Nastia niecierpliwie.

– No jasne, już, przez zwykły telefon. Jak przyjedziesz do pracy, to się dowiesz. Pod warunkiem że twoi przełożeni ci przekażą.

– Sierioża, jesteś małą, wredną pluskwą – oburzyła się Nastia. – Jednym słowem, krwiopijną. Powiesz czy nie?

– Nie, Pałna, nawet nie proś. – Zarubin nagle spoważniał. – Sprawa jest tego rodzaju, sama chyba rozumiesz. Zaczekaj parę godzin i wszystkiego się dowiesz.

– No to po co do mnie zadzwoniłeś?

– Żeby cię podrażnić i mieć frajdę. Poza tym rozpira mnie chęć, żeby się podzielić sukcesem. Nie wolno mi powiedzieć, ale mogę się przecież pochwalić! A przy okazji, czy uwielbiany przez nas szef jest z tobą?

– A niby gdzie miał się podziąć? – Nastia się uśmiechnęła. – Śpi jak suseł. Pół godziny temu rozmawiał przez telefon, a potem znowu zasnął. Oficjalną pobudkę ma za jakieś czterdzieści minut. Sierioża, chciałam cię o coś poprosić. Dzisiaj Nilscy zamierzają wrócić do Kemerowa. Poobserwuj ich na wszelki wypadek. I jeszcze jedno: popytaj miejscowych o Nikołaja Filippowicza Bieszeriewnych, urodzonego w sześćdziesiątym piątym, zmarłego w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Miejsca urodzenia nie znam, pochowano go w Kemerowie. Muszę wiedzieć o nim wszystko, co tylko się da.

– Po co? – zapytał Siergiej z rozpędu i od razu usłyszał ripostę:

– Powiem ci później, jak przełożeni pozwolą, moja ty kochana pluskiewko.

– Scolopendra – odparował Zarubin.

– A ty karakurt. – Nastia nie pozostała mu dłużna. – Sierioża, nie graj ze mną w tę grę, przez całe życie rozwiązuję krzyżówki, więc

znam sto razy więcej potrzebnych słów niż ty.

– Szczypawka! – Siergiej rzucił się desperacko do walki, ale w tej samej chwili przestraszył się i odwiesił słuchawkę.

Nastia z uśmiechem pogłaskała telefon, pstryknęła weń palcem wskazującym, wyobrażając sobie przy tym zadarty nos Zarubina, i zabrała się do szykowania śniadania.

Wieczorem tego dnia siedziała w swoim mieszkaniu zupełnie sama. Korotkow pojechał do Iriny i z zabawnym zmieszaniem uprzedził Nastię, że nie wróci na noc, ale na pewno stawi się na śniadanie.

– A niby po co? – zdziwiła się. – Nie możesz przyjechać do pracy prosto od niej?

– Jutro Ira zaczyna zdjęcia o dziewiętej gdzieś na końcu świata, za miastem. Wstaje o szóstej, z domu wychodzi o siódmej. Mogę oczywiście odegrać zapał do pracy i przystąpić do służby o wpół do ósmej, ale wolałbym przyjechać do ciebie. Dasz mi śniadanie i bez pośpiechu opowiesz, co wymyśliłaś w nocy.

– No jasne – burknęła Nastia. – Ty będziesz się zabawiał w nocy, a ja mam myśleć? Nieźle to wykombinowałeś.

– Dlatego jestem twoim naczelnikiem – powiedział Jura surowo. – I nie waz się pyskować.

Nastia nie miała ochoty robić kolacji tylko dla siebie, w smętnym nastroju zjadła kromkę chleba z pozostałym od wczoraj kotлетem schabowym, popiła to wyszukane danie słabą kawą i położyła się na kanapie, zakładając ręce pod głowę.

Informacje zdobyte przez Sieriożę Zarubina były naprawdę ciekawe, rozbudzały wyobraźnię, ale nie układały się w jednolity obrazek. Przynajmniej od razu. Może w spokojnych warunkach, w ciszy i samotności, na miękkiej kanapie uda jej się zebrać i uporządkować myśli? W każdym razie bardzo na to liczyła.

Na początku kwietnia nieznanymi złodziejami włamali się do domu matki Rusłana Nilskiego, przewrócili wszystko do góry nogami, pewnie szukali pieniędzy i kosztowności, ale ich nie znaleźli, więc zadowolili się tym, co im wpadło w ręce: torbą podróżną z dermy i taną biżuterią. Rusłan był akurat w Moskwie – pojechał tam, żeby pokazać swoją powieść, więc Olga Andriejewna Nilska postanowiła nie zawracać synowi głowy głupstwami, tym bardziej że strata była



niewielka: biżuterii już dawno nie nosi, a o torbie nie warto wspominać, zresztą nie miała z nią dokąd jeździć. Milicja wszczęła sprawę, ale żadnych przestępców, rzecz jasna, nie znalazła, zrzuciła wszystko na przypadkowych narkomanów, którzy nie pogardzą nawet drobiazgami, byle tylko wystarczyło na kolejną działkę.

Mniej więcej tydzień po kradzieży u Nilskiej cała Kamyszow poruszyła śmierć Anieczki Simonowej. Zabójców nie ujęto, milicjanci opowiedzieli jednak Zarubinowi historię nieszczęsnej rodziny, w której najpierw podczas wybuchu w kopalni zginął najstarszy syn Juroczka, niedługo potem zmarł pan domu, a teraz zabito Anieczkę. I wszystko w ciągu nieco ponad roku. Wszyscy bardzo żałowali Kławdii Sawieljewny Simonowej, próbowali pomóc w miarę swoich możliwości, ale mieszkańcy Kamyszowa nie są zbyt bogaci, więc pomoc udzielona ze szczerego serca nie była znacząca. I nagle, jakieś półtora miesiąca po śmierci Anieczki, do miasta zawitał nieznany mężczyzna. Ktoś w rodzaju hrabiego Monte Christo, który się zjawiał, by pomóc rodzinie armatora Morrela. Zorganizował, co trzeba, dał wszystkim pieniądze i postawił na baczość, żeby osieroconej Kławdii niczego nie brakowało. Po czym się ulotnił. Równie nagle, jak się zjawiał. Kim był – nie wiadomo, bo przecież gdy ktoś wręcza taką gotówkę, na ogół się go nie legitymuje.

Milicjanci z Kemerowa, którzy zajmowali się walką z przestępczością zorganizowaną, poinformowali Zarubina, że wśród ferajny rozeszła się nieciekawa pogłoska na temat Jurki Simonowa. Że niby wcale nie zginął podczas wybuchu w kopalni. Dwanaście osób – owszem, zginęło, ale trzynastej osoby nie było wśród nich. Czy jednak na podstawie porozrywanych i spalonych zwłok da się stwierdzić, ile ich było? Tego, który nie wyjechał na powierzchnię po wybuchu, uważano za zabitego. Simonow nie wyjechał. Tymczasem przestępcza brać z jakiegoś powodu zaczęła przebąkiwać, że żyje. Słuchy pojawiły się nie od razu, dopiero parę miesięcy później. Ktoś widział podobno Simonowa całego i zdrowego, ktoś coś szepnął... Ale nawet jeśli Simonow ma się dobrze, to raczej nie za długo pochodzi po tej ziemi, bo sam Bogomolec, najważniejszy autorytet kryminalny Kemerowa, wciąż go szuka.

Historia konfliktu Bogomolca i Simonowa wyglądała naprawdę zatrważająco, jeśli wziąć pod uwagę to, że pseudozabity nie miał wielu szans na przeżycie. A zatem jeżeli rzeczywiście zainscenizował własną śmierć, to wiadomo dlaczego. Nikomu nie wolno pakować łapy do bandyckiej kasy. Spotka go za to nieubłagana i surowa kara. Dziwne było jednak to, że Simonow nie należał do żadnego ugrupowania, więc nie mógł mieć dostępu do kasy. Tak w każdym razie twierdzili miejscowi milicjanci. Dlaczego więc Bogomolec szukał go tak wytrwale i dlaczego w tych wszystkich informacjach wciąż przewijało się określenie „bandycka kasa”?



Siergiej Zarubin przeklinał na czym świat stoi. No dlaczego tak się dzieje, że gdy tylko człowiek zamierza zrobić stanowczy krok w swoim życiu, natychmiast wysyła się go w delegację? Już w poniedziałek zadzwonił do Moskwy do swojej dziewczyny imieniem Gula i tuszując zmieszanie udawaną galanterią, zapytał, czy zgodzi się za niego wyjść. Na co Gula, roześmiewszy się cicho, odparła, że nie traktuje poważnie oświadczeń przez telefon. Że nigdzie się nie śpieszy i może poczekać, aż Siergiej wróci z delegacji i powtórzy te słowa osobiście. Niewykluczone, że się opamięta, przebywając z dala od moskiewskiego grodu.

Zarubin wiedział, że się nie rozmyśli. Ale bał się, że podczas jego nieobecności wydarzy się coś nieprzewidzianego, na przykład Gulnara pozna bogatego, dwumetrowego przystojniaka, który będzie gotów rzucić jej pod nogi znacznie więcej, niż może zaproponować skromny detektyw z Pietrowki. Siergiejowi zawsze się wydawało, że darzy Gulę większym uczuciem niż ona jego, i dlatego w każdej chwili spodziewał się wkroczenia niepożądanego rywala.

Ale perspektywa powrotu do domu z każdą godziną się oddalała. Początkowo Siergiej miał za zadanie ujawnić kontakty Jany Nilskiej i zebrać informacje o ugrupowaniu Bogomolca. Później się okazało, że musi zająć się jeszcze jakimś Nikołajem Bieszczeriewnych. A teraz ten Simonow, którego sam ściągnął sobie na głowę. Wprawdzie historia z Simonowem nie powinna się wiązać z zabójstwem Timura

Indżiji i porwaniem Jany Nilskiej, ale Kamieńska powiedziała, że drogi Simonowa i Nilskiego krzyżują się przynajmniej w dwóch miejscach: łączy ich Kamyszow, w którym obaj spędzili dzieciństwo, a także Bogomolec, z jakiegoś powodu darzący ich antypatią: jednego próbował zastraszyć, a drugiego zamierza zabić. I uznała, że nie sposób zignorować tych dwóch punktów stycznych.

Siergiejowi spodobał się Kamyszow, już dawno nie był w takim spokojnym i miłym miejscu, zarośniętym bujną zielenią, tak gęstą i intensywną, że wokół domów często nie było ogrodzeń: przez gałęzie i liście nic nie widać, a jeśli ktoś zechce się włamać do domu, to żadne ogrodzenie mu w tym nie przeszkodzi, chyba że betonowe, wysokie na pięć czy sześć metrów, ale nikomu w Kamyszowie nie przychodziło do głowy, żeby je wznosić, zresztą taka inwestycja była droga.

Pierwszą osobą, z którą Zarubin postanowił porozmawiać, była matka Rusłana Nilskiego Olga Andriejewna, młodo wyglądająca kobieta z sympatyczną twarzą i cichym głosem.

– Coś z Rusłanem? – zapytała ze strachem, gdy niespodziewany gość powiedział, kim jest i skąd przyjechał. – Czy z Janoczką?

– Z nimi wszystko w porządku. – Siergiej postanowił nie denerwować niepotrzebnie Olgi Andriejewny opowieścią o porwaniu Jany. – Interesuje mnie pewien mężczyzna, którego pani syn mógł dobrze znać.

– Kto to taki?

– Jurij Simonow.

– Jurka? – Brwi Olgi Andriejewny podjechały w górę i zapomniały wrócić na swoje miejsce, skryły się gdzieś pod linią włosów. – Ojej, co to był za łobuz! Dawał rodzicom do wiwatu! Ojciec lał go za każde przewinienie, ale to nic nie dawało.

– A jakie to były przewinienia? – zainteresował się Siergiej.

– Chłopak kradł, chuliganił, bawił się nabojami. Milicjanci wiele razy zabierali go na komisariat, udzielali upomnień, ale bezskutecznie. Później co prawda trochę się ustatkował, po wojsku skończył technikum i zaczął pracować w kopalni. Nawet przywoził regularnie pieniądze rodzicom.

– Rusłan się z nim przyjaźnił?

– Nie, w żadnym wypadku! Syn był o dwa czy trzy lata młodszy, teraz już nie pamiętam dokładnie. Ale obaj chodzili do tej samej szkoły.

– Znała pani Jurę?

– Z widzenia znałam, oczywiście, ale poza tym... Nigdy do nas nie przychodził. Jego matka, Kławdia, była bufetową w ispołkowie[14], ja też tam pracowałam, to właśnie od niej dowiadywałam się o wyczynach Jurki.

– A później, Olgo Andriejewna, gdy Rusłan przeprowadził się do Kemerowa, nie opowiadał pani, że spotkał Jurkę Simonowa?

– Nie – odparła Nilska stanowczo. – Ani razu.

Dowiedziawszy się, gdzie znajduje się szkoła, do której chodzili kiedyś Nilski i Simonow, Zarubin ruszył na poszukiwania nauczycieli, którzy mogliby przypomnieć sobie coś ciekawego. Nieraz przecież się zdarza, że rodzice nie mają pojęcia, z kim ich dzieci biegają na przerwach. Do domu przyprowadzają jednych kolegów, a z innymi palą papierosy na szkolnym podwórzu. Zarubin wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Dyrektorka szkoły od razu oświadczyła, że zajmuje stanowisko od trzech lat, więc o dzieciach, które uczyły się piętnaście lat temu, nie może nic powiedzieć, i poradziła Zarubinowi, żeby się zwrócił do starych nauczycieli. Na przykład do chemiczki albo historyczki – są tutaj od dawna, reszta dołączyła później.

Zarubin odszukał nauczycielki, lecz nie dowiedział się niczego nowego. Obie dobrze pamiętały Jurę Simonowa (skończonego chuligana, z którym nikt nie potrafił sobie poradzić) i pilnego, kulturalnego Rusika Nilskiego, ale kategorycznie odrzucały fakt ich przyjaźni.

– To wykluczone! – Chemiczka aż klasnęła w ręce, usłyszawszy pytanie detektywa. – Nic ich nie łączyło! A zresztą Rusik był młodszy, kolegował się tylko z rówieśnikami. Musi pan wiedzieć, że w tym wieku różnica trzech lat jest bardzo duża, to wręcz przepaść, której nie sposób pokonać. Gdy jakaś osoba ma lat trzydzieści, inna zaś trzydzieści trzy, żadna z nich tego nie zauważa. Ale gdy jeden chłopiec ma dziesięć, a drugi trzynaście, to zupełnie różne światy, proszę wierzyć mojemu wieloletniemu doświadczeniu. W wieku

trzynastu lat zaczynają się już papierosy, alkohol, nieprzyzwoite rozmowy o seksie i o tym, jak zarobić pieniądze. Tymczasem dziesięcioletni chłopcy są jeszcze niewinnymi dziećmi.

Historyczka nie była tak rozmowna jak jej koleżanka. Pytanie o Jurkę Simonowa wywołało na szlachetnej, dumnej twarzy jedynie pogardliwy grymas, widać było, że kobieta nawet nie chce go sobie przypominać. O Rusłanie wyrażała się jednak bardzo pochlebnie. Powiedziała, że był niesłychanie zdolny, pilny i odpowiedzialny. I niezwykły. Ostatnie słowo przyciągnęło uwagę Zarubina.

– Dlaczego niezwykły? – zapytał.

– Był taki chudziutki, malutki, w okularach. Jeśli dobrze pamiętam, miał nawet zwolnienie z lekcji wychowania fizycznego z powodu słabego wzroku. Mimo to budził lęk.

– Jak to? Kto się go bał?

– Może to zabrzmiało śmiesznie, ale wszyscy. I uczniowie, i nauczyciele.

– Naprawdę? – Siergiej się ożywił. – Nawet nauczyciele się bali?

– Niech pan sobie wyobrazi. Trudno w to uwierzyć, prawda? – Uśmiechnęła się. – A jednak tak właśnie było.

– Ale dlaczego? Dlaczego dorośli ludzie, pedagodzy, bali się chłopca? Czyżby zadawał niewłaściwe pytania na lekcjach?

– Nic z tych rzeczy. – Historyczka się roześmiała. – Nilski nigdy nie zadawał niewygodnych pytań, był dobrze wychowany, jego mama należała do partii, pracowała w ispołkomie. O to właśnie chodzi, że o nic nie pytał. Jedynie informował.

– O czym? – Zarubin gubił się w domysłach.

– O tym, co wiedział. I zapewniał, że nikomu nie powie, i zawsze dotrzymywał słowa, co było niezwykłe jak na takiego malca. W wieku dwunastu, trzynastu lat zachowywał się bardzo dojrzałe: uczciwie i odpowiedzialnie.

– Przepraszam. – Siergiej pochylił głowę ze skruchą. – Nic nie rozumiem. Może pani wyjaśnić to prościej, jak na lekcji w piątej klasie?

– Prościej?

Kobieta westchnęła, poprawiła włosy, na chwilę się zamyśliła.

– Nie wiem, czy mam prawo... Ale minęło tyle lat, w dodatku ci nauczyciele już nie pracują tutaj... Jednym słowem, Rusłan wiedział wszystko o wszystkich. Jak mu się to udawało, nie potrafię powiedzieć. Proszę sobie wyobrazić taki oto obrazek: przychodzi siódmoklasista do nauczyciela albo nawet do dyrektora szkoły i oznajmia, że niby wiem o panu to i to, ale niech się pan nie martwi, nikomu o tym nie powiem.

– To dopiero! – wycedził Siergiej z uznaniem. – I co takiego straszniego wiedział o swoich nauczycielach?

– To zależy. Teraz wszystko może się wydać śmieszne i niedorzeczne, ale wtedy wszyscy się bali. Na przykład mąż naszej dyrektorki dorabiał prywatnymi przewozami. Niektórzy nauczyciele przyjmowali prezenty od rodziców uczniów, co mogło pociągnąć za sobą nieprzyjemności, łącznie z wyrzuceniem z partii i zwolnieniem z pracy. A zdrady małżeńskie? Rusłan dowiadywał się nawet o nich. Niech mi pan wierzy, że połowę kolektywu pedagogicznego trzymał w strachu. Ale najbardziej zdumiewające było to, że zawsze dotrzymywał słowa, informacje ani razu nigdzie nie wyciekły.

– Ale po co to robił? Szantażował nauczycieli, żeby mu stawiali dobre oceny?

– Tego nie powiedziałabym. – Historyczka pokręciła starannie uczesaną głową. – Rusłan uczył się dobrze i nie potrzebował pobłażliwego taktowania. Nie dostawał, rzecz jasna, samych piątek; z jednych przedmiotów miał wyłącznie czwórki i piątki, ale z innych trójki, co jest całkiem normalne w przypadku dziecka, które kieruje się własnym systemem wartości i zainteresowań. Niektóre przedmioty lubił, więc przykładał się do nauki, inne z kolei go nudziły, toteż oceny były gorsze. Sądzę, że podobała mu się sama chwila rozmowy z dorosłym, który nagle się peszył, zaczynał się bać i stawał się od niego zależny.

– Upajał się swoją władzą nad dorosłymi?

– Tego też bym nie powiedziała. Widzi pan, gdyby interesowało go tylko poczucie władzy, pewnie jakoś by to okazywał... Na przykład od czasu do czasu napomykałby o tym, że wie. Albo żądał konkretnych rzeczy w zamian za swoje milczenie. On jednak tego nie robił.

Podejdzie raz, powie, uśmiechnie się i na tym koniec. Ani słowa więcej. Dlatego nazwałam go niezwykłym chłopcem.

Zarubin miał wielką ochotę zapytać, czy w swoim czasie Rusłan rozmawiał również z nią, ale się powstrzymał. Odpowiedź nic nie wniesie do charakterystyki stosunków Simonowa i Nilskiego, a historyczka może tylko stracić humor. Ostatnie pytanie jednak zadał.

– Jak pani sądzi, skąd Rusłan mógł wiedzieć o tym wszystkim? Informował go jakiś dorosły?

– O nie! Wszystkiego dowiadywał się sam. Obserwacja ludzi sprawiała mu przyjemność: kto i gdzie idzie, z kim, kiedy, jak jest ubrany, kto się z kim pokłócił, kto wychodzi z pracy z okazałymi torbami, kto podczas pracy biega do sklepu i do fryzjera. Później analizował to wszystko, podsumowywał i wyciągał wnioski. Bawił się w Sherlocka Holmesa. Przynosił nawet jakieś książki o prowadzeniu dochodzeń, czytał je na przerwach i lekcjach wychowania fizycznego.

Siergiej podziękował uprzejmej nauczycielce, po czym wrócił na porośniętą borem ulicę, na której Rusłan spędził dzieciństwo i gdzie do tej pory mieszkała jego matka. Olga Andriejewna nie była sama, razem z nią na ganku stał niemłody mężczyzna, który chyba wyniósł kolejną torbę z domu. Wyglądało na to, że Nilska się gdzieś wybierała. Dobrze, że Zarubin zdążył.

– Wyjeżdżamy – wyjaśniła pośpiesznie, zamykając drzwi. – Mamy autobus za dwadzieścia minut.

I łagodnym ruchem głowy wskazując mężczyznę, dodała:

– To Siemion Siemionowicz, mój mąż.

– Daleko państwo jadą? – zainteresował się Zarubin.

– Do mojego brata – wyjaśnił Siemion Siemionowicz. – Kończy dzisiaj siedemdziesiąt lat, zaprosił nas już pół roku temu.

– A kiedy jest następny autobus?

Siergiej wciąż nie tracił nadziei, że zatrzyma Olgę Andriejewną i porozmawia z nią o pasji syna, kolekcjonującego cudze tajemnice. Ale rozmowa powinna być spokojna i poważna, nie można jej prowadzić mimochodem, bo materia jest delikatna, a płynące stąd wnioski – ważne.

– Jutro – odparła Nilska. – Czyżby miał pan jeszcze jakieś pytania?

Siemion Siemionowicz bez trudu dźwignął trzy z czterech toreb. Olga Andriejewna wzięła czwartą.

– Przepraszam, ale bardzo się śpieszymy. Jak pan chce, to proszę nas odprowadzić na przystanek, bo nie możemy się zatrzymywać.

Zarubin posłusznie ruszył obok starszej pani.

– Olgo Andriejewna, byłem w szkole, nauczyciele mi powiedzieli, że Rusłan przynosił książki o prowadzeniu dochodzeń w sprawie przestępstw. Czy to prawda?

– Oczywiście. – Nilska kiwnęła głową. – Bardzo się tym interesował, od dziecka marzył, żeby pracować w milicji, chciał być detektywem, takim jak pan. Albo śledczym.

– Dlaczego tak się nie stało? Zrezygnował?

– Komisja lekarska odrzuciła go z powodu wzroku.

– A skąd brał książki? Dobrze wiem, że w tamtych czasach nie można ich było kupić w księgarni.

– Dawał mu je nasz dzielnicowy. Studiował wtedy zaocznie prawo, no i pożyczał Rusłanowi swoje podręczniki. Przywoził mu książki z biblioteki.

Dzielnicowy! To już coś. Trzeba go koniecznie znaleźć, może opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy o stosunkach pomiędzy Rusłanem a Jurką Simonowem. Na pewno wie to, czego nie wie matka. Na ogół grzeczni chłopcy z porządnymi rodzinami nie spotykają się ze swoimi dzielnicowymi, nie znają ich nazwisk ani twarzy, dlatego nie warto o nich pytać na komisariacie – sprawa jest z góry przegrana. Ale tutaj mamy do czynienia z rzadkim przypadkiem: grzeczny chłopiec przyjaźni się z dzielnicowym, odwiedza go w domu, pożycza od niego książki. Dzielnicowy musi wiedzieć wszystko o złodzieju i chuliganie Jurce Simonowie. To unikalne źródło informacji o obu chłopcach.

– A jak się nazywa dzielnicowy?

– Piotr Stiepanowicz Dybiejko, tyle że od dawna nie jest dzielnicowym. – Szybki marsz sprawił, że Nilska się zasapała. – Awansował na naczelnika naszej miejskiej milicji, ale teraz już nie pracuje.

– Poda mi pani jego adres? – zapytał Siergiej z nadzieją.



– Dybiejko przepadł jak kamień w wodę – włączył się do rozmowy Siemion Siemionowicz. – Wyjechał z Kamyszowa ze cztery lata temu.

– Jakie cztery, Sienia! – Olga Andriejewna zakwestionowała słowa męża. – Nie minęły jeszcze dwa lata, a ty mówisz: cztery.

– Niemożliwe! – Siemion Siemionowicz się nie poddawał i przez resztę drogi na przystanek małżonkowie kłócili się o to, kiedy Piotr Stiepanowicz Dybiejko wyjechał z miasta.

Zarubin towarzyszył im z grzeczności, chociaż zdążył się zorientować, że nie dowie się już niczego ciekawego. Teraz musiał podjąć decyzję, czy zacząć poszukiwania dawnego dzielnicowego, tym samym jeszcze bardziej przeciągając swój pobyt na ziemi kuzbaskiej, czy lepiej machnąć na niego ręką i znaleźć inne sposoby zdobycia informacji o stosunkach panujących między ni to martwym, ni to żywym Jurijem Simonowem a dziennikarzem Rusłanem Nilskim.

Podbiegli do autobusu pięć minut przed odjazdem. Podczas gdy Siemion Siemionowicz wnosił do środka torby i umieszczał je pod siedzeniami oraz na półkach na bagaż, Olga Andriejewna się opamiętała.

– A dlaczego zadaje pan te pytania? Najpierw o to, czy Rusik przyjaźnił się z Jurą Simonowem, później o książki... Te sprawy chyba się ze sobą nie łączą. Zresztą Juroczka już nie żyje. Ukrywa pan coś przede mną? Czyżby Rusłana spotkało coś złego?

– Ależ skąd. – Siergiej rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. – Gdyby pani synowi coś się przydarzyło, nie odważyłbym się tego ukrywać. Rusłan ma się dobrze. Nawiasem mówiąc, dziś wieczorem przyjeżdża z Janą do Kemerowa. Interesuje mnie głównie Simonow, więc szukam ludzi, którzy się z nim przyjaźnili.

– Ale przecież on zginął! Po co panu jego przyjaciele?

– Musiałbym długo wyjaśniać, Olgo Andriejewna. Proszę wsiadać do autobusu, bo odjedzie bez pani.

– A rozmawiał pan z Kławą? Mam na myśli Kławę Simonową, matkę Juroczki? Zna wszystkich jego przyjaciół.

– Powiedziano mi, że nie ma sensu z nią rozmawiać. Po nieszczęściu z córką...

– To prawda. – Nilska zaczęła się śpieszyć, gdy zobaczyła, że kierowca wyrzucił niedopałek i wsiadł do kabiny. – Kława jest w bardzo kiepskim stanie, dawno jej nie widziałam, ale słyszałam od kilku osób... No to powodzenia, detektywie z Moskwy!

Siergiej smętnie powlókł się z przystanku na miejski komisariat milicji. Zostawił tam samochód, który pożyczyci mu koledzy z Kemerowa. A jednak sprawdza się powiedzenie: im mniej wiesz, tym mniej masz roboty. Każde nowe pytanie może pociągnąć za sobą taką odpowiedź, po której pracy przybywa w dwójnasób, a czasem w trójnasób. Teraz trzeba jeszcze szukać tego Dybiejki... A może darować sobie milicjanta Piotra Stiepanowicza? Był taki i dobrze. W końcu dzisiaj wieczorem Rusłan i Jana Nilscy przylecą do Kemerowa, więc można będzie zadać te pytania Rusłanowi. Siergiej musi przecież się z nimi spotkać, żeby rozwikłać sprawę tajemniczego nagrobka Nikołaja Filippowicza Bieszczeriewnych, na którego widok Jana wpadła w taką histerię, że nie chciała zostać dłużej w Moskwie. A niby twierdzi, że nie wie, kto to taki...

[14] Ispołkom (ispołnitielnyj komitet) – komitet wykonawczy. Była to siedziba miejskich władz partyjnych.

## Rozdział 15

Czwartek, dwudziestego pierwszego czerwca, zaczął się dla Nastii Kamińskiej względnie spokojnie, można by nawet rzec, że pomyślnie. W ciągu trzech minionych dni udało jej się nakreślić stosunkowo pełny (jak wierzyła) krąg osób, które znały rękopis Rusłana Nilskiego, porozmawiać z tym i owym, w szczególności z Natalią Woronową i Iriną Sawienicz, a z resztą umówić się na spotkanie właśnie dzisiaj, w czwartek. Nastia postanowiła nie ruszać na razie deputowanego Jewgienija Fietisowa. Może się zdarzyć, że rozmowy z osobami, które przeczytały powieść Nilskiego, dadzą jej do rąk nici prowadzące do tego działacza państwowego, wtedy pomyśli, jak się nim zająć. Teraz jest za wcześnie, teraz nie ma z czym do niego iść.

Wyniki ekspertyzy balistycznej jeszcze nie przyszły, Andriej Konstantinowicz Ganielin wciąż tkwił w celi, więc Nastia z czystym sumieniem zajmowała się nie tylko sprawą zabójstwa Timura Indżiji, ale też pozostałymi zabójstwami, które przydzielił jej nowy naczelnik, między innymi „zabójstwem z powodu waśni narodowościowej”. Ponieważ znane były miejsce i czas popełnienia wszystkich niewyjaśnionych zabójstw, których ofiarami padli przybysze z Kaukazu, pozostawał jedynie mały drobiazg: przypasować do nich zabitego w ubiegłym tygodniu Antona Pleszakowa. Co to znaczy? Sprawa była bardzo prosta: należało przepyttać licznych świadków i odtworzyć ubiegły miesiąc życia Pleszakowa, żeby się dowiedzieć, na czas których zabójstw ma (a raczej miał, ponieważ już nie żyje) niezbite alibi, a na które – nie ma. Innymi słowy, zawęzić krąg poszukiwań. Zadanie dla głupców. To znaczy wiadomo, co i dlaczego trzeba robić, ale zupełnie nie wiadomo jak. Człowiek nie zawsze potrafi dokładnie opisać, co robił i gdzie był trzy tygodnie temu

między dwudziestą a północą, no a jeśli chodzi o jego znajomych... Dobrze, jeśli nie mieszka sam, jeszcze lepiej – jeśli ma zazdrosną żonę albo nadopiekuńczą matkę, a jeśli jest sam? Największym problemem było to, że właściwie nie wiadomo, kiedy Anton Pleszakow popełnił owo „zabójstwo na tle narodowościowym” – w ostatnim miesiącu czy jednak wcześniej? Afonia z uporem obstawał przy terminie miesięcznym, widocznie miał jakieś informacje na ten temat, ale Nastia nie była w stanie sprawdzić, czy są wiarygodne, bo nowy szef nigdy nie zdradzał swoich źródeł i nie mówił, co się rodzi w jego głowie i skąd się bierze.

Mimo to w środę wieczorem udało się z grubsza ustalić, że Anton Pleszakow najprawdopodobniej nie ma związku z ośmioma spośród dwunastu niewyjaśnionych zabójstw. Tak się szczęśliwie złożyło, że mężczyzna spotykał się z kochanką, która gorliwie dbała o swój wygląd, trzy razy w tygodniu odwiedzała klub sportowy, na zajęcia jeździła wyłącznie taksówką, a do domu odstawiał ją Anton. Dziewczyna sumiennie uczęszczała również na kurs prawa jazdy i niebawem zamierzała nabyć samochód, a tymczasem korzystała z usług taksówkarzy albo swojego ukochanego. Zajęcia trwały od siódmej do dziesiątej wieczorem, z trzech godzin dwie poświęcała bezpośrednio zdrowiu fizycznemu, a pozostałą godzinę – na to, żeby zaprzepaścić wszystko, co zyskała w ciągu dwóch poprzednich godzin, w wyniku spożycia ciastek i dość mocnych koktajli w klubowym barze. Kochanka Pleszakowa twierdziła, że przez ostatnie kilka miesięcy Anton zawsze przyjeżdżał o dziewiątej, siedział z nią w barze, gawędził ze znajomymi, po czym odwoził ją do domu. W klubie dobrze go znano, toteż bez trudu odnaleziono osoby, które potwierdziły zeznania młodej sportswomenki. Ochroniarze, barmani i trenerzy zgodnie oznajmili, że dziewczyna ani razu w ciągu ostatnich miesięcy nie siedziała sama i nie pojechała do domu bez Pleszakowa. W ten sposób przynajmniej pięć zabójstw obrosło alibi.

Kolejne trzy zabójstwa trzeba było wykreślić z listy po tym, jak eksperci porównali odciski palców pozostawione na miejscu przestępstwa z liniami papilarnymi Pleszakowa. Nie było go koło owych denatów.

Pozostawały zaledwie cztery niewyjaśnione zabójstwa, które, jeśli wierzyć informacjom operacyjnym, mógł popełnić Anton Pleszakow. Wśród nich znalazło się zabójstwo Tiejmuraza Indżiji. Sprawdzanie alibi na czas tych czterech zbrodni było zaplanowane również na czwartek, Nastia już wstępnie obmyśliła, dokąd powinna pojechać i kogo zapytać... Jednym słowem, wczesnym rankiem dwudziestego pierwszego czerwca dzień był jej zdaniem szczegółowo zaplanowany i wypełniony mnóstwem niezbędnych czynności. Ale zgodnie z prawem Murphy'ego wszystko poszło nie tak, jak powinno.

Pierwszą gorzką pigułkę przełknęła, przyjmując ją z rąk Korotkowa, który przyjechał, tak jak obiecał dzień wcześniej, żeby zjeść śniadanie.

– Zebrało nam się dużo ludzi z małego Kamyszowa – zauważył filozoficznie, zapatrzony w sufit, nie zapominając przy tym o jedzeniu kanapki z serem, szynką i świeżym ogórkiem. – Nilski, Simonow i jeszcze ten... no jak mu tam... z tym dziwnym nazwiskiem... Główny specjalista od ochrony u Lipieckiego...

– Dybiejko – szybko odpowiedziała Nastia i zdrętwiała.

Ależ z niej idiotka! Wczoraj, rozmawiając z Sieriożą Zarubinem, tak się przejęła jego historią o ni to zabitym, ni to żywym Simonowie, że zupełnie zapomniała wspomnieć mu o Piotrze Stiepanowiczu Dybiejce. Jak można być taką gapą?!

– Jurik, zabijesz mnie i będziesz miał rację – wybąkała zmieszana.

– Co jeszcze nawywijałaś?

– Zapomniałam wczoraj powiedzieć Zarubinowi o Dybiejce.

– Wielkie mi rzeczy! – prychnął. – Powiesz dzisiaj. Facet nigdzie ci nie ucieknie.

– A jeśli ucieknie? Sam wiesz, jak to bywa. Gdybyśmy dowiedzieli się wczoraj, tobyśmy zdążyli, a dzisiaj już za późno.

– Przestań się zadręczać, koleżanko! Nic na to nie poradzisz, nie wrócisz do wczorajszego dnia. Następnym razem zapisuj mądre myśli na kartce, a nie przechowuj w głowie jak w przepastnej kobiałce, w której wszystkiego jest pełno i nie da się niczego znaleźć na czas.

– Teraz jesteś wyrozumiała, bo spędziłaś miłą noc – jęknęła płaczkliwie. – Ale później, gdy stracisz humor, będziesz mi wypominał każdy błąd, między innymi ten.

– E tam. – Korotkow zrobił znaczący gest. – Daję słowo. Oboje wiemy, że jeśli zabójstwo nie zostanie wyjaśnione w ciągu pierwszych trzech dni, to później nie ma po co się śpieszyć. Prawo życia!

Drugą pigułkę, równie gorzką, wręczył jej naczelnik, wezwawszy z samego rana do siebie i radośnie oznajmiwszy, że ekspertyza balistyczna broni zarekwirowanej u Ganielina potwierdziła, iż kule, od których zginął Timur Indżija, pochodzą właśnie z tego, a nie z innego makarowa. Co prawda ekspertyza daktyloskopijna pistoletu nie wykazała odcisków palców Ganielina, ale to o niczym nie świadczy i go nie usprawiedliwia, ponieważ z łatwością mógł wytrzeć pistolet.

– Od samego początku mówiłem ci, Kamieńska, że nie podoba mi się mąż Woronowej. Mówiłem czy nie?

– Mówił pan. – Nastia posłusznie kiwnęła głową.

– A ty mi nie wierzyłaś. Mam intuicję! Wiesz, jak długo tyrałem w wydziale kryminalnym?

Tak długo jak ja – odparła Nastia w myślach. Nie pamiętasz, że razem skończyliśmy studia? Ale nie odezwała się, przybierając zamyślony wyraz twarzy.

– No to bierz się do sprawdzania Edika Starszego, znajdź dowody, że zlecił Ganielinowi zabójstwo kierowcy. Niczego więcej od ciebie nie żądam. A Zarubina jeszcze dzisiaj wezwę do Moskwy.

– Chwileczkę, Wiaczesławie Michajłowiczu. Zarubin jest mi potrzebny w Kemerowie – powiedziała stanowczo.

– Po co? Wszystkie kierunki związane z Nilskim prowadzą donikąd. Teraz wiemy na pewno, że mąż Woronowej zabił kierowcę ekipy filmowej. A wszystkie te zdjęcia kemerowskiego cmentarza to tylko fałszywy trop.

Nastia nie miała ochoty kłócić się z naczelnikiem, łatwiej go było oszukać. Zresztą istniał też prawdziwy powód pobytu Zarubina w Kemerowie, trzeba go tylko przedstawić w taki sposób, żeby się wydał istotny.

– Zgadzam się z pańskimi wnioskami w sprawie Indżiji, ale jest jeszcze zabójstwo Pleszakowa z ugrupowania Walery Lipieckiego. Sam mi je pan przecież przydzielił.

– Owszem. I co z tego?

– Szefem służby ochrony Lipieckiego jest niejaki Dybiejko, który całe życie, z wyjątkiem ostatnich dwóch lat, spędził w obwodzie kemerowskim. Potrzebuję danych o nim, żeby zaplanować jego weryfikację. Na pewno wie, kto i za co zabił Pleszakowa, a także kogo zabił sam Pleszakow. Chcę go zmusić, by podzielił się tą wiedzą.

Nastia nie podała nazwy miasta i nie próbowała zwrócić uwagi naczelnika na to, że dorastali w nim zarówno Rusłan Nilski, jak i Jurij Simonow. Ten ostatni w ogóle nie interesował Afonii, ponieważ jeśli coś nawywijał, to na obcym terenie, a zatem nie ma nic wspólnego z zabójstwami, które dzisiaj spoczywają na Pietrowce. Co z tego, że to krajan Nilskiego! Z Nilskim wszystko jasne, już się nim nie zajmujemy, a hipotezy związane z jego osobą uznajemy za przeszkodę, niepozwalającą kroczyć jedynie słuszną drogą – drogą, która zaprowadzi Andrieja Konstantinowicza Ganielina do więzienia. Nastia nie miała w planach żadnej weryfikacji Piotra Stiepanowicza Dybiejki, bo doskonale

wiedziała, że zorganizowane ugrupowania przestępcze, zwłaszcza tak potężne i bogate, to nie jej działka. Jak będzie trzeba, zajmą się tym Korotkow z Zarubinem. Ale dlaczego nie skłamać w szczytnym celu?

– Dobrze, niech na razie pracuje. – Afanasjew niespodziewanie ustąpił. – Widzę, że nieźle sobie radzisz z zabójstwem na tle narodowościowym. A przy okazji, chcę ci powierzyć jeszcze jedną sprawę.

Afonia zawsze ma przy okazji nowego trupa – pomyślała Nastia z nagłą irytacją. Ciekawe, co tym razem? Gwiazda filmowa, polityk czy zagraniczny biznesmen? Naczelnik nigdy nie sięga po zabójstwo przeciętnego obywatela, interesują go tylko głośne sprawy – ich wyjaśnienie zapewnia mu powszechne uznanie. Za co nasz wydział spotkało takie nieszczęście?

– Potraktuj ją z całą powagą – ciągnął tymczasem Afonia. – Jest bardzo ważna. W Moskwie nasila się aktywność satanistów.

Ostatnie słowa wypowiedział z taką intonacją, z jaką w czasach radzieckich czytano referaty sprawozdawcze CK KPSS[15] na kolejnych zjazdach partii: nasila się imperialistyczna agresja przeciwko krajom pokojowego obozu socjalistycznego. Z ledwie

powstrzymywanym niepokojem wewnętrznym i pełną świadomością skali i wagi problemu.

– Dzisiaj rano znaleziono zabitego mężczyznę, ślady na jego ciele wyraźnie świadczą o tym, że zabójstwo zostało popełnione na tle religijnym. Ciało zostało pocięte dosłownie na kawałki, widocznie denat był długo i okrutnie torturowany. Na piersi ma wycięty nożem krzyż prawosławny.

No i proszę, zgadza się. Zbrodnia z pobudek religijnych, popełniona przez satanistów. Nasz Afonia wybiera przestępstwa, kierując się nie tyle osobowością ofiary, ile motywem. Zabójstwo kierowcy Indżiji – przerwanie zdjęć z powodów biznesowych, zupełnie nowy motyw, wszyscy będą mówić tylko o tym. Antona Pleszakowa zabito z powodu nietolerancji narodowościowej. Też ładnie. A teraz jeszcze sataniści... No, Afonia! Można pomyśleć, że milicjanci z terenu poradzą sobie z tymi satanistami gorzej niż detektywi z Pietrowki.

Nastia nie będzie jednak dyskutować z naczelnikiem. Odkąd się okazało, że drzwi są zamknięte, postanowiła się z nim nie kłócić i nie próbować udowadniać swojej racji na każdym kroku. Skoro nie ma gdzie się podziać, musi wypracować metody wspólnego egzystowania. Lepiej przemilczeć, użyć wybiegu, oszukać, a w końcu zrobić po swojemu.

– Dobrze, Wiaczesławie Michajłowiczu. – Stała przed nim z miną pionierki prymuski, której powierza się ważną i odpowiedzialną sprawę: w ciągu trzech dni pozostających do zakończenia roku szkolnego ma podciągnąć z rosyjskiego permanentnego dwójkowicza. Zadanie jest trudne, praktycznie niewykonalne, ale bardzo zaszczytne, więc nawet jej nie przyjdzie do głowy, by odmówić. – Kiedy otrzymam materiały?

– Przywiozą mi je za jakieś dwie godzinki, wtedy je weźmiesz. Ale najpierw sam się z nimi zapoznam.

Ojoj, kto by pomyślał! Zapozna się osobiście, żeby się dokładnie zorientować, a później trzymać rękę na pulsie.

– Oczywiście, Wiaczesławie Michajłowiczu. Może warto, żebym pojechała tymczasem porozmawiać z Ganielinem?

– Jedź – zgodził się. – I potraktuj go ostro. Bez ceregieli. Niech drań poczuje, że teraz się nie wywinie.



Wciśnięcie rozmowy z Ganielinem pomiędzy umówione wcześniej spotkania okazało się sprawą niełatwą. Śledczy Gmyria, odchrząknawszy znacząco do słuchawki, zgodził się wezwać Andrieja Konstantinowicza do swojego gabinetu podczas przerwy obiadowej, a jeśli Afanasjew będzie w tym czasie szukał Nastii – powiedzieć mu, że Kamieńska rozmawia z zatrzymanym w innym pokoju, i od razu oddzwonić do niej na komórkę.

Nastia machnęła ręką na budżet, w myślach dziękując losowi za to, że Loszka Czistiakow ma teraz dobrze płatną pracę, wymieniła pięćset dolarów i zamówiła przez telefon taksówkę na cały dzień. Głód jej nie grozi, przed wyjazdem do USA Loszka dał jej pięćset dolarów, które włożył do ozdobnej, barwnej koperty, i polecił, aby w jego imieniu kupiła sobie prezent urodzinowy. Urodziny były w ubiegłym tygodniu, ale kupno prezentu jakoś nie doszło do skutku, więc bezcenna koperta poniewierała się smętnie w jej torbie obok notesu elektronicznego, kosmetyczki wypakowanej różnymi lekami, portmonetki, papierosów i kilku zapalniczek, z których działała tylko jedna, a reszta od dawna była bez gazu.

Zanim nadeszła wyznaczona przez Borisa Witaljewicza godzina piętnasta, Nastia odbyła cztery spotkania: dwa, żeby porozmawiać na temat powieści Rusłana Nilskiego, i dwa kolejne – w związku z alibi Pleszakowa. Jedno spotkanie nie przyniosło nic ciekawego, natomiast drugie pozwoliło wykreślić z listy jeszcze jedno zabójstwo, popełnione w czasie, gdy sławetny Anton Pleszakow oddawał swój samochód do naprawy w autoserwisie. Nastia zdążyła też wpaść do serwisu, żeby sprawdzić te informacje, więc zamiast czterech zaplanowanych spotkań wyszło pięć. Punktualnie o piętnastej zero zero znalazła się w gabinecie śledczego.

Ganielin już tam siedział. Zerknawszy na niego, poczuła, że żal ścisnął jej serce. Bez względu na to, czy jest zabójcą, szkoda człowieka, który musi przebywać w tak nieludzkich warunkach, jakie panują w milicyjnym areszcie. Jeśli na dodatek Gmyria wyda postanowienie o przedłużeniu zatrzymania Ganielina i mężczyzna

zostanie przeniesiony do aresztu śledczego, w którym warunki są znacznie gorsze, a zwyczaje znacznie surowsze, to wtedy w ogóle...

– Niech pani rozmawia – rzucił Gmyria w biegu, pobrzękując kluczami, którymi zamykał sejf. – Wróć za jakieś czterdzieści minut. Proszę zająć moje miejsce.

Nastia nie ulokowała się jednak przy biurku, przysunęła krzesło i usiadła naprzeciwko Ganielina.

– Powiedziałem już wszystko Borisowi Witaljewiczowi – oznajmił Andriej Konstantinowicz ze znużeniem. – Nie potrafię dodać nic więcej. Nie wiem, jak ten pistolet znalazł się u mnie.

– Andrieju Konstantinowiczu. – Nastia lekko się zawahała, dobierając słowa, bo zamierzała zadać niezbyt taktowne pytania. – Proszę sobie przypomnieć, czy wśród pańskich znajomych jest ktoś, kto chowa do pana urazę. Nie musi pan odpowiadać od razu, ponieważ to pytanie

składa się z dwóch części. Domyślam się, że takie osoby na pewno istnieją. Interesuje mnie, czy są powiązane ze strukturami MWD albo FSB. Niech się pan zastanowi, nie zmuszam pana do pośpiechu.

– Skąd to pytanie?

Głos Ganielina w jednej chwili nabrał stanowczości, mężczyzna jak gdyby odżył. Nawet nalana, okrągła twarz wyciągnęła się i zeszcupiała.

– No cóż, Andrieju Konstantinowiczu, nie wierzę, że to pan zabił Timura Indżiję. Nie mam wątpliwości, że pistolet panu podrzucono. Ale jest coś jeszcze... Powinien pan wiedzieć, że ktoś oczernia pana przed moimi przełożonymi, popycha do tego, żeby pana podejrzewali.

– Na czym polega to oczernianie?

– Przepraszam, na razie nie mogę powiedzieć.

– No tak, rozumiem... Sądzi pani, że ci ludzie podrzucili mi pistolet?

– Nie wiem. Możliwe, że to oni. Ale raczej nie. Pistolet podrzucili panu ci, którzy są związani z zabójstwem, żeby zmylić śledztwo i ściągnąć na pana podejrzenie. Tak naprawdę wszystko im jedno, na kogo rzucić podejrzenie, byle tylko wprowadzić zamieszanie, a pan okazał się dla nich najwygodniejszą postacią. Tamci, którzy

przekazują informacje moim przełożonym, działają z innych pobudek. Za wszelką cenę chcą panu zrobić świństwo, chcą, żebyśmy pana podejrzewali, żeby został pan aresztowany i umieszczony w celi z kryminalistami. Żeby świat się panu zawalił, rozumie pan? Gdy zarzuty się nie potwierdzą, wróci pan na wolność, ale w międzyczasie dostanie za swoje. Proszę mi wierzyć, Andrieju Konstantinowiczu, Butyrka to straszne miejsce, zwłaszcza dla pana, mężczyzny, za przeproszeniem, niezbyt młodego, niewysportowanego i nieobeznanego ze zwyczajami i systemem pojęć. Każdego można tam złamać i zmusić do podpisania „szczerych” zeznań. Jest ktoś, kto chce dla pana takiego „rajskiego” życia. Musi pan teraz się zastanowić i powiedzieć, kto to może być. Proszę też wziąć pod uwagę, że ten człowiek w związku z rodzajem wykonywanych zajęć może wywierać nacisk na moich przełożonych albo ma dostęp do informacji, które oni uznają za wiarygodne.

Ganielin słuchał bardzo uważnie, w skupieniu patrząc jej prosto w oczy.

– Naprawdę wierzy pani, że nie zabiłem kierowcy? – zapytał z napięciem w głosie.

– Wierzę – odparła Nastia szczerze.

– I może pani zagwarantować, że moja żona nie dowie się...

– Nie, Andrieju Konstantinowiczu, niczego nie mogę zagwarantować, bo nie potrafię przewidzieć przyszłości. Niewykluczone, że to, co pan powie, znajdzie się w materiałach sprawy karnej, która trafi jednak do sądu. Wtedy wszystko zostanie upowszechnione. Mogę tylko obiecać, że jeśli tak się nie stanie, zrobię, co w mojej mocy, żeby pańska żona się o niczym nie dowiedziała. Już pan wie, kto może być tą osobą?

– Owszem – powiedział Ganielin cicho. – Nie mam wprawdzie pewności, ale nie widzę innych kandydatów.

– Wobec tego słucham. Kto to taki?

– Mąż mojej dawnej kochanki.

– Gdzie pracuje? Jakiej zajmuje stanowisko?

– Teraz nie wiem, bo... spotykałem się z jego żoną przed wielu laty. Wtedy służył w jakiejś waszej strukturze, nie pamiętam nazwy.

– Może przynajmniej to, czym się zajmował?

– Zabezpieczeniem technicznym. Chyba tak się to nazywa? Podśluchiwanie, podglądanie, tego typu rzeczy.

– Jego nazwisko?

– Szczerbina. Na imię ma Paweł, patronimiku nie znam.

Doskonale. Paweł Szczerbina z wydziału zajmującego się zabezpieczeniem operacyjno-technicznym. Znalezienie go nie będzie trudne. Ciekawe, co teraz porabia?

– Rozumiem, że przykro panu o tym mówić, ale będzie pan musiał, Andrieju Konstantinowiczu – ciągnęła. – Co się między wami wydarzyło? Dowiedział się, że ma pan romans z jego żoną?

– Niestety, to nie było tak banalne. – Ganielin westchnął. – Byłem wtedy kawalerem, z Natalią ożeniłem się znacznie później. Zajmowałem się już biznesem i nieźle sobie radziłem. Ta kobieta, żona Szczerbiny, zapragnęła zmienić swoje życie. Postanowiła zostawić męża i wyjść za mnie. Ja zaś wcale nie miałem zamiaru się żenić ani z nią, ani z kimkolwiek innym. Ona podjęła jednak decyzję, nie informując mnie o niej i nie pytając o zgodę. Pewnego dnia się spakowała, oznajmiła mężowi, że odchodzi do mnie, i trzasnęła drzwiami. Po czym stanęła z walizką na progu mojego mieszkania. Musiałem długo i cierpliwie jej tłumaczyć, że nie możemy być razem i nigdy nie będziemy. Proszę mi wierzyć, że nie był to najszcześniejszy dzień w moim życiu.

– Co było potem?

– Potem wzięła swoją walizkę i odeszła. Wróciła do domu. Musiała znieść dziką awanturę, którą urządził jej mąż. Mogę się tylko domyślać, co jej powiedział w tej sytuacji... To nie było dla niej, rzecz jasna, miłe: tego samego dnia została poniżona przez dwóch mężczyzn, z których jeden ją odepchnął, a drugi upokorzył. Wpadła w straszną depresję, uzależniła się od leków, zaliczyła kilka pobytów w klinice nerwic i na oddziale psychiatrycznym, podejmowała nawet próby samobójcze... Tylko niech pani nie myśli, że to wszystko wydarzyło się z powodu nieszczęśliwej miłości do mnie.

– A niby z jakiego powodu?

– Raczej z miłości własnej. No bo która kobieta zniszczy swoją rodzinę, zjawi się bez uprzedzenia u swojego kochanka z mocnym postanowieniem, że zostanie u niego jako żona? Tylko ślepo

zakochana w sobie i pewna, że mężczyźni całego świata marzą tylko o tym, żeby wziąć ją w objęcia. Moja odmowa była dla niej szokiem. Nikt jej nigdy nie odmówił. Musi pani wiedzieć, że była naprawdę piękna. I nagle jakiś śmieszny grubas, co prawda bogaty, ale mierząc jej miarą, stary i brzydki, zatrzaskuje przed nią drzwi! Szła przecież do niego, wierząc, że go uszczęśliwi, że on wniebowzięty padnie przed nią na kolana, a tymczasem okazało się, że nie jest mu potrzebna. Nie potrafiła się z tym pogodzić. Nie miała jednak gdzie się podziać, wróciła do męża, a on najprawdopodobniej powiedział wszystko, co myślał na jej temat, i zarządził, że odtąd ma żyć w milczeniu, posłusznie kiwając głową. Bardzo ją kochał, sądząc z tego, co o nim opowiadała. Nie potrafił jej przepędzić, bo darzył ją uczuciem, ale nie potrafił też wybaczyć zdrady. Doskonale wiedział, że mnie nie kochała i połaszczyła się tylko na pieniądze, to jednak sprawiało mu jeszcze dotkliwszy ból. Cała sytuacja obudziła w nim nienawiść, no a na kogo mógł ją skierować? Żonę kochał, toteż pozostawałem tylko ja.

– Rozumiem... Czy kiedykolwiek spotkał się pan z nim?

– Tak, parę razy. Ona zadzwoniła do mnie mniej więcej po roku i zaproponowała, żebyśmy odnowili nasze stosunki. Narzekała na zdrowie, mam na myśli stan nerwów, więc jako dawny lekarz dwa razy załatwiłem jej leczenie. Wiedziałem, że nie stać ich na prywatny oddział, a w państwowym panują takie warunki, że lepiej zrezygnować z leczenia. Płaciłem za nią. Jej mąż odwiedzał mnie w pracy i próbował wcisnąć jakieś pieniądze, krzyczał, że nie weźmie ode mnie ani kopiejki, obrzucał różnymi epitetami. Krótko mówiąc, nasłuchiwałem się od niego wielu nieprzyjemnych rzeczy na swój temat.

– W którym roku to było?

– W dziewięćdziesiątym trzecim.

– I podejrzewa pan, że po ośmiu latach mąż pańskiej kochanki mógł przypomnieć sobie o swojej niechęci do pana? – Nastia pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Nie, Anastazjo Pawłowna, nie sądzę, by o czymś sobie przypomniął. Przypuszczam, że nigdy nie zapomniął o tej sprawie.

Proszę powiedzieć, co teraz powinno się wydarzyć, żeby mnie wypuszczono?

– Bardzo wiele rzeczy. Muszę odszukać Pawła Szczerbinę i się dowiedzieć, czy mógł być źródłem informacji, które przyczyniły się do tego, że mój przełożony uwierzył w pańską winę. Jeśli mógł, wtedy stracę jeszcze trochę czasu, by udowodnić, że nadużył zaufania i nas okłamał. Ale jeśli nie mógł, sprawa wygląda kiepsko. Na wszelki wypadek proszę się zastanowić, może przypomni pan sobie kogoś jeszcze.

– Ale przecież udowodniliście, że pistolet został podrzucony! – zawołał zdesperowany Ganielin.

– Nie, Andrieju Konstantinowiczu. Nie udowodniliśmy tego. Ustaliliśmy tylko drogą operacyjną, że mogło się tak zdarzyć. Że w pańskim samochodzie rzeczywiście włączył się alarm w chwili, gdy obsługa parkingu była nieobecna. To jednak niczego nie dowodzi, niestety. Alarm mógł się włączyć z byle powodu.

– Ale czemu, na miłość boską, miałbym zabijać tego kierowcę? Przecież nawet go nie znałem.

– Zgadza się – potwierdziła Nastia łagodnie. – Proszę o cierpliwość, Andrieju Konstantinowiczu, niebawem wszystko się wyjaśni. Wiem, że dla kogoś, kto siedzi w celi, pojęcie „niebawem” ma nieco inne znaczenie niż dla osób, które przebywają na wolności. Na wolności można czekać latami, a w celi liczy pan każdą minutę i ciężko ją przeżywa. Ale nie mogę nikomu tłumaczyć, że nie wierzę w informacje, które otrzymał mój naczelnik. Nie mam podstaw, by tak twierdzić.

– Chwileczkę. – Ganielin znowu się ożywił. – A co mówi pani naczelnik? Kto mu przekazał informacje? Skąd je ma?

– Nic nie mówi.

– Nie pytała go pani?

– Nie mamy zwyczaju dyskutować o tym.

– A co macie w zwyczaju? – Ganielin podniósł głos. – Wsadzać ludzi do więzienia na podstawie fałszywego oskarżenia, niczego nie sprawdzając, jak w trzydziestym siódmym roku? A może macie teraz inną sprawiedliwość dla przestępców i porządnych ludzi? Zatwardziali przestępcy otwarcie spotykają się w restauracjach, wy

ich łapiecie, by pięć minut później wypuścić, bo nie możecie postawić im zarzutów, nie macie dowodów. Ale w moim przypadku wystarczyło jedno oszczercze doniesienie, żeby wsadzić mnie za kratki.

– Andrieju Konstantinowiczu, nie ma pan racji. Zatrzymano pana, bo w pańskim samochodzie znaleziono pistolet, z którego popełniono zabójstwo. Ekspertyza dowiodła tego wyraźnie i niezbicie. Gdyby u przestępców, o których pan mówi, znaleziono taką broń, już dawno by siedzieli. A tymczasem musimy dziękować losowi, gdy któryś z nich ma przy sobie narkotyki i jest powód, by go zatrzymać. A przy okazji, czy pańska żona zatroszczyła się o adwokata dla pana?

– Tak. – Ganielin ze smutkiem popatrzył na widniejące za oknem gałęzie drzew. – Natalia wynajęła adwokata, podobno dobrego.

– Już się pan z nim widział?

– Dwukrotnie.

– I co pan o nim sądzi?

Ganielin wzruszył ramionami.

– Nie znam się, nie potrafię powiedzieć, który adwokat jest dobry, a który nie. Poznam to dopiero po efektach.

Nastia wstała. Rozmowa była skończona. Teraz musi jak najprędzej znaleźć Pawła Szczerbinę.

≡

Po powrocie na Pietrowkę Nastia wstąpiła do naczelnika, zabrała materiały dotyczące „satanistycznego” zabójstwa i ruszyła prosto do Korotkowa.

– Rozmawiałeś z Zarubinem? – zapytała od progu.

– No jasne!

Jura z uradowaną miną przeciągnął się, aż mu kości zatrzeszczały, i potrząsnął głową jak nowofundlandczyk obłany wężem ogrodowym.

– Jesteś mi winna koleżeńską kolację z rybą po grecku – oznajmił.

– Sieriożka długo się śmiał, gdy wymieniłem nazwisko Dybiejko.

– A co w tym zabawnego? – Nastia zachmurzyła się z niezadowoleniem.

– Akurat wczoraj, wykonując twoje zadanie, odwiedził Kamyszow, żeby zbadać powiązania Nilskiego z Simonowem, i się dowiedział, że Piotr Stiepanowicz Dybiejko był bliskim znajomym małego Rusłanka, wprowadzał go w detektywistyczne rzemiosło, a nawet przywoził mu książki z dziedziny kryminalistyki o wyjaśnianiu przestępstw. Dybiejko zaczynał od stanowiska dzielnicowego, aż w końcu dochrapał się stołka naczelnika komendy miejskiej. A niejakiego Simonowa, notorycznego chuligana, na okrągło doprowadzano na milicję i udzielano mu surowych upomnień, więc musiał spotykać tam Piotra Stiepanowicza. Wygląda na to, że wszyscy trzej się znali.

– Super!

Nastia opadła na krzesło, chwyciła stojącą przed Korotkowem butelkę wody mineralnej i wypiła chciwie kilka łyków.

– Zrobię ci rybę – obiecała uroczyście i od razu na wszelki wypadek dodała: – Jeśli, oczywiście, starczy mi czasu.

– Zaczekaj, koleżanko, to nie wszystko. Może chcę jeszcze zarobić na pierożki z kapustą. Sierioża uchodził nogi po ulicach ślicznego Kamyszowa i się przekonał, że Rusłanek i Juroczka nigdy się nie przyjaźnili. Uczyli się w jednej szkole, ale dwójkowicz Simonow był o trzy lata starszy i zadawał się z elementem chuligańskim, a Nilski wręcz odwrotnie: był mołem książkowym i pilnym czwórkowiczem. Czujesz, jaki się wyłania trójkącik?

– Uhm. – Nastia kiwnęła głową. – To znaczy, że Nilskiego i Simonowa praktycznie nic nie łączy, ale każdy z nich jest mocno związany z dzielnicowym Dybiejką. A teraz Dybiejko dał się nam poznać jako człowiek, z którym związany jest Pleszakow, on zaś mógł brać udział w zabójstwie Timura Indżiji i porwaniu Jany Nilskiej, żony Rusłana. Nie boli cię głowa?

– Mnie? – Korotkow na wszelki wypadek dotknął głowy i nawet pociągnął się za włosy. – Chyba nie. A ciebie boli? Chcesz tabletkę? Zdaje się, że zapowiadano na dzisiaj burzę magnetyczną...

– Co ma do tego burza! Głowa mi pęka od tej sprawy! Codziennie nowe informacje, nowe hipotezy i każdą trzeba sprawdzać. Nie mogę się przecież rozdzielić albo roztrócić, jestem sama, a ich coraz więcej... No dobra, nie zwracaj uwagi, zaczęłam utyskiwać na zapas. Co Zarubin obiecał przynieść nam w dzióbku?



– Wieczorem obiecał informacje o pochowanym w Kemerowie obywatelu Bieszeriewnych. Zamierza spotkać się dzisiaj z Nilskim i przy okazji wypytać go o Simonowa. No a ty co mi przyniosłaś po wytężonych staraniach?

– Proszę! – Rzuciła przed nim na biurko teczkę otrzymaną od Afanasjewa. – Zabójstwo popełnione przez satanistów z pobudek religijnych. Podelektuj się.

– Już to zrobiłem. Przyjmij wyrazy współczucia, pomogę, jak będę mógł. Coś jeszcze?

– Dowiedziałam się, kto mógł próbować pogrążyć Ganielina, korzystając z dogodnej okazji. Nic ci nie mówi nazwisko Szczerbina?

– Niestety nie. – Jura z żalem rozłożył ręce. – A co to za ancymon?

– Mężczyzna, który w dziewięćdziesiątym trzecim roku pracował w służbach zabezpieczenia operacyjno-technicznego i ma ważne powody, by nie lubić Andrieja Konstantinowicza.

– Rozumiem. Wobec tego oprócz ryby i pierożków podsmaż jeszcze jakieś mięsa, dobrze?

– Jak mi przyniesiesz Szczerbinę, to dostaniesz mięso.

– Przyniosę, nie mam wyjścia, nie zamierzam przecież umrzeć z głodu.

– Ojej, jakiś ty biedny! – zawołała Nastia z drwiną. – Między nami mówiąc, nie potrafisz gotować, bo nie mam na to czasu. Przez takich naczelników jak ty wracam do domu najwcześniej o dziesiątej wieczorem.

Korotkow nagle spoważniał.

– Aśka, myślałem o tym, co mówiłaś o zamkniętych i niezamkniętych drzwiach. Stanę oczywiście na uszach, żebyś nie odeszła z wydziału, ale w zasadzie, teoretycznie rzecz biorąc... Dlaczego uważasz, że oprócz pracy u Zatocznego nie masz innych możliwości? Miejsc jest do wyboru, do koloru, wszędzie brakuje kadr. Nikt ci nie broni przekwalifikować się nawet na śledczą.

– Jurik, jestem kobietą. Co prawda zawsze ci powtarzałam, że jestem raczej żywym komputerem na dwóch nogach, i szczerze mówiąc, wierzyłam w to aż do niedawna. Ale z upływem lat coraz bardziej się przekonuję, że jestem jednak kobietą.

– Czyżby ciągnęło cię do lewego seksu? – Jura się uśmiechnął.

– Nie, na prawy bok – odparowała. – Rozumuję po kobiecemu. Mam też kobiecy stosunek do pracy. Będę pilna i odpowiedzialna, ale tylko przy dobrym naczelniku albo obok dobrze znanych mi ludzi. Jak każda normalna baba potrzebuję komfortu psychicznego, rozumiesz? Przy Pączku czułam się świetnie. Teraz przyszedł Afonia, od którego mnie odrzuca, ale zostałeś ty, został Misza Docenko. Tutaj jeszcze zdołam pracować. Rozumiem, że Pączek i Zatoczny to pojedyncze egzemplarze, ręczna robota. Takich naczelników ze świecą szukać. A z Afoniami, w dodatku w nieznanym zespole... Nie, Jura, nie podołam. Nie mam gdzie odejść.

– Też coś! A jeśli ja też zdecyduję się odejść?

– Pójdę z tobą. Weźmiesz mnie?

– Wezmę. – Korotkow się roześmiał. – Pod warunkiem że będziesz robić pierożki. Zrobmy tak: jedź na swoje spotkania, o których rano trajkotałaś jak katarynka, a ja powiem Afonii, że pojechałaś na miejsce, w którym znaleziono tego gościa. – Kiwnął głową w stronę cienkiej teczki z materiałami „satanistycznego” zabójstwa. – Że niby chcesz się rozejrzeć i pomyśleć. Jak będziesz wolna, pędź do sklepu, a potem do domu, szykuj koleżeńską kolację. Nie upieram się przy pierożkach i rybie, bo to rzeczywiście wymaga czasu, ale bądź tak dobra i przyrządź jakieś mięso.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem! – zawołała Nastia z radością, chwyciła teczkę i pobiegła.

≡

Dobrze, że miała dość rozumu, by nie zwalniać taksówki. Brudnobiała wołga cierpliwie czekała w zaułku Kołobowskim. Stawki okazały się całkiem przyzwoite, więc Nastia pożalowała, że wymieniła całe pięćset dolarów. Za taksówkę zapłaci mniej, a kurs dolara wciąż rośnie.

Kierowca – nieogolony chłopak koło trzydziestki – słuchał radia i rozwiązywał krzyżówki, których miał sporo – całą książeczkę.

– Już jestem!

Nastia otworzyła tylne drzwi i wsunęła się do środka. Kierowca niechętnie oderwał się od frapującego zajęcia, rzucił zbiór krzyżówek

i długopis na siedzenie pasażera, po czym odwrócił się i spojrzał na nią z ciekawością.

– Przepraszam, czy pani naprawdę pracuje na Pietrowce?

– Niestety – odparła Nastia wymijająco, nie chcąc się wdawać w szczegóły. Niech teraz kierowca odgadnie, czy to oznacza „niestety nie” czy „niestety tak”.

– Może więc zna pani to słowo. – Taksówkarz sięgnął po książeczkę, odszukał wzrokiem właściwe miejsce. – O tutaj: specjalny znak wykorzystywany w języku angielskim jako spójnik „i”. Dziewięć liter, druga „m”, szósta „s”. Nie wie pani przypadkiem?

– Ampersand – rzuciła z roztargnieniem, wyjmując z torby notes, w którym zdążyła zapisać najważniejsze informacje dotyczące nowego zabójstwa.

– Rzeczywiście! Pasuje. – Kierowca ochoczo wpisywał litery w kratki. – W porządku, ulżyło mi. W ciągu ostatniego tygodnia napotykam to słowo już trzeci raz. Jest jakieś nowe, dawniej nie pojawiała się w krzyżówkach.

– Przecież z tyłu są odpowiedzi. – Nastia była zdziwiona niedomyślnością mężczyzny. – Mógł pan sprawdzić, po co się męczyć?

Kierowca parsknął śmiechem.

– Trafiła pani w samo sedno! Dawniej zawsze podglądałem, gdy coś mi nie wychodziło. Ale później córka zobaczyła, że zerkam na koniec, i powiedziała, że to nieuczciwe. Teraz wydiera ostatnie strony ze wszystkich moich zbiorów i chowa pod swoim materacem. Ma zaledwie osiem lat, a już jest zasadnicza. Dokąd jedziemy?

Nastia podała adres i utkwiała wzrok w notesie. Gielij Grigorjewicz Riemis, urodzony w Charabali w obwodzie astrachańskim, lat trzydzieści pięć, zameldowany w Moskwie pod adresem... w rzeczywistości mieszka na ulicy Wagonoremontnej, wynajmuje tam kawalerkę. Żonaty, ale z żoną nie mieszka od dawna, oficjalnie małżeństwo nie zostało rozwiązane. Żona nie potrafi nic powiedzieć o sprawach męża, nie widziała go od roku. Bardzo religijny (poinformowali o tym sąsiedzi, których udało się zastać rano i przesłuchać), codziennie chodzi do cerkwi. W obejściu cichy i skromny, nie sprasza hałaśliwego towarzystwa, nikt nie widział go

też pijanego. Pracuje niby jako tłumacz, przynajmniej tak mówił, nie zdążono tego jeszcze sprawdzić. Ciało zostało znalezione o piątej rano w niezamkniętej piwnicy domu mieszkalnego, gdzie spędzali noc okoliczni bezdomni.

Ciekawe, gdzie jest ta ulica Wagonoremontnaja? Kierowca pewnie wie, trzeba go zapytać.

– Na północy, tuż przy obwodnicy – od razu poinformował miłośnik krzyżówek. – Tam też się pani wybiera?

– Jeszcze nie wiem, zobaczymy. Jak czas pozwoli, to zajdziemy, dobrze?

– Czemu nie? To pani płaci.

Mimo porannych, gorzkich jak piołun pigułek dzień układał się, o dziwo, pomyślnie. Żadne z zaplanowanych spotkań nie zostało odwołane (co samo w sobie było zdumiewające), nikt się nie spóźnił, nie zachorował i nie odmówił rozmowy z Nastią, co było jeszcze dziwniejsze i nie przypominało normalnego stanu rzeczy. Pesymistycznie nastawiona Nastia w każdej chwili spodziewała się jakiejś przeszkody, która na pewno się wyłoni i udaremni jej wysiłki zmierzające do wyjaśnienia dwóch przestępstw jednocześnie. Z doświadczenia wiedziała, że należy zajmować się tylko jedną sprawą, wtedy jest z tego pożytek. Jeśli natomiast człowiek się rozprasza i próbuje rozwiązać parę spraw naraz, zawali nie tylko to, co sam robi, ale też to, co robią jego koledzy. Jednak wiedza o tym, co jest lepsze, rzadko znajduje zastosowanie w surowych warunkach rzeczywistości, kiedy liczba przestępstw zawsze przewyższa możliwości kadrowe.

Jak dotąd nie pojawiła się żadna przeszkoda. Nastia sumiennie zanotowała jeszcze kilka nazwisk: te osoby otrzymały do przeczytania rękopis Nilskiego albo streszczono im powieść. Oczywiście, głupio byłoby się łudzić, że na liście pojawi się Jewgienij Fietisow; właściwie nikt na to nie liczył. Ale nazwisko deputowanego mogło wypłynąć podczas kolejnych rozmów z osobami figurującymi na liście, bo przecież one też mogły dać komuś powieść do przeczytania albo opowiedzieć jej fabułę.

Co się tyczy sprawdzenia alibi Antona Pleszakowa, to tutaj, mimo odbytych spotkań, Nastia nie odnotowała żadnych postępów, więc na

liście niewyjaśnionych zabójstw, w których mógł maczać palce członek ugrupowania Walery Lipieckiego, nadal pozostawały trzy nieprzekreślone wiersze.

Zerknęła na zegarek. Wpół do ósmej. Jurik ją zwolnił w nadziei na to, że zdąży zrobić zakupy i przygotować kolację. Zdążyłaby, gdyby pojechała teraz prosto do domu, Korotkow wróci przecież nie wcześniej niż o dziesiątej albo nawet o wpół do jedenastej. Ale jest jeszcze zabity Gielij Grigorjewicz Riemis, jutro Afonia na pewno ją zapyta, co zrobiła w sprawie... Tymczasem ona nic nie zrobiła. Nawet nie spotkała się z detektywami z Okręgu Północnego.

– Dokąd teraz? – niecierpliwie zapytał taksówkarz.

Nawet nie zauważyła, że już od dawna siedzi w aucie.

– Na Wagonoremontną – poleciła bez wahania.

Rano, gdy milicjanci po obejrzeniu miejsca zdarzenia i ciała ustalili adres zamieszkania Riemisa, większość sąsiadów zmarłego pobiegła do pracy. Teraz wszyscy powinni być już w domu.



O ósmej wieczorem na klatce schodowej mieszały się rozmaite zapachy – w każdej kuchni gotowano kolację. Nastia bez trudu rozróżniła smażone ziemniaki, mięso z czosnkiem i przypaloną kaszkę na mleku. I dopiero wtedy poczuła, że jest strasznie głodna. Za sprawą dzisiejszych wypraw zapomniała zjeść obiad, jedyne, co przełknęła, to kilka łyków wody w pokoju Korotkowa.

Zatrzymała się na chwilę, żeby się rozejrzeć. Cztery mieszkania. To tutaj zajmował Riemis, byli już w nim milicjanci i śledczy, o czym wyraźnie świadczy taśma papieru z pieczęcią i podpisem. Nastia pokręciła głową, parę razy nabrała powietrza do płuc i pociągnęła nosem. Przypaloną kaszkę na mleku czuć z mieszkania po prawej. Pewnie jest tam małe dziecko. Nastia pomyślała, że jeśli Gielij Riemis był naprawdę pobożny, to raczej utrzymywał kontakty z rodziną, w której są małe dzieci, a nie z zajętymi interesami albo, jak teraz przyjęło się mówić, odjazdowymi sąsiadami. Jeśli oczywiście w ogóle utrzymywał jakieś kontakty.

Drzwi otworzyła sympatyczna kobieta koło trzydziestki, ubrana w spodnie, lekką koszulkę i wyszywany lniany fartuch – mokry i poplamiony. Z głębi mieszkania dobiegały dźwięk włączonego telewizora i dziecięcy pisk, w dodatku Nastia odniosła wrażenie, że głos nie był pojedynczy.

– Jestem z wydziału kryminalnego – zaczęła.

– Ach tak. – Kobieta pośpiesznie kiwnęła głową. – Rano byli u mnie milicjanci. Co za okropność! Komu Gielik mógł zawadzać? Taki dobry, cichy, nikomu nie powiedział złego słowa, wierzył w Boga. Bardzo lubił dzieci, wciąż się martwił, że nie ma swoich, rozpieszczał moje maluchy, dosłownie nosił je na rękach...

Do oczu kobiety napłynęły łzy. Nastia uznała, że właściwie wybrała mieszkanie. „Rozpieszczał moje maluchy”. To znaczy, że słuch jej nie zawiódł, w tej rodzinie jest dwójka dzieci.

– Jest pani zajęta karmieniem dzieci? – zapytała taktownie. – Przeszkadzam?

– Nic nie szkodzi, proszę wejść. – Kobieta otarła łzy i uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Będę je karmić, ale możemy przy nich rozmawiać, są jeszcze małe, nic nie rozumieją.

Kobieta miała na imię Wiera, mieszkała z dwojgiem dzieci w wieku trzech i pięciu lat. Nie pracowała, ponieważ były mąż (rzucił ją, gdy była w drugiej ciąży) sporo zarabiał i hojnie łożył na utrzymanie rodziny, którą zostawił dla wielkiej i prawdziwej miłości. Niektóre wypowiedzi i reakcje Wiery podsunęły Nastii myśl, że kobieta poważnie rozpatrywała samotnego, choć nierozwiedzonego sąsiada jako kandydata na przyszłego męża. Gielij często wpadał wieczorami, towarzyszył Wierze w spacerach z dziećmi, pomagał, gdy trzeba było coś przybić albo naprawić. Sprawa nie wyszła wprawdzie poza ramy sąsiedzkiej przyjaźni, ale Wieroczka sądziła, że to na skutek pobożności, a nie z braku sympatii do niej. Nie przyśpieszała biegu zdarzeń, bo się bała, że były mąż, dowiedziawszy się o jej nowym małżeństwie, odmówi pomocy materialnej.

– Czy w rozmowach z panią Gielij nigdy nie wspominał o satanistach? – zapytała Nastia na chybił trafił.

– O satanistach? – zdziwiła się Wiera. – Nie. Wiem o nich tylko z książek.

– Dostawała je pani od Gielija?

– Co też pani mówi! Gielij nie ma, to znaczy nie miał w domu takich książek i nigdy ich nie czytał. To przecież kryminały. Ja je uwielbiam – przyznała z lekkim zmieszaniem. – A skąd to pytanie? Sądzi pani, że zabili go sataniści?

– Nie wiem. – Nastia wzruszyła ramionami. – To możliwe. A co czytał Gielij?

– Przeważnie wybierał literaturę filozoficzną i historyczną, pamiętniki, biografie. No i religijną, rzecz jasna.

Wiera wcisnęła trzyletniemu brzdącowi, którego trzymała na kolanach, ostatnią łyżkę kaszki ryżowej na mleku.

– Doskonale – mruknęła z satysfakcją. – Brawo, mądry chłopczyk. A teraz napijemy się kisielu.

Nie wypuszczając syna z objęć, sięgnęła po ozdobiony jaskrawym dziecięcym rysunkiem kubek z kisiem, który stał na blacie.

– A dla mnie? – zażądała kapryśnie siedząca naprzeciwko kędzierzawa dziewczynka, bez entuzjazmu dłubiąca widelcem w ziemniaczanym purée i kotlecie.

– Najpierw zjedz to, co masz na talerzu – odrzekła Wiera surowo. – Utrapienie z nimi, w ogóle nie jedzą, domagają się tylko deserów – poskarżyła się Nastii. – Na słodczyce mają ochotę przez cały dzień, a resztę muszę im wciskać na siłę. Nalać pani kisielku?

– Nie odmówię – odparła Nastia z wdzięcznością, czując, że zaraz zemdleje z głodu, który potęgowały apetyczne zapachy...

Wiera, nadal z dzieckiem na kolanach, sięgnęła do suszarki, na której stały talerze i kubki odwrócone do góry dnem, później chwyciła garnuszek z kisiem.

– Proszę, niech pani pije.

Nastia z ciekawością obejrzała kubek. Był na nim wizerunek jakiejś osobliwości architektonicznej. I napis, przez który zrobiło jej się słabo: „Kemerowo”.

– To...

Bezmyślnie pokazywała palcem kubek i nie mogła sformułować pytania. Pragnęła histerycznie zawołać: „Czy wyście się wszyscy zmówili, żeby mnie drażnić tym syberyjskim miastem?”.

– Ładny kubek, prawda? – Wiera uśmiechnęła się ciepło, ale w jej oczach od razu stanęły łzy. – To prezent od Gielika. Boże, nie potrafię tego zrozumieć... Kto mógł mu źle życzyć? Nawet dzieci się do niego przywiązały...

Prezent od Gielika. Bardzo ciekawe. Skąd Riemis miał pamiątkowy kubek z Kemerowa?

– Dawno go pani dostała?

– Całkiem niedawno. Gielik był w Kemerowie i przywiózł stamtąd...

Wiera zdenerwowała się jeszcze bardziej, a chłopiec chyba wyczuł jej nastrój, bo wykrzywił usteczka, gotów się rozpłakać.

– Nie wie pani, po co tam pojechał?

– Powiedział, że musiał pomóc pewnej kobiecie. Straciła wszystkich bliskich, mąż umarł, dzieci zginęły.

Robi się coraz ciekawiej. Czy Gielij Grigorjewicz Riemis nie pojechał czasem, żeby pomóc Kławdii Sawieljewnie Simonowej? Ale niby czemu? Może to w ogóle nie był Riemis, może to Jurij Simonow we własnej osobie? I ludzie Bogomolca w końcu go dopadli. Ale co ma do tego krzyż prawosławny wycięty na piersi? A nic. Proszę, jak ładnie wyszło! Do sprawy wplątano satanistów, a jutro wplączę się Bóg wie kogo jeszcze.

– A dlaczego Gielij tak się przejął jej losem? To jego krewna albo znajoma?

– Nie wiem. – Wiera pokręciła głową. – Nie rozwodził się na ten temat, powiedział tylko, że musiał pomóc. Nie pytałam o szczegóły.

– Dlaczego? – Nastia nie ustępowała. – Nie była pani ciekawa, po co i gdzie pojechał? Odniosłam wrażenie, że chciała się pani z nim zaprzyjaźnić, stać się dla niego kimś bliskim.

– Bałam się popełnić ten sam błąd co z pierwszym mężem – odparła Wiera ze smutkiem. – Wciąż się wtrącałam, o wszystko pytałam, próbowałam udzielać rad, omawiać z nim jego problemy. A później się okazało, że to go bardzo drażniło. Powiedział, że mężczyzna musi czuć się wolny i niezależny, dlatego kobieta nie powinna mieszać się w jego sprawy. Nie chciałam zniechęcić Gielija, przestraszyć go, więc starałam się o nic nie pytać. Powie, to powie, nie będę go ciągnąć za język.



– Mówił coś jeszcze o tym wyjeździe? Na przykład gdzie konkretnie był: w Kemerowie czy gdzieś w obwodzie kemerowskim?

– Mówił, pamiętam. Wymieniał miasto... Boże, jak ono się nazywa... Wyleciało mi z głowy. Jak pani poda nazwę, powiem, czy to właśnie ono.

O nie. Eksperyment musi być czysty. Sukces jest zbyt nieprawdopodobny, żeby można było ryzykować.

– Ma pani atlas geograficzny? – zapytała Wierę.

– Mam. Przynieść?

– Bardzo proszę.

Nastia szybko przekartkowała atlas, znalazła mapę obwodu kemerowskiego i położyła przed Wierą.

– Niech pani przejrzy nazwy miast.

Wiera długo wpatrywała się w drobne literki, mrużąc krótkowzroczne oczy. Wreszcie pokazała palcem punkt na mapie.

– Proszę. Kamyszow.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie. Kamyszow. Wtedy się pomyliłam, pomyślałam, że Gielik mówi o Kamyszynie, a on się roześmiał i powiedział, że Kamyszyn leży w jego stronach, w obwodzie astrachańskim, a to Kamyszow, w Kuzbasie.

– Proszę sobie dokładnie przypomnieć, kiedy Gielij wyjechał i kiedy wrócił – poprosiła Nastia.

– Nie muszę sobie przypominać, pamiętam doskonale. Dwudziestego siódmego maja, w niedzielę, miałam urodziny. Gielik wpadł wcześniej rano, przyniósł kwiaty i prezent. Przeprosił, że nie przyjdzie wieczorem, bo wyjeżdża. Zostawił klucze, poprosił o podlewanie kwiatów. A wrócił w czwartek późnym wieczorem. Odebrał klucze i przyniósł kubek.

Nastia przewertowała notes, w którym był również kalendarz. Czwartek – trzydziesty pierwszy maja. Wyjechał dwudziestego siódmego, wrócił trzydziestego pierwszego. A Sierioża Zarubin wspominał, że pod koniec maja w Kamyszowie zjawił się jakiś nieznajomy mężczyzna, który zatroszczył się o samotną Kławdię Simonową. Wszystko się zgadza. Tylko nie wiadomo, dlaczego nikt w mieście go nie rozpoznał, skoro Riemis to jednak Simonow? Takie

rzeczy się nie zdarzają. Chociaż właściwie czemu nie? Jak człowiek dobrze zapłaci i znajdzie dobrego lekarza, to sam się nie rozpozna.

Jeśli jednak założyć, że Simonow poddał się operacji plastycznej, to nasuwają się kolejne wnioski. Nikt tego nie robi bez powodu. Widocznie grunt zaczął mu się palić pod nogami, skoro najpierw zainscenizował własną śmierć na skutek wybuchu w kopalni, a później zmienił wygląd i zdobył nowe dokumenty. Czym się tak strasznie naraził Bogomolcowi i jego watasze? Nie, Sieriożka Zarubin nie może jeszcze opuścić Kemerowa, jest tam mnóstwo pracy.

– Teraz to już wszystko – powiedziała z ulgą, wsiadając do taksówki. – Jedziemy do domu.

– Czyli gdzie? – kierowca zadał całkiem rozsądne pytanie.

– Na szosę Szczołkowską. Ale gdy będziemy mijać przyzwoity supermarket albo gastronomię, to się zatrzymamy, dobrze? Moja lodówka świeci pustkami.

– Zrobi się. – Taksówkarz po mistrzowsku wziął ostry zakręt i wyjechał z brudnego, zaśmieconego podwórza.

[15] CK KPSS (Centralny komitet Komunistycznej partii Sowieckiego Sojuza) – Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

## Rozdział 16

To, co umownie można było nazwać kotletami schabowymi, było gotowe na przyjście Korotkowa i leżało na półmisku umieszczonym na środku stołu w oprawie ugotowanych młodych ziemniaków, posypanych koperkiem i polanych olejem. Pachniało smakowicie, ale raczej nie odpowiadało pozostałym parametrom wymagań kwalifikacyjnych. Mięso okazało się twarde i wyraźnie przesolone.

– Niejadliwe, co? – zapytała Nastia ze skruchą, z trudem przeżuwając pierwszy kęs.

– Nie szkodzi, może być – odparł Korotkow wielkodusznie. – Najważniejsze, że się starałaś. Poza tym gdy jestem głodny, nie czuję dobrze smaku. Zaraz zaspokoję pierwszy głód i opowiem ci o Pawle Szczerbinie. Będiesz miała mnóstwo frajdy.

Proces zaspokajania głodu nie zabrał dużo czasu, Jura jadł niesłychanie szybko, miażdżąc mocnymi zębami twarde kawałki mięsa i doprawiając je aromatycznymi ziemniakami.

– A więc tak, koleżanko – zaczął, łapiąc oddech. – Mam dla ciebie trzy wiadomości. Pierwsza: major milicji Paweł Pietrowicz Szczerbina pracuje obecnie w wydziale „R” i ma nieograniczone możliwości podsłuchiwania rozmów telefonicznych, zwłaszcza prowadzonych z komórek. Innymi słowy, można go rozpatrywać jako źródło dowolnych, najbardziej zaskakujących informacji. Wiadomość druga: wyżej wzmiankowany major mieszka w tym samym domu co nasz uwielbiany naczelnik Afanasjew, tylko w innej klatce. Trzeba ci wiedzieć, że dom jest nasz, ministerialny, i jakieś siedemdziesiąt procent mieszkańców stanowią nasi pracownicy, którzy ubiegali się o lokal. Ale moja druga wiadomość zawiera jeszcze ustęp, który głosi, że blaszany garaż należący do majora Szczerbiny znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie „blaszaka” pułkownika Afanasjewa.

– A zatem mamy dwieście procent pewności, że panowie się znają, i to nieźle. – Nastia się ożywiła. – Teraz wiadomo, skąd Afonia ma te informacje. A trzecia wiadomość?

– Trzecia jest tutaj. – Korotkow z dumą wypisaną na twarzy sięgnął do kieszeni koszuli i położył przed Nastią złożoną we czworo kartkę typowego formatu. – Przyniesiono mi to dzisiaj, z kilkudniowym opóźnieniem. Ciekawe, co?

– Ciekawe – przyznała Nastia z namysłem, gdy przebiegła wzrokiem kilka oszczędnych linijek tekstu. – Nasz przyjaciel Szczerbina chyba się nawet tego nie domyśla. No i co teraz zrobimy? Pójdiesz do Afonii czy sama mam z nim porozmawiać?

– Jak wolisz. – Korotkow wrzucił potężnymi ramionami. – Mogę pójść, jeśli się boisz.

– Jura, nie boję się, ale czuję zwyczajne obrzydzenie. A zresztą łatwiej wysłuchać takich rzeczy od zastępcy niż od szeregowego podwładnego. Oczywiście, byłoby wspaniale powiedzieć o tym Gmyrii, niechby sam wytłumaczył Afonii, dlaczego wypuszcza Ganielina. Ze śledczym nie wypada mu się kłócić, śledczy sam podejmuje decyzje i nie pyta detektywów o zgodę. Ale wtedy Afonia na pewno nam nie daruje, że dopuściliśmy jeszcze kogoś do tajemnicy jego zawodowego blamażu.

Nastia nie zdołała zjeść kotleta, ograniczyła się do ziemniaków, których nawet ona nie potrafiła zepsuć. Po kolacji, w oczekiwaniu na telefon od Sierioży Zarubina, długo omawiali z Jurą sprawę, rozrastającą się w wyniku napływających wciąż informacji.

– Może zapomniał, że obiecał zadzwonić? – zapytała Nastia z niepokojem, spoglądając na zegarek. – Niedługo północ, a od niego ani słyhu, ani dychu. W Kemerowie już głęboka noc, wkrótce zacznie świtać.

– Jak zapomniał, to go zabiję, ale najpierw zwolnię – spokojnie obiecał Korotkow. – Nie martw się. Poczekamy jeszcze pół godziny i idziemy spać.

Zarubin zadzwonił za piętnaście pierwsza. Głos miał znużony, nawet nie dowcipkował, co świadczyło o całkowitej utracie sił fizycznych i duchowych. Na jego prośbę Rusłan i Jana Nilscy odwiedzili z nim cmentarz i znaleźli grób Nikołaja Filippowicza

Bieszczerynych, który jednak nie obudził w nich żadnych wspomnień. Ani ten grób, ani inne groby znajdujące się w pobliżu, ani sam cmentarz.

Postać zmarłego Nikołaja Filippowicza też nie podsunęła ciekawych myśli. Żył, uczył się w miarę sił, długo i ciężko chorował. Gdy miał trzynaście lat, przyznano mu drugą grupę inwalidzką, a gdy skończył dziewiętnaście – pierwszą. Umarł w szpitalu w wieku trzydziestu czterech lat. O żadnym przestępstwie nie mogło być mowy, bo prawie nie opuszczał domu, nie mógł samodzielnie funkcjonować, rodzice i siostra opiekowali się nim na okrągło, więc całe jego życie toczyło się na ich oczach, wiedzieli o każdym telefonie i znali z widzenia i z nazwiska każdego, kto go odwiedzał.

– Na razie to wszystko – podsumował Zarubin. – Resztę przekażę jutro rano. Moim zdaniem między Nilskimi coś jest nie tak. Wyglądają, jakby się pokłócili albo byli z siebie niezadowoleni. To tyle, cześć. – Ziewnął wymownie i odłożył słuchawkę.



Rano Nastia przystąpiła do niezbędnych czynności w celu ustalenia, kim był mężczyzna, który posługiwał się dokumentami Gielija Grigorjewicza Riemisa. Zapytania do obwodu archangielskiego o miejsce urodzenia i zamieszkania, zapytanie do instytutu, w którym studiował (dyplom z nazwą instytutu i wydziału znaleziono w jego mieszkaniu). Zarubin obiecał znaleźć i szybko wysłać zdjęcia Jurija Simonowa, żeby można je było porównać ze zdjęciami Riemisa. Jeśli po ich obejrzeniu eksperci stwierdzą, że może to być ta sama osoba, tylko przed operacją plastyczną i po niej, to z hipotezą o satanistach można będzie się pożegnać z ulgą. Tymczasem Nastia musi się uporać ze sprawą zabójstwa na tle narodowościowym, chociaż ma świadomość, że im dalej – tym będzie trudniej. Łatwo i szybko udało jej się zebrać informacje, które były dostępne i leżały na wierzchu. A nad trzema ostatnimi zabójstwami przyjdzie jeszcze popracować.

W południe zadzwonił Zarubin i poprosił o jej adres elektroniczny.

– Zdobyłem zdjęcia Simonowa, jest tutaj komputer ze skanerem, więc zaraz je zeskanuję i ci wyślę – powiedział. – Dostaniesz za pół godziny. Niech to diabli, fajnie się żyje w czasach postępu technicznego.

Umierając z niecierpliwości, Nastia szybko skończyła kolejną rozmowę, tym razem z kelnerem w restauracji, w której rzekomo był Pleszakow w czasie popełnienia jednego z zabójstw. Kelner przypomniał go sobie z trudem – bawiło się spore towarzystwo – i nie potrafił zdecydowanie stwierdzić, czy Anton przez cały czas pozostawał w restauracji, czy ją opuszczał. I znowu Nastii nie udało się wykreślić kolejnego wiersza na liście.

Wróciwszy na Pietrowkę, pobiegła prosto do Korotkowa, żądając, by natychmiast znaleziono dla niej komputer z dostępem do Internetu. Gdy go jej udostępniono, sprawdziła swoją pocztę, otworzyła wiadomość od Zarubina, rozpakowała zdjęcia, chwyciła teczkę, w której były zdjęcia zabitego Riemisa, i pobiegła do ekspertów, żeby się poradzić. Eksperci mieli urwanie głowy, jak zresztą każdego dnia, ale zdołali poświęcić jej równo trzy minuty, by wysłuchać i powiedzieć: „Jedź na Wojkowską, tam robią to szybko”.

Niedaleko stacji metra Wojkowskaja, na ulicy Zoi i Aleksandra Kosmodiemjanskich, znajdowało się Centrum Ekspertyz Kryminalistycznych MWD. Nastia nie miała żadnego postanowienia o przeprowadzeniu ekspertyzy, uważała, że jeszcze za wcześnie, by zawracać głowę śledczemu mglistymi domysłami, które bazowały tylko na jednym fakcie (jak dotąd niesprawdzonym) podróży Riemisa do Kamyszowa. Ekspert, z którym rozmawiała na Pietrowce, obiecał skontaktować się z kolegami w Centrum i poprosić ich, żeby zrobili wszystko „po znajomości”. Dotrzymał obietnicy. Nastia nie została wprawdzie powitana z otwartymi rękami, ale jej prośbę potraktowano bardzo przychylnie: za pomocą skanera wprowadzono do komputera oba zestawy zdjęć, po czym polecono, by zaczekała.

Jakiś czas później siedząca przy komputerze kobieta, na oko czterdziestopięcioletnia, z jędzowatym wyrazem twarzy, ale, o dziwo, łagodnym głosem, odwróciła się i dała Nastii znak, żeby podeszła.

– To różne osoby – oznajmiła stanowczo. – Nawet biorąc poprawkę na ewentualną operację plastyczną. Obaj mężczyźni są tego samego

wzrostu i w zasadzie jednakowej budowy ciała, ale mają inny kształt czaszki. Nie zgadza się żaden parametr, który jest brany pod uwagę podczas identyfikacji.

Uf! Dobrze, że Nastia nie podzieliła się swoją opinią ani ze śledczym prowadzącym sprawę zabójstwa Gielija Riemisa, ani z Afonią. To jednak przykre... Wszystko układało się tak pięknie!

W drodze na Pietrowkę Nastia usilnie próbowała wymyślić jakąś prawdopodobną historię o tym, jak dwaj nieznajomi mężczyźni w podobnym wieku, podobnego wzrostu i podobnej budowy ciała znaleźli się w mało znanym miasteczku o nazwie Kamyszow w tym samym czasie i celu: żeby pomóc kobiecie, która straciła wszystkich bliskich. Niewykluczone, że chodziło o tę samą kobietę. W każdym razie Sierioża Zarubin, którego poprosiła, by to sprawdził, powiedział, że taka tragedia dotknęła tylko Kławdię Sawieljewnę Simonową, milicja w Kamyszowie nie zna innych tego typu przypadków.

Historia, odpowiadająca realiom życiowym, nie układała się w całość, więc Nastia doszła do wniosku, że Riemis musiał znać Simonowa i pojechał tam na jego prośbę. Simonow rzeczywiście nie zginął, ale nie odważył się pokazać w rodzinnym mieście i wysłał przyjaciela, żeby ten zorganizował pomoc dla matki. Nie było dwóch mężczyzn, był tylko Gielij Riemis. Jego przyjazd nie uszedł jednak uwadze ferajny Bogomolca, a ponieważ nikt nie rozpoznał nieznajomego, wydedukowano, że Simonow poddał się operacji plastycznej. Wywód logiczny okazał się prosty i niezbity: kto tak gorliwie troszczyłby się o samotną kobietę i o nagrobek jej niedawno zmarłej córki? Oczywiście, że tylko syn i brat. A dlaczego nikt go nie rozpoznał w Kamyszowie? Ano dlatego, że zrobił sobie operację plastyczną. Wszystko jasne.

Simonow mógł jednak nie zmieniać wyglądu, a pogłoski o operacji plastycznej to wynik logicznego rozumowania bandytów z Kemerowa. Gdyby miał nową twarz, nie bałby się pojechać do Kamyszowa i nie wciągnąłby Gielija Riemisa w tę grę. Tymczasem ludzie Bogomolca wzięli Riemisa za Simonowa, wytropili go i pozbawili życia. Wtedy wszystko się zgadza.

Teraz pojawia się pytanie, czy trzeba szukać owego Simonowa. Zdaje się, że nie jest na bakier z prawem, nikogo nie zabił. Trzeba jednak pamiętać, że jego nazwisko wyplęnięto znacznie wcześniej i łączy się z Rusłanem Nilskim (patrz sprawa zabójstwa Timura Indżiji) i Piotrem Stiepanowiczem Dybiejką (patrz sprawa zabójstwa Antona Pleszakowa), a teraz jeszcze z Gielijem Riemisem, więc głupio się od tego odżegnywać i zamykać oczy...

Im bliżej było budynku Pietrowki, tym wyraźniejszy schemat się wyłaniał. Nilski – Bogomolec, Pleszakow i Dybiejko – Walera Lipiecki. To dwie linie, które wychodzą z punktu „Jurij Simonow”. Simonow musiał się strasznie narazić watasze Bogomolca, ale ponieważ nie jest związany z żadnym bandyckim ugrupowaniem, do kogo mógł się zwrócić o pomoc? Wiadomo, że nie do milicji, bo czyn, o który obwinił go Bogomolec, na pewno podlega karze przewidzianej w kodeksie karnym. A więc do kogo? Do osoby, którą zna od dawna. Do kogoś, kto ma dobre kontakty w świecie przestępczym. I jest w stanie mu pomóc. Do Piotra Stiepanowicza Dybiejki, swojego krajana.

A jak powinien zareagować Piotr Stiepanowicz? Oczywiście, wziąć pod swoje skrzydła i pomóc. Ale nie za darmo. Skąd Simonow ma pieniądze na ułożenie sobie nowego życia? Nawet jeśli nie poddał się operacji plastycznej, musiał zapłacić za nowy komplet dokumentów. To mało prawdopodobne, że posługuje się starym dowodem, nie jest nigdzie zameldowany i zarejestrowany, żyje z dnia na dzień i codziennie ryzykuje, że natknie się na jakąś kontrolę. W takich warunkach mógłby żyć bez czyjejkolwiek pomocy. Jeśli się zwrócił do Dybiejki, to znaczy, że pragnął stabilniejszego, bezpieczniejszego i pomyślniejszego losu. I jeżeli dobry wujek Piotr Stiepanowicz zapewnił mu wszystko, to za co? Jakie otrzymał zadośćuczynienie? Na jakich warunkach? Ech, szkoda, że nie ma pewności, czy Simonow poddał się operacji plastycznej! Dobra operacja jest bardzo droga, więc jeśli Walera Lipiecki polecił, by ją załatwić i opłacić dla Simonowa, to nasuwa się wniosek, że miał poważne plany w stosunku do dawnego górnik.

Nie, Simonow musiał jednak zatroszczyć się o zmianę wyglądu, dokumenty dokumentami, ale gęba najbardziej rzuca się w oczy.



Gdzie gwarancja, że ludzie Bogomolca nie zaopatrzyli się w jego zdjęcia i nie szukają go na ulicach wszystkich rosyjskich miast? Nie ma takiej gwarancji. Przestępcza ferajna jest potężna, ma rozbudowany system kontaktów – milicja może jedynie pozazdrościć. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdy tylko ktoś zobaczy Simonowa, Bogomolec dowie się o tym godzinę później. Lecz jeśli Simonow jest po operacji plastycznej, dlaczego sam nie pojechał do Kamyszowa, dlaczego wysłał Riemisa? Bał się, że matka go rozpozna? Możliwe. Nie bez powodu mówi się, że matki widzą swoje dzieci sercem, a nie oczami. A zresztą są jeszcze głos, sposób mówienia i poruszania się, charakterystyczne gesty, mimika. Ale Sierioża Zarubin twierdzi, że nieznajomy, który przyjechał do miasta pod koniec maja, nie odwiedził Kławdii Sawieljewny i z nią nie rozmawiał. Tak mógł się zachować tylko syn, który obawia się zdemaskowania. Czego miałyby się bać Riemis? Kławdia Sawieljewna nigdy przedtem go nie widziała. Wstąpiłby do samotnej kobiety, porozmawiał, zapytał, czego jej trzeba, jak może pomóc... Tymczasem wszystko zrobił sam, wydał dyspozycje, zostawił pieniądze i wyjechał. To wygląda na Simonowa. A zatem Riemis przez przypadek znalazł się w Kamyszowie w tym samym czasie? I cel jego przyjazdu przez przypadek okazał się zbieżny z celem Simonowa? I to, że są do siebie podobni, też jest przypadkowe?

Ależ nie, nie! Tak się nie zdarza... A może jednak się zdarza?



Najbardziej na świecie nie chciała teraz zobaczyć się z naczelnikiem. Afonia na pewno zacznie ją wypytywać o postępy w sprawie satanistów, a ona w odpowiedzi będzie musiała albo kłamać i pleść niestworzone rzeczy, albo się przyznać, że zajmowała się Simonowem, a nie satanistami, i wysłuchiwać później należnych za samowolę pouczeń, które płynnie przerodzą się w reprimendę.

Na palcach przekradła się do siebie, zamknęła drzwi od środka i wybrała numer wewnętrzny Korotkowa. Telefon nie odpowiadał. Zadzwoiła więc na komórkę Jury.

– Gdzie jesteś? – głośnym szeptem wychrypiała do słuchawki.

– Poza biurem – odparł krótko. – A czemu chrypisz? Przeziębiałaś się?

– Ukrywam się przed Afonią. Nie wiesz, czy jest na miejscu?

– Wyjechał. Nie zniósł rozmowy ze mną. Szczegóły pisemnie.

– A Gmyria? Rozmawiałaś z nim?

– Tak. Obiecał, że się zastanowi.

Nastia odłożyła słuchawkę, włączyła czajnik elektryczny, nasypała kawy rozpuszczalnej do kubka. Doczekała się ciekawych czasów! Musi ukrywać się przed naczelnikiem, okłamywać go i się wymigiwać. Z Pączkiem Gordiejewem czuła się naprawdę komfortowo. Nie trzeba mu było mydlić oczu, można było przyjść do niego ze śmiałą hipotezą, a on dyskutował o niej chętnie, przyglądał się jej ze wszystkich stron i nie przywiązywał wagi do tego, kto wysunął hipotezę, która w końcu doprowadziła do sukcesu – on czy któryś z podwładnych. Pracował dla wyniku, nie chodziło mu o własną reputację. Afonia to zupełnie inny typ, dla niego liczy się tylko jego opinia oraz opinia przełożonych, cała reszta niewiele go obchodzi. Czy to znaczy, że ona, podpułkownik milicji z piątym krzyżykiem na karku, ma odtąd wciąż się pilnować, używać wybiegów, przemilczać fakty, wykręcać się, jakby była małą, psotną dziewczynką, a nie starszym oficerem operacyjnym, który przepracował w resorcie MWD dziewiętnaście lat, z czego piętnaście w wydziale kryminalnym? Odejść nie może, praca z ludźmi, których od dawna zna, lubi i którym ufa, jest dla niej na tyle istotna, że przeważa nad niechęcią do naczelnika. Ale praca pod kierownictwem Afonii wciąż będzie wymagała od niej czynów, przez które poczuje wstręt do samej siebie. Jeśli nawet odejdzie, w nowym miejscu może trafić na takiego samego Afonię albo kogoś jeszcze gorszego, tyle że obok nie będzie chłopców...

Wciąż napotykała w myślach te zamknięte drzwi, dwadzieścia razy dziennie przemierzając długi korytarz rozważań i obliczeń logicznych, próbowała przekonać samą siebie, że ludzie pracują z dowolnymi naczelnikami i kolegami i że od tego się nie umiera. Stawała przed drzwiami i widziała, że są zamknięte, że dalej nie ma drogi.

Wypiła kawę, napisała kilka pism, których na okrągło, z godną podziwu regularnością żądano od wszystkich pracowników operacyjnych. Zadzwoiła do śledczego Gmyrii.

– Wypuszczę go, wypuszczę – mruknął Boris Witaljewicz z niezadowoleniem. – Twój szef już był u mnie.

– Jak to, sam przyszedł? – zdziwiła się Nastia. – I co powiedział?

– To, co trzeba.

– A kiedy pan wypuści Ganielina?

– Teraz jestem zajęty, mam kupę pracy. Trochę się ogarnę i wtedy napiszę postanowienie.

Boże, ile dokumentów powstaje w procesie wyjaśniania przestępstw! Postanowienia, protokoły, zaświadczenia, raporty, sprawozdania, plany... Kto nie pracował w wydziale kryminalnym i w prokuraturze, temu nawet nie przyjdzie do głowy, że każdego dnia trzeba wykonywać tonę papierkowej roboty. Zatrzymany siedzi w celi, zamartwia się, liczy minuty i sekundy i nawet się nie domyśla, że kwestię jego zwolnienia już rozstrzygnięto, ale zostanie wypuszczony dopiero wtedy, gdy śledczy napisze kolejne pismo. A napisze je nieprędko, bo przed nim przesłuchania, konfrontacje, rozpoznania, wyjazdy na miejsce zdarzenia, eksperymenty śledcze... Nigdy nie ma czasu. Biedny Ganielin! Przeszedł piekło przez zazdrosnego Szczerbinę.

Ale Afonia jej zaimponował! Uznał, że powinien sam pojechać do śledczego i zdementować informacje operacyjne, które umacniały podejrzenie pod adresem Ganielina. Brawo, nie schował się w kącie, nie umył rąk, pojechał. Okazuje się, że Wiaczesław Michajłowicz jest zdolny do czynu. W sercu Nastii pojawiło się coś na kształt szacunku dla naczelnika. Może nie jest jednak taki zły?

≡

Siergiej Zarubin już drugą godzinę siedział na ławeczce na skwerze naprzeciwko domu, w którym mieszkali Rusłan i Jana Nilscy. Musiał zadać Rusłanowi kilka pytań, ale matka Jany powiedziała, że córka z zięciem wyszli coś załatwić i kiedy wrócą – nie wiadomo, chyba najdalej o ósmej, bo Janoczka zawsze sama kładzie

dziewczynki spać. Minęła jednak ósma, a potem wpół do dziewiątej, a Nilskich nadal nie było. Siergiej nie mógł ich przegapić – nie spuszczał oczu z drzwi wejściowych.

Młody detektyw siedział z wyciągniętymi nogami i delektował się myślą, że nie musi nigdzie biec i z nikim rozmawiać. W życiu wywiadowcy nieczęsto zdarzają się takie miłe chwile, zwłaszcza gdy na dworze jest ciepło i twarz owiewa słaby, świeży wiaterek.

Dzisiaj rano udało mu się wreszcie spotkać z mężczyzną, który wie o kuzbaskich ugrupowaniach nawet to, czego one same o sobie nie wiedzą. Przesadą byłoby twierdzić, że ktoś z tak wszechstronną wiedzą nawiązał chętnie kontakt z moskiewskim detektywem, potrzeba było sporo czasu i wysiłku, żeby namówić go na to spotkanie. Ale w końcu wyraził zgodę i dzisiaj wyjawiał Zarubinowi wiele ciekawych rzeczy.

Najważniejsza z nich była taka, że kilka lat temu w ugrupowaniu Bogomolca doszło do poważnego rozłamu z powodów, by tak rzec, ideowych. Bogomolec jest patologicznie podejrzliwy, najbardziej ceni sobie osobiste oddanie i korporacyjną lojalność. Nigdy nie dogadywał się ani nie szedł na kompromisy z gliniarzami, wolał oddawać ludzi i raz na zawsze pozbywać się ich ze swojej watahy, niż pozwalać, by powstawały warunki, w których może dojść do wycieku informacji. Z tych samych powodów był zagorzałym przeciwnikiem kupowania milicjantów i werbowania ich w swoje szeregi. Wychodził ze słusznego założenia, że człowiek, który raz się sprzedał, może to zrobić ponownie. Obdarzając gliniarza zaufaniem, nigdy nie można mieć pewności, że nie dojdzie do zdrady z jego strony. Właśnie dlatego wszystkie przeprowadzane przez Bogomolca operacje cechowały bezwzględność, okrucieństwo i prostota, ponieważ niekonwencjonalna i pedantyczna robota wymaga pomocy owych gliniarzy, od współpracy z którymi zaciekle się odżegnywał.

Przez jakiś czas osobą numer dwa w ugrupowaniu był niejaki Walerij Łozowej, który miał doświadczenie w organizowaniu tranzytu narkotyków i doskonale wiedział, że bez współpracy z organami ścigania szajka przestępcza jest skazana na marne i nudne taplanie się na płyciźnie. Próbował wbić do głowy upartemu Bogomolcowi swój punkt widzenia, ale za każdym razem spotykał się

z niezrozumieniem i ostrym sprzeciwem herszta. W końcu konflikt między Bogomolcem i Łozowojem osiągnął taką skalę, że doszło do rozłamu w ugrupowaniu. Ludzie oddani Bogomolcowi zostali w Kemerowie, a zwolennicy nowocześniejszego podejścia odeszli z Łozowojem i przenieśli się do europejskiej części kraju. Najpierw osiedli w Lipiecku, a później ruszyli na podbój stolicy pod przywództwem swojego lidera, który odtąd zaczął się nazywać Walerą Lipieckim.

Nieco ponad rok temu w ugrupowaniu Bogomolca wydarzyło się CzP: stwierdzono poważne braki w kasie. Kasa była regionalna, miała wspierać i zasilać wszystkie ugrupowania Kuzbasu, w tym członków odbywających zsyłkę, ale to właśnie Bogomolcowi powierzono nad nią pieczę na wspólnym zebraniu. Bogomolec nie znośił, gdy próbowano mu stawiać za wzór czyjeś doświadczenie, był święcie przekonany, że całe doświadczenie świata jest nic niewarte w porównaniu z jego intuicją i znajomością rzeczy. Sam postanowił, gdzie ulokować kasę i jak zapewnić jej bezpieczeństwo. Kupił mieszkanie w wieżowcu, zamontował podwójne stalowe drzwi, w oknach – stalowe kraty, wyposażył lokal w kilka alarmów oraz sejf ścienny i przydzielił trzech ludzi, żeby na zmianę pilnowali skarbu.

Gdy odkryto niedobór, wystarczyły dwie godziny, by się dowiedzieć, który z trzech ochroniarzy nawalił. Winowajca, pobity i zadreńczony niemal na śmierć, przyznał się, że wziął pieniądze dla swojego znajomego Jurki Simonowa, który obiecał podwoić kwotę w kasynie w ciągu najwyżej dwóch wieczorów. Jurka był farciarzem, grał często i z powodzeniem, więc ochroniarz uległ namowom przyjaciela i zaryzykował. Ale Jurka przegrał. Wystraszony ulotnił się w nieznanym kierunku, pozwalając, by jego wierzyciel odpokutował za grzechy ich obu.

Trzeba przyznać, że ta nieładna historia miała ukryte tło. Broczący krwią ochroniarz wyznał na swoje usprawiedliwienie, że wynajął Simonowa do mokrej roboty. Zleceniodawcą był pewien leciwy i bardzo szanowany bandyta, prawdziwy urka, który ciężko chorował i przed śmiercią uznał, że nie może odejść z tego świata, nie porachowawszy się ze wszystkimi swoimi wrogami. Gdy więc Simonow zaczął się uskarżać ochroniarzowi na brak pieniędzy,

tamten zainteresował się, co właściwie jego przyjaciel potrafi robić, żeby była z tego forsa. Jurka powiedział, że jest górnikiem w kopalni, a przedtem służył w wojskach saperskich i posiadał stosowne umiejętności. Właśnie wtedy ochroniarz zaproponował, że znajdzie mu zleceniodawcę. Simonow się zgodził, zleceniodawca się znalazł (za pośrednictwem wspomnianego ochroniarza) i Jurka zabrał się do roboty. Ale wydarzyło się nieszczęście: podczas gdy się szykował i realizował swój plan, stary przestępca rozstał się z życiem. Kiedy Simonow wykonał zlecenie i zjawił się u swojego kumpla z radosną nowiną, okazało się, że nie ma kto zapłacić za robotę. Zleceniodawca nie żył. A ochroniarz znowu był stratny, bo należała mu się prowizja za pośrednictwo.

Zdaniem ochroniarza Simonow był wściekły. Ochroniarz z kolei czuł się niezręcznie. Gdy więc Simonow zaproponował, żeby wziąć pieniądze z kasy i pomnożyć je drogą hazardu, ochroniarz się wahał, ale niezbyt długo, bo czuł się po trosze winny tego, że Jurka nie dostał zarobionych pieniędzy. Chciał też pobrać swoją prowizję. Jurka był szczęściarzem, nie zdarzały mu się katastrofalne porażki, dlatego ochroniarz był pewien, że zabraną z kasy kwotę po dwóch dniach włożą z powrotem do sejfu i nikt się o niczym nie dowie.

Ale nie udało mu się zwrócić pieniędzy do sejfu. A zaraz potem wszystko wyszło na jaw. Ochroniarza poddano długim torturom, zmuszono, by zdradził wszystkie okoliczności zdarzenia i wszystkie szczegóły dotyczące Simonowa, a później dobito, żeby się nie męczył. Właściwie nawet gdyby się nie męczył, też by go zamordowano, ponieważ Bogomolec nie przebaczał zdrady, a czyn człowieka, któremu powierzono pieczę nad regionalną kasą, z punktu widzenia przestępczej moralności okazał się jeszcze gorszy niż zdrada. Ochroniarz był suką – okradł swoich.

Po zabiciu ochroniarza wszczęto poszukiwania Simonowa. Chciano oczywiście wydrzeć od niego pieniądze i zwrócić je do kasy, ale nadzieja, że tak się stanie, była niewielka. Gdy ktoś przegrał pieniądze, skąd weźmie nowe? Nieufający nikomu Bogomolec zaczął jednak podejrzewać, że Simonow skłamał, że nie przegrał pieniędzy, lecz je sobie zwyczajnie przywłaszczył, robiąc z kumpla durnia. Skoro tak – niech zwróci to, co ukradł. A za zamach na największą

świętość musi umrzeć, to nie ulega kwestii. Jeśli nie ukarze się tego, który się porwał na kasę, będzie to plama na bandyckim honorze.

Prowadzono intensywne poszukiwania Simonowa, ale niebawem je przerwano. Simonow zginął podczas wybuchu w kopalni, w której pracował. Historia ucichła, lecz parę miesięcy później ponownie ożyła. Wyplęnęła informacja, że Simonow ma się dobrze, że zrobił sobie operację plastyczną i pędzi szczęśliwy żywot w stolicy pod innym nazwiskiem i z inną twarzą. Więc ludzie Bogomolca zakasali rękawy i znowu go szukają.

Kamieńską najbardziej interesowała sama operacja: czy informacje są wiarygodne, czy można na nich polegać, czy nie są wytworem wyobraźni opartej na domysłach. Wczoraj specjalnie mówiła o tym Zarubinowi, więc dzisiaj podczas spotkania z „wszechwiedzącym” mężczyzną Siergiej próbował znaleźć odpowiedź. Mężczyzna nie potrafił wytłumaczyć, skąd pojawiły się informacje, był jednak pewien, że bazują na wiedzy, a nie na przypuszczeniach. Można wysondować coś więcej, oczywiście, ale na to potrzeba czasu. A Zarubin go nie miał.

O dziesiątej wieczorem wciąż jeszcze siedział na ławce naprzeciwko domu Nilskich i uśmiechając się, myślał, że wszystkie starania Bogomolca, by zapobiec wyciekowi informacji, nic nie dały. Informacje wyciekały, i to jak! A dlaczego? Dlatego że najgroźniejsza broń Bogomolca to bezwzględność, podejrzliwość i okrucieństwo. Gdy zaś jest się okrutnym wobec ludzi i bez przerwy się ich o coś podejrzewa, liczba urażonych i upokorzonych rośnie nie tylko z każdym dniem, ale z godziny na godzinę. Nie da się wszystkich zabić, więc ci, którzy pozostają przy życiu, bynajmniej nie zawsze uważają za konieczne nadal okazywać oddanie albo choćby lojalność. Jeśli to prawda, że piękno zbawi świat, to przestępczość zorganizowaną może zbawić tylko dobroć. Jedynie dobry dla swojej watahy przywódca może zbudować z niej niedostępną twierdzę, do której nie wdrze się ani wymiar sprawiedliwości, ani konkurencja. Wataha musi wielbić swojego lidera, wtedy wypruje sobie dla niego żyły. Jak pokazuje życie, ze strachu nigdy nie rodzi się nic sensownego. Dobroć zbawi mafię... Zabawne! Ale taki właśnie powstaje paradoks.

Wreszcie zza zakrętu wyłonili się Rusłan i Jana. Przyglądając się im, Siergiej mimo woli poczuł niepokój. Szli niby razem, a jednocześnie jakby osobno i emanowali tak wielką niechęcią, że nie było żadnych wątpliwości: musieli się pokłócić, skoro nawet nie rozmawiają ze sobą. Zarubin już miał do nich podejść, ale Rusłan nagle chwycił Janę za rękę i zaczął coś mówić z przejęciem. Jana wyrwała rękę i szybko ruszyła do drzwi. Siergiej widział, że płacze. Rusłan zwolnił kroku, później się zatrzymał i wyjął papierosy. Już czas – uznał Siergiej, wstając i podchodząc do Nilskiego.

– To pan? – Rusłan spojrzał na niego obojętnie i natychmiast się odwrócił.

– Ja. – Zarubin westchnął nieszczęrze. – Przepraszam, że się panu naprzykrzam w Kemerowie, ale sam pan chyba rozumie: taka praca... Mam jeszcze kilka pytań...

– Nie teraz – rzucił Nilski ostro.

– A kiedy? – Siergiej nie obawiał się, że zostanie uznany za natręta. Uważał, że lepiej dać się komuś we znaki, prowadząc przydługą rozmowę, niż poczuć skrępowanie i coś przeoczyć. – Kiedy będzie pan mógł ze mną porozmawiać? Nawiasem mówiąc, czekam tutaj już cztery godziny.

– Dobrze, wrócę za piętnaście minut.

Nilski czubkiem buta rozgniół niedopałek i zniknął w domu. Zjawił się z powrotem po niecałym kwadransie. Twarz miał zaszępioną, usta mocno zaciśnięte, przez ramię przewiesił torbę podróżną na długim pasku.

– Wyjeżdża pan gdzieś? – zdziwił się Zarubin.

– Do Moskwy – odparł krótko. – Jeśli ma pan pytania, porozmawiajmy w drodze na lotnisko.

– Wraca pan?

– A jak to można nazwać? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Ale przecież Jana... – Zarubin się zmieszał.

– Co: Jana?

– Chciała wyjechać z Moskwy, bo się bała. A pan z nią pojechał, żeby nie zostawiać jej samej z tymi lękami. Mam rację?

– Owszem.

– Więc dlaczego pan wyjeżdża? Jana już się nie boi?



– Wygląda na to, że nie. A może te lęki nie są zbyt silne i nie przeszkadzają jej, by mnie nienawidzić. Zresztą to nie pańska sprawa. Ma pan samochód?

– Tak. – Siergiej kiwnął głową. – Stoi za rogiem. Chodźmy.

Przejechali kilka przecznic, zanim Zarubin znowu wrócił do rozmowy.

– Dlaczego pan sądzi, że Jana nienawidzi pana? Pokłóciliście się?

– To nie pańska sprawa. Miał pan jakieś pytania? No to proszę je zadać i zostawić w spokoju moje życie osobiste.

– Jak pan chce. – Zarubin posłusznie się wycofał. – Mówi coś panu nazwisko Simonow?

– Simonow? – Agresja w głosie Nilskiego nieco się zmniejszyła. Widocznie mężczyzna nie spodziewał się takiego obrotu sprawy i ze zdziwienia zapomniał o gniewie. – Ma pan na myśli Jurkę Simonowa, mojego krajana?

– Zgadza się – potwierdził Siergiej.

– Był taki w naszym mieście. Chodziliśmy do tej samej szkoły. I co z tego?

– A po szkole, gdy obaj staliście się dorośli, nie spotykał go pan?

– Nie. – Rusłan pokręcił głową.

– Na pewno? Może było jakieś przelotne spotkanie, ale wyleciało panu z pamięci?

– Nic mi nie wyleciało z pamięci. Gdy Jurka poszedł do wojska, skończyłem dziewiątą klasę, a gdy wrócił do Kamyszowa, pracowałem już w Kemerowie. Więcej się nie spotkaliśmy.

– Tak dokładnie pamięta pan, że skończył dziewiątą klasę, gdy Simonow trafił do wojska, że nawet się pan nie zawahał. – W głosie Zarubina zabrzmiało niedowierzanie pomieszane z wyrzutem, jakby mówił: „No i czemu mącisz mi w głowie, bratku?”.

– Owszem, pamiętam – rzucił Rusłan krótko. – Nie mam kłopotów z pamięcią. Ale jeśli jest pan ciekaw, mogę to wytłumaczyć. Spodziewałem się, że Jurka zostanie zatwardziałym kryminalistą. Ja zaś zamierzałem zostać detektywem albo śledczym. Gdy więc poszedł do wojska, całkiem poważnie kalkulowałem, ile będę miał lat, gdy wróci, czy będę pracował już w milicji i czy zdołam go wsadzić do

więzienia. Byłem naiwnym głupcem i nie podejrzewałem, że zostanę zdyskwalifikowany z powodu wzroku.

– To znaczy, że zależało panu na tym, by go zapuszkować? – zapytał Siergiej przebiegle.

– Wtedy tak, zależało. W tamtym czasie mocno wierzyłem, że jego miejsce jest za kratkami.

– A dzisiaj już pan tak nie uważa?

– Nie mam żadnego prawa dyskutować na ten temat. Nie jestem sędzią, a tym bardziej Panem Bogiem.

– I nie jest pan ciekaw, jak mu się ułożyło życie?

– Ani trochę.

Zarubin umilkł, zastanawiając się, jak podjąć przerwana rozmowę. Rusłan wyraźnie nie ma nastroju do pogawędki, nie chce mówić o kłótni z Janą, nie obchodzi go też los Simonowa. A może obchodzi, ale starannie ukrywa swoje zainteresowanie? To możliwe, tylko dlaczego?

– Jeśli dobrze pamiętam, samolot do Moskwy jest dopiero o ósmej rano, a następny o ósmej czterdzieści pięć – zaczął delikatnie.

– Nie szkodzi, posiedzę na lotnisku.

– Nie ma pan przyjaciół, u których mógłby przenocować? – Zarubin nie ustępował.

– Musiałbym z nimi rozmawiać, a to mi nie na rękę. Co jeszcze chciał pan wiedzieć?

Na szczęście Rusłan sam wychodzi mu naprzeciw! Mimo że jest wzburzony, rozumie, że Siergiej nie wypytuje go dla własnej przyjemności.

– Czy będąc w Moskwie, nie spotkał pan przypadkiem Simonowa?

– Pan znowu o nim? – Nilski skrzywił się z niezadowoleniem. – Przecież wyraźnie powiedziałem: odkąd poszedł do wojska, nigdzie i nigdy go nie spotkałem.

– Wobec tego jak pan wytłumaczy, że się panem interesuje?

Zarubin palnął na chybił trafił, była to tylko jedna z hipotez. Liczył na to, że przynajmniej w ten sposób wyrwie Rusłana z odrętwienia i apatii, które nagle go ogarnęły.

– Kto? – W głosie Nilskiego znowu zabrzmiało zdziwienie, tym razem znacznie większe.

– Simonow. Albo nie on, ale Piotr Stiepanowicz Dybiejko. Zresztą przypuszczam, że to w gruncie rzeczy to samo.

– Wujek Pietia?! Co pan wygaduje? To jakieś brednie!

– To nie brednie, Rusłanie. Pańską żonę porwano, żeby ją przestraszyć na śmierć. Później podrzucono list i martwe szczury. Gdy się okazało, że to nie wystarczy, wtedy dostał pan zdjęcie nagrobka.

– Co niby nie wystarczy? Nie rozumiem.

– Ktoś chciał zmusić pana do wyjazdu z Moskwy i do powrotu do domu. W tym celu jako główny obiekt wybrano pańską żonę. To słaba kobieta, nie ma tak mocnych nerwów jak pan. Należało wyprowadzić ją z równowagi, sprawić, by wpadła w panikę, przestraszyła się, zapragnęła wrócić i żeby zabrała pana ze sobą. Nie sądzi pan, że plan się powiódł?

– Ale dlaczego? Dlaczego Jurce i wujkowi Pietii miałyby zależeć na moim powrocie do Kemerowa?

– Sądziłem, że pan mi to wyjaśni – odparł Siergiej, nie kryjąc rozczarowania. – A przy okazji, może pan wie, gdzie teraz mieszka wujek Pietia?

– Nie mam pojęcia. – Rusłan wzruszył ramionami. – Wiem, że odszedł na emeryturę i wyjechał z Kamyszowa.

– Aha – potwierdził Zarubin. – Wyjechał, zgadza się. Najpierw do Kemerowa, później do Lipiecka, a później do Moskwy. Jest szefem służby ochrony w potężnym i wpływowym ugrupowaniu przestępczym Walery Lipieckiego.

– Wujek Pietia?! To niemożliwe. Coś się panu poplątało.

– Ależ skąd, nic mi się nie poplątało. Musi pan wiedzieć, że Simonow zadarł z ugrupowaniem, na którego czele stoi niejaki Bogorad, noszący ksywę Bogomolec. O nim, jak sądzę, jest pan nieźle poinformowany.

– Tak, znam go, robiłem materiały o nim i o jego bandzie. Ale jaki to ma związek ze mną? Co łączy mnie, Jurkę i wujka Pietię?

– Sprawa wygląda tak... – Siergiej zrobił pauzę, żeby ułożyć sobie w myślach to, co zamierzał powiedzieć Rusłanowi. – Simonow naraził się Bogomolcowi. Musiał schować się za czyimiś plecami, znaleźć ochronę, bo Bogomolec zamierzał ni mniej, ni więcej, tylko go zabić.

Zwrócił się więc do Dybiejki, który był dla niego, podobnie jak dla pana, wujkiem Pietią. I ten mu pomógł. Bogomolec porusza niebo i ziemię, by znaleźć Simonowa, a Dybiejko robi, co tylko może, żeby temu zapobiec. Pan, Rusłanie, znalazł się jakimś cudem w tej układance. Ja zaś chcę poznać pańskie miejsce w tym pasjansie.

– Nic nie rozumiem – wybąkał Nilski.

– Ja też. Tyle że mnie można to wybaczyć, bo jestem nietutejszy. – Siergiej się uśmiechnął. – Pan jednak powinien wiedzieć albo przynajmniej się domyślać, czemu oni chcą zmusić pana do powrotu do Kemerowa.

Rusłan milczał przez chwilę, później oznajmił stanowczo:

– Wszystko to wymysły i bzdury. W tym, co mi pan powiedział, nie ma ani źdźbła prawdy.

– Możliwe – przyznał Zarubin lekko. – Umówmy się tak: jeśli po pańskim powrocie do Moskwy w ciągu tygodnia nic się nie wydarzy, wycofuję wszystkie swoje słowa i przyznaję, że jestem patentowanym idiotą.

– A co ma się zdarzyć?

– Nie wiem. Coś, co zmusi pana do powrotu do domu. Z jakiegoś powodu jest pan im potrzebny tutaj. I jeśli mam rację, nie pogodzą się z tym, że znowu zjawi się pan w Moskwie. Mogą pana okraść, obrabować, pobić, zaczną grozić przez telefon, zrobią wszystko, byle tylko sprawić, by pański pobyt w stolicy stał się uciążliwy i nie do wytrzymania. Będzie pan musiał podjąć decyzję o powrocie, a oni ze wszystkich sił będą pana do tego zmuszać. Ale niech się pan nie martwi, nie zabiją pana, to oczywiste, że jest im pan potrzebny żywy.

– A jeśli nic takiego się nie wydarzy?

– To będzie znaczyło, że nie miałem racji. Ale jestem zwyczajnym człowiekiem i mam prawo się mylić.

Przyjechali na lotnisko, Nilski oschle podziękował Siergiejowi, pożegnał się i trzasnął drzwiami samochodu.



Niepowodzenie nie zbiło go z tropu. Rusłan nie chce wysilać mózgowicy i zastanawiać się nad tym, co od niego usłyszał, ale jest

jeszcze Jana. Może ona rzuci światło na tę ze wszech miar dziwną sytuację?

Nazajutrz wczesnym rankiem Zarubin zajął miejsce naprzeciwko znajomego domu, który dzień wcześniej tak długo obserwował. Jana pojawiła się parę minut po ósmej, a Siergiej, widząc, jak szybko idzie i jak zwyczajnie jest ubrana, wyciągnął słuszny wniosek, że biegnie do sklepu, by kupić coś na śniadanie. Sklep był dwa domy dalej, więc Zarubin nawet nie musiał wstawać z ławki, którą zdążył już polubić, by zobaczyć, dokąd maszeruje Jana. No cóż, nie będziemy jej na razie niepokoić, dziewczyna się śpieszy, musi nakarmić dzieci i rodziców, więc rozmowa się nie uda. Zaczekamy, aż wyjdzie na spacer z dziewczynkami, to najlepszy czas na pogawędkę, nic jej nie będzie ponaglać.

Po zrobieniu zakupów Jana prędko wróciła do domu. Siergiej uzbroidł się w cierpliwość, pogryzał chipsy, w które przezornie się zaopatrzył, przewidując długie czekanie. Koło jedenastej Jana znowu się pojawiła, pchając przed sobą szeroki wózek, w którym siedziały dwa urocze, pyzate maluchy. Zarubin już miał do niej podejść, ale powstrzymał spontaniczny odruch, tknięty myślą, że mamusie, które wychodzą z dziećmi na spacer, przeważnie nie idą tak szybko, jakby zmierzały w konkretne miejsce. W dodatku zerkając na zegarek... No to zobaczymy, dokąd pani tak śpieszno, Jano Giennadjewna.

Siergiej pozwolił, by Nilska oddaliła się na przyzwoitą odległość, po czym ruszył jej śladem. Już na następnej ulicy, minawszy skrzyżowanie, Jana podeszła do samochodu – srebrzystego opła. Z auta wysiadł mężczyzna, objął i pocałował Janę, ale nie jak przyjaciel, w każdym razie Zarubin dopatrzył się w pocałunku znacznie więcej zainteresowania seksualnego niż platonicznego. Mężczyzna otworzył bagażnik, wziął dzieci na ręce, Jana usiadła z tyłu, po czym mężczyzna podał jej dziewczynki, zręcznie złożył wózek, schował go do bagażnika i zajął miejsce za kierownicą.

Gdy srebrzysty opel mijał Siergieja, ten zdążył zobaczyć uradowaną twarz Jany Nilskiej. A mężczyzna, z którym tak namiętnie się całowała, miał jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat, był postawny, korpulentny i dobrze ubrany. I bardzo przypominał tamtego,

z którym widziano Janę w Moskwie, w restauracji na prospekcie Mira.

Siergiej zapamiętał numer rejestracyjny auta, po czym pognął na łeb na szyję w stronę żiguli, które mu pożyczono na czas delegacji.

## Rozdział 17

Korotkow nie przychodził do Nastii już drugi dzień z rzędu, nocował u Iriny Sawienicz, w ciągu dnia biegał gdzieś w sprawach zawodowych, co jakiś czas odzywał się w słuchawce telefonu, pośpiesznie interesował się nowinami i uchylał się od bezpośrednich odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

Zjawił się w niedzielę późnym popołudniem, bladospiny, z zaczerwienionymi oczami.

– Co ci jest? – Nastia się przestraszyła. – Złapałeś jakieś choróbko? Czy to efekt uciech miłosnych?

Jura wszedł do pokoju, wyciągnął się jak długi na kanapie, ze znużeniem przymknął oczy.

– Jestem, oczywiście, silnym facetem – wybąkał. – Ale nawet moja odporność na alkohol ma swoje granice. Zwłaszcza jeśli bez zakąski, w upale i przy poważnej rozmowie.

Nastia kiwnęła głową ze zrozumieniem. W pracy operacyjnej często trafiają się sytuacje, w których nie sposób obejść się bez alkoholu. Zdarza się, że ktoś nie chce rozmawiać, jeśli się nie wychyli kieliszka.

– Twoje poświęcenie coś dało czy poszło na marne?

– Jak by to powiedzieć... Nic nowego, jedynie potwierdzenie istniejących domysłów. Edik Starszy rzeczywiście poprztykał się z damą serca z powodu przypadkowego chłopaka, którym nie był jednak Timur Indżija. Jeśli więc Edik zlecił mokłą robotę, to nie chodziło o Timura, bo w ogóle go nie zna i nie widział na oczy. To po pierwsze. A po drugie, ugrupowanie Starszego nawet nie próbowało wyciągnąć rączek w stronę fabryki farmaceutycznej należącej do firmy Ganielina. Wszystko było czytelne od samego początku, ludzie Edika omijali fabrykę szerokim łukiem. Z tego wniosek, że nie mogło być

również mowy o jakichkolwiek nieporozumieniach między Edikiem i Ganielinem w kwestii zapłaty haraczu, a co za tym idzie nie było długów i nie musiano szukać sposobów, by je anulować. Wszystkie informacje Szczerbiny od początku do końca były lipne. Powinien, cholera, pisać książki, a nie pracować w MWD.

– To wszystko? Czy masz coś jeszcze w zanadrzu?

Pytanie Nastii nie było retoryczne, wiedziała bowiem, że Korotkow nigdy nie wykląda na stół najważniejszej wiadomości, póki towarzystwo nie nacieszy się omówieniem spraw drugorzędnych. To zaś, co powiedział, było drugorzędne, bo fakt braku konfliktu między Edikiem Starszym a Ganielinem stał się oczywisty już wtedy, gdy pokazał jej ową kartkę, która, jak powiedział, „przyszła z opóźnieniem”. Było tam napisane, że firma Centromedpreparat i wszystkie jej filie oraz firmy córki mają anioła stróża. Innymi słowy, żadne bandyckie ugrupowanie nie może ich tknąć, a jeśli spróbuje, natychmiast otrzyma dobitne wyjaśnienie, że nie ma racji i nie obłowi się tutaj.

– Wszystko chciałabyś wiedzieć – burknął Jura. – A co za to dostanę?

– Mogę ci zrobić coś do jedzenia – zaproponowała Nastia.

– Nie, tylko nie to!

W jego głosie zabrzmiało takie przerażenie, że Nastia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Korotkow, zazwyczaj nienarzekający na brak apetytu, po sutych libacjach zaczynał czuć wstręt do jedzenia, który trwał, póki ostatnie resztki alkoholu nie wyparowały na dobre z organizmu.

– Mogę przygotować aromatyczną kąpiel w wannie albo pod prysznicem, a potem zaserwować kawę do łóżka. Pasuje?

– Pasuje – przytaknął Jura. – Wolę kąpiel w wannie, tylko nie za gorącą i żeby było dużo piany. No to słuchaj. W bandzie Walery Lipieckiego jest pewien niegłupi gość, który pracował kiedyś w wywiadzie. Nie wiem jeszcze, czy to się nam przyda, ale na wszelki wypadek niech będzie.

Pracował w wywiadzie... Jakaś mglista myśl przemknęła Nastii przez głowę, lecz natychmiast znikła, nie dając się pochwycić. Do wanny lała się woda, Nastia szukała w szafie czystego ręcznika



kąpielowego, ścieliła kanapę dla Korotkowa, w zamyśleniu przeglądała flakony z aromatycznymi żelami, wybierając zapach, a jednocześnie wciąż wracała do słowa „wywiad” i próbowała wywabić sprytną myśl z ukrycia i zmusić ją, by się ujawniła. Ona była jednak naprawdę sprytna i wywabić się nie dawała.

– Bywają jednak chwile szczęścia w życiu! – stęknął błogo Jura, układając się w wannie. – Ej, koleżanko, chodź tutaj i zabaw mnie rozmową, bo zaraz zasnę w samotności.

– Nie mogę! – krzyknęła z kuchni Nastia, robiąc sobie kanapkę, którą zamierzała zjeść, póki Korotkow nie widzi, żeby nie drażnić wykończonego alkoholem przyjaciela.

– Dlaczego?

– Jesteś nagi, krępuję się.

– Leżę w pianie, nic nie widać. No dobrze, jak nie chcesz wejść, to weź taboret i postaw koło drzwi, żebym mógł z tobą rozmawiać.

Nastia naląła sobie kawy, postawiła taboret przy drzwiach do łazienki, do jednej ręki wzięła kubek, do drugiej – kanapkę.

– Już jestem! – oznajmiła głośno. – O czym chcesz porozmawiać?

– Nie ma znaczenia, przecież to dla przyjemności, a nie z przymusu.

– Jeśli dla przyjemności, to powiedz mi, co słyhać na froncie pani Woronowej. Powinieneś mieć najświeższe informacje.

– Rzeczywiście! – Jura się zreflektował. – Zupełnie zapomniałem. Wiesz, że Nilski wrócił?

– Wiem, Zarubin zadzwonił do mnie i uprzedził. Rusłan pokłócił się z Janą albo ona z nim. Chciałam powiedzieć Afonii, że należałoby obserwować Nilskiego, ale nasz naczelnik gdzieś się ulotnił, nie mogę go znaleźć. Odkąd pojechał do śledczego w piątek po rozmowie z tobą, więcej nie pojawił się w biurze. Telefon domowy nie odpowiada, a komórka jest poza zasięgiem sieci. Ty też gdzieś latasz, nie ma cię na miejscu i wyłączyłeś komórkę. Jura, trzeba to załatwić jutro z samego rana. Jeśli mamy rację i ludzie Lipieckiego próbują się pozbyć Rusłana z Moskwy, podejmą jakieś kroki. Możliwe, że już za późno, bo wczoraj się dowiedzieli, że Nilski wrócił, i przygotowali jakąś paskudną zagrywkę.

– Czy to znaczy, że on już ponad dobę spaceruje bez nadzoru po Moskwie?

– No a co ja ci mówię? Chyba diabeł go podkusił, żeby przylecieć w sobotę, gdy szefostwo wybyło i nie będzie go aż do poniedziałku! Lato, upał, wszyscy pojechali na lotniska. Możemy tylko liczyć na to, że Lipiecki też ma wolne, podobnie jak inni. Wczoraj rano zadzwoniłam oczywiście do Woronowej i poprosiłam, by mnie skontaktowała z Rusłanem, gdy tylko się zjawi, ale Nilski nie oddzwonił. Zamęczyłam Woronową telefonami, dzwoniłam wczoraj i dzisiaj, a ona mnie zapewniała, że Rusłan ma się dobrze, siedzi w mieszkaniu jej syna i szykuje się do zdjęć w poniedziałek. Trochę mnie to pocieszyło, ale nie za bardzo. Byłoby jednak lepiej, gdyby się zatrzymał u Woronowej, a nie z dala od centrum, w dodatku bez telefonu.

– Ta-ak, to przykre – wycedził Korotkow ze smutkiem. – Skończony dureń ze mnie. Że też w porę się nie zorientowałem, wykończyły mnie moje problemy. A czemu tak dziwnie mówisz? Jakbyś coś jadła.

– Uhm – mruknęła Nastia, odgryzając kęs chleba z gotowaną wieprzowiną. – Piję też kawę.

– Smakuje ci?

– I to jak. Może chcesz?

– Wielkie dzięki, ale nie... Asiu, czy ty czasem nie masz mnie dosyć?

– W jakim sensie? Jako naczelnika?

– Nie, jako lokatora. Głupio się czuję, wiem, że ci przeszkadzam, ale nie mam gdzie się podziać. Jeszcze co najmniej tydzień muszę u ciebie waletować.

– W porządku, mieszkaj sobie. – Nastia się uśmiechnęła, a później pomyślała, że Jura jej nie widzi, więc dodała: – Mówię to z miłym uśmiechem na ustach, jasne?

Wywiad, wywiad... Jaką myśl podsunęło jej to słowo? Chyba została bezpowrotnie stracona, bo do głowy nie przychodzi nic prócz Stirlitza i Müllera.

Korotkow wyszedł wreszcie z łazienki, zawinięty w duże, frotowe prześcieradło, z mokrymi włosami i odświeżoną twarzą. W rękach

trzymał suszarkę.

– Nie mogę suszyć włosów, stojąc, bo nogi się pode mną uginają – wyjaśnił na widok zdziwionego spojrzenia Nastii.

– No to nie susz wcale, włosy masz przecież krótkie, wyschną w ciągu pół godziny.

– Nie, nie mogę tak długo czekać, chcę złożyć głowę na poduszcze. I oglądać telewizję, jak normalny człowiek podczas dni ustawowo wolnych.

Podszedł do kanapy, na której lśniła czysta pościel, i zaczął szukać gniazdka do suszarki.

– Wszystkie gniazdka są zajęte, koleżanko. Mogę coś wyłączyć?

Nastia pisała akurat list do męża przebywającego w dalekim kraju, więc ze strachem chwyciła go za rękę.

– Zwariowałaś?! Niczego nie ruszaj, wszystko jest od komputera.

– A to? – Jura szarpnął za sznur, który najwyraźniej nie należał do nowoczesnego sprzętu technicznego.

– To lampa na biurku, bez niej źle widzę.

– Same problemy z tobą... Masz trójnik?

– Jaki trójnik?

– Coś, do czego można wpiąć trzy urządzenia.

– Gdzieś był, zaraz znajdę.

Ruszyła do przedpokoju szukać trójnika w szafie i nagle uchwyciła myśl, która tak uparcie chowała się w swojej norce. No oczywiście, racja! To było zupełnie niedawno, gdy przechodzący na emeryturę Pączek Gordiejew urządził pożegnalną imprezę na swoim letnisku. Dołączył do nich jego leciwy sąsiad, przedstawiono go jako dawnego pracownika wywiadu. Okazał się zabawnym, rozmownym dziaduniem, który zabawiał towarzystwo różnymi historyjkami z życia szpiegów.

Nachylona nad skrzynką z narzędziami Nastia jakby na jawie słyszała jego głos, wypowiadający poszczególne zdania:

„Tę sztuczkę nazwano »trójnik«...”

„Wykorzystali to, że Europejczycy kiepsko rozróżniają azjatyckie twarze...”

„Wszyscy świadkowie powtarzali, że gość przypominał ni to Japończyka, ni to Chińczyka, ni to Koreańczyka. Namordowaliśmy

się, sporządzając jego portret pamięciowy, a tymczasem było ich trzech...”

W bandzie Walery Lipieckiego jest ktoś obeznany z praktyką wywiadu. Dlaczego nie miałyby się posłużyć taką samą sztuczką w odniesieniu do Simonowa? Simonow ma wprawdzie europejski wygląd, czemu jednak nie znaleźć mniej lub bardziej podobnych osób, tak naprawdę całkiem różnych, ale których słowny opis pozwoli stworzyć względnie jednakowy obraz? Wzrost, budowa ciała i kolor włosów będą takie same we wszystkich opisach, a z twarzą przyjdzie się pomęczyć, w zeznaniach świadków twarze będą się różnić, więc nikomu nie uda się sporządzić prawdziwego portretu pamięciowego. Skomplikowane, ale logiczne i finezyjne.

– Trzymaj. – Podała Korotkowowi trójkąt. – Susz swoją grzywę i przyrzeknij, że nie będziesz się ze mnie śmiać.

– Nie przyrzeknę. Trudno się z ciebie nie śmiać, zawsze coś wywiniesz.

Jura włączył suszarkę i zrobił skupioną minę.

– Wal! – polecił.

Nastia starała się mówić bez emocji i nie wyrażać opinii, wysuwała tylko sugestie i zadawała pytania.

– Gielij Riemis był w Kamyszowie. Może to nieprawda, może powiedział tak swojej sąsiadce, a w rzeczywistości pojechał gdzieś indziej, ale to, że leciał z Moskwy do Kemerowa, a potem z Kemerowa do Moskwy jest pewne, sprawdzałam listy pasażerów na lotnisku. Riemis nie jest Simonowem. Jeśli zastosowano tutaj „trójkąt”, to można przyjąć, że do Kamyszowa pojechali Simonow, Riemis i ktoś trzeci. Ale może uproszczono plan i ograniczono się tylko do dwóch osób, w takim wypadku Riemis pojechał z Simonowem, trzeciej osoby nie było.

– Jakie to zagmatwane. – Korotkow pokręcił głową.

Zdażył już wysuszyć włosy, podczas gdy Nastia dzieliła się z nim swoimi przemyśleniami, i wyłączył suszarkę.

– Zagmatwane – przyznała smętnie. – Ale wiele tłumaczy. Bez przerwy się zastanawiałam, po co te wszystkie komplikacje, no po co, jeśli trzeba tylko pomóc matce! A później pomyślałam, że sytuacja mogła zostać wykorzystana w dwojakim celu: Simonow

pomaga swojej matce, a jednocześnie tworzy warunki do tego, żeby Bogomolec się pomylił, wziął całkiem niewinnego mężczyznę za Simonowa, zabił go i na tym poprzestał. Postawiłam się na miejscu Bogomolca i rozumiałam, że działałby tak jak my. Przystudiowałby listę pasażerów w Kemerowie, sprawdziłby wszystkich, znalazłby mężczyzn w podobnym wieku i przyjrzał się każdemu z osobna: czy to nie Simonow z nową twarzą i nowym nazwiskiem? Później należało tylko zrobić tak, by podejrzenie padło na Riemisa. Został podstawiony Bogomolcowi, rozumiesz?

– I co proponujesz? Pójść tą samą drogą co Bogomolec i sprawdzać wszystkich pasażerów, którzy trzydziestego pierwszego maja wylecieli z Kemerowa? Sama przecież narzekałaś, że nie potrafisz się rozdzielić ani rozdzielić.

– Też coś! – prychnęła Nastia. – Mamy nad nim olbrzymią przewagę. Gdzieś wśród ludzi Bogomolca musi być osobnik, który pojechał do Moskwy, żeby zidentyfikować ewentualnych Simonowów. Niewykluczone, że to nie jedna osoba, może było ich kilka. A w Kemerowie mamy Zarubina, który znajdzie tych ludzi i zada im parę odpowiednich pytań.

≡

Mężczyzna, który tak dużo wiedział o sprawach bandy Bogomolca, kategorycznie odmówił powtórnego spotkania z Zarubinem. Siergiej musiał szukać innych sposobów, by się dowiedzieć tego, co kazał Korotkow.

Pierwszy w kolejce do prześwietlenia był mężczyzna, z którym Siergiej widział Janę Nilską. Na podstawie numeru rejestracyjnego samochodu ustalono, że srebrzysty opel należy do pewnej starszej damy, której, nawet wyteżając wyobraźnię, nie sposób było wziąć za dobrze zbudowanego, korpulentnego mężczyznę lekko po czterdziestce. Zarubin nie chciał pytać Jany. Przystał jej wierzyć. Musiał więc sprawdzać krok po kroku tych, którzy jeździli samochodem z upoważnienia właścicielki.

Sprawa posuwała się wolno, ale Siergiej gryzł się myślą, że nie wiadomo, czy szuka właściwej osoby. Nawet jeśli założyć, że

kochanek Jany Nilskiej jest właśnie tym mężczyzną, z którym spotykała się w Moskwie, czy to upoważnia Zarubina do tego, by go podejrzewać o udział w przestępstwach? Tak, filigranowa Jana zdradza męża, tak, pojechała z nim do Moskwy na zdjęcia, tak, kochanek nie zniósł rozłąki i pognał za nią do stolicy, tak, Jana spotykała się z nim potajemnie. I co z tego? Gdzie tutaj przestępstwo? Dlaczego facet musi koniecznie być członkiem ugrupowania Bogomolca? Nie musi. I najprawdopodobniej nic go nie łączy z Bogomolcem, raczej jest człowiekiem Walery Lipieckiego, bo jeśli wokół Simonowa kręcą się ludzie Bogomolca, to wokół Rusłana i Jany – ludzie Walery. To Lipiecki i Dybiejko chcą czegoś od Nilskiego, a nie Bogomolec, chociaż, oczywiście, Bogomolec zagiął parol na Rusłana, ale to jakoś... jednym słowem, dotyczy przeszłości. A może nie?

Zarubin nie miał jasnych odpowiedzi na te wszystkie pytania, dręczyły go wątpliwości, własna ślepotą nie pozwalała mu podążać w dokładnie obranym kierunku i zmuszała, by działał po omacku.

Można by, jak w dobrym filmie, śledzić Janę, gdy znowu wybierze się na schadzki ze swoim przyjacielem, przyfilować go, zobaczyć, gdzie mieszka, a potem bez trudu ustalić tożsamość. Ale gdyby wszystko było takie proste! Sam Zarubin nie mógł tego zrobić, nigdy w życiu nie dogoni opla starym żiguli, a jeśli ten facet jest jednak w coś zamieszany, to będzie czujny i ostrożny i na pewno dostrzeże samochód, który jeździ za nim po całym mieście. Żeby zrobić wszystko z głową, potrzeba mnóstwa pism z Moskwy, przysłanych pocztą kurierską, a także długich i nudnych uzgodnień między moskiewskimi i tutejszymi naczelnikami. Moskiewscy naczelnicy (jeśli uznają za stosowne) zażądają, żeby tutejsi naczelnicy pomogli przeprowadzić czynności operacyjno-rozpoznawcze w sprawie, nad którą pracują moskwianie, tutejsi naczelnicy zaś kategorycznie się temu sprzeciwią. I dobrze wiadomo dlaczego. Nawet gdyby przydzielili ludzi i sprzęt, nawet gdyby pomogli rozwikłać sprawę, co im z tego przyjdzie? Oficjalnie sprawę wyjaśnią moskwianie, którzy podniosą w ten sposób swój wskaźnik wykrywalności przestępstw. A co dostanie miejscowa milicja? Nic, figę z makiem. Ludzi jest niewiele, więc pomaganie innym oznacza odrywanie swoich od

pracy, uszczuplanie kadry w rejonach. Sprawa wygląda zatem tak, że zwalniamy tempo pracy nad swoimi przestępstwami, dostajemy po głowie za brak skuteczności, a moskwianie spijają śmietankę. Więc nawet jeśli wszystkie dokumenty będą w porządku, oczekiwanie na konkretną pomoc to nieuzasadniony optymizm.

Zarubin miał tylko jedno pisemko – polecenie śledczego. Dlatego za każdy gest pomocy ze strony detektywów z Kemerowa był im bardzo wdzięczny. Jeden z nich, wyjeżdżając na urlop, pożyczył swój samochód – należą mu się wielkie podziękowania, to rzadki fart, który zdarza się raz na dziesięć lat. Zarubin musiałby uganiać się po całym mieście i jeździć do Kamyszowa autobusem albo kolejką podmiejską. Załatwiono mu też spotkanie z kompetentnym człowiekiem – za to też nisko się kłania, szczerze, bez udawania i błazenady. Z całego serca.

Dzisiaj sprzedawanie samochodów stało się niemodne, nikt nie ma ochoty płacić podatków, więc auto przekazuje się nowemu właścicielowi wraz z pełnomocnictwem ogólnym, w tym do prawa sprzedaży. Ostatnim posiadaczem srebrzystego opla był pochmurny właściciel sklepu spożywczego, odznaczający się wyjątkową mrukliwością. Długo milczał, udając, że uważnie studiuje jakieś specyfikacje, które piętrzyły się przed nim na biurku. Wreszcie w odpowiedzi na pytanie, gdzie obecnie znajduje się opel, burknął niechętnie:

- Przyjechał znajomy z Moskwy, to mu pożyczyłem.
- I został pan bez samochodu? – zapytał Zarubin ze współczuciem.
- Jeżdżę autem żony.
- Jak mogę znaleźć pańskiego znajomego?
- Po co?

Właściciel sklepu nawet nie podniósł głowy, zadając pytanie, wciąż gapił się na porozrzucone dokumenty. Zarubin miał słabiutką historyjkę, winę za to ponosiła jego legitymacja milicyjna. Na razie wierzono mu na słowo, ale w każdej chwili mężczyzna mógł go poprosić o pokazanie dokumentów i wtedy Zarubin musiałby odpowiedzieć na całkiem słuszne pytanie: z jakiej racji stołeczny detektyw szuka w Kemerowie mężczyzny, który jeździ samochodem z kemerowskim numerem rejestracyjnym. Żeby więc nie zaliczyć

wpadki, Siergiej udawał cywila pełną gębą i w razie czego mógł pokazać dowód osobisty.

– Kilka dni temu mojego przyjaciela potrącił samochód – zaczął kłamać, co robił na okrągło od dwudziestu czterech godzin. – Szukam świadków. Wszystko wydarzyło się na moich oczach, widziałem przejeżdżającego opla, numer 307, ale liter nie dostrzegłem. Powiedziałem o tym milicjantom z drogówki, a oni na to, że bez liter nie będą szukać, mało to podobnych samochodów, może jest z innego rejonu. Niech ich licho porwie, nikt niczego nie potrzebuje, nikt nie chce nic zrobić! Człowieka potrącono, zostanie inwalidą do końca życia, a teraz mu mówią, że to jego wina, że wyskoczył na jezdnię w niedozwolonym miejscu. Ale ja widziałem, jak było naprawdę! No więc teraz sam szukam świadków.

Właściciel sklepu nie śpieszył się z odpowiedzią, Siergiej czekał zatem cierpliwie, wbijając w niego wzrok pełen udręki i nadziei. Ale rachuby się nie sprawdziły.

– Nie wiem – rzucił w końcu mężczyzna.

– Nie wie pan, gdzie go szukać?

– Nie wiem.

– A gdzie mieszka?

– Przecież powiedziałem: nie wiem.

– Ale przynajmniej jak się nazywa? Może zatrzymał się w jakimś hotelu, to obejdę wszystkie w mieście.

– On nie mieszka w hotelach.

– A gdzie? – zdziwił się Zarubin. – Wynajął prywatną kwaterę?

– Na cholerę mu hotele, skoro jest miejscowy, spędził tu całe życie, pół miasta to jego przyjaciele.

– Znajdę go – zapewnił żarliwie Zarubin. – Padnę trupem, a go znajdę. Jestem gotów na wszystko dla przyjaciela. Niech pan tylko powie, jak on się nazywa, a z całą resztą sobie poradzę.

– Nazywa się Alik. Nazwisko: Sierow.

– Alik, czyli Aleksander?

– No.

– A imię po ojcu?

– Na kiego grzyba mi ono? Alik to Alik. Przez całe życie był dla mnie Alikiem.



Wychodząc ze sklepu, Zarubin uśmiechnął się w duchu na myśl, że pochmurny właściciel na pewno doskonale wie, gdzie szukać Alika Sierowa. Nie oddałby przecież swojego samochodu, gdyby nie wiedział, że w każdej chwili może go znaleźć. Jeszcze dzisiaj wieczorem Sierow się dowie – o tym też Siergiej był przekonany – że jest poszukiwany jako ewentualny świadek wypadku drogowego. Nie widział żadnego wypadku, ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że zostanie poinformowany, a to znaczy, że nie będzie zaskoczony, gdy Zarubin podejdzie do niego na ulicy i zacznie zadawać pytania. Nie zacznie się oburzać, wymachiwać rękami, krzyczeć i żądać pokazania dokumentów. Grzecznie się uśmiechnie i w prostych słowach wyjaśni, że młody człowiek się pomylił, że to musiał być zupełnie inny opel, też z numerem 307, ale z innymi literami.

Siergiej na razie nie wiedział, po co ma wszczynać rozmowę z Alikiem. Niewykluczone, że te skąpe dane pozwolą ustalić w Moskwie tożsamość kochanka Jany Nilskiej. Wtedy kontakt z Sierowem nie będzie potrzebny. Jeśli jednak w Moskwie nie uda się nic zrobić, Zarubin będzie musiał improwizować na miejscu. Pretekst już ma. Siergiej Zarubin należał do ludzi zapobiegliwych, ta cecha nie przekładała się wprawdzie na pieniądze, lecz w pracy była jak znalazł.

Sytuacja z Janą jest jednak niejasna. Wygląda na to, że jakiś czas temu Sierow przeprowadził się z Kemerowa do Moskwy. A Jana wymogła na mężu, że będzie mu towarzyszyć, w nadziei na to, że spotka się z byłym kochankiem. No i się spotkała. Co dalej? Namiętny romans odżył, więc facet popędził za Janą do Kemerowa? Czemu nie? Ale jeśli romans był tak namiętny, że Jana nie zdołała ukryć przed mężem swojej obojętności, to dlaczego histerycznie żądała powrotu do domu? Powinna siedzieć cichutko w Moskwie i spotykać się potajemnie z Sierowem. Dzieci, na szczęście, mają opiekę i każdy jest zadowolony. Dlaczego zatem rwała się do domu?

Nie, cokolwiek by mówić, dusza kobiety to jeszcze większa zagadka niż dusza mężczyzny. Zarubin nigdy nie zdoła zgłębić jej tajników.

Naczelnik służby kryminalnej, pod którego okiem Zarubin prowadził w Kemerowie swoje działania, był facetem dobrodusznym i łagodnym, zawsze gotowym do pomocy, jeśli to nie wymagało przydzielenia ludzi i oderwania ich od podstawowych obowiązków.

– Zupełnie nie wiem, co tutaj można zrobić – powiedział, uśmiechając się przebiegle po wysłuchaniu prośby Zarubina: trzeba się dowiedzieć, kto z ugrupowania Bogomolca był niedawno w Moskwie. – Chociaż jest jeden punkt zaczepienia. Jakies dziesięć dni temu w bandzie Bogomolca wydarzyło się nieszczęście: zabito jego starego druha Szanię, Siergieja Szańkina, który był wielokrotnie karany. Najpierw, rzecz jasna, wzięliśmy na warsztat jego syna, bo on też kręci się w tym ugrupowaniu, nosi ksywę Batyr. Ale synek oznajmił, że nie ma pojęcia, kto stuknął tatusia, ponieważ nie było go wtedy w mieście, w tym czasie pojechał do Moskwy. Pokazał bilet, wszystko czarno na białym, sprawdziliśmy też na lotnisku: rzeczywiście go nie było. Może to twoja szansa, Sierioża?

Pół godziny później Zarubin już rozmawiał ze śledczym, który prowadził sprawę zabójstwa recydywisty Szańkina o ksywie Szania.

– Co mam panu powiedzieć? – Niemłody śledczy wymownie rozłożył ręce. – To zwyczajny chłopak, dość bystry, ale nie błyskotliwy. Odniosłem wrażenie, że nie odpowiada mu rola, jaką przydzielono mu w ugrupowaniu. Uważa, że stać go na więcej, i jest mu przykro, że nikt go nie docenia.

– Co to dokładnie oznacza? – zapytał Zarubin dociekliwie.

– Powiem panu, Siergieju Kuźmiczu, że niejedno widziałem w swoim życiu, to chyba oczywiste z uwagi na mój zaawansowany wiek. Znam się trochę na ludziach, nawet na młodych, chociaż należą do zupełnie innego pokolenia. Pokolenie jest inne, zwyczajnie są inne, zmieniły się też zasady obowiązujące w środowisku przestępczym, ale prawa psychologii pozostały takie same, nikt ich nie anulował.

Zarubin z wielką przyjemnością słuchał tego starego wygi. Doskonale wiedział, że w życiu nie ma rzeczy cenniejszej od przyzwoitości, a w pracy – od doświadczenia. Właśnie od takich oto niemłodych funkcjonariuszy organów ścigania można go nabyć.

A poza tym rzadko miał do czynienia z kimś, kto tak pieczołowicie przestrzegał etykiety.

– Irek Szańkin to wspaniały aktor, elastyczny, z temperamentem. Nie bez powodu powiedziałem przecież, że jest dość bystry. Głupio byłoby zakładać, że w bandzie Bogomolca mógł się zachowywać jak prawdziwy inteligent, zresztą nie był nim, przez całe życie kręcił się koło ojca recydywisty, patrzył na niego z uwielbieniem, próbował naśladować, zaraził się romantyką świata przestępczego. Ale w tym gabinecie nie używał żargonu. Uprzejmy, elokwentny chłopak z dobrymi manierami. Słuchając go, można by pomyśleć, że w ogóle nie zna bandyckiego slangu.

– A może tak właśnie jest? Różne rzeczy się zdarzają – zauważył Zarubin.

– To prawda, to prawda. – Śledczy pokiwał głową na znak zgody. – Zdarzają się, ale nie w przypadku Irka Szańkina. Gdy tylko wyszedł z mojego gabinetu, od razu wyciągnął komórkę i zaczął do kogoś wydzwaniać, ja zaś akurat musiałem zajrzeć do sekretariatu, no więc schodzę po schodach i słyszę jego głos. Muszę panu powiedzieć, że prawie nic nie zrozumiałem z jego wypowiedzi. To jednak inne pokolenie. – Zaśmiał się cicho, popatrując na Zarubina figlarnie. – Ale chłopak ma kompleksy, wstydzi się swojego imienia, to widać na pierwszy rzut oka. I bardzo pragnie dowieść, że coś potrafi, że jest mądry i czegoś wart. Mam na karku niemal czterdzieści lat więcej od niego, a przede mną też próbował się popisywać, nie chciał przyjąć do wiadomości, że z racji wieku nie może być ode mnie mądrzejszy. Widziałem w swoim życiu więcej przestępstw i przestępców, niż on wypalił papierosów. A jaki z tego wniosek, szanowny Siergieju Kuźmiczu?

– Jeśli chcemy wyciągnąć coś od Irka Szańkina, trzeba połechtać jego ambicję, i to tak, żeby zyskał nie w naszych oczach, ale w oczach swoich szefów – gorliwie, jak na egzaminie, odpowiedział Siergiej. – I pod żadnym pozorem nie zwracać uwagi na jego imię, a jeszcze lepiej w ogóle go nie wymieniać.

Śledczy wezwał Szańkina nazajutrz rano pod pretekstem kolejnego przesłuchania w związku z zabójstwem jego ojca. Gdy tylko Irek znalazł się w gabinecie, stary śledczy wstał, z uśmiechem pomachał ręką Zarubinowi i wyszedł.

– Witaj, Batyr – zaczął Zarubin przyjaźnie, robiąc stosowną do sytuacji poważną minę. – Mam dla ciebie propozycję biznesową.

– A pan to niby kto? – zapytał Irek ze zdziwieniem.

– Przyjechałem z Moskwy, a kim jestem, nie ma znaczenia. Obejdziemy się bez nazwisk, zgoda?

– W porządku. – Szańkin wzruszył ramionami. – A o co chodzi?

– Chcę ci zaproponować interes. Odwiedziłeś niedawno Moskwę, tak?

– Owszem. Mówiłem już śledczemu, że nie było mnie w mieście, gdy zabito tatę.

– Wiem. Co się tyczy twojego taty przyjmij wyrazy współczucia. A teraz do rzeczy. Co robiłeś w Moskwie?

– A co panu do tego? – zapytał Irek obcesowo. – Kim pan jest, żebym miał się przed panem spowiadać?

– Nie musisz się spowiadać, bo i tak wiem. Na twoim miejscu zapytałbym, co zyskasz na rozmowie ze mną.

– No to pytam.

– Proponuję ci równoważną wymianę informacji. Posłuchaj uważnie, Batyr. Ile osób kazano ci śledzić w Moskwie? Trzy? Czy dwie? Jedna z nich to Gielij Riemis, taki pobożny facet, wciąż chodził do cerkwi. Zgadza się?

– Założmy, że tak.

– Już lepiej. Znalazłeś wszystkich, których kazano ci namierzyć, i wytypowałeś spośród nich Simonowa. Mam rację?

Twarz Irka mimo woli drgnęła, ale chłopak nie odpowiedział na pytanie.

– Nie bój się, Batyr, możesz ze mną rozmawiać bez obaw. Dobrze wiem, że nic na ciebie nie ma. Cokolwiek mi powiesz, twoje słowa nie obrócają się przeciwko tobie. Postępowałeś jak dobry detektyw, za to nie dostaje się wyroku i nie trafia za kratki. Gdy zabito Riemisa, byłeś tutaj, tego dnia śledczy cię przesłuchiwał, nie masz krwi na

rękach. No więc wytypowałeś Jurija Simonowa i zameldowałeś. Komu? Pełnomocnikowi czy samemu Bogomolcowi?

– Pełnomocnikowi.

– I co on na to? Podzielił twoją opinię?

– Nie – bąknął Irek ledwo słyszalnie.

– Zgadza się. Nie uwierzył ci, nazwał głupcem albo jeszcze dobitniej i wyrobił sobie zdanie na podstawie tego, co mu powiedziałaś. Tak było?

– No.

– Pełnomocnik się pomylił, Batyr. To ty miałaś rację. Widziałeś wszystko na własne oczy, przeanalizowałeś zebrane informacje, przestudiowałeś fakty i wyciągnąłeś właściwe wnioski. A Pełnomocnik ocenił sytuację z własnego punktu widzenia. I się pomylił.

Irek poderwał głowę, oczy mu błysnęły.

– Skąd pan wie?

– Wiem. Gdy Riemisa zabito, milicja wzięła pod lupę jego przeszłość. Facet jest czysty jak łąza. Prześladowano każdy jego krok, zebrano wszystkie zdjęcia. Gielij Riemis zawsze był Riemisem, nie zmieniał ani tożsamości, ani wyglądu. I nigdy nie mieszkał w Kemerowie. Simonow to któryś z pozostałej dwójki. Wiesz który?

– Oczywiście. Mówiłem Pełnomocnikowi, że to Gusarczenko, ale mi nie uwierzył.

– Na pewno Gusarczenko, a nie tamten, trzeci?

– Żaden trzeci nie istnieje! Tłumaczyłem Pełnomocnikowi, że Gusarczenko ma jeszcze jakie dokumenty na inne nazwisko i zapasową chatę, ale on patrzy na mnie z góry, myśli, że jest najmądrzejszy...

W głosie Irka dała się słyszeć niemal dziecięca pretensja.

– Słusznie, Batyr – przytaknął Zarubin z aprobatą. – Mówisz prawdę. Masz głowę nie od parady, a Pełnomocnik się zbłądził. Niech sobie pokrzyczy ze złości, gdy do niego przyjdiesz i powiesz, że się pomylił, że Riemis został podstawiony, a on dał się nabrać jak ciężki frajer. Zapyta cię, rzecz jasna, skąd wiesz, a ty mu odpowiesz, że masz w Moskwie swoje źródła, takie, jakich on nigdy nie miał. Jeśli chcesz rady, mogę ci jej udzielić.

Irek kiwnął głową w milczeniu, nie odrywając wzroku od Siergieja.

– Nie idź z tym do Pełnomocnika. Twój status nie pozwala ci zjawiać się u niego z własnej inicjatywy. Mam rację?

W odpowiedzi – znowu milczące kiwnięcie.

– Powiedz o wszystkim chłopakom. Ale uważaj na słowa, nie wyrażaj się źle o Pełnomocniku. Przedstaw tylko fakty, jesteś rozsądnym facetem, sam będziesz wiedział, co i jak. No więc przedstaw fakty i udawaj, że się martwisz: że niby fatalnie się stało, początkowo wszystko szło, jak należy, ale ostatnia decyzja okazała się błędna. I dalej w tym tonie. Kumple zaczną cię szanować, zobaczysz. Później pogłoski dotrą do Pełnomocnika i zostaniesz wezwany. Wtedy bez przeszkód odegrasz się na nim za doznane upokorzenia. A teraz mi podziękuj.

– Dziękuję – powiedział Irek posłusznie.

– Dobre sobie! Jak to mówią, za dziękuję nic się nie kupuje. Dostałeś ode mnie cenne informacje, a co mi dałeś w zamian? Na początku cię przecież uprzedziłem, że chcę ci zaproponować interes. Ty mnie, ja tobie, rozumiesz? „Ja tobie” już było, a co z „ty mnie”?

– Czego chce się pan dowiedzieć?

– Potrzebuję danych na temat Simonowa. Sam się nim zajmę. Imię, nazwisko, adres, miejsce pracy, słowem, wszystko, co zdołałeś wygrzebać. I mogę ci obiecać, że materiał pojawi się w ogólnokrajowych gazetach, więc twój Pełnomocnik przekona się, że miałaś rację. W dodatku po takim materiale Bogomolec da mu kopniaka w tyłek. I niewykluczone, że zaproponuje ci jego miejsce.

Irek jeszcze przez chwilę się opierał, ale było widać, że pęka z dumy: nareszcie ma okazję, żeby odpłacić Pełnomocnikowi pięknym za nadobne. W końcu podyktował Zarubinowi wszystko, co wiedział o kelnerze Eduardzie Gusarczence i o menedżerze agencji nieruchomości Wiktorze Słucewiczu. Batyr był przekonany, że to ten sam człowiek, a Zarubin nie wyprowadzał go z błędu. Doskonale znał jednak karanego wcześniej aferzystę Edika Gusarczenkę i wiedział, że to na pewno nie Jurka Simonow. Ale Wiktor Słucewicz może nim być. I to bez problemu.

Nastia Kamińska już od dziesięciu minut tępo wpatrywała się w pismo, które otrzymała w odpowiedzi na zapytanie o Aleksandra Sierowa. Sierow Aleksander Aleksiejewicz, urodzony w 1958 roku w Prokopjewsku w obwodzie kemerowskim, zamieszkały w Moskwie od 1997 roku, obecnie jest wiceprezesem firmy ochroniarskiej Nora, założonej przez zorganizowane ugrupowanie przestępcze Walery Lipieckiego. Kiedy Jana Nilska go poznała? Dawno, jeszcze przed małżeństwem z Rusłanem? Czy później, podczas jednego z pobytów Sierowa w Kemerowie? A może już teraz, w Moskwie? Gdyby zrozumieć rolę Jany w całej tej historii, można by podjąć decyzję, czy porozmawiać z nią o tym. Zarubin czeka w Kemerowie na sygnał, a Nastia wciąż nie potrafi się zdecydować.

Powinna oderwać myśli, zająć się czymś innym, a potem spojrzeć na problem świeżym okiem. Dla urozmaicenia może pogrzebać w zabójstwach na zlecenie z ubiegłego roku pod kątem ujawnienia działalności Simonowa. Jeżeli naprawdę poddał się operacji plastycznej, potrzebne były duże pieniądze, które musiał zarobić. Albo odpracować. Jedyne, co Simonow potrafi, to grać w kasynie i majstrować bomby. Spójrzmy więc, co tam mamy na temat eksplozji... Trzeba podziękować Korotkowowi, bo się uwinął i zdobył w ministerstwie ubiegłoroczne dane z całego kraju.

Podczas eksplozji samochodu zginął wraz z ochroniarzem lider ugrupowania przestępczego w Rostowie nad Donem... Porównujemy daty i widzimy, że to przykre zdarzenie nastąpiło dwa tygodnie przed tym, jak Bogomołow stwierdził manko w kasie. Innych kandydatów, nadających się na pierwszą ofiarę Simonowa, na razie nie widać, a więc stawiamy plus.

Idziemy dalej. O, ta eksplozja chyba pasuje... Nie, termin się nie zgadza. Jest dokładna data wybuchu w kopalni, podczas którego rzekomo zginął Simonow. Później potrzebował co najmniej kilku dni, żeby zniknąć z Kuzbasu i osiąść tam, gdzie dobry wujek Pietia Dybiejko przygotował mu melinę. Nawiasem mówiąc, wybuch w kopalni też trzeba zaliczyć na konto Simonowa, teraz to już oczywiste, że nie był to nieszczęśliwy wypadek.



To zabójstwo zostało wyjaśnione... to również... Ale temu warto się przyjrzeć... Chociaż nie, nie pasuje, popełniono je w Kemerowie, a tam Simonow nie odważyłby się pokazać przed zmianą twarzy. Trudno, idziemy dalej.

Jak długo musiał pracować, żeby zarobić na operację? A może najpierw zmieniono mu wizerunek i dokumenty, tytułem zaliczki, by tak rzec, a później wysłano do pracy? W tej sytuacji trzeba by przeanalizować eksplozje, do których doszło w ciągu ostatniego pół roku, a nie w poprzedzającym okresie.

Nastia wolno przesuwiała wzrokiem po wykazie, zaglądała do atlasu geograficznego i porównywała daty, nie zwracając uwagi na upływający czas. Opamiętała się dopiero wtedy, gdy stojący na biurku telefon zaterkotał przeraźliwie.

– Anastazjo Pawłowna, tu Nilski. Możemy się spotkać?

No proszę, pomyślała, klient wreszcie dojrzał do rozmowy. Nie zareagował na przekazaną przez Woronową prośbę i nie oddzwonił, ale Nastia się nie przejęła, bo Afonia, pragnąc głośnego wyjaśnienia sprawy i równie głośnych wyrazów uznania, bez mrugnięcia okiem podpisał wszystkie postanowienia i rozwiązał kwestię obserwacji zewnętrznej. Teraz można się było nie martwić o Rusłana, pilnowano go, więc gdyby ktoś znowu spróbował wyrzucić na nim presję i zmusić do wyjazdu z Moskwy, od razu by to zauważono.

Pogoda sprzyjała spacerom, dlatego Nastia umówiła się z Nilskim na bulwarze, niedaleko budynku GUWD-u[16]. W ulicznej kafejce kupiła szklankę soku i hot doga i usiadła na ławce. Boże, ile razy w ciągu ostatnich piętnastu lat siedziała tutaj, na tej ławce! Czekwała albo na Czistiakowa, albo na kogoś, z kim musiała się spotkać. Siedziała też sama, pogrążona w myślach, gdy nie chciało jej się jechać do domu i nie miała już siły, by tkwić w pracy. Gdyby jeszcze ta wyczerpująca praca nie była w dziewięćdziesięciu procentach bezużyteczna... Weźmy choćby sprawę Timura Indżiji: ile hipotez przygotowano, ilu ludzi przesłuchano, ile schematów sporządzono, ile zapytań złożono – i wszystko na próżno. Zgoda, może nie wszystko, ale prawie wszystko. Najbardziej pracochłonna hipoteza, związana z publikacjami i powieścią Nilskiego, kosztowała mnóstwo wysiłku i czasu, a ostatecznie okazała się naciągana. Hipoteza



mówiąca o zabójstwie Timura z pobudek osobistych – również, a przecież tak wytrwale ją sprawdzano, zatrzymano nawet dwóch podejrzanych. O hipotezie dotyczącej kłopotów finansowych Ganielina nawet nie warto wspominać, a przecież wymagała sił i czasu. A hipoteza o Ganielinie i Janie? Ona też zabrała czas, nie przyniosła jednak żadnego pożytku.

– Dobry wieczór, Anastazjo Pawłowna.

Nastia drgnęła i uśmiechnęła się ze skruchą. Nawet nie zauważyła, jak podszedł Rusłan.

Już chciała zapytać, co się stało i dlaczego poprosił o spotkanie, ale mężczyzna nie dopuścił jej do głosu.

– Pani kolega miał rację. – Przystąpił do rzeczy, gdy tylko usiadł obok niej.

– Który?

– Siergiej... przepraszam, nie pamiętam nazwiska.

– Zarubin – podsunęła Nastia.

– Tak, rzeczywiście. Uprzedzał mnie, że w Moskwie wszystko może się zacząć od początku... A ja mu nie uwierzyłem.

– Coś się wydarzyło? – zapytała Nastia z niepokojem, wyęzając uwagę.

– Nie wiem, może to nie ma związku... Ale było mi przykro. Gdyby to się wydarzyło jakieś dwa lata temu, od razu pognałbym na lotnisko i poleciał do domu.

– Co się stało?

– Ktoś do mnie zadzwonił...

– Chwileczkę – przerwała mu Nastia. – Jak to zadzwonił? Przecież, o ile wiem, nie ma pan telefonu.

– Zadzwonił do Natalii Aleksandrowny, gdy u niej byłem. Wczoraj wieczorem. Poprosił mnie do telefonu.

– I?

– Powiedział, że Jana ma kochankę. W dodatku od dawna. Poznała go jeszcze przed naszym ślubem. I rzekomo specjalnie sprowokowała kłótnię, żebym pojechał do Moskwy.

– Współczuję panu. To rzeczywiście przykre. Chce pan wrócić do domu i wszystko wyjaśnić?

– Właśnie o to chodzi, Anastazjo Pawłowna... Może pani sobie wyobrazić, jaką wesołą noc spędziłem. Nigdzie nie pojedę, rzecz jasna, niech Jana postępuje tak, jak uważa za stosowne. Ale przyszło mi coś do głowy... Pani kolega nie mylił się, sugerując, że tylko wujek Pietia mógł wpaść na ten pomysł. Mam na myśli Dybiejkę. Zna mnie od dziecka, nie widywaliśmy się jednak w ostatnich latach. Wszystko to mógł wymyślić tylko ktoś, kto dobrze wie, jaki byłem, ale nie ma zielonego pojęcia, kim się stałem. Rozumie pani?

– Sam schemat owszem, rozumiem. Brakuje mi tylko konkretów – odparła łagodnie Nastia, której to, co powiedział Rusłan, wydało się raczej mgliste.

– Zawsze byłem ciekaw, co się kryje za tym czy innym faktem i czynem. Gdy byłem mały, obserwowałem ludzi, zapisywałem, kto kiedy, dokąd i z kim poszedł, kto skąd wyszedł, jak był ubrany, co niósł w rękach. Kto się z kim spotyka albo na odwrót: nie spotyka. Wszystkie te pojedyncze fakty czasami układały się w spójny obraz, nagle wiedziałem, dlaczego ludzie postępują tak, a nie inaczej... Nie posiadałem się z zachwytem, gdy po godzinach przesiadywania nad notatkami raptem odkrywałem, że wujek Wasia zdradza swoją żonę z ciocią Maszą, ona zaś kradnie żywność w pracy, nie zabiera jej jednak do domu, tylko zanoszi cioci Zinie, która spekuluje nią w sąsiednim mieście. Nikomu nie wyrządzałem krzywdy, Anastazjo Pawłowna, na nikogo nie donosiłem i nigdy nikogo nie szantażowałem, po prostu cieszyłem się, że potrafię znaleźć wyjaśnienia poszczególnych faktów. Zawsze byłem ciekaw: co się za tym kryje? Jak było naprawdę? Osoba, która podrzuciła nam najpierw kartkę, potem szczury, a na końcu zdjęcia nagrobka, liczyła właśnie na tę moją cechę. Nie bez powodu powiedziałem pani, że jeszcze dwa lata temu na pewno popędziłbym do Kemerowa, by się dowiedzieć, czyj to grób, kim jest ten człowiek, co go ze mną łączy, jaki ma związek z cytatem z Marka Twaina i obrazem szczurów z odciętymi głowami. Nie dałbym za wygraną, póki nie dowiedziałbym się, co to wszystko znaczy. I pognałbym się dowiedzieć, czy moja żona rzeczywiście mnie zdradza. Wujek Pietia wszystko dokładnie przewidział.

- No to gdzie popełnił błąd? Dlaczego nie pojechał pan odkryć prawdy?

- Widzi pani... To długa i smutna historia, nie chciałbym jej opowiadać. Ważny jest skutek, który przyniosła. Zrozumiałem, że nie mam prawa składać obrazów z osobnych faktów, bo nigdy nie poznam ich wszystkich, a z niepełnego zbioru może wyłonić się nieprawdziwy obraz. Ogłoszę swoje wnioski i ucierpi niewinna osoba. Żeby nie być gołosłownym... Kiedyś zbierałem materiał o pewnym mężczyźnie; gdy wreszcie odniosłem wrażenie, że wszystkie elementy układanki ułożyły się w całość, opublikowałem go. Zaczęła się nagonka na tego mężczyznę, on zaś dwa dni później dostał zawału i umarł. W dniu jego śmierci dowiedziałem się, że okropnie się pomyliłem. To był porządny i zacny człowiek, a ja go oczerniłem i tym samym odebrałem mu życie. Po tym zdarzeniu porzuciłem dziennikarstwo. Tworzenie obrazów przestało mnie interesować. Nie chcę już i boję się tego. Boję się, że popełnię kolejny błąd, którego konsekwencje będą równie tragiczne. Ale wujek Pietia nie wiedział o tym. Pamiętał mnie dawnego: ciekawskiego i aktywnego.

- Rozumiem - powiedziała Nastia cicho. - Ale przecież nie po to chciał się pan ze mną spotkać, prawda? Ma pan coś jeszcze?

- Owszem. Gdy tylko zrozumiałem, że pani kolega miał rację i chodziło właśnie o wujka Pietię, zacząłem się zastanawiać, jak to się może łączyć z Jurką Simonowem. I przypomniałem sobie... Moją pasją była kryminalistyka, wujek Pietia przywoził mi podręczniki, wyjaśniał to, czego nie rozumiałem, przy okazji sam coś pokazywał. Gdy sprawa oparła się o daktyloskopię, kazał mi przyjść do siebie na komisariat. Pokazał mi, jak się zdejmują odciski linii papilarnych i jak się wypełnia formularze. Później poprosił dyżurnego, by go powiadomił, gdy tylko ktoś zostanie zatrzymany i trafi na komisariat, a w międzyczasie zrobił nam obu karty daktyloskopijne, żebym ćwiczył ich wypełnianie. Zdjął nawet odciski palców jakiemś koledze, żebym miał więcej materiału do ćwiczeń.

- A potem przyprowadzono zatrzymanego Simonowa - rzuciła Nastia.

– Jak się pani dowiedziała? Kto pani powiedział? – W głosie Rusłana pojawiły się nutki niedowierzania.

– Nikt, sama się domyśliłam. Więc przyprowadzono Simonowa, tak?

– Owszem. Po raz kolejny przyłapano go na skraju lasu, gdy montował urządzenie wybuchowe. On też miał swojego konika. Moim były cudze historie, a jego materiały wybuchowe, od dziecka go do nich ciągnęło.

– I Dybiejko sporządził jego kartę daktyloskopijną?

– Tak. Jego i trzech innych chłopaków, którzy byli razem z nim.

– Gdzie teraz jest ta karta?

– W archiwum. Dawno wyrzuciłem swoje dziecięce notatki, ale nie potrafiłem pozbyć się kart. Chyba byłem sentymentalnym kretynem... Tak czy inaczej, zachowałem je, teraz są w moim archiwum dziennikarskim. O tym, że taka karta istnieje, wiedzieli wujek Pietia i Simonow. No i ja, ma się rozumieć. Pani kolega powiedział, że Simonow poddał się operacji plastycznej, więc pomyślałem, że karta stanowi dla niego realne zagrożenie. Na jej podstawie można dokładnie stwierdzić, że jakkolwiek teraz się nazywa, przedtem był Jurką Simonowem. To wszystko przez nią, tak?

– Podejrzewam, że przez nią. Wie pan, że pańską matkę okradziono?

– Jak to okradziono? Mama nic mi nie mówiła! Skąd pani wie?

– Wie o tym każdy mieszkaniec pańskiego rodzinnego miasta. A pan dawno tam nie był. Pańska matka nie chciała pana niepokoić, jest pan przecież w Moskwie, zajęty ważną i ciekawą sprawą... No więc złodzieje włamali się do jej domu, zabrali jakieś drobiazgi, wywracając przy tym wszystko do góry nogami. Śmiem twierdzić, że szukali pańskiego archiwum. Ale jego tam nie było, prawda? Bo gdyby je znaleźli, nic by się potem nie wydarzyło.

– Zgadza się. – Rusłan kiwnął głową. – Archiwum znajduje się w innym miejscu.

– Usiłowano zaintrygować pana dziwnymi zdarzeniami, żeby pojechał pan do Kemerowa i zajrzał do swojego archiwum.

Spodziewano się, że właśnie tam zacznie pan szukać wzmianki o Nikołaju Bieszeriewnych i o mężczyźnie, który lubi Marka Twaina.

– Tak, chyba tak bym postąpił. A co potem?

– Nic. Ktoś deptałby panu po piętach, dowiedziałby się, gdzie przechowuje pan archiwum, i na drugi dzień ukradziono by je, żeby zobaczyć, czy jest w nim karta daktyloskopijna Simonowa. Gdyby jej nie było, to w porządku. Ale gdyby była wyjęto by ją i zniszczono. I na tym koniec.

– A Jana? Dlaczego ją porwano?

– Żeby nastraszyć. Pana należało zaintrygować, a ją nastraszyć, tylko takie połączenie gwarantowało efekt: pański wyjazd. Musi pan przyznać, że plan był doskonały, bo w końcu Jana zmusiła pana do wyjazdu. Nie uwzględniono jednak zmian w pańskim charakterze, wrócił pan niemal od razu, w dodatku kłótnia z żoną dołała oliwy do ognia. Dlatego przestępcy znowu usiłują przekonać pana do powrotu. Gdy tylko zjawi się pan w Kemerowie, natychmiast wydarzy się coś, co skłoni pana do sięgnięcia po archiwum.

– Nie pojedę – powiedział Rusłan posepnie. – Nie zamierzam dać się prowadzić na pasku. Nie jestem marionetką i nikomu nie pozwolę sobą kierować.

– Niech się pan nie unosi honorem. – Nastia łagodnie dotknęła rękawa jego lekkiej kurtki. – I nie podejmuje pochopnych decyzji. Proszę dać nam czas na zastanowienie i przedyskutowanie wszystkiego.

Nastia długo śledziła wzrokiem niewysoką, przygarbioną sylwetkę Rusłana, później wyjęła z torby telefon i wybrała numer Korotkowa.

[16] GUWD (Gławnoje uprawlenije wnutriennich dieł) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych.

## Rozdział 18

Z Moskwy Zarubin otrzymał kilka nazwisk i adresów, które podał Rusłan: koleżanki jego żony Jany. Zarubin musiał odszukać tylko dwie: żołą i patentowaną idiotkę. Zgodnie z jego zamierzeniem żołą – najlepiej taka, z którą Jana się pokłóciła – mogła mu opowiedzieć o kochanku Nilskiej, jeśli oczywiście nie pojawił się dopiero ostatnio. Z czystej złośliwości wyłożyłaby kawę na ławę. A idiotka – najlepiej taka, z którą Jana wciąż się spotyka – poinformowałaby o bieżącej sytuacji. Ale jak w krótkim czasie znaleźć dwie tak wyraziste postaci wśród kilku młodych kobiet, których do dzisiaj Siergiej nigdy nie widział na oczy i nie ma z nimi żadnego kontaktu?

Szukanie żoły było łatwiejsze, więc od tego zaczął. Metodycznie obszedł wszystkie wskazane adresy, przeprowadził subtelny i wyważony sondaż wśród starszych pań i wyrostków mieszkających po sąsiedzku, wybrał odpowiednie młode kobiety i przystąpił do ataku na ich bliskich, w dodatku w chwili, gdy samych koleżanek Jany nie było w domu. Posługiwał się historyjką w duchu *Markizy Angeliki*: w Moskwie podczas zdjęć do filmu poznał żonę pisarza Rusłana Nilskiego i zakochał się w niej bez pamięci, teraz Jana wyjechała z mężem, a on, porzucony i nieszczęśliwy kochanek, ruszył w ślad za nią, ale nie wie, jak się do niej zbliżyć, żeby nie spotkały jej przykrości ze strony zazdrosnego męża. Może pani córka mogłaby pomóc w odnowieniu zerwanego związku?

Odpowiedzi były bardzo różne: od „Oczywiście, oczywiście, proszę wpaść wieczorem koło ósmej, córka panu pomoże i wszystko załatwi” do „Jak panu nie wstyd niszczyć rodzinę, moja córka (żona, siostra, wnuczka) nie przyłoży ręki do tej brzydkiej sprawy”. Ale Siergiej potrzebował tylko jednej odpowiedzi, którą w końcu usłyszał:

– Wątpię, żeby Lena panu pomogła. Pokłóciły się z Janą jeszcze zimą i dotąd się nie pogodziły.

– Co pani mówi? – Zarubin udał, że jest poruszony. – A nie wie pani, dlaczego się pokłóciły?

– Wiem... Jana była zazdrosna o Rusłana. Na jakiejś prywatce odniosła wrażenie, że Lena robi słodkie oczy do jej męża, że wciąż go zaprasza do tańca. Bzdura, prawda?

– Rzeczywiście bzdura – przyznał Siergiej.

To akurat to, czego mu trzeba. Dziewczyna odbijająca męża przyjaciółce, nawet na żarty, to oczywista zołza. Zarubin cierpliwie czekał, aż wspomniana Lena zjawi się koło swojego domu, i zabrał się do pracy.

– Lenoczko! – Przywołał na twarz jeden ze swoich najbardziej ujmujących uśmiechów. – Poświęci mi pani trochę czasu?

Atrakcyjna blondynka w ostentacyjnie krótkiej spódniczce, odsłaniającej długie, zgrabne nogi, spojrzała na niego pogardliwie, widocznie wzięła go za wielbiciela, o którym zdążyła zapomnieć.

– Czy my się znamy? – zapytała wyniośle.

– Jeszcze nie, ale zaraz zawrzemy znajomość. Nazywam się Siergiej, jestem z Moskwy, pracuję w wydziale kryminalnym. A pani to Jelena Tichomirowa. No i się poznaliśmy.

Wzmianka o wydziale kryminalnym działała cuda, na ślicznej buzi dziewczyny od razu pojawił się wyraz zainteresowania.

– A gdzie będziemy rozmawiać? Tylko nie u mnie w domu – dodała pośpiesznie.

Naturalnie, odparł Siergiej w myślach. Nawet nie wybierałem się do ciebie, musiałbym się tłumaczyć przed twoją mamą.

– Możemy się przespacerować, pogoda jest ładna.

Lena zrobiła rozczarowaną minę, widocznie naczytała się amerykańskich kryminałów i liczyła na to, że moskiewski detektyw zaprosi ją do kawiarni na filiżankę kawy albo w najgorszym razie do baru.

– Nie chcę spacerować, jestem zmęczona – oznajmiła kapryśnie.

– Dobrze, możemy posiedzieć na ławce, jeśli pani woli. Nasza rozmowa będzie poufna, więc nie potrzebujemy ciekawskich uszu.

To wyjaśnienie przekonało Lenę. Gdy tylko usiedli na ławce, od razu niecierpliwie zapytała:

– A co się stało?

– Jana Nilska ma duże kłopoty. Wie pani, że pojechała do Moskwy?

– Oczywiście. Ale już wróciła, prawda? Dziewczyny mi mówiły, że przyjechała w ubiegłym tygodniu. A jakie ma kłopoty?

W jej głosie i spojrzeniu, a także w ruchu głowy było tyle niezdrowej ciekawości, tyle złośliwej satysfakcji, że Siergiej pochwalił się w duchu. Nie pomylił się w wyborze rozmówczynie, ta dziewczyna powie wszystko, co wie, a nawet to, czego nie wie. Byle tylko dopiec Janie.

– Nie mogę zdradzić wszystkiego, to tajemnica zawodowa. Ale to i owo mogę powiedzieć. Jana wróciła do domu razem z Rusłanem, następnego dnia poważnie się pokłócili i Rusłan znowu poleciał do Moskwy. A na dniach ktoś do niego zadzwonił i poinformował, że Jana ma kochankę w Kemerowie. To dobrze zbudowany, korpulentny mężczyzna lekko po czterdziestce, z którym spędza mnóstwo czasu. Dostałem zadanie, żeby się dowiedzieć, czy to prawda. Chyba pani rozumie, Lenoczko, że jeśli zapytam Janę, ona mi odpowie, że to nieprawda. A ja, żeby wyjaśnić przestępstwo, muszę koniecznie wiedzieć, jak jest naprawdę. Muszę wiedzieć, czy tamci ludzie, którzy dzwoniłi do Rusłana, powiedzieli mu prawdę, czy skłamaczli w jakimś swoim zbrodniczym celu.

– Dobrze zbudowany, lekko po czterdziestce? – powtórzyła Jana. – To Alik Sierow, Janka kręciła z nim, jeszcze zanim poznała Rusłana. Ale myślała, że sprawa jest skończona. Alik przeprowadził się do Moskwy, a Janka wyszła za swojego pismaka.

– Może spotkali się w Moskwie i znowu nawiązali romans? – zasugerował Siergiej. – Jak pani sądzi, czy Janka mogła się na to zgodzić?

– Kto, Janka? No pewnie! Zawsze czuła miętę do Alika, wyszła za Rusłana tylko dlatego, że Alik ją zostawił. W ostatnim czasie rzadko się widywałyśmy. – Lena dyplomatycznie przemilczała fakt, że już od pół roku w ogóle nie spotykała się z Janą. – Ale Janka zawsze pamiętała o Aliku, porównywała z nim wszystkich facetów i wzdychała. Nie rozumiem, co w nim widziała. Chyba tylko



pieniądze. No bo poza tym co w nim szczególnego? Jest stary i nienowoczesny. Jego jedyna zaleta jest taka, że był pierwszym mężczyzną Janki, przeleciał ją, gdy miała siedemnaście lat, a on trzydzieści.

– Więc może to była miłość?

– Jaka tam miłość... – Lena znacząco machnęła ręką. – Po prostu napaliła się na pierwszego faceta i nie potrafiła wyrzucić go z głowy. Słyszał pan takie powiedzenie: „Wyrzuciłam go z głowy jak niepotrzebną rzecz z szafy”? No więc Janka pozwoliła, żeby facet zadomowił się w jej szafie. Widocznie zaczepił się o gwóźdź.

Zarubin nie powstrzymał uśmiechu. Obraz był cyniczny, lecz bardzo wymowny.

– A więc sądzi pani, że gdyby Jana spotkała przypadkiem w Moskwie Alika Sierowa, to zapomniałaby o wszystkim i rzuciłaby mu się na szyję?

– Oczywiście. Na sto procent. A nawet na dwieście. Znam Jankę od podszewki, przyjaźniłyśmy się od trzeciej klasy.

– No cóż, dziękuję pani, Lenoczko. To dla nas bardzo cenna informacja. Jak mógłbym się teraz dowiedzieć, czy oni rzeczywiście spotkali się w Moskwie i czy to nadal trwa? Pomoże pani? Zależy mi na tym – Zarubin zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu – by Jana nie dowiedziała się, że się tym interesuję. Niechący może powiadomić przestępców, a wtedy cała nasza operacja na nic.

– To znaczy, że Janka w coś wdepnęła? – Oczy Leny błysnęły jeszcze bardziej.

– Nie, nie zrobiła nic złego. Przestępcy, których szukamy, znaleźli się przypadkiem w gronie jej znajomych. A Jana, moim zdaniem, jest kiepską aktorką, wcale nie potrafi udawać. Poza tym to gaduła, nie można jej, w odróżnieniu od pani, powierzyć tajemnicy zawodowej, dlatego moi przełożeni jak najsurowiej zabronili mi się z nią spotykać, no i w ogóle... Rozumie pani?

– Jak mogę panu pomóc? Bardzo bym chciała, ale nie wiem jak.

– Proszę wymienić przyjaciółkę, przed którą Jana nie ma sekretów. Domyślam się, że pani jest bardzo zaabsorbowana swoją pracą i życiem osobistym, więc brak pani czasu na to, żeby regularnie spotykać się z Janą i omawiać szczegóły jej perypetii życiowych. Ale

wśród jej koleżanek na pewno znajdzie się ktoś, kto nie jest tak zajęty jak pani, z kim Jana stale dzieli się swoimi małymi i dużymi sekretami. Powinna to być jednak dziewczyna rozsądna, nie głupsza od pani, i potrafiąca trzymać język za zębami. Jest taka?

– Muszę się zastanowić – mruknęła Lena.

Zarubin wiedział, że postawił przed nią bardzo trudne zadanie. Jak niby ma przyznać, że ktoś jest nie głupszy od niej?

– Chyba tylko Swietka – bąknęła w końcu. – Mieszka w tym samym domu co Janka, piętro niżej.

– Przyjaźnicie się?

– No... można tak powiedzieć.

– Może pani do niej zadzwonić i zaproponować spotkanie? Proszę wymyślić coś prostego, niewzbudzającego podejrzeń, a gdy Swietłana przyjdzie, wtedy nas pani ze sobą pozna, dobrze? Najważniejsze, żeby Jana nie dowiedziała się o tym spotkaniu. Nie mogę się zbliżyć do jej domu, Jana zna mnie z widzenia.

Lena obiecała, że zrobi, co trzeba, i ruszyła do domu, by zadzwonić. Zarubin został na skwerze, czekając na wyniki, ale uprzedził dziewczynę, że był u niej w domu i wyprowadził w pole jej czujną matkę. Mamom nie wolno przecież ufać, toteż nie wyznał prawdziwego celu wizyty oraz tego, po co mu była potrzebna Lena. Dziewczyna kiwnęła głową ze zrozumieniem i skryła się w domu.

Jakieś dwadzieścia minut później pojawiła się znowu, ubrana mniej swobodnie, a zarazem bardziej elegancko: w niebieskie, rozkloszowane spodnie, na które powróciła moda, a także w lekką jasnobłękitną bluzeczkę, i oznajmiła, że Swietka będzie na nią czekać za godzinę w barze restauracji Żar-ptak. Zarubin domyślił się, że dziewczyna wciąż pragnie naciągnąć stołeczny detektywa przynajmniej na koktajl i kawę, i przez całą drogę do restauracji z niepokojem szacował, ile mu zostało pieniędzy i co będzie jadł do końca delegacji.



W odróżnieniu od Leny Tichomirowej Swietłana okazała się znacznie mniej rozmowna i ufna, więc Zarubin musiał się nieźle

nagimnastykować, by uwierzyła, że warto mieć z nim do czynienia. Szczególny nacisk kładł na to, że pewni ludzie próbują perfidnie wykorzystać Janę w swojej brudnej grze, że bardzo mu żal młodej kobiety i nie chce, by spotkała ją jakaś krzywda, dlatego musi działać okreśną drogą, żeby jej nie stresować i nie wprowadzać zamieszania do jej życia rodzinnego. W końcu Swietłana się poddała.

Tak, to prawda, że Jana spotyka się teraz z Alikiem, którego bardzo kochała i nadal kocha. Po powrocie do Kemerowa od razu przybiegła do Swietłany i drżącym ze wzburzenia głosem opowiedziała niewiarygodną historię, straszną, romantyczną i na pierwszy rzut oka zupełnie nieprawdopodobną. Nieprawdopodobną do tego stopnia, że Swieta najpierw nie uwierzyła, uznała, że Janka znowu się wygłupia i ją nabiera. Jana zawsze lubiła zmyślać, ale nie dla własnej korzyści; naplecie jakichś głupstw, a pięć minut później ze śmiechem się do tego przyznaje.

W Moskwie Jana potwornie się nudziła. Gdy jechała do męża na zdjęcia, marzyła, że pozna sławnych aktorów zaangażowanych do filmu, że się z nimi zaprzyjaźni i że wszyscy razem będą odwiedzać restauracje i kluby. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna: aktorzy, znękani swoimi problemami, próbami, zdjęciami, przedstawieniami, podróżami z miasta do miasta, domowymi niesnaskami i kłopotami osobistymi, w ogóle się nie interesowali żoną scenarzysty i autora powieści, na podstawie której powstawał serial. Pojawiali się na planie filmowym, robili, co do nich należało, po czym od razu zmywali makijaż i rozbiegali się do swoich zajęć. Rusłan na okrągło rozmawiał a to z reżyserką, a to z aktorką Sawienicz, co również było powodem zdenerwowania i zazdrości Jany.

Odskokcznią od przykrej rzeczywistości stał się Timur, z którym Jana się zaprzyjaźniła. Pewnego pięknego dnia, uśmiechając się przebiegle, zawiózł ją do restauracji, w której czekał Alik. Okazało się, że dawny kochanek dowiedział się o pobycie Jany w Moskwie, odszukał ją, ale się nie zbliżał z uwagi na męża. Zauważył Timura i poprosił o pomoc. Niewykluczone, że mu nawet zapłacił, w każdym razie od tamtego dnia Timur stał się jej opiekuńczym duchem,

zabawiał ją, urozmaicał czas i przy każdej nadarzającej się okazji umożliwiał spotkania z Alikiem.

A potem stało się coś okropnego... Timura zabito, a Janę porwano. Na początku strasznie się przeraziła, ale w mieszkaniu, do którego ją przywieziono, czekał Alik. Boże, kochała go tak bardzo, że nie przejmowała się myślą o zabitym kierowcy. Były to trzy najszcześniejsze dni w ciągu ostatnich pięciu lat. Nie rozstawali się ani na chwilę, opuszczali łóżko tylko po to, żeby wziąć prysznic i coś zjeść. Alik powiedział jej:

– Skarbie, jestem związany z bardzo poważnymi ludźmi. Jeśli chcesz, żebyśmy byli razem, musisz mi pomóc. Twój mąż powinien wrócić do Kemerowa, a ty masz go do tego namówić i dopilnować, by tak się stało. Ze swojej strony zrobię wszystko, żeby ułatwić ci to zadanie. Jeżeli Rusłan wróci do Kemerowa, będziemy mogli stale się spotykać. Tutaj na okrągło cię kontroluje, a w domu masz znacznie więcej swobody. Pojadę za tobą i znowu będziemy szczęśliwi.

– Ale dlaczego? – zapytała Jana. – Dlaczego zależy wam na tym, żeby Rusłan wrócił?

– Nie wiem, skarbie. Moje zadanie to sprawić, by wrócił. Nie wtajemniczono mnie w szczegóły. Ale jedno mogę ci powiedzieć na pewno: twojemu mężowi nic nie grozi, nie spadnie mu nawet włos z głowy. Wierzysz mi?

Oczywiście, że Jana mu wierzyła. Zawsze wierzyła Alikowi, w jego obecności traciła zdrowy rozsądek, kochanek miał nad nią olbrzymią władzę.

– Dlaczego Timur zginął? – pytała, a on odpowiadał:

– To było konieczne. Inaczej twoje porwanie nie doszłoby do skutku i nie spędzilibyśmy tych cudownych dni tylko we dwoje. Musisz wiedzieć, skarbie, że te trzy dni to najlepsze, co mi się przytrafiło w życiu. Wierzysz mi?

W to również wierzyła.

Po trzech dniach raj się skończył i zamienił w piekło. Wypuszczono ją, odwieziono niemal pod dom. Na pożegnanie Alik długo i gorąco całował Janę i chyba po raz setny powtarzał swój instruktaż: nic nie widziała i nikogo nie zapamiętała; miała związane oczy, okna w mieszkaniu były zaklejone gazetami, więc nawet w przybliżeniu nie

potrafi ustalić, gdzie znajduje się dom, w którym ją przetrzymywano; pilnujący ją mężczyźni nosili maski i prawie się nie odzywali, dlatego nie potrafi opisać ani twarzy, ani głosów, ani sposobu wystawiania się... Jeśli Jana zrobi wszystko, co trzeba, nikt nie ucierpi, poważni ludzie rozwiążą swoje poważne problemy, a ona i Alik będą żyli długo i szczęśliwie. On nawet zamierza się z nią ożenić i wychowywać jej dwie córki jak własne dzieci. Jana przyrzekła, że zrobi, co jej kazał.

Wróciła do męża i z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie może na niego patrzeć. Nie znosi jego dotyku. Drażni ją jego opiekuńczość. Było jej wstyd, bo przecież Rusłan myślał, że znajdowała się w rękach przestępców, usiłował ulżyć jej w cierpieniu, pocieszyć ją, uspokoić, nakarmić, utulić do snu, podać leki, rozerwać. Ale ona tego nie potrzebowała, chciała, żeby zostawiono ją w spokoju i nie przeszkadzano oddawać się wspomnieniom o Aliku. Pragnęła przypominać sobie jego ręce, usta, szept i obietnice. Wzdrygała się na myśl o bliskości z Rusłanem i odmawiała mu pod byle pretekstem. Alik miał rację, będzie lepiej, jak Jana wróci do domu, bo tam ona i Rusłan dzielą trzypokojowe mieszkanie z jej rodzicami, siostrą i bliźniaczkami. Dzieci śpią z nimi w tym samym pokoju, więc zawsze jest powód do odmowy, dziewczynki się zbudzą albo ona jest wykończona...

Okazało się jednak, że nie tak łatwo przekonać Rusłana. Ani dziwny list, ani zakrwawione truchła szczurów nie zainteresowały go ani nie przestraszyły, a sceny hysterii, które Jana sumiennie urządzała, nie wywarły większego wrażenia. To znaczy wywarłyby, gdyby do sprawy nie wtrącił się Andriej Konstantinowicz, mąż reżyserki serialu. Zajął się Janą i obiecał, że zrobi, co się da, by dziewczyna nie chciała nigdzie wyjeżdżać. I przez jakiś czas Jana rzeczywiście oddawała się rozrywkom. Chętnie jeździła z Andriejem Konstantinowiczem na wystawy, do sklepów, parków, klubów i restauracji, zwłaszcza po tym, jak pierwszego dnia spotkała Alikę. Było to w Pasażu Pietrowskim. Poszła do działu z bielizną damską, Andriej Konstantinowicz taktownie zostawił ją samą, nie przeszkadzając w przymierzaniu miniaturowych fig i koronkowych staników. Alik wyrósł jak spod ziemi, głośno poprosił Janę o radę, udając, że wybiera prezent dla swojej partnerki, po czym wyszeptał:

– Mądrała z ciebie, skarbie. Robisz, co trzeba. Baw się tymczasem, a my ci pomożemy.

Mówiąc to, mrugnął do niej i uniósł kciuk w górę.

Alik dotrzymał obietnicy, kilka dni później w samochodzie Andrieja Konstantinowicza pojawił się jakiś pistolet i mężczyznę aresztowano. Jana znowu zaczęła się nudzić i wtedy ktoś podrzucił zdjęcia z cmentarza. Jej histeria na tym tle wyglądała zupełnie naturalnie, więc Rusłan zabrał ją w końcu do Kemerowa.

Następnego dnia w Kemerowie zjawił się Alik. Jana była zdenerwowana, chciała się wyrwać na schadzki z ukochanym, obecność Rusłana irytowała ją coraz bardziej, wciąż się ze sobą kłócili, w dodatku to ona zawsze wszczyniała awanturę. Pragnęła mieć prawo, by trzasnąć drzwiami i wyjść na kilka godzin, udając, że spotkała ją śmiertelna obraza. Wyjść, żeby z napotkanego po drodze automatu zadzwonić do Alika i pobiec do niego. Ale wyszło dokładnie na odwrót. To Rusłan trzasnął drzwiami. Za to teraz Jana spędza w towarzystwie Alika całe dni od rana do wieczora, zabiera dzieci i wyjeżdża z nim, wraca tylko na noc, bo rodzice nie rozumieją jej romansu...

– Ta-a-ak. Opowiedziała mi pani ciekawą historię, Swieto. – Zarubin pokręcił głową z zakłopotaniem. – Aż trudno uwierzyć.

– Ja też nie od razu uwierzyłam. Ale gdy zobaczyłam Janę z Alikiem, pomyślałam, że nawet jeśli skłamała, to nie we wszystkim. Niech pan powie, Sierioża, czy Janę naprawdę porwano w Moskwie?

– Naprawdę. Były też list, szczury i zdjęcie. W tej kwestii Jana pani nie oszukała.

– A kierowca? Został zabity?

– Tak, Swieto. Nie żyje. A teraz mam do pani delikatne pytanie. Rozumiem, że Jana, spełniając prośbę swojego kochanka, wmawiała nam, że nic nie wiedziała i niczego nie pamięta. Ale z pani słów wynika, że to nie do końca prawda. Nam powiedziała, że nie widziała, kto strzelał do Timura. Podobno było ciemno, a tamten mężczyzna zawołał ich z krzaków. A co pani od niej usłyszała?

Swietłana milczała, wpatrzona w wisienkę leżącą na dnie pustej szklanki do koktajlu.

– Czy Janka nie poniesie odpowiedzialności za to, że was oszukała?

Pewnie, że poniesie – pomyślał Zarubin z gniewem. Twoją Jankę należałoby sprać po tyłku. Na jej oczach zabito człowieka, a ona myśli tylko o kochanku, trzpiotka.

– Nie – odparł nieszczercze. – Nic się jej nie stanie. Ukarany zostanie ten, który zabił, a ona przecież nikogo nie zabiła. Zataiła jedynie w toku śledztwa, że jej kochanek jest zamieszany w przestępstwo, ale to rzecz całkiem zrozumiała i czysto ludzka.

– No w sumie... Widziała mężczyznę strzelającego do Timura. Dobrze mu się przyjrzała, bo to on prowadził samochód, do którego ją wepchnięto, a później zaprowadził do Alika czekającego w mieszkaniu.

– Czy mówiła coś o tym mężczyźnie? Opisywała go?

– Tak. Średniego wzrostu, mniej więcej metr siedemdziesiąt dwa, rozmiar czterdzieści osiem – pięćdziesiąt, ciemnowłosa, nos krzywy, jak u boksera, brew przecięta szramą.

– Pani przyjaciółka ma dobre oko! – zawołał Zarubin z podziwem.

– Jest przecież krawcową – wyjaśniła Swietłana cicho. – To nawyk zawodowy.



Wzrost mniej więcej metr siedemdziesiąt dwa, rozmiar czterdzieści osiem – pięćdziesiąt, włosy ciemne, krzywy nos i szrama biegnąca przez lewą brew. No cóż, pomyślała Nastia, można z czystym sumieniem wykreślić z listy dwa kolejne zabójstwa i zostawić jedno – zabójstwo Tiejmuraza Indżiji. Rysopis Antona Pleszakowa odpowiada przekazanemu przez Zarubina. Teraz trzeba się jeszcze dowiedzieć, kto zastrzelił samego Antona, i można będzie porządnie się wyspać pierwszy raz od trzech tygodni.

– Zabójstwo Indżiji chyba nie było wcześniej zaplanowane – powiedziała Korotkowowi. – Inaczej skąd by się wzięła pogłoska o motywie narodowościowym? Wygląda na to, że podczas operacji porwania Jany Nilskiej Pleszakow wykazał się twórczą inicjatywą, za co został ukarany przez swoich szefów. Sądzę, że jego zabójcy należy szukać w ugrupowaniu Walery Lipieckiego.

– Czyżbyś przypuszczała, że Pleszakow zabił Timura tylko dlatego, że tamten był Gruzinem? – Korotkow zmrużył oczy z niedowierzaniem.

– Owszem. A co ci się nie podoba?

– Twoim zdaniem to kompletny idiota?

– Daruj sobie, Jura – jęknęła Nastia. – Gdzie widziałeś tabuny mądrych przestępców? Chyba tylko w kinie. Są tacy, nie przeczę, ale to garstka w ogólnej masie, wśród naszego kontyngentu jakieś osiemdziesiąt procent nie ma za grosz rozumu. Zobacz, ilu mądrych pojawiło się w tej sprawie. Statystycznie rzecz biorąc, przynajmniej jeden powinien okazać się kretyńcem, inaczej można by pomyśleć, że nie żyjemy na ziemi, lecz przenieśliśmy się do bajkowego królestwa.

Kolejny raz – w myślach, a także za pomocą kartki i długopisu – sporządzała schemat, próbując wszystko połączyć i odkryć tak zwane białe plamy, które trzeba będzie wypełnić. Są zatem dwa ugrupowania – Bogomolca w Kemerowie i Walery Lipieckiego w Moskwie. A między nimi szwenda się niejaki Jurij Simonow, obecnie z inną twarzą i z nowym nazwiskiem. Ludzie Bogomolca chcą go znaleźć i zabić, ludzie Lipieckiego usiłują temu przeszkodzić. Na razie wszystko układa się w logiczną całość.

Lipiecki ma dwa problemy. Pierwszy: uniemożliwić ludziom Bogomolca namierzenie dawnego Simonowa. Drugi: znaleźć nieoficjalną kartę daktyloskopijną Jurija Simonowa i ją zniszczyć, żeby całkowicie zatrzeć jego ślady. Ta przeklęta karta wisi nad Simonowem jak miecz Damoklesa. Mogą ją przecież znaleźć ludzie Bogomolca, a wtedy nie pomogą żadne sprytne manipulacje z sobowtórami; jeśli karta wpadnie w ręce Bogomolca, Simonow zostanie zidentyfikowany w ciągu dziesięciu minut: wystarczy zdjąć odciski palców wszystkim „podejrzany” i je porównać, to żadna sztuka, trzeba tylko zwrócić się do specjalisty, ale z tym poradzi sobie nawet student, który liznął kryminalistyki. Na razie Bogomolec nie wie o karcie, kłopot polega jednak na tym, że w każdej chwili może się dowiedzieć. Na przykład w rozmowie z Rusłanem Nilskim. Jak duże jest jej prawdopodobieństwo? Bardzo duże. Bogomolec zna Nilskiego. I jeśli raptem do niego dotrze, że Nilski i Simonow urodzili się i wyrosli w tym samym mieście, spróbuje wycisnąć z tej



informacji, co tylko się da. Tak oto wygląda sytuacja. A więc trzeba się śpieszyć. Należy nie tylko zamydlić oczy ludziom Bogomolca, podsuwając im lipnego Simonowa w osobie Gielija Riemisa, spokojnie zaczekać, aż go zabiją, i na tym poprzestać. Trzeba się jeszcze dowiedzieć, czy zachowała się karta daktyloskopijna, i jeśli tak – to ją zniszczyć. Krótko mówiąc, podwójne zadanie. Do tego momentu wszystko też jest logiczne.

Bogomolec i Lipiecki to ludzie o krańcowo różnej mentalności. Bogomolec jest bezwzględny i prostolinijny, nie waha się zabić, ludzkie życie to dla niego jedynie środek do osiągnięcia własnych celów. Bez wahania przystał na zabójstwo siostry Simonowa, żeby zwabić go na pogrzeb. A przy okazji, dlaczego był pewien, że Simonow dowie się o jej śmierci? Przecież Jurija uznano za zmarłego, a więc ani matka, ani sąsiedzi, ani przyjaciele nie mogli go poinformować. Skąd zatem miał się dowiedzieć? I rzeczywiście się dowiedział... Tak, nie przyjechał na pogrzeb, ale się dowiedział. Z tego wniosek, że w Kamyszowie jest informator – ktoś, kto utrzymuje kontakt z ugrupowaniem Lipieckiego. I Bogomolec wie o tym doskonale. Pojawia się tutaj biała plama, wypełniać ją jednak będą detektywi z Kemerowa, to ich problem.

Walera Lipiecki rozstał się z Bogomolcem z powodów ideowych, działa więc znacznie dyskretniej i finezyjniej. Nadmierna przemoc budzi w nim odrazę, dlatego z powodzeniem korzysta z usług asa wywiadu noszącego ksywę Spielberg, który ma skłonności do przemyślnej reżyserii i opracowuje różne nieszablonowe operacje. Ich realizacja jest znacznie trudniejsza, bez dwóch zdań, ale wszystkie one wychodzą zwykle poza ramy kodeksu karnego, a jeśli nawet się w nich mieszczą, to tak, że owe ramy stają się chwiejne, kruche i przezrocyste. Milicji nie udaje się nikogo przyskrzynić. Gdy jednak trzeba kogoś zabić, wtedy oczywiście sprawa nie podlega dyskusji. Wszystkie inne zadania Lipiecki stara się rozwiązywać w sposób elegancki i bez ryzyka, że się za bardzo zbliży do organów ścigania.

Rozpatrzmy powyższą tezę na konkretnym przykładzie. Trzeba dotrzeć do archiwum Rusłana Nilskiego. Najpierw złodzieje włamują się do domu jego matki w Kamyszowie i próbują je znaleźć. Warto zauważyć, że pracują, gdy Olga Andriejewna Nilska oraz jej mąż są

nieobecni. A więc nikogo nie straszą, nie związują, nie grożą bronią i nie torturują. Dzieje się to w kwietniu, gdy Rusłan jest już w Moskwie. I wtedy pomysłowy as wywiadu uruchamia „trójnik”. Znajduje odpowiednich ludzi, dogaduje się z nimi, opłaca ich usługi. Nic nielegalnego. To zagadkowe? Niejasne? Ale zgodne z prawem. Mężczyźni pojechali razem z Simonowem-Słucewiczem, pomogli nieszczęsnej matce. Zrobili coś złego? Ależ skąd. Do czego milicja może się przyczepić? Do niczego. A efekt jest wstrząsający: zwłoki Riemisa. Jakby tego było mało, zabójstwa nie popełnił Lipiecki, on nie ma z tym nic wspólnego, to robota ludzi Bogomolca. A kogo konkretnie? To jeszcze jedna „biała plama”, którą będą musieli wypełnić moskiewscy detektywi, działając ręką w rękę z kemerowskimi. Podobno Bogomolec nie układa się z milicją, a szkoda, można by dobić z nim targu. Nazwiska zabójców Riemisa w zamian za dożywocie dla Simonowa. Zresztą trzeba się jeszcze zastanowić... Bezwzględni i prostolinijni liderzy zawsze mają opozycję, a z nią można spróbować się dogadać.

Teraz co się tyczy drugiego zadania Lipieckiego – karty daktyloskopijnej. Można było dopaść małego Rusłana w ciemnym zaułku, nastraszyć pistoletem albo nożem, zagrozić różnymi nieszczęściami, które mogą spotkać jego córki albo żonę, i zmusić do pokazania archiwum. Ale takie działania są, po pierwsze, brutalne, a po drugie, podpadają pod kodeks karny, jeśli Rusłan zawiadomi milicję. Milicjanci nie są głupi, od razu zapytają, dlaczego ktoś interesuje się kartą daktyloskopijną osoby, którą uważa się niby za zmarłą, mimo że nie zidentyfikowano jej ciała po eksplozji. I wszystkie dalsze wysiłki pójdą na marne. Ludzie Lipieckiego działają znacznie przebieglej. Weźmy na przykład zniknięcie Jany... Krótco przedtem Jana kłóci się z mężem, widzą to wszyscy obecni na planie filmowym. Co się stanie, gdy przybity nieszczęściem mąż poinformuje milicję? Wiadomo co. Wobec faktu kłótni nikt nie kiwnie palcem przed upływem tygodnia. Jana zaś wróci do domu znacznie prędzej, w dodatku bez śladów przemocy, zdrowa, świeża, najedzona i wyspana. Nikt jej niczym nie groził i niczego od niej nie żądał. Co robi milicja? Odetchnie z ulgą, rzecz jasna, podrze na strzepy zgłoszenie męża o zaginięciu żony i wyrzuci je do kosza. Mąż i żona

to jeden diabeł, sami się dogadujcie, dzisiaj się pokłóciliście, a jutro się pogodzicie, bez waszych kłótni też mamy kupę roboty, w Moskwie codziennie dochodzi do co najmniej trzech zabójstw, nie mówiąc już o rabunkach, rozbojach, kradzieżach i przywłaszczeniach samochodów.

W podrzuconym liście, który podsunięto Rusłanowi w restauracji, nie ma żadnych pogroźek. I ani słowa świadczącego o tym, że jest adresowany właśnie do Nilskiego. Nawet jeśli autor listu zostanie złapany za rękę, co można mu będzie zarzucić? Powie, że pomylił kurtki i włożył list do niewłaściwej kieszeni, że chciał nabrać przyjaciela. W dodatku to nie podpada pod żaden paragraf. Pudełko z martwymi szczurami? Tak, wyszło nieciekawie, ale wcale nie chciałem nastraszyć Nilskiego i jego uroczej żony, mieszkanie należy przecież do niejakiego Aleksieja Wadimowicza Woronowa, to dla niego było przeznaczone pudełko. Studentów żartownisiów rozpiera energia, więc uprawiają łobuzerkę. I znowu nie ma paragrafu w kodeksie karnym za taki czyn. Zdjęcie nagrobka? No i co? Czy za to trafia się do więzienia? Można wymyślić setki wyjaśnień, a nawet jeśli się ich nie wymyśli, nie ma się czego obawiać, bo to nie przestępstwo. Żaden z tych incydentów nie sprowokuje milicji do działania – nikt nawet nie podejmie rozmowy na ten temat. Tak to wygląda. A telefon do Rusłana z radosną nowiną, że Jana ma kochanka? Nawet nie warto o tym wspominać. Zwłaszcza że to prawda.

Jeśli chodzi o Alikę Sierowa i jego kontakty z Janą Nilską, to tutaj w ogóle nie ma o czym mówić. Dawna znajomość, każdy może to potwierdzić, ich spotkania w Moskwie nie są związane z Simonowem i z całym zamieszaniem wokół niego. Obecnie pan Sierow zajmuje ważne stanowisko, jest wiceprezesem firmy, o co więc można mieć do niego pretensje? To bez znaczenia, że kiedyś był aktywnym członkiem ugrupowania Bogomolca i odszedł od niego ze swoim przyjacielem Walerijem Łozowym, który się przemianował na Walerę Lipieckiego. Jeśli nawet brał bezpośredni udział w przestępstwach, nikt mu tego nie udowodnił, a zatem nic się tutaj nie wskóra.

Widać w tym styl Walery Lipieckiego i jego kutego na cztery nogi konsultanta. Wszystko poszłoby zgodnie z ich planem, gdyby

przygłupiego Antona Pleszakowa nie poniosły emocje. Patrzcie państwo, facet nie lubi przybyszów z Kaukazu! Też mi Słowianin w setnym pokoleniu, bojownik o czystość rasy. Może nienawidził Gruzinów z powodów osobistych, a może naprawdę brak mu rozumu, fakt pozostaje jednak faktem: złamał instrukcję i podczas porwania Jany samowolnie zastrzelił Tiejmuraza Indżiję. Przyplącił to życiem. Szukanie zabójcy przypadło jej, Nastii, takie było zadanie Afonii. To jeszcze jedna biała plama. Ale Korotkow obiecał, że jeśli dojdzie do kontaktów z ugrupowaniem, to pomoże, krucha i delikatna lady nie ma po co się tam pchać. Zresztą jeśli Walera Lipiecki, w odróżnieniu od Bogomolca, całkowicie zerwał z przestępczymi tradycjami, można będzie się z nim łatwo dogadać. Wystarczy wysłać Rusłana do Kemerowa, niech pójdzie tam, gdzie przechowuje swoje nieszczęsne archiwum, a przyprowadzi za sobą ludzi Lipieckiego. Milicjanci z Kemerowa, nie robiąc zamieszania i hałasu, przyłapią członków bandy na usiłowaniu kradzieży, po czym można będzie ich wypuścić w zamian za nazwisko tego, który zabił Pleszakowa. A zatem jest szansa, że i tę białą plamę uda się wypełnić niewielkim nakładem sił.

Tak czy inaczej, Pleszakow pokrzyżował wszystkie plany, tak piękne i estetyczne, że nic, tylko namalować obraz i wystawić go w galerii. Zabił Timura i do sprawy wtrąciła się milicja. No cóż, wyszło kiepsko...

Pozostaje niejasne pytanie: zatrzymać Słucewicza-Simonowa już teraz czy poczekać na kartę daktyloskopijną, żeby nie popełnić błędu? Lepiej oczywiście działać na pewniaka, istnieje jednak ryzyko, że Lipiecki coś wyczuje, ukryje kilera-speca od wybuchów i szukaj potem wiatru w polu. Ale dlaczego miałby się zaniepokoić? Na razie wszystko idzie gładko i zgodnie z planem. Zaraz wyślemy Nilskiego do Kemerowa pod pretekstem sprawdzenia wierności żony. Ach, żeby tylko nie doszło do żadnych komplikacji!

≡

– Pani zdaniem muszę koniecznie jechać?

W głosie Rusłana zabrzmiała taka udręka, że Nastia poczuła niemal fizyczny ból.

– Proszę zrozumieć, Rusłanie – wyjaśniała cierpliwie. – Ci przestępcy mają dość rozumu, by uniemożliwić nam wysunięcie żądań. Tak, wiemy, że to Walera Lipiecki i jego ludzie. Ale z czym do niego pójdziemy? Z jakimi pretensjami? Z jakimi pytaniami? Od razu nam powie, że nie ma nic wspólnego ze sprawą, a my nie będziemy mogli zaprzeczyć. Niech nam pan pozwoli przyłapać na gorącym uczynku przynajmniej jednego członka jego ugrupowania, wtedy rozmowa ułoży się sama.

– Nie mogę... nie chcę iść do domu, do Jany. Przeszkadzam jej. Ona mnie już nie potrzebuje.

– Co pan mówi? – Nastia próbowała go uspokoić. – Uwierzył pan w ten obrzydliwy telefon? Oni chcą zmusić pana do wyjazdu, więc plotą trzy po trzy, żeby stracił pan nerwy.

– Nie, nie. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Nie chodzi o to, że im uwierzyłem. Tamten mężczyzna powiedział mi przez telefon to, czego sam się domyślałem. W ostatnich dniach Jana się ode mnie oddaliła, unikała rozmów. Nawet nie chciała na mnie patrzeć. Wiem, już to przerabiałem. – Uśmiechnął się gorzko. – To nie pierwszy raz, gdy kobieta mnie zdradza. Dobrze, pojedę. Zatrzymam się jednak u kolegi.

– Bardzo proszę. – Nastia ustąpiła. – Niech pan mieszka, gdzie chce. Ale pod jednym warunkiem: Jana musi wiedzieć, że pan wraca.

– Dlaczego? – Posłał jej zdumione spojrzenie. – Co ona ma z tym wspólnego?

– Ona nic. Ale koło niej kręci się ktoś, kto powinien się dowiedzieć o pańskim powrocie. Inaczej całe zamieszanie na nic, pójdzie pan przeglądać archiwum, a Lipiecki nie będzie miał pojęcia, że jest pan w Kemerowie. Jego ludzie czekają przecież pod pańskim domem, więc jeśli się pan tam nie zjawi, nie dowiedzą się o pańskim przyjeździe.

– Ktoś się kręci koło Jany? – zapytał Nilski z niepokojem. – Jakiś przestępca? Grozi jej niebezpieczeństwo?

– Nic jej nie grozi – odparła Nastia łagodnie, nie mając zamiaru odkrywać oszukiwanemu mężowi całej prawdy o jego żonie i jej kochanku, któremu ona natychmiast doniesie o przyjeździe Rusłana. – Całkiem możliwe, że ktoś dzwoni do niej regularnie i pyta o pana, a ona odpowiada, że jest pan w Moskwie. W pewnej pięknej chwili powinna oznajmić, że już pan wrócił i można pana znaleźć tam i tam. A przy okazji, gdzie przechowuje pan archiwum?

– U kolegi. Ma własny dom na przedmieściach, willę, jest tam dużo miejsca, moje teczki nikomu nie przeszkadzają.

– Zamierza się pan zatrzymać u niego?

– Tak.

– Można mu zaufać? To pewny człowiek?

– Jak najbardziej. – Rusłan się uśmiechnął.

– Dobrze. Proszę zostawić mi jego zamiary. Zarubin skontaktuje się z nim wcześniej, żeby nie było żadnych niespodzianek. I jeszcze jedno, Rusłanie. Siergiej Zarubin będzie na lotnisku w Kemerowie, gdy pan przyleci. Niech się pan postara nie zwracać na niego uwagi, a jeśli się nie uda, proszę pod żadnym pozorem nie podchodzić do niego. Jak będzie trzeba, to sam pana znajdzie.

≡

Wreszcie pojawiło się światło w tunelu dla Siergieja Zarubina, innymi słowy – widać było upragniony dzień, w którym wróci do Moskwy i oświadczy się Guli. Dzisiaj przylatuje Nilski, z jego kolegą już wszystko uzgodnione, chłopak okazał się bystry i rzeczowy. Jana również została poinformowana. Za dwa, góra trzy dni w ładnej piętrowej willi na przedmieściach pojawią się nieproszeni goście, żeby sprawdzić, czy to nie tam Nilski przechowuje swoje archiwum. Wtedy właśnie zostaną zatrzymani, cała reszta zaś to kwestia techniki, presji i umiejętności negocjacji.

Siergiej przyjechał na lotnisko, by obserwować proces „spotkania”. Właściwie nie miał pewności, czy zjawi się ktoś, by „odebrać” Rusłana. Niewykluczone, że Jana wie, gdzie jest willa, jeśli jednak wszystko odbędzie się w stylu Lipieckiego, to nikt jej o to nie zapyta. Pytanie jest niebezpieczne, w odpowiedzi dziewczyna też może o coś

zapytać, a wtedy co jej powiedzieć? Sierow nie musi wiedzieć, gdzie zamierza się zatrzymać jej mąż. Najważniejsze, że nie w domu, reszta nie powinna go obchodzić. Przecież Sierow powiedział Janie, że jego zadaniem jest zmuszenie Nilskiego do powrotu do Kemerowa, nie wspominał o archiwum. Z tego wniosek, że na lotnisku zjawi się ktoś, kto „odbierze” Rusłana i odprowadzi go na nową kwatery. I bardzo dobrze.

Zarubin leniwie przespacerował się przed wejściem, dowlókł się do tablicy przylotów, stanął w kolejce do informacji, dyskretnie wodząc obojętnym wzrokiem po pasażerach, którzy wybierali się w podróż albo na kogoś czekali. Kupił puszkę pepsi-coli, wypił ją, stojąc koło kosza na śmieci i z przyjemnością zaciągając się papierosem. Do ogłoszonej godziny przylotu pozostawało jeszcze dwadzieścia minut. Siergiej ziewnął szeroko. Samoloty z Moskwy przylatują o bardzo niewdzięcznych godzinach: pierwszy ląduje o drugiej w nocy, ostatni – o wpół do siódmej rano. Mimo że Nilski miał przylecieć o szóstej trzydziści, Zarubin czuł się niewyspany.

A oto i znajoma postać, pan Sierow we własnej osobie. Widocznie nie zdążono przysłać szpiegów z Moskwy, Nilski zadzwonił do żony tuż przed odlotem, więc Lipiecki nie miał dość czasu, by wsadzić swoich ludzi do tego samego samolotu. A w Kemerowie jedyną osobą, która zna Rusłana z widzenia i której można powierzyć zadanie, jest właśnie Sierow. No cóż, wszystko logiczne. Zaraz sprawdzimy, czy Aleksander Aleksiejewicz przybył po duszę Rusłana, czy może w jakiejś innej sprawie. Przydała się historyjka na czarną godzinę. Dobrze być przezornym i zapobiegliwym!

Siergiej szybko ruszył do wyjścia, omal nie zwałając z nóg Sierowa, wypadł na ulicę i podszedł do srebrzystego opla ze znajomym numerem rejestracyjnym. Okrążył auto, wyjął papierosy, znowu zapalił i demonstracyjnie oparł się o maskę. Zaraz Alik sprawdzi na tablicy godzinę przylotu i na pewno opuści budynek. Po co ma się tam snuć, skoro może wygodnie posiedzieć w samochodzie i posłuchać muzyki? Zwłaszcza że głośniki są na ulicy, wszystkie komunikaty słyhać i tutaj.

Sierow zjawił się parę minut później. Na widok chłopaka bezceremonialnie opartego o jego samochód zachmurzył się

i stanowczym krokiem ruszył bronić praw posiadacza. Ale Zarubin go uprzedził.

– Przepraszam, czy to pański samochód? – zapytał z uśmiechem zakłopotania.

– Mój – burknął Sierow. – A o co chodzi? Czego pan chce?

Siergiej zaczął szczegółowo i nieśpiesznie opowiadać tę samą historyjkę o przyjacielu potrąconym przez samochód i o poszukiwaniu świadków, którzy widzieli wypadek. Tak jak przypuszczał, Sierow został uprzedzony, toteż pojawienie się natręta go nie zdziwiło ani nie oburzyło, przeciwnie, kiwał głową ze współczuciem, chętnie przyłączał się do krytyki milicjantów z drogówki, potakiwał i sarkał w odpowiednich momentach. Tuż nad ich głowami ożył głośnik i ze znużeniem zapowiedział przylot samolotu linii Syberia, rejs numer 171 z Moskwy. Zarubin, nie zwracając uwagi na słowa lektora, wymachiwał rękami i ciągnął swoją bolesną, pełną gniewu opowieść.

– Przepraszam, bardzo panu współczuję, ale nie potrafię pomóc. Nie było mnie na miejscu wypadku, widział pan inny samochód.

– Aha, czeka pan na samolot z Moskwy – powiedział Siergiej ze zrozumieniem.

– Tak... nie, na nikogo nie czekam. Przepraszam, jestem zajęty, muszę iść.

– Oczywiście, oczywiście. – Siergiej podał mu rękę. – Przepraszam, że pana niepokoiłem. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że to był pan...

Wszystko się zgadza, Sierow przeszedł dobre szkolenie u Lipieckiego i jego wspólnika z wywiadu. Nigdy nie kłam w nieistotnych kwestiach. Gdyby Sierow teraz powiedział, że czeka na kogoś z Moskwy, nic strasznego by się nie stało, ale piętnaście, dwadzieścia minut później Zarubin zobaczy go, jak wsiada do samochodu samiuteńki. Głupstwo, można by rzec, no bo kim jest Zarubin? Nikim, obcym i przypadkowym facetem. Może jednak podejść, zacząć wypytywać, na przykład o to, gdzie się podział gość Sierowa, czyżby nie przyleciał, i na dodatek zaproponuje pomoc z dobroci serca. Albo, co gorsza, poprosi, by go podrzucić do miasta, Sierow zaś nie może sam wybrać trasy, musi jechać za Nilskim, a nie



podwozić przypadkowych rozmówców. Moskwa to duże miasto, codziennie po ulicach chodzi trzynaście milionów ludzi, jeśli wliczyć przyjezdnych, a mimo to zdarzają się przypadkowe spotkania. Kemerowo jest znacznie mniejsze i nie ma tylu mieszkańców, więc tutaj tym bardziej nie da się niczego zagwarantować. Tego jeszcze brakowało, żeby ten chłopak (chodzi o Zarubina) zaczął dopatrywać się czegoś dziwnego w zachowaniu Sierowa. Kto wie, może kiedyś gdzieś na siebie wpadną. Brawo, as wywiadu dobrze wytresował swoje psy.

Zarubin zajął dogodny punkt obserwacyjny, ukrył się za zaparkowanym w pobliżu autobusem dalekobieżnym. Stąd dobrze widział i wyjście z budynku lotniska, i srebrzystego opla, i postój taksówek. Jakies dwadzieścia minut później zauważył Nilskiego, bladego, z wymizerowaną twarzą i podkrążonymi oczami. Rusłan szybko dogadał się z jakimś kierowcą i odjechał ciemnoszarą wołgą. Samochód Sierowa ruszył za nim.



Wszystko odbyło się nad wyraz szybko i gładko. Albo Lipiecki miał w Kemerowie niezawodnych ludzi, albo zdążył prędko ściągnąć ich z Moskwy na Syberię w ślad za Nilskim, tak czy inaczej, usiłowanie obrabowania willi odnotowano nazajutrz po przyjeździe dawnego dziennikarza do miasta. Wszystkich mieszkańców domu, łącznie z gościem, wysłano, żeby sobie powędkowali i pozbierali poziomki, tak że dwa dni, w dodatku ich wyjazd zaaranżowano zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki teatralnej: do samochodu zapakowano namioty, rozkładane krzeselka, stół i okazałych rozmiarów przenośną lodówkę turystyczną, by ci, którzy obserwują dom, nie mieli żadnych wątpliwości, że willa będzie stała pusta przez co najmniej dobę. Zabrano nawet psa i kota.

Dwóch złodziei przyłapano w chwili, gdy metodycznie przetrząsali zawartość teczek, umieszczonych na najwyższej półce wysokiego, sięgającego sufitu regału. A właściwie nie wtedy, lecz nieco później, gdy jednemu z nich się poszczęściło i włożył do kieszeni kurtki parę kartek jednakowego formatu. Właśnie tymi kartkami już drugą dobę

dokuczali mu kemerowscy milicjanci na zmianę ze śledczym. „Po co – pytali – buchnąłeś jakieś stare karty daktyloskopijne, zwłaszcza że są amatorskie, nie pochodzą z akt sprawy karnej, skoro, jak sam twierdzisz, włamałeś się ze współnikiem do domu w celu popełnienia banalnej kradzieży?” Jego współnika maglowano osobno, w drugim pomieszczeniu, ale pytania zadawano takie same. Jak dotąd nie udało się uzyskać logicznych odpowiedzi, nikt jednak na nie specjalnie nie liczył, bez nich też było jasne, po co włamywacze zabrali karty. Trwał etap wywierania morderczej presji połączonej z pogroźkami, po czym zgodnie z planem miał nastąpić etap negocjacji w poszukiwaniu rozsądnego kompromisu. Drugi etap zacznie się po otrzymaniu wyników weryfikacji tożsamości zatrzymanych, gdy owe wyniki wyraźnie wskażą na ich związek z moskiewskim autorytetem kryminalnym Walerą Lipieckim.

Zarubin pozwolił sobie na chwilę oddechu i wyobrażał sobie, jak jutro wstanie o świcie, koło piątej, wrzuci do torby manatki, zje na śniadanie, co mu Bóg ześle, i pogna na lotnisko, by o ósmej polecieć do Moskwy. Samolot wyląduje na Szeremietiewie pięć po ósmej czasu moskiewskiego, Siergiej będzie miał przed sobą cały dzień, żeby zrobić wiele pożytecznych i miłych rzeczy! Najważniejsza z nich to spotkanie z Gulą i poważna rozmowa o ich wspólnej przyszłości...

Już prawie zasnął w swoim ciasnym pokoju hotelowym, gdy tuż nad uchem zatarabanił dzwonek telefonu.

– Zdaje się, że interesowałeś się Sierowem – usłyszał głos jednego z milicjantów.

– Uhm – potwierdził, jeszcze nie do końca przytomny. – A co z nim?

– Został zastrzelony. Chcesz podskoczyć?

W jednej chwili odechciało mu się spać. Pośpiesznie wciągnął dżinsy i koszulę, spryskał twarz zimną wodą z kranu i wypadł na ulicę. Dobrze, że pożyczony samochód miał zwrócić następnego dnia rano, w drodze na lotnisko.

Mimo późnej godziny zebrał się tłum gapiów. Zarubin zaparkował auto i podszedł do miejsca, w którym pracowali śledczy, milicjanci i eksperci. Znajomy srebrzysty opel, lewy bok i drzwi od strony kierowcy podziurawione kulami. Po tej samej stronie leży ciało Sierowa, nachylił się nad nim lekarz w białym fartuchu.

Zakrwawiona koszula się uniosła, obnażając zarośnięty rudawymi włosami wydatny brzuch. Na asfalcie krew, dużo krwi, cała kałuża.

Z drugiej strony opla Zarubin zobaczył jeszcze jednego lekarza, który w zamyśleniu kiwał głową, patrząc pod nogi. Serce podeszło mu do gardła: czyżby było tam jeszcze jedno ciało? Czyżby...?

Leżąca na boku z podwiniętymi nogami filigranowa Jana Nilska z daleka przypominała śpiącą dziewczynkę. Krwi nie było widać, pewnie dlatego, że miała na sobie czarną suknię wieczorową z długim, eleganckim trenem.

– Dopadli go jednak. – Rozległ się koło Zarubina znajomy głos milicjanta, który do niego dzwonił.

– Kto?

– Kolesie z bandy Bogomolca. Sierow musiał mieć z nimi na pieńku, więc się z nim porachowali. Nie oszczędzili nawet dziewczyny, bydlaki. Sierow wiadomo: niewart złamanego grosza, ale dziewczyna jest jeszcze młoda, za co dostała kulkę? Nie ma też ze sobą dokumentów, nawet nie wiemy, kogo powiadomić.

– Znam ją – powiedział Siergiej cicho. – I nazwisko, i adres, i telefon. Zapisz, jeśli potrzebujesz.

Nazajutrz rano poleciał jednak do Moskwy. I przez cztery godziny rejsu myślał o tym, czy ma prawo ożenić się z Gulą, no i w ogóle się ożenić. Pewnego dnia nadeprnie na odcisk jakiejś bandzie łajdaków, oni zapragną się z nim policzyć i nie oszczędzą nikogo, kto z nim wtedy będzie. Żony, dzieci, kolegi, przypadkowego przechodnia. Co prawda milicjantom nic takiego chyba jeszcze się nie przytrafiło, ale jak lubi powtarzać Kamieńska, wszystko jest kiedyś pierwszy raz.



Po drodze Edik Gusarczenko odwiózł Lubę do domu i udał się do siebie. Taksówkarz okazał się gadatliwy, chętnie słuchał opowieści Edika o urlopie na Cyprze, więc Edik z nie mniejszą ochotą oddał się miłym wspomnieniom o przezroczystym morzu, piaszczystej plaży, przytulnym pokoju hotelowym i zatrzęsieniu jedzenia, napojów i rozrywek. Słowem, odpoczął szykownie. Zabawiłby tam jeszcze kilka tygodni, ale kończyły się pieniądze, no i powiadomiono go, że

może wracać. Ten drobny szczegół pominął co prawda w opowieści, to nie sprawa taksówkarza. Tak naprawdę zaczął się już denerwować; tamten facet, który zwerbował go do wyjazdu do Kemerowa, kazał mu wyjechać jak najdalej z Moskwy, najlepiej – za granicę, nie na długo. Edik przyjął to z radością jako okazję, by wypocząć, i jakoś nie pomyślał o pieniądzach, nie wziął dużo, sądził, że jada z Lubą na dwa, trzy dni, góra – na pięć. A wyszło znacznie dłużej, więc nawet się ucieszył, gdy ktoś zadzwonił na komórkę i kazał wracać.

Znalazłszy się w swoim mieszkaniu, szybko rozpakował torbę, wrzucił brudne szorty, slipy i koszulki do pralki, wziął prysznic i już miał usiąść przy telefonie, żeby obdzwonić koleśków, poinformować o przyjeździe i zapytać o nowiny, ale jego plany pokrzyżował dzwonek do drzwi. Na progu stał chłopak ze znaną do bólu twarzą, której Edik nie miał chęci wspominać. Wcale się nie przestraszył, bo ostatnio nie miał niczego na sumieniu, poczuł się jednak nieswojo.

– Nie zaprosisz do środka? – zapytał Zarubin z kpina.

Edik z pochmurną miną odsunął się na bok, pozwalając detektywowi wejść.

– Dopiero wróciłem, nie zdążyłem się ogarnąć, a dzielna milicja już jest – burknął z niezadowoleniem.

– Witaj wobec tego. – Zarubin uśmiechnął się dobrodusznie. – A gdzie byłeś? Daleko?

– Odpoczywałem na Cyprze.

– A-a-a – wycedził tamten. – Myślałem, że znowu poleciałeś do Kemerowa, żeby trochę zarobić.

Serce Edika ścisnęło niedobre przeczucie. Nie, nie, w tamtym wyjeździe nie było niczego, za co milicja mogłaby wziąć go w obroty, wszystko odbyło się uczciwie i po bożemu. Ale parszywe psy jakoś się dowiedziały i nie wiedzieć czemu zaczęły się tym interesować. Dlaczego? Nic tam nie było, no nie było, Edik może przysiąc!

– Dobrze, Eduardzie Olegowiczu, nie będę cię męczył, pora rzeczywiście jest późna, porządni chłopcy szykują się już do spania, a ponieważ ty jesteś chyba porządnym chłopcem, opowiedz mi o tej podróży do obwodu kemerowskiego. Z kim pojechałeś, po co, wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Kwestię zapłaty możesz

pominąć, na razie niezbyt mnie ciekawi, ile ci za to zapłacono. I nie zapomnij wspomnieć, dlaczego tak niespodziewanie wybrałeś się na Cypr, bo zdaje się, że nie planowałaś urlopu w czerwcu.

A właśnie że opowiem, pomyślał Gusarczenko, podejmując nagle decyzję. Nie mam nic do ukrycia, nie zrobiłem nic złego. Niech facet się udławi moją opowieścią, skoro nie ma nic lepszego do roboty, niż interesować się takimi bzdurami. Też mi bohaterski detektyw, Żegłow-Szarapow[17], Sherlock Holmes od siedmiu boleści. Lepiej zająłby się wyjaśnianiem przestępstw zamiast niepokoić porządných ludzi.

≡

Do kolejnej sceny Woronowa potrzebowała zgrabnego sportowego audi TT, kubek w kubek takiego, jakie mieli jej przyjaciele Goldmanowie. Żeby zaoszczędzić, postanowiła poprosić ich o wypożyczenie samochodu, a Inna Goldman chętnie zgodziła się pomóc ulubionej przyjaciółce i przyjechać na wskazane miejsce o umówionej godzinie.

Irina Sawienicz zmyła już makijaż po trzygodzinných wyczerpujących zdjęciach, gdy do autobusu zajrzała Natalia.

– Irinko, długo jeszcze?

– Już!

Irina osuszyła chusteczką krem regenerujący nałożony na twarz, wyjęła puderniczkę, przesunęła wacikiem po policzkach, nosie i podbródku.

– W porządku. Jestem gotowa.

– Bardzo cię proszę, zadzwoń do Inny i zaczekaj na nią na skrzyżowaniu. Boję się, że będzie krążyć po okolicy i nas nie znajdzie.

– Dobrze, Natałko.

– A przy okazji, jak Rusłan? Nie dzwonił?

– Dzwonił. – Ira westchnęła ciężko. – Jest w kiepskim stanie, ale się trzyma. Powiedział, że do dziewiątego zostanie w domu, a potem przyjedzie.

– Może nie powinnam go ściągać? – zapytała Natalia z troską w głosie. – W końcu stracił żonę, pewnie nie ma teraz głowy do pracy.

– Powiedział, że tak woli. Dzieci mają opiekę, a on chce pracować, żeby całkiem się nie rozkleić. Boże, jak mi go żal! I jego, i Janki...

Ira załkała, ale od razu wzięła się w garść, wypadła z autobusu i ruszyła na spotkanie Inny Goldman. Udało jej się wybrać dobre punkty orientacyjne, więc już kilka minut później ładne, obłe audi TT zatrzymało się przy bramie domu, przez którą musiało wjechać, by znaleźć się na planie filmowym. Na tylnym siedzeniu Irina dostrzegła skuloną Julę, córkę Inny.

Gdy samochód bezgłośnie dotarł na miejsce, Inna wysiadła, by się przywitać z Natalią.

– A czemu Julka nie wysiada? – zapytała zdziwiona Ira. – Będzie tak tkwiła w samochodzie?

– Niech sobie siedzi – odparła Inna, zniżając głos. – Przeżywa zawód miłosny, więc zabrałam ją ze sobą, żeby nie była sama. Trochę posiedzi, a później może przyłączy się do was, popatrzy na zdjęcia, oderwie się od smutnych myśli.

– Pokłóciła się z chłopakiem?

– Coś w tym rodzaju. Uważa, że ją rzucił, bo nie dzwoni od paru dni.

– Więc niech ona zadzwoni, może chłopak jest chory albo w delegacji. Co to za problem? – Ira wzruszyła ramionami.

– O to właśnie chodzi, że nie ma jego numeru.

– Jak to? Nie zna go?

– Owszem. Moja Julka jest stuknięta, nigdy nie pyta swoich chłopaków o telefon i nigdy do nich nie dzwoni, nawet jeśli zna numer. Uważa, że to oni powinni się za nią uganiać, a nie ona za nimi. Jak zechcą ją zobaczyć, to zadzwonią, a jak nie zadzwonią, to widocznie nie mają ochoty jej widzieć, ona zaś nie będzie się narzucać. Taką ma koncepcję życia osobistego. I dlatego teraz cierpi.

– Co za bzdury! – Irina zrobiła wielkie oczy i wymownie pokręciła głową. – Że też wbiła sobie coś takiego do głowy! A czy przynajmniej chłopak jest godny uwagi?

– Julka mówi, że tak: samodzielny, pracuje, ma mieszkanie, samochód i jest w odpowiednim wieku: lekko po trzydziestce. Nigdy go nie widziałam, nie zapraszała go jeszcze do domu.

– Lekko po trzydziestce? – powtórzyła Ira. – Chyba go widziałam. Julka całowała się z nim na klatce schodowej, gdy przyjechaliśmy do was na srebrne wesele. Przyznaję, że to przystojny chłopak. Naprawdę przystojny. A jednak czegoś tu nie rozumiem: jest przecież imię, nazwisko, miejsce pracy, czy tak trudno go znaleźć?

– Julka nigdy w życiu tego nie robi! – Inna Goldman się roześmiała. – Nie zrezygnuje ze swojej koncepcji, rozumiesz? Gdyby on chciał ją zobaczyć, na pewno by się zjawił. A skoro nie, to nie. Nic nie szkodzi, Irinko, to nie katastrofa, on nie jest pierwszym ani ostatnim chłopakiem w jej życiu. Dziewczyna pocierpi przez tydzień i znajdzie nowego, a o tym przestanie myśleć.



Korotkow wpadł do pokoju Nastii, gdy kończyła na komputerze zapytania, które miała zanieść do podpisu naczelnikowi.

– Zaraz, Jura, chwileczkę – powiedziała, nie odrywając oczu od ekranu. – Dokończę tylko ostatnie pismo, bo muszę pilnie zdobyć na nich autograf Afonii.

– Teraz nie idź do niego – poradził Korotkow, gdy Nastia wyjęła z drukarki plik zapytań.

– Dlaczego?

– Jest zły jak osa – oznajmił Jura wesoło. – Pograżył się dzisiaj w ciężkiej żałobie.

– Co się stało? – zapytała ze strachem. – Ktoś zmarł?

– A żebyś dostała pypcia na języku! Żałoba Afonii dotyczy zaprzepaszczenia ambitnych planów. Sama zobacz, ile go spotkało porażek. Zabójstwo kierowcy ekipy filmowej miało być głośne, i telewizja jest w to zamieszana, i mąż reżyserki, i konkurencja. A co się okazało? Zabójstwo Riemisa na tle religijnym też upadło, nie pachniało tam żadnymi satanistami, a tymczasem Afonia z wielką radością przywłókł tę sprawę z terenu! Zabójstwo Pleszakowa z powodu nienawiści na tle różnic narodowościowych... tutaj również

pechowo, nie wszystko jest tak wspaniałe, jak mu się marzyło. Ale trafiło się ślepej kurze ziarno: dobrze zakonspirowany zabójca, który popełnił z dziesięć głośnych i mniej głośnych zbrodni, a na dodatek zainscenizował własną śmierć i poddał się operacji plastycznej. Coś pięknego! Prosta i ekspresowa droga do światowej sławy na miarę Pietrowki.

– No i? – Nastia nie zrozumiała. – To łatwo zrównoważy poprzednie niepowodzenia, więc z jakiego powodu ta żałoba?

– A z takiego, koleżanko, że w naszym ministerstwie też nie siedzą idioci. Pół godziny temu sprawę przejęła centrala.

Nastia omal nie podskoczyła razem z krzesłem, na którym siedziała.

– Serio?!

– No! Powierzyli naszemu Afonii zadanie znalezienia zabójcy, który zostawiał trupy w całym kraju. Ale nie są w ciemę bici. Namierzyliśmy im Simonowa, za co należą się wielkie podziękowania panu Bogoradowi vel Bogomolcowi, a z całą resztą poradzą sobie sami.

Nastii spadł kamień z serca. Nie była ambitna i w ogóle się nie przejmowała, gdy nie mogła doprowadzić sprawy do końca i ktoś inny przywłaszczył sobie efekty jej pracy. Wielkie rzeczy! Jest kobietą, więc nawet jeśli będzie wyjaśniać przestępstwa jedno za drugim i osiągać rewelacyjne wyniki, nikt nigdy nie przyzna, że jest najlepszym detektywem w wydziale, a tym bardziej – w kraju. Już dawno to rozumiała, podobnie jak wszystkie zasady i uwarunkowania pracy w męskim zespole, toteż nigdzie się nie rwała – ani do awansu, ani do fotela naczelnika. Wystarczała jej satysfakcja z pracy, nie oczekiwała od niej innych dywidend.

Zabrano jej głośną sprawę – trudno. Ale jak to odebrał Afonia? Biedaczysko. Jest przecież dobrym detektywem, bystrym i kompetentnym, zachciało mu się jednak sławy...

Nastia zebrała wydrukowane zapytania, włożyła je do przezroczystej teczki, przesunęła rękami po głowie, sprawdzając, czy jakieś pasma włosów nie wysunęły się spod spinki.

– Idę. – Wstała od biurka.



– Zaryzykujesz zdrowie? – Korotkow zmrużył oczy. – Nie boisz się gniewu naczelnika?

– Nie-e. Czego mam się bać? Niech sobie pokrzyczy, powie coś paskudnego, korona mi z głowy nie spadnie. Wiesz, Jura, po ostatnich urodzinach zrozumiałam, że jestem już za stara, żeby się bać szefów, i życie od razu stało się przyjemniejsze!

– No to idź, staruszek – powiedział Jura złośliwie. – Nie zapomnij wpaść do mnie w drodze powrotnej i powiedzieć, czym wszystko się skończyło. Bardzo jestem ciekaw, w jakim stanie wyjdiesz od Afonii.

Korotkow się nie mylił, pułkownik Afanasjew naprawdę był ponury jak chmura gradowa. Rzuciwszy na Nastię niechętnie spojrzenie, z odrazą popatrzył na przyniesione przez nią zapytania. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo chce się na kimś odegrać, poniżyć, udzielić nagany, ukarać, żeby wyładować nagromadzoną agresję.

– Dlaczego dopiero teraz widzę te zapytania? – zapytał głosem, który nie obiecywał niczego miłego.

– Bo przed chwilą je przygotowałam.

– A nie wydaje ci się, Kamieńska, że można i trzeba było to zrobić już dawno temu? Sprawy stoją w miejscu, przestępstwa pozostają niewyjaśnione. Czym ty się zajmujesz? Tylko mi nie mów, że pracujesz.

– A co innego robię, pańskim zdaniem?

– Zajmuje cię wyłącznie twoje życie osobiste. Myślisz, że o niczym nie wiem? Myślisz, że nie wiem, że twój mąż wyjechał na długą delegację za granicę, a ty go zdradzasz z Korotkowem? Myślisz, że nie wiem, że Korotkow odszedł od żony i mieszka u ciebie, podczas gdy twój mąż zarabia pieniądze, by cię utrzymać? Uważasz, że to w porządku? Czy to zachowanie godne oficera milicji? Sądzisz, że spanie z szefem jest dopuszczalne? Korotkow to twój szef i mój zastępca. Gzicie się bezczelnie na oczach całego zespołu! Nie zamierzam tego tolerować!

Pułkownik coraz bardziej nakręcał się swoimi słowami, gorączkował się i podnosił głos. No i proszę – obojętnie, a nawet apatycznie pomyślała Nastia, słuchając jego krzyków i patrząc na kropelki śliny, które pryskały mu z ust. Znalazł kogoś, na kim może

się wyżyć. Wygaduje ohydne rzeczy o mnie i o Jurze. A ja muszę to znosić. A właściwie kto powiedział, że muszę?

Oczami wyobraźni znowu zobaczyła długi korytarz, którym szła, szła, szła, póki nie natknęła się na zamknięte drzwi. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zawrócić i ruszyć tam, skąd przyszła. Ale dlaczego uznała, że drzwi są zamknięte? Ktoś jej o tym powiedział? Nie, sama tak stwierdziła. Nawet nie szarpnęła za klamkę, nie usiłowała otworzyć, z góry założyła, że drzwi są zamknięte. A gdyby spróbować?

Delikatnie nacisnęła klamkę, drzwi lekko ustąpiły i na ciemną podłogę wąskiego korytarza padła smuga światła. Drzwi nie są zamknięte, tam jest światło, a to znaczy, że toczy się jakieś życie.

Nastia oparła się łokciami o biurko, ułożyła podbródek na splecionych dłoniach i z ciekawością popatrzyła na naczelnika.

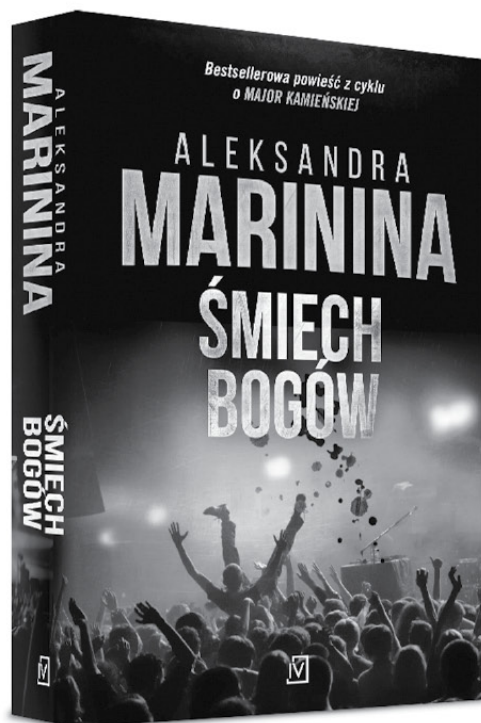
– Wybacz, Afonia, że zaraz złamię obietnicę, którą ci dałam – powiedziała spokojnie. – Ale zrobię to z wielką przyjemnością. Obiecałam, że nie będę cię nazywać Afonią i nigdy nie wspomnę, że studiowaliśmy razem. Chcę ci jednak powiedzieć, co o tobie myślę. Wierzę, że jesteś dobrym pracownikiem operacyjnym, inaczej nie awansowałbyś w pracy. Ale dobry pracownik operacyjny i prawdziwy pracownik operacyjny znacznie się od siebie różnią. Dobry pracownik operacyjny to mistrz w swoim fachu, a prawdziwy pracownik operacyjny jest człowiekiem. Ty, Afonia, jesteś mistrzem, ale nie jesteś człowiekiem. Ludzie dla ciebie to łajno. Wykorzystujesz ich życie i cierpienia, żeby awansować i zdobyć sławę podczas wyjaśniania głośnej zbrodni. Jeśli się jednak okaże, że zbrodnia nie jest głośna, tracisz nią zainteresowanie i nie marnujesz swojego wysokiego profesjonalizmu. Niewykluczone, że będę pracować pod twoim kierownictwem. Ale nigdy nie będę cię szanować. Podpisz zapytania, to sobie pójdę.

Mówiła te słowa nieśpiesznie i miarowo, równie wolno i miarowo otwierały się niezamknięte drzwi, cicho, bez skrzypienia. Smuga światła na ciemnej podłodze się poszerzała, a długi korytarz stawał się coraz jaśniejszy. Tam, za drzwiami, było życie, może inne, może nietypowe, ale nie straszne. Byli tam ludzie, którzy je prowadzili,

zwyczajni ludzie – tacy jak Nastia. Kto powiedział, że ona nie zdoła żyć tak jak oni?

*Maj – lipiec 2001 roku*

[17] Żegłow i Szarapow to detektywi rywale z rosyjskiego pięcioodcinkowego serialu *Gdzie jest Czarny Kot?*, który nakręcono w latach 1978–1979. Rolę Żegłowa grał Włodzimierz Wysocki.

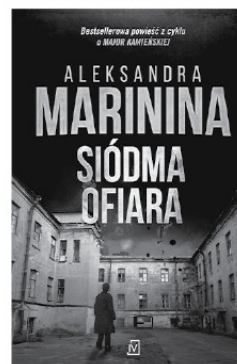
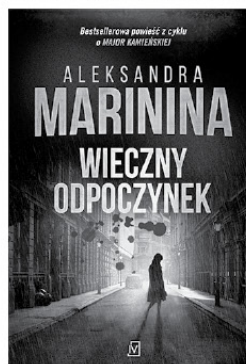
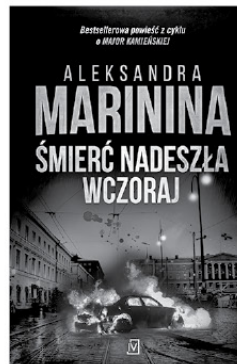
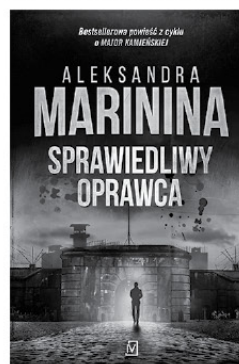
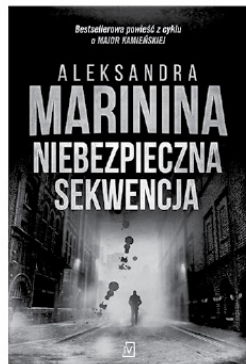
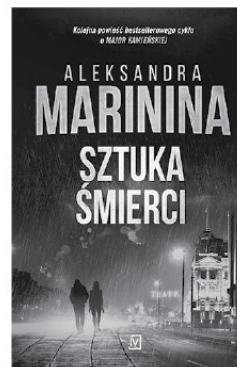
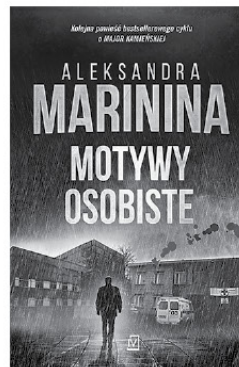
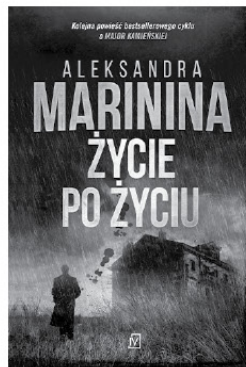
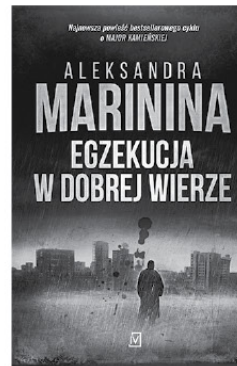


Nastia Kamińska prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa dwóch młodych mężczyzn. Szybko odkrywa, że w przeddzień śmierci obaj byli na koncercie zespołu rockowego Bi-Bi-Es i zginęli, ponieważ krytykowali solistkę Swietlanę Miedwiediewą. Zabójca zwany Fanem rzuca mroczny cień na Moskwę.

W tym samym czasie biznesmen Rubcow zwraca się z prośbą do komisariatu na Pietrowce o wyjaśnienie, kto pisze do jego córki Żeni dziwne listy. Detektywi wyjaśniają, że dziewczyna otrzymuje je przez pomyłkę – jej niezwykle podobieństwo do Miedwiediewej sprawia, że zabójca bierze ją za piosenkarkę.

Kamińska podejmuje trudną decyzję. Postanawia filmować kolejne występy zespołu, mając nadzieję, że pośród słuchaczy wypatrzy groźnego zabójcę.

Bestsellerowe  
powieści z cyklu  
o major Kamieńskiej



## Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Polecamy również